

Dżuma II

MARIAN
BIELIŃSKI

Dżuma rusza
do ataku

Dżuma II

M A R I A N
B I E L I C K I

Dżuma
rusza
do ataku

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej

Dżuma rusza do ataku

TOM DRUGI

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej

Dżuma II

Obwolutę i okładkę projektował

STEFAN RZEPECKI

Redaktor

JADWIGA LASKOWSKA

Red. techn.

JERZY JAWORSKI

Korektorzy JANINA PAPROCKA i MARTA KOCHANOWICZ

**Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej
Warszawa 1955. Wyдание I**

**Nakład 10 000 egz. obj. 20,15 ark. wy d. 27.5
ark. druk. Papier dru. sat. V kl. 60 g. Format 82 x
104/32 Oddano do składu 13.XI.54 r. Podpis, do
druku 8.III.55 r. Druk ukończono 20.III.55 r. Nr
zam. 7566 z dn. 13.XI.54 r. Wojskowe Zakłady Gra-
ficzne w Warszawie B-6-54327 Cena zł. 17.60**

CZEŚĆ PIERWSZA

PRZYGOTOWANIE

ROZDZIAŁ I

1

Lekki, ciepły wiatr targał muślinowymi firankami.

Przez szeroko otwarte okno napływał do pokoju łagodny zapach jesiennych kwiatów. Po pierwszych dniach październikowych, deszczowych i chłodnych, znów się ociepliło. Słońce zaglądało do pustych wnęk między długimi liśćmi niskich krzaków, z których troskliwe ręce ogrodnika wycięły już chropawe, kuliste ananasy. Przeglądało się w kamiennych akwariach, załamując swe promienie na czerwonozłoty grzbietach leniwie poruszających płetwami ryb, nadawało miękki połysk soczystej zieleni trawników. Karłowate, pokręcone pnie skrzepowanych przez człowieka drzewek dźwigały płaskie jak parasole korony drobnych liści przetykanych puszystymi, jaskrawoczerwonymi kwiatami.

Pułkownik Crosby stał w oknie od kilku minut, ale nie dlatego, że wzrok jego przyciągało piękno ogrodu — po prostu nie chciało mu się siadać za biurkiem, wejść w kołowrót codziennej pracy, w czytanie nudnych piśmideł krzyczących czerwie-

nią pieczętek „poufne”, „tajne”, „ściśle tajne”. Dzień po dniu to samo, do znudzeni w kółko. Dyrektywy, zlecenia, rozkazy, tabele... I żeby choć jakiś efekt był z tego. Wciąż drepczą w tej przeklętej Korei w jednym miejscu, wciąż nie mogą przezwyciężyć frontu, A zdawałoby się, że to takie proste i łatwe.

Crosby był już niemal pewien, że wyjdzie nareszcie z tego przeklętego gabinetu, z sennej, zagrożonej w zieleni ogrodu willi, że świat na wieść o ich potędze zadrży w posiadach. I nic... Zamiast wielkiego triumfu — budząca mdłości, papierkowa robota.

Odwrócił się od okna. Na szerokim, masywnym biurku połyskiwał malowany w czerwono-złote ornamenty komplet przyborów do pisania z laki. Lampa z kości słoniowej dźwigała barwny klosz z bambusowych włókien. Pożółkły ze starości nóż do rozcinania papierów szczyrzył paszczę smoka. Czarne pudła telefonów połyskiwały nikłowymi prześwitami tarcz. Tak, w tym gabinecie wszystko nastrojało człowieka melancholijnie i sennie.

Niechętnie usiadł w fotelu. Denerwowała go nie tylko cisza, ale i porządek panujący w gabinecie. Jego kipiąca energią natura wymagała czegoś wręcz przeciwnego. Buntował się przeciw porządkowi. Pod koniec dnia, gdy opuszczał gabinet, pozostawiał po sobie pobojuwisko — podarte papiery, niedopałki, poprzesztawiane meble. Ale gdy tu wracał z rana, znów znajdował wszystko w najlepszym ładzie — poukładane, poustawiane, wysprzątane.

„Ten adiutant to chyba jakaś ryba nie żołnierz — pomyślał ze złością. — Trzeba by go posłać na front — jak powącha prochu, to mu się odechce

pilnowania ściereczek i szczotek. Nieznośny, przeklęty smarkacz. Na front, na front. Ech, nie! Po co ta cała komedia, skoro i tak nigdzie go nie wyślę. Chłopak jest miły, szybki, ma doskonałą pamięć, a zresztą... jego ojciec jest teraz jednym z wiceprezesów rady nadzorczej firmy „Crosby, Smuthers, Parker and Crosby“. Poza tym przydaje się w tej nudzie i jednostajności człowiek, na którego można się od czasu do czasu powściekać. To orzeźwia jak zimny prysznic po przepitej nocy.“

Crosby zabębnił palcami po biurku. Od kilku tygodni ani słowa z Nowego Jorku. Ani słowa o ich planach, i przecież przed pół rokiem wyglądało na to, że niedługo przystąpią do realizacji. Prace wstępne zakończone, magazyny dysponują dostateczną ilością materiału.

Pół roku temu... Wspomnienie o tamtych dniach zelektryzowało pułkownika. Wtedy nie gnuśniał w tej willi, nie wysłuchiwał nudnych raportów, nie przeglądał głupich i nikomu niepotrzebnych papierków.

Pół roku temu... Pamiętał, jakby to się działo wczoraj. Zgrabna sylwetka statku na redzie i dwa kutry pościgowe zataczające regularne kręgi wokół niego. Crosby przyjechał wówczas z Wonsanu motorówką i wkrótce po jego wejściu na pokład zadudniły motory, statek odpłynął. W kajucie kapitana pił kawę i likier z Samsem, słuchał jego opinii o przebiegu doświadczeń. Potem razem chodzili od kabiny do kabiny. Bezszelestnie przesuwwały się spowite w biel postacie lekarzy i pielęgniarek, ale nie oni interesowali Crosby'ego. Dla niego ważne były rezultaty prób dokonywanych w głębi statku, tam gdzie na białych łózkach (czysto tu było

jak w szpitalu, w którym dzień leczenia kosztował dwadzieścia dolarów) leżały zżerane przez śmierć ludzkie cienie. Crosby uważnie słuchał raportów naczelnego lekarza, który zapoznawał go z historią choroby. Zastrzyki, ukąszenia, wdychanie...

Teraz w ciszy gabinetu, wspominając owe dni, westchnął w zamyśleniu. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy ów tydzień spędzony na pokładzie statku 1091 był jedyną jasną plamą na szarym tle powszedniości. Ile nadziei związał wówczas z tą inspekcją! Ile sobie po niej obiecywał. I znów przeskodzili ci przekłeci „czerwoni“. Rozwrzeszczeli się, rozkrzyczeli na cały świat:

Zbrodnia! Zbrodnia! — statek śmierci! Co z tego, że Sams dostał order, że on, Crosby, też dostał order, skoro nad wielkimi planami zapadła znów kurtyna milczenia i konspiracji. Statek 1091 wycofano z wód koreańskich i japońskich, a on, Crosby, wrócił do czterech ścian tego przekłętego gabinetu.

Zapalił papierosa. Dym zawirował w smudze słońca, szare cienie przepłynęły ku oknu. Crosby rozparł się w fotelu, wyciągnął nogi pod biurkiem. Przez otwarte okno wpadły do pokoju dźwięki rytmicznej melodii. Crosby zatupał do taktu. Melodia przypomniała mu, że na dzisiejszy wieczór umówił się z przyjaciółmi, że zabawa zapowiada się wesoło. Pod wpływem tej myśli przysł ponury nastrój. Roześmiał się. Co za mucha go dziś ugryzła? Jego plany, a właściwie plany firmy, są przecież zbyt dalekosiężne, zbyt wszechogarniające i poważne, aby można je było realizować na gorąco, bez odpowiednich przygotowań, zabezpieczeń. Zresztą — co się odwlecze, to nie uciecze. Prace posunęły się

tak dalece, że praktyczne zastosowanie tej broni, którą dała Ameryce ich firma, musi nastąpić w najbliższej przyszłości. Tego był pewien — ostatecznie to on, a nie kto inny kontrolował całą działalność ośrodków laboratoryjnych, jemu podlegała baza w Tachikawie. A że w Waszyngtonie siedzą głupcy obawiający się własnego cienia — to sprawa mniejszej wagi. Zrobią to, co się im każe!

Cicho zabrzączał telefon. Crosby — teraz już energiczny, jakby poranna melancholia była po prostu zapomnianym snem, hałaśliwie przywitał się z adiutantem i uprzejmie zaprosił go do gabinetu. Adiutant stanął w drzwiach niemal w tej samej chwili, w której pułkownik odłożył słuchawkę. Na młodzieńczej, znamionującej energię twarzy malował się wyraz skupienia. Trzasnął obcasami. Crosby pomyślał: „Jeden z nielicznych tu w sztabie, którzy traktują dyscyplinę z powagą“. Uśmiechnął się do młodego oficera.

— Halo, Mikey, co tam nowego?

Adiutant zbliżył się do biurka, w rękach trzymał pękatą księgę korespondencji, spod pachy wycierał pakiet w grubej, szarej kopercie.

- Przyniosłem korespondencję, panie pułkowniku.

— Widzę — zaśmiał się Crosby. Chciał być jak najmiłszy dla tego sympatycznego chłopca, którego codziennie rano kłął w myślach, a po południu zamęczał dziesiątkami nikomu niepotrzebnych poleceń. — A poza tym?

— Przed godziną telefonował major Wood. Dziś o piątej narada u naczelnego dowódcy. Nie meldowałem tego od razu, bo jest dopiero dziesiąta, a pan pułkownik nie lubi, by go wcześniej niepokoić.

Dżuma II

— Dziękuję ci, Mikey, za troskliwość. — Crosby zamyślił się. — O piątej, powiadasz. — Na twarzy jego odmalował się wyraz zniechęcenia. — Przekleństwo! — mruknął. — Znów cały wieczór zepsuty.

Adiutant położył księgę korespondencji na biurku. Potem podał pułkownikowi pakiet w szarej kopercie. Crosby rzucił okiem na czerwone placki laku. Pokrywały one gęstą siatką cały grzbiet koperty. Jedno spojrzenie wystarczyło. Crosby skinął głową bez słowa. Adiutant trzasnął obcasami i szybkim krokiem ruszył do drzwi. Głos pułkownika zatrzymał go na progu.

— Dopóki nie zatelefonuję, nikogo do mnie nie wpuszczać, Mikey, telefonów nie łączyć. Rozumiesz?

— Tak jest!

Drzwi za adiutantem skrzypnęły. Crosby sprawdził, czy są dokładnie zamknięte. Potem wziął do ręki szary pakiet. Chwilę ważył go w dłoni. Tajemnica zawarta w kopercie podniecała jego wyobraźnię. Dreszczyk emocji przyspieszał bicie serca. Ileż to czasu czekał na taką kopertę?

Pod naciskiem poślizgniętego ze starości noża, który kiedyś był groźnym kłem wędrującego przez sjamskie dżungle słonia-samotnika, pękła pierwsza pieczęć. Odpryski laku rozsypały się czerwonymi kruszynkami po biurku. Kilka z nich przyklepiło się do palców. Wyglądały jak kropelki krwi. Crosby podważył drugą pieczęć — ta odskoczyła w całości. Potem trzecia, czwarta... Lak chrzęścił, osypwał się. Crosby strzepnął czerwone drobiny z palców. Z koperty wyciągnął drugą — żółtą, pieczętowaną ciemnobrązowym lakiem. Znów się-

gnął po nóż. Otwierając kopertę przymrużył z lekka oczy, usta ułożyły mu się w drapieżny; grymas.

Z żółtej koperty wypadła biała, dobrze znana koperta firmowa z czarnym nadrukiem: „Crosby, Smuthers, Parker and Crosby — New York 29 — Box 07071“. Wewnątrz na ćwiartce firmowego blankietu kilkanaście wierszy maszynopisu. Crosby oparł się wygodnie i przeczytał :

„Drogi Robercie!

Rezultaty zarówno w podległych bezpośrednio tobie jak i pozostałych ośrodkach ocenione zostały pozytywnie. Sytuacja dojrzała do przeprowadzenia praktycznych doświadczeń na terytorium wojennym. Postanowiono zastosować wszelkie typy wyprodukowanych już bomb. Chciałbym, abys specjalnie zainteresował się typem „VT“, na którym nam szczególnie zależy. Nie znaczy to, że należy lekceważyć pozostałe typy lub rozpylanie. Dzięki twoim sukcesom w Tachikawie powierzono ci całą akcję koordynacyjną. Pamiętaj o ostrożności. Obowiązuje w korespondencji kryptonim — „suprop“. Innych określeń nie wolno używać. Zresztą szczegóły znajdziesz to załączonej kopii dyrektywy połączonej grupy szefów sztabów US, którą przesyła ci Smuthers. Zarówno list jak i kopię po zapoznaniu się z treścią zniszcz. Nikt nie powinien wiedzieć, żeś to otrzymał. Pozdrawiam cię i życzę sukcesów.

Twój George William“

Pułkownik przeczytał list dwukrotnie, dopiero potem sięgnął po papierosa i długo łykał kłęby gryzącego dymu. Wszystkiego mógł się spodziewać,

ale... A więc już niedługo, może za parę dni. Zaciśnął pięści, aby opanować wzburzenie. Dzisiejsza narada, o której zawiadomił Wood, na pewno poświęcona jest tej sprawie. Dobrze się stało, że George i Smuthers przesłali mu dyrektywę i że pakiet przyszedł na czas. Generał na naradzie zaskoczy wszystkich obecnych rewelacyjną decyzją, która może w ciągu kilku tygodni odmienić bieg działań wojennych. Tylko on, Crosby, chyba jedyny pułkownik wśród tych nadętych generałów, którzy będą na naradzie, przyjmie rewelację pobłażliwym uśmiechem. I on będzie odtąd wydawał rozkazy, on będzie kierował losem wojny.

Z bocznej szuflady wyciągnął niewielkie, czarne pudło owinięte sznurem elektrycznym. Otworzył pokrywę i wrzucił do pudła list George'a i obie koperty, z których uprzednio zeskrobał cały lak. Włączył prąd. Po kilku minutach wyciągnął wtyczkę z kontaktu i wysypał do kosza popiół. Dopiero wtedy rozpieczętował ostatnią kopertę zawierającą kopię dyrektywy przysłaną przez Smuthersa. Czytał uważnie, słowo za słowem, starając się zapamiętać je jak najdokładniej. Raz po raz podkreślał grubym, zielonym ołówkiem poszczególne zdania. Przeczytawszy cały fragment wracał do nich. Drapieżny uśmiech zastygł wokół warg poruszających się w bezgłośnym szepcie. Pułkownik Crosby studiował dyrektywę, na którą czekał tak długo.

2

W gabinecie naczelnego dowódcy puszyste dywany tłumiły odgłos kroków. Na ścianach wisiały długie, prostokątne obrazy, sięgające niemal od su-

fitu do podłogi. Spoglądały z nich tęsknym wzrokiem bociany o wyblakłych ze starości, czerwonych dziobach, czaple przechylały kokieteryjnie smukłe szyje, dumne pawie zastygły z rozpostartymi ogonami. Małe ptaszki zawisły wśród białych kwiatów wiśni, ku którym wyciągała dłonie figlarna Japoneczka we wzorzystym kimonie. Cienkie, niemal przezroczyste, porcelanowe dzbanki i talerze wypełniały oszkloną szafę.

W miękkich, wygodnych fotelach obitych wzorzystą, jasnożółtą tkaniną siedziało kilku mężczyzn w wojskowych mundurach. Na okrągłym stoliku zdobnym w stare intarsje, między smukłymi butelkami, kryjącymi czerwien i brąz likieru, dymił porcelanowy dzbanek. Aromat kawy drażnił powonienie, kusił i raz po raz czyjaś ręka chwyciła kruche ramię dzbanka, aby napęlić smolistym płynem malowane filiżanki.

Naczelny dowódca siedział wygodnie rozparty. Ramiona jego tonęły w głębokim fotelu. Z tyłu widać było tylko czerwony, twardy, gładko wygolony kark. W ręce zwieszanej za poręcz fotela dymiło grube cygaro.

Crosby przesunął nieco swój fotel, aby widzieć twarz generała. Błąkał się na niej ironiczny uśmiech. Wysokie czoło przecinały zmarszczki, trzy długie, głębokie — poziome i jedna krótka biegnąca od nasady wydatnego nosa pionowo. Generał z roztargnieniem przysłuchiwał się rozmowom obecnych, którzy, po omówieniu sytuacji na froncie przez dowódcę 8 armii, korzystali z przerwy w obradach.

Naczelny dowódca zaciągnął się dymem, jednym łykiem opróżnił filiżankę i zwrócił się do sie-

dzącego obok generała Weylanda, dowódcy amerykańskiego lotnictwa wojskowego na Dalekim Wschodzie:

— Jaka jest pańska opinia o nastrojach wśród lotników, generale? — Głos naczelnego był przytłumiony i z lekka zachrypnięty.

— Och, nastroje są jak najlepsze...

Crosby wpatrywał się w każde drgnienie jego twarzy. Pierwsza połowa obrad nudziła go. Omawiając sytuację dowódca powtarzał to, co wiedzieli wszyscy z codziennych biuletynów sztabowych. Niektórzy nawet dokładniej znali te sprawy. Ale teraz Crosby siedział w swoim fotelu, naprężony jak kot gotowy do skoku. Czekał niecierpliwie, aż naczelnym zacznie referować nową, rewelacyjną dyrektywę. Teraz za chwilę musi to nastąpić...

— Jest pan tego pewien, generale? — spytał zamyślony naczelnym.

— Absolutnie. — Weyland spojrzał zdziwiony. — Zarówno zawodowi lotnicy, stanowiący personel naszych baz, jak i uzupełnienie, które otrzymujemy ze Stanów, to ludzie wypróbowani. Pan przecież wie, generale, że ostatnio selekcja przy wysyłaniu na front koreański jest szczególnie ostra. Zwłaszcza jeśli chodzi o lotników.

— Tak, tak, wiem — mruknął naczelnym. — Na Okinawie mamy 19 brygadę bombowców.

Weyland spojrzał na pozostałych uczestników narady. Na ich twarzach malował się wyraz zdziwienia i zainteresowania. Naczelnym dowódca, zawsze oschły, lubujący się w krótkich sformułowaniach, był dziwnie zamyślony tym razem. Coś się za tym musiało kryć.

Crosby dostrzegł niepewne miny generałów. Zaśmiał się w duchu. To, co dla nich było tajemnicą, on znał niemal na pamięć. Nie dość na tym, był współautorem tego, co zapoczątkuje dzisiejsza narada, był jednym z motorów rozkazu, który dziś w tym gabinecie padnie z ust dowódcy. A oni wszyscy będą wykonawcami gigantycznego planu, który jeszcze parę lat temu wzbudzał sceptyczne uśmiechy.

Naczelny sięgnął po kawę, ale Weyland wyprzedził go, ujął dzbanek i napełnił filiżankę. Aromatyczny zapach rozszedł się nad stołem. Naczelny skinął głową i wyprostował się w fotelu. Tęgi kark jakby wrósł w szerokie ramiona.

— Panowie! — głos jego zabrzmiał uroczyście. — Chcę wam zakomunikować radosną i być może dość nieoczekiwaną nowinę...

Generałowie jakby tknięci prądem elektrycznym wysunęli ku niemu szyje. Van Fleet otworzył usta i chwycił palcami podbródek. Weyland oparł dłonie o kolana i zawisł spojrzeniem na wargach naczelnego. Pozostali uczestnicy narady zastygli w takich pozycjach, w jakich zaskoczyły ich słowa dowódcy. Jedynie Crosby, którego obecności nikt zdawał się nie dostrzegać, palił spokojnie papierosa.

Pauza trwała dość długo. Naczelny z ironicznym uśmiechem przyglądał się twarzom podkomendnych, jakby chciał na zawsze zapamiętać ich wyraz.

— Atom... — wyjąkał Van Fleet.

Na to słowo wszyscy drgnęli. Ale naczelny pokiwiał przecząco głową.

— Wiem, generale, że pan nie od dziś jest wielbicielem tego rodzaju broni. Zresztą — teatralnym gestem rozłożył ręce — przyznajmy, któż z nas, może w skrytości ducha, nie jest nim. Ale nie o atom tym razem chodzi. Bomba atomowa została już praktycznie wypróbowana. Jesteśmy świadomi zasięgu jej działania, ale — wzruszył ramionami — działa ona zbyt głośno. Mamy natomiast inne rodzaje broni, praktycznie jeszcze nie wypróbowane i działające bez tego rozgłosu, jaki towarzyszy bombie atomowej. Musimy je wypróbować, a właśnie Korea dostarcza nam tej możliwości. Mam na myśli broń bakteriologiczną — zakończył twardo.

Efekt tych słów był piorunujący.

Niewątpliwie każdy z obecnych był na ogół dobrze poinformowany o rezultatach badań, których celem było stworzenie broni bakteriologicznej, licząc się także z możliwościami wyzyskania jej w akcji. Niemniej jednak oświadczenie naczelnego dowódcy było nieoczekiwane. Rzucali pytania jedno po drugim, nieskoordynowane, chaotyczne. Zresztą naczelny odpowiadał skąpo — czekał, aż minie pierwsze podniecenie. Tylko on i Crosby zachowywali się spokojnie.

Gdy wreszcie każdy jako tako się wyładował, zaczęły padać pytania bardziej konkretne — kiedy bomby bakteriologiczne zostaną wprowadzone do akcji bojowej, jakie są plany ich wstępnego zastosowania, jakie siły będą realizowały plan...

Dowódca wstał. Zbliżył się do wielkiej mapy Korei przekreślonej czerwoną nicią frontu, upstrzonej malutkimi, barwnymi chorągiewkami, brunatnymi falami łańcuchów górskich, błękitnymi wstążkami rzek i czarnymi kółkami miast. Spoj-

rzenia zebranych skoncentrowały się na barwnej plamce na błękitnym tle Morza Japońskiego, ozdobionej chorągiewką. Naczelný obejrzał się na swoich słuchaczy:

— Nie muszę chyba przypominać panom, że wszystko, co omawiamy w tej chwili, podlega jedynie rejestracji pamięciowej, żadnych notatek.

Wojskowi pokiwali głowami. Naczelný stojąc bokiem do mapy — jego ciężki, kamienny profil odbijał od jej pstrego tła — na chwilę cofnął pałeczkę, jakby zastanawiając się, od czego tu zacząć.

— Otrzymałem dyrektywę połączonej grupy szefów sztabów US omawiającą w ogólnych zarysach program operacji bakteriologicznych w Korei. Zacznę od zagadnień taktycznych. Z różnych względów pierwsze operacje powierzymy jednostkom 19 brygady bombowców stacjonujących tu — spojrzenie jego zatrzymało się na chwilę na mapie, jakby sprawdzając, czy pałeczka dotyka właściwego punktu — na wyspie Okinawa. Bombowce „B-29” będą startowały stąd, zaopatrzone w normalne bomby plus ładunek bakteriologiczny, który będziemy określali zaszyfrowaną nazwą „suprop”. W pierwszej fazie akcji „suprop” nie będzie bombardowania jakiegoś specjalnie ograniczonego terytorium, cele będą rozrzucone — pałeczka zatoczyła krąg ogarniający całą północną część Półwyspu Koreańskiego — i bombardowanie nazwiemy „chaotycznymi”. W drugiej fazie przejdziemy do koncentrycznego ataku bakteriologicznego, przy czym udział wezmą jednostki stacjonujące bezpośrednio w Korei, wchodzące w skład 5 formacji generała Everesta. Nie bierze on udziału w naszej nara-

dzie, ale po ustaleniu konkretnych wytycznych generał Weyland poinformuje go o zadaniach — wyjaśnił naczelnny. — Bliższych szczegółów na razie omawiać nie mam zamiaru. Dziś chciałem tylko z grubsza zapoznać panów z treścią dyrektywy, szczegóły omówimy jutro. Zbierzemy się w tym samym gronie, przy czym chętnie wysłucham opinii panów co do ostatecznego opracowania operacji. Czasu na przemyślenie wystarczy...

Naczelnny zawiesił pałeczkę obok mapy i wrócił na swój fotel. Sięgnął po cygaro. Zatrzymał roztargnione spojrzenie na twarzy pułkownika Crosby. W oczach jego mignął jakiś błysk — jakby sobie coś przypomniał.

— Chciałem jeszcze w kilku słowach przedstawić cele operacji bakteriologicznych. Spada na nas zadanie trudne i odpowiedzialne. Musimy zbadać w warunkach bojowych poszczególne elementy i. rodzaje broni bakteriologicznej. Na tej podstawie dopiero będziemy mogli mówić o włączeniu tej broni do akcji regularnych. Pozytywne wyniki doświadczalno-laboratoryjne winny znaleźć potwierdzenie w akcji bojowej, nieprawdaż? Musimy ustalić, jakie samoloty są najbardziej przydatne do akcji „suprop“, jak rozszerzają się choroby w miejscach zrzutów, jaki wpływ ma zakażenie terenów tyłowych na przebieg walk i ducha komunistów. Musimy wy badać skuteczność broni bakteriologicznej w różnych warunkach klimatycznych, meteorologicznych i geograficznych, w gęstych i rzadkich skupiskach ludzi. Bakteriologiczne bombardowanie Korei — uśmiechnął się porozumiewawczo — nie jest przecież celem samym w sobie. Dysponując takim, poligonem musimy wyzy-

skąć wszelkie wygody, jakich nam dostarcza Korea. Akcja „suprop“ to nie demonstracja siły, jak to było w Hiroszynie i Nagasaki. To akcja doświadczalna, która się winna przekształcić w regularną akcję bojową.

Naczelnny wstał, przeszedł się po pokoju. Generałowie również wstali. Narada była widocznie skończona.

— Sądzę, że na tym zakończymy — odezwał się naczelnny. — Poproszę o przemyślenie tej sprawy i przedstawienie sugestii jutro o — spojrzął na zegarek — powiedzmy o jedenastej rano. Przypominam: żadnych notatek, sprawa jest bardziej niż ściśle tajna. Nikt prócz obecnych tu nie wie i nie powinien, bez mojej decyzji, wiedzieć o akcji „suprop“. Aha, zgodnie z dyrektywą kierownictwo całą akcją, koordynację działań i ich organizację obejmuje pułkownik Robert Crosby.

Pułkownik lekko skłonił głowę. Dostrzegł cień zdziwienia w oczach kilku generałów. Jedynie Weyland uśmiechnął się doń porozumiewawczo, jakby chcąc powiedzieć: rozumiem i pochwalam. Van Fleet uścisnął dłoń pułkownika, klepnął go po ramieniu i mruknął:

— Jak się masz, stary chłopie? Udało ci się.
Crosby skrzywił usta w uśmiechu.

Naczelnny żegnał się z wychodzącymi. Jakby celowo czekał, aż pożegnani znikną za ciężkimi kotarami, i nie podawał ręki Weylandowi i Crosby'emu. Weyland widząc, że wszyscy już wyszli, chciał się również pożegnać, ale naczelnny dowódca wskazał mu fotel, potem tym samym gestem zaprosił Crosby'ego.

— A teraz, przyjaciele, omówimy szczegóły.

Usiedli we trójkę przy okrągłym stoliku. Naczelnym nacisnął guzik dzwonka. Oficerowi, który zjawiał się w drzwiach, kazał przynieść świeżą kawę i filiżanki. Podeszedł do biurka. Z bocznej szuflady wyjął cienki plik papierów i wrócił do stolika. Poczekał, aż oficer ustawi filiżanki i kieliszki, napełni je i wyjdzie. Potem ujął dwoma palcami kieliszek, obejrzał jego zawartość pod światło i wyciągnął rękę w stronę gości. Szkło cicho brzęknęło.

— Za powodzenie naszej sprawy, przyjaciele.

3

Nawet Crosby nie przypuszczał, że ma tyle energii. A cóż dopiero jego przyjaciele i znajomi. Nazywali go za plecami nudnym, starym dziadem. Bynajmniej nie ze względu na wiek. Do starości było jeszcze daleko. Ale Crosby zasiedział się w ciszy gabinetów sztabowych, papierkowa robota wycisnęła na nim swe piętno. Stara historia — zdemaszkowanie tokijskiego ośrodka BB, burza, jaka się rozpętała na całym świecie wokół doświadczeń bakteriologicznych, rozgłos bakterii 0,78 — wszystko to dało mu się mocno we znaki. Z trudem wybrnął z ciężkich tarapatów. Prawie dwa lata pozostawał w cieniu — któż w takiej sytuacji nie stałby się „nudnym, starym dziadem”. A teraz przygnębienie prysło — mur odgradzający go od bystrego nurtu życia rozpętał się i Crosby — z wyzwoloną energią — rzucił się w najgorętszy wir. Dwoił się i troił. Z samolotu do samochodu — z samochodu do samolotu. Kursował między Tachikawą a Okinawą, Tokio a Seulem, Jokohamą a Tegu. Instruował i kontrolował, wydawał rozkazy i wysłuchiwał raportów,

przeprowadzał lustrację ukrytych głęboko pod ziemią magazynów i przemierzał korytarze i sale podziemnych laboratoriów. Mikey — o tyle lat młodszy — opadał z sił, zasypiał w drodze, czerwonymi z niewyspania oczami wpatrywał się w mrok nocy i jasność dni. A Crosby, jakby zapomniał o śnie i wytchnieniu, zawsze wesoły, ożywiony, trącał swego adiutanta ramieniem i huczał mu wprost do ucha:

— Nie śpij, Mikey, jak tak dalej pójdzie, to całą wojnę prześpisz.

Mikey mrugał zaognionymi powiekami, kiwał nieprzytomnie głową, zażywał niesamowite ilości białych, żółtych, brunatnych i różowych pigułek i był szczęśliwy, gdy szef po kolejnej inspekcji odsyłał go, by się przespał, a sam z kolegami szedł do kasyna pokrzepić ciało i ducha.

Pośpiech pułkownika był zrozumiały. Na naradzie u naczelnego dowódcy ustalono, że akcja „su-prop“ rozpocznie się w drugiej połowie listopada. Będą to najpierw pojedyncze, sporadyczne loty o stopniowo zwiększonej częstotliwości zrzutów. W styczniu zaś trzeba będzie wprowadzić do akcji samoloty startujące z baz w Południowej Korei, aby zapoczątkować akcję na szeroką skalę. Crosby — odpowiedzialny za całość — musiał się o wszystko zatroszczyć, o przygotowanie obsługi naziemnej, o zwiększenie sieci specjalnych magazynów w bazach, wytypowanie lotników, którzy pójdą na pierwszy ogień, i instruktorów, którzy umiejętnie, nie budząc w ludziach niechęci — dowództwo obawiało się tego mimo wszystko — wyjaśnią załogom samolotów cele i metody wojny bakteriologicznej. Trzeba było także dopilnować, aby laboratorium

pomocnicze w bazie Tachikawa przygotowało odpowiedni zapas bomb, aby każdy ładunek był sprawdzony.

Gorączkowa działalność i napięcie nie przeszkadzały Crosby'emu używać życia. Wykorzystywał każdą wolną chwilę, by spędzić ją w gronie starych kolegów, w klubach i oficerskich kasynach, przy kieliszku, na parkiecie, w ramionach jasnowłosych, zgrabnych dziewcząt, których smukłą linię podkreślały zielone mundury żołnierskie. Chciał powetować sobie dwuletni post. Po udanej inspekcji czy naradzie, czekając na samolot, który miał go odwieźć do następnej bazy, śpieszył ze starymi kompanami do kasyna. Czasami tam kończył oficjalną rozmowę.

Toteż szczerze się ucieszył, gdy w Tegu, gdzie miał omówić sprawę siatki wywiadowczej z odkomenderowanym do jego dyspozycji jednym z, szefów G-2, przekonał się, że człowiekiem tym był pułkownik Dodge, przyjaciel, z którym, niejednym razem wspólnie przepracował. A i Dodge nie mniej się ucieszył. W niepamięć poszły już przedawnione spory, kiedy jeden drugiemu sprzątał przed nosa filipińskie plantacje na które obaj mieli taki sam apetyt. Stare sprawy po latach niewidzenia nie odgrywały roli — zwłaszcza że ostatecznie obaj pozalaćwiali swoje interesy nienajgorzej.

Po konferencji w zacisznym gabinecie Dodge'a postanowili uczcić spotkanie. Crosby zwolnił Mikeya do następnego dnia i wraz z Dodgem pojechał do lokalu niezbyt wielkiego, ale za to dostępnego jedynie dla wyższych oficerów amerykańskich. Jechali otwartym samochodem. Crosby znał Tegu tylko pobieżnie. Jeszcze przed wojną był tu raz

przez dwa dni i pamiętał gwarne uliczki tego starego miasta, ciche, zanurzone w przepychu zieleni świątynie pamiętające czasy, kiedy przodkowie Crosby'ego nawet nie mogli sobie wyobrazić, że istnieją gdzieś na świecie rozległe ziemie, które w wiele lat później nazwano Ameryką. Ostatnio był w Tegu dwukrotnie, ale za każdym razem brakło mu czasu na wysunięcie nosa poza bazę bombowców. Z tym większym zainteresowaniem przyglądał się miastu. Ale nic nie przypominało tu tego, co utkwilo mu w pamięci z wizyty przed wojną. Wspaniałe ogrody świątyn otoczone były zasiekami z drutów kolczastych, wzdłuż których wolnym krokiem i ze znużoną miną przechadzali się barczyści chłopcy w białych hełmach i z opaską MP na rękawie. Zresztą zieleni była przetrzebiona, wiele drzew wyciągało ku niebu zwęglone ramiona konarów, a zamiast świątyn sterczały opalone ruiny. Wzdłuż ulic ciągnęły się szkielety domów tu i ówdzie przetykane ocalonymi budynkami. Za to pełno było kramów i kramików, z których na widok lepiej odzianych przechodniów wyskakiwali smagli sprzedawcy, uniżenie kłaniali się przechodzącym amerykańskim żołnierzom, proponując nabycie autentycznych starożytności lub zakosztowanie rajskich rozkoszy w specjalnym lokalu.

Crosby skrzywił się na ten widok. Dodge zauważył to i wyjaśnił:

— To jeszcze z czasów, kiedy tu byli czerwoni. Nasi lotnicy rozbebeszyli miasto jak się patrzy. A teraz nikt tego nie odbudowuje. Nas to nie obchodzi, tubylcze władze wolą kraść i handlować za pieniądze z rzadka przeznaczone na budownictwo.

Crosby skinął głową na znak, że rozumie.

— To złodziejska banda — mruknął.

— A żebyś wiedział! — zaśmiał się Dodge. — Już ja ich znam. Tyś siedział w Japonii. Żółci, bo żółci, ale tamci to jeszcze trochę nawachali się cywilizacji, a tu... — rozłożył ręce, jakby wyrażając bezradność. — Przypomina mi się banda Czanga — zaklął. — Myśmy im posyłali pieniądze, żeby bili komunistów, a oni kradli. I tu to samo.

— Przekłęte mały — syknął Crosby.

— Mhm. Wiesz — roześmiał się Dodge — miałem tu ostatnio świetną historię. W jednej ze szkół dla lotników koreańskich pułkownik, dowódca szkoły, sprzedał na lewo miesięczny przydział benzyny. Cały miesiąc nie mogli latać. Dostaliśmy meldunek, chcieliśmy aresztować tego łobuza, ale ich seulscy ministrowie zaprotestowali. Pułkownik był bratem jakiegoś polityka i musieliśmy aferę zatuzować.

Samochód zatrzymał się. Od razu obskoczyło go kilkadziesiąt małych postaci w łachmanach. Drobne, porośnięte brudem ręczki wyciągnęły się w stronę przybyszów. Jakiś malec łamaną angielszczyzną wybąkał:

— Mister... I... hungry¹.

Zawtórował mu żaloszny, dziecięcy chór. Crosby skrzywił się z niesmakiem. Dodge krzyknął głośno. W tej samej chwili od ściany jasno oświetlonego domu oderwały się dwie postacie policjantów koreańskich. Mignęły białe kauczukowe pałki. Rozległ się płacz. Trwało to chwilę. Droga do „Air Club“ została oczyszczona. Tylko nieco dalej — poza zasięgiem policyjnych pałek — snuły się pochlipujące cienie.

— Tu musisz się do tego przyzwyczać — powiedział z przekąsem Dodge. — Głodnych jest do cholery. Umierają jak muchy. Ostatnio musieliśmy wydzielić nowe tereny pod cmentarz dla ubogich. Reszta nas nie obchodzi.

Crosby wzruszył ramionami dając do zrozumienia, że jego też te sprawy nie obchodzą.

Weszli do restauracji. Zajętych było zaledwie kilka stolików. W głębi sali za wątlymi kolumnami połyskiwał barwnym szkłem butelek pusty jeszcze o tej porze bar. Smagłolicy kelnerzy w białych kurtkach bezszelestnie śmigali między stolikami, zastawionymi wzgórzami talerzy, spośród których wystrzelały w górę wierzchołki butelek i kratery kieliszków. Przy jednym z takich stolików, na uboczu, zajęli miejsce Crosby i Dodge. Kierownik sali — widocznie jakiś przedsiębiorczy barman lub właściciel dogorywającej knajpki z Kansas City, który poczuł w odpowiedniej chwili podmuch sprzyjającego wiatru i przeniósł się czym prędzej do dalekiego Tegu — skłonił czerwoną twarz nad nowoprzybyłymi gośćmi.

— Jak się masz, Bill — Dodge poklepał grubasa po łopacie. — Zatrósz się o nas, jesteśmy głodni...

— Spragnieni — wtrącił grubas Bill.

— Naturalnie. Widzisz Bob — Dodge trącił Crosby'ego — jeszcze tu ciebie nigdy nie widzieli, ale poznali się na tobie. Nasz Bill to tele... tele...

— Telepata, pułkowniku — dopomógł grubas gościowi.

Zakąski i wódkę zamówiono bez dłuższych namysłów. i równie szybko znikły, jak zostały przyńsione. Tymczasem lokal zwolna się zapełniał.

Dżuma II

— Smutne tu mamy życie — westchnął Dodge. — Tutejsze kobiety są niezbyt ciekawe, wolę Japonki, przynajmniej bardziej wyrafinowane. A te trochę dziwek, które w patriotycznej pogoni za dolarem przyjechały tu ze Stanów, albo nic nie warte, albo obstawione i trzeba się zapisywać w kolejce.

Crosby chciał coś odpowiedzieć, ale w tej samej chwili ujrzał zgrabną, ciemnowłosą dziewczynę o twarzy jakby wyrzeźbionej z kości słoniowej. Nad kształtnym, odrobinę przyplaszczonym u nasady noskiem zbiegały się dwie cienkie, czarne linijki brwi. Wargi lekko wydęte i nieco rozchylone wyrażały ni to obojętność, ni to pogardę. Dziewczyna miała oczy zwięzione, zakończone ostro u wypukłości policzków i patrzyła przed siebie jakby w pustkę.

— Phiu-u — gwizdnął cichutko Crosby. — Szukowna mała. Kto to jest?

Dodge uśmiechnął się obleśnie, koniuszkiem języka oblizał wargi, wypił kieliszek ginu i westchnął:

— To córka jednego z najwybitniejszych miejscowych przemysłowców. Ostatnio jest kochanką tego małego Koreańczyka, który idzie za nią. Musiałeś o nim słyszeć. No tak, sam ci nawet o nim mówiłam, to właśnie generał Joe — jak my go nazywamy — szef wywiadu u tej małpy Syngmana Ree.

— O! — mruknął Crosby. — Musisz nawiązać z nim bliższą współpracę, a i ja chętnie bym go poznał.

— Jego czy ją? — ze źle maskowaną ironią zapytał Dodge.

— Jedno i drugie — sucho odparł Crosby.

Niski Koreańczyk, o którym była mowa, przechodził właśnie obok ich stolika. Dodge pochylił się ku przodowi, uniósł dłoń w powitalnym geście i zawołał:

— Hallo, Joe!

Koreańczyk zatrzymał się, uśmiechnął do Dodge'a, nieufnym spojrzeniem — trwało to ledwie mgnienie oka — ogarnął Crosby'ego i dopiero wtedy się uklonił.

— Siadaj przy nas, Joe, miejsca mamy dość. Pułkownik Crosby jest tu przejazdem.

Na dźwięk nazwiska Koreańczyk drgnął i pokiwał głową. Potem spojrzął na przyjaciółkę, która zatrzymała się kilka kroków dalej, i zaprosił ją do stolika. Ceremonia powitalna nie trwała długo.

Crosby — choć mu to było nie w smak — musiał zadowolić się sąsiedztwem koreańskiego generała. Dobrze przynajmniej, że dziewczyna, do której Dodge zwracał się „miss Mary“, zajęła miejsce vis a vis i mógł obserwować jej piękną i interesującą twarz. Ale generał Joe nie dawał mu po temu zbyt wiele możliwości, a Dodge starał się zainteresować dziewczynę swoją osobą i bez ustanku opowiadał jej wesołe historyjki, z rzadka wywabiając uśmiech na jej usta.

— Cieszę się, że pan nareszcie zawitał do nas — mówił generał poprawną angielszczyzną, patrząc prosto w oczy Crosby'ego. — Przypuszczam, że nieprzypadkowo.

Crosby uniósł brwi wyrażając zdziwienie. Generał zdawał się tego nie widzieć.

— Ludzie tacy jak pan — ciągnął generał — są teraz bardzo potrzebni mojemu krajowi. W tragicznych wypadkach, jakie za przyczyną komunistów

zachodzą na tym nieszczęsnym półwyspie, pańska pomoc i współpraca mogą mieć doniosłe znaczenie.

„A to stary lis! — przemknęło przez myśl Crosby'emu. — Musiał już gdzieś coś niecoś zwąchać.“

Ale nie okazał, co myśli.

— Czy pan aby nie przesadza, generale?

Generał Joe pokiwał głową, jakby mówił: po cóż to udawanie, drogi panie, i tak się na nic nie zda.

— Strefy przemysłowe reprezentowane przez pana, *dear colonel*, nie mają zwyczaju kierować swoich wybitnych — słowo to wyrzekł ze szczególnym naciskiem — przedstawicieli przypadkowo. Zresztą generał Smuthers, z którym współpracowaliśmy jeszcze w latach trzydziestych i po tej nieszczęsnej historii w Pearl Harbour, podobnie jak brat pański, mister George William Crosby, którego znam jeszcze z okresu, kiedy interesował się przetruceniem taniej siły roboczej do pewnych kopalń... — nie dokończył zdania. — Tak, tak, sprawy są zbyt poważne.

Crosby postanowił go osadzić. Rzucił mu ostre spojrzenie.

— Nie sędzę, byśmy tu mogli omawiać tego rodzaju sprawy — powiedział zimno.

Generał nie dał po sobie poznać, czy bardzo dotknęły go nieuprzejme słowa Amerykanina. Crosby jednak sam się zreflektował i korzystając z tego, że Dodge i dziewczyna poszli tańczyć, pochylił się do generała.

— Pułkownik Dodge otrzymał już odpowiednie instrukcje i porozumie się z panem w pewnych sprawach.

Generałowi błysnęły oczy.

— Niech pan pamięta, generale, że liczę specjalnie na pańską pomoc. Pracy — roześmiał się hałaśliwie — uprzedzam, będzie bardzo dużo.

Generał Joe napełnił kieliszki. Pary wracały z parkietu. Dodge ciężko stąpał za wiotką dziewczyną. Crosby podniósł się na jej powitanie i gestem pełnym kurtuazji podał kieliszek.

— Pani zdrowie, miss Mary.

Dziewczyna z iście królewską gracją skłoniła głowę.

Następny taniec przypadł w udziale Koreańczykowi. Kiedy generał i dziewczyna wstali od stolika, Crosby mruknął do Dodge'a:

— Kuta bestia z tej koreańskiej małpy. Musisz go mieć na oku, żeby cię nie wystrychnął na dudka. Ci Azjaci są bardzo przebiegli.

— Mam go na oku — odparł Dodge. — Nic w jego aparacie nie dzieje się bez naszej wiedzy. A skoro zaczniesz coś robić w naszej sprawie, sam będę wścibiał nos we wszystko. Kupić kilku jego zaufanych można bez większych kosztów. Ta mała zresztą też może się na coś przydać — zmrużył filuternie oko. — Nie tylko na to, o czym ty myślisz, stary rozpustniku.

Po którymś tańcu Crosby wylądował z dziewczyną w barze. Siedzieli na wysokich, chybotliwych stołkach i powoli sączyli coctail, który Crosby'emu przypominał studenckie lata i pijatyki w małych music-hallach. Przysunął się bliżej do dziewczyny. Potem oparł rękę na jej biodrze. Nie zareagowała. Zachęcony jej milczeniem, Crosby zbliżył twarz do jej lśniących, gładko zaczesanych

nad uszami włosów. Wtedy dziewczyna spojrzała mu w twarz i mrużąc oczy zapytała:

— Czy pan jest przełożonym Joe?

To pytanie podziało otrzeźwiająco na Crosby'ego. Pomny przykrych doświadczeń w Tokio, opanował się. Znów był zimnym, dalekim, zamkniętym w sobie, pełnym poczucia wyższości pułkownikiem Crosby.

— Dlaczego przyszło to pani na myśl? — zapytał z udanym zdziwieniem.

Dziewczyna pogroziła mu palcem.

— Nie należy pan do ludzi szczerych. Zresztą, co mnie to obchodzi? I pan, i Joe, i wy wszyscy — Crosby'emu wydało się, że dziewczyna zaczyna mówić pod wpływem alkoholu. — Wam chodzi tylko o własną skórę, a ja... ja mam wyższe cele. Kiedy bolszewicy weszli do Korei, nasi chłopci podnieśli bunt. Chcieli zabić mojego ojca, a moja pokojówka wypędziła mnie z własnego domu. Gdybym miała waszą siłę, to bym ich po prostu zadusiła. A Joe nie pozwala mi nic robić. Myślałam, że może pan...

Crosby dmuchnął przed siebie kłębem dymu z papierosa.

— Zobaczymy, miss Mary, zobaczymy — powiedział i objął ją wpół. — Na razie chodźmy za tańczyć.

Kiedy po pewnym czasie wrócili do stolika, generał Joe siedział blady z ponurą twarzą. Powiedział kilka słów po koreańsku do dziewczyny. Oboje wstali, pożegnali Amerykanów i odeszli. Crosby odprowadził ich wzrokiem.

— Ale był wściekły! — zaśmiał się Dodge. — Zazdrosny jest o tę małą jak sto tysięcy czartów.

Drży ze strachu, że mu się puści z jakimś amerykańskim oficerem, mając dość ojczystego smrodu...

Crosby słuchał go z roztargnieniem. Myślał teraz zupełnie o czym innym. Wyobraził sobie, co by to był za skandal, gdyby się zjawił nagle w Nowym Jorku z tą koreańską dziewczyną. Prawdopodobnie wszyscy ludzie z towarzystwa zamknęliby przed nim drzwi. Musiałby zamieszkać gdzieś w dzielnicy murzyńskiej... Br... Aż mu się zimno zrobiło. Też pomysły. Dziewczyna warta grzechu, ale...

— Słuchaj, Dodge — powiedział do przyjaciela. — Jutro zainteresuj się tą małą. Być może, będę miał dla niej odpowiednią robotę.

— No, no! — pokiwał głową Dodge. — Jednak podbiła twoje serce.

— Nie o to chodzi. Takie dziewczę przyda się nam na przykład... Zresztą, najpierw dowiedz się wszystkiego, a potem pogadamy. Pamiętaj każdy szczegół biografii sprawdzić. A z tym jej generałem bądź ostrożny. I od jutra weź go w obroty. Niech przygotuje ludzi.

4

Gruba warstwa linoleum tłumiała odgłos kroków. Ciszę podziemnego korytarza maćił jedynie szelest obracających się bez ustanku, szeroko-skrzydłych ramion wentylatorów. Zwisaly niby kandelabry z sufitu muskając lekkim wietrzykiem z rzadka przechodzące, białe ubrane postacie. Korytarz był szeroki, prosty — uchodził w dal poły skując białe lakierowanymi drzwiami. Nad niektó-

rymi jarzyło się czerwone światełko. Ostrzeżenie: wstęp wzbroniony.

W odległym końcu korytarza niby nieme rzeźby stali dwaj żołnierze. Wyglądali jak wyciosane z ciemnego kamienia bryły, umieszczone tu w olśniewającej bieli dla kontrastu. Bez słowa sprawdzili przepustki. Potem jeden z nich odstąpił dwa kroki ku ścianie, nacisnął guzik. Z cichym zgrzytem podniosły się kute drzwi otwierając widok na niewielką niszę. Gdy dwaj mężczyźni w białych fartuchach weszli do niej, wartownik nacisnął drugi guzik. Drzwi opadły.

Dźwig bezszelestnie ześliznął się na głębokość trzydziestu metrów. Jeden z biało ubranych opuścił rygiel.

W otwartych drzwiach dźwigu ukazała się barczysta postać żołnierza. Znów sprawdzenie przepustek. Teraz obaj mężczyźni znaleźli się w skąpo oświetlonym, betonowym korytarzu. Echo ustokrotniało odgłos ich kroków. Szli szybko, w milczeniu, aż do zakrętu, za którym zaczynał się taki sam korytarz, tylko lepiej oświetlony i przecięty dwiema parami równoległe biegnących szyn.

— Od czego zaczniemy, pułkowniku? — zapytał niski mężczyzna o twarzy ukrytej za okularami w grubej, czarnej oprawie.

Jego towarzysz zdawał się nie słyszeć pytania. Rozejrzał się uważnie dokoła, podszedł do rozwidlenia torów, czubkiem buta postukał w szynę.

— Ile metrów skały nad nami? — zwrócił się wreszcie do niskiego.

— Czterdzieści siedem i dziewiętnaście gliny.

— Tak. A ile wyciągów możemy uruchomić równocześnie?

— Cztery.

— To mało, no ale jakoś damy radę. Czy wszystkie magazyny są dostatecznie zabezpieczone?

— Absolutnie.

— A obsługa przeszkolona?

— Zarówno nasza stała, jak i rezerwa, którą przysłano nam ostatnio.

— To dobrze, doktorze Otomura. — Pułkownik Crosby z zadowoleniem skinął głową. — Okazało się, że jest pan nie tylko doświadczonym bakterio-
logiem...

Otomura skrzyżował ręce na piersiach i pochylił się wyrażając swą wdzięczność za słowa uznania.

— Jestem jedynie wykonawcą pańskich rozkazów, pułkowniku. — odrzekł półgłosem.

— O, pan jest skromny, drogi przyjacielu — zaśmiał się hałaśliwie Crosby. — Nie tylko wykonawcą, lecz również inspiratorem w wielu wypadkach. No tak. Może obejrzymy niektóre magazyny. Czy ma pan zapas bomb „VT“?

— Mamy. Niezbyt wielki, ale mamy.

— A co będzie z uzupełnieniem?

— Czekamy tylko na transport zbiorników. Ładunku mamy pod dostatkiem. Personel do ładowania zbiorników nudzi się.

— To nie potrwa długo, mister Otomura. Teraz to już nie potrwa długo. Za kilka dni zacznie się tu taki ruch, że nawet pański iście wschodni spokój pryśnie. Baza Tachikawa musi zaopatrzyć wszystkie punkty, musi dostarczyć ludzi... Aha, zapomniałem panu powiedzieć, że jutro przybędzie grupa żołnierzy na przeszkolenie.

Otomura nic nie odpowiedział. Jego twarz zachowała kamienny wyraz obojętności. Bez słowa ruszył naprzód. Crosby poszedł za nim. Przechodzili z magazynu do magazynu. Czasami Crosby zadawał pytania. Otomura odpowiadał na nie krótko, lakonicznie. Palcami obciążonymi cienkimi, gumowymi rękawiczkami dotykał czarnych wybruszeń bomb, objaśniał zasadę działania. Niekiedy zatrzymywał się, wyciągał z kieszeni kawałek kredy i na lśniącym lakierze bomb kreślił schematy i szkice uzupełniając swe wyjaśnienia. Crosby nie wszystko pojmował. Szczegóły techniczne interesowały go dotąd mniej. Toteż z uwagą przysłuchiwał się wywodom specjalisty.

— A jaki typ będzie według pana najlepszy? — przerwał Otomurze.

— Trudno przewidzieć — odparł zapytany. — Praktyka pokaże, czy lepsze są szczury, czy też owady, a może czyste kultury bakterii. Moi zdaniem najmniej pewne jest rozpylanie. A co do typu bomb... zobaczymy. Nie mamy zbyt wielkiego doświadczenia. W porównaniu z tym, do czego wyście doszli, nasze sukcesy w opanowaniu broni bakteriologicznej równają się niemal zeru. Porcelanowe jajko Isii Siro w zestawieniu z amerykańskimi bombami, pułkownika, nasuwa porównanie topora kata wykonującego publiczną egzekucję przed kilkuset laty z elektryczną gilotyną obcinającą dziś głowy z szybkością karabinu maszynowego.

Crosby zarechotał. Uznanie Otomury mile polechtało jego ambicję. Ten Japończyk ma rację, Amerykanie wyprzedzili cały świat. Pomny jednak, że ma do czynienia z człowiekiem łasym na pochwały, oświadczył uroczyście :

— I pańska w tym zasługa, doktorze, i pańskiego przyjaciela generała Isii Siro. Sporo mamy do zawdzięczenia naszym wczorajszym przeciwnikom. Rzecz jasna, że badania amerykańskich uczonych w tym kierunku były daleko posunięte, ale pomoc i doświadczenie takich współpracowników jak pan — pochylił głowę w ukłonie — przybliżyła w poważnej mierze praktyczne zastosowanie tej cudownej broni.

Po tej wymianie grzeczności wrócili do rozmowy zasadniczej. Crosby przeprowadził lustrację wszystkich magazynów, rozmawiał z niektórymi kierownikami laboratoriów, poczęstował papierosem ponurego porucznika, dowodzącego wartą przy magazynach z naładowanymi bombami, i zapewnił go, że w niedługim czasie pomoże mu „zmienić powietrze.“

— Tachikawa to przekłeta dziura, pułkownika — oświadczył mu ponury porucznik. — Ani się zabawie, ani nic. Wolałbym już gnić gdzie indziej.

— Dobrze, chłopie — obiecał Crosby klepiąc porucznika po ramieniu. — Mam dla ciebie na oku посадkę, gdzie się nieźgorzej zabawisz i coś niecoś użyjesz życia. — A z tymi parszywymi pluskwami co zrobimy? — porucznik kciukiem pokazał za siebie, gdzie ustawione rzędami na półkach bomby wypinały błyszczące brzuchy.

— To... — Crosby zmrużył oczy. — To, poruczniku, tajemnica wojskowa, ścisła, bardzo ścisła tajemnica.

Potem już na górze, zegnając się z Otomurą, Crosby podał mu grubą, zalakowaną kopertę.

— Tu są tajne instrukcje. Niech pan pamięta, doktorze, od dokładnego ich wykonania zależy

bardzo dużo. Jak dotąd nie zawiódł pan naszego zaufania, a w Camp Detrick czekają na pana. Mam nadzieję, że na początku przyszłego roku obejmie pan już specjalnie dla pana zarezerwowane laboratorium. Nasi uczeni radzi będą powitać pana w swoim gronie jak najprędzej. A więc... — uścisnął szczupłą dłoń Japończyka. — Niech pan dokładnie zapozna się z instrukcją. Nie chciałbym, aby się powtórzył casus Fukudy. — Po twarzy Otomury przemknął grymas.

— Gdybym go spotkał,.. — wycedził, a palce zagięły mu się na kształt szponów.

Crosby nie dał mu skończyć zdania.

— Zapewniam pana, mister Otomura, że ja zrobiłbym to samo — powiedział głucho i zmieniając błyskawicznie ton dodał: — A więc proszę pamiętać: ostrożnie i dokładnie. Zwłaszcza teraz.

ROZDZIAŁ II

1

Czo Bon Gi nie mógł usnąć. Przez nieprzeniknioną ciemność izby spoglądał w stronę szczelnie zasłoniętych drzwi. Irytowała go teraz i ta ciemność, i chrapanie ojca przerywane suchym, starym pokasływaniem, i ciężki oddech matki, i wiercenie się małego braciszka na posłaniu. Popatrzył na fosforyzujące wskazówki zegara. Dochodziła pierwsza. Za parę godzin wyruszy w drogę. Jest ich we wsi czterech szczęśliwców, którym powiodło się, i oto o świcie pójdą do Sunczonu, aby nareszcie otrzymać upragniony żołnierski mundur i broń — wymarzoną broń — do ręki. Nie, nie moż-

na spać w taką noc, kiedy człowiek jest już myślami daleko od rodzinnej wsi i ojcowskiej chaty, gdzieś na linii tryskającej ogniem, w nawałnicy artyleryjskich kanonad, w wirze zaciętej walki.

Ostrożnie, aby nie zbudzić młodszego brata, podniósł się z posłania, ubrał się po omacku, naciągnął grube skarpety i wyszedł do sionki. Tu włożył stare, wysłużone buciory i starając się, aby skrzywienie zardzewiałych zawiasów nie zmaćciło snu najbliższych, wyskoczył na podwórko.

Wysoko na niebie migotały zimne, dalekie gwiazdy. Chwilę stał w miejscu czekając, aż oczy zaczną rozróżniać kształt przedmiotów. O tu, obok, stoi duża kadź z wodą, z wieczora napełnił ją po brzegi. Tam w kącie podwórka leżą wysokie sęki drzew narąbanych przed odjazdem. Coś ścisnęło mu serce. Jakże oni, staruszkowie, dadzą sobie radę bez niego? Matka, gdy przed pięciu dniami zjawiała się listonoszka z zawiadomieniem, że Bon Gi ma się stawić niezwłocznie przed komisją lekarską, pogłaskała go spracowaną dłonią po opadających niesfornym kosmykiem na lewe oko, czarnych włosach i nie powiedziała ani słowa. Ojca nie było wtedy w domu. Wieczorem, gdy Bon Gi wrócił rozpromieniony z miasta, rodzice i braciszek siedzieli na wysokim ganku. Twarz syna mówiła więcej niż słowa. Ojciec, zawsze zgryźliwy i zasepiony, pokiwał głową, chwycił palcami rzadkie, siwe włosy na brodzie i zgarbił się. Matka tak dobrze od najmłodszych lat znanym gestem oznaczającym zdenerwowanie zaciągnęła mocniej węzeł chustki nad czołem. Tylko braciszek, mały, siedmioletni Pha, rzucił się na spotkanie i podnieconym szepcieniem wypalił wprost do ucha:

— Idziesz, idziesz...

Ojciec wstał, przesunął leżące obok żarna i po chwili odezwał się półgłosem:

— Idziesz... to dobrze... Tylko uważaj, żebyś mi wstydu nie przyniósł. — Szybko zzuł buty i wszedł do chaty.

Matka poczekała, aż Bon Gi zbliży się do niej, dotknęła koniuszkiem palca jego przybrudzonej, białej koszuli i szepnęła:

— Uważaj na siebie, synku. Ty trzeci...

Stojąc teraz w mroku i ciszy nocy rozmyślał Czo Bon Gi o tamtej scenie. Nie łatwo było pogodzić się rodzicom z myślą, że teraz już trzeci syn odchodzi na front, tam gdzie giną ludzie. Musiało im być tym trudniej, że wiadomości od starszych synów nie przychodziły od dłuższego czasu. I mimo to nie powiedzieli mu ani słowa, kiedy pisał podanie o przyjęcie do wojska jako ochotnika. Kazali jeszcze dopisać, że rodzice potrafią sami wykonać wszystkie prace w polu. Ojciec nawet pi-semko wziął od sekretarza partii, że zmobilizowanie syna nie przeszkodzi gospodarce rodziny Czo, i kazał dołączyć je do podania.

— Niech to przeczytają, może nie odmówią — mruknął.

Czo Bon Gi wiedział doskonale, że za tą udaną oschłością i skąpymi półsłówkami ojciec ukrywa troskę o niego, strach o tamtych, że nie piszą, serdeczność, której się wstydzi i boi, by nie dała o sobie znać wybuchem smutku. Wczoraj ojciec nie opuszczał go ani na krok, chodził za nim jak cień, gdy kończył zwózkę ryżu, naprawiał na wpół urwane drzwi do obory dla wołu, nosił wodę do kadzi. A przed snem nakazał:

— Obudzisz mnie, pójdę cię odprowadzić.

Bon Gi obszedł prostokąt podwórka otoczonego zabudowaniami i glinianą ścianą. Jakby chciał jeszcze raz zamknąć w sercu jego dobrze znany kształt i zapach, po czym wyszedł na drogę. Widział rozplywające się w mroku cienie zabudowań stłoczonych między pagórkami, słuchał, jak szumią listowiem cedry i topole. Wszystko to było bliskie, związane z każdym dniem, z każdą chwilą osiemnastu lat życia. Tam jest chata starego Kima, któremu japońscy okupanci zamordowali córkę za to, że jej narzeczony poszedł do partyzantów. Bon Gi nie widzi domu ukrytego w głębi prostokątnego dziedzińca, ale zna każdy jego szczegół. Pamięta, jak po wyzwoleniu stary Kim z synem rozwalali glinianą lepiankę i na jej miejscu budowali nowy dom, jak zmieniało się oblicze wsi w miarę bogacenia się chłopów po reformie rolnej. Ich chata też była kiedyś nędzną budą — a teraz mają przestronny dom z trzech izb i obejście, i...

Chciwie wpatrywał się w kontury zabudowań. Wieś niewiele ucierpiała dotąd od amerykańskich nalotów. Parę domów spalili lisymanowcy podczas krótkotrwałej okupacji. Kilka padło pod bombami zrzuconymi wiosną raczej przypadkiem niż celowo. Widocznie wracające z nieudanej wyprawy samoloty chciały się pozbyć ładunku i tylko dlatego zrzuciły bomby na wioskę. Tego nawet nie można nazwać bombardowaniem, ani zniszczeniem, zwłaszcza w porównaniu z sąsiednimi wioskami i najbliższą okolicą Sunczonu, gdzie kamień na kamieniu nie pozostał. Ale kto wie, którego dnia, której nocy amerykańskie sępy rzucają się na ich wioskę. Przecież od kilku tygodni noc w noc sły-

Dżuma II

chać odległe, głuche detonacje i daleko za pagórkami niebo rozkwita czerwienią łun. Wczorajszej nocy znikła wioska Singuri. Mała i bezbronna jak rodzinna Somion. Może dziś kolej na nich?...

Zapatrzył się przed siebie. Daleko w dole przebiegała szosa. Odgadywał jej trasę po migających raz po raz smugach świateł. Kiedy samochody wjeżdżały na pagórki, snop światła wbijał się w czarną powłokę nieba, potem nikił między drzewami, roztopiał się w blasku pędzących na spotkanie reflektorów. Wyglądało to bardzo groźnie i bardzo pięknie. Czo Bon Gi nieraz już obserwował to widowisko i zawsze marzył o nocy, której on na jednym z ciężarowych wozów pojedzie na południe, na front.

Spojrzał na zegarek. Jak wolno płynie czas! Żeby to już była piąta! Chciałby się spotkać przy dużej studni za komitetem ludowym z trzema towarzyszami, których też przyjęto do armii, i ruszyć w drogę. Najpierw do Sunczonu, a stamtąd — o, to już będzie tajemnica wojskowa.

Światła na szosie zgasły. Niemal wszystkie równocześnie. Gdzieś na odległych wzgórzach sucho klasnął wystrzał karabinowy. Czo Bon Gi uniósł twarz ku niebu nasłuchując. Warkot silników narastał z sekundy na sekundę. Wiatr przyniósł z sąsiednich pagórków jękliwy brzęk szyny. Zawtórował mu bliższy. Widocznie wartownik zbudził się z drzemki i sygnalizował uśpionej wsi zbliżenie się nieprzyjacielskich samolotów. Czo Bon Gi szukał na niebie ślizgających się gwiazd. Ciemność. Tylko ponury, głuchy, teraz już zupełnie bliiski warkot wdzierał się w uszy tępym odgłosem. Przelatywały tuż nad wioską. Musiało ich być co

najmniej kilkanaście. I warkot nie cichł — jakby samoloty zataczały kręgi nad ukrytymi w mroku chatami.

„Nalot... na nas...” — pomyślał Czo Bon Gi i z okrzykiem „*hangon!*”² rzucił się z powrotem ku swojej chacie. Ale zanim zdążył dobiec do bramy, przeraźliwy huk targnął powietrzem. Ziemia stanęła dęba pod nogami. Upadł na wznak, ale nie poczuł bólu, zerwał się natychmiast i odskoczył oślepiiony nowym wybuchem. Usłyszał przeraźliwy krzyk dziecka, potem słup ognia trysnął w czarną noc. Czo Bon Gi biegł ku swojej chacie ogłuszony piekielnym łoskotem. Stoczył się w ogromny lej, poszarpał odzież o ostre, jeszcze gorące od wybuchu kamienie. Z trudem wydostał się na wierzch. Ludzie pędzili przed siebie obłąkani z przerażenia. W blasku pożarów miały się czarne, krzyczące postacie. Ziemia strzelała w niebo fontannami grud. Jakieś dziecko pełzało drogą i cichutko skamlało. Czo Bon Gi chwycił je na ręce, przycisnął do piersi i wbił się w stłoczoną ciżbę przerażonych ludzi. Zamknął dziecko w ramionach jakiejś kobiety i uwolniony od ciężaru biegł dalej w stronę swego domu. I nagle usłyszał głos ojca:

— Ryż! Ratować ryż!

W powodzi ognia, w wichurze wybuchów biegli ludzie obładowani workami. Odnosili je dalej od domów, zrzucali przeważnie do świeżych lejów i wracali — ci, których nie ugryzł śmiertelnie odłamek bomby lub pocisk — wracali po nowe worki. Kres tej żmudnej pracy położyła bomba zapalająca. Gromadzki spichlerz stanął w ogniu. Strzelały suche, ryżowe ziarna rozsypując się niby iskry wyzwolone z płomiennego kotła.

Dżuma II

Czo Bon Gi zatracił poczucie czasu, przestrzeni, świadomości. Chwytał małe dzieci, te, w których jeszcze tliło życie, i te, którym zamarł na ustach ostatni jęk. Wycie silników i łoskot wybuchów zagłuszały płacz przerażonych kobiet. Domy znikwały w czeluściach ziemi grzebiąc tych, co nie zdążyli wyskoczyć lub odbiegli niezbyt daleko. Zresztą dokąd było biec? Śmierć runęła na wioskę jak ognista ulewa...

Gdy w niebie zamilkł złowróźbny warkot, gdy okaleczona i poszarpana ziemia przestała drżeć pod uderzeniami śmiertcionośnych tonowych taranów, rzucili się wszyscy ku studniom. Ale niewiele zostało do gaszenia. Zabudowania, których nie rozbiły bomby, spłonęły i tylko niektóre chaty na uboczu stały na swoim miejscu jak wpół złamane przez wichurę drzewa — przekrzywione, zgięte uderzeniem fali powietrznej. Swąd spaleniźny wżerał się w płuca, dusił, wgryzał się w rozpalone ze strachu i wysiłku oczy. Czo Bon Gi pobiegł na poszukiwanie rodziny, miotał się między kobietami tulącymi do piersi trupy maleństw, potraçał ludzi skamieniałych na progu popielisk, które jeszcze godzinę — dwie temu były ich ciepłymi, przytulnymi domami.

W pewnej chwili poczuł, że ktoś chwyta go za ramiona. Próbował wyrwać się z uścisku, ale powstrzymał go głos, którego szukał w chórze zawodzeń.

— Ojcze! — Objął starego i przycisnął się mocno do jego krępej postaci.

— Synu! — Głos ojca drżał, jego twarde ręce nagle zmiękły.

— Co z matką? — wyszeptał Bon Gi.

Ojciec nie odpowiedział, w oczach jego zaszklily się łzy. W gasnącej poświacie pożarów wyglądały jak grube, przejryste krople krwi.

Czo Bon Gi chwycił się palcami za gardło, ścisnął mocno, by stłumić łkanie. Ojciec mocniej ogarnął go ramieniem.

— I małego Pha zamordowali — wyszeptał.

Mały Pha! Zawsze roześmiany, ulubieniec rodziny i całej wioski! Jeszcze parę godzin temu Bon Gi czuł na posłaniu ciepło jego ciała — niespokojnego, rozgrzanego snem. A teraz...

Ojciec dotknął ręką ramienia Bon Gi.

— Która godzina?

Bon Gi machinalnie spojrział na zegarek. Zielone gwiazdki cyfr i kreski wskazówek intensywnie połyskiwały.

— Dochodzi piąta — szepnął.

— I już czas, synu, czas na ciebie — musisz iść.

— Dokąd? — Czo Bon Gi w pierwszej chwili nie zrozumiał, czego ojciec chce.

— Do Sunczonu — twardo odparł stary. — Zapomniałeś o swoim obowiązku.

Prawda! Przecież miał się stawić u komendanta wojskowego. Przecież został przyjęty do armii! Za kilka godzin ma się spełnić jego marzenie... Ale teraz... Czy może odejść teraz, od tych ruin, od tylu cierpiących ludzi, od tragicznie osamotnionego ojca? Ścisnął palcami skronie.

— Musisz już iść — powtórzył z mocą ojciec. — Twoje miejsce jest tam, a nie tu. Kto wie, ile wsi spłonęło dzisiejszej nocy, ile ludzi zginęło, ile ludzi w tej chwili oplakuje najbliższych. — Głos mu się załamał, ale trwało to krótką chwilę. — Idź, Bon

Gi, czas na ciebie. Nie pójdę z tobą, trzeba tu we wsi pomóc... A ty idź i pamiętaj, pamiętaj, że tu była wieś, tu żyła twoja matka, brat... Idź i pomścij, pomścij...

Czo Bon Gi pochylił się ojcu do kolan. Czuł, jak ręka ojca błądzi — osłabła i zwiotczała — po jego włosach. Ukradkiem wierzchem dłoni otarł załamane oczy, potem wyprostował się i spojrzał ojcu prosto w twarz.

— Idę. — Głos jego brzmiał głucho, słowa padały ciężko, jakby każde ważyło dziesiątki kilogramów. — Idę, ojcze... Zapłacę im — w gwałtownym przyływie gniewu zacisnął pięść i uniósł ją ku niebu — zapłacę za wszystko. Za nas i za innych.

Wyrwał się z objęć ojca i nie oglądając się pobiegł przed siebie, potykając się o kikuty wyrwanych drzew, szczątki domów, usypiska ziemi. Aż zatrzymało go nawoływanie :

— Czo Bon Gi, poczekaj, idziemy przecież razem. Tylko Han został... Na zawsze...

I dalej szli już we trójkę, w milczeniu, połykając łzy, których nie mogli powstrzymać, unosząc w sercach obraz tego, co zostało z ich rodzinnej, ukochanej wioski, dźwigając brzemie nieoczekiwanej tragedii, która spadła na nich w nawałnicy ognia i bomb.

W dole, przed zakrętem, zatrzymali się i obejrzeli jak na komendę. Łuny nad pogorzeliiskiem już nie było. Tylko czerwony odbłask przezierał między drzewami. Spojrzeli sobie w oczy. Jakby ślubowali. Trwało to krótko — tyle, ile trzeba, aby powiedzieć sobie w duchu „pomścimy”.

Szli dwoma szeregami po obu stronach drogi, tuż nad skrajem rowów oddzielających szarą wstęgę szosy od czarnych, pokrytych zeschniętymi grudami chłopskich pól. Mijali szczątki wsi, takich samych jak wsie, w których się urodzili. W odstępach dwugodzinnych zatrzymywali się na krótki wypoczynek. Wtedy siadali w rowach lub zwartą gromadą otaczali przygodnego sprzedawcę, który przy drodze pod matą rozpiętą na czterech tyczkach kiwał się sennie nad rozłożonymi na desce paczkami papierosów, stożkami wystygłych dawno kasztanów i rumianymi kulami jabłek. Czasem któryś z nich kupował jabłko lub zapałki, częściej jednak gromadzili się ot tak, bez myśli o kupnie, żeby trochę pogadać, rozpytać. Wycierali twarze wilgotnymi od potu ręcznikami, chcieli łykać dym papierosów i na głos komendy szybko ustawiali się znowu w dwa szeregi, by iść dalej.

Kurz — gęsty jak mgła, szary jak nie bielone płótno z chłopskich krosien, gryzący jak dym ogniska w wietrzną pogodę — pokrywał twarze brudną maską, wyglądając zmarszczki zmęczenia, wciskał się pod powieki sprawiając dotkliwy ból zaczerwienionym z niewyspania oczom, osiadał na zielonych żołnierskich bluzach fantazyjnymi smugami. Wiatr kołysał zatknięte za plecaki i na czapkach gałęzie, szeleszcząc więdnącymi liśćmi, Słońce, gorące i bezlitosne, na bezchmurnym niebie smagało promieniami podwajając ciężar plecaków i karabinów. Z rzadka mijały ich samochody — szybkie jak komety wlokące za sobą rozwichrzony

ogon pyłu. Zasłaniali wtedy nosy i usta dłońmi, chusteczkami, ręcznikami, brnęli poprzez gęstą mgłę szybkimi krokami, byle prędzej wyrwać się z tego piekielnego całunu.

Czasami zatrzymywali się na odgłos płynący z nieba — cienki, świdrujący uszy świst. Zadzierali w górę głowy i spoglądali na białe pasma wyrysowane w błękie. Rozszerzonymi z emocji oczyma obserwowali, jak pasma krzyżują się, kłębią, wzbijają wyżej i opadają. A gdy któreś z nich przekształciło się w ciemną smugę dymu zygzakami opadającą gdzieś za linie horyzontu, a część białych pasm wyslizgiwała się z kłębowiska śpiesząc na południe — na ich twarzach pod powłoką kurzu jaśniał uśmiech.

Zdarzało się inaczej — białe pasmo przekształcało się w czarny punkt z wyciem pędzący ku ziemi, olbrzymiejący z każdą sekundą, plujący ogniem dział lub czarnymi, wypadającymi spod brzucha cieniami bomb. Wtedy rozbiegali się pochyleni po polach, kładli w płytkich rowach i głębokich, gdzieniegdzie porośniętych już wszechwładnym zielskiem lejach. Tulili się do ziemi wciskając w nią rozognione twarze, gdy targała nimi gorąca fala powietrza. Potem czarny punkt lżejszy o kilka ton śmierci malał, kurczył się i szlak jego na niebie znów znaczyło białe, wełniste pasmo. Wtedy na sygnał zrywali się, wracali na drogę i zgniatając zębami przekleństwa szli szybko przed siebie. Na południe.

Trzeciego dnia marszu wyszli na główną szosę, na pagórek za samotnie sterczącym, wygiętym semaforem — jedynym śladem zmiecionej z powierzchni ziemi stacji kolejowej. W słońcu błysz-

czały srebrne linie torów. W ruinach domu — dwie ściany ślepyimi oczodołami okien spoglądające na północ i zachód — krzatali się ludzie w czarnych mundurach. Dźwięcznie huczały młoty. Jakaś grupa przyśpiewując dźwigała wykręconą szynę. Pozdrowili kolejarzy głośnymi okrzykami. Tamci nie przerywając pracy pomachali im rękami.

Za pagórkami szosa na przestrzeni kilku kilometrów biegła otwartym polem, nie osłonięta drzewami, równoległa do linii kolejowej. Ruszyli truchtem, żeby prędzej przeskoczyć gładki jak stół odcinek drogi. Potem równie szybkim marszem wspięli się na nowe wzgórze. Tu szosa przemykała się korytarzem przekopanym w szczycie wzgórza. Po obu stronach do brunatnych, gliniastych ścian przytuliły się małe lepianki. Jedne wysokości rosłego człowieka, inne sięgające ledwie do kolan, zakończone wyszczerbioną rurą, z której buchał dym. Na szosie kręcili się ludzie, dużo ludzi. Nawoływali przekupnie — mali chłopcy i małe dziewczęta — z zawieszonymi na brzuchu skrzynkami, które wabiły oko barwną mozaiką etykietek na papierosach. Przy ustawionych na rozżarzonych węglach kociołkach przechodnie łykali gorące, rumiane pierożki, w których przysmażana z pieprzem papka z kasztanów zastępowała mięsny farsz. Świadomość, że drażniące powonienie potrawy w smaku dalekie są od doskonałości, nie przeszkadzała nikomu. I zakurzeni, zmęczeni żołnierze chętnie by się zatrzymali właśnie tu, w tej gwarnej ciżbie, obok dymiących kociołków, w osłoniętym od wiatru, gliniastym korytarzu. Oba szeregi skupiły się teraz, w niepewności, otoczone rojem dzieciaków.

Ale dowódca nie zwolnił kroku, obejrzał się jedynie i głośno, aby go wszyscy usłyszeli, zawołał:

— Tam! — Ręką pokazał wylot gliniastego korytarza. — Tam Phenian!

Żołnierze usłyszawszy te słowa wyprostowali się, ten i ów strzepnął pył z bluzy, poprawił ramię plecaka. Szybko opuścili prowizoryczną wioskę, kierując się ku południowemu zboczu wzgórza. Droga opadała dość stromo w dół, skąd zakosami między polami i gromadami lepianek skręcała w stronę samotnie sterczącego komina. Tam zaczynały się przedmieścia Phenianu, a raczej tego, co zostało z Phenianu.

Teraz nikt nie czuł już zmęczenia, nikt nie potykał się i nie zostawał w tyle. Każdy chciał jak najprędzej znaleźć się w stolicy i ci, którzy pamiętali ją z dobrych, przedwojennych lat, piękną, zieloną od drzew przeplatanych ciemnoszarymi dachami starych domów i białymi ścianami nowych budowli, strzelającą w niebo pióropuszcami dymów licznych fabryk, tętniącą gwarem ulic, po których z brzękiem dudniły tramwaje, warczały autobusy, klaksonami ostrzegając nieuważnych przechodniów; i ci, co znali ją tylko z opowiadań i widokówek.

Czo Bon Gi idąc na czele prawego szeregu patrzył na otwierającą się przed nim panoramę ruin i lepianek. Wspominał. W Phenianie był tylko raz, krótko przed wybuchem wojny. Zabrał go wtedy na kilka dni brat — świeżo promowany oficer, przydzielony do jednego ze stacjonujących w stolicy pułków. Idąc teraz zakurzoną drogą wiodącą do Phenianu, Czo Bon Gi odbywał w myślach przechadzkę po tamtym wiosennym, utrwalonym na

zawsze w pamięci mieście. Dumny ze swego brata w nowiuieńkim jak z igły mundurze, siedł obok niego wystraszony nieustannym ruchem śródmiejskich ulic, wzdygał się, gdy nadjeżdżały samochody, stał na skrzyżowaniu alei Stalina, gdzie na skwerach pięknego parku bawiły się dzieci, gdzie hałaśliwa gromada ludzi tłoczyła się w kolejce przed kasami teatru. Potem siedł bulwarami nad Tedonganem, obok okazałych domów i przytulonych do nich, jakby zawstydzonych własną szpetotą, drewnianych domeczków o szarych, szerniałych dachach, wznoszących ku górze pomalowane na czerwono rogi. Rozszerzonymi z zachwytu oczami oglądał masywne, stare — pamiętające setki lat historii — bramy miejskie i lekkie altanki, w których dawno, dawno temu bawili się cesarze. Błąkał się w cienistych alejach Moranbonu, w milczeniu stał przed smukłą iglicą Pomnika Wdzięczności, którą wyzwolony lud wznosił ku czci zwiastunów wolności, bohaterów północnego kraju. Słyszał słowa brata:

— Od nich musimy się uczyć, jak żyć, jak walczyć.

Brat prowadził go przez ciasne uliczki przedmieść, z których znikwały rudery, aby ustąpić miejsca wysokim, zapatrzonym setkami okien w słońce domom robotniczym. Przystawali przed bramami fabryk, z których nie kończącym się tłumem wychodzili roześmiani robotnicy. Tańczyli na placach, gdzie na lśniących, mosiężnych trąbach przygrywały amatorskie orkiestry, gdzie powiewając barwnymi wstęgami wirowali chłopcy w takt rozedrganych bębnow.

Dżuma II

Ostry gwizdek wyrwał go z zamyślenia. Nie, to nie orkiestry grają do tańca. Przed nimi na wysokim cokole z cegieł pod drewnianym daszkiem wspartym o nie ociosaną, cienką belkę stał żołnierz wymachując na przemian czerwoną i brudnobiałą, a może brudnożółtą chorągiewką. Z trzech dróg spływał ku niemu ruch, a on jak dyrygent ujmował go w karby i skinieniem chorągiewek kierował w szeroką gardziel ulicy stanowiącej wejście do miasta.

Szli tą ulicą. Czo Bon Gi szukał w niej widoku czegoś znajomego. Daremnie. Lepianki i szopy przytulone do siebie i przedzielone polami kraterów, ziemianki dymiące nad krawędziami lejów, przekrzywione pale, na których kiedyś wspierały się dachy domów. Puste niemal kramiki, w których wiatr kołysze kilku zawieszonymi na sznurku ręcznikami, skrzynki wędrownych handlarzy oferujących papierosy i jabłka, okrzyki staruszek zachwalających znakomitą zupę, w której z trudem można wyłowić kilka ziarenek gaolianu*. Miejscami ulica zwężała się — to lepianki wygnane wybuchami uciekły z przeoranych bombami przestrzemi bliżej środka jezdni.

Podniosły nastrój towarzyszący im od chwili, gdy dowódca pokazał: „tam Phenian”, ustąpił miejsca ponurej zawziętości rosnącej w miarę, jak zagłębiali się w kłębowisko ruin. Za rozbebeszonym polem kraterów — gdzie lej zazębiał o lej — Bon Gi pomyślał: „Przecież tu właśnie było rojne targowisko miejskie”. Skręcili w lewo.

* *Gaolian* — roślina z rodziny traw uprawiana na Dalekim Wschodzie jako roślina zbożowa.

— Oddalamy się od śródmieścia — powiedział Czo Bon Gi do swego sąsiada.

Głośno warcząc wyminął ich zgrabny, płaski samochód. Trzy dziewczyny w mundurach posłały im uśmiechy. Ktoś głośno zażartował. Przed ziemiankami i lepiankami rozrzuconymi wśród kopców ziemi u stóp wzgórza, wzdłuż którego prowadziła ulica, bawiły się dzieci poganiając biczykami koślawe baki. Czarne czeluście tuneli osłonięte wałami z kamieni i gliny dopełniały widoku oblepionego ziemiankami wzgórza. Duże napisy obwieszczały, ile osób może pomieścić każdy schron, a obok na desce przybitej do na wpół spalonej belki wiatr szeleścił naklejonymi karykaturami, satyrycznymi malowidłami domorosłych artystów i afiszem zapowiadającym występy żołnierskiego zespołu pieśni i tańca w teatrze na górze Moranbon.

— To pewnie w tym teatrze pod ziemią — mruknął sąsiad Czo Bon Gi. — Czytałem o tym w gazecie.

— A ja kiedyś byłem na Moranbonie — westchnął Czo Bon Gi.

Obeszli wzgórze i zatrzymali się przed wartownikiem ukrytym w cieniu wątych drzewek. Dowódca coś powiedział wartownikowi, ten zagwizdał trzykrotnie. Żołnierze stali teraz w milczeniu, obserwując widoczną stąd sylwetkę ruin uniwersytetu na odległym wzgórzu.

— Żeby nie ta przekłeta wojna — powiedział jeden z żołnierzy — uczyłbym się tam.

Czo Bon Gi pomyślał, że to samo było jego marzeniem. Chciał przecież zostać architektem...

— Będziemy się uczyć — powiedział ni to do siebie, ni to do tamtego żołnierza.

— Jak? — Tamten splunął. — Wszystko zburzone...

— A my odbudujemy — odparł z powagą Czo Bon Gi. — Zwyciężymy, wywalczymy pokój i odbudujemy, A potem będziemy się tu uczyć.

Tymczasem do dowódcy przybyłego oddziału zbliżył się jakiś kapitan. Dowódca stanął na baczność i głośno zameldował:

— Podporucznik Jun Se Pień wraz z oddziałem melduje się na rozkaz!

Kapitan obejrzał żołnierzy, uśmiechnął się do nich i zaszalutowawszy powiedział:

— Zaraz, chłopcy, odpoczniecie, zjecie. Prowadźcie, towarzyszu podporuczniku, do punktu wyżywienia, tam. — Wskazał ręką stok wzgórza. — Zresztą i ja z wami pójdę. Stawiliście się o czasie. Widzę, że wam pilno na front.

3

Z wagonów ogrzanych ciepłem oddechów wyskakiwali w chłód przedświtu. Zimny wiatr bił w twarz, wciskał się pod nie dopiętą odzież, jeździł mrozem po plecach. Szeroko rozwartymi oczami wpatrywali się przed siebie, usiłując rozpoznać kontury dworca. Ale wokół panowała nieprzenikniona ciemność — ledwie dostrzegali cienie sąsiadów. Szybko ustawiali się w długi dwuszereg, zapinali pod szyją guziki wатовanych kurtek, poprawiali rzemienie plecaków. Wzdłuż szeregów przebiegały, nawołując półgłosem, postacie.

Dżuma II

Echo rozniosło po ciemnym peronie głos komendy. Zadudniła betonowa posadzka. Szybkim krokiem ruszyli przed siebie — najpierw schodami w dół, potem tunelem ledwie oświetlonym żółtawo świecącą żarówką. Niski, szczupły żołnierz tracił swego sąsiada:

— To już niedaleko? — spytał szeptem.

— Pewnie, że niedaleko — odparł zaczepiony.

— Granica tu zaraz.

— A co, znasz Antung? — zainteresował się niski.

— Naturalnie, mój dom jest niedaleko stąd, osiemdziesiąt li...

Niski westchnął cichutko:

— A mój dom daleko... Kto by tam zliczył, ile li, może osiem, a może dziesięć tysięcy... Do Szaszy trzeba jeszcze jechać trzy dni dżonką albo osiem godzin parowcem po Jangtse.

Sąsiad gwizdnął z wrażenia.

— Ale ciebie zaniósł!... Od Jangtse nad Jalu.

Rozmowa urwała się. Wychodzili przed dworzec. Oczy, nawykłe już do mroku, rozróżniały sylwety domów otaczających rozległy plac dworcowy, ryksze ustawione półkolem pod szerokimi schodami, ciężarówki podobne do zaczajonych w mroku dziwacznych zwierząt. Długi wąż żołnierzy zamarł w bezruchu, potem ze szczękiem rozpadł się na drobniejsze człony. Głos dowódcy — donośny w głuchej ciszy uspionego miasta — przypominał, że od tej chwili obowiązuje porządek frontowy, żadnego palenia w marszu, pułk idzie na miejsce zbiórki pododdziałami.

Posypały się komendy. Żołnierze szybko i sprawnie ustawiali się w dwuszeregach. Wreszcie

ruszyli. Niski znad Jangtse szedł obok chłopca spod Antungu. W wąwozach, pustych uliczek dudniły kroki powtarzane przez echo. Domy ciągnęły się szeregami. W mroku rysowały się ich kontury — groźne, obce, nieznane. Domy były wysokie i żołnierz znad Jangtse chciwie im się przyglądał.

— To duże miasto? — zwrócił się szeptem do towarzysza.

— Bardzo duże. — W głosie tamtego dźwięczała дума. — Domy mają po cztery piętra, a nawet więcej.

Niski parę chwil maszerował w milczeniu. Widać rozważał coś w myślach. Potem zwrócił twarz w stronę sąsiada i ufnie, jak dziecko, powiedział:

— Nigdy nie widziałem takich domów. U nas we wsi obszarnek Phan miał duży dom, ale w porównaniu z tymi tu, to była malusieńka fanza.

— Zobaczysz za dnia, jak to wygląda — pocieszył go towarzysz. — A ty nigdy nie byłeś w dużym mieście?

— Nie, moja rodzina zawsze mieszkała na wsi. Kto by miał czas na chodzenie do miasta? Moją siostrę sprzedano do miasta, ale nigdy u niej nie byłem. Teraz pracuje w Szanghaju, w fabryce włókienniczej. Napisałem do niej list, że wyjeżdżam na front, bo...

Urwał w pół słowa. Jakiś dźwięk — dziwny i nieznany — zabrzmiał w nocnej ciszy. Jakby załkało dziecko — cienko, piskliwie, a równocześnie tak głośno, jak to się zdarza w bajce. Jękliwy dźwięk narastał, do pierwszego przyłączały się nowe, tworząc niezrozumiałą i groźną symfonię płynącą z oddali. Ktoś krzyknął — alarm, polem padł rozkaz, dwuszereg pękł i teraz już dwa szeregi szybko szły

po obu stronach jezdni. Żołnierz znad Jangtse starał się iść jak najciszej. Poczł nagły, gwałtowny przyplłw strachu, ale wstyd mu było to okazać. Tylko głowę wciągnął w ramiona, przygarbił się i szedł wlepiając wzrok w plecy żołnierza maszerującego przed nim.

Teraz syreny zawyły bliżej, jakby nad głową, głuchym, przenikliwym basem. Potem znów zapanaowała cisza. Ogłuszony żołnierz znad Jangtse pomyślał: co będzie teraz. Ale cisza trwała nadal, majestatyczna i nie zmacona.

Tymczasem pierwszy brzask rozjaśnił niebo. Szare sylwetki domów zmalowały, stały się bliższe, wyraźniejsze. Wiatr dmuchał w twarże rześkim chłodem. Gdzieś trzasnęła brama. Jakaś kobieta wyrzała na ulicę i zwięzonymi z senności oczami odprowadziła maszerujący oddział. Zza zakrętu ulicy wyskoczyła ciężarówka i umknęła w dal, pozostawiając za sobą wełnisty ogon pyłu. Miasto budziło się ze snu.

Dwuszereg znów maszerował w zwartym szyku.

— Dlaczego to wyło? — zapytał żołnierz znad Jangtse.

Jego sąsiad uśmiechnął się pobłażliwie.

— Ej, ty ciemna pało! — powiedział z dobroduszną ironią. — Przecież to sygnał nalotu. Widocznie gdzieś kręciły się amerykańskie samoloty. Mogło być bombardowanie !

— Ale nie było — niski aż zasapał się z przejęcia.

— Pewnie, że nie, przecież byś słyszał, jak wybuchają bomby.

— Wolę nie słyszeć — mruknął niski.

Dżuma II

— A kto by nie wołał? Po to tu przyjechałeś, żeby nie wybuchały. Ty, co...

— Nie ucz mnie — przerwał mu niski. — Sam wiem, po co tu jestem, przecież nikt mnie nie zmuszał, żebym szedł na front. Ale zapytać nie szkodzi. Od tego człowiekowi w głowie się nie zakręci.

Zatrzymali się w rozległym parku. Tu i ówdzie dymiły kuchnie połowę. Na wyschłych trawnikach leżeli i siedzieli ludzie. W powietrzu unosił się pogwar rozmów, śmiechy i śpiewy. Z megafonów ukrytych między suchymi gałęziami spływały dźwięki muzyki. Kobięcy głos śpiewał tęskną melodię. We wszystkich kierunkach śpieszyli zaafekrowani łącznicy.

Nowoprzybyłych żołnierzy zaprowadzono przed jedną z polowych kuchen.

Smakowity zapach ryżu i smażonej kury uderzył w nozdrza. Niski znad Jangtse jadł powoli, przebierając pałeczkami grudki zlepionych ziaren. Jego towarzysz siedział obok i raz po raz zerkał nań z zaciekawieniem.

— Nie gniewaj się, towarzyszu — powiedział, gdy pałeczki zgrzytnęły o dno opróżnionej menażki. — Nie chciałem cię urazić.

Niski rzucił mu spojrzenie spode łba i nic nie odpowiedział. Ale tamten nie zrażony ciągnął dalej:

— Czasem człowiek powie coś niezbyt miłego, ale to nic nie znaczy. Możemy przecież być przyjaciółmi. Kto wie, w ilu bojach będziemy leżeć obok siebie.

Niski wzruszył ramionami:

— Nie gniewam się, ale nie lubię, kiedy ktoś śmieje się ze mnie. Pewnie, że ze mnie głupi chłop, ale się uczę. I sam wiem, po co tu przyjechałem. Myślisz, że to łatwo zostawić rodzinę i dom, i ziemię... Dopiero w zeszłym roku dostałem osiem mu³. Nawet nie zdążyłem się nacieszyć — zamyślił się. Chwilę milczał zapatrzony w dal. — Tylko nie myśl, że żałuję... Nigdy nie widziałem, jak wybucha bomba. Wiem tylko tyle, co nam opowiadano na ćwiczeniach. Ale nie chciałbym, aby w naszej wsi wybuchła bomba. Rozumiesz? Nie chcę, po to przyjechałem.

Na ganku białego domu w głębi parku ukazało się kilka osób.

— Idzie nasz dowódca — powiedział towarzysz niskiego. — I komisarz, i ta nasza lekarka. Widziałeś ją w pociągu?

— Widziałem. Pytała, czy ktoś z nas nie jest chory.

— To Japonka — oświadczył sąsiad niskiego.

— Japonka? — zdumiał się niski. — A co ona tu robi?

— To długa historia, kiedyś, jak będzie czas, to ci opowiem o niej. A nasz dowódca nazywa się Fu Lin, był dowódcą wielkiego oddziału partyzackiego podczas wojny antyjapońskiej.

— To chyba dobry dowódca? — ucieszył się niski.

— Jeszcze jaki! Każdego żołnierza zna jak ojciec syna.

— Skąd wiesz?

Tamten wydał wargi:

Dżuma II

— Byłem u niego partyzantem. Pięć lat wojskowałem. Dla mnie, towarzyszu, wojna to nie pierwsza.

Niski chciał coś odpowiedzieć, ale nad głową zachrypiał megafon. Dowódca stał pośrodku rozległego placu, a ze wszystkich stron strumieniami biegły szeregi postaci w zielonych mundurach, zlewały się w ogromny czworobok, zastygając w milczeniu.

Fu Lin uniósł rękę do góry. Zaległa cisza. Głos dowódcy brzmiał młodzieńczo i śpiewnie. Mówił krótkimi, prostymi zdaniami, przypominając żołnierzom-ochotnikom, kim byli i kim są, po co przyjechali, czego i przed kim będą bronić.

Niski znad Jangtse słuchał z półprzymkniętymi powiekami. Głos dowódcy wywoływał wizję dalekiej wioski rodzinnej, kanału napełnionego zielonkawą wodą, ryżowych tarasów wspinających się po łagodnym zboczu pagórka. Chwilami obraz ten macił groźny odgłos wybuchu i niski usiłował sobie wyobrazić, jakby to było, gdyby nad jego cichą wioską zawyły jękliwe syreny, które słyszał przed godziną. Zacisnął mocniej palce na chłodnej stali automatu. Poczłł czyjeś dotknięcie. Obok stał zasłuchany chłop spod Antungu. Spojrzeli na siebie przelotnie. Niski chciał coś powiedzieć, ale padła komenda. Dywizja szła ku granicy.

ROZDZIAŁ III

1

Dżuma II

Fukuda opadł na taboret. W skroniach krew waliła młotem, w uszach szum. Ręce rozedrgane ze zmęczenia. Pod przymkniętymi powiekami białe płaty.

Od dwóch dni nie wychodził z sali operacyjnej. Rany, rany, rany... Pogruchotane kości, rozdarte trzewia, zmasakrowane twarze. Odłamki — mniejsze i większe — tkwiące gdzieś głęboko pod skręplonymi naroślami poszarpanych mięśni. I krzyk. Czasem cichy, słaby jak ostatnie tchnienie, czasem przemieniający się w obłąkańczy ryk bólu. Ludzie cierpią.

Fukuda siedzi na taborecie. I liczy. Ile to ludzi przeszło w ciągu tych trzydziestu paru godzin przez jego ręce. Pięćdziesięciu, osiemdziesięciu, stu... Jak trudno jest wszystko spamiętać. Wszystko i wszystkich. Nawet twarze operowanych nie pamięta. Zresztą każda z nich była tylko maską. Zastygła, skamieniała, bez rysów własnego ja, które roztopiły się w jęku i bólu. Tylko jedną twarz zapamiętał. Skurczoną, szarą, zmiętą, w której dziwnie niepokojąco płonęły oczy. Iskrzyły się jakimś krwawym blaskiem. Blaskiem śmierci. Ich spojrzenie jeszcze go parzy, a przecież było martwe, ślepe. Fukuda zaciska powieki, zwiera szczęki i potrząsa głową. Straszne jest martwe spojrzenie oczu, sprawiających wrażenie żywych, wszechwidzących.

* *Omoni*

Był to chłopak. Mały, dwunastoletni chłopak. Co robił, kiedy dopadł go kaśliwy odłamek? Może stał zapatrzony w niebo, które nagle rozdarły pio-

runy śmierci... Może biegł szukać schronienia w ramionach matki, może... Tak, teraz można już snuć przypuszczenia, nanizać własne myśli na strzęp wspomnienia, które żyje i tłucze się w ociężalej głowie. Któż wie, któż pawie: na pewno było tak.

Przywieźli go broczącego krwią. Rozrzucone ręce, zaciśnięte kurczowo pięści, wargi szerniałe, pogryzione. Odwłok bez nóg... Leżał na stole operacyjnym cicho. Tylko krew tryskająca z ran i ledwie wyczuwalne tętno mówiły, że w tym, co zostało z dziecka, tli jeszcze życie — jak ogarek w godzinie przedświt. Fukuda operował chłopca raczej z obowiązku niż z przekonania, że rannemu to cokolwiek pomoże. Nie miał nawet czasu zasta nowić się nad tym, że na stole operacyjnym leży dziecko. Za drzwiami, w skalnym korytarzu, jęczyli następni pacjenci. Trzeba się było śpieszyć. Kto wie, może następnemu da się jeszcze uratować życie...

Chłopak otworzył oczy przy końcu operacji. Nie jęczał, tylko zapatrzył się w lampę. Fukuda spojrzał nań przelotnie i ręce mu opadły. Malec spoglądał na reflektor — w czarnych źrenicach światło odbijało się czerwonym blaskiem jak iskierki wyrwane z płomienia i zawisłe na chwilę na skrzydłach wiatru.

— Jak tu ciemno — wyszeptał chłopiec.

Fukuda drgnął. Chłopak był ślepy. Siostra podała mu błyszczący skalpel. Ale Fukuda tego nie widział. Spojrzenie jego przykuły iskry w oczach chłopca. Malec nie skarżył się na ból. Powtórzył tylko:

— *Omoni**, jak tu ciemno. — I po szarych, zmiętych przedśmiertnym skurczem policzkach stoczyły się dwie łzy.

Zdawało się, że czas zatrzymał się w tej minucie. Siostrze skalpel wypadł z palców. Cichy brzęk wydał się Fukudzie *głośnym* wybuchem, odbił się w sercu i mózgu koszmarnym akordem i od razu przywrócił równowagę. Jego ruchy znów były płynne i miarowe. Wewnętrzne wzburzenie okrył maską zawodowego opanowania. Starał się tylko omijać spojrzeniem twarz małego pacjenta. Kiedy chorego ułożono na noszach, szepnął siostrze dyżurnej:

— Proszę się zająć chłopcem i od razu sprowadzić do niego doktora Li, niech zbada oczy.

I już stał przed umywalką. Z rąk spływała obfita piana. Na stole jęczał następny pacjent. Nie było czasu na rozmyślania.

Dopiero przed chwilą dowiedział się, że chłopak nie żyje. Nie żyje od wczoraj. W nawale zajęć Fukuda nie miał czasu, by zapytać o jego stan.

— Idźcie się przespać, towarzyszu doktorze.

Słowa pielęgniarki dotarły do jego świadomości z opóźnieniem. Otworzył oczy i rozejrzał się jakby szukając, do kogo dziewczyna mówi. Ale nikogo prócz niego nie było w sali. Więc to niby on ma iść odpocząć. Cóż za śmieszny pomysł? Odpocząć... Odpocząć można tylko w sensie fizycznym. Ciało odpocznie, ale myśl — tej nie uśpisz ani wzmocnioną dawką luminalu, ani...

— Kawy, siostro.

Poczuł smakowity aromat. Dziewczyna stała obok, trzymając metalowy dzbanuszek buchający pachnącą parą.

Dżuma II

— Napijcie się, towarzyszu doktorze, i potem spać. — Uśmiechnęła się. Ale uśmiech wypadł blado, wymuszenie.

Fukuda pił łąpczywie, zachłystywał się, parzył sobie usta. Gorący płyn otrzeźwiał, wlewał nowe siły w zmęczone, zwiotczałe członki.

— Ilu ich było? — zapytał.

— Stu czterdziestu dwóch. Spośród wszystkich lekarzy wy zrobiliście najwięcej operacji, towarzyszu doktorze.

Spojrzał na nią spode łba.

— Najwięcej operacji — powtórzył w zamyśleniu. — I co z tego? Ilu z nich wyżyło, ilu przeżyje dzisiejszą noc? A kto odgadnie, ilu jeszcze przywiozą?

— Dziś w nocy nie było bombardowania, towarzyszu doktorze.

— Ale może być za godzinę, za dwie — głos Fukudy brzmiał chrapliwie. Doktor rzucał urywane zdania. — Każdej chwili... Może już lecą... Zrozum: śmierć spada z nieba, nagle, nieoczekiwana, straszliwa... A jeszcze gorsze od śmierci jest kalectwo. Ten chłopak, gdyby przeżył, czym by był... Łachmanem, łachmanem... Ciężarem dla siebie i dla innych.

Rysy twarzy siostry stwardniały.

— A matka? Ona czeka. Dla niej syn-kaleka nie byłby ciężarem. A i dla innych... Jak możecie, doktorze...

— Jak ja mogę?! — Fukuda poczuł, że zmęczenie znów spada ciężkim brzemieniem na barki, zaciska się stalową obręczą wokół czaszki. Podniósł oczy na siostrę. — Człowiek chwilami załamuje się, siostro. Takie dwa dni mogą każdego wy-

Dżuma II

prowadzić z równowagi. Na wojnie, siostró, najtrudniej jest utrzymać nerwy na wodzy na widok śmierci z dala od frontu. Tam, na pierwszej linii, każda śmierć jest cegiełką pod zwycięstwo życia, tu, na zapleczu, śmierć jest bezmyślna, niepotrzebna, okrutna. No — uśmiechnął się blade — idź spać, siostró, należy nam się parę godzin wypoczynku. Kto wie, kiedy będzie nowe bombardowanie.

Wyszedł za pielęgniarką z sali operacyjnej i w rozwidleniu korytarza pożegnał ją. Ta część szpitala znajdowała się pod ziemią. Głębokie, wykute w skałach tunele słabo oświetlone nielicznymi lampami kryły sale chorych, magazyny, sale operacyjne. W głębokich niszach, osłoniętych grubymi warstwami koców, na ustawionych rzędami łózkach leżeli ciężko ranni. Trzymano tu ludzi, zanim można ich było bez szkody dla zdrowia przetransportować dalej na północ lub przez granicę do ojczyzny. Szpital był przeznaczony dla ochotników chińskich, ostatnio jednak wskutek wzmożonych bombardowań coraz częściej pacjentami byli cywile — Koreańczycy z okolicznych wiosek.

Fukuda, mimo zmęczenie, zajrzał do kilku nisz. Większość chorych drzemała. W sali oznaczonej numerem 5 leżeli ranni z ostatniego bombardowania. Dyżurna pielęgniarka o czerwonych z niewyspania oczach uspokajała miotającą się w malignie kobietę. Z ust kobiety raz po raz zrywał się chrapliwy, zduszony krzyk. Fukuda przypomniał sobie, że tej właśnie kobiecie musiał amputować nogę. Podczas operacji cały czas była nieprzytomna i wciąż wzywała kogoś — może dziecko, może męża.

Półgłosem zapytał pielęgniarkę o stan chorej. Od wczoraj nie odzyskała przytomności. Fukuda zbadał tętno, kazał zwiększyć dawki kamfory. Cóż mógł więcej zrobić? Z ciężkim sercem ruszył dalej. Korytarz, coraz węższy, biegł teraz trochę pod górę, ku wyjściu.

Ilekróć Fukuda opuszczał podziemną część szpitala, tylekróć towarzyszyła mu myśl, ile trudu pochłonęła praca nad jego zbudowaniem. Ile ludzi musiało dzień i noc wgryzać się w twarde skały, by pod ich osłoną rannym nie groziły bomby. A przecież takich szpitali jest dużo. Cóż tam zresztą szpitale! Tu ziemia kryje ogromne fabryki, zakłady, magazyny. Ludzie zryli ją tunelami wzdłuż i wszerz. Twardzi, mocni ludzie. W ich oczach nie wyczytasz skargi. Nawet — wzdrygnął się mimo woli — nie było jej nawet w oślepiłych źrenicach tamtego chłopca...

Jasne światło dzienne raziło oczy. Fukuda przymknął powieki i parę chwil łapczywie wciągał rześkie, styczniowe powietrze. Dopiero teraz poczuł, jak ciężko jest oddychać tam, pod ziemią, pomimo silnych wentylatorów. Ale cóż można poradzić? Narażać ludzi na śmierć? Tu, na powierzchni ziemi, w kilkunastu cudem ocalałych chatach i kilkudziesięciu obszernych ziemiankach można było trzymać tylko rannych zdolnych do poruszania się. W razie nalotu mogli się zawsze ukryć w schronach.

Fukuda pamiętał szpital, w którym pracował wkrótce po przybyciu na Koreę. Mieścił się w rozległym, tuż przed wojną wybudowanym gmachu szkoły wiejskiej. W obszernych salach było czysto i przestronnie. Olbrzymia, rozpięta na dachu biała

Dżuma II

plachta z wymalowanym znakiem czerwonego krzyża zdawała się być niezawodną rękojmią bezpieczeństwa.

...Stało się to w jasny, majowy poranek. Najpierw nadleciały dwa samoloty rozpoznawcze. Z głuchym warkotem krążyły po niebie. Fukuda pracował wtedy w laboratorium. Słyszał wyraźnie huk motorów, ale nie zwracał uwagi na takie niemal codzienne zjawisko. Potem nastąpiła cisza. W laboratorium słychać było melodyjny śpiew sanitariuszki piorącej coś przed najbliższą chatą. Skądś z góry dobiegał bas komendanta szpitala, niemłodego, energicznego człowieka, który zadziwiał wszystkich dobrym humorem i jak powiadali ranni, leczył nie medykamentami, ale uśmiechem. I nagle znów rozległ się warkot. Głośniejszy i groźniejszy. I huk jak łoskot pioruna. Jeden, drugi... potem wszystko zlało się w ogłuszającą melodię śmierci. Z trzaskiem waliły się ściany rozległego domu. Wśród lejów i płonących gruzów biegały pielęgniarki, sanitariusze, lekarze, wynosząc na plecach ciężko rannych. Terkotały działka pokładowe, pluąc deszczem pocisków w szukających schronienia ludzi. Ile ich wtedy zginęło?...

Fukuda otworzył oczy. Teraz już światło zachodzącego słońca nie raziło. Zdumiała go przemiana krajobrazu. W ciągu tych dwóch dni, które spędził w sali operacyjnej pod ziemią, spadł śnieg. Miękką powłoką okrył lesiste wzgórza, prostokąty chłopskich pól, kopiaste dachy ziemianek, wygładził poszarpane rany zadane ziemi stalowymi cieliskami bomb. Mniej złowieszczo wyglądały teraz samotne kominy sterczące nad kopczykami ruin. Białe śniegowe czapy upodobały je do wychu-

dzonych staruszek zastygłych w milczeniu nad stertami bawełny.

Wyrwał go z zamyślenia dyżurny.

— Towarzyszu doktorze, czekają na was.

— Kto?

— Generał.

„Czyżby jakaś inspekcja?” — zdziwił się Fukuda, ale nie powiedział nic i szybkim krokiem ruszył w stronę ziemianki służącej mu za mieszkanie i gabinet w naziemnej części szpitala. Od miesiąca pełnił obowiązki komendanta szpitala, ponieważ ciężko chory komendant otrzymał urlop. Na głowę Fukudy zwały się więc wszystkie kłopoty związane z kierowaniem sporym gospodarstwem. W wypadkach inspekcji przeważnie korzystał z pomocy swego zastępcy, dziś prawdopodobnie jednak i tamten był zajęty. Od dwóch dni Fukuda nie opuszczał przecież sali operacyjnej. Rozzłościła go ta nieoczekiwana wizyta, strudzone ciało i zmęczony umysł wołały spać, a tu trzeba będzie objaśniać, składać raporty, oprowadzać.

Pchnął ciężkie, zbite z belek drzwi prowadzące do ziemianki. W sieni dyżurował U Pukuej, młody ochotnik strzegący Fukudy z troskliwością starej niańki. U Pukuej powitał swego dowódcę spojrzeniem pełnym wyrzutu. Ubodło go, że Fukuda zabronił mu wchodzić do części podziemnej podczas operacji. Zakaz spowodowany był obawą, aby U Pukuej w najbardziej nieodpowiednim momencie nie wlaźł do sali operacyjnej i nie zameldował :

— Towarzyszu dowódco, proszę na obiad!

Nic bardziej nie oburzało U Pukueja niż obojętność Fukudy na takie sprawy jak śniadanie czy obiad. Nie mógł zrozumieć czytania podczas posił-

ku, a nie wiedząc, jak ten szkodliwy, jego zdaniem, nałóg zlikwidować, przezornie ukrywał wszystkie papiery i gazety, ściągając gromy na swoją głowę. Fukuda gniewał się, ale był to gniew pełen dobroduszości, raczej gderanie na ulubieńca niż prawdziwa złość.

W lot odczytał wyrzut w oczach U Pu-kueja i aby go udobruchać, powiedział serdecznie:

— No, nianiu U, głodny jestem jak wilk, stęskniłem się za twymi przysmakami. A i gość pewnie chętnie przekąsi.

U Pu-kuej rozpromienił się, słowa Fukudy bardzo go ucieszyły.

— Melduję, towarzyszu dowódco, że kolacja czeka. A generała już nakarmiłem. Nie kazał wzywać was z dołu, dopóki sami nie wyjdziecie.

Fukuda obciągnął mundur, sprawdził, czy guziki kołnierza są zapięte, i pchnął drzwi do właściwego mieszkania. Gość siedział odwrócony plecami. Szerokie barki zdawały się rozpierać sukienną bluzę.

— Towarzyszu generale, pełniący obowiązki komendanta doktor Fukuda melduje się na rozkaz...

Generał powoli odwrócił się. W oczach Fukudy zastygło zdumienie, z radości aż usta otworzył. A gość już szedł mu na spotkanie z wyciągniętymi rękami.

— Fukuda, bracie, nareszcie — pohukiwał dźwięcznym barytonem, ściskając oburącz dłonie doktora.

A Fukuda wciąż jeszcze nie mógł opanować wzruszenia. Wreszcie udało mu się wybąkać:

— Fu Lin, to ty... kiedy... jak to...

Dżuma II

— Ładnie witasz gościa — roześmiał się generał. — Nawet nie prosisz, abym usiadł.

— Towarzyszu...

— No, no, żartowałem tylko. Sprawilem ci niespodziankę, co?

— Jeszcze jaką! — rozpromienił się Fukuda.

W drzwiach stanął U Pu-kuej. Trzymał oburącz prostokątny kawał dykty używany w uroczystych chwilach zamiast tacy. Umieszczone na nim kociołki i garnczki buchały parą i smakowitymi zapachami. Na palcach obszedł witających się dowódców i szybko rozstawił naczynia na stole. Z małej szafki wy dostał dwie pary kościanych pałeczek, maleńkie spodeczki z malowanej porcelany i także łyżki. Potem lekko chrząknął i trzasnął obcasami:

— Towarzyszu dowódcu dywizji, czy mogę zwrócić się do towarzysza dowódcy szpitala?

Fu Lin roześmiał się.

— No, Fukuda, ten chłopak marnuje się u ciebie na tyłach. Już wszystko wie. Nie przedstawiłem mu się, a on już do mnie „towarzyszu dowódcu dywizji”. Ho, ho, łebski chłopak. Mówcie. — Skinął na żołnierza.

U Pu-kuej nie dając poznać, jak mile polechtała go pochwała generała, wyprężył się przed Fukuda:

— Towarzyszu dowódcu, czy mogę podać coś do picia?

— Dziś możesz, U Pu-kuej.

— A co, bajgę czy suri?⁴ Wczoraj zdobyłem suri, wspaniała...

— Dawaj jedno i drugie, U Pu-kuej.

— Twój U Pu-kuej zdążył mi się już poskarżyć, że od dwóch dni nic nie jadłeś. Zresztą widać to po tobie.

Dżuma II

— Miałem piekielne dni — odrzekł Fukuda łykając drobne kawałki mięsa prażonego z pędami bambusa. — W okolicy był straszny nalot i przywieziono nam masę rannych. Ale, wypijmy!

— *Gambe!*

— *Gambę!*

Mocna ryżowa wódka zaparła dech w piersi. Chwilę jedli w milczeniu.

— Mam dla ciebie pozdrowienia, Fukuda — odezwał się wreszcie Fu Lin.

Fukuda drgnął. Pałeczki uniesione nad talerzem zastygły.

— Od kogo? — wyjąkał.

— Dobrze wiesz, od kogo. Twoja żona pozdrawia cię i życzy, byś w zdrowiu doczekał chwili spotkania.

— Widziałeś Tanimę?

— Nie tylko widziałem. Odbyłem z nią nawet całą podróż. Ale jedz, jedz, wszystko ci opowiem.

Fukuda potrząsnął przecząco głową. Jeść, teraz? Kęs mu nie przejdzie przez gardło. Serce trzepotało w piersiach jak uwięziony ptak, Tanima, Tanima... Najmilsza, najdroższa. Nawet nie trzeba przymykać powiek, by przywołać jej obraz. Miłą twarz o oczach iskrzących się jakimś wewnętrznym, głębokim ciepłem, uśmiech odsłaniający białe jak śnieg, drobniutkie zęby, zmarszczkę na czole w chwilach zamyślenia, prosty przedziałek dzielący czarne, gęste włosy splecione z tyłu w kunsztowny węzeł, w którym lśnił inkrustowany grzebień. Tanima... Ile to czasu upłynęło, odkąd widzieli się po raz ostatni... prawie rok.

— Przepraszam cię, Fu Lin, zamyśliłem się — nie swoim głosem powiedział Fukuda. — Powiedz...

— Chwileczkę, muszę wyskoczyć — przerwał mu Fu Lin — poczekaj.

I zanim Fukuda zdążył zaprotestować, zamknął za sobą drzwi. Chciał zostawić przyjaciela na chwilę ze swymi myślami.

2

Fukuda spojrzął na drzwi i przypomniał sobie, że wtedy w Antungu Fu Lin też tak nagle się zerwał zostawiając go z Tanimą. To były ostatnie chwile ich pożegnania.

Sięgnął myślami jeszcze dalej w przeszłość, do owego dnia, w którym wrócił do swego pekińskiego mieszkania, trzymając w ręce gazetę z wezwaniem do ochotników, by pośpieszyli na pomoc Korei.

Tanima czekała już na niego. Rozmowa ich była krótka, porozumieli się niemal bez słów. I tego samego wieczoru podjęli decyzję.

Oboje pamiętali, co ich przywiodło do tego kraju, jego — wściekła nagonka japońskiej policji i władz amerykańskich, i groźba więzienia po zde-maskowaniu ośrodka przygotowania wojny bakteriologicznej: ją — gorąca, wielka miłość do niego, dla której zdecydowała się porzucić wszystko i pójść za ukochanym, stać się jego najwierniejszym, zaufanym druhem. Złączyła ich miłość — prosta, silna, ludzka, pełna cichych, nieśmiałych szeptów i burzliwych porywów.

Ich rozmowy były nie kończącym się pasmem wyznań. Ileż to razy Fukuda wracał ze szpitala i zastawał Tanimę drzemającą przy stole nad otwartą książką. Ucząc się i czekając na niego zasypiała,

ale cichy szelest jego kroków budził ją. I długie godziny trwała rozmowa — dziwna, pomieszana, w której słowa o nauce i pracy nagle roztopiały się w czułych spojrzeniach i pieszczotach.

Złączyła ich miłość, ale nie tylko miłość. Podobnie jak w okresie poszukiwań tajnego ośrodka BB sprawy Fukudy stały się sprawami Tanimy, tak i teraz wspólne były ich marzenia o powrocie do ojczyzny, walka o wolność, zmaganie z tym wszystkim, co kamieniem legło w poprzek ich drogi powrotu. Tanima stała się pomocnikiem Fukudy nie tylko w jego pracy naukowej poświęconej zwalczaniu chorób epidemicznych. Była jego wiernym towarzyszem walki.

Dlatego tak się od razu zrozumieli, gdy owego wieczora Fukuda powiedział krótko:

— Muszę jechać jako ochotnik.

Tanima spojrzała nań wtedy jakby zdziwiona, usiadła na poręczu niskiego fotelika i głaszcząc ręką jego twarde, krótko ostrzyżone włosy powiedziała:

— Mylisz się, Takeo, musimy jechać.

Takich słów od niej oczekiwał.

Nazajutrz złożyli podania o skierowanie na front koreański. Odmówiono im. Przez kilka miesięcy raz po raz ponawiali swą prośbę i za każdym razem odsyłano ich z niczym, tłumacząc, jak ważna jest praca Tanimy — już dyplomowanego lekarza — w szpitalu, a Fukudy w Instytucie Naukowym. Rozumieli, że to drugie jest niewątpliwie silniejszym argumentem niż praca Tanimy, towarzysze bowiem nie chcieli rozdzielać małżeństwa. Fukuda chodził zły na siebie i na cały świat. Dusił go wieści o zbrodniach popełnianych przez

agresorów w Korei. Usiłował nawet popełnić oszustwo. Zgłosił się do jednego z biur werbunkowych w mieście, nie podając swego zawodu. Liczył na to, że jeśli otrzyma kartę powołania, uda mu się przekonać towarzyszy o konieczności wyrażenia zgody. Ale sprawa wydała się po dwóch dniach i sekretarz komitetu partyjnego na zebraniu ostro skrytykował Fukudę za samowolę.

Pewnego wieczoru — po dwóch miesiącach bez owocnych kołatań — Fukuda i Tanima siedzieli w domu. Nagle zabrzączał dzwonek u furtki. Zajęci rozmową nie zwrócili na to uwagi i dopiero starszuszka *umo*⁵ przerwała im, mówiąc, że jakiś mężczyzna chce widzieć doktora Fukudę.

Fukuda wyszedł do sieni. Wysoki, tęgi mężczyzna zdejmował właśnie płaszcz. Fukuda skłonił się głęboko, oburącz uścisnął jego dłoń i zaprosił do pokoju. Nie okazał zdziwienia późną wizytą nieznanego. Cekał, aż tamten wyjaśni, w jakiej sprawie przyszedł. Gość usiadł w foteliku i uśmiechając się, bez słowa przyglądał się Fukudzie.

— A więc jednak mnie nie poznajesz — odezwał się wreszcie nieznanomy. — Musiałem się bardzo zmienić w ciągu tych kilku lat. A ja ciebie poznałem od razu, jakbyśmy się wczoraj rozstali.

Coś w twarzy nieznanego, w jego sposobie mówienia, w geście rąk w charakterystyczny sposób splecionych nad kolanami uderzyło Fukudę.

— Czyżby... czyżby... to był?...

Nie dokończył nawet pytania, bo gość przerwał mu hałaśliwym wybuchem śmiechu:

— Pewnie, że ja, któż by inny. Wstyd, towarzyszu Fukuda, nie poznawać swego dowódcy.

Dżuma II

— Fu Lin! Fu Lin — zawołał rozpromieniony Fukuda i rzucił się ku gościowi.

Nie wypuszczając go z objęć zawołał:

— Tanima, szybko, chodź tu!

Żona ukazała się w uchylonych drzwiach.

— Tanima, to on, to on! — krzyczał Fukuda ściskając rosnącego gościa.

Tanima stała na progu, zdumionym spojrzeniem ogarniając obu mężczyzn.

— Chodź bliżej, to Fu Lin.

— Twój wybawca? — w głosie kobiety zadźwięczała nuta radości, podziwu, onieśmienia.

A gość już szedł ku niej wyciągając ręce.

— Cieszę się, bardzo się cieszę, że i was poznaję, towarzyszeko — powiedział.

Rozmawiali przez całą noc, wspominając towarzyszy z oddziału partyzanckiego. Fukuda raz po raz wspominał tamtą chwilę, gdy na konwój zandarmerii japońskiej wiozącej go na śmierć rzucili się partyzanci Fu Lina. Noc przepływała za oknami, jutrzienka różowiła już niebo — a dwaj przyjaciele wspominali dawne czasy, wspólne partyzanckie biwaki, walki z oddziałami okupantów. Dopiero nad ranem Fu Lin przerwał tę wędrówkę w przeszłość.

— Ludzie kochani — roześmiał się. — Przecież zaraz musimy iść do roboty, a ja nawet nie wspominałem, co było główną przyczyną mojej wizyty.

Wyjaśnienie było krótkie. Fu Lin został powołany na dowódcę dywizji ochotników, która za kilka dni miała wyruszyć na Koreę. Podczas odprawy mówiono również o utworzeniu nowego szpitala tyłowego. Ktoś wymienił nazwisko Fukudy. Fu Lin od razu zainteresował się bliżej całą sprawą, dowie-

dział się, że wskutek interwencji władz Instytutu Naukowego Fukudzie nie zezwalają na wyjazd, rozmawiał z dowództwem i uzyskał warunkową zgodę na powołanie przyjaciela. Fukuda miał objąć oddział epidemiologiczny w nowotworzonym szpitalu. Tanima zaś — stanowisko na oddziale chirurgii kostnej. W ten sposób oboje byłiby w jednym szpitalu. Dowództwo stawiało jednak warunek, że bez zgody lub rozkazu sztabu nie wolno Fukudzie wyjeżdżać na front.

— Przyczyna jest prosta — wyjaśnił Fu Lin. — Jesteś jednym z najlepszych bakteriologów. Kto wie, jakie jeszcze zbrodnie szykują agresorzy. Twoje życie i twoje umiejętności są zbyt cenne, by lekkomyślnie i niepotrzebnie narażać ciebie na niebezpieczeństwo.

W parę dni później transport wojskowy wiozł Fukudę i Tanimę w stronę granicy koreańskiej. W Antungu z powodu silnego bombardowania i trudności komunikacyjnych dywizja Fu Lina musiała się zatrzymać na kilka dni. Któregoś dnia nastąpił potężny nalot amerykański. Kilkanaście samolotów przedarło się przez zaporowy ogień artylerii przeciwlotniczej i zrzuciło bomby na miasto. Bomby spadały chaotycznie na domy mieszkalne, ulice, parki. Trafienie wprost rozłupało niewielki domek, w którym ulokowali się lekarze ze sztabu dywizji. Trzej zostali ciężko ranni, dwaj zabici. Fu Lin gorączkowo szukał w Antungu lekarzy wojskowych na zastępstwo. Nie znalazł. Z Pekinu nadeszła iskrówka, że na razie nikogo przysłać nie mogą. Wtedy Fukuda i Tanima jadący z dywizją Fu Lina jedynie do Phenianu, skąd zgodnie z przydziałem mieli udać się do nowego szpitala, poprosili o

pozostawienie ich w dywizji. Fu Lin nie chciał nawet o tym słyszeć.

Wiedział, że na pobyt Fukudy w pobliżu frontu nie uzyska zgody, nie chciał zaś zabierać samej Tanimy. Kobieta zrozumiała powody jego sprzeciwu. Krótka, bolesna rozmowa z mężem rozstrzygnęła ich losy. W szpitalu, do którego zostali skierowani, znajdzie się dość specjalistów — rozmawiała Tanima — Fu Linowi zaś każdy lekarz jest niezbędny. A że się rozstają — to przecież wojna i nie można wszystkiego ułożyć po swojej myśli.

Fukuda nie protestował. Wiedział, że Tanimie niełatwo przyszła ta decyzja, a nie chciał sprawiać jej bólu sprzeciwami. Z ciężkim sercem zgodził się na rozstanie.

Przyszli do Fu Lina w chwili, gdy dywizja otrzymała już rozkaz wymarszu. Fu Lin w milczeniu wysłuchał Tanimy, mocno uściśnął jej dłoń, objął Fukudę i bez słowa wyszedł z pokoju. Fukuda zrozumiał — nadeszła chwila pożegnania.

W oczach Tanimy zaszklona się podejrzana mgiełka. Za drzwiami adiutant dowódcy dywizji wołał, by zajmować miejsca w samochodach.

— Uważaj na siebie, Takeo — szepnęła Tanima.

— I ty na siebie, Tanima — szeptem odparł Fukuda. Jeszcze chwilę czuł w ramionach jej szczupłe ciało, twarz owiewał mu jej ciepły oddech, ustami dotykał wysokiego, gładkiego jak marmur czoła. Potem gwałtownym ruchem Tanima uwolniła się z objęć. Usłyszał jej pożegnalny szept.

— Do zobaczenia, Takeo, do zobaczenia, kochany... Skrzypnęły drzwi, zadudniły kroki na drewnianym

ganku, piskliwie zadźwięczał klakson samochodu. Został sam...

3

Skrzypienie drzwi zbudziło Fukudę z zamyślenia. Rozejrzył się — oto jego wojenne mieszkanie; mały stolik, szafka z lekarstwami, druga podobna z narzędziami, prycza nakryta zielonym kocem. Czyżby się zdrzemnął wędrując myślami w przeszłość? Od progu usłyszał głos Fu Lina.

— Już jestem, Fukuda. Musiałem coś załatwić, mam nadzieję, że się o to nie gniewasz. O czym to ja mówiłem?... Aha. Więc Tanima cię pozdrawia. Możesz być dumny z takiej żony.

Fu Lin usiadł przy stole i machinalnie przebie-
rając palcami chwycił pojedyncze ziarenka wystygłego ryżu. Fukuda milczał. Fu Lin zrozumiał to milczenie jako prośbę o dalsze opowiadanie, więc dokładnie opisał, co robi i jak żyje Tanima. Podkreślał jej odwagę, serdeczność w stosunku do żołnierzy, wysoki poziom kwalifikacji.

— Moi chłopcy szaleją za nią — powiedział klepiąc Fukudę po ramieniu. — Tylko nie bądź o nią zazdrosny. W jej ziemiance wisi twoje zdjęcie, a masz na nim tak gniewne oczy, że żaden śmiałek nie odważyłby się wejść ci w paradę. Zresztą takie rzeczy nie leżą w zwyczaju naszych ochotników. Poczekaj chwilę — pogrzebał w kieszeni i wyciągnął z niej zdjęcia. — Przywiozłem ci tu kilka fotografii Tanimy. Był u nas korespondent z „*Czo-son Inmin Gun*“ i pstryknął ją kilka razy.

Fukuda ledwie rzucił okiem na zdjęcia i od razu schował je do szuflady. Fu Lin zaśmiał się porozumiewawczo.

Teraz Fukuda trochę się ożywił. Zaczął wypytywać Fu Lina o przebieg walk na froncie, o czyny bojowe jego dywizji. Ale Fu Lin nie dał się wyprowadzić w pole.

— Poczekaj, jeszcze ci wszystkiego nie opowiedziałem o Tanimie, a ty już mnie zagadujesz. Ze mną, Fukuda, nie tak łatwo. — Pochylił się w przód i splótł dłonie nad kolanami. — Tanima była ostatnio w Chinach. Pojechała tam z towarzyszymi z mojego sztabu po uzupełnienie. Zuch. dziewczyna. Protestowała twierdząc, że wysyłam ją na wypoczynek, ale skrzyczałam ją, że zapomina o subordynacji.— Mrugnął porozumiewawczo na Fukudę.— Obraziła się na mnie, ale już jej przeszło. Wdzieliśmy się w Antungu, ona pojechała na linię, a ja miałem trochę spraw do załatwienia i pomyślałem sobie, że trzeba zajrzeć do przyjaciela. Słyszałem, że niemal porzuciłeś bakteriologię i...

Fu Lin wstał, obszedł stół, zatrzymał się nad przyjacielem i łagodnie oparł dłoń o jego ramię.

— Przykro mi, jeśli zabolą cię moja uwaga. Rozumiem cię: zawsze chciałeś być w pierwszej linii walki i wydaje ci się, że zostałeś wycofany na dalekie zaplecze.

Mylisz się, przyjacielu, grubo się mylisz. W tym kraju, w tej wojnie front jest wszędzie, a każdy człowiek jest żołnierzem. Nawet dziecko. Czyżbym ci to musiał tłumaczyć? Stu czterdziestu z górą operacji nie dokonuje nawet lekarz w batalionie sanitarnym. Mam do ciebie tylko o to żal, że prawie wcale nie zajmujesz się bakteriologią.

— Nie mam na nią czasu— mruknął niechętnie Fukuda.

— Wierzę — szybko odparł Fu Lin. — A jednak nie wolno ci tak postępować.

— Powiedziałem ci już — nie mam czasu. W tym kraju służba sanitarna mimo braku lekarzy zorganizowana jest wzorowo.

Fu Lin wzruszył ramionami i zaczął przechadzać się po małej izdebce. Potem znów usiadł na taborecie w swojej ulubionej pozycji.

— Może masz rację — powiedział wreszcie. — Nie chcę się z tobą spierać. Powiedz mi jednak — spojrzał ostro na przyjaciela — co było powodem, dla którego musiałeś opuścić Japonię? No, powiedz...

Fukuda zdziwiony uniósł brwi do góry, jakby zapytując Fu Lina, o co mu chodzi, po co wraca do dobrze znanych, starych spraw?

— Przecież wiesz.

— Ale ty mi powiedz — twardo wymówił Fu Lin.

— No...— Fukuda skrzywił się wyrażając w ten sposób swoje niezadowolenie. — Wykryłem ośrodek BB.

— Co to było?

Zdziwienie Fukudy rosło z każdą chwilą, ale podporządkował się władcemu tonowi przyjaciela.

— Ośrodek doświadczalny produkcji broni bakteriologicznej .

— I co? Jak myślisz? Panowie Amerykanie zrezygnowali ze wszystkiego? Przestraszyli się dzielnego doktora Fukudy, zwinęli cały kramik i uroczyście przysięgli, że nigdy więcej nie pozwolą sobie na tego rodzaju doświadczenia? Co? Zapo-

mniałeś o zasadzie, że zadowolić się jednym zwycięstwem, to znaczy przegrać batalię? Zapomniałeś, czego nas uczy partia?

— Jak ty możesz, Fu Lin? — zaprotestował Fukuda.

— Poczekaj. — Fu Lin niecierpliwie machnął ręką.— Pozwól mi się wygadać. Zresztą zaraz kończę. Nikt nie zamierza pomniejszyć twoich zasług. Jesteś dobrym chirurgiem, ale to cię nie usprawiedliwia. Stałeś się człowiekiem krótkowzrocznym. Tak, nie oburzaj się za to określenie. Krótkowzrocznym. A to, zwłaszcza w tak trudnych chwilach jak obecnie, jest zjawiskiem szkodliwym. Widzisz tylko swoje ciasne podwórko i nie chce ci się nawet myślał wybiec za jego płot. To tak jak kiedyś ludzie otaczali swoje domy wysokimi, ślepyimi ścianami, zamykali się w nich przed życiem.

Fukuda, usiłujący początkowo protestować, słuchał teraz z poszarzałą twarzą, zgarbiony, na koślawym stołku. Słowa przyjaciela bolały go, kłuły do żywego, trafiały w sedno. Jakby Fu Lin przez te długie miesiące przebywał wciąż z nim, a nie gdzieś daleko, w wirze frontowych wydarzeń. To, co Fukuda starał się od siebie oddalić, napłynęło ku niemu potężną falą, przed którą nie ma ochrony. A czy to była jego wina? Wojnę widział na własne oczy i chciał w niej brać udział bezpośrednio. To przecież nie jest zbrodnią. Ale on pogrzyżył się w ciasnym kręgu codziennych spraw. Zastanawiał się brakiem czasu, ileż to razy odsuwał natrętne myśli i pragnienia zajęcia się tym, czemu poświęcił swe życie. Przecież nie chodziło o to — zdawał sobie doskonale sprawę — jak leczyć kogoś,

kto przypadkowo zachoruje na tyfus. Fu Lin ma rację.

Przypomniał sobie teraz rozmowę sprzed kilku miesięcy. Był wtedy z wizytą u szefa służby sanitarnej Koreańskiej Armii Ludowej. Generał — energiczny, o młodej twarzy, zmęczonych oczach i włosach przetykanych pasami siwizny na skroniach — interesował się szczególnie poglądem Fukudy na możliwości prowadzenia wojny bakteriologicznej.

— Amerykanie wypróbują tutaj wiele straszliwych metod prowadzenia wojny — mówił generał. — Nie dla doświadczeń, ale chcą złamać opór narodu koreańskiego. Trudno przewidzieć, do jakich zbrodni jeszcze mogą się uciec, by osiągnąć ten cel.

Pograżony w gorzkich myślach nie zauważył, że Fu Lin od dawna już zamilkł. Wzniósł oczy. Przyjaciel stał obok niego, znów spokojny, opanowany, uśmiechnięty. Cóż miał powiedzieć temu człowiekowi, tak bliskiemu...

Fu Lin, jakby odczytując myśli Fukudy, ułatwił mu zadanie.

— Zmęczyłem cię, Fukuda — powiedział z przyjaznym uśmiechem — a i — spojrzał na zegarek — na mnie już czas. Przywiozłem ci coś, co warto przeczytać. Znajdziesz tam parę czasopism amerykańskich z ciekawymi enuncjacjami. Przestuduj je, dadzą ci niemało do myślenia. Ci pyskacze nie zawsze krzyczą na wiatr. O tym trzeba pamiętać, a — zmrużył oczy — twój przyjaciel, pan pułkownik Crosby, o ile nam wiadomo, ożywił ostatnio swą działalność.

— Crosby? Ten z Tokio? — Fukudzie aż dech zaparło. — I ty o tym tak spokojnie mówisz?

— Nie tak znów bardzo spokojnie — uśmiechnął się Fu Lin. — To było jednym z powodów mego przyjazdu do ciebie. A żeśmy sobie trochę przy okazji pogawędzili, to dobrze zrobiło nam obu, prawda?

— Ale Crosby? — Fukuda nie mógł się wciąż uspokoić. — Czy masz jakieś bliższe informacje?

Fu Lin wzruszył ramionami i pomijając pytanie Fukudy milczeniem, powiedział:

— Chciałem cię tylko uprzedzić. Takie zresztą miałem polecenie dowództwa. Za trzy dni masz być na odprawie u szefa służby sanitarnej. Tam może dowiesz się bliższych szczegółów. A ja nie chciałem, byś na tej odprawie siedział jak baran na wykładzie Konfucjusza. — Spojrzał na zegarek. — Na mnie czas. Co mam powiedzieć Tanimie?

Fukuda zająknął się. Trudno mu było nawet najbliższemu przyjacielowi odsłaniać najintymniejsze tajniki serca.

— Powiedz jej — wybąknął strzepując nerwowo palcami — powiedz jej, że jestem zdrowy i oczekuję dnia naszego spotkania. No i że — zawahał się, obmyślając, co jeszcze dodać — że tęsknię za nią.

4

Schron wykuty był w twardej skale na południowym stoku wzgórza, w połowie wysokości. Wąskie szczeliny stanowiły otwory strzelnicze. Spełniały one równocześnie funkcję okien, przez które z trudem przedzierały się do wnętrza skąpe pro-

mienie słońca. Z otworów tych widać było niewiele: część zbocza porośniętego lasem wypalonych i potrzaskanych przeważnie drzew, niewielką, przeciętą rowami strzeleckimi nieckę doliny, o której żołnierze mówili „pas neutralny”, i wyrastające na wprost wzgórze znajdujące się już w rękach nieprzyjaciela.

Skalny schron był najdalej wysuniętą placówką ochotników chińskich zajmujących obronę wzgórza 706. Prowadziły doń dwa wejścia misternie ukryte w spiętrzeniach skał i krzewów. Jedno wejście — zachodnie — było naturalną szczeliną niewiele poszerzoną ludzkimi rękami, głęboka rozpadlina biegła stąd na zachód, okalając wzgórze i łącząc je z następnym, bronionym przez oddziały Koreańskiej Armii Ludowej. Wejścia tego używano rzadko, bo gładki, skalny blok nad rozpadliną utrudniał drogę w górę, na szczyt gęsto zryty schronami i rowami strzelniczymi. Znacznie dogodniejsze było połączenie przez wyjście północne, za którym zaczynał się skomplikowany system rowów łączących na zasadniczej linii obrony. Tędy dwa razy dziennie dostarczano pięcioosobowemu garnizonowi skalnego schronu pożywienie, tędy przychodził w odwiedziny do żołnierzy dowódca kompanii Son Dz Ji, komisarz Jan Si Jun, czasem dowódca batalionu, tędy też dostarczano amunicję.

Garnizon skalnego schronu nie czuł się więc odcięty od swoich, choć od najbliższej pozycji dzieliło go prawie dwieście metrów trudno dostępnego zbocza. Dokuczala natomiast całej piątce konieczność nieustannego przebywania w mrocznym pomieszczeniu, w powietrzu przesyconym wilgocią, przed którą nie chroniły grube koce rozwie-

szone na ścianach schronu. Krótkie przechadzki po skalnej rozpadlinie były zaledwie mizerną namiastką jeszcze bardziej pogłębiającą tęsknotę żołnierzy nawykłych do zalanych słońcem przestrzeni. Żołnierze przybyli przed kilku tygodniami z uzupełnienia, cierpieli najbardziej. Nie skarżyli się, nie narzekali, ale pobladłe twarze świadczyły, że nie łatwo im przyzwyczać się do nowych warunków. Ożywiali się tylko wtedy, gdy dowódca garnizonu, doświadczony, od roku przebywający na koreańskim froncie ochotnik Juan Czun-lin, powolnym głosem odczytywał nadesłane gazety.

Odbywało się to przeważnie w godzinach przed wieczornych, gdy milkł ogień i — jak twierdzili ochotnicy — diabeł Sam chrupał czekoladę. Juan Czun-lin odczytywał wiadomości z frontu, opisy walk i bohaterskich czynów, potem przechodził do informacji z kraju.

Licząc się z tym, że czasu do wznowienia artyleryjskiej kanonady zostawało niewiele, dowódca skalnego schronu wyszukiwał artykuły informujące głównie o życiu w tych okręgach, z których pochodzili jego żołnierze.

Pewnego dnia wypłynęła sprawa, której Juan Czun-lin nie brał jakoś dotąd pod uwagę. Stało się to, gdy przeczytał żołnierzom artykuł o bohaterskich obrońcach wzgórza 1 090 przez dwa dni odpierających zaciekły szturm nieprzyjacielski. Wtedy w ciszy rozmyślań rozległ się głos niskiego, szczupłego, milczącego zawsze ochotnika Sun Keczana:

— Tak, ludzie walczą, a my siedzimy, jak krety w norze...

I rozpętała się burza. Okazało się, że cała czwórka Juan Czun-lina myśli to samo. Nawet Hu Czun-tsy był tego zdania. Trudno było dowódcy skalnego schronu przekonać swoich podkomendnych, że ich izolacja od działań wojennych jest pozorna i jedynie chwilowa. Gorąco, namiętnie tłumaczył, jak wielką wagę przywiązuje dowództwo batalionu, pułku, dywizji, ba, całego frontu, do ich wysuniętej placówki. Żołnierze kiwali głowami, niby to przyznając rację, ale w duszy wciąż uważali, że ich udział w wojnie jest minimalny. Najlepiej myśl tę wyraził Sun Keczan.

— Schowaliśmy się za skalnym pancierzem i tylko straszmy Amerykanów, zamiast ich bić.

Juan Czun-lin, nie bardzo wiedząc, jak sobie poradzić z garnizonem, czekał jak zbawienia wizyty komisarza. Ten zaś, jak na złość, miał ostatnio wiele zajęć i porozumiewał się z garnizonem skalnego schronu tylko przez telefon.

Dowódca placówki łamał sobie głowę, jakich argumentów użyć w rozmowie z towarzyszami. Najgorzej przecież, gdy żołnierz, do tego jeszcze nie ostrzelany, nie docenia wagi powierzonego mu zadania... I tu z pomocą przyszedł mu bieg frontowych wydarzeń.

W dwa dni po tej rozmowie Amerykanie przypuścili szturm. Zaczęło się od ciężkiego nalotu. Bomby łupały skaliste zbocze wzgórza. Huk kano-nady artyleryjskiej wypełnił przestrzeń schronu. Jeden pocisk ugodził w otwór strzelnicy, przy którym dyżurował najmłodszy ochotnik. Żołnierza tylko drasnęło, ale karabin maszynowy został zniszczony. Niemal równocześnie z niecki pod wzgórzem zerwali się nieprzyjacielscy żołnie-

rze. Juan Czun-lin siekł amerykańską tyralierę niskim ogniem, ale zabrakło mu poparcia drugiego karabinu maszynowego. Rzucił rozkaz i zanim się obejrzał, Hu Czun-tsy już umieścił w poszerzonym wskutek trafienia otworze lufę zapasowego kaemu.

Mały garnizon przeżył kilka gorących godzin, póki zmasowany ogień artylerii pułkowej, moździerzy ukrytych na szczycie wzgórza i karabinów maszynowych całego batalionu nie zmusił Amerykanów do wycofania się na pozycje wyjściowe.

Chrzest ogniowy położył kres rozmowom o „kreciej służbie”. Nikt już nawet nie myślał, że garnizon skalnego schronu próżnuje.

Ale szturm wzgórza 706 nie ponowił się. Na tym odcinku frontu, od dawna umocnionym, trudnym do sforsowania wskutek doskonale przemyślanego systemu obrony i warunków terenowych, nieprzyjaciel siedział na ogół cicho, od czasu do czasu próbując się gdzieś przedrzeć. Tylko bombardowanie i ostrzał artyleryjski trwały niemal przez całą dobę, utrzymując obrońców wzgórza w nieustannym napięciu i gotowości.

Pierwszy wspólnie przeżyty bój zbliżył do siebie żołnierzy. Skończyły się samotne rozmyślania i godziny milczenia. Tęsknili teraz za domem wszyscy razem, inaczej jakoś niż parę dni temu. Opowiadali sobie nawzajem szczegółowo o swoim życiu w dalekich wioskach, o troskach i radościach, rodzinach, zainteresowaniach.

Któregoś dnia Juan Czun-lin został wezwany do dowódcy kompanii. Wrócił po kilku godzinach obładowany smakołykami i plikiem pism ilustrowanych. W kieszeniach miał pełno mandarynek, niewiele większych od orzecha.

— To nam przysłali chłopci z Hangczou — oświadczył żołnierzom wykładając owoce i słodycze na koślawy, niski stoliczek. — Dowódca kompanii wydzielił nam największe porcje, mówiąc, że pełnimy najbardziej odpowiedzialną służbę. Uprzedzał także, abyśmy czuwali dzień i noc. Słyszysz, Sun Ke-czan — zwrócił się do spoglądającego nań ochotnika przy otworze strzelniczym — dzień i noc, a tyś się odwrócił tyłem do wroga, jakbyś miał oczy na plecach.

Sun Ke-czan zawstydzony czym prędzej przycisnął twarz do *otworu strzelniczego*. A Juan Czun-lin uśmiechnawszy się mówił dalej:

— Dowódca kompanii nie powiedział mi tego tak sobie, żeby coś mówić. Amerykanie coś szykują. Ostatnio szturmy na naszym odcinku frontu zdarzają się coraz częściej. Macają jak jaszczurki. Każdej chwili można się spodziewać ataku. Musimy więc być czujni.

Ochotnicy zajądając mandarynki potakiwali. Chcieliby o różne rzeczy zapytać swego dowódcę, ale nie mogli mu przecież przerywać. Zresztą Juan Czun-lin sam dobrze rozumiał, czego od niego oczekuje garnizon. Przekazawszy rozkazy dowódcy zaczął im opowiadać o towarzyszach z kompanii. Każdy miał tam na górze kogoś, z kim się zaprzyjaźnił lub zbliżył w drodze na front. Pamiętał o tym i korzystając z pobytu u dowódcy kompanii wywie działał się o wszystko.

— I ja spotkałem starego towarzysza. — Zaśmiał się zapalając papierosa. — On teraz jest sanitariuszem. Opowiadał mi o naszym lekarzu pułkowym.. To kobieta. I nie Chinka, To Japonka. Mieszka w Chinach od niedawna. Musiała uciec z

Japonii przed prześladowaniami. Mój przyjaciel opowiadał mi wszystko. Ta lekarka wykryła w Japonii jakąś amerykańską fabrykę dżumy czy coś w tym rodzaju. Zresztą nieważne — rzucił zdecydowanie, chcąc jakby zastrzec się przed ewentualnymi pytaniami towarzyszy. — Amerykanie chcieli ją aresztować, ale ona uciekła...

— I sama to wszystko zrobiła?

— Nie. Ma męża. Zrobili to razem.

— A on? Też jest w naszym pułku? — zapytał jeden z żołnierzy.

— Nie wiem, mój przyjaciel nic mi o tym nie mówił — odparł Juan Czun-lin nie kryjąc niezadowolonia. To, że nie mógł zaspokoić ciekawości swoich chłopców, napełniło mu serce żalem. — Na dziś dość gadania. Ty, Hu Czun-tsy, obejmij dyżur obserwatora! — rozkazał wstając. — Sun niech się prześpi, a i ja się zdrzemnę. Kto chce, może przeczytać gazety. Przyniosłem nowe, z obrazkami. Za godzinę mnie obudźcie.

— A ja i Sun Ke-czan znamy tę doktorkę — oświadczył Hu Czun-tsy wstając od stołu.

— Wy... znacie? — uśmiechnął się niedowierzająco Juan Czun-lin.

— Naturalnie, my — potwierdził z dumą Sun. — Nawet rozmawiałem z nią.

— Kiedy? — nie ustępował dowódca.

— W drodze na front. Jechała naszym transportem.

— A o czym to ona z tobą rozmawiała?

— Ona... hm — zająknął się Sun. — Ona mnie pytała, czy nic mi nie dolega.

Odpowiedział mu huczny śmiech. Speszony Sun spojrział na swego przyjaciela błagając go

wzrokiem o pomoc, ale Hu Czun-tsy objął już służbę i nie widział tego. Słyszając jednak, że towarzysze śmieją się z Suna, nie odwracając się od strzelnicy powiedział:

— Lepiej mylibyście częściej zęby. Doktorka tu jeszcze przyjdzie i dostaniecie naganę za nieprzestrzeganie czystości.

— Jeszcze co? — Jeden z żołnierzy zachichotał. — Tu do nas przyjdzie!

— Zobaczmy — wzruszył ramionami Hu Czun-tsy.

— Przyjdzie czy nie przyjdzie — odezwał się Juan Czun-lin kładąc się na pryczy — zęby trzeba myć. Sam będę sprawdzał. Pamiętajcie — dodał ostrzegawczo, uważając, że w każdej dyskusji on jako dowódca powinien rzec ostatnie słowo.

ROZDZIAŁ IV

1

Jednostajny, przytłumiony szum silników przytępiał słuch, jakby wypełniając uszy watą. Trwało to już tyle godzin, że nawet otwieranie ust połączone z gwałtownym połykaniem śliny nic usuwało przykrego wrażenia. Spokojne wibrowanie samolotu z rzadka zakłócał nagłym skokiem w głąb dziury powietrznej potęgowało nastrój senności i nudy. Mac Donaldowi nie chciało się nawet otworzyć oczu. Widok nie był ciekawy — wokoło oślepiający błękit bezchmurnego nieba, a w dole zielonkawo-szara masa wód, z tej wysokości gładka i nieruchoma jak zastygła lava. Po co miał więc otwierać oczy — i tak nic ciekawego nie zobaczy.

Gazety, niedbale rzucone na podłogę, już przejrzał, rozmawiać z współtowarzyszami — kolegami po fachu... o czym? Znów o tym samym? Zresztą znał ich doskonale ze wszystkimi przywarami i śmiesznościami. Trzy miesiące wspólnego spania w jednej sali, jedzenia przy jednym stole, przesiadywania na tych samych wykładach, to termin dostatecznie długi, by rozszyfrować człowieka, przynajmniej w najbardziej ogólnym zarysie.

O czym myślał Lionel Mac Donald? Gdyby go ktoś o to zapytał, odrzekłby niechybnie—w ogóle nie myślę.

I to subiektywnie byłoby prawdą. Bo Lionel Mac Donald starał się nie myśleć o niczym. W duchu pomrukiwał jakąś idiotyczną piosenkę, aby odsunąć od siebie wszelkie rozważania czy wspomnienia. I po cóż mu potrzebne myślenie. Czuł się szczęśliwy, że teraz ktoś musi się o wszystko za niego kłopotać, zastanawiać.

Ale nie myśleć w ogóle — jest rzeczą niemożliwą. Więc Lionel Mac Donald zmęczony wewnętrznym podśpiewywaniem popuścił cugli fantazji. Wyobraził sobie, że jest milionerem udającym się w towarzystwie całego sztabu podskakiewiczów i paru zgrabnych sekretarek w podróż w nieznane. Samolot, którym jedzie, nie jest wcale wojskowym transportowcem, ale luksusowym statkiem powietrznym stanowiącym jego własność. I wcale nie lecą nad bezkresną przestrzenią Pacyfiku, tylko gdzieś nad niezbadanym zakątkiem ziemi...

Przypomniał sobie widziany kiedyś w chłopcych latach film o baśniowej krainie „Szenгри Lah“ zagubionej wśród niebotycznych szczytów Pamiru czy Tybetu — nie pamiętał już dokładnie gdzie.

Pamiętał za to wszystkie szczegóły owego wyimaginowanego raju, gdzie wiecznie panuje wiosna, a ludzie nigdy się nie starzeją. Właśnie on, milioner Lionel Mac Donald, odwiedza tę krainę, poznaje tam piękną dziewczynę, porywa ją i... Diabelnie złe zakończenie filmu: przekraczają niewidzialną granicę Szengri Lah i piękna dziewczyna okazuje się pomarszczoną, umierającą staruchą.

Otworzył oczy. Zaklął w duchu. Jego fantazje pryskają zawsze tak samo jak iluzja tamtego filmu. Wcale nie jest milionerem, tylko zwyczajnym porucznikiem lotnictwa, nie jedzie do Szengri Lah, tylko do przeklętej Korei... I w ogóle życie jest beznadziejne. Marzysz o jednym, a robisz coś wręcz przeciwnego.

Kiedyś, jako młody chłopak, Lionel Mac Donald marzył o wielkim domu towarowym w rodzinnej Peorii. Było to zresztą nie tylko jego marzenie. Takiej kariery pragnął dla syna również szanowny mister Harold Mac

Donald, właściciel maleńkiego sklepiku, w którym można było otrzymać wszystko poczynając od patentowanych sznurowadeł, a kończąc na wypchanej focie złowionej przez — jak głosiła reklama — samego Jacka Londona. Naturalnie nikt nie wierzył tej reklamie i foka żarta przez pozbawione szacunku dla literatury mole niezmiennie tkwiła na wystawie, strasząc małe dzieci martwym spojrzeniem wyłupiastych oczu. Z wystawowej niewoli uwolniła fokę kolejna fala kryzysu, podobnie jak uwolniła również mister Harolda od kłopotów związanych z przesiadywaniem w podupadłym interesie. Lionel, który w roku owej katastrofy ukończył szkołę, musiał ku swemu i ojca wielkiemu za-

lowi zrezygnować z ambitnych marzeń o niebotycznej reklamie spadającej ku ziemi fontannami światła: kupujcie u Mac Donalda, kupujcie u Mac...

Może Mac Donald pamiętał tak dobrze film o baśniowej krainie Szengri Lah dlatego, że z krainy swoich marzeń zawsze w życiu wychodził zdruzgotany jak bohater filmu uprowadzający piękną dziewczynę po to, by się przekonać, że jest ona tylko bezzębną, ohydną staruchą. Zamiast marzeń o „*big storey*“ trzeba było łązić po brudnych ulicach Peorii, kołatać do setek drzwi z prośbą o pracę, której nie było i nie mogło być.

Przejadłszy resztki cudem uratowanych oszczędności stary Mac Donald przeniósł się w lepszy świat, o którym wielebny pastor Hutchinson mawiał, że nie ma tam ani kryzysów, ani bankructw, Lionel zaś z sercem wypełnionym nienawiścią do rodzinnego miasta pojechał szukać szczęścia w Chicago. Znalazł je na afiszu werbunkowym w jednej z knajp na przedmieściach. Uśmiechało się do niego błyskiem białych zębów młodego mężczyzny w niedbale zsuniętej na tył głowy żołnierskiej czapce. Młodzieniec z plakatu nie reklamował tym razem „niezastąpionej pasty do zębów“, ale wołał zachęcająco: „chcecie poznać radość życia, wstępujcie do armii“. Mac Donalda skłonił do tego nie tyle roześmiany młodzian, ile pięciomiesięczna tułaczka w poszukiwaniu najędzniejszej bodaj pracy.

W biurze werbunkowym Lionel Mac Donald spotkał jeszcze kilku takich jak i on rozbitków życiowych chwytających się w morzu życia przysłowiowej brzytwy. Komisja lekarska zadecydowała o jego dalszym losie, wpisując na obszernym arkuszu

ewidencyjnym adnotację — zdolny do służby w lotnictwie.

Nie poznał radości życia w koszarach szkoły pilotów. Wbrew szumnym zapowiedziom życie było tu nudne i jednostajne. Miało jednak poważny urok — dzień jutrzejszy nie zapowiadał nędzy ani głodu.

W szkole pilotów Lionela Mac Donalda zapoznano nie tylko z kunsztem sterowania śmigłymi odrzutowcami i ocieężałymi, ryczącymi bombowcami. Wprowadzono go także w świat wydarzeń i spraw, które do rodzinnej Peorii jeśli nawet zbłądziły czasem na łamach miejscowych gazet, nie budziły niczyjogo zainteresowania. Dowiedział się teraz, że na świecie był kiedyś faszyzm, który na szczęście zlikwidowano, jest także komunizm, którego na nieszczęście nie zlikwidowano, i wreszcie jest demokracja, której najszczytniejszym powołaniem jest zlikwidowanie komunizmu. Być może, że tłumaczono mu te sprawy znacznie szerzej i dokładniej, ale kto by tam pamiętał wywody — Mac Donaldowi wystarczyła konkluzja, a jego wychowawcom wcale nie zależało na głębszym roztrząsaniu tych spraw przez żołnierzy. Mac Donald nie interesował się zresztą tymi sprawami nie tylko z braku wewnętrznej potrzeby, lecz także przez ostrożność.

W pierwszym okresie pobytu w szkole wojskowej jeden z młodych żołnierzy podczas wykładu politycznego wszczął dyskusję z oficerem na temat historycznej misji Stanów Zjednoczonych i luźno związanej z tym sprawy bezrobocia. Wykładowca twierdził, że bezrobocie spowodowane jest istnieniem komunizmu i zniknie z chwilą, gdy Stany Zjednoczone zapanują nad całym światem, młody

żołnierz zaś protestował a powołując się na różne fakty udowadniał, że sprawcami bezrobocia są właściciele fabryk. Mac Donald gotów był nawet poprzeć wywody kolegi, na szczęście w porę spojrzął na wykładowcę i zrozumiał, że lepiej milczeć. Wreszcie przekonał się o tym jeszcze lepiej, gdy owego kolegę wyrzucono ze szkoły jako niebezpiecznego komunista i na dobitkę postawiono przed Komisją do Badania Działalności Antyamerykańskiej.

Mac Donald wyniósł z tej sprawy wielką naukę, że nie wolno spierać się z przełożonymi i jeśli chce żyć w spokoju, bez strachu o dzień jutrzejszy, najlepiej milczeć jak głaz. Toteż nawet w rozmowach z najbliższymi przyjaciółmi starannie unikał wszelkich tematów politycznych. Zdobył więc stopień oficera pilota z jak najlepszą opinią. Podobnie zresztą zachowywał się później w pułku lotniczym w San Francisco, dokąd skierowano go po ukończeniu szkoły.

A marzenia? Owszem, miewał je. Czasem nawet zachłystywał się nimi, widział siebie w roli wielkiego zdobywcy przestworzy, podbijającego różne ziemie ku chwale swej potężnej ojczyzny. Wieczorami — gdy po dniu wypełnionym zajęciami koledzy zasypiali w swoich klitkach — kładł się na łóżku założywszy ręce pod głowę i przemieniał się w możnego magnata przemysłowego, kochanka najpiękniejszych dziewcząt... W rzeczywistości zaś udawało mu się zdobyć dziewczynę tylko na krótko, na tyle dni, na ile starczyło mu skromnej pensji.

Innych dziewcząt nie znał, a szukać... to nie leżało w naturze Mac Donalda.

Nie on życiem, ale życie nim kierowało. A czy złe było, czy dobre — o tym wolał nie myśleć. Kiedyś obserwował atak policji na pochód strajkujących robotników. W odległości kilkunastu kroków od drogerii, w której napił się wody sodowej, paru policjantów grzmociło pałkami zakrwawionego starszego mężczyznę. W pierwszym porywie chciał pobiec tamtemu na pomoc, ale przypomniał sobie, co major Clark opowiada na zajęciach o „czerwonym niebezpieczeństwie” i „czerwonych agentach”, i czym prędzej wrócił do drogerii. Wszystkimi siłami starał się odizolować od niebezpieczeństw kryjących się w krótkim określeniu „polityka”. Nie różnił się tym od większości swoich kolegów.

Potem wybuchła wojna w Korei. Mac Donald przestraszył się. Służba w San Francisco, jakkolwiek nudna i jednostajna — przecież była bezpieczna, a tam — tu już Mac Donald nie wierzył swoim przełożonym zapewniającym o szybkim i bezkrwawym zwycięstwie — tam groziła śmierć. Ze strachem oczekiwał dnia, w którym zawiadomią go, że zostaje wysłany na front. Mijały miesiące — część jego kolegów wyruszyła do Korei, nazwiska niektórych odnalazł w czarnej, żałobnej ramce, a jego wciąż nie ruszano.

Aż tu trzy miesiące temu wezwał go do siebie dowódca pułku. Rozmowa miała przebieg nader zachęcający. Pułkownik opowiadał o służbie w Korei, jakby to była wyprawa na wycieczkę krajoznawczą połączona z szybkim i łatwym zdobywaniem majątku. Pułkownik przytoczył nawet przykład kapitana Hulla, oficera z ich pułku, który wrócił ostatnio po odbyciu rocznej służby w Korei i teraz kupił

sobie piękną willę, jeździ własnym luksusowym samochodem i z podziwu godną nonszalancją rozdziela autografy zarówno na czekach, jak i na skrawkach papieru podsuwanych mu przez patriotycznie nastrojone, czarujące dziewczęta.

Mac Donald nie bardzo wiedział, co sprawiło, że trzy miesiące temu podziękował pułkownikowi za zaszczytną propozycję i z radością przyjął rozkaz wyjazdu na kurs przygotowawczy dla pilotów samolotów bombowych. Być może, że oczarowała go nagle pięknie narysowana przez pułkownika wizja zdobycia majątku, może chęć zobaczenia kraju, o którym wciąż tyle słyszał, może pragnienie sławy bojowej, a może po prostu obawiał się skutków, jakie pociągnąłby grymas niechęci na twarzy... Nie, stanowczo Mac Donald nie wyruszył na wojnę powodując się miłością zagrożonej ojczyzny. Nie dostrzegwał żadnych objawów jakiegokolwiek zagrożenia. Wprawdzie w pierwszym okresie wojny szczerze oburzał się na komunistyczną agresję, ale z czasem napłynęły wątpliwości. Gdzieś przypadkiem zasłyszane półsłówka, przeczytana notatka w gazecie, echa demonstracji rodzin żołnierzy wysłanych na Koreę — wszystko to zasiało w sercu młodego pilota ziarna niepewności. Krytyczniej niż kiedykolwiek słuchał wynurzeń majora Clarka, z mniejszą ufnością odnosił się do artykułów w prasie i radio. W tej wojnie, w atmosferze, jaka ją otaczała, coś mu się nie podobało. Co i dlaczego — nad tym wolał się nie zastanawiać. Sierżant Lawrence, mechanik pokładowy, który wrócił z Korei bez nogi i zbyt szeroko dowodził, że ta cała historia to jest jedno wielkie świństwo, pewnego pięk-

Dżuma II

nego dnia znikł z garnizonowego szpitala, a Mac Donald nie chciał iść w jego ślady.

Teraz miał za sobą trzymiesięczne przeszkolenie i w nowym mundurze siedząc w brzuchu powietrznego wieloryba niby współczesny Jonasz przecinał niebo nad Pacyfikiem. Gdzież tu więc miejsce na marzenia o wycieczce milionera w nieznanne.

Otworzył oczy i nie odwracając głowy zerknął przez okno. Wciąż to samo, do znudzenia to samo — błękit nieba i obrzydliwa monotonia oceanu. W samolocie wszyscy drzemali. Tylko siedzący w sąsiednim fotelu Ben Carter czytał gazetę, przesuwając zgaszonego papierosa z jednego kącika ust w drugi. Tęgi, z czerwoną, obrzmiałą twarzą — przypominał ropuchę chwytającą łapczywie źdźbło tataraku. Mac Donald lubił Cartera. Przyjaźń ich zaczęła się od spacerów po mieście, podczas których Mac Donald z satysfakcją odczuwał, że ze swą pociągłą twarzą o mocnym podbródku, prostym, wydatnym nosem, błękitnymi oczyma i gęstą, rudawoblond czupryną, gładko zaczesaną w tył, jest o wiele przystojniejszy od łysawego, zaniedbanego kolegi. Imponowało mu, że dziewczyny oglądają się za nimi i chichocząc porównują urodę jednego z brzydota drugiego.

Ben Carter był we wszystkim przeciwieństwem Mac Donalda. Lubiał pogadać od serca, nie ukrywał przed przyjacielem swoich wątpliwości, nazywał majora Clarka „bałwanem, w którym energia atomowa wyzwoliła ogrom głupoty”, kłął wojnę na czym świat stoi. Rzecz jasna, Ben nie ogłaszał swych wypowiedzi publicznie, chował je dla siebie i dla przyjaciół, ale i to imponowało Mac Donaldowi,

który nawet w chwilach największej szczerości bał się zrzucić z siebie maskę aprobującego wszystko mruka.

Spojrzał na pogrążonego w lekturze Cartera i zawołał :

— Ben!

Tamten obejrzał się, na jego żabiej twarzy wykwitł uśmiech.

— Myślałem, że śpisz, Lion, nie chciałem cię budzić.

— Kto by tam spał — wzruszył ramionami Mac Donald.

— Aha, mister Mac Donald marzył, co? — zarechotał

Carter. — Może o swoim bajecznym Szengri Lah? Ty barania głowo, zaczerwieniłeś się, a więc zgadłem! — Twarz Cartera nabrzmiała ze śmiechu. — To nawet marzenie na czasie! Najpierw zabierzemy Koreę, potem wpakujemy się do Chin — no i masz swój Szengri Lah.

— Odczep się, Ben, bo zamiast na lotnisku wylądujesz w szpitalu — mruknął nachmurzony Mac Donald. — Powiedziałem ci, żebyś sobie schował do kieszeni swojo bałwańskie dowcipy.

Carter skrzywił się z niesmakiem.

— Z tobą, Lion, nawet pożartować nie można. Niech cię diabli. Myśl sobie dalej o laurach w Korei i odczep się ode mnie.

Ostentacyjnie rozłożył gazetę i odwrócił się bokiem do Mac Donalda, ale gniew szybko minął. Zerknął na kolegę i trącił go ramieniem:

— Czemu jesteś taki ponury, Lion? Masz na to czas, zdążysz, kiedy czerwoni zadek ci ze skóry

obedną. A na razie ciesz się, że masz nogi i ręce w porządku. No, co powiesz, barania głowo?

Mac Donald też pożałował swego wybuchu. Ben nigdy przecież nie żartował tak, by mu dokuczyć. Taki już miał sposób mówienia.

Spojrzał na zegarek. Niedługo już chyba dojadą na miejsce. Ciekawe, czy zawiozą ich do Tokio, do którejś z baz, w Japonii, czy też prosto na Koreę. Zapytał o to Bena. Ten zamyślił się.

— Czy ja wiem? W Pearl Harbour pytałem naszego pilota, ale ta barania głowa posłał mnie do wszystkich diabłów. Może on sam nie wie? Siedzi z nim w kabinie ten kapitan z ponurą gębą. Ten chyba wszystko wie, ale spróbuj go zapytać, to cię jeszcze obije po pysku. Mówię ci, cała ta wojna to jedno wielkie świństwo.

— To po coś na nią pojechał? — rzucił się na niego Mac Donald.

— Znów to samo. Sto razy mnie o to pytałeś i zawsze mówię ci to samo: nie wiem. W każdym bądź razie nie jadę tak jak Murray czy Kid, którzy są święcie przekonani, że najważniejszym obowiązkiem Amerykanina jest wyróżnić wszystkich kolorowych. Jadę, bo mi kazano. Mógłbym cię o to samo zapytać. Zresztą najzdrowiej jest o tym nie myśleć.

— Tak też robię — mruknął Mac Donald. — Ale to

się nie zawsze udaje.

— No to jak już musisz myśleć, staraj się przynajmniej, by myśli były przyjemne. Na przykład Hull. Ten ci naopowiadał. Dziewczynki w tej Korei, palce lizać. Użyjemy sobie, barania głowo, co?

— Z twoją gębą? — Mac Donald nie mógł się powstrzymać od złośliwości, ale Carter nie obraził się za docinek.

— Właśnie, nawet z moją gębą. Tam jest wojna, barania głowo, a my jedziemy jako wyzwoliciele. Kto wobec nas nie jest uległy, my mu na łeb małą bombkę. Tak mówił Hull. Z dziewczynkami to samo.

— A więc po to jedziesz na Koreę? — roześmiał się Mac Donald.

Carter splunął.

— Barania głowa — zaklął. — Wszystko razem to jedno wielkie świństwo, ale dolary piechotą nie chodzą. Dobrze nam za ten interes zapłacą i to jest najważniejsze. Grunt to przeżyć.

Zamilkli. Silniki samolotu potężnym basem mruzczały swą jednostajną pieśń. Z kabiny pilota wyszedł młody, uśmiechnięty podoficer — mechanik pokładowy. Przechodząc obok Mac Donalda i Cartera powiedział:

— Już niedługo, chłopcy. Za jakąś godzinę będziemy na miejscu.

— A gdzie lądujemy? — zapytał Carter.

— Mnie tego nie meldowali — podoficer skrzywił twarz w ironicznym grymasie. — Ale myślę, że albo Fu-czou, albo Tachikawa. Taki towar jak wy wyladowujemy ostatecznie na tych bazach.

Gdy mechanik odszedł, do pograżonych w rozmowie kolegów zbliżył się niski, tęgawy blondyn o wyłupiastych rybich oczach i cofniętym podbródku, przeciętym głęboką bruzdą.

— Ledwie żyję — wystękał siadając na poręczy fotela. — Dajcie mi papierosa.

— Udajesz, Murray — pogardliwie syknął Carter. — Im bliżej celu, tym bardziej trzęsą ci się łydki.

Murray zaklął soczyście i strzyknął cienkim strumieniem śliny celując w czarną plamę na chodniku między fotelami.

— Bredzisz! — odparł. — Jestem absolutnie wykończony. Ten konował w Camp Stoneman musiał mi zaaplikować jakąś zwiększoną dawkę tych paskudztw. Wciąż jeszcze nie mogę przyjść do siebie. Cholera, dżuma, tężec, encephalitis japonica, diabli wiedzą, czym on mnie nie nafaszerował.

— Przestań stękać, Murray! — wrzasnął zniecierpliwiony Carter. — Wszystkim zrobiono te same zastrzyki. Jak cię bolało, to mogłeś zostać w Camp Stoneman. Ta mała Greece chętnie by cię leczyła przez parę tygodni. Mówiła, że już mierzi ją ta robota w obozie przejściowym, gdzie zabierają jej chłopca, zanim zdąży się do niego przyzwyczaić.

Wszyscy trzej wybuchnęli śmiechem. Murray przypomniał sobie o roli chorego i skrzywił się boleśnie.

— Nie mogłem przecież zostać sam w tej podłej dziurze. Was przynajmniej znam z kursu... A tych śmierdzących szczepionek to słowo daję wpakowali nam za dużo — westchnął. — I diabli wiedzą, komu to jest potrzebne, jakbyśmy jechali na robotę do szpitala zakaźnego, a nie na wojnę.

— To dla twojego dobra, Murray, tylko dla twego dobra — zarechotał Carter. — Pamiętasz chyba, co nam mówili na kursie. Te skośnookie, czerwone diabły mogą każdej chwili rozpętać wojnę bakteriologiczną, a wtedy gotów jesteś zdech-

nać na dżumę, zamiast zginąć na polu chwały, barania głowo.

Murray szarpnął się i przysunawszy twarz bliżej do głowy Cartera, powiedział z trudem hamując gniew:

— Słuchaj, Carter, trzymaj pysk na łańcuchu. Nie szczekaj tyle, bo cię może spotkać jakaś przykrość. Zapomniałeś, co powiedział major Wellington? Ani pary z gęby na ten temat. Nawet w prywatnych rozmowach między sobą. Zobaczysz, że cię twój pysk zaprowadzi jeszcze na szubienicę. Wciąż musisz mleć językiem. Weź sobie przykład z Maca. Ten tylko słucha, a nic nie gada.

Mac Donald skrzywił usta w ironicznym uśmiechu. Pochwała Murraya nie sprawiła mu przyjemności. Nie znosił tego nadętego krzykacza, który nie pomijał żadnej okazji, by wyrazić swą bezgraniczną nienawiść do czerwonych, czarnych i wszystkich kolorowych. Mac Donald czuł, że złośliwe docinki Cartera są uzasadnione. W przeddzień odjazdu z Camp Stoneman, gdy powiedziano im, że być może od razu po przybyciu na miejsce zostaną skierowani do akcji, Murray zaczął się skarżyć na złe samopoczucie spowodowane nawrotem dolegliwości po szczepieniach ochronnych. Ale Mac Donald jak zwykle tak i teraz nie dał po sobie poznać, co myśli.

Carter też spoważniał. Lypnął niespokojnym okiem na Murraya i już innym tonem zaczął się usprawiedliwiać:

— Kiedy ja, Murray, nic nie powiedziałem. Zażartowałem tylko, znasz mnie przecież.

Dżuma II

— To sobie zakarbuje w tym żabim łbie, że masz milczeć — triumfującym tonem powiedział Murray. — To sprawy zbyt delikatne. Prawda, Mac?

— Mmm — mruknął niechętnie Mac Donald.

Drzwi kabiny nawigacyjnej znów się otworzyły. Ukazał się w nich kapitan o ponurej twarzy.

— Przygotować się do lądowania, boys, szybko.

W samolocie zaczął się ruch, posypały się żarty, śmiechy. Wszyscy poczuli nagły przyływ podniecenia. Lądowali u progu wojny.

2

Dwa dni spędzone w bazie lotniczej Fuczou pokazały Mac Donaldowi trochę bliżej różne strony wojny koreańskiej. Jej zniekształcone echa docierające do niego w Stanach, tutaj w bezpośrednich rozmowach z uczestnikami wojny nabierały zupełnie innej wymowy i blasku. Mac Donald uderzyło przede wszystkim to, że prawie wszyscy klęli tę wojnę. W ciągu tych dwóch dni rozmawiał z kilku lotnikami, którzy niejednokrotnie brali udział w działaniach wojennych. O swoich przeżyciach opowiadali niezbyt chętnie i nader skąpo. Prawie wszyscy używali Carterowskiego określenia: — jedno wielkie świństwo. Cieszyli się z chwilowego odpoczynku w bazie, całe dni spędzali w klubie, pijąc na potęgę i tańcząc do upadłego z dziewczętami ze służby pomocniczej.

Drugiego wieczoru w czasie pijatyki Mac Donald znalazł się przy stole z podchmielonym kapitanem, który przy piątej czy szóstej szklaneczce ginu powiedział mu, że nazywa się Cook, lata na

„B-26“, pluje na ten cały zas... interes, ma w Minneapolis żonę i dziecko i zarabia na froncie sporo dolarów, bo za to świństwo dobrze płacą.

Mac Donald też podпиты bąkał coś o obowiązku i zwycięstwie, ale kapitan miał na to wszystko jedną odpowiedź — krótkie, lecz dosadne słówko.

— Mnie uczyć nie będziesz. — Kapitan z pijackim uporem szarpał Mac Donalda za rękaw. — Ja jestem stary lotnik. Dortmund kto bombardował? A Essen, a Hamburg, a Kiel? Może ty, co? Mnie uczyć nie będziesz. Ja wiem, co to jest wojna. Moje bomby trafiają zawsze w cel. O, patrz! — Kciukiem stuknął się w pierś, na której widniały wstążeczki orderów. — Mnie uczyć nie będziesz. Ja wiem, kogo i jak trzeba bombardować.

— Czego ryczysz jak zdychający wół? — zapeczył się Mac Donald. — Nikt ciebie nie uczy. Małoż to ludzi bombardowało ten twój Hamburg? A teraz trzeba bombardować Phenian. Ta sama robota.

Kapitan napełnił szklaneczkę. Swoją uniósł, jakby ważąc w dłoni przyjrzał się pod światło żółtawemu płynowi, zbliżył szklaneczkę do ust i gwałtownie ją przechylił. Potem skrzywił się, parsknął i zakaszłał.

— A czy ja mówię, że nie ta sama? — zerknął bokiem, podejrzliwie na Mac Donalda i powtórzył z pijacką zawziętością: — Mnie uczyć nie będziesz. Ale jak ci każą polować na... chłopkę w polu, to inaczej zaśpiewasz. Ty jesteś żółtodziób, nic nie wiesz, a rzucać bomby na śmierzące wioski to świństwo.

Mac Donald korzystając z tego, że do kapitana przysiadła się jakaś dziewczyna, wyszedł z sali. Na dworze dał chłodny wiatr. Na czarnym, bezdennym

niebie odbijały się czerwonym blaskiem orientacyjne światła pól startowych. Gdzieś w górze हुआ silnik transportowca.

Mac Donald splunął ze złością. Coraz mniej uśmiechała mu się ta wojna. To, co mówił kapitan, słyszał już od kilku lotników. Przeważnie bombardowali wioski i od dawna zburzone miasta. Nazywało się to „bombardowaniem psychologicznym”. Mac Donald nie żeby miał jakieś wyraźne skrupuły, ale nie kwapił się do tego rodzaju roboty. Było w tej wojnie coś, co nawet z daleka budziło niesmak. A co będzie, gdy zajmie miejsce za sterem samolotu? Narastające od dłuższego czasu wątpliwości męczyły go, zatruwały spoczynek. Zazdrościł Ki 95-dowi, że z taką swobodą w dwie godziny po wylądowaniu czuł się w Fuczou jak ryba w wodzie, głośno reklamował swój zapal bojowy, zapowiadał, że przy pierwszej okazji wybebeszy całą tę koreańską bandę. Na dobitkę spotkał żołnierza — Murzyna z obsługi naziemnej — i uderzył go pięścią w twarz za brak szacunku dla oficera, czym zdobył poklask kilkunastu młodzików podobnie jak on pochodzących z Alabamy czy Luizjany. Mac Donald, choć uważał to wszystko za niesmaczne, zazdrościł Ki-dowi wewnętrznej równowagi, a jednocześnie męczyło go, że nie potrafi, boi się wypowiedzieć swe wątpliwości nawet tak zaufanemu koledze, jak Carter.

Tego samego dnia po południu siedzieli w wysłużonym transportowcu, kierując się ku brzegom Korei. Z twarzami przyciśniętymi do grubych szyb okiennych chcieli chłonęli przepływający pod nimi krajobraz — malownicze łańcuchy górskie przedzielone zielonymi morzami dolin, małe osie-

dła, kręte wstęgi rzek i potoków. Był to krajobraz zupełnie inny niż ten, który przez tyle miesięcy oglądali z samolotów nad zachodnimi wybrzeżami ojczyzny. Tam były groźne, wysokie, najeżone skałami góry — tu niewysokie, lesiste pagórki — filigranowe i lekkie jak cały ten kraj.

3

Natychmiast po przybyciu do bazy K-8 otrzymali przydziały. Ożywiony ruch, pędzące we wszystkich kierunkach „dżipy“, startujące i lądujące samoloty stwarzały atmosferę ciągłego napięcia, odsuwały gdzieś daleko myśli o sprawach innych niż wojna.

Mac Donalda przydzielono do 8 dywizjonu bombowców trzeciego zgrupowania lotniczego. Dowódca dywizjonu, major w średnim wieku, wysoki i chudy jak tyka, przywitał go oschle, krótko wypytał o przebieg dotychczasowej służby i zaproponował, by Mac Donald wykorzystał wolne popołudnie na zapoznanie się z oficerami dywizjonu.

— U nas, poruczniku — podkreślił z naciskiem — nie ma czasu na próżnowanie. Jutro rano otrzyma pan samolot, zapozna się z załogą i po południu odbędzie próbny lot. Jeżeli dobrze pójdzie, to o zmroku przeprowadzimy próbny lot nocny. Najdalej w ciągu dwóch dni musi pan wziąć udział w akcji.

Zapoznanie się z kolegami poszło Mac Donaldowi gaładko. Prawie wszyscy lotnicy i nawigatoryzy byli młodzi i od niedawna znajdowali się w dywizjonie. Najbardziej spodobał się Mac Donaldowi

nadporucznik Gray, hałaśliwy, rubaszny, sposobem bycia i zachowaniem bardzo przypominający Cartera. Od razu rzucił parę żarcików na temat „uduchowionego spojrzenia” Mac Donalda, obiecał mu, że jeśli zacznie przewracać w głowie dziewczynom mającym już stały przydział sercowy, postara się przy najbliższej okazji zastrzelić go, i zaprosił na wspólną kolację.

Mac Donald chciał jeszcze wprawdzie odszukać kolegów, z którymi przybył do bazy, dowiedzieć się o ich przydziały, ale Gray nie dał mu nawet dojść do słowa. Całą kompanią wwalili się do kasyna oficerskiego, zestawili kilka stołów i przystąpili do uczty. Mac Donald obawiał się pić zbyt wiele. Jutrzejszy lot próbny wymagał świeżej i wypoczętej głowy.

O północy wymknął się i z trudem odszukawszy swoją kwaterę, położył się spać. Wstał z rana rześki, zadowolony z siebie i z przydziału. Nawigator, z którym miał latać, i mechanik pokładowy nie sprawili mu zawodu, Porozumieli się szybko i przypadli sobie nawzajem do gustu.

Mechanik pokładowy, sierżant poruszający się krokiem człowieka, który długie lata spędził na koniu, pokazał mu samolot.

— Na tym ptaszku będziemy latać, poruczniku.

— Oby tylko jak najdłużej — westchnął nawigator wznosząc oczy ku niebu. — Bóg nam pomoże.

— Postaramy się i my, co, Wilson? — Mac Donald poklepał sierżanta po ramieniu.

— Pewnie, że tak — zaśmiał się mechanik. — Podporucznik Dewey tylko żartuje. Przed-lotem zawsze mu się zbiera na pobożność.

Nawigator westchnął.

— Pamiętaj, Wilson, że skończysz w piekle — oświadczył z powagą. — Ze spraw świętych nie należy żartować.

Dalszą dyskusję przerwał żołnierz wzywając Mac Donalda i Deweya do oficera operacyjnego. Zadanie było nieskomplikowane, Mac Donald winien był wystartować prosto na północ, przeciąć linię frontu na zachód od Ke-songu, dolecieć do Sariwonu i wrócić do bazy.

— To znaczy, że jutro lub najdalej pojutrze polecimy na bombardowanie Sariwonu — oświadczył Dewey, gdy wracali do samolotu.

— Skąd wiesz? — zdziwił się Mac Donald.

— Siedzę tu od czterech miesięcy — tonem wyższości odrzekł Dewey — i znam zwyczaje starego jak pies swoje pchły. Każdego nowicjusza wysyła na dzienny lot próbny w te okolice, których bombardowanie odbędzie się za jego pierwszym lotem bojowym.

Przy samolocie czekał już na oficerów sierżant Wilson.

— Samolot gotów! — zameldował.

Kiedy pilot i nawigator zajęli swoje miejsce, Wilson zapytał:

— Dokąd?

— Na Sariwon — odrzekł nawigator.

— Cholera — zaklął mechanik. — To już nas stary nie mógł wysłać gdzie indziej? Czerwoni mają tam dobrych artylerzystów. Trzeba uważać, żebyśmy nie dostali łupnia.

Mac Donald dał znak, że jest gotów. Żołnierz z obsługi naziemnej machnął chorągiewką, zaryczały silniki i samolot podskakując potoczył się w stronę pola startowego.

Lecieli na niezbyt dużej wysokości. Mac Donald z zainteresowaniem oglądał krajobraz.

— Nędzny kraj! — zawołał do nawigatora.

Tamten skinął głową.

Pod nimi przepływały małe wioski podobne do ulepionych przez dzieci babek z piasku. Sprawiały wrażenie czegoś bezbronnego. Nawet z góry łatwo było dostrzec ubóstwo i nędzę ich mieszkańców. Miasta oglądane z lotu ptaka niewiele różniły się od wsi. Też małe, zabudowane nieregularnie niskimi domkami, wśród których gdzieniegdzie wyrastały białe lub szare wyższe zabudowania.

Mac Donald usłyszał w słuchawkach głos nawigatora:

— Zaraz minimy Seul. Nie zobaczysz go, bo zostanie na wschodzie. Niewiele tu ciekawego.

Mac Donald pożałował, że trasa nie prowadzi nad Seulem. Chętnie obejrzałby to miasto, bo dotychczasowy widok nie wprawiał go w zachwyt. Przyzwyczajony był do krajobrazu miast rozległych, wyciągniętych ku słońcu masywami drapaczy chmur — a tu niskie, przyziemne chałupy, o których trudno pomyśleć nawet, że nadają się do zamieszkania.

„Z czym się tu nasi tak długo babrzą? — zdziwił się w myślach Mac Donald. — Jeżeli na północy u czerwonych wszystko jest takie same, to parę bomb wystarczy, żeby zlikwidować miasto razem z ludnością.” Chciał się nawet tą myślą podzielić z nawigatorem, ale tamten go wyprzedził:

Dżuma II

— Nabieraj wysokości, Mac Donald, przed nami Ke-song.

Samolot, posłuszny rękom pilota, wzbił się w górę i kiedy Mac Donald spojrział w dół, linia frontu została już za nimi.

— Uważaj, artyleria przeciwlotnicza! — znów krzyknął nawigator.

Lecieli teraz wysoko. Przez pewien czas widok ziemi zasłaniała im gęsta warstwa obłoków. W prześwitach widać było doliny podzielone na niezliczone kwadraty mikroskopijnych pól. Gdzieś wśród nich mignęły klocki domów. Wyłynęli za pasmo chmur.

— Niedługo będziemy na miejscu. — Nawigator podał Mac Donaldowi współrzędne. — Teraz trzeba się pilnować...

— Strzelają! — Mac Donald zrozumiał okrzyk Wilsona z ruchu warg. Zręcznym manewrem wyśliznął się w górę i zatoczył szerokie koło.

W dali widniały zabudowania sporego miasta. Pękające na niebie dymki ostrzegały Mac Donalda przed artylerią przeciwlotniczą. Nabrał znów wysokości. Pod nim leżało miasto — jak żółw przytulone do ziemi z rozrzuconymi kończynami przedmieść. Samolot kilkakrotnie drgnął. „Żeby tylko w silnik nie trafili” — pomyślał Mac Donald. Nawigator podał mu znów współrzędne. Można było wracać. Czym prędzej wyprowadził samolot na nowy kurs i popłynął na południe.

— No, udało nam się — usłyszał głos nawigatora — a mogło być gorąco. Porucznik Philips miał mniej szczęścia od ciebie i nie wrócił z lotu próbnego.

Teraz, gdy niebezpieczeństwo minęło, Mac Donald poczuł, że ma całe plecy mokre od potu. Zaklął w duchu — rzeczywiście niewiele brakowało, a wylądowałby dość daleko od bazy...

— Pierwszy raz słyszę, żeby na próbny lot wysłać człowieka w pole ostrzału — powiedział ze złością.

— To metoda naszego starego — zaśmiał się De-wey. — Uważa, że bez takiego chrztu ogniowego lotnik nie ma prawa brać udziału w akcji bojowej.

Po wylądowaniu zameldowali się u oficera operacyjnego. Pomyślny lot Mac Donalda i uniknięcie niebezpieczeństwa zestrzelenia nie zrobiły na nim żadnego wrażenia, choć lotnik mówił o tym z nieukrywaną dumą.

— To dobrze — powiedział krótko. — Zameldujcie się u dowódcy dywizjonu.

4

Lotnicy 8 dywizjonu nie mieli powodów do narzekania na beczynność. Loty odbywały się w dzień i w nocy, rano, w południe i wieczór. Zdarzały się dni, kiedy startowano trzykrotnie. Na froncie od dawna ustabilizowanym trwały uporczywe walki pozycyjne, ożywione raz po raz przez jedną lub drugą stronę próbami przełamania linii obronnych. Samoloty 8 dywizjonu, choć w zasadzie przeznaczone do bombardowania zaplecza, często używane były również do wsparcia w obrębie frontu.

Mac Donald po kilkunastu dniach pobytu na bazie K-8 wciągnął się w gorący wir zadań bojowych. Odezwała się w nim uśpiona dotąd żyłka ha-

zardu. Wyścig ze śmiercią — groźny zwłaszcza podczas dziennych nalotów, kiedy pociski artylerii przeciwlotniczej komunistów zdawały się wypełniać niebo pszczelim rojem — przypadł mu do gustu. Wprawdzie po każdym locie nawigator Dewey i mechanik Wilson klęli swego pilota na czym świat stoi, ale i im podobał się śmiały, odważny Mac. Inni lotnicy niezbyt lubili Mac Donalda. Uważali go za mruka i ponuraka, męczyło ich jego zgryźliwe milczenie, niechęć do żarcików i pijatyk. Mac Donald nigdy nie przyjmował propozycji wspólnych wypraw „na łowy tuziemek” — jak to nazywali jego koledzy. Wolne od lotów i zajęć chwile spędzał w swoim pokoju, leżąc na łóżku i bezmyślnie pogwizdując.

Koledzy, a zwłaszcza wesoły, hałaśliwy Gray, kpili, że Mac Donald prowadzi buchalterię wojny — podlicza swoje sukcesy. Dewey twierdził, że młody pilot ma już taką naturę, nazywał go, zresztą bez specjalnej złośliwości, „wilkiem-samotnikiem”.

A sam Mac Donald? Właściwie też nie bardzo umiał rozszyfrować swe przeżycia. Czuł się dobrze tylko w powietrzu. Natychmiast po wylądowaniu wpadał w apatię, w pośpiechu zdawał relację oficerowi operacyjnemu i szybko przełknąwszy w kasy nie posiłek, szedł do siebie. W ciszy pustego pokoju wracał myślami do chwil przeżytych w powietrzu.

Jakże inne wydawało mu się wszystko w takich chwilach! Z kabiny pilota, patrząc w dół na pofalowaną ziemię, na tasiemki dróg i zygzaki rzek, na ciemne plamy miast i zabawno skupiska wiosek, myślał: oto kraj wroga. Zaludniał tę ziemię nienawistnymi ludźmi i naciskając dźwignię wyrzutni

bomb czuł, jak przybiera w jego sercu fala gniewu. Podniecał go widok bombardowań nocnych. Słupy ognia wicherzące iskrami mroczny spokój nieba, błyski wybuchów wgrzyzające się w czarną ziemię... Ale w cichym pokoju przed przymkniętymi powiekami zbombardowane miasta wyrastały setkami okaleczonych domów, z płomieni buchał krzyk zabijanych, z za jezorów ognia wyglądały przerażone oczy dzieci. Mac Donald palił papierosa za papierosem, łykał patentowane pigułki „decydujące zawsze i wszędzie o niezawodnie doskonałym samopoczuciu”, gwizdał głośno zapamiętane z kabeletów melodie, zagrzebywał się pod kocem — natrętne widziadła nie ustępowały. Może lepiej by się poczuł w *towarzystwie kolegów*, ale bał się, że odgadną po oczach, po zachowaniu tajemnicę jego myśli, że jakieś nieopatrznie rzucone słowo zdradzi to, co sam przed sobą usiłował zataić. Dlatego poprosił kwatermistrza o oddzielny pokój i prośbę swą poparł odpowiednią dawką whisky.

W trzecim tygodniu pobytu na K-8 spotkał Cartera. Gruby Ben z wiecznym niedopałkiem przyklejonym w kąciку warg i twarzą spotniałej ropuchy, plując i klnąc, skarżył się jakiemuś wystraszonemu *oficerowi na podłóż bab*, które idą z nim na potańcówki po to, by w odpowiedniej chwili zostawić go sam na sam z nie dopitą szklanką. Mac Donald bardzo ucieszył się ze spotkania. W pierwszym porywie chciał nawet szczerze opowiedzieć przyjacielowi o swych przeżyciach. Zanim jednak otworzył usta, Carter zarzucił go dziesiątkiem pytań i okrzyków i Mac Donald zdołał opanować krótkotrwałe wzruszenie. Połazili trochę po bambusowym gaiku za koszarami, opowiedzieli so-

bie o służbie, o lotach, o kolegach i przełożonych. Mac Donald czuł, że w powietrzu wisi coś nie wypowiedzianego, coś, czego żaden z nich nie odważy się wywlec na światło dzienne. Żegnając się Carter ścisnął rękę przyjaciela i z krzywym uśmiechem powiedział:

— Nie gryź się, Lion. Do wszystkiego trzeba się przyzwyczaić. Mój brat, kiedy zaczął pracować w rzeźni, przez pierwszy miesiąc ledwo wszystkich bebeczków nie wyrzygał. A potem mu przeszło i bił wieprze jak... Nie gryź się, Lion, pomyśl, że jesteś rzeźnikiem.

Mac Donald spojrzął na przyjaciela i gorącym, nerwowym szeptem rzucił:

— A tamci co?... Wieprze?...

Po twarzy Cartera przeleciał bolesny skurcz. Wypluł papierosa i zagryzł wargi oblepione ciemną warstewką nikotyny.

— Nie myśl o tym — powiedział głucho. — Przypomnij sobie tę świnię Clarka, on zawsze nas uczył: nie myśleć.

I Mac Donald starał się zabić myśli. Opędzał się od nich jak od natrętnych komarów. Ścigał je jak kot rozwścieczony zwinnością przerażonej myszki. Po pewnym czasie poczuł, że odzyskuje równowagę ducha. Któregoś dnia ze zdumieniem stwierdził, że głupie dowcipy Kida, lubującego się w opowiadaniu szczegółów nalotu, nie sprawiają mu przykrości. Jakby jakiś szorstki oprzęd pokrył mu wrażliwe do niedawna serce. Zaczął nawet odczuwać jakiś dreszczyk emocji przy słuchaniu takich historii zestawiając je z tym, czego sam dokonał. Potakiwał, gdy Dewey zachłystywał się opowiadaniem o wyczynach swego pilota, jakby to

nie o niego, Mac Donalda, chodziło, lecz o kogoś obcego, dalekiego, niezrozumiałego.

Potem otrzymał pochwałę od dowódcy dywizjonu, a raz był nawet wymieniony w rozkazie dziennym dowódcy zgrupowania. Chodziło o to, że Mac Donald po zrzućeniu całego ładunku bomb wdał się w pojedynek z dwoma myśliwcami przeciwnika, zręcznym manewrem zaszedł jeden z nich od tyłu i celnym ogniem rozpruł nieprzyjacielską maszynę. Przez trzy dni Mac Donald był bohaterem bazy. Czerwoni mieli dobrych lotników i zestrzele nie ich myśliwca przez bombowiec było nie lada sukcesem. Wszyscy chcieli się z Mac Donaldem napić, dziewczyny posyłały mu najbardziej kuszące uśmiechy, sierżant Wilson zataczał się i głośno krzyczał, że jego pilot Mac to morowy chłop i z takim nawet do piekła można się wybrać. A Mac Donald dumny z otaczającej go aureoli podziwu klepał Graya po ramieniu i czkając z pijacką wylewnością oświadczył:

— Tak, bracie, trzeba się przyzwycząić... Ja też mogę być rzeźnikiem.

W kilka dni potem Mac Donald przechodząc przez gabinet dyżurnego 8 dywizjonu zauważył na tablicy rozkazów swoje nazwisko. W rozkazie wymienionych było kilkunastu pilotów i nawigatorów, którzy nazajutrz o 8.30 rano mieli się zjawić na wykładzie. Zdziwiło go trochę, że spośród pilotów ich dywizjonu na wykład kazano przyjść tylko niektórym, ale nie było czasu na rozmyślanie. Gotowy do startu samolot już czekał.

Nazajutrz z rana Mac Donald razem z Deweyem udał się do mieszczącego się nad ziemią gmachu dowództwa bazy, gdzie miał się odbyć wykład. W

niewielkiej sali konferencyjnej przy dwóch długich, pokrytych ciemnoniebieskim suknem stołach siedzieli już wymienieni w rozkazie oficerowie. Mac Donald! i Dewey przyszli ostatni i zanim zdążyli zająć miejsca, otworzyły się boczne drzwi gabinetu. Wszedł z nich wysoki kapitan w towarzystwie tegoż mężczyzny również w mundurze wojskowym.

Mac Donald nie znał ani jednego, ani drugiego. Za to Dewey zdążył mu szepnąć do ucha, że kapitan to ważny facet ze sztabu zgrupowania, którego nawet starsi oficerowie słuchają stuliwszy grzesznie uszy. „Taki miejscowy Clark“ — pomyślał z niechęcią Mac Donald. Usadowił się wygodniej na krześle i widząc, że starsi oficerowie palą, sięgnął po papierosa.

Wysoki kapitan wymienił szeptem kilka uwag ze swoim towarzyszem, wstał i opierając się rozczapierzonymi palcami o stół, pochylił w przód. Powiedział krótko o konieczności uważnego wysłuchania wykładu i obowiązku zachowania w bezwzględnej tajemnicy wszystkiego, co powie zebrany mister Hood — wybitny uczonec i doradca sztabu wojsk lotniczych, po czym ukłonem poprosił tamtego o zabranie głosu.

Mister Hood miał przyjemną, miękką barwę głosu. Czuło się od razu, że jego praktyka jako wykładowcy jest niemała. Gestykulował skąpo — tyle, ile trzeba dla pobudzenia ciekawości słuchaczy, za to często zmieniał tonację, jakby w obawie, że monotonny wykład mógłby znużyć lotników. Mrużył przy tym żywe, wyraziste oczy, uśmiechał się lub poważniał spoglądając to na jednego, to na drugiego spośród zebranych.

Mac Donaldowi przypominał on trochę starego nauczyciela geografii ze szkoły w Peorii. Tamten na katedrze przeprowadzając lekcję grał jak aktor na scenie. Ale stary nauczyciel opowiadał cuda o dziwacznych górach, dalekich łądach, skwarnych pustyniach, rozkołysanych szumem wiatru palmach i nieprzebytych dżunglach. Jego słowa prowadziły czupurnych chłopców z Peorii w nieznane krainy, na trop wielkich przygód. A tu...

Niemal od pierwszych słów wykładowcy na sali powiało chłodem. Mac Donaldowi wydało się, że w ciepłej, dobrze ogrzanej salce zapanował nagle ziąb, od którego sztywnieje i ciało, i myśl. Rzucił okiem na twarze oficerów — ich wyraz świadczył, że przeżywają to samo. Spojrzenia wbite w ciemnoniebieskie pokrycie stołu, gwałtowny skurcz przebiegający po policzkach, bezsilnie zwiotczałe ramiona dziwnie nie licowały z wesołym, młodzieńczym głosem wykładowcy. A tamten jakby tego nie dostrzegał — sypał słowami, formułami, nazwami. I Mac Donald czuł, jak wszystko w nim drży — jak pryska i radosne podniecenie ostatnich dni, i sztuczny spokój zdobyty z takim trudem podczas niebezpiecznych lotów. Opanował wewnętrzne dygotanie i zmusił się do spojrzenia w twarz przemawiającego.

Mister Hood w tej właśnie chwili odwrócił się do słuchaczy plecami i szybkimi pociągnięciami kredy kreślił na tablicy jakiś szkic.

— Jak widzicie — mówił rysując wykładowca — bomba, o której mówię, niczym prawie nie różni się od dobrze wam znanej dwustupięćdziesięciokilogramowej bomby „GPS“. Tyle tylko, że nie posiada ona zapalnika i ścianki jej są znacznie cień-

sze niż w normalnej bombie. Wskutek uderzenia zaczyna działać bateria, która uruchamia maleńki motorek elektryczny otwierający hermetyczne drzwiczki w zwężonej części bomby. — Przybrudzonym kredą palcem uderzył w dwie grube kreśliki na tablicy. — Tędy właśnie owady wydostają się z wnętrza bomby i w zależności od warunków atmosferycznych szybciej lub wolniej rozprzestrzeniają się na wyznaczonym dla operacji terenie.

Mister Hood starł szybko tablicę, podszedł do stołu, otworzył teczkę i wyciągnął z niej kilka dużych fotografii. Jedną z nich uniósł wysoko nad głową.

— I ta bomba podobna jest do bomby „GPS“. Różnica w stosunku, do opisanej poprzednio — ruchem głowy wskazał na pokrytą białymi smugami tablicę — polega na tym, że pęka ona nie dolatując do ziemi. Owady znajdują się w lekkich pudełkach z tektury, które rozsypują się w dość dużym promieniu. Tektura jest specjalnie preparowana i pod działaniem promieni słonecznych kruszeje, dzięki czemu owady odzyskują swobodę i szybko rozpełzają się we wszystkich kierunkach.

Wykładowca odłożył fotografię, wsadził ręce do kieszeni marynarki i kołysząc się na palcach, z uśmiechem pokiwał głową.

— Jak widzicie, przyjaciele, we wszystkich opisanych przeze mnie metodach prowadzenia wojny bakteriologicznej uderza wyjątkowa prostota. — Strzelił palcami i powtórzył przeciągając sylaby: — Pro-o-sto-o-ta-a. A wszystko, co proste, jest zawsze genialne. — Znów ten sam gest i takie same powtórzenie: — Ge-e-nia-al-ne-e. Możemy być dumni z sukcesów naszej nauki. Bomba bakterio-

logiczna to rewelacyjna broń, która może przy masowym użyciu oddać nam nieocenione przysługi. Żadnych zniszczeń, żadnych spustoszeń. Likwiduje ludzi oddając w nasze ręce nietknięte bogactwa podbitego kraju. I na was — głos jego przypominał teraz natchniony głos starego pastora wygłaszającego uroczyste kazanie — na was, przyjaciele, spoczął zaszczytny trud wypróbowania tej broni. Możecie z tego być dumni.

Ostatnie słowa Hooda zawisły w ciszy jak w próżni. Mac Donald zauważył, że kapitan rzucił na wykładowcę ironiczne spojrzenie spod przymkniętych powiek i skrzywił usta w niechętnym grymasie.

Mac Donald, skulony na swoim krześle, nerwowo głaskał się po kolanie. Przypomniały mu się nudne wykłady z bakteriologii w Stanach, uszczypliwe półsłówka kolegów po każdej takiej historii, szczepienia ochronne. „A więc to nie czerwoni przeciw nam, ale my przeciw nim mamy użyć broni bakteriologicznej...” W tym stwierdzeniu Mac Donald byłoby coś, co jego samego najbardziej zdziwiło. Strach. Nie przed śmiercią, nie przed chorobą. Strach przed sobą, przed kolegami. Jak spojrzeć im w oczy? Jak spojrzeć na siebie samego stojąc przed lustrem. Przecież nie będzie mógł sobie popatrzeć w oczy.

Usłyszał głos kapitana.

— ...Żadnych rozmów. Nawet we własnym gronie. Treść lekcji, jak też treść ewentualnych zadań bojowych w niedalekiej przyszłości, musi pozostać bezwzględnie tajemnicą.

Gray trącił go lekko. Mac Donald spojrział w jego osowiałą, wymiętą twarz i bez słowa ruszył ku wyjściu.

ROZDZIAŁ V

1

Czarna limuzyna ślizgała się po szarym asfalcie, szeleszcząc oponami na zakrętach. Po obu stronach szosy ciągnęły się maleńkie klomby ogrodów. Szare płaszczyzny wyschniętej ziemi podbarwione pożółkłą zielenią zwiędłych roślin oddzielały od siebie wygięte drzewa i wysokie krzaki o liściach niemal granatowych. To tu, to ówdzie błyskało zwierciadło stawu lub wyrastała niska, przysadzista chatynka chłopska.

Młody szofer z przechyloną na prawe ramię głową spoglądał przed siebie znudzonym wzrokiem. Miarowo ruszał szczękami — jakby żując coś bez końca. Chwilami układał wargi w równe kółeczko i wtedy wydobywał się z nich dźwięk przypominający gwizdanie. Mocne ręce o długich, ciemnych palcach lekko trzymały niemal nieruchoماً kierownicę. Szofer zerkał czasem w zawieszane nad szybą lustro — wtedy marszczył nieco czoło, unosił lewą brew i uśmiechał się do swego odbicia. Niechętnym spojrzeniem muskał widoczną w lusterku postać pasażera.

Szofer był chłopcem młodym, lubił pożartować i pogadać, zwłaszcza jeśli droga dobra i prawie pusta. Lecz ani wygląd pasażera, ani wyraz jego twarzy nie sprzyjały wszczęciu pogawędki. Siedział już

tak bez ruchu od godziny, w czarnym ubraniu, niemal stopiony z ciemnym obiciem wozu. Jego twarz posępna, ciemnooliwkowa, o wydatnej dolnej szczęce i lekko uniesionej nad wystającymi zębami górnej wardze nie wzbudzała sympatii. Być może sprawiała to cienka, czarna kreska wąsów podkreślająca drapieżny błysk zębów, być może czarna, rogowa oprawa i grube szkła, zza których spoglądały zimne, świdrujące oczy. W lusterku widać było ręce w jasnych rękawiczkach złożone na kolanach, pękatą teczkę i czarny płaszcz leżący obok pasażera.

Nie, nawet wrodzona gadatliwość nie mogła zmusić szofera, aby przemówił do ponurego człowieka na tylnym siedzeniu. Gdyby przynajmniej drzemał! Szofer kilkakrotnie opuszczał szybę, gwałtownie, choć bez potrzeby, hamował chcąc zmusić tamtego do jakiegoś gestu, przynajmniej do zmiany pozycji. Ale pasażer wciąż siedział nieporuszony, skamieniały, pogrążony w swoich myślach.

Co mogły obchodzić doktora Otomurę nieudolne manewry szofera znudzonego jazdą w milczeniu? Czyż mógł go wzruszyć rodzimy, nie widziany od dwóch lat krajobraz? Miał swoje myśli i one mu wystarczyły. Człowiekowi mądrymu nie słowa, nie czcza gadanina są potrzebne, ale to, co kłębi się pod czaszką, co żyje gdzieś głęboko ukryte, zmuszając wszystko — mózg, serce, ręce i nogi — do działania w jednym jedynym, w najdrobniejszych szczegółach obmyślonym kierunku.

Dwa lata spędził doktor Otomura poza ojczyzną. Dwa lata przeżył niemal zamknięty w wykreślonej betonowymi ścianami przestrzeni podziem-

nych sal. Przez dwa lata odbywał dalekie podróże nie czując kołysania fal ani dygotania samolotu, zamknięty w granicach własnych myśli. Żył nimi, oddychał nimi — jakby to one były chlebem i powietrzem. Tak zresztą było z nim zawsze, odkąd znalazł ideę przewodnią swego życia. Stał się jej fanatycznym sługą. Spętała w nim wszystko, każde drgnienie. Nawet uśmiech przeznaczał tylko jej. Nie lubili go koledzy, nie lubili go nawet najbliżsi współpracownicy. Nie zależało mu na ich sympatii, byli mu potrzebni tylko o tyle, o ile zbliżali dzień spełnienia jego marzeń. Odtrącał tych, którzy na tej drodze nie mogli mu się przydać. Nie oznaczało to jednak, że płaszczył się przed silniejszymi od siebie, szukał ich poparcia i łask. Był dostatecznie mądry i pewny siebie, znał swoją wartość i wiedział, że ci, których on potrzebował, potrzebują i jego.

Nie szukał sławy. Sława to coś pustego i prymitywnego, co można zdobyć najtańszym kosztem. Sława jest dobra dla boksera, gwiazdora filmowego, poety. Człowiek wielki pragnie potęgi, a droga do niej prowadzi nie przez sławę, ale przez wyrzeczenia i trudy. Potężny jest nie ten, o kim tak mówią, ale ten, kto kieruje potęgami świata. I to było celem życia doktora Otomury.

Długo szukał tej drogi, a kiedy kilkanaście lat temu po raz pierwszy poczuł w dłoniach chłodny kształt porcelanowego jaja, którego wewnątrz kryła śmierć — zrozumiał, którądy ona prowadzi. Potęgą jest nie ten, kto włada życiem, lecz ten, kto jest panem śmierci. Od owego dnia każdą chwilę poświęcił zdobywaniu władzy nad śmiercią. Przeżył już raz krach swoich planów — było to w czter-

dziestym piątym roku, gdy w czarnych pióropuszach wybuchów, wraz z tonami ziemi wystrzelonej w niebo, znikły mury laboratoriów jednostki 731.

Wielu złamał ten cios, wielu zwątpiło. Tylko nie on. Odnalazł nowych sojuszników, pochłonęła go cisza nowych laboratoriów. Cisza, w której pęczniała śmierć. I oto za parę dni nastąpi pierwsza z wielu chwil stanowiących ukoronowanie jego życia, nagroda za wytrwałość. Dobrze, że młody szofer nie przyjrzał się w tym momencie odbiciu swego pasażera w lusterku. Zobaczyłby uśmiech, niewyraźny, nieporadny uśmiech człowieka, który nie umiał się śmiać. Gotów byłby uznać to za dogodny pretekst do nawiązania rozmowy. I gorzko by się rozczarował. Doktor Otomura uśmiechał się do własnych — zawsze tych samych — myśli. Przypomniała mu się wystraszona, blada twarz amerykańskiego generała, dowódcy jednej z baz lotniczych, gdy znaleźli się w głębokim jak starożytny grób magazynie. Generał w milczeniu patrzył na stos bomb pieczołowicie umieszczonych na stojakach i starał się trzymać od nich tak daleko, jak pozwalała na to ograniczona przestrzeń magazynu. A Otomura oparł dłoń na stalowych brzuchach i myślał: kto jest potężniejszy — ten o głośnym nazwisku generał, który jednym skinieniem ręki może rzucić w powietrze setki ciężkich bombowców, czy nikomu nie znany doktor Otomura — władca śmierci?

Otomura nie lubił Amerykanów, tak jak swego czasu nie lubił Niemców. Niechęć budziła w nim ich buńczuczna krzykliwość, ich głośna, nazbyt głośna pewność siebie. Otomura cenił skromność,

umiejętność ukrywania najgorętszych nawet namiętności za maską chłodu i obojętności. Jeśli jakiś naród jest predestynowany do panowania nad światem — to może nim być tylko jego naród. Amerykanie są dobrzy jako sojusznicy. Są nawet potrzebni, powiedzmy, niezbędni. Ale przyjdzie dzień, w którym i oni będą musieli uznać wyższość Japończyków. Prawda, to, co osiągnął Otomura, nie stanowi bynajmniej wyłącznie jego tajemnicy. Nie można zaprzeczyć, że sukcesy Amerykanów w dziedzinie przygotowań do wojny bakteriologicznej były ogromne. Czyż jednak dopięliby tego bez pomocy Otomury, bez zwycięstwa nad Japonią, które oddało im w ręce dziesiątki sekretów i tysiące ludzi idących na amerykańską służbę albo ze strachu, albo tak jak Otomura z pragnienia zemsty. Bo zemścić się trzeba. Na tych, którzy są rzeczywistymi sprawcami klęski ziemi *tenno**. Na bolszewikach. Gdyby nie oni — Otomura wie o tym lepiej, niż można przypuszczać — nie tylko gwiazdzisty sztandar nie powiewałby nad Tokio, ale nad Waszyngtonem płonęłoby słońce japońskich flag. A jeśli nie nad Waszyngtonem, to w każdym razie nad wielu ziemiami, którymi Waszyngton dziś rządzi.

Myśli Otomury wróciły do dnia dzisiejszego. Umiał nad nimi panować, trzymać je w ryzach, nie dawać im zbytnej woli. Wiedział, po co wezwał go pułkownik Crosby. Wiedział, że przygotowania są już na ukończeniu, że atak bakteriologiczny w Korei można zacząć w najbliższych dniach. Dziś mieli skoordynować ostatnie posunięcia przed szturmem. Crosby, choć wrzaskliwy i nadęty jak balon zaporowy, gburowaty i równocześnie tchórzliwy w

obliczu trudności, miał, zdaniem Otomury, głowę na karku. Otomura myślał o nim z tą odrobiną sympatii, jaką każdy fanatyk darzy tego, kto umacnia w nim potrzebę fanatycznej wiary. Crosby umiał zakręcić się wokół sprawy, której Otomura poświęcił życie. Już to jedno wystarczyło, by Otomura traktował go jako człowieka potrzebnego i mniej lub bardziej bliskiego. A przy tym Crosby miewał dobre pomysły — potrafił przygotować cios tak, by przeciwnika omotać, ogłupić, zbić z nóg trzymając ręce w kieszeni.

Otomura był całkowicie pochłonięty pracą nad metodami i efektami wojny bakteriologicznej. Nie interesowała go strona polityczna tej sprawy, wszystko, co stanowiło ogromny, zakulisowy jej mechanizm. Umiał jednak docenić wagę tych zagadnień i choć Crosby przeszkapił tamtą przekłętą historię z Fukudą i dał się omotać jak głupiec, Otomura nie wątpił, że potknięcie było przypadkowe. Po prostu pechowy splot okoliczności,

**Tenno — oficjalny tytuł cesarza japońskiego,*

Z satysfakcją stwierdził, że po katastrofalnej tokijskiej wyspie, którą dowcipnie nazywano „bombą Fukudy”, Crosby zmienił swe postępowanie, otoczył się współpracownikami znacznie mądrzejszymi od poprzednich, nauczył się milczeć i słuchać, zamiast jak dawniej zachłystywać się swymi planami i trąbić o nich na lewo i prawo.

Przez dwa lata Otomura pracował w spokoju dzięki mądrej i dobrze zorganizowanej działalności Crosby’ego i jego zwierzchników. Otomura doskonale zdawał sobie sprawę z konieczności zachowania pełnej tajemnicy wokół prowadzonych doświadczeń. Idealna organizacja, taka, jaką mieli w

jednostce 731, była dziś niemożliwa. Wprawdzie Amerykanom daleko jeszcze do sprawności organizacyjnej Japończyków, ale rozmach badań bakteriologicznych był dziś nierównie większy niż wówczas, gdy Otomura pracował pod kierunkiem generała Isii Siro. I żywiej niż wtedy reagowali na te sprawy wszyscy traktowani przez Otomurę jako „obiekt” — ludzie, których śmierć miała zrodzić jego potęgę.

W tych warunkach względną ciszę wokół przygotowań „wielkiego ataku” Otomura zapisywał na dobro pułkownika Crosby. Ostatecznie nie można go winić za to, że cechą charakterystyczną jego narodu jest gadulstwo i pyszałkowatość, które powodują przedwczesne wynurzenia zarówno wojskowych, jak i uczonych na temat atrakcyjności wojny bakteriologicznej. Crosby zaś ma nieraz dobre pomysły.

Otomura wiózł w teczce egzemplarz gazety „*Kionhan Simmun*“. Brukowy, ale za to głośny świstek, przynoszący zazwyczaj najbardziej sensacyjne wiadomości, cieszący się sławą jednej z najlepiej poinformowanych gazet Korei Południowej. Otomura nie czytywał tej gazety, nie czytywał w ogóle prasy, zadowolając się informacjami radiowymi. Ale ten numer „*Kionhan Simmun*“ przyniósł mu asystent tuż przed odlotem na naradę do Tokio. Na pierwszej stronie krzyczał zakrętasami czcionek ogromny tytuł: „*Czarna śmierć w Północnej Korei. Masowe zachorowania pod rządami komunistów. Czy epidemia przejdzie na południe?*“

Doktor Otomura nie znał ani języka, ani alfabetu koreańskiego. Asystent w pośpiechu — do

startu zostawało już tylko parę minut — przetłumaczył mu tekst sensacyjnej wiadomości. Przekreślił może to czy inne słowo, ale treść oddał na ogół wiernie. Otomura nie dał po sobie poznać, czy ta wiadomość go zainteresowała.

Teraz w samochodzie, przypomniawszy sobie alarmujący ton notatki, zaśmiał się w duchu. Kapitalna historia. Nikt lepiej od niego nie wiedział, że w Korei Północnej od dawna już nie było żadnej epidemii, że ostatni przypadek dżumy miał tam miejsce jeszcze przed zakończeniem tamtej wojny, że stan sanitarny na północy jest co najmniej zadowalający, a w porównaniu z tym, co widział Otomura przeżywszy dwa lata w Korei Południowej — doskonały. Ale sensacyjne wiadomości „*Kionhan Simmun*“ były przeznaczone nie dla niego, lecz dla tych, którzy na sam dźwięk słowa „dżuma“ odczuwają dreszcz strachu. Takim nie trudno wmówić, że epidemia się rozszerza. Amerykańska propaganda potrafi już potem odeprzeć wszelkie zarzuty używania broni bakteriologicznej. Dowód czysty i rzetelny — nawet jeśli komuniści w jakiś sposób wywęszą, którego dnia nastąpił pierwszy rzut — można będzie wyłożyć im na stół tę właśnie gazetkę. Epidemia była? Była. Mądrze to Crosby obmyślił. Otomura nie omieszka mu pogratulować dobrego pomysłu. Tylko teraz nie wolno już zwlekać. Trzeba kuć żelazo, póki gorące. W magazynach bombowych amerykańskich baz lotniczych śmierć czeka wyzwolenia. Śmierć, której ojcem jest Otomura.

Pułkownik Crosby wstał i ogarnął spojrzeniem siedzących w fotelach uczestników narady. Był zadowolony z jej przebiegu. Wymiana poglądów i do-

świadczeń dokonana w ciągu wielogodzinnych obrad zbliżyła tych ludzi, podsunęła im interesujące pomysły, a i jemu pozwoliła wyciągnąć kilka praktycznych wniosków. O nich właśnie chciał powiedzieć na zakończenie.

Odsunął plik papierów, wsadził prawą rękę do kieszeni i uśmiechając się do przybyłego przed dwoma dniami z Bawarii profesora Meisfelda zaczął:

— Nie mam zamiaru zatrzymywać panów dłużej w tym zadymionym pokoju. Wszyscy chyba poczuliśmy już przyływ apetytu. Ograniczę się więc tylko do kilku wniosków i informacji uzupełniających, które, mam nadzieję, panów zainteresują.

Meisfeld i jeszcze kilku obecnych kiwnęło głowami na znak zgody. Otomura siedział bez ruchu, sztywny, z twarzą kamienną, jakby wyciosaną z ciemnego bursztynu.

— Przedstawię w dowództwie sugestie pułkownika Otomury — Crosby dziś pierwszy raz zwracał się do Japończyka używając jego dawnego tytułu oficerskiego, jakby podkreślając tym samym powrót do służby wojskowej — w sprawie pierwszej fazy bombardowań. Przypuszczam, że uzgodnione tu stanowisko stwierdzające konieczność bombardowań chaotycznych jest ze wszech miar słuszne i dowództwo podzieli je. Postaramy się w jak najkrótszym czasie wypróbować tak zalecaną przez profesora Meisfelda metodę rozpylania. Postaram się — skłonił głowę w stronę Niemca — aby profesor mógł osobiście zapoznać się z próbnym typem - samolotu przeznaczanego do rozpylania bakterii.

W telegraficznym skrócie formułował Crosby odpowiedzi na pytania i rady specjalistów. Po kilkunastu minutach przerwał, chrząknął i uśmiechając się zakończył: — Terminu rozpoczęcia akcji „suprop“ niestety nie mogę podać. Zapewniam jednak panów, że w tej chwili jest on bliższy, niż się wydaje.

Na twarzach zebranych odmalował się wyraz zadowolenia. Wszyscy wstawali. Jak spod ziemi wyrósł w drzwiach adiutant i na jego widok Crosby już innym, nieoficjalnym tonem zawołał:

— Proszę panów na obiad!

Adiutant strzelił obcasami i specjaliści ruszyli za nim. Crosby przepuścił wszystkich zatrzymując ledwie dostrzegalnym gestem Meisfelda.

— Jeszcze parę słów, profesorze. Czy można?

— O, *bitte, bitte* — odrzekł Meisfeld.

— Czy pan profesor nie obawia się niewielkiej podróży? Na przykład na Koreę?

Meisfeld zeszytniał. Zacisnął wargi, pod napiętą skórą policzków zatańczyły mięśnie. W oczach mignął mu jakiś chłodny, daleki blask.

— Jestem Niemcem, pułkowniku — powiedział cedząc wolno słowa. — Nie znam pojęcia „obawa“.

— Pardon, profesorze. — Crosby zreflektował się czując, że popełnił nietakt. — Nie chciałem pana urazić. Wysoko cenię odwagę Niemców, ale Korea...

— Sądzę, że rozmowy na ten temat są zbyt ciche — przerwał mu ostro Meisfeld. — Korea, mister Crosby, to drobiazg w porównaniu z tym, co robił nasz *fuhrer*.

Z pomocą Crosby'emu przyszedł przysłuchujący się rozmowie Otomura.

— Zobaczy pan ciekawe rzeczy, *Herr Professor* — powiedział po niemiecku. — A ciekawe jest przeważnie niebezpieczne. To miał na myśli pułkownik Crosby. Nasi amerykańscy przyjaciele nie zawsze potrafią dobrać odpowiednie słowa — dodał unosząc górną wargę: miało to imitować uśmiech.

Crosby, nie znając języka niemieckiego, kiwał tylko głową. Meisfeld zmarszczył czoło i mrużąc oczy uśmiechnął się do Otomury. Japończyk podobał mu się od pierwszej chwili, a ostatnia złośliwa uwaga pod adresem Amerykanów wzbudziła w Meisfeldzie jeszcze większy podziw dla mrukliwego Otomury. Uznał ją za wystarczającą odpowiedź i w swoim imieniu.

— Przyjmuję pańskie zaproszenie, mister Crosby — powiedział i ruszył naprzód biorąc pod rękę Otomurę.

Crosby chwilę patrzył za nimi. Czuł, że Otomura przypiął mu łatkę ku zadowoleniu Meisfelda. Przygryzł wargę i połknąwszy soczyste przekleństwo strzyknął śliną na przydeptany dywan.

3

Po obiedzie Meisfeld i Otomura pojechali razem. Profesor czuł w głowie lekki i przyjemny szum, jak zawsze po wypiciu paru kieliszków dobrego wina. Miał chęć porozmawiać, nie nęcił go pusty, hotelowy pokój wypełniony odgłosami ulicznego ruchu. Zaprosił więc Japończyka do siebie na filiżankę kawy. Otomura nadspodziewanie szybko i chętnie przyjął zaproszenie.

Meisfeld zamówił do pokoju kawę i likier. Zajęli miejsca przy niskim stoliku w salonie. Otomura rzucał skape uwagi na temat całodziennych narad. Profesor łatwo wyczuwał, że i Otomura, jakkolwiek od dawna pracujący dla Amerykanów i znacznie bardziej zorientowany w szczegółach, jest podniecony wszystkim, co usłyszeli. Ale Otomura umiał ukrywać swoje przeżycia, a Meisfeld musiał się nimi z kimś podzielić. Wybór padł na Otomurę raczej z przypadku, profesor wolałby posiedzieć z Crosby'm, jednakże niezręcznie sformułowane zaproszenie na Koreę zraziło go do Amerykanina.

Rzucał teraz kaśliwe uwagi pod adresem Crosby'ego, uzupełniając je pikantnymi historyjkami o zachowaniu Amerykanów w Niemczech. Kpił z ich braku kultury, oburzał się na nieznamość literatury, zdżiczenie w muzyce, nieokrzesany sposób bycia. Otomura tylko potakiwał skinieniem głowy, ale wbrew oczekiwaniu profesora nie zabierał głosu w tej sprawie. Zirykowało to Meisfelda i w pewnej chwili zamilkł.

Otomura jakby na to tylko czekał. Nie zwracając uwagi na wyraźne objawy niezadowolenia gospodarza, zaczął wspominać lata przedwojenne i okres wojny, kiedy często stykał się z Niemcami. Ubolewał, że nie udało mu się nigdy odwiedzić Niemiec.

— Wasz piękny kraj, o którym tak wiele słyszałem, zawsze mnie pociągał. Niestety złośliwość losu trudna jest do przewidzenia. Kiedy w roku 1944 zegnałem kilku moich niemieckich przyjaciół, nie przewidziałem, że rozstajemy się na bardzo długo.

Meisfeld westchnął. Słowa Japończyka wzruszyły go. Przecież i on w 1944 roku układał ciekawe plany na przyszłość, a życie powywracało wszystko do góry nogami. Przez pewien czas wyglądało nawet na to, że go zmiażdży doszczętnie. Pod wpływem wspomnień siap-nął po starczemu nosem i po krótkim zastanowieniu sięgnął po portfel. Wyjął z przegródki plik fotografii i z zażenowaniem podsunął je Otomurze.

Japończyk ujął je oburącz i z namaszczeniem przeglądał jedno po drugim.

— To pański syn? — zapytał trzymając ostrożnie zdjęcie końcami palców.

— Syn, mój syn, kapitan — żywo odpowiedział Meisfeld. — O, widzi pan, drogi doktorze, ta plamka nad kieszenią to żelazny krzyż. Sam fuhrer mu go przypiął.

Zegar wybił jedenastą. Meisfeld zostawiając na chwilę gościa sam na sam z fotografiami podszedł do stolika, na którym stał odbiornik. Przysłał mu go Crosby pierwszego dnia. Odbiornik był metalowy, pokryty niemieckimi napisami. Pochodził widocznie z dostaw, jakie otrzymywała Japonia dla zaopatrzenia okrętów podwodnych. Meisfeld ucieszył się z prezentu. Pachniał mu trochę ojczyznę i pozwalał odbierać stacje bardzo odległe, w nocy nawet Berlin na krótkich falach. O tej godzinie profesor słuchał komunikatów.

Przekreślił gałkę. W aparacie rozległy się trzaski, piskliwe pojękiwanie sygnałów Morsego, daleki szum. Otomura przechylił się przez oparcie fotela i zwrócił twarz w stronę odbiornika. Meisfeld parę chwil wędrował przez fale eteru, wreszcie z powodzi trzasków wychwycił dźwięk głosu. Lektor o

młodym, nosowym głósie czytał komunikat naczelnego dowództwa. Na froncie bez zmian. Kilka prób czerwonych przełamania obrony wojsk Narodów Zjednoczonych udaremniiono. W ciągu ostatniej nocy lotnictwo wzmoгло działalność, korzystając ze sprzyjających warunków atmosferycznych. Padały nazwy miast — obce, puste, nic nie mówiące Meisfeldowi. Przypomniało mu się, jak dawniej wsłuchiwał się w słowa podobnych komunikatów. Wtedy też nazwy miast brzmiały obco, ale Meisfeld wyczuwał za nimi coś doniosłego, sprawy związane z jego własnym życiem. Trudno mu było uwierzyć, że nazwy, które słyszy teraz, dotyczą go równie żywo. A jednak tak było i Meisfeld myślał o tym, że za nimi pójdą inne, coraz bliższe, coraz zrozumialsze, aż padną znów nazwy, które kiedyś wymieniano w komunikatach Oberkomrnando. Nikt nie będzie mu mógł postawić zarzutu: tyś nic nie zrobił dla wielkości Niemiec. Głosi ich chwałę tu daleko, na obcej ziemi...

Powoli przekręcał regulator. Obca, niezrozumiała mowa płynąca z dziesiątków stacji irytowała go. Przeszawił odbiór na krótkie fale. Trzaski wzmoгы się. Kobięcy głos zachłystywał się gardłowymi dźwiękami. Otomura powiedział:

— To Phenian.

Mainfeld zmarszczył czoło i nadstawił ucha.

— Pan zna język koreański, pułkowniku?

Otomura zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie. Ale jestem mieszkańcem tej części świata. Osluchałem się. No i znam aparat.

— Szkoda — mruknał Meisfeld. — Ciekawe, co też oni mówią.

Otomura skrzywił się niechętnie.

— Nic ciekawego. Okłamują siebie i innych. Wrzeszczą, że są niezwyccięzeni, że Amerykanie to zbrodniarze. Jeśli to pana interesuje, profesorze — po twarzy Otomu-ry przeleciał cień uśmiechu — wspominają również pańskich rodaków, twierdząc, że Amerykanie znacznie ich wyprzedzili...

Meisfeld zadygotał z oburzenia. „Ta żółta małpa jest wyjątkowo złośliwa — pomyślał. — Nie przepuści żadnej okazji, by dociąć.” Postanowił przemilczeć i zemścić się przy najbliższej sposobności.

Ze złości drgnęła mu ręka i w aparacie znów rozległy się trzaski. Nagle usłyszał przebijający się przez daleki szum ochryply głos. Słowa znikwały i wracały zniekształcone, przerywane trzaskami.

— *I'm .. over... seven... four... point... two... one... six... I'm over...⁷*

Meisfeld dostrzegł w oczach Otomury ostry błysk.

— A to co? — zapytał profesor.

— To — Otomura mówił głosem obojętnym i zimnym — to jakiś amerykański lotnik. Czasem udaje się wskoczyć na długość jego fali. Podaje swoim przełożonym współrzędne. Gdyby nie te trzaski, usłyszałby pan może rów też odpowiedź. „Go down, go down...”⁸ Jednego tylko nie usłyszysz pan w odbiorniku — wybuchów.

Meisfeld wyłączył radio. Wrócił do stołu. Zebrał rozrzucone fotografie i schował je do portfelu. Potem napełnił kieliszki likierem i sadowiąc się w fotelu powiedział z uśmiechem:

— Nasze bomby, pułkownika Otomura, nie będą dawały efektów słuchowych. Po rozkazie „go down“ nikt nie usłyszysz wybuchu.

— O tak, pan ma rację, profesorze. Nasza broń, jeśli można się tak wyrazić, jest bardziej humanitarna. Nie ogłusza, nie rodzi strachu, nie niszczy domów. Nie zakłóca spokoju śmierci.

Coś w głosie i słowach Otomury uderzyło profesora. W pierwszej chwili nie mógł zrozumieć co, dopiero później, gdy pożegnał Japończyka i zamknął za nim drzwi, olśniła, go myśl. Tak, prawda, to były niemal dosłownie powtórzone jego własne słowa. Dawne, zapomniane, wypowiedziane dzieść lat temu w Berlinie, kiedy profesor Meisfeld otrzymał z rąk Himmlera zezwolenie na przeprowadzenie doświadczeń epidemiologicznych w szpitalach obozów koncentracyjnych. Tak właśnie powiedział Himmlerowi, a tamten spojrział nań zimno zza szkieł i wycedził:

— Wy, uczeni, musicie zawsze znaleźć pretekst. Niech więc będzie „humanitarna”. Byle tylko skuteczna.

Z myślą o tym profesor Meisfeld zasnął.

ROZDZIAŁ VI

1

Dom stał w końcu wąskiej uliczki zygzakami łączącej duże, wielkemiejskie arterie. Od nie zabrukowanej, ubitej jezdni oddzielał go wysoki, szary mur, ożywiony jaskrawą czerwienią furtki i złożonymi rzeźbami arki. Z muru zwisały gałęzie drzew — o tej porze roku wyschłe i szare. Tylko kilka gałązek pokrywały bladożółte, zimowe kwiatuszki.

Od furtki prowadziła ścieżka, usypana z barwnych kamyków, wytyczona szpalerami, na których znać było troskliwą rękę doświadczonego ogrodnika. Na wyschłych trawnikach, w regularnych odstępach rosły karłowate drzewka, fantazyjne krzewy o ciemnozielonych, drobnych liściach. Jedne miały kształt rozłożystych parasoli, inne wiły się ku górze niby spirale, jeszcze inne przypominały rozwinięte wachlarze. Między krzewami bieliły się kamienne urny. W okrągłych akwariach powoli pruły wodę czerwonozłote ryby o wylupiastych oczach i rozwichrzonych, bajecznie kolorowych ogonach.

Dom był niski, z zewnątrz obłożony płytami czarnobiałego marmuru. Marmurowe schody prowadziły na werandę osłoniętą dachem wspartym na czterech rzeźbionych kolumnach. Przez oszklone drzwi widać było rozległy salon skąpo zastawiony meblami. Na ścianach wisiały długie, niemal od sufitu do podłogi sięgające obrazy. Na pociemniałym ze starości tle puszyły się dumne łabędzie. Na pierwszy rzut oka widać było, że malował je jeden z tych wielkich mistrzów, których posagi od stuleci drzemiały w parkach wielu japońskich miast.

W jednym z dalszych pokoi na szerokiej, niskiej otomanie leżała młoda kobieta. Rozpuszczone fale kruczoczarnych włosów spływały z purpurowego aksamitu poduszki. Kobieta ubrana była w kanarkowego koloru sweterek i szaro spodnie opinające zgrabne łydki. Pantofelki zawieszane na czubkach palców iskrzyły się srebrnym haftem.

Przy stole ustawionym pod szerokim oknem siedział Crosby schylony nad plikiem papierów. Chwilami odrywał wzrok od pokrytych maszyno-

wym pismem arkuszy i spoglądał na kobietę. Jeśli ich oczy spotykały się, kobieta krzywiła wargi i odwracała się ze znudzoną miną. Wtedy Crosby pośpiesznie rzucił:

— Zaraz, Mary, już kończę — i znów zagłębiał się w lekturze.

Wreszcie wstał, przeciągnął się, schował papiery do koperty i uchyliwszy okno zawołał:

— Trzymaj!

Za oknem ukazała się najpierw ręka, potem twarz adiutanta.

— Odnieś to do sztabu — powiedział Crosby. — I powiedz, że przyjdę po północy.

Kiedy zamknął okno, kobieta uniosła się na łokciu i zapytała:

— Znowu wyjeżdżasz?

Crosby zatarł ręce i usiadł obok niej na otomanie.

— Wyjeżdżam, Mary. Będiesz tęskniła?

Mary spojrzała nań badawczo.

— Ja? Tęsknić? Mój drogi, tłumaczyłam ci już przez parę godzin, że mi się nudzi. Czyżbyś tego nie rozumiał?

Crosby pochylił się nad nią chcąc ją pocałować, ale Mary szybko się odsunęła i usta pułkownika dotknęły poduszki. Zaklął pod nosem.

Od paru tygodni dziewczyna mieszkała w tym domu. Crosby przywiózł ją z Tegu, wzbudzając sensację wśród przyjaciół. Sensacja była tym większa, że, jak głosiła fama, Crosby sprzątnął dziewczynę przed nosa jednemu z koreańskich generałów. Część kolegów opowiadała o tym z nieukrywaną zazdrością, inni oburzali się. Przelotne przygody z koreańskimi dziewczętami z tak zwanej lepszej

sfery były na porządku dziennym, ale żeby przywozić sobie dziewczynę do Tokio, oddawać do jej dyspozycji luksusową willę, otoczyć komfortem, na jaki niewielu nawet wyższych oficerów mogło sobie pozwolić — tego już było za dużo.

Crosby nie zwracał uwagi na to, co gadają w sztabie i oficerskich klubach. Miał dość własnych kłopotów. Dziewczyna, odkąd przyjechała do Tokio, zmieniła się nie do poznania. Nie reagowała na pieśczoły, odrzucała prezenty, obojętnie witała i zegnała zmuszonego do ciągłych podróży kochanka. Wyrzucała mu, że ją oszukał, zwabił podstępnie, obiecując spełnić prośbę i nie dotrzymując słowa.

Prośba Mary nie była właściwie ani trudna, ani nieoczekiwana. Crosby, zanim zdecydował się na przedłużenie intymnej znajomości, sprawdził dokładnie, kim jest dziewczyna. Pamiętał, ilu to ludziom na odpowiedzialnych stanowiskach kobiety złamały karierę. Informacje z G-2 potwierdzały to, co słyszał o niej od Dod-ge'a. Mary jeszcze przed wojną pracowała w wywiadzie lisymanowskim i wielokrotnie po wybuchu wojny prosiła o przydzielenie jej do roboty na zapleczu przeciwnika. Kiedy Dodge zapoznał go z dziewczyną, a potem zaproponował wykorzystanie jej jako agenta w robocie wywiadowczej w związku z akcją „suprop“, Crosby wyraził zgodę. Kandydaturę Mary poparł zresztą wywiad lisymanowski.

I nieoczekiwanie sprawa zaczęła się gmatwać. Przynajmniej dla niego. Dziewczyna spodobała mu się od pierwszego wejrzenia. Nie zdając sobie z tego sprawy, zaczął wynajdywać preteksty, by jak najczęściej zaglądać do Tegu. Po kilku spotkaniach

z udziałem Dodge'a i nie-odłącznie towarzyszącego dziewczynie koreańskiego generała, Crosby zaproponował spotkanie we dwójkę. Nastąpiło to podczas kolacji w klubie oficerskim. Dziewczyna nic nie odpowiedziała, dopiero przy pożegnaniu, korzystając z chwilowej nieobecności swego opiekuna, zapytała, gdzie i kiedy mogą się zobaczyć. Naturalnie nie skończyło się na jednym spotkaniu.

Dodge kpił, nazywał przyjaciela „zakochanym szczeniakiem”, wściekał się na pomysł Crosby'ego zabrania Koreanki do Tokio.

— Można mieć nawet dziesięć złotych kochanek — krzyczał — ale po co się afiszować?!

Wszystkie argumenty trafiały w próżnię. Crosby był zakochany, a na bakcyli miłości, jak powiedział z bezradnym uśmiechem, nawet Otomura nie wymyślił lekarstwa.

Na wyjazd do Tokio Mary zgodziła się bez dłuższych ceregieli. Postawiła tylko jako warunek, że Crosby pozwoli jej i pomoże wyjechać na robotę wywiadowczą na północ. Z radości, że dziewczyna nie stawia mu oporu, Crosby obiecał spełnić jej prośbę. Ale teraz im bliższy stawał się termin jej ewentualnego wyjazdu, gdy trzeba było wysłać ją na przeszkolenie — wynajdywał tysiące pretekstów. Kiedy wczoraj Dodge zapytał go wręcz, dla czego Mary nie wyjechała jeszcze do ośrodka wywiadowczego pod Seulem, gdzie przygotowywano już agentów „bakteriologicznych”, Crosby odparł niechętnie, że nie ufa dziewczynie i dlatego jej nie wyśle.

Dodge, jakkolwiek odkomenderowany do dyspozycji Crosby'ego, sprzeciwił się kategorycznie. Dziewczyna mogła oddać wielkie usługi. Była inte-

ligentna, sprytna i co najważniejsze — sama paliła się do tej roboty. Dodge nie brał pod uwagę nieoczekiwanych „obiekcji” Crosby’ego. Znał Mary i jej rodzinę od paru lat i wiedział, że jeśli w zimnej, wyrachowanej dziewczynie tli jeszcze jakieś uczucie, to jest nim tylko nienawiść do komunistów.

— Zrozum, Bob — tłumaczył gorąco — w tym przeklętym kraju ludzie dzielą się na dwie kategorie. Jedni zgrzytają na nasz widok zębami, drudzy, ze strachu przed tamtymi, garną się do nas nie pomijając przy tym żadnej okazji, by nas okraść czy oszukać. Takich jak ta twoja dziewczyna nie jest znowu tak wiele. Gdybyś wiedział, ile nerwów kosztuje mnie każdy śmierdzący żółtek, zanim wbiję mu w głupi łeb wszystko, co musi zapamiętać... Zrozum, że ja chcę tej małej powierzyć cały odcinek roboty, postawić ją na czele siatki. Przecież tobie najbardziej powinno zależeć na ścisłych informacjach.

Crosby wszystko to rozumiał, ze wszystkim się zgadzał, ale puścić Mary nie chciał. Uległ dopiero wtedy, gdy Dodge zagroził mu odwołaniem do szefa wywiadu. Crosby wiedział, że jakkolwiek w związku z powierzeniem mu akcji „suprop” podporządkowano również jego rozkazom wywiad, w tym wypadku jeśli sprawa oprze się o szefa, narazi się na śmieszność. A tego Crosby bał się najwięcej.

Dziś przyszedł do Mary właściwie po to, by się z nią pożegnać. Ustalili z Dodg’em, że dziewczyna jutro wyleci do Seulu. Ale do ostatniej chwili nie chciał jej o tym powiedzieć.

Wciąż nie mógł pojąć, jaki jest właściwie stosunek ślicznej Koreanki do niego. Czasem chwycił w jej spojrzeniu jakieś niechętne, pogardliwe bły-

ski. Bolały go jej słowa — zimne, obojętne, nawet w chwilach najczulszych zbliżeń. O Mary czuje? Gdyby ją o to zapytać?

Chyba sama nie urwałaby na takie pytanie odpowiedzieć. Najtrafniej oceniał ją Dodge, rzecz jasna nie w obecności Crosby'ego.

— Dziwka bez serca — tłumaczył wtajemniczonym w sercowo-służbowe tarapaty pułkownika. — Aż dziw bierze, że to nie Japonka. Prawdziwie samurajska duszyczka. Bez skrupułów zarznąłaby własnego ojca, gdyby jej stanął w poprzek drogi. Diabli wiedzą, skąd się coś takiego w człowieku bierze.

Kiedyś Mary wybiegała u Dodge'a zgodę na przyglądanie się egzekucji skazańców w więzieniu Mano. Nawet Dodge'a mierzyły takie widowiska, a Mary obserwowała je oczyma rozszerzonymi z podniecenia, z wypiekami na policzkach. Patrząc na nią w tamtej chwili, Amerykanin pomyślał, że oto zjawiała się obok niego okrutna czarownica z baśni Szecherezady o trupojadach. Dlatego odradzał zaślepionemu miłością Crosby'emu zwiążanie się z Mary i dlatego tak nalegał na wykorzystanie jej w charakterze kierownika siatki wywiadowczej. Był pewien, że na tej robocie nie zawiedzie, nie załamie się w obliczu niebezpieczeństwa, potrafi utrzymać w posłuchu przydzielonych agentów.

Nie, gdyby zapytać Mary, co się dzieje w jej sercu, nie znalazłaby właściwej odpowiedzi. Powiedziałyby, że jest bardzo znudzona i bardzo stęskniona za jakąś wielką i niebezpieczną przygodą. Przemilczałaby jedno — to, co ukrywała sama przed sobą.

Dwa lata przed wybuchem wojny była z ojcem w Stanach. Któregoś wieczoru jeden z jej adoratorów, przystojny i sympatyczny chłopak, syn wielkiego przemysłowca, z którym jej ojca łączyły bliżej nieokreślone interesy, zabrał ją do restauracji. Wędrowali z dancingu na dancing, aż około trzeciej nad ranem podпиты wielbiciel zaproponował, żeby wpaść na zakończenie hulanki do ekskluzywnego klubu „ryczących lwów“. Chłopiec zostawił ją na krótko w hallu samą. W tej chwili podszedł do niej portier i pogardliwym gestem wskazał drzwi. Mary nie od razu zrozumiała o co chodzi. Do portiera przyłączył się jeszcze jakiś dryblas i popchnął ją ku wyjściu, chrypiąc prosto w twarz:

— *Go on, you monkey*⁹

Kiedy Mary próbowała wytłumaczyć, że przyszła tu z przyjacielem, dryblas pchnął ją jeszcze mocniej i ryknął rozwścieczony:

— *Go on, yellow monkey!*¹⁰ Lokal tylko dla białych.

Nazajutrz Mary, nie odpowiadając ani na pytania ojca, ani na telefony zrozpaczonego adoratora zapewniającego, że wszystko to było nieporozumieniem i dryblas dostał od niego porcję sierpowych kwalifikującą do pa-rotygodniowego wypoczynku w szpitalu, wsiadła do samolotu. Przez długi czas wspomnienie owego wieczoru budziło w niej paroksyzmy wściekłości. Na widok Amerykanki odwracała się i spluwała jak ulicznik. Potem ostrość przeżycia zatarła się, pozostawiając tylko dręczące poczucie niższości wobec białych. Mary znienawidziła ojca, matkę, siebie. Dlaczego urodziła się Koreanką? Co z tego, że jej ojciec ma miliony dolarów w amerykańskich bankach, skoro

każdy dryblas w Stanach może ją obrzucić stekiem wymysłów i wygnać precz z restauracji, pociągu, ba, nawet ubikacji, ponieważ ona, Mary, ma ciemną cerę, przyplaszczony, zgrabny nosek i jakby przeciągnięte ku skroniom brwi, pod którymi poły skują ciemne, koreańskie oczy.

Był okres, kiedy nienawiść do Amerykanów wrzała w jej sercu goręcej niż nienawiść do komunistów. Ale trwało to krótko. Amerykanie byli wstrętni, ale potrzebni. Stokroć niebezpieczniejsi byli ludzie o takich samych jak jej twarzach, mówiący tym samym co i ona językiem, ale spoglądający na nią wzrokiem budzącym grozę. Straszniejsze od obraźliwych słów dryblasa z klubu były gromady milczących robotników przed bramami ojcowskich fabryk. I Mary dokonała wyboru. Zabroniła domownikom nazywać siebie swoim prawdziwym imieniem Sun Dia, odnowiła zerwane znajomości z amerykańskimi oficerami, zaczęła ku rozpaczy matki ubierać się z ekstrawagancją, na jaką koreańskie kobiety zdobywały się tylko za granicą. Nazwisko i stosunki otwierały przed nią wszystkie drzwi. Przez parę miesięcy pracowała w redakcji gazety utrzymującej się z funduszków amerykańskich. Potem przyjęła propozycję generała i objęła oficjalnie funkcję jego sekretarki w aparacie wywiadowczym w Ministerstwie Wojny.

Tu znalazła się w swoim żywiole. Zaczytywała się bogatą literaturą szpiegowską. Mata Hari stała się jej ulubioną bohaterką. Zamęczała swojego protektora i Dodge'a molestowaniem o niebezpieczną robotę.

I teraz, kiedy się znalazła o krok od spełnienia marzeń, kiedy została kochanką Crosby'ego w na-

dziei, iż pomoże jej w uzyskaniu odpowiednio emocjonującej roboty, ten właśnie Crosby stawał jej na przeszkodzie. Może ma jeszcze znieść jego czułości. Po co?

Crosby zrezygnował. Westchnąwszy odsunął się na skraj otomany i aby opanować wzburzenie, zapalił papierosa. Spod oka zerkał na nadaśaną twarz dziewczyny. Jakże chciał rozgnieść pocałunkami jej zaciśnięte, wąskie wargi...

Zabrzączał telefon. Crosby podniósł słuchawkę. Po chwili uśmiechnął się, odpowiedział krótko „dobrze” i wstał. Nie patrząc na dziewczynę ruszył do drzwi. Stojąc już na progu rzucił przez ramię:

— Jutro rano, przed dziewiątą, masz być na lotnisku. Miejsce w samolocie zarezerwowane. Zgłosisz się do porucznika Bentleya.

Dziewczyna zerwała się z otomany i jednym skokiem znalazła się przy nim.

— Bob, doprawdy?

Twarz jej promieniała. Usta rozchyliły się w uśmiechu, oczy błyszczały radośnie. Crosby wiedział, że to wszystko nie jest dla niego przeznaczone, ale nie mógł się opanować. Czuł przy sobie jej młode, prężne ciało, delikatny zapach perfum. Chwycił ją w ramiona i zapominając o całym świecie wtulił twarz w czarne włosy. Połykając słowa zaczął jej znów opowiadać o swojej miłości. A dziewczyna uśmiechając się do własnych myśli, nie słuchając tego, co on mówi, szepnęła:

— Wiedziałam, Bob, że jesteś dobrym chłopcem. Chciałabym już siedzieć w samolocie.

Nazajutrz, mimo najszczerze chęci, Crosby nie mógł odprowadzić Mary na lotnisko. Przed ósmą zgłosił się po niego oficer z naczelnego dowództwa. Crosby, choć ciężko mu było rozstać się z Mary nawet o godzinę wcześniej, musiał ubrać się szybko, ogolić i bez śniadania wyjechać do głównej kwatery. Naczelny dowódca nie znosił spóźniających się lub nieściśle wykonujących rozkazy oficerów.

General przyjął go w swoim gabinecie. Na powitanie pułkownika odpowiedział niewyraźnym mruknięciem i od razu poprosił go do stołu. Rozłożył dużą, dokładną, odręcznie sporządzoną mapę Korei Północnej. Za grubą, krętą, czerwoną kreską oznaczającą linię frontu nie było symboli oznaczających zgrupowania wojsk nieprzyjacielskich. Tylko w niektórych miejscach zwracały uwagę zakreślone czarnym tuszem kółka. Obok każdego z nich niebieskim ołówkiem wypisano datę.

Crosby zwrócił uwagę, że największe zagęszczenie czarnych kółek znajdowało się w prowincji Kanuon. Przy nich też wypisane były najbliższe daty. Sporo kółek wymalowano wokół Phenianu, parę przy Nampo, Won-sanie i innych większych ośrodkach miejskich na północ od 38 równoleżnika.

Naczelny dowódca chwilę przyglądał sięystemu rysunkowi mapy, potem gwałtownie odwrócił się do pułkownika i ostrym, trochę zachrypłym głosem powiedział:

— Poznaje pan tę mapę, Crosby? — General miał zwyczaj zwracania się do podwładnych podczas poufnych narad wprost po nazwisku.

— Tak jest, panie generale.

— To dobrze. Jak pan widzi, wzięliśmy pod uwagę pańskie propozycje i sugestie pańskich specjalistów. Na razie zagęszczenie w jednej prowincji. Operacje typu chaotycznego. Mam nadzieję, że pan jest gotów.

— Naturalnie.

— Proszę mi krótko, zaznaczam krótko, podać zakres i charakter przygotowań — rzucił niecierpliwie.

Crosby ściągnął brwi. Sposób bycia naczelnego dowódcy nie był zbyt przyjemny. Oficerowie ze sztabu żartowali złośliwie, że nowy naczelnny dowódca naśladuje starego Mac Arthura i oschłością w stosunku do podkomendnych usiłuje podnieść swój autorytet. Crosby przełknął gorzką pigułkę i aby ukryć wykrzywiający mu twarz grymas niechęci, pochylił się głębiej nad mapą.

— Słucham — mruknął tamten ze zniecierpliwieniem.

Crosby wyprostował się.

— W chwili obecnej przygotowania do akcji „suprop” zostały zakończone — zaczął Crosby i widząc niechętną minę generała przeszedł od razu do sedna sprawy. —

Na bazach przewidzianych w pierwotnym planie naczelnego dowództwa zgromadzone zostały odpowiednie zapasy bomb bakteriologicznych.

— Jakie to są bazy? — przerwał znów generał przenosząc spojrzenie na wiszącą na ścianie mapę Korei Południowej .

Crosby zbliżył się do mapy i szybko, za każdym słowem stukając palcem po ścianie, wyrecytował:

— Baza K-8 w Kunsanie, K-6 w Phonthonie, K-3 w Pohang, główna baza eskadry 543 w Ulsanie,

baza 6 405 brygady lotnictwa wspierającego w Te-gu.

— Czy wszystkie wymienione bazy zakończyły przygotowania? — nie dał mu dokończyć rejestru.

— O tyle, o ile było to przewidziane w planie akcji „suprop“ — bez zastanowienia odparł Crosby. — Na razie tylko K-8 i K-3 zostały przewidziane jako bazy wysyłania samolotów „suprop“. Pozostałe będą wyzyskane w terminie dalszym z chwilą wzmożenia całej akcji.

Generał skinął głową z aprobatą. Zachęcony tym Crosby ciągnął:

— Ale wszystkie bazy w tej chwili dysponują odpowiednim kompletem bomb. Poza tym Tachikawa w każdej chwili może uzupełnić zapasy, a laboratorium Otamiury zostało zaopatrzone w pełny asortyment pustych bomb.

— A jeśli chodzi o metody zakwalifikowane na pierwszą fazę?

— Stosowane będą wszystkie rodzaje bomb pięćset-funtowych napełnionych głównie owadami. Bomby spadochronowe użyte będą również do zrzucania szczurów i myszy. Dla celów ściśle eksperymentalnych w pojedynczych wypadkach dokonamy zrzutów zarazonej żywności, jak również drobnych przedmiotów. W najbliższych dniach przybędą pierwsze samoloty przystosowane do rozpylania owadów i pożywki nasyconej bakteriami.

Naczelny dowódca podszedł do stołu. Wyjął z szuflady niewielki notes, przerzucił kilka kartek, po czym na jednej z nich coś zapisał. Crosby cze-

kał w milczeniu. Irytowała go oschłość przełożonego, pozorna obojętność w wyrazie twarzy i gestach.

— Dalej, dalej, Crosby. Słucham.

— Specjalni instruktorzy z mego wydziału przeszkolili sporą grupę lotników. Głównie na K-8. W chwili obecnej na każdej bazie znajduje się już co najmniej trzech, czterech pilotów obznajmionych z techniką zrzutów bakteriologicznych. Wliczam w to również wyższych oficerów przysyłanych w ciągu grudnia ze Stanów i tam zapoznanych z zasadą akcji „suprop“.

— A selekcja?

Crosby zawahał się. W pierwszej chwili nie zrozumiał pytania.

— Selekcja — powtórzył generał z odcieniem irytacji w głosie. — Pytam o selekcję, no... dobór lotników.

— Przeprowadzono ją jak najściślej — szybko odpowiedział Crosby. — Wtajemniczyliśmy tylko ludzi zasługujących na zaufanie.

— A jeżeli je zawiodą?

Crosby rozłożył ręce jakby dając do zrozumienia, że na to już nie ma wpływu.

— W doborze pilotów kierowaliśmy się opinią specjalnego wydziału G-2, nadesłaną ze Stanów, z poprzednich miejsc służby, jak również wynikiem obserwacji i dochodzeń dokonanych przez G-2 na miejscu. Kandydatury — dodał pośpiesznie — uzgadniałem z generałem Everestem.

— Bardzo pięknie — mruknął zgryźliwie naczelny dowódca. — Ale ani pan, Crosby, ani Everest nie widzieliście tych ludzi na oczy. Nie znacie ich.

Crosby milczał. Generał czepiał się dziś nawet drobiazgów. Przecież Crosby nie może wleźć każdemu pilotowi czy nawigatorowi w duszę i zajrzeć w myśli tamtego. Niech przycisną uczonych i wyduszą z nich automat do odczytywania myśli. Uczeni na pewno to potrafią, trzeba ich tylko przypilnować.

— Pamiętaj pan, Crosby — cicho ale wyraźnie powiedział generał. — Pilnować ludzi. Obstawić ich, alby pary nie mogli puścić z ust bez pańskiej wiedzy. Zastraszyć tak, żeby w razie czego nie dostali się żywi w ręce czerwonych. Im później tamci zdobędą dowody, tym więcej zdążymy zrobić. Sam wiesz — nieoczekiwanie przeszedł na ty — jaką wagę przywiązujemy do „suprop“. To już nie tylko eksperyment. Korea to coś więcej niż poligon. Doświadczenia — zgoda, ale „sup-rop“ to akcja paralizująca ostatecznie opór czerwonych.

— Tak jest.

— Niepotrzebne mi to twoje „tak jest“. Potrzebne mi są efekty. Efekty — powtórzył przeciągając sylaby.

— A ty sprowadzasz swoich naukowców. Nie lubię, kiedy mi się pętają przed nosem. Dla nich to eksperyment naukowy, a dla mnie akcja bojowa. Na diabła potrzebny ci teraz ten nudny staruch Meisfeld. — I widząc, że Crosby chce protestować, machnął ręką. — Nie potrzebuję żadnych tłumaczeń. Rób, co chcesz, bylebym ja się doczekał efektów.

— Eksperymenty nie przeszkadzają akcji bojowej, generale, pomagają nam rozszerzyć jej zakres i skuteczność.

— Dobrze już, dobrze. Bawimy się z tymi dzi-
kusami już półtora roku. A efekt? Żaden. Byliśmy
już nad Jalu i co? Dostaliśmy po..., aż zahuczało. I
znów jesteśmy niemal na pozycjach wyjściowych.
Politycy — prychnął pogardliwie — rozpędziłbym
całą tę bandę...

— Spojrzał na Crosby'ego i nagle urwał. — Co
z wywiadem? — zapytał ostro świdrując pułkowni-
ka oczyma ledwie widocznymi spod przymrużo-
nych powiek.

Speszony nieoczekiwaną zmianą tematu
Crosby bąknął niewyraźnie:

— Przygotowujemy...

Naczelný dowódca odepchnął nogą krzesło i za-
łożywszy ręce za pas pochylił się ku pułkownikowi.

— Przygotowujecie — skrzywił się z niesma-
kiem. — Rozpędziłbym również całe G-2 na cztery
wiatry. Ile razy potrzeba mi dokładniejszych in-
formacji o czerwonych, tyle razy otrzymuję za-
gmatwane raporty, w których sam diabeł się nie
rozezna. Niemal każdego agenta nam wyłapują.
Działamy często na ślepo. Chociażby pan, Crosby.
Czy macie jakieś informacje o wynikach ekspery-
mentalnych zrzutów? Nie chcę wykrętów, nie wie-
rzę. Wiem, że nic nie wiecie. A teraz?

— Trochę ludzi już przerzuciliśmy na północ
— wtracił pośpiesznie Crosby. — Za parę dni wyru-
szy nowa grupa.

— I znowu wpadnie... Niech mi pan nie opo-
wiada bajek, Crosby. Ja też coś niecoś wiem o tych
sprawach. — Zrobił dwa kroki i schylił głowę nad
mapą. — Agenci muszą być na miejscu, zanim zo-
staną dokonane zrzuty. Słyszysz pan, Crosby? I żad-
nych — rzucił na pułkownika szybkie spojrzenie —

żadnych tłumaczeń nie przyjmę. Tę sikorkę chcia-
łeś zatrzymać dla siebie, co?

Crosby poczuł, że twarz zalewa mu krwisty
rumieniec. „Świnia Dodge — pomyślał z nienawi-
ścią — sypnął mnie.“

General wyprostował się i zadowolony z efektu
swoich słów patrzył na stropionego Crosby'ego.

— Wiem, wszystko wiem — oświadczył z chy-
trym uśmiechem. — Mało ci dziwek, Crosby? Ta
mała jest nam potrzebna. Musisz się uczyć patrio-
tyzmu od czerwonych — ciągnął z gryzącą ironią.
— Trzeba poświęcać miłość dla ojczyzny. No —
zmienił ton — dość o tym.

Wskazującym palcem przykrył jedno z czar-
nych kółek na mapie.

— Widzisz datę? — zapytał. — 28 stycznia. Tu
musi być dokonany pierwszy zrzut w ramach akcji
„suprop”. Iczon — usiłował naśladować koreańską
wymowę. — Proszę przyjrzeć się dokładnie. — Pal-
cami wędrował od jednego do drugiego czarnego
kółka.

Crosby przysunął się bliżej, dotykając niemal
policzkiem ramienia przełożonego. Notował w pa-
mięci nazwy i daty, choć wiedział, że za parę go-
dzin podobna mapa znajdzie się i w jego gabinecie.
Parę chwil rozmawiali nie odrywając oczu od ma-
py. Wreszcie naczelny dowódca wyprostował się i
spojrzał na zegarek.

— Na razie to wszystko, Crosby. Zostało kil-
ka dni. Akcja „suprop” nie może zawieść. Teraz —
postukał zgiętym palcem w szkiełko zegarka —
czeka na pana Weyland. Omówicie szczegóły ope-
racji wspólnie z Everestem. Pojutrze wieczorem
czekam na dokładny plan. O — zawahał się przez

chwile — o dwudziestej drugiej. Zamelduje mi pan również, Crosby, o wysianiu grupy wywiadowczej.

Crosby bez słowa skłonił głowę. Generał podał mu rękę i nie czekając, aż pułkownik wyjdzie z gabinetu, wrócił do biurka.

3

Dodge przechylił się przez poręcz fotela i zwrócił twarz w stronę siedzącego w głębi Crosby'ego.

— Przerwiemy czy wołać następnego? — zapytał ścisząc głos.

Crosby machinalnie zerknął na zegarek. Dochodziło wpół do piątej. Gdyby nie szczelnie zaciągnięte zasłony, przez okno wpadłoby już szare, skąpe światło poranku.

— Ilu ich jeszcze masz?

Dodge popatrzył na leżący przed nim na stole spis nazwisk. Tylko przy trzech nie było grubego, czerwonego „ptaszka”.

— Trzech.

— No to wołaj następnego. Chciałbym już skończyć — mruknął Crosby.

Dodge dał znak tłumaczowi, krępemu Koreańczykowi w mundurze z odznakami piechoty. Tamten skinął głową i znikł za drzwiami.

W pokoju zapanowało milczenie. Crosby poczuł nowy przypływ zmęczenia. Dawały o sobie znać dziesiątki nie przespanych nocy. Od paru miesięcy żył w atmosferze nie ustającego podniecenia i zdernerwowania. Nieraz zdarzały się dni takie jak dzisiejszy. Ranek w Tokio, przedpołudnie w Tegu czy

Dżuma II

Kunsanie, wieczór w Seulu, noc w Pusanie. Przyjaciele żartowali sobie z niego, nazywając go „latającą fortecą”.

— Ty, Crosby — mówili — niedługo zostaniesz wpisany do rejestru jednostek latających. Wszędzie ciebie pełno.

Nie było w tych słowach przesady. Crosby rzeczywiście zmieniał miejsca pobytu co kilka godzin. Pędził z konferencji na konferencję, z odprawy na odprawę. Chociażby dziś. Po wizycie u naczelnego dowódcy spędził kilka godzin u Weylanda i razem z Everestem wyleciał do Seulu. Przeprowadził odprawę na bazie K-8, na krótko wpadł do Suwon, aby się porozumieć z pułkownikiem Gabreskim, dowódcą 51 pułku myśliwców, i wreszcie wylądował w tej małej dziurze koło Inczonu, gdzie Dodge trzymał swoich agentów. Pomny gniewnych słów dowódcy postanowił osobiście zapoznać się z całą grupą wywiadu i zmusić Dodge'a do natychmiastowego rozpoczęcia akcji przerzutowej.

Nie był zadowolony z agentów Dodge'a. Robili na nim wrażenie ludzi tępych, głupich, niezdolnych do samodzielnego prowadzenia akcji. Zaledwie kilku z nich można było posłać bez obawy, że natychmiast wpadną w ręce komunistów. Odpowiadali na pytania recytując wyuczone na pamięć formułki. Dodge twierdził, że są to najlepsi, jakich mógł znaleźć w spisach G-2. Crosby nie winił go za to — ostatecznie z próżnego nawet naczelnego dowódca nie należy, ale wściekając się i krzycząc na Dodge'a wylądowywał swoją wściekłość za gadulstwo kolegi. Nie mógł mu wybaczyć złośliwych uwag naczelnego na temat Mary.

— Wciąż jesteś niezadowolony? — wyrwało go z zamyślenia pytanie Dodge'a. — Ten radiotechnik to wcale niegłupi chłopak. Pracował kiedyś w japońskiej policji, potem w wydziale antykomunistycznym u tej małpy Ree. Zobaczysz, że da sobie radę.

Crosby westchnął.

— Jeden czy dwóch, czy nawet pięciu dobrych szpiegów to kropla w morzu wobec moich potrzeb. Muszę mieć cały sztab agentów. Zrozum, Dodge. Trzeba ich rozrzucić po całym terytorium czerwonych. Czy myślisz, że Phenian będzie na lewo i prawo trąbił o każdym naszym zrzucie? Muszę mieć dokładne informacje o rezultatach każdego bombardowania. Tam trzeba stworzyć potężną sieć, a twoi ludzie tego nie potrafią. Wsypią się przy pierwszej okazji.

— Przesada — mruknął Dodge. — Już ja się na tym znam. Na razie każdy z nich wygląda jak skończony tuman. Ale niech się znajdzie za linią frontu, od razu nabierze sprytu. Myślisz, że chcą zdychać? Wiedzą, że komuniści nie pogłaszczą ich po główce. Nastraszyłem ich o tak — palcem przeciągnął po gardle. — Nie dadzą się!

Rozmowę przerwało im skrzypnięcie drzwi. Wszedł kapitan w towarzystwie mężczyzny w średnim, wieku. Crosby przyjrzał się jego twarzy. Niskie czoło, na które spadał rzadki kosmyk twardego włosów, oczy rozbiegane, ukryte pod obrzmiałymi powiekami, żółte zęby wystające spoza rozchylonych w sztucznym uśmiechu warg.

— Proszę siadać, panie Piak — powiedział Dodge po koreańsku. Było to jedyne zdanie, jakie

umiał powiedzieć w tym języku. Dalej rozmawiał już przez tłumacza.

— Znudziła się panu samotność, co?

Dodge sprowadzał agentów wywiadu bakteriologicznego do tego domu i do ostatniej chwili trzymał w izolacji. Nie brakowało im niczego. Każdy miał w pokoju to, na czym mu zależało. Dodge nie pozwalał im tylko stykać się ze światem zewnętrznym. Miał już bowiem raz wypadek, kiedy agent wysłany w pierwszej grupie zaczął po pijanemu coś pleść na temat specjalnych poruczeń.

Koreańczyk mówił żywo gestykulując. Tłumacz nie czekał, aż skończy.

— On mówi, że chciałby już wyjść z tego domu i zacząć pracować.

— To mi się podoba — zarechotał Dodge. — Powiedz mu, że my jesteśmy hojni i jeśli będzie pracował z zapalem, po powrocie stamtąd dostanie premię.

Tłumacz powtórzył słowa Amerykanina po koreańsku. Ożywioną rozmowę przerwał zniecierpliwiony Crosby.

— Czy zna obyczaje obowiązujące na północy?

Agent obnażył zęby w uśmiechu. Jeszcze jak! Aż do

wkroczenia Amerykanów żył na północy w prowincji Hoanhedo. Gdyby wielki amerykański naczelnik wiedział, ile wycierpieć musiał biedny Piak przez przeklętych komunistów! Całą ziemię mu zabrali! Pięćdziesiąt tysięcy *pchion*¹¹! Ludzie, którym on wielkodusznie wydzierzawiał ziemię, którzy jego dobroci zawdzięczali możliwość utrzymania się przy życiu, kasałi go jak psy. Właśnie jak psy! Z domu go wypędzili, kazali pracować

przy budowie tamy, jakby był śmierzącym nędzarzem, a nie poważanym przez całe życie panem Piakiem, któremu nawet naczelnik japońskiej policji w miasteczku podawał rękę.

Crosby znudzony potokiem wymowy pokrzywdzonego Piaka przerwał:

— Czy zna cele swej misji?

Koreańczyk zamrugał nabrzmiałymi powiekami. Naturalnie. Wielki amerykański naczelnik, tu skłonił się głęboko Dodge'owi, raczył mu wyjaśnić wiele rzeczy. Wie, że trzeba zorganizować siatkę wywiadowczą i zbierać informacje o wypadkach choroby. Nawet pamięta, na jakie pytania trzeba odpowiedzieć przy nadawaniu informacji radiowej: „gdzie?“, „kiedy?“... Zająknął się i powtórzył: „kiedy?“, „gdzie?“, „kto?“, „na co?“, „w jaki sposób?“, „dlaczego?“.

Czy umie posługiwać się radionadajnikiem? Trochę. Ale przecież — dodał wystraszonym głosem — mają pracować we dwójkę. Prawda? Crosby uspokoił go. Będzie ich dwóch. Będzie ich zresztą więcej. Jego zadaniem jest między innymi utworzyć silną grupę wywiadowczą. Terenem działania będzie prowincja Kanuondo. Crosby rozłożył mapę i przywołał bliżej Koreańczyka. Kazał mu pokazać dolinę rzeki Pukhan. Agent znał te okolice, wymienił nazwy kilku wiosek i miasteczek.

Kiedy Dodge żegnając Piaka powiedział mu, że jeszcze w tym tygodniu wyruszy w drogę na północ, pod skórą na twarzy agenta zafalowały nerwowo mięśnie. Oczy straciły ożywiony blask, zmętniały. Wyjrzał z nich strach.

— No, ten ci się podoba? — zapytał Dodge, gdy Koreańczyk wyszedł z pokoju.

Crosby mruknął coś pod nosem. Znow ogarnęła go senność!

W rozmowie z ostatnimi dwoma wybrańcami Dodge'a prawie nie brał udziału. Dopiero kiedy wyszli, ożywił się na chwilę. Teraz, po całonocnej, wytężonej pracy, mógł zapytać o to, co go najbardziej interesowało. Głęboko zaciągnął się dymem papierosa i niby to obojętnym tonem zapytał kolegę:

— A Mary? Też ją tu trzymasz?

Dodge, porządkujący papiery, nawet nie podniósł głowy.

— Chciałeś i z nią przeprowadzić rozmowę?

Crosby z trudem powstrzymał wybuch wściekłości.

W głosie tamtego wyczuł drwinę. Przygryzając wargę mruknął:

— Tak, chciałem.

Dodge nie zmieniając pozycji odpowiedział z udanym żalem:

— Szkoda, żeś mnie nie uprzedził wcześniej...

— Dlaczego?

— Bo... — Dodge mrużąc oczy spojrzał na zmienioną twarz kolegi. — Wiesz, nie przypuszczałem, a Mary bardzo nalegała i...

— Co, mów! — Crosby szarpnął Dodge'a za rękę.

— Wyjechała. O północy wysłaliśmy ją specjalnym samolotem z K-14. Gdybym wiedział, że chcesz ją zobaczyć...

— Świnia! — syknął! — Świnia — powtórzył i zacisnął pięść, jakby gotując się do uderzenia.

Dodge przyglądał mu się z ironicznym uśmieszkiem i nie ukrywaną pogardą. To otrzeźwiło Crosby'ego. „Kompromituję się“ — pomyślał, ale trudno mu było opanować wzburzenie.

— Głupi jesteś, Bob — przerwał milczenie Dodge. — Zachowujesz się jak smarkacz. Niewiele brakuje, a gotów byłbyś dla tej dziewczki rzucić wszystko. Ładnie by to wyglądało, gdyby każdy z nas po przespaniu się z taką ślicznotką tracił głowę. He, he, he! — zarechotał. — Musiałbym sobie założyć cały harem. — Poklepał Crosby'ego po ramieniu. — Uszy do góry, Bob! Zobaczysz, kiedy wkroczymy do Phenianu, sto dziewczek na każdego pułkownika, a każda — mlasnął językiem — jak cukierek.

— Idź do diabła! — Crosby stracił dłoń tamtego i obciągnął mundur. — Świnia jesteś. Mogłeś mnie uprzedzić.

Dodge zapalił papierosa i nie chcąc więcej drażnić kolegi wrócił do papierów. Crosby chwilę jeszcze stał nad nim zamyślony. Potem splunął i wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

4

Przez otwarte drzwi samolotu z piekielnym świstem wpadało mroźne, przejmujące powietrze. Ogluszająco wyły silniki. Ludzie skuleni z zimna, zawinięci w koce siedzieli w milczeniu na ławkach umocowanych wzdłuż ścian.

Wszystkim na plecach niby potężne garby wisiały spadochrony. Kilku miało także garby na piersiach — ale mniejsze, przyplaszczone. Nikt nie

odzywał się słowem. Czekali, bezmyślnie wpatrzeni w szczelnie zamknięte drzwi kabiny pilota, zmęczeni rozdzierającym uszy wyciem i zimnem, przed którym nie było schronienia.

Drzwi kabiny pilota uchyliły się powoli, jakby otwierający zmagający się z oporem powietrza. Ludzie na ławkach wyprostowali się. W półmroku słabo oświetlonego samolotu nie widać było ich twarzy. Ten, który otworzył drzwi, jednym spojrzeniem ogarnął marznących pasażerów. Ze złością pomyślał, że można było przydzielić lepszy samolot. Jakiś przyzwoity transportowiec, przystosowany do przewozu skoczków, a nie starą ćwiczebną maszynę.

Nad drzwiami błysnęło czerwone światelko. Ten, który wyszedł z kabiny pilota, głośno, by przekrzyczeć świst wiatru i warkot silników, zawołał:

— Phongan! Przygotować się!

Dwie postacie oderwały się od ławek. W półmroku przypominały jakieś pokracczne zwierzęta o ludzkich głowach.

Czerwone światło nad drzwiami błysnęło dwukrotnie. Komenderujący ostrożnie ruszył ku otworowi, za którym zaczynała się przepaść.

Za każdym krokiem chwycił się liny przeciągniętej wzdłuż ściany. Samolot wykonywał karkołomne ewolucje. Podłoga wciąż uciekała spod nóg.

Obaj spadochroniarze przysunęli się ku wyjściu. Teraz tylko krok oddzielał ich od czarnej, wyjącej czeluści, której końca nie było widać. Samolot znów leciał po prostej. Czerwone światelko błysnęło trzykrotnie. Komenderujący krzyknął:

— Down!

Raz... Pierwsza postać, skulona, runęła w dół. Komenderujący lekko popchnął następnego, a gdy ten ociągał się jeszcze przed decydującym krokiem, jakby się chciał cofnąć, kopnął go poniżej garbu. Potem ostrożnie — samolot gwałtowniej nabierał wysokości — ruszył z powrotem ku kabinnie pilota.

Pilot spojrział na niego pytająco.

— Dobrze poszło — mruknął ten, który kierował skokami. — Jeden trochę się nastraszył, ale kopnąłem go tak, że chyba popamięta mnie do końca życia. Gdzie ich zrzuciliśmy?

Nawigator pokazał na czerwoną kropkę na mapie.

— Tu — mruknął. — Chyba, żeście długo czekali.

— Nie — odparł tamten. — Wypuściłem ich niemal równocześnie z trzecim sygnałem.

— O *key!* — warknął nawigator. — Wylądują na tych wzgórzach. Zresztą noc ciemna. Nikt ich nie zobaczy. No, idź już, zaraz będziemy nad Kymchoa. Język można połamać na tych cholernych nazwach — mruknął. — Idź.

Pilot położył samolot na lewe skrzydło wykonując ostry skręt.

ROZDZIAŁ VII

1

Rozkaz przekazania szpitala swemu zastępcy otrzymał Fukudu późnym wieczorem. Oczekiwał tego już od pewnego czasu. Na ostatniej odprawie,

Dżuma II

o której zawiadomił go Fu Lin, szef służby zdrowia zapowiedział reorganizację pewnych wydziałów, wśród nich również epidemiologicznego. Widocznie reorganizację zakończono i praca już czekała, bo rozkaz wzywał do stawienia się w szefostwie w ciągu dwudziestu czterech godzin. Przekazywanie szpitala nie zajęło zbyt wiele czasu i rano płaski „dżip“ skakał po wyboistej, bocznej drodze, uwożąc Fukudę w stronę Phenianu.

Nie dojeżdżając do miasta skręcili między pagórki ku wiosce, w której rozlokowało się szefostwo służby zdrowia ochotników chińskich. Fukuda odesłał samochód do szpitala, a sam udał się do szefa. Ten przyjął go od razu, serdecznie i gościnnie, jakby łączyły ich więzy serdecznej przyjaźni, a nie krótka, raczej korespondencyjna niż osobista, znajomość. Fukuda nie protestował, gdy szef przed oficjalną rozmową zaprosił go na śniadanie. Był niewyspany i zziębnięty; gorący, pulchny ryż z sosem przywracał mu siły i rześkość.

Po śniadaniu szef przystąpił do sedna sprawy. Fukuda powinien natychmiast zabrać się do roboty, w zasadzie prostej, ale w tej wojnie — trudnej i odpowiedzialnej. Trzeba było opracować plany obrony przeciwepidemiologicznej, przewidzieć wszelkie środki przeciw szerzeniu się chorób zakaźnych, przygotować personel. Fukudę zgniewało to, że cała praca została już w zasadzie wykonana, a jego sprowadzono tu raczej jako eksperta, który miał doradzać i koordynować. Szef wyczuł widocznie niezadowolenie Fukudy, gdyż nie pytany zaczął wyjaśniać doktorowi konieczność złożenia kierownictwa nad tymi sprawami w ręce wybitnego specjalisty nie w stadium początkowym, lecz po

ukończeniu wszelkich przygotowań. Pierwszym zadaniem Fukudy było uzgodnienie dalszych kroków z szefem służby zdrowia Koreańskiej Armii Ludowej, któremu podlegał całokształt akcji.

— Wygląda na to — odezwał się Fukuda wysłuchawszy przełożonego — że jesteście pewni ataku bakteriologicznego, towarzyszu.

Szef spojrział na Fukudę badawczo, jakby usiłując odgadnąć, czy w tonie Fukudy nutka ironii jest przypadkowa, czy też zamierzona.

— O tym wy powinniście właściwie wiedzieć lepiej ode mnie, towarzyszu Fukuda — odparł ostro, z nie ukrywanym wyrzutem. — Sądziłem, że głębiej i poważniej interesujecie się tymi sprawami. Zresztą — wyjął z biurka plik notatek i podał je Fukudzie — przejrzyjcie te papiery, może one trafią wam do przekonania bardziej niż moje słowa.

Fukuda zaczerwienił się. Słowa zwierzchnika ubodły go.

Bez słowa rozłożył notatki i zaczął je czytać. Z każdą chwilą twarz jego mroczniała coraz bardziej, zmarszczka w kąciku warg twardniała. Odłożył wreszcie papiery i rzucił pytające spojrzenie na szefa. Tamten w zamyśleniu bębnił palcami po stole.

— Przeczytaliście? — odezwał się po chwili. — Co o tym sądzicie?

— Pośpiech jest całkowicie uzasadniony — odrzekł Fukuda. — To wyraźna prowokacja, która ma przygotować grunt. Dlaczego wezwaliście mnie dopiero dziś?

Zwierzchnik jakby nie dosłyszał pytania. Potarł palcami czoło, odgarnął włosy i szczypiąc skapo

zarośnięty podbródek spoglądał przez małe, oklejone przezroczystym papierem okienko.

— Tak — powiedział nie patrząc na Fukudę. — Sytuacja jest poważna. Koreańscy towarzysze obawiają się, że atak może nastąpić w ciągu najbliższych dni. Zgadzam się z nimi całkowicie. A najgorsze... — Wstał i przeszedł się wzdłuż niewielkiej izdebki. — Najgorsze jest to, że nie wiemy, gdzie i jak się zacznie. Znaleźliśmy się w trudnej sytuacji ludzi, którzy zdają sobie sprawę, że za chwilę huknie piorun, i nie wiedzą, które drzewo trzeba będzie ratować. I to jest najgorsze. Nie możemy nic przedsięwziąć, dopóki Amerykanie nie przystąpią do akcji. Wiemy, że chcą nas zaskoczyć, i nie możemy temu przeciwdziałać.

— A gdyby napisać o tym, podać do wiadomości publicznej? — wtrącił Fukuda.

Szef służby zdrowia machnął ręką z rezygnacją.

— I co z tego? Amerykanów tym nie przestraszymy. Jeśli zdecydowali się na użycie broni bakteriologicznej, to nic ich przed tym nie powstrzyma. Tu już nie chodzi o zlikwidowanie jednego laboratorium doświadczalnego i stworzenie na jego miejscu innego. Atak przygotowuje się od dawna, zmontowano ogromną maszynę. Poza tym... — Zatrzymał się obok Fukudy, przebierając palcami w powietrzu, jakby chytał umykające strzępy myśli. — Zrozumcie. Co my powiemy? Świat zażąda dowodów bardziej namacalnych niż buńczuczna wypowiedź tego czy innego amerykańskiego generała, bardziej wymownych niż prowokacyjne notatki gazet o „epidemiach w Korei Północnej Uwierzą nam miliony Ludzi, ale czy to

zmieni postać rzeczy? Czy sądzicie, że powstrzyma zbrodniarzy?

— Więc co? Mamy czekać beczynnie? — wy-palił Fukuda.

— Nie — twardo odparł zwierzchnik. — Musimy czekać, to prawda, ale nie beczynnie. Musimy przedsięwziąć wszystko, by plan amerykański zawiódł od początku. Trzeba realnie ocenić sytuację, towarzyszu Fukuda. Ofiary będą nieuniknione, ale od nas zależy, by tych ofiar było jak najmniej. Trzeba już przystąpić do akcji uświadomienia ludności, przygotować odpowiednią ilość stacji przeciwepidemiologicznych, przeszkolić personel... Zresztą o szczegółach porozmawiacie z towarzyszami koreańskimi. Trudności są ogromne. Zdajecie sobie chyba sprawę, że teraz, zimą, ludzie pozbawieni odpowiednich mieszkań, gnieźdzący się w ziemiankach są bardziej narażeni na choroby. Warunki życia w zniszczonym kraju sprzyjają Amerykanom. Tym większa odpowiedzialność spada na wszystkich, którzy staną do walki ze skutkami ataku bakteriologicznego.

Fukuda słuchając słów zwierzchnika przy-mknął oczy. Pod powiekami wyrósł nagle obraz wyniesiony z dzieciństwa. Wieś skazana na wymarcie, mały chłopak tulący się do kolan starego doktora, martwi na polach, w chatach, na drodze... Czyżby znów miał przeżyć to samo? Czyżby mali chłopcy, tak jak on kiedyś w swej wiosce rodzinnej, mieli teraz patrzeć na śmierć swych najbliższych?

Wstał i nie pytając o pozwolenie pchnął skrzy-piące ramy okienne. Powiew ostrego, mroźnego powietrza uderzył go w twarz. Za oknem nie widać

było nic prócz wysokiego, gliniastego wału usypanego w odległości paru metrów od chaty. Poczul, że się dusi w zamkniętej przestrzeni, zapragnął wybiec z chaty, znaleźć się na szczycie pagórka, ogarnąć spojrzeniem całą okolicę.

Uciec. Uciec od myśli, które nie dają ani chwili spokoju, od strasznych wizji, które odtąd nie opuszczą go ani w dzień, ani w nocy.

Głośnie chrząknięcie zwierzchnika przywróciło mu poczucie rzeczywistości. Opanował się i skonsternowany przeprosił go spojrzeniem za chwilę nieuwagi.

— Nie trzeba się denerwować, towarzyszu Fukuda — powiedział tamten jakoś ciepło, po ojcowsku. — Przecież my, „ludzie Wschodu”, słyniemy z żelaznych nerwów. Trzeba się brać do roboty.

— Jestem gotów...

— Więc dobrze. — Szef spojrział na zegarek. — General przyjmie was dziś wieczór. Macie trochę czasu, którego i ja wam nie zajmę. Przygotowałem nawet dla was miłą niespodziankę. Zresztą sami się przekonacie. Zostawiam wam cały dzień do dyspozycji. Samochód czeka i zawiezie was do Phenianu.

— Jaka niespodzianka? — zdziwił się Fukuda.

— O, my, „ludzie Wschodu”, słyniemy również z tajemniczości — zaśmiał się szef służby zdrowia. — Przekonacie się o tym w Phenianie. Ktoś tam czeka na was...

2

Gdyby Fukuda mógł przyprawić samochodowi skrzydła, uczyniłby to bez wahania. Choć jechali

szybko, z największym wysiłkiem powstrzymywał się, by nie popędzać kierowcy. Ściskając zgrabiałyymi palcami uchwyt pod szybą, rozszerzonymi z podniecenia oczyma spoglądał na drgającą strzałkę szybkościomierza. Wiedział, kto czeka nań w Phenianie, dlaczego szef mówił o tym z dobrodusznym, porozumiewawczym uśmiechem. Tanima. Tylko ona. Tylko ona.

Zgrzytając hamulcami na zakrętach, wlokąc za sobą gęsty kłęb kurzu, samochód wskoczył między pagórki pheniańskich przedmieść, gdzie mieściły się ziemianki stacji sanitarnej. Zapiszczały koła, szofer nacisnął klakson i triumfująco spojrział na Fukudę. Z ziemianki wybiegło kilka postaci w zielonych kurtkach i takich samych spodniach.

Fukuda wyskoczył z samochodu i ledwie mśnawszy spojrzeniem twarze wyprężonych na baczność ochotników ruszył ku ziemiance. Nie zdążył jednak ująć pięciu kroków, gdy jeden z ochotników w nasuniętej głęboko na oczy futrzanej czapie zagroził mu drogę. Fukuda chciał go ominąć, ale dostrzegł twarz tamtego i oniemiał.

W pierwszym porywie chciał Tanimę porwać w ramiona, przygarnąć, pokryć pocałunkami jej wychudłą twarz. W błyszczących radością, płonących oczach żony odczytał to samo pragnienie. Ale dookoła stali ochotnicy i to go krępowało. Chwycił więc Tanimę za ręce i nie mogąc wykrztusić słowa, poruszał tylko wargami jak ryba wyrzucona falą na przybrzeżny piach. Ochotnicy otoczyli ich zwartym kołem — uśmiechnięci, rozpromienieni. Jak dzieci cieszyli się niecodziennym spotkaniem — i jak dzieci wyrażali swą radość okrzykami i oklaskami. Uroczyście — niby młodą parę — zaprowa-

dzili Tanimę i Fukudę do ziemianki, gdzie na opróżnionym od probówek i retort stole rozstawiono już żołnierskie menażki i szczerbate talerze z zakąskami. W kącie, trzymając spory blaszany imbryk, stał uśmiechnięty U Pu-kuej. Obecność „niani U“ zdumiała Fukudę bardziej niż uczta. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że na dwa dni przed otrzymaniem rozkazu stawienia się w szefostwie nadszedł rozkaz przesłania U do dyspozycji szefa służby zdrowia.

Z rozczuleniem i wdzięcznością pomyślał teraz o towarzyszach, którzy w trudnych dniach wojny znaleźli czas, by pomyśleć o jego najbardziej osobistych sprawach. A U Pu-kuej napełniał już żołnierskie kubki zielonkawą, bananową wódką.

Uczta nie trwała długo. Fukuda mimo pełnego wyrzutu spojrzenia U Pu-kueja prawie nie tknął jedzenia. Tanima też podnosiła ciągle do ust, puste pałeczki i nie spuszczała wzroku z męża. Towarzy-sze gwarzyli wesoło, żartowali — ale oni oboje nie brali w rozmowach udziału, machinalnie sięgając po kubki, gdy padały toasty. Z trudem doczekali chwili wstania od stołu. Podziękowawszy towarzys-zom za gościnę, wyszli na dwór. Tu zatrzymał Fukudę kierowca prosząc o dalsze, rozkazy. Obok samochodu stał też U Pu-kuej. Zbliżył się, przepi-sowo trzaskając butami, i powtórzył rozkaz dowódcy oddający go do dyspozycji Fukudy. Doktor spojrział pytająco na Tanimę, i ta jakby odgadując jego myśl powiedziała, że ma czas do godziny osiemnastej i chętnie się przejdzie. Kierowcy kazał stawić się u wjazdu na Moranbon o wpół do szóstej razem z U Pu-kucjera.

Nareszcie zostali sami. Stromą, krętą ścieżką zaczęli wspinać się na Moranbon. W dole pozostawał gwar miasta. Otoczyła ich cisza drzew pogrążonych w zimowym śnie, spokój wzgórza wznoszącego się wysoko nad ulicami ruin. Fukuda ujął Tanimę pod rękę. Poczul, jak żona przytula się do niego i ufnie opiera głowę o jego ramię. Jak uczeń obejrzał się wokół: ośmielony ciszą i samotnością przygarnął Tanimę i z cichym, radosnym westchnieniem przycisnął wargi do jej czoła.

Siedli na wyrwanym przez wybuch bomby, grubym pniu. Spod nóg osypały się stwardniałe grudki ziemi, stoczyły w głąb leja i klasnęły o zlodowaciałą powierzchnię zebranej na dnie wody. Fukuda opasał ramieniem drobną postać Tanimy. Oparła policzek o jego pierś i przymknęła oczy. Nie czuli chłodu ciągnącego od przemarzłej ziemi. Było im dobrze, bo znaleźli się razem — cóż z tego, że tylko na krótko, że na mrozie, że kilkadziesiąt metrów w dół, u stóp wzgórza, piętrzyły się kretowiska ruin. Poczucie własnego szczęścia pozwalało im na tę krótką chwilę zapomnieć o wszystkim. Jej o tym, że nad ranem znów znajdzie się w wykutym w skale, wilgotnym schronie, wstrząsanym wybuchami nalotów, że ręce, w tej chwili takie słabe, zwiotczałe, kurczowo wsparte o jego pierś, twardo ujmą chłodny trzonek skalpela... Jemu o tym, że za kilka godzin zaczną go dręczyć widziały strasznej śmierci.

W dole rzeka dyszała chłodem. Wiatr zawodził w suchych konarach. W oddali między drzewami czerwieniały kolumny wspierające rozpruty pociśkiem, rzeźbiony dach altanki. Ile burz przeleciało nad nią, ile wojen przetrwała nie naruszona. A te-

raz szare, przed setkami lat wykonane gonty zwi-
sały bezsilnie, podparte ledwie ociosaną żerdzią.
Pokracznie wykrzywione pnie płakały nad otwar-
tymi grobami swoich braci.

Ale dla Fukudy i Tanimy w tej krótkiej, niepo-
wtarzalnej chwili — słońce świeciło jasno, a drzewa
szumiały wiosną. Byli szczęśliwi. I mówili o swo-
im szczęściu, nie myśląc, że każda minuta zbliża
godzinę, w której złudzenie pryśnie ustępując
miejsca okrutnej rzeczywistości.

— Chodź tam, Takeo — powiedziała Tanima
głaszcząc palcem jego szorstkie od wiatru policzki
i pokazała altankę.

Wstał posłusznie i niosąc ją niemal, poszedł na
przełaj potykając się o wykroty i obłamane gałęzie.
Posadził Tanimę na szerokiej poręczy. Objęła go
ręką za szyję. Promień słońca wpadający prycz
rozdarty dach rozjaśnił jej twarz.

Gdy szeroką, asfaltową drogą schodzili ze
wzgórza, na niebie migotały już pierwsze, gwiazdy.
Znów milczeli. Cóż mogli powiedzieć sobie teraz,
gdy zbliżyła się nieubłagana chwila rozstania? W
mroku rysowały się sylwetki żołnierzy na stanowi-
skach ogniowych artylerii przeciwlotniczej. Jękli-
wie łkały syreny zwiastując przelot, a może i nalot
nieprzyjacielskich samolotów. Teraz trudno już by-
ło odseparować się, odgrodzić od nabrzmiałej grozą
atmosfery. Więc woleli milczeć i rozstać się, jakby
pożegnanie nastąpiło tam, w starej altance...

U wylotu asfaltowej drogi błysnęła ręczna la-
tarka. To U Pu-kuej czekał na swego dowódcę. Z
sąsiedniego samochodu wyskoczył barczysty
ochotnik.

Dżuma II

— Czekają już na mnie, Takeo — szepnęła Tanimi.

— Tak, czekają — wybąkał Fukuda i mocno, do bólu ścisnął drobną dłoń żony.

— Myśl o mnie często, Takeo. Uważaj na siebie.

I już szła do samochodu. Fukuda dopadł ją jednym skokiem.

— Tanimi! — zawołał chwytając ją za ramiona. — To ty uważaj...

Chciał: jej powiedzieć więcej. Żeby nie chodziła na pierwszą linię, nie narażała się podczas szturmów. Ale to wszystko byłoby śmieszne i niepotrzebne. Jeśli trzeba, musi pójść na pierwszą linię i musi narażać się na niebezpieczeństwo. Więc po co rzucać na wiat słowa puste jak wyluskane strąki.

— Tanimi — powtórzył już cicho. — Pamiętaj. Skończy się wojna i znów będziemy szczęśliwi, razem. Pamiętaj, obłoczku słonecznego poranku... Zawsze jestem myślami z tobą.

Zawisała na jego szyi całym ciężarem. Coś ciepłego zwilżyło mu policzek, ale zanim zdążył zdać sobie sprawę, co to jest; — motor zaryczał i Tanimi odjechała. Ostrożnie przesunął palcem po policzku. Siadając do samochodu nie włożył rękawiczki. Chciał, aby jak najdłużej perliła się na palcu łza Tanimy, ale pęd powietrza wysuszył ją prędko. I Fukuda z ciężkim westchnieniem włożył ręce do kieszeni.

ROZDZIAŁ VIII

1

Nikt nie poznałby w żołnierzu o poważnej, ściągniętej bolesnym grymasem twarzy wesołego, czupurnego, wiejskiego chłopca Czo Bon Gi. Nie pomagały wysiłki towarzyszy ani rozmowy w schronie dowódcy kompanii. Czo Bon Gi jakby się nie umiał uśmiechać. Za to umiał wzorowo wykonywać najtrudniejsze nawet zadania bojowe. Ilekroć trzeba było przeprowadzić głęboki zwiad, zdołać być „języka” — dowódca wyznaczał Czo i spokojnie czekał szarej godziny świtania, gdy spomiędzy skalistych załomów wynurzała się sylwetka żołnierza. Czasem Czo wracał sam, czasem włókł na grzbiecie nieprzytomnego, nieprzyjacielskiego żołnierza.

W kompanii mówiono, że Czo Bon Gi żywił się chyba w dzieciństwie korzeniem żeń szeń, co uczyniło go wytrzymałym na trudy i cierpienia. Nie imają go się pociski. Z najstraszliwszego bombardowania wychodził cało. Gdyby zapytać samego Czo, czemu przypisuje swoje szczęście — odpowiedziałby krótko: „Jeszcze nie spełniłem ślubowania”. A ślubowanie złożył przysięgając na pamięć matki, że wróg zapłaci za jej śmierć setkami trupów. W kieszeni na piersiach obok legitymacji partyjnej nosił Czo Bon Gi mały kartonik, na którym rosła ilość poziomych kresek. Każda oznaczała jednego zabitego wroga. Były też na kartoniku kółka — na razie tylko sześć. Tytu nieprzyjacielskich żołnierzy wziął Czo Bon Gi do niewoli. Chłopiec wierzył, że sztywny, przepocony kawałek tekturki jak talizman chroni go przed przedwcześnie śmiercią. Nikt o tym nie wiedział, nie zwierzył się z tego nawet dwom swoim najbliższym przyja

ciolom, z którymi razem wyruszył do wojska owej okrutnej nocy, gdy na rodzinną wieś runęły dziesiątki amerykańskich bomb.

Od tygodnia na ich odcinku panowała cisza. Po ostatnich nieudanych próbach sforsowania wzgórza 706, gdzie znajdowały się już pozycje chińskich ochotników, i sąsiednich wzgórz 749 i 680, przez które biegła linia obrony batalionu Czo Bon Gi, przeciwnik chował się w rowach strzeleckich. Czo Bon Gi męczyła bezsenność. Ukryty za skałą obserwował przeciwnie leżące wzgórza, czekając, u nuż wychyli się spomiędzy kamieni głowa wroga. Wtedy siarczyłoby nacisnąć jęczyczek spustowy, by na kartoniku wyrysować nową kreskę. Ale nieprzyjaciel jakby przeczuwał zasadzkę i nosa nie wysuwał.

Późnym wieczorem wezwano Czo do dowódcy kompanii. Dowódca siedział schylony nad mapą i gestem przywołał żołnierza. Rozmowa trwała krótko. Trzeba było za wszelką cenę zdobyć „języka” — najlepiej oficera lub podoficera. Chińscy zwiadowcy wzięli do niewoli dwóch żołnierzy amerykańskich, którzy twierdzą, że szykuje się nowy, silniejszy od dotychczasowych szturm. Dowództwo pragnie zdobyć bliższe informacje i sam dowódca pułku zlecił, aby trudno zadanie wykonał Czo Bon Gi.

W pół godziny polem z głębokiego tunelu na wzgórzu 749 wyskoczyły dwa cienie. Noc była ciemna, bezksiężycowa. Gęste obłoki przesłaniały migotliwe mruganie gwiazd. Czo Bon Gi czołgał się pierwszy — ostrożnie wymijając spadziste odcinki zbocza, z których łatwo ześliznąć się w dół. Chrząściły drobne kamienie. Czo Bon Gi znał zbocza wzgórza jak zawartość własnej kieszeni. Zatrzymał

się na chwilę. Pełznący tuż za nim Li Hen Sik, nie spodziewając się nagłego postoju, stuknął głową o buty Czo i cicho zaklął. Czo Bon Gi dał znak i Li Hen Sik przysunął się bliżej. Rozmowę prowadzili szepcząc sobie wprost do ucha. Do pierwszych amerykańskich rowów strzeleckich pozostawało niewiele ponad sto metrów doliny i dalej dwieście metrów łagodnego stoku.

Czo Bon Gi pamiętał z ostatniej wyprawy, że pierwsza linia nieprzyjacielskich okopów biegnie po stoku zygzakiem urywającym się przy granitowej skale. W tym właśnie miejscu jest dwudziestometrowy pas ziemi nie przeciętej rowami strzeleckimi. Tędy należało się prześliznąć, by przedostać się na tyły nieprzyjaciela, gdzie znajdowały się schrony oficerów. A Bon Gi postanowił wykonać najtrudniejszy wariant rozkazu i przyprowadzić do swoich właśnie oficera. Ryzyko było poważne. Szczęśliwe przedostanie się przez pierwszą linię mogło zakończyć się tragicznie przy drugiej albo przy schronach czy wreszcie w drodze powrotnej. Bon Gi najchętniej udałby się na wyprawę sami, ale dowódca zażądał kategorycznie, by tym razem Bon Gi dobrał sobie towarzysza. Wybór padł na przyjaciela z lat dziecińczych Li Hen Sika. Teraz, leżąc w cieniu skał między swoimi a wrogimi pozycjami, Bon Gi przypomniał sobie, że właśnie z Hen Sikiem jeszcze osiem lat temu bawili się w partyzantów, czołgali po zboczach pagórków rodzinnej wioski, kierując się ku kryjówce „nieprzyjaciela”. Chyba nigdy, ani on, ani Hen Sik, nie pomyśleli, że sytuacja może się powtórzyć — teraz już nie dla zabawy.

Szybko przebiegli przez kotlinę rozdzielającą dwa pasma wzgórz i zaczęli bezszelestnie wspinać się na zbocze. Było łagodniejsze niż „własne”, mniej kamieniste, porośnięte niskimi krzakami o twardych gałęziach.

Musieli uważać na każdy krok, by pod ciężarem nie złamały się gałęzie. Trzask mógł zaalarmować amerykańskich wartowników. Czo Bon Gi po omacku odnajdywał drogę ku granitowej skale. Słyszał stłumione posapywanie przyjaciela. Sam był zmęczony i chętnie by odpoczął parę minut. Wolał jednak zatrzymać się dopiero po przedostaniu się za pierwszą linię. Granitowa skała będzie niezłą osłoną, a i czuwających żołnierzy mniej.

Brzęknęła stal. Ktoś niewidzialny głośno westchnął.

Potem zaszeleściły krzaki. Bon Gi przywarł do ziemi. Jeszcze krok, dwa, a byliby wpadli prosto w ręce Amerykanów. Całe szczęście, że tamten nie siedział cicho. Bon Gi poczuł, jak mu serce wali młotem ze zdenerwowania, i przestraszył się — może bije tak głośno, że Amerykanie usłyszą? Kroki wartownika oddaliły się w prawo. Bon Gi wykorzystał tę chwilę, by skrócić w lewo i popełznąć pod ciemnym nawisem. Ostre krawędzie skały darty skórę na dłoniach, ale ani Bon Gi, ani Hen Sik nie odczuwali bólu. Trzeba było uważać, by nie ześliznąć się z chropawej powierzchni

Tłumiąc oddech odpoczywali krótką chwilę. Czo Bon Gi sprawdził granaty. Wziął je ze sobą na wszelki wypadek. W takiej wyprawie karabin tylko by zawadzał. Za pasem miał zatknięte dwa ostre noże. Podobnie uzbrojony był Hen Sik. Gdyby wpa-

dli na wartownika, trzeba by go było zlikwidować bez hałasu.

Ostrożnie metr po metrze posuwali się *w górę*. W prześwicie chmur błysnęły blade, rozmigotane gwiazdy. Cienie drzew zarysowały się ostrzej, wyraźniej. Czo Bon Gi dostrzegł niewyraźne kontury rowu łączącego. Gdzieś dalej, na szczycie, ktoś rzucił głośno jakąś uwagę. Odpowiedział mu śmiech. Potem ten pierwszy znów coś powiedział. Odgłosy rozmowy zbliżyły się. Widocznie tamci dwaj szli w dół, być może ku miejscu, w którym zaczęli się zwiadowcy. Zazgrzytał kamień pod podkutym butem.

Nad rowem parę kroków od Czo Bon Gi wyrósł cień głowy. Obok drugi. Amerykanie zatrzymali się. Jedna głowa znikła, potem druga. W rowie coś błysnęło. Po chwili zajarzyły się dwa czerwone świetliki i drgając w rytm kroków zaczęły przysuwać się coraz bliżej.

Czo Bon Gi wyciągnął z kieszeni drewniany model granatu. Koledzy nazywali ten instrument „zastrzykiem znieczulającym”. Czo umiał uderzać „zastrzykiem” tak, że z miejsca ogłuszał przeciwnika. Podobnie postępują niektórzy myśliwi, chcąc żywcem schwytać drapieżnika.

Nie musiał się oglądać, by wyczuć, że Li Hen Sik powtarza jego czynności. Wyczekał chwilę i gdy Amerykanie znaleźli się tuż przed nim, z rozmachem opuścił drewniany granat na głowę pierwszego. Równocześnie usłyszał odgłos drugiego uderzenia. Zanim pierwszy Amerykanin jak łachman runął na ziemię, Czo Bon Gi chwycił go pod ramiona, błyskawicznie zatkał mu usta przygotowaną szmatą i wyciągnął z rowu.

Mniej szczęścia miał Li Hen Sik. Uderzenie niedokładnie wycelowane ogłuszyło Amerykanina zaledwie na sekundę. Li Hen Sik zauważył to jednak w porę i nie dając przeciwnikowi opamiętać się, chwycił go za gardło. Amerykanin zaczął się szarpać, głucho charcząc. Udało mu się pociągnąć za sobą Li Hen Sika i obaj przewrócili się na ziemię. Czo Bon Gi chciał przyjść przyjacielowi z pomocą, ale w ciemności nie mógł rozróżnić postaci. Zaciskał więc tylko w rękę nóż i z niepokojem oczekiwał końca bójki. W duchu modlił się tylko o jedno, żeby Hen Sik nie puścił gardła Amerykanina. Jeden głośniejszy jęk oznaczał niechybną śmierć. A Czo Bon Gi wcale nie chciał umierać.

Pojmował, że sytuacja towarzysza jest ciężka. Li Hen Sik miał do czynienia z silnym przeciwnikiem, który kopał go boleśnie, usiłując równocześnie rozerwać zaciśnięte na szyi palce Koreańczyka. Hałas bójki potęgował się i lada chwila zwabiony nim wartownik mógł zaalarmować cały garnizon.

Nagle błysnęła stal. Czo Bon Gi zrozumiał — to albo Hen Sik, albo tamten sięgnął po nóż. A może obaj równocześnie. Amerykanin zacharczał głośniej. Równocześnie Czo usłyszał jęk przyjaciela. Skoczył do rowu. Obaj miotający się przed chwilą przeciwnicy leżeli bez ruchu spleceni w uścisku. Rozdygotanymi rękami rozdzielił ich. Amerykanin upadł na wznak sztywno, z ustami szeroko otwartymi w ostatnim przedśmiertnym skurczu. Czo Bon Gi wymacał słabo wyczuwalne bicie serca przyjaciela. Nie bardzo wiedział, co począć. Lada chwila ocknie się spętany jeniec, którego trzeba dostarczyć swoim. A tu przyjaciel, towarzysz...

Czyż można zostawić go na pastwę wrogom? Coś musi przedsięwziąć — dłużej zwlekać nie można.

Wyskoczył z rowu wlokąc nieprzytomnego Li Hen Sika. Opasał sobie szyję jego rękami i szybko poczołgał się wzdłuż zbocza, w stronę kępy drzew — cudem ocalałych z ognia artyleryjskiego ostrzału. Ułożył przyjaciela na ziemi i zaczął go tarmosić. Li Hen Sik jęknął i Czo szybko przycisnął mu usta dłonią.

— Leż tu, Li *tommu*¹², zaraz po ciebie wrócę — wyszeptał.

Pośpiesznie wrócił do związanego jeńca, wziął go na plecy i przyciśnięty do ziemi jego tułowiem popęzł w dół.

Plan Czo Bon Gi był prosty i śmiały do szaleństwa. Postanowił zawlec Amerykanina do doliny, ukryć go między skałami i krzewami pod swoim wzgórzem, a potem tą samą drogą wrócić po przyjaciela. Nie miał czasu, by zastanowić się, że ten szaleńczy pomysł może skończyć się tragicznie. Dwukrotne przejście przez pozycje nieprzyjaciela z ciężarem, który trzeba było dźwigać na sobie, zachowując absolutną ciszę, wymagało ogromnej siły fizycznej i jeszcze większego opanowania. Ale innego wyboru Czo nie miał.

Amerykanina udało mu się przenieść dość łatwo do połowy wzgórza. Ale ledwie minęli najdalej w dół wysunięte placówki, jeńiec ocknął się z omdlenia. Czo Bon Ci słyszał stłumione kneblem bulgotanie, czuł, jak przygniata go miotanie się spętanego, jak boleśnie wpijają się w ciało ostre kamienie. Nie związane nogi ułatwiały Amerykaninowi stawianie oporu. Usiłował zaczepiać nimi o krzaki i kamienie. Raz i drugi udało mu się zaha-

czyć butem o poplątane gałęzie i Czo Bon Gi musiał się z nim mocować. Najlepiej byłoby ogłuszyć go powtórnie, ale Czo bał się, że ponowny cios może uspokoić jeńca na zawsze. Zatrzymał się więc, zrzucił Amerykanina i z rozmachu, na jaki tylko pozwalała niewygodna leżąca pozycja, uderzył go pięścią w twarz. Głowa tamtego stuknęła o ziemię. Jeniec od razu spokorniał. Czo położył go na plecach i pełzając tyłem, jedną ręką ciągnął tamtego za kołnierz płaszcza. Był to mniej wygodny, zwłaszcza dla Amerykanina, ale za to mniej uciążliwy dla Czo sposób podróżowania.

Wreszcie dotarł do doliny. Dopełził do miejsca, gdzie piętrzyły się skały stanowiące jakby fundament północnego pasma wzgórz. Tu ułożył Amerykanina, związawszy mu nogi jego własnym pasem. Przez chwilę walczył z pragnieniem — może lepiej zaciągnąć Amerykanina na wzgórze, oddać go swoim... ale to zajęłoby co najmniej pół godziny — a tam między amerykańskimi zygzakami okopów leżał ranny towarzysz. Zdjął więc czapkę i powiesił ją na gałęzi krzaka wyrastającego po północnej stronie usypiska. Jeśli nie wróci, towarzysze w dzień zauważą czapkę i jakoś przetransportują jeńca.

Czekała go teraz droga powrotna. Coraz trudniej było piąć się pod górę i tłumić głośny, ciężki oddech ze świstem wrywający się z piersi. Trzykrotnie odpoczywał, zanim dotarł do granitowego nawisu. Stąd pełził już szybciej. Nie żeby droga była łatwiejsza, ale popędzał go niepokój o towarzysza. W pewnej chwili pomyślał: „A co jeśli cały ten trud podjęty został na próżno? Może Li Hen Sik zmarł już z upływu krwi. Czyż warto narażać życie dla ratowania kogoś, komu nic już nie pomoże”. I sam

siebie za tę myśl zganił. „Warto, po stokroć warto, nawet jeśli Li nie żyje. Nie wolno zostawić nawet zwłok towarzysza na pohańbienie.”

Li Hen Sik leżał pod drzewem. Miał oczy szeroko otwarte, ale gdy Czo schylił się nad nim, nie poznał przyjaciela. Czo odkręcił metalową pokrywę manierki i ostrożnie wlał towarzyszowi parę kropel wody przez zaciśnięte zęby. Li poruszył głową i Czo przycisnąwszy usta do jego ucha zaszeptał:

— Li tommu, to ja, Czo Bon Gi. Przyszedłem po ciebie. Wracamy do swoich.

Poczuł, jak przyjaciel osłabłą dłonią stara się go chwycić za ramio. Dźwignął go i położył sobie na plecach. Li cicho jęknął.

— Nie jęcz, Li — szepnął Czo. — Musisz zaciśnąć zęby. Naokoło Amerykanie. Musimy stąd się wydostać

Teraz czołgać się było mu trudniej niż wtedy, gdy włókł Amerykanina. Musiał uważać, by nie uderzyć ciałem Li o wystające kamienie. Posuwał się krok za krokiem, zatrzymując się co parę chwil, aby odsapnąć samemu i dać odetchnąć przyjacielowi. Ale tamten zachowywał się spokojnie. Zbyt spokojnie. Czo pomyślał z przerażeniem: „A co jeśli Li umarł? W tej chwili... na moich rękach...”

Gdzieś obok zaszeleściły suche krzaki. Czo przytulił się do ziemi, jakby chciał się z nią stopić. Szelest ucichł. Teraz Czo usłyszał półgłosem prowadzoną rozmowę, kotem i to ucichło.

Spróbował pełzać trochę szybciej. Ledwie nie stoczył się ze skały. Szczęśliwie skończyło się tylko na uderzeniu czołem o wystający kamień. Pot zalewał mu oczy, piersi darł ciężki oddech. Li za-

czął rzeźić. Najpierw cichutko. Potem coraz głośniej. I Czo nie wiedział, jak uspokoić przyjaciela. Nie mógł się zatrzymać, póki nie odczołga się co najmniej o jakieś sto pięćdziesiąt metrów od linii nieprzyjacielskiej. Teraz zaczął się niewielki, trawiasty odcinek stoku. Gdyby miał płaszcz, mógłby ułożyć na nim. Li i ciągnąć go jak na sankach.

W górze, tam gdzie za nimi zostały pozycje amerykańskie, rozległ się okrzyk. I od razu sucho klasnął wystrzał. Nim przebrzmiał, odpowiedziały mu wystrzały z różnych stron. „Czyżby szturm?” — przeraził się Czo Lon Gi. Hałas w okopach nieprzyjaciela wzrastał się. Czo starał się pełzać tak szybko, jak tylko było możliwe. Odgłosy wystrzałów i krzyki zagłuszały pojękiwanie Li. Nocny mrok przecięła seria smugowych pocisków. Za wszelką cenę trzeba już dopaść ukrycia między skalami w dolinie. W niebie zawisa migotliwa rakietka.

„Szukają mnie” — pomyślał Czo. Zrozumiał powody hałasu wszczętego przez Amerykanów. Widocznie ktoś natknął się na trupa żołnierza zabitego przez Li. Westchnął z ulgą, gdy udało mu się szczęśliwie dotrzeć do kryjówki w dolinie. Odwiązał nieruchome ciało Li i jak nieżywy upadł obok niego. Teraz musiał tylko przeczekać, aż Amerykanie przestaną strzelać i można będzie ruszyć ku swoim.

— Uparty z was człowiek, towarzyszeko. — Dowódca pułku rozłożył ręce i spojrzał na swego sąsiada, komisarza pułku, jakby u niego szukając pomocy. Komisarz czytał i zdawał się nie słyszeć, co się dzieje wokół niego.

— Uparty z was człowiek — powtórzył dowódca i podłubał palcem w ucho.

Tanima siedziała w milczeniu, mocno zaciśnawszy usta, nie spuszczać oczu ze zrytej dziobami twarzy dowódcy. Powiedziała już wszystko, przytoczyła argumenty najcięższego kalibru — nawet solenną obietnicę dowódcy, i czekała. Dowódca też milczał. Nie mógł się zdecydować. Sam wyznawał zasadę, że każdy żołnierz czy dowódca znajdujący się na froncie powinien powąchać, jak i czym pachnie najdalej wysunięta linia obrony. A tym razem nie wiedział, co robić. Pozwolić Tanimie na niebezpieczną eskapadę czy nie. Na ich odcinku panuje cisza, nic nie zapowiada szturm, ale kto wie, kiedy może się zacząć.

Tanima nie spuszczała oczu z twarzy dowódcy. Starła się odczytać z niej decyzję, którą za chwilę usłyszy. Jako lekarz pułku uważała za swój obowiązek inspekcje sanitarne wszystkich placówek. Dowódca podzielał to zdanie, ale za każdym razem, gdy Tanima zgłaszała się z prośbą o zezwolenie na taką wizytę, spierali się długo, nieraz nawet godzinno.

W takich chwilach Tanima przeklinała siebie, że urodziła się kobietą. Gdyby była mężczyzną, dowódca nie wahałby się ani przez sekundę. Głotowała była zarzucić dowódcy nawet zacołanie. W ferworze sporu powiedziała mu raz, że nie wyplenil z siebie jeszcze feudalnego stosunku cło kobiety. Potem żalowała tych słów, choć dowódca nawet nie bardzo się rozgniewał. Musiała za to wysłuchać od komisarza dłuższego wykładu na temat postawy podkomendnego wobec zwierzchnika.

Poprzedniego dnia Tanima zameldowała dowódcy, że chce się udać na wzgórze 706. Kazał jej się zgłosić dzisiaj przed wieczorem po odpowiedź. I

Tanima nie wiedziała, czy dowódca wciąż jeszcze nie podjął decyzji, czy też po prostu chce jej trochę dokuczyć. Wolała czekać i zostawić mu czas do namysłu.

Dowódca znów podłubał palcem w ucho i zerknął na swego zastępcę. Gładkie, wysokie czoło przecięły mu zmarszczki cieniutkie jak pociągnięte pędzelkiem na obrazie starego mistrza. Zdjął pokrywkę z wysokiego kubka i upił łyk wystygłej herbaty. „Chce, żebym już wyszła — pomyślała Tanima — nie pozwoli.”

Ta myśl zaboląła. Kilkakrotnie obiecywała już wracającym ze szpitala rannym żołnierzom z kompanii Son Dz Ji, że ich odwiedzi. Parę dni temu komisarz batalionu Jan Si Jun upomniał się nawet o to. „Nasza placówka — powiedział — leży chyba zbyt daleko, że nie przychodzicie do nas, towarzyszek lekarzu pułku. A przydałoby się, przydało...” W batalionie sanitarnym uprzedziła już, że wyrusza na jeden, dwa dni na przedni skraj. Co teraz powie ludziom?

— A czego wy tam szukacie na pierwszej linii?
— usłyszała głos dowódcy. — Guza czy wrażeń?

— Towarzyszu dowódco... — Tanima zerwała się z ławki.

— Lekarz nie powinien się denerwować — uśmiechnął się dowódca. — Jaki to przykład dla żołnierzy? W naszym zawodzie nerwy trzeba trzymać o tak — położył rękę na stół i mocno zacisnął palce, aż napięły się postronki żył. — Pytam was poważnie — dodał sucho, widząc, że wzburzenie Tanimy nie ustępuje. — Na inspekcję możecie wysłać felczera.

Dżuma II

— Towarzyszu dowódco — głos Tanimy zabrzmiał niemal błagalnie. — Przecież wy sami...

— Ja sam... — przerwał jej nagle zniecierpliwiony. — Co ja sam? W razie czego głowę mi urwą. Nie upilnowałeś, powiedzą, lekarza. Sam pozwoliłeś leżeć w piekło.

Tanima zrozumiała, że opór dowódcy słabnie.

— Przecież teraz nie ma piekła. Na froncie spokój...

— Na froncie nie ma spokoju — ostro rzucił w odpowiedzi. — Nie ma. Powinniście to zrozumieć. Na froncie jest zawsze burza i cisza przed burzą. Trudno przewidzieć, kiedy się cisza skończy. Może dzisiejszej nocy. A jeżeli tamci rzucają się do szturmów?

Tanima sięgnęła ręką za ławkę, gdzie stał oparły o kołlawą nóżkę pistolet maszynowy. Widząc ten gest dowódca rozpogodził twarz.

— No tak, znudziło wam się leczenie ludzi — mruknął z dobrotliwą ironią. — I teraz chcecie postrzelać. A niech tam! — machnął ręką. — Idźcie. Ale jutro rano musicie zameldować mi swój powrót. Zrozumiano?

Tanima wyprężyła się na baczność.

— Tak jest, towarzyszu dowódco.

— To idźcie. Son Dz Ji czeka już na was. Macie go słuchać, jakbym to był ja, a nie dowódca kampanii.

3

Jeniec sprowadzony przez Czo Bon Gi okazał się podoficerem. Po wstępnym badaniu odesłano

go do sztabu dywizji i Czo Bon Gi miał go eskortować. Dowódcy kompanii zależało, by Czo odpoczął jeden dzień w sztabie dywizji. Chłopiec spisał się chwacko. Przyprowadził jeńca i uratował towarzysza. Li Hen Sik został już odesłany do batalionu sanitarnego. W specjalnym meldunku do generała dowódca kompanii opisywał bohaterstwo żołnierza i zwracał się o odznaczenie go orderem Żołnierskiej Sławy. Czo naturalnie nie wiedział, co kryje szura, zabezpieczona koperta. Znacznie bardziej zre-szta absorbował go jeniec.

Czo Bon Gi marzył teraz tylko o jednym — żeby tamten spróbował ucieczki. Z nienawiścią spoglądał na przygarbione plecy Amerykanina. Z jaką rozkoszą wpakowałby mu kulę w łeb. Ale tego nie wolno było zrobić. Skoro kazano jeńca odprowadzić, to Czo musi rozkaz wykonać i zadowolić się jedynie nadzieją, że nie dziś to jutro sztywny kartonik na piersiach, zapełni się nowymi kreskami.

W sztabie dywizji przekazał jeńca wraz z pakietem kapitanowi i już miał się odmeldować, gdy do schronu wszedł niski, tęgi pułkownik — szef sztabu, którego Czo znał z widzenia. Pułkownik zatrzymał go gestem ręki i nie siadając rozpieczętował pakiet. Przebiegł oczami zapisany arkusik papieru raz i drugi, zerkając na wyprężonego żołnierza. Potem kazał kapitanowi zabrać jeńca na przesłuchanie i znów z zainteresowaniem obejrzał Czo Bon Gi.

— Dzielny z ciebie żołnierz, towarzyszu — powiedział.

Czo Bon Gi poczuł, że twarz zalewa mu ognisty rumieniec radości.

— Ku chwale ludowej ojczyzny, towarzyszu pułkowniku — odparł załamującym się z przejęcia głosem.

Pułkownik wyciągnął z kieszeni blaszane pudełeczko z papierosami i położył je obok siebie. Potem, jak nakazuje grzeczność, wyjął papierosa i podał go żołnierzowi. Czo Bon Gi nie wiedział, co począć. Nie palił, a równocześnie nie wiedział, czy może odmówić pułkownikowi. Jeszcze nigdy wyższy oficer nie częstował go papierosami. Pułkownik dostrzegł widocznie zmieszanie żołnierza, ale wytłumaczył je sobie inaczej.

— Bierz, bierz, Czo *tommu* — powiedział zachęcająco i Czo ujął dwoma palcami papierosa.

Pułkownik strzelił zapalką i podsunął migotliwy płomyk żołnierzowi pod nos. Czo zaciągnął się i zakaszlał tak gwałtownie, że mu papieros wypadł z ust na podłogę. Ze wstydu omal nie zapłakał.

— Wstyd, Czo *tommu* — mruknął pułkownik. — Żołnierz z ciebie dzielny, a tu nagle zapomniałeś języka. Powiedziałbyś „nie palę“ i wszystko w porządku.

Pułkownik nachmurzył czoło i jeszcze raz zajrzał do meldunku dowódcy kompanii.

— Pewnie jesteś zmęczony — odezwał się nie podnosząc głowy.

— Nie, towarzyszu pułkowniku — wybąkał Czo.

Pułkownik rzucił na żołnierza przenikliwe spojrzenie.

— A może tak jak z tym papierosem? Boisz się powiedzieć prawdę? Myślisz, że jeżeli jestem pułkownikiem, to trzeba przede mną serce zamykać na osiem kluczy? Dwóch ludzi przytaszczył na plecach taki kawał drogi! Każdego by to zmęczyło.

Czo Bon Gi zebrał się na odwagę.

— Byłem zmęczony, towarzyszu pułkowniku, ale już nie jestem.

— Na pewno? Zresztą i tak mi prawdy nie powiesz—zaśmiał się pułkownik. — Widzę to po twoich oczach. Tu twój dowódca pisze, żeby cię zatrzymać do wieczora w sztabie. Chce, byś odpoczął. Rozumiesz?

Czo Bon Gi pokręcił przecząco głową.

— Nie jestem zmęczony, towarzyszu pułkowniku — powtórzył z uporem.

— A zapalisz papierosa?

— Melduję posłusznie, że nie palę — ciszej nieco odrzekł żołnierz.

Teraz dopiero zauważył, że kiedy pułkownik uśmiecha się, wokół oczu zarysowuje mu się siateczka drobnych zmarszczek. „Zupełnie jak u ojca“ — pomyślał.

— Mam dla ciebie zadanie, Czo *tommu* — powiedział pułkownik wstając z fotela, który dziwnym zrządzeniem losu znalazł się w ziemiance na linii frontu. — Ochotnicy chińscy prosili nas o dobrego zwiadowcę na wspólną akcję. Uważam, że nadajesz się do tego.

Czo Eon Gi przygryzł język, lby nie krzyknąć z radości. To, co mówił pułkownik, było jego marzeniem. Wiedział, że na wspólne akcje zwiadowcze z ochotnikami chińskimi dowództwo kieruje najlepszych.

— Dziękuję za zaufanie, towarzyszu pułkowniku.

Pułkownik podszedł do żołnierza i spojrzał mu prosto w twarz.

— Idź do trzeciego schronu za pniakami. Tam wyjaśnią ci zadanie i stamtąd wyruszysz na pozycje naszych chińskich braci.

Dwie godziny później Czo Bon Gi siedział w skalnym schronie i roześmianymi oczyma patrzył na żołnierzy garnizonu Juan Czun-lina. Okazało się, że Hu Czun-tsy wyniósł z partyzantki coś, co od biedy mogło ujść za znajomość języka koreańskiego. Brak słów nie przeszkadzał ożywionej wymianie zdań. Juan Czun-lin przygotował na cześć gościa prawdziwą ucztę z żołnierskich konserw. I choć Czo z przyzwyczajenia wymawiał się początkowo, zmiotł z miseczek wszystko, chwając szczerze kunszt kulinarny małego Juana.

Na zwiady mieli wyruszyć dopiero późnym wieczorem we trójkę. Toteż resztę popołudnia toczyła się ożywiona rozmowa, w której było więcej gestów niż słów. Przed wieczorem jednak Juan Czun-lin kazał trzem zwiadowcom przespać się. Nie pomogły perswazje, dowódca garnizonu był nieubłagany. Czo Bon Gi nawet nie zauważył, kiedy zmęczenie wzięło nad nim górę.

Obudził go cichy gwar głosów. Otworzył szeroko oczy i uniósł się na pryczy. Chińczycy siedzieli przy stole pośrodku schronu. Wyczulone zmysły zwiadowcy powiedziały mu, że w schronie jest ktoś nowy, kogo nie było, gdy zasypiał. Wstał, poprawił owijacze, włożył buty i obciągając pogniecioną bluzę podszedł do stołu. Hu Czun-tsy zrobił mu miejsce koło siebie.

Czo Bon Gi usiadł i przyjrzał się drobnej postaci ochotnika zwróconego twarzą do dowódcy schronu. Ochotnik mówił coś powoli, starannie wymawiając każde obce słowo. Kiedy w pewnej

chwili odwrócił się, Czo Bon Gi stwierdził ze zdziwieniem, że nowym gościem jest kobieta. Zdziwienie nie trwało zresztą długo. W pułku Czo Bon Gi też były dziewczęta-sanitariuszki, telefonistki, artylerzystki. Ta Chinka to widocznie sanitariuszka. Nie słyszał, by w oddziałach chińskich kobiety służyły w innych rodzajach broni. Postanowił upewnić się i przysunawszy twarz do głowy Hu Czun-tsy, zapytał szeptem:

— Kto to?

— Nasz lekarz pułkowy.

Zadowolony ze swej domyślności, uśmiechnął się. Kobieta wciąż jeszcze mówiła. Chwilami brakło jej słów i wtedy posługiwała się palcami i mimiką. Parę razy nakreśliła palcem na dłoni jakiś hieroglif. Czo Bon Gi pomyślał, że kobieta pochodzi z pewnością z jakiejś odległej prowincji chińskiej i nie wszyscy pojmują jej mowę. U nich w Korei też tak: człowiek z Czongdzinu nie wszystko rozumie, co mówi mieszkańiec wysp południowych.

Pochylił się ku Hu Czun-tsy i szepnął:

— Ona z daleka, co?

Hu Czun-tsy pokiwał przecząco głową, ale nic nie odpowiedział.

Czo Bon Gi przyjrzał się lekarce. Była chyba niewiele starsza od niego. Miała piękną twarz, gładką jak kość słoniowa cerę i wesołe oczy, w których blask łojówek tańczył niby rozedrgane świetliki. Czo patrzył na nią z rosnącym zachwytem. Poczuł, że mu serce zaczyna bić żywiej. Mimo woli przygładził zmierzwione włosy i na widok swej przybrudzonej dłoni zawstydział się. Kobieta umilkła, spojrzała po twarzach otaczających ją żołnierzy i napotkawszy wzrok Czo uśmiechnęła się do

niego oczyma. Czo jakby wśród ciemnej nocy ujrzął blask gwiazdy przewodniej — wstrzymał oddech w piersi.

Lekarka zapytała o coś dowódcę schronu i Czo wyczuł, że słowa dotyczą jego. Spróbował odnaleźć jej spojrzenie. Wyobraził sobie, jakby to było pięknie wziąć ją za rękę i poprowadzić na spacer po wzgórzach okalających rodzinną wioskę. I sam siebie zganił za tę myśl — gdzieby tam taka piękna dziewczyna, i w dodatku lekarka, chciała spacerować z nieokrzesanym, wiejskim chłopakiem.

— To Japonka.

W pierwszej chwili wyrwany z zamyślenia nie zrozumiał, kto do niego mówi i o czym. Otrząsnął się. Hu Czun-tsy powtórzył półgłosem:

— To Japonka.

— Kto? — Czo Bon Gi prawie krzyknął.

Hu Czun-tsy ścisnął go za rękę i oczami pokazał lekarce. Gdyby na głowę Czo Bon Gi zwałił się w tej chwili Pektusan,¹³ oszołomienie byłoby chyba mniejsze. Serce ścisnęło mu się nagłym skurczem. Zabolało. Japonka... to Japonka. Mocno zacisnął zęby i niemal do krwi przygryzł dolną wargę. Poczul, że tężeją mu rysy twarzy i po plecach przebiega dreszcz milionem mrówczych ukłuc. Jakby mu kto plunął w twarz. Japonka... Jeśli Czo Bon Gi nienawdził kogoś tak jak Amerykanów czy lisynmanowskich zdrajców, to byli to tylko Japończycy. Pamiętał, jak żandarm Cutomu łąził po wsi smagając pejczem po twarzach wszystkich, którzy nie dość pokornie schylali przed nim głowy. Pamiętał, jak żandarm Sagara kłuł dziadka każąc mu tańczyć na cześć przeklętego cesarza. Pamiętał złośliwą małpę, Hacne, żonę żandarma Cutomu, która przy-

jechała po zagrabione przez męża rzeczy — jak wpadała do chat, tłukła naczynia i czerwono lakierowanymi pazurami drapała po twarzy kobiety i dzieci... Wyniósł z dzieciństwa niemało okrutnych obrazów związanych z nazwą „Japo-nia“.

I ta kobieta w mundurze ochotnika chińskiego jest Japonką? Czyżby towarzysze chińscy zapomnieli, ile krzywd doznali od Japonii? Jak źli i przewrotni są Japończycy? Czyżby zapomnieli o czujności? Skąd tutaj ta kobieta? Może to szpieg, wróg, dywersant? Trzeba ostrzec, ale jak, kogo? Na pewno nasłali ją tu Amerykanie.

Kobieta zwróciła ku niemu uśmiechniętą twarz i powiedziała kilka słów. Czo Bon Gi pomyślał: „Ropucha, wstrętna, śliska ropucha”. Chwycił Hu Czun-tsy za ramię i nic czekając, aż tamten przetłumaczy jej słowa, chrapliwym, zduszonym głosem krzyknął:

— Hu Czun-tsy to jest!...

Piekielny huk ogłuszył go, a potężny wstrząs rzucił na ziemię. Zanim zdążył się zerwać, nastąpiły jeszcze trzy wybuchy. Przez poszerzony nagle otwór strzelniczy trysnął płomień. Zobaczył, jak dyżurujący przy otworze ochotnik zwałił się. Ktoś krzychał przeraźliwie. Juan Czun-lin skoczył do wyjścia wiodącego na zachód ku szczelinie i padł rażony pociskiem. Czo Bon Gi zdążył jeszcze zauważyć zakrwawioną, wykrzywioną grymasem twarz Hu Czun-tsy i szeroko otwarte z przerażenia oczy lekarki. „Szturm” — przeleciało mu przez myśl, potem coś gorącego uderzyło go w twarz, odskoczył i upadł na wznak z rozrzuconymi beładnie rękami.

ROZDZIAŁ IX

1

Ben Carter rozścielił brezentowy płaszcz i rozrzucając szeroko długie nogi położył się na wznak. Słońce grzało mocno i piekło twarz. Carter przymknął oczy i leniwie cedząc słowa powiedział:

— Niech ten bałwan Truman mówi, co chce, a ja ci powiadam, Lion, że Koreańczycy to wcale mądry naród.

Mac Donald leżał obok — też na plecach, opierając głowę o splecione dłonie. Nie zmieniając pozycji i nie odwracając głowy mruknął:

— A ty co o tym wiesz?

— Ja? Znalazłem sobie takiego koreańskiego oficerka i czasem z nim gadam, kiedy mam na to ochotę. Głupi, bo głupi, ale...

Mac Donald parsknął śmiechem.

— Oj, Bob, źle, kiedy żaby biorą się do filozofowania. Sam nie wiesz, co gadasz. Raz mądry, raz głupi.

— Mhm — chrząknął Carter, jakby przygotowując się do wypowiedzenia jakiejś szczególnie ważkiej opinii.

— Ja mówię, że naród mądry, a oficer jest od tego oficerem, żeby był głupi. Rozumiesz, barania głowo? Oficer i naród to tak jak ty i inteligencja. Niby powinno się wszystko trzymać kupy, ale nic z tego.

— No, no, żabi filozofie, pogoda tak piękna, że mi nawet szkoda spluć na twoje gadanie.

— A pluj sobie, pluj, barania głowo. Tyle ci tylko zostało, że na ziemię plujesz bombami, a...

Mac Donald poderwał się nie dając mu skończyć.

— Zamknij pysk! — wybuchnął. — Mówiłem ci, że nie chcę dziś gadać o tych sprawach! — Chwilę trwało milczenie. Wreszcie Carter znów się odezwał.

— Właśnie chciałem o pogodzie, a ty mi przeszkadzasz — zaczął jakby nie dostrzegając wściekłości przyjaciela. — Mądry naród. Przysłowie mają znakomite: po trzech dniach mrozu następują trzy dni ciepła. Oficerek mi to powtórzył. I masz — trzy dni mróz szczypał pośladki, a od wczoraj mamy prawdziwe lato.

Mac Donald wrócił na swoje miejsce. Wysoko po błękitnie przelatowały obłoki białe jak śnieg. Omijały żółtą kulę słońca, jakby nie chcąc ani na sekundę pozbawić ziemi radosnego blasku. Mac Donald obserwował je i obliczał, który wreszcie rzuci na ziemię cień. Ale chmurki jak na złość pierzchały na wszystkie strony. „A może one mają radar“ — pomyślał Mac Donald i wściekły na siebie, że nawet oglądając krajobraz nie może wyzbyć się lotniczego myślenia, głośno zaklął.

— Czego psioczysz? — mruknął Carter.

— Popatrzyłem na ciebie.

— Łiesz, barania głowo — Carter mówił bez złości i bez ironii. — Patrzysz na niebo i myślisz o swojej przeklętej robocie.

Mac Donald odwrócił się do przyjaciela plecami i wygodnie położył się na boku. Przymknął oczy. Przyjemny dzień. Udało się, że właśnie na dziś otrzymał urlop. Początkowo chcieli pojechać do miasta, ale w ostatniej chwili zmienili plan i wybrali się na taką styczniową, koreańską majówkę.

Jak to dobrze, że można nie myśleć o lotach, nie denerwować się, że za chwilę zawoła oficer operacyjny i wykreśli marszrutę. Żeby tak można było o niczym, ale to zupełnie o niczym nie myśleć. Albo oddać się starym marzeniom o wędrowce do bajecznej Szengri Lah. Przypomniała mu się rozmowa z Benem, kiedy lecieli nad Pacyfikiem. Ben żartował wtedy, że droga do Szengri Lah prowadzi przez Koreę. Może ma rację. Ilu już takich jak Mac Donald czy Carter przeniosło się do Szengri Lah w zaświaty. I kto wie, kiedy jego może to spotkać?

— Byłeś kiedy w Górach Skalistych? — usłyszał pytanie Cartera.

Poczuł, jak mija gniew na przyjaciela. Teraz przeniosą się myślami do kraju. Cóż z tego, że nie był w Górach Skalistych? Wystarczy o nich pomyśleć, by wyobrazić sobie dzikie, przepastne kanjony, rwące potoki i sylwetki szarych niedźwiedzi przyklepione do skał.

— A ja byłem — ciągnął Carter w zamyśleniu. — Pięknie tam. Cicho. Ludzi mało. Wodospady huczą. Idziesz sobie przez góry po tropie zwierzyny i nikt ci marnego słowa nie powie.

Poruszył się ciężko i Mac Donald zrozumiał, że przyjaciel patrzy teraz na niego. Ale nie chciało mu się ani odwracać, ani otwierać oczu.

— A siedziałeś kiedy w więzieniu? — głos Cartera dobiegał jakby z wielkiej odległości. — A ja siedziałem. Też spokojnie, ale człowiek się wyrwa, męczy go ten spokój. Dni liczyłem. Codziennie paznokciem rysowałem krechę na ścianie. Że niby o jeden dzień mniej — sapnął z przejęcia. — Teraz też liczę. Żeby już odsłużyć to piekło i wrócić. Dziś rano to nawet zazdrościłem Hit-chensowi. Pamię-

tasz go? Taki blondynek, trochę zezowaty. Spadł jak kamień, tylko mignął mi za szybą. I teraz ma spokój. A ja jutro znów polecę.

— Ben, czy musisz tylko o tym gadać? — wystękał Mac Donald.

— A ty niby o tym nie myślisz? Jakeśmy wczoraj latali nad tymi Diamentowymi Górami, to myślałem, że mnie szlag trafi. Miejscami zupełnie jak w Skalistych. Tyle że tu są niższe. Ho, dużo niższe. Pomyślałem: gdyby ktoś tak moje Skaliste Góry łupał bombami, jak my łupiemy te Diamentowe, to bym mu gardło przegryzł.

— Toteż gryzą — z sarkazmem mruknął Mac Donald.

— Więc niech to zrobią prędzej. Albo oni nas, albo my ich. Dość już mam tego wszystkiego. Rzygać roi się chce. Łupiemy te glinianki, łupiemy i ani w te, ani we-wte. A tobie nie chce się rzygać? Jak mi powiesz, że nie, to ci rozwalę ten barani łeb. — Groźnie pomachał pięścią nad głową. — Przedwczoraj patrolowaliśmy szosę — teraz mówił nieco ciszej. — Butler i ja. Baby wracały chyba z targu czy co? Zrobiliśmy jatki, powiadam ci, prawdziwe jatki.

— Tfu! — splunął Mac Donald. — Przynajmniej byś się nie chwalił.

— A dowódca mnie pochwalił. Zuchy, powiedział, jesteście. Prawdziwi Amerykanie. Rzygać się chce! A ty chcesz tu gadać o widoczkach. Piękne niebo.

Mac Donald spojrział na przyjaciela pociemniałymi z gniewu oczami, ale nie odezwał się słowem. Carter przysunął się bliżej.

— Słyszałeś o Warrenie? — powiedział znizując głos, choć dokoła nie było nikogo w promieniu kilku kilometrów. — Chłopcy powiadają, że zwiął. Maszynę miał trochę tylko postrzeloną i dociągnąłby przynajmniej do K-14. I zamiast tego wylądował u czerwonych. Ten już ma wojnę za sobą — westchnął.

— Możesz zrobić to samo — powiedział Mac Donald i przeraził się własnych słów.

Cóż z tego, że ufał Carterowi, że uważał go za przyjaciela? Wystarczy, by w razie kłótni Ben powtórzył to komuś i kariera Mac Donalda jest skończona.

— Tak tylko zażartowałem — wybąkał niepewnie, czując, że pogrąża się jeszcze bardziej.

Carter splunął.

— Rada dobra. Może bym i zrobił. Ale kto mi wtedy zapłaci? Warren mądry teraz. A co zrobi po wojnie? Wpakują go do więzienia, a potem zdychają z głodu. Już lepiej przemęczyć się do końca.

Mac Donalda ukłuła nagła myśl, że przecież i on mógłby zrobić tak jak Warren. Ostatecznie komuniści by go nie zjedli, a z wojną wtedy koniec. I znów ogarnęło go przerażenie. Ten przekłety Carter naprowadza go zawsze na najgorsze myśli. I zmusza, diabli wiedzą czym, do gadania rzeczy, które nawet, w myślach straszą.

Parę minut, leżeli w milczeniu. Mac Donald nie zauważył nawet, że obłok o rozcapierzonych skrzydłach zawisł pod słońcem kładąc cień na rozgrzane twarze. Gorączkowo myślał o tym, co może się stać. „Zasypie go Carter czy nie? Zresztą — uspokoił siebie — w razie czego i on Cartera trzyma w garści. Problem tylko, kto pierwszy powie.

Carter wstał, przeszedł się parę kroków, wyciągnął z kieszeni lusterko. Było maleńkie i Carter przeglądał się w nim, jakby badając poszczególne fragmenty swojej twarzy.

Mac Donald wciąż nie mógł się uspokoić. Uważał, że nagle milczenie Cartera, przeglądanie się w lusterku — wszystko to są manewry, za którymi Carter usiłuje ukryć jakąś myśl. Groźną, zwiastującą nieuchronne niebezpieczeństwo.

Tymczasem Carter skończył studiowanie swej fizjonomii. Wepchnął ręce do kieszeni i kołysząc się na czubkach butów stanął nad Mac Donaldem.

— Gęba mi się przysmalila — stwierdził z wyraźnym zadowoleniem i ruszył ku szosie, którą powoli szedł kilkuosobowy patrol żandarmerii.

Mac Donald aż się poderwał ze strachu. Czyżby Carter chciał go sygnąć? Podejść do żandarmów i powiedzieć: „Bierzcie Mac Donalda, to czerwony, podsuwał mi myśl o ucieczce”. Zacisnął zęby i przymrużył powieki. Jeśli Ben wsiądzie do samochodu... Mac Donald sięgnął ręką do biodra i szybkim ruchem odpiął metalowy guzik futerału. Teraz jeśli Ben zatrzyma patrol, wystarczy jeden tylko ruch. Poczuł chłód w okolicy serca. Jakby tam właśnie spoczywała chłodna kolba pistoletu. Ale Carter podszedł tylko do samochodu, wydobył spod siedzenia pudło z prowiantem i kołysząc swe ciężkie cielsko na długich nogach ruszył z powrotem. Mac Donald uciał, że poprawia pasek u spodni. Było mu teraz wstyd. Gdyby to było możliwe, zapadłby się pod ziemię ze wstydu przed, samym sobą. Jak mógł sięgnąć po pistolet, pomyśleć o zabiciu człowieka, którego właściwie uważał za swego przyjaciela. A więc jest mordercą. Przypomniawszy so-

bie przeczytaną kiedyś w „*News-week*“ rozprawę jakiegoś uczonego, że każdy człowiek jest potencjalnym mordercą. Wtedy, czytając, oburzał się na takie stwierdzenie. Ale czyż on sam przed chwilą omal nie zadokumentował jego słuszności?

Kiedy Carter rozłożywszy paczuski z zakąskami odkręcił metalową przykrywkę butelki z whisky i usiadł, Mac Donald unikając jego spojrzenia zapytał:

— Ben, czy mógłbyś zabić człowieka.?

Carterowi drgnęła ręka, w której trzymał butelkę. Cienka strużka żółtawego płynu ściekła na trawę. Trwało to mniej niż ułamek sekundy. Po chwili płyn znów zabulgotał w wysokiej, metalowej szklaneczce. Carter nalał drugą porcję, odstawił butelkę i wytarł ręce o rozścielony brezent. Dopiero potem popatrzył na przyjaciela i sięgając po wódkę wycedził z kwaśnym uśmiechem :

— Ty, Lion, masz źle w głowie, skoro pytasz o takie rzeczy. A czy my tu robimy co innego? Oblicz sobie, ile ludzi zabiłeś wczoraj podczas bombardowania, to będziesz wiedział... Chyba że taka fajtlapa jak ty nie potrafi celnie zrzucić bomby. Ale nie, chwała cię przecież, barania głowo.

— Przestań, Ben! — syknął rozwścieczony Mac Donald.

Ale od razu się pohamował. Jak może oburzać się na cynizm człowieka, którego przed paru minutami chciał zamordować. Opuścił głowę i kręcąc nią przecząco, wybąkał:

— Nie zrozumiałeś mnie. Pytam, czy... czy mógłbyś zabić człowieka... no, swojego kolegę?

Carter wzruszył ramionami. Nic bardziej nie użyło go od roztrząsania problemów moralnych.

Głupie pytania Mac Donalda denerwowały go. Carter cenił siebie za, jak to nazywał, kryształową szczerość wobec własnych myśli. Nieraz mówił Mac Donaldowi:

— Wiem, że jestem draniem, ale nie staram się tego ukrywać nawet przed sobą. Nie szukam usprawiedliwień nawet wobec tego, co ludzie nazywają sumieniem. Rzygam na to. A ty, Lion, jesteś jak ta dziwka, co po każdym gościu klęka przed krucyfiksem, zalewa się rzewnymi łzami, nazywa siebie właściwym imieniem i uspokojona pudruje nos, by wrócić pod latarnię. Znałem paru przyzwoitych chłopców. Łamałem im kości podczas strajków, ale nie żałuję tego. Boss dobrze płacił za tę robotę.

Ostatnio Mac Donald był bardzo zdenerwowany. Carter odczuwał to, chętnie pomógłby przyjacielowi, ale nie wiedział, jak to zrobić. Teraz spode łba przyglądał się Lianowi i jego drżącym dłoniom. Żeby coś powiedzieć, warknął:

— Mógłbym. Gdyby to było potrzebne albo wygodno, mógłbym.

Mac Donald chwycił go za rękaw i wpił się w twarz kolegi rozgorączkowanymi oczyma.

— A mnie — wycharczał. — Mnie mógłbyś?...

Carter parsknął rechetliwym śmiechem. Szeroko rozwarte usta, pomarszczony nos i wąskie szparki oczu upodobały go do nadymającej się ropuchy.

— Też masz pomysły, Lion! — wykrzykiwał tłukąc się dłońmi po udach. — Barania głowo, co ci się pęta w tym głupim łbie? Napij się lepiej na otrzeźwienie.

Mac Donald przycichł. Osowiały siedział bez ruchu nie słysząc, co mówi Carter. A więc nawet Benowi, temu cynikowi, który zawodowo łamał kiedyś ludzi om kości, był członkiem jakiegoś gangu, nawet jemu nie przyszłoby na myśl zabić przyjaciela. A on, Mac Donald, uważający się za szlachetnego i przyzwoitego człowieka, sięgnął po rewolwer. „Potencjalny morderca, potencjalny morderca” — huczało mu w głowie, jakby ktoś wystrzałami nadawał rytm tym słowom. I nagle przyszła refleksja: „Carter ma rację, przecież co dzień zabijają kilku, kilkunastu, czasem kilkudziesięciu ludzi. Czy tamci zrobili im co złego? A jednak rzucają na nich bomby. Czy jest jakaś różnica między zabójstwem znajomego i nieznanego? Ale to jest wojna. Żołnierz idzie na wojnę po to, by zabijać. Tak już jest od najdawniejszych czasów. On, Mac Donald, nie popełnia zbrodni, wykonuje jedynie to, co jest żołnierskim obowiązkiem”.

Kurczowo splótł palce, aż zbielały u nasady. Lepiej o tym nie myśleć, nie szukać usprawiedliwienia dla swoich czynów. Lepiej zabijać przyknawszy oczy, w których zawsze odbije się strach, zwątpienie, ból.

— Za parę miesięcy przestaniesz się przejmować takimi rzeczami — usłyszał spokojne słowa Cartera. — Już ja to znana. Człowiek ma skrupuły tylko na początku. Potem staje się już tylko maszynką do zabijania.

Tak jak deska przyrządów pokładowych w twojej kabinie. Naciskasz guzik — spadają bomby, naciskasz guzik — pękają pociski, naciskasz guzik — i lecą bomby diabli wiedzą czym naładowane: ni-

trogliceryną czy napalmem, gazem trującym czy bakteriami.

Mac Donald drgnął. Wtulił głowę w ramiona. Co Ben powiedział? Bakteriami? Skąd wie? Skąd mu to przyszło na myśl? Przecież niczym się nie zdradził przed przyjacielem, że był już obecny na kilku wykładach, na których wyjaśniono technikę bombardowań bakteriologicznych. Przypomniał sobie ostry, władczy głos kapitana: „Ani słowa o tym, co tu słyszycie!” Żeby tylko nie zdradzić się przed Carterem. A nuż — zwątpienie ukuło go ostrą, rozżarzoną igłą — a nuż Carter prowokuje, chce z niego wydusić jakieś nieopatrzone słówko? Może wyczuł jego słabość? Ben jest sprytny, bardzo sprytny. Czasem potrafi odczytać ludzkie myśli, a te, które się kłębią pod czaszką, nie byłyby w smak przełożonym.

Od pamiętnego dnia, kiedy na bazie słuchał pierwszego wykładu o wojnie bakteriologicznej, nie znalazł chwili spokoju. Budził się po nocach zlany potem i z przerażeniem oglądał swoje ręce. Kto wie, może jutro rano każą mu tymi rękami rzucić bombę napełnioną cholera czy tyfusem? Chciał krzyknąć: jestem żołnierzem, mogę strzelać do wroga, ale truc go chorobami to zbrodnia, nie chcę, nie mogę! I tłumił w sobie narastające wołanie, bojąc się, że jeśli wybuchnie to sam siebie zmiecie z powierzchni życia. Po co, dlaczego Carter przypomniał mu właśnie to, o czym chciałby zapomnieć, nie myśleć.

Przyjaciół wstał.

--- Nie będziesz jadł? - krzywiąc się pocieszenie zapytał Mac Donalda. - No to uważaj, barania głowo. Przejdziemy się trochę po tym lasku i wra-

camy. Wieczorkiem warto się zabawić w mieście. Kto wie, może nas jutro zestrzela, a wtedy żegnajcie uroki życia zdobywców tej ziemi. No!

Mac Donald zbierał się powoli. Kiedy wstawał, poczuł ciężar pistoletu na biodrze. „Byłbym go zabił — pomyślał jeszcze raz. — Może to byłoby i lepiej dla niego, dla mnie, dla wielu ludzi.“

Kopnął nogą do połowy opróżnioną puszkę konserw. Potoczyła się po trawie znacząc swój ślad czerwonym, pomidorowym sosem. Mac Donald pomyślał: „Jak krew”. I z wściekłością przydeptał lepką ciecz.

2

Około południa na jednym z dalszych pól bazy K-8 wylądował samolot. Oczekiwali go prócz obsługi dwaj wyżsi oficerowie. Jednym z nich był dowódca bazy, drugim szpakowaty pułkownik, który przed paru tygodniami pojawił się w Kunsanie i pracował na terenie pod-bazy oddzielonej od całości czujnymi posterunkami wartowników.

Gdy z kabiny wychyliła się głowa pułkownika Crosby, obaj oficerowie szybkimi krokami zbliżyli się do samolotu. Crosby wygramolił się i lekko zeskoczył na ziemię. Mocno uścisnął obu oczekującym ręce. Dowódca bazy zaprosił go na lunch, ale Crosby niecierpliwie potrząsnął głową i sucho odrzekł, że lunch może poczekać, a w tej chwili wolałby obejrzeć nowe gospodarstwo. Słowo „nowe” powiedział ze szczególnym naciskiem, co wzbudziło kilka nerwowych błysków w oczach dowódcy. Szpakowaty pułkownik uśmiechnął się aprobująco.

Z kurzawy wyskoczył „dżip“ i zgrzytając hamulcami zatrzymał się gwałtownie. Crosby zajął miejsce obok szofera. Jechali parę minut szybko na przelaj. Mijając posterunki szpakowaty wychylał się i wykrzykiwał hasło. Crosby uważnie rozglądał się po okolicy. Nie był tu już kilka tygodni i z zadowoleniem stwierdził, że wszystkie rozkazy wykonano wzorowo. Teren przeznaczony na skład bomb bakteriologicznych i hangary dla samolotów specjalnych sprawiał wrażenie porzuconego, nie używanego odcinka. Zatrzymali się przed zamaskowanym wejściem. Barczysty podoficer zagroził drogę, sprawdził dokumenty.

Kontrola warunków przechowania bomb nie trwała długo. Więcej czasu pochłonęły rozmowy z personelem. Skład na K-8 stanowił przecież jakby centralę bakteriologicznego zaopatrzenia kilku innych baz, które przygotowywały się do prowadzenia operacji „suprop“. Crosby omówił termin przysłania ludzi na przeszkolenie i zadowolony z pomyślnego przebiegu inspekcji przypomniał dowódcy bazy o zaproszeniu na lunch. Zauważył, że tamten opuszczając podziemny skład westchnął z ulgą. Kiedy indziej Crosby wybuchnąłby gniewem — żołnierz, nawet jeśli ma dystynkcje pułkownika, musi słuchać, wykonywać rozkazy, a nie wzdychać jak baba. Ale dziś był w dobrym humorze i skwitował westchnienie tamtego jedynie ironicznym grymasem.

Podczas lunchu podawała do stołu zgrabna, młoda dziewczyna w elegancko skrojonymi mundurze. Strzelała oczyma to do gospodarza, to do gości i uśmiechała się pełnymi, wydatnymi wargami pociągniętymi grubą warstwą szminki. Crosby

nagle stracił apetyt. Ta dziewczyna przypomniała mu Mary. Któż w świecie mogły równać się z jej urodą. Gdzie teraz jest Mary? Czy szczęśliwie wyładowała i dotarła do jakiegoś ukrycia w górach? Dlaczego nie daje o sobie znaku życia? Crosby co wieczór porozumiewał się z Dodgem, wpytując o różne rzeczy, i w skrytości ducha za każdym razem miał nadzieję, że Dodge wspomni coś o Mary. Ale ten milczał i niepokój Crosby'ego wzrastał. Patrząc na usługującą do stołu dziewczynę pomyślał, że nie pożałowałby nawet... nawet dziesięciu tysięcy dolarów na to, by Mary się znalazła teraz w tym pokoju, obok niego.

Aby odpędzić przykre myśli, zmusił się do uważnego słuchania relacji szpakowatego pułkownika. Potwierdzały one dotychczasowe raporty. Baza K-8 była w pełni przygotowana do rozpoczęcia operacji. Przeszkolono już odpowiednią liczbę starannie dobranych lotników z 3 brygady bombowców i z 513 eskadry lotnictwa morskiego. Zaopatrzenie bombowe było dostateczne i jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, za dwa, trzy tygodnie można będzie przerzucić część bomb na K-6, a nieco później również na K-3.

Szpakowaty pułkownik mówił suchym, jakby drewnianym głosem. Każde zdanie kończył na wysokich nutach i wolno opuszczał zawieszoną w powietrzu dłoń. Crosby lubił takich ludzi. Można na nich polegać. Nie pozwalają się ponieść uczuciom, są zawsze opanowani, potrafią trzymać nerwy na wodzy. Był zadowolony z siebie — ostatecznie dobrać odpowiednich współpracowników to nie fraszka, a takich jak szpakowaty Mills skierował już do wszystkich baz przewidzianych w planie „suprop“.

Znacznie mniej spodobał mu się dowódca bazy. Wyczuwał w nim tchórza i zastanawiał się, czego tamten się więcej boi — czy epidemii na bazie, czy odpowiedzialności, jaka nań spadła.

Zabrzączał telefon i dowódca po krótkiej rozmowie przeprosił Crosby'ego, że musi odejść. Ale — zapewnił gorąco — niedługo wróci.

Kiedy zostali sami, Crosby, zapalając papierosa, niby to mimochodem zapytał szpakowatego:

— Co pan o nim sądzi?

— Mały człowiek. Dobry w czasie pokoju, a nie na wojnie.

Crosby'emu wydało się, że Mills czekał właśnie na to pytanie. Spojrzał uważnie na szpakowatego, ale tamten siedział sztywno wyprostowany, zamknięty i skupiony, jakby szukając w myślach odpowiedzi na następne pytanie zwierzchnika. Crosby popatrzył na drzwi.

— Dziewczyna została wysłana — powiedział cicho Mills. — Jesteśmy sami.

Crosby nie dał po sobie poznać, że zadowolenie rośnie w nim jak ciasto iw dieży. Skinął tylko głową i ostrożnie odsunął filiżankę z nie dopitą kawą. Mills sięgnął do kieszeni i wyciągnął równo złożoną mapę. „Odgaduje w lot wszystko” — pomyślał z zachwytem Crosby, patrząc, jak Mills rozkłada mapę na stole. Przysunął się nie wstając z fotela i zaznaczył kilkanaście czerwonych kółek na zielono-żółtym rysunku. W paru słowach wyjaśnił zasięg i cel pierwszych akcji. Mills słuchał w milczeniu. Kiedy Crosby umilkł, zapytał tylko:

— Kiedy zaczynamy, colonel?

Spod odsuniętego rękawa marynarki na ręce Crosby'ego błysnęły złote wskazówki na czarnym cyferblacie.

— Teraz mamy drugą po południu. Pierwszy samolot wystartuje za — Crosby zamyślił się — za osiom godzin.

Żaden mięsień na twarzy Millsa nie drgnął. „Czy nic go nie wzruszy?” — zdumiał się Crosby. Uważał się za człowieka opanowanego, ale świadomość, że za parę godzin zacznie się to, co przygotowywał przez tyle miesięcy, nawet lat, wprawiała go w podniecenie. A ta mumia obok nawet okiem nie mrugnie. Oczekiwał jakiejś żywszej reakcji, jakiegoś poruszenia. A tu nic. Chętnie pogadałby trochę z Millsem, ale milczenie tamtego zniechęciło go. Odsunął mapę i władcym tonem zakończył:

— Trzeba przygotować załogę. Na pierwszy ogień

wyberze pan najbardziej zaufanych. Sam z nimi porozmawiam. Pozostanę tu do ich powrotu.

Mills skłonił lekko głowę i wstał.

3

Samolot stał przygotowany do startu, podobny do potężnego ptaka z bajki. Mrok wyolbrzymiał jego kształt. Kilka postaci w białych, długich fartuchach krzątało się pod jego brzuchem, półgłosem wymieniając uwagi. Przypominali lekarzy zajętych leczeniem pacjenta-olbrzyma.

Gdzieś w oddali rozbrzmiewał głuchy warkot silników. To startowały i lądowały śmigłe myśliwce i huczące basem bombowce. Ale tu panowała cisza

jak w sali operacyjnej na chwilę przed pierwszym błysnięciem skalpela.

Crosby stał oparty o drabinkę. Obserwował pracę obsługi. Wiele dałby za to, by zobaczyć twarze ludzi umocowujących bomby pod skrzydłami samolotu. Czuł nerwowe dygotanie serca. Czy i oni są podnieceni, a może nawet przerażeni tym, co robią? Przecież dobrze wiedzą, że te zwykłe dwustupięćdziesięciokilogramowe bomby pozbawione zapalników to ładunek śmierci straszliwszej niż wszystko, z czym dotychczas *mieli do czynienia*.

Zawarczał samochód. Z mroku wychyliły się trzy postacie. Crosby odsunął się od samolotu. Nie chciał, by załoga go zauważyła. Niech traktują ten lot jako normalne zjawisko. Cóż z tego, że oni są pierwsi? Jutro wylecą następni. Pojutrze znów inni. Operacja „suprop“ nabierze rozmachu.

Wartownik powiedział półgłosem:

— Gotowe, chłopcy. Bomby pod skrzydłami w porządku.

Trzy postacie skryły się. Zaterkotały kółka drabinki. Ktoś krzyknął, mały motorek parsknął. Gwałtowny prąd powietrza omal nie przewrócił Crosby'ego. Pułkownik zapał się mocniej nogami w ziemię. Zawyły silniki stalowej maszyny. Błysnęło światelko i samolot potoczył się lekko w kierunku startu.

Crosby poczuł krople potu na czole. Stał je wierzchem dłoni i w tej pozycji, jakby zegnając samolot, pozostał, póki ryk motorów nie rozplynął się w oddali. Dopiero wtedy odetchnął pełną pierśią i głośno, z zadowoleniem krzyknął:

— Mills, idziemy!

Po drodze zaczął układać w myślach tekst depeszy do brata. W pomyślny przebieg operacji nawet nie wątpił.

— Człowiek — powiedział nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że głośno wypowiada swą myśl — może zawieść, bakteria nigdy.

CZĘŚĆ DRUGA

ATAK

1

Życie w zbombardowanej wiosce płynęło utartym trybem. Ci, którzy przeżyli straszliwą noc, pochowali szczątki najbliższych, uratowali, co się dało, i zaczęli rozglądać się za nowymi mieszkaniami. U szczęśliwców w kilku ocalałych domach zamieszkali najbliżsi krewni i przyjaciele. Staremu Czo brat żony zaproponował przeniesienie się do lekko uszkodzonej *czibi**. Ale stary Czo odmówił. Dziesięć dni kopał ziemię na stoku pagórka opodal miejsca, gdzie dawniej stała zagroda. Udeptywał glinę zmieszaną z kłującymi źdźbłami słomy, znosił zwęglono deski i kloce. Po dwóch tygodniach na zboczach wyrosła ziemianka podobna do mrówczego kopca, zakończona wygiętą rurą piecyka. Stary Czo przemyślał nad wykopaniem kana, by podłoga ziemianki, tak jak w każdej koreańskiej chacie, była źródłem ciepła w chłodne, zimowe dni. Zabrakło mu jednak sił. Tragiczna śmierć żony i małego synka podkopały zdrowie krzepkiego jeszcze starca. Żył teraz tylko oczekiwaniem listów od chłop-

ców z frontu. Ale listy przychodziły rzadko i tylko od Bon Gi. Dwaj starsi wciąż nie dawali o sobie znać. A i Bon Gi napisał tylko dwa razy, przy czym drugi list przyszedł z frontu z parotygodniowym opóźnieniem.

Stary Czo nie bardzo dawał sobie radę z pisanem. Ułożyć jedno, dwa zdania — to by jeszcze jakoś potrafił, ale cały list?... A poprosić o to kogoś ze znajomych było mu wstyd. Wprawdzie chłopcy ze szkoły proponowali, że napiszą list w jego imieniu, ale stary Czo fuknął na nich gniewnie. Nie odwiedzał sąsiadów, a i oni nie mieli zbyt wiele czasu na chodzenie w gościnę. Tym bardziej że stary Czo stał się mrukiem. Potrafił godzinę i dłużej siedzieć bez słowa wpatrując się w jeden punkt.

Ziemianka starego Czo była obszerna. Może kopiąc ją myślał o powrocie synów, może zapomniał, że przeznaczona jest tylko dla niego. Pustka i wilgoć nie przeszkadzały mu. W nocy okrywał się grubym kocem, który otrzymał w Komitecie Ludowym. Do koca przszyty był skrawek przybrudzonego białego płótna z dziwacznymi rysunkami wyhaftowanymi niebieskimi nićmi. Przy wydawaniu koca staremu Czo powiedziano, że to, co uważa za obrazek, jest napisem. Nikt we wsi nie umiał odczytać napisu, tylko cieśla Kim, który przewędrował kawał świata i rok służył na amerykańskim statku wielorybniczym, oświadczył, że napis wyhaftowano amerykańskimi literami. Gdy stary Czo usłyszał, co mówi Kim, zwinął koc w rulon i trzymając go oburącz tak, jakby koc go parzył, odniósł zawiniątko do komitetu. Przewodniczący długo się biedził, zanim wytłumaczył staremu Czo, że koc wcale nie jest z Ameryki, że przy-

słali go z jakiegoś kraju Europy, gdzie piszą takimi samymi literami jak w Ameryce. Stary dał się przekonać, zabrał koc z powrotem do ziemianki, ale używał go niechętnie i tylko wtedy, gdy ziąb szczególnie mocno dokuczał.

Wkrótce po historii z kocem starego Czo znów wezwano do komitetu. Przewodniczący pytał go o różne sprawy, na które Czo odpowiadał półsłówkami. Potem przewodniczący zapytał, czy Czo nie zgodziłby się przyjąć do swej ziemianki kobiety z dzieckiem. Chodziło o żonę jakiegoś żołnierza. Kobieta została ewakuowana z Phenianu ze względu na chorobę i nie ma teraz dachu nad głową. Stary niechętnie przystał, bo wstyd mu było odmówić.

Przez pierwsze parę dni słowem nie odezwał się do współlokatorki. W milczeniu, spod nasępionych brwi przyglądał się, jak kobieta wykleja ściany ziemianki starymi gazetami, jak zręcznie plecie maty z ryżowej słomy, którymi wyściela podłogę. Obecność obcej kobiety potęgowała ból po stracie żony. Wesół głos chłopca przypominał mu śmiech zamordowanego Pha. Kobieta jakby odgadywała myśli starego.

Pracowała w milczeniu, uciszała chłopca, wysyłając go na ulicę, choć mały pozbawiony ciepłej odzieży bronił się przed tym i płakał. Stary Czo nie zabierał w tej sprawie głosu. Matka wie lepiej, co ma robić ze swoim dzieckiem. Ale któregoś ranka, gdy na dworze panował dotkliwy mróz, a śnieg leżał na ziemi dość grubą warstwą, stary Czo nie mógł się powstrzymać.

— Czego pędzisz chłopca? — mruknął. — Niech się bawi w cha... — zająknął się i wydusił znienawidzone słowo: — w ziemiance.

Spostrzegł, jak radośnie błysnęły smutne, matczyne oczy, jak rozjaśnia się twarz malca. I wyszedł na dwór. Wrócił późnym wieczorem dźwigając na plecach spore zawiniątko. Kobieta postawiła przed nim na niziutkim stołeczku, skleconym z jakiejś skrzyni, miseczkę ryżu i talerzyk z kimczy. Pierwszy raz podała mu jedzenie. Dotychczas stary Czo sam sobie gotował ryż. Zjadł w milczeniu i otarłszy dłonią usta mruknął:

— Dziękuję.

Położył się na swoim pośłaniu i czekał, aż kobieta zaśnie. Potem cicho wstał, zaświecił kaganek i ostrożnie rozpakował tobolek. Były tam buty dziecinne, jakieś pantofle damskie z błyszczącymi sprzączkami, ubranie chłopięce i szeroki, z dużym kołnierzem płaszcz z czerwonej wełny, dwie pary grubych skarpet i sweter, w którym mogłyby się zmieścić chyba dwie albo trzy kobiety. Wszystkie te skarby zdobył stary Czo W Komitecie Ludowym w Sunczonie dla swoich lokatorów. Rozłożył je starannie na macie obok pośłania, zgasił kaganek i schował się pod swoim kocem.

Nazajutrz stary Czo mrukliwie opędział się przed podziękowaniami. Próbował nawet udać, że o niczym nie wie, a gdy kobieta z radości zapłakała, skrzyczał ją. Wychodząc z ziemianki kazał jednak chłopcu włożyć nowe skarpety i buty i zabrał go ze sobą.

Man Pok tańczył wokół starego, nazywał go dziadkiem, pomagał mu zbierać chrust i śpiewał przy tym tę samą piosenkę, którą kiedyś śpiewał staremu Czo mały Pha.

W ziemiance starego Czo zapanowała atmosfera rodzinnego życia. Stary znów poczuł się głową

rodziny, strofował Li O Mon, jakby była jego synową, bawił Man Poka jak wnuka. Postanowił nawet, że jeżeli przyjdą listy od synów, O Nion odpisze w jego imieniu.

Ostatniego dnia stycznia stary Czo wraz z kilku chłopkami i chłopami wyjechał na parę dni do Sun-czonu. W mieście zorganizowano kurs agrotechniki i komitet wiejski postanowił wysłać również starego Czo, który zawsze zbierał obfity plon ryżu. Kurs trwał cztery dni, z których każdy wypełniły pogadanki o nowoczesnych metodach uprawy. Czo słuchał uważnie. Nie umiał jak inni notować i starał się wszystko zapamiętać.

Został w Sunczonie jeszcze jedną noc, by kupić z rana gościńce dla Man Poka i O Nion. Zaoszczędził część pieniędzy otrzymanych na wyjazd i wyżywienie. Dziesięć placuszków nadziewanych słodką masą z kasztanów dla chłopca i paczuszka herbaty, za którą tak wzdychała O Nion, nie ciążyły mu w drodze powrotnej. Wracał pieszo, dziwnie lekki i rozradowany. Słońce grzało przyjemnie, śnieg, wczoraj jeszcze wypełniający ocienione leje białoburymi. płatami, stał. Ziemia nasiąkła wilgocią klaskała pod butami. Stary Czo szedł skrajem drogi. Raczej z przyzwyczajenia niż z potrzeby. W dzień na szosie ruchu prawie nie było. Dwa razy minęły go obwieszone gałęziami samochody ciężarowe, raz spotkał chłopca prowadzącego wołu zaprzężonego w rozklekotany wóz. Za to w niebie ruch był bardziej ożywiony. Raz po raz dobiegał go głuchy, świszczący huk odrzutowców. Wtedy podnosił głowę i szukał w błękitnie szlaków przelotu. Na jednym ze wzgórz dostrzegł sylwetki żołnierzy. Wydało mu się nawet, że widzi zamaskowane lufy

dział przeciwlotniczych. Ucieszył się. Im więcej artylerii, tym więcej straconych samolotów nieprzyjaciela. Chętnie wdrapałby się na wzgórze, porozmawiał z żołnierzami, opowiedział o swoich trzech synach na froncie. Kto wic, może któryś z tych na wzgórzach spotkał synów? Może Jon Ama, może Ho Gila, może Bon Ci? Ale nie dał się skusić tej myśli. Żołnierze nie lubią, kiedy im ktoś obcy przeszkadza w pracy. Stary Czo też nie lubił, gdy mu zawracano głowę podczas robót w polu.

Przyspieszył kroku, gdy z szosy skręcił w lewo na drogę wiodącą do Somion. Jak to dobrze, że ziemianka nie jest pusta, że krząta się w niej O Nion. A ten łobuziak Man Pok pewnie gania teraz z chłopakami po pagórkach. Żeby tylko nie zniszczył butów. Dziś może biegać boso. Buty przydadzą się, kiedy znów nadciągnie fala mrozów.

Zatrzymał się chwilę na zakręcie drogi. Stąd widać było panoramę zburzonej wioski. Tu często oczekiwał go synek Pha, chwycił za rękę i natarczywie dopominał się o podarki. Teraz nie ma Pha i nie ma matki Czo. I nigdy ich już nie zobaczy. Zacisnął powieki, by powstrzymać napływające łzy. Kto wie, czy trzej synowie wrócą z frontu, a jeżeli wrócą, to czy zastaną jeszcze starego ojca? Stary Czo usiadł na kamieniu, nie ogolony podbródek oparł o szorstkie dłonie. Z piersi wyrwał mu się szloch. Wysoko w górze zawarczał silnik. Stary Czo uniósł twarz. Za mgiełką łez niebo było szare. Warkot ścichł, ale stary Czo długo jeszcze spoglądał w niebo, wygrażając starczą pięścią niewidzialnemu wrogowi.

Kiedy zbliżył się do ziemianki, zdziwiło go, że z pogiętej rury nie unosi się dym, o tej porze O

Nion powinna gotować ryż. Przed wejściem leżało puste, wywrócone wiadro. Stary Czo schylił się, by je podnieść, i w tej samej chwili usłyszał cichy jęk. Rozejrzał się, nikogo nie zobaczył. Zaniepokojony pchnął drzwi i zachłysnął się bezgłośnym krzykiem. O Nion leżała w poprzek swego posłania. Głowę miała przechyloną w tył, ręce bezwładnie rozrzucone, nogi dziwacznie podkurczone. Obok niej mały Man Pok chwycił powietrze szeroko otwartymi ustami i charczał. Po brodzie ściekała mu struzka zielonkawej śliny.

Stary Czo chciał krzyknąć, wołać ludzi na pomoc, ale głos uwiązł mu w gardle. Bał się przestąpić próg. Zbudził się w nim wessany z mlekiem matki strach przed chorobą. O Nion i Man Pok są chorzy, ciężko chorzy. To rozumiał. Ale jak to się stało? Przecież wyjeżdżając zostawił ich w pełnym zdrowiu. Rozszerzonymi z przerażenia oczami wpatrywał się w twarz chłopca. Chciał podbiec do niego, chwycić go na ręce, przytulić, pocieszyć. I jakaś nieznana siła przykuła go do miejsca, trzymała mocno za nogi.

Kobieta wciąż leżała bez ruchu. Chłopiec miał się słabo i wciąż charczał. Staremu wydało się, że dziecko woła: „Pić!“ To zbudziło go z odrętwienia. Ostrożnie, na palcach podszedł do posłania, pochylił się nad chłopcem i zduszonym szeptem zawołał:

— *Man Pok, jobosejo¹⁴ Man Pok!*

Chłopiec nawet nie drgnął. Wtedy stary Czo przewyciężając strach schwycił kubek i napełniwszy go wodą z glinianego dzbanka przytknął do ust dziecka. Woda ściekała po brodzie zlewając się ze strugą śliny. Chłopiec poruszył głową. Zęby zastu-

kały o brzeg kubka. Stary Czo ostrożnie uniósł głowę Man Poka i wlał mu parę kropel wody. Potem, spróbował napić O Nion, ale ta leżała nieruchomo i starego przeraziła myśl, że może kobieta nie żyje. Czym prędzej wyskoczył z chaty i zakrzyknął ze wszystkich sił:

— Ei — ja, *Kim tommu*, *Coj tommu!*

Krzyczał długo, wyrzucając z siebie raczej nieartykułowane dźwięki niż słowa. Potem usłyszał czyjeś wołanie. Z wrytey niedaleko ziemianki wyłał kulawy Kim, młody chłop, okaleczony podczas bombardowania.

— Czego chcesz, stary Czo? Dlaczego tak krzyczysz?

Stary odpowiedział nie od razu. Strach mącił myśli,

przeszkadzał ułożyć wyrazy w zdania.

— Oni chorzy! Nie wiem. Oni chorzy! — wołał jęcząc.

Kulawy Kim, który śpieszył w stronę ziemianki Czo, zatrzymał się w pół kroku.

— Kto chory, stary Czo?

— Oni chorzy! Ja nie wiem. Oni chorzy — powtarzał w kółko stary.

Kim zawrócił. Stary Czo widząc, jak sylwetka jego znika za pagórkiem, zakrzyczał głośnie.

— *Kim tommu!* Oni chorzy! Nie zostawiaj mnie! Oni chorzy!

Bał się teraz wrócić do ziemianki, bał się zostać nawet tu, o parę kroków od drzwi. Ale jęk chłopca brzmiał natarczywie, błagalnie. I stary Czo poczłapał z powrotem. Chłopiec miał teraz oczy szeroko otwarte. Poznał chyba starego, bo wpił się w niego spojrzeniem i wycharczał :

— Dziadku, oooj... piecze... dziadku.

Jakby ktoś starego Czo pejczem przez serce smagnał. Jak mógł, jak mógł stać tam i dygotać ze strachu, gdy tu dziecko go woła i nazywa dziadkiem.

Ukląkł przy chłopcu i głaszcząc go po włosach, jakby to mogło małemu przynieść ulgę, cicho szeptał:

— Leż cicho, Man Pok, leż spokojnie, wnuczku. Jestem przy tobie. Przyjdzie lekarz, włoży białe fartuch i Man Pok będzie zdrów.

— Mama... mama, gdzie mama? — miotał się chłopiec.

Stary Czo nie wiedział, co odpowiedzieć. Może lepiej nie mówić dziecku, że matka jest też chora? Przesunął się nieco w bok, by zasłonić O Nion przed oczyma chłopca, i powiedział uspokajająco:

— Mama poszła po doktora, wnuczku.

Chłopiec nie zareagował na te słowa. Znów nieprzytomny rzucił się na posłaniu, kopał nogami powietrze, chwycił rękami coś nieuchwytnego, zrywał się i bezsilnie opadał.

W smudze światła płynącego przez otwarte drzwi ukazała się kobieca postać. Stary. Czo obejrzał się. Poznał siostrę Kima, młodą pielęgniarkę, zwolnioną z wojska wskutek ciężkiej rany. Dziewczyna weszła do ziemianki i bez słowa zbliżyła się do chłopca. Potem popatrzyła na kobietę, ujęła dwoma palcami przegub jej ręki i zadrżała. Z kieszeni watomanej żołnierskiej kurtki wyciągnęła termometr i wsadziła go chłopcu pod pachę. Potem bez słowa kucnęła przy drzwiach.

— Co z nimi, siostrze Kim — nieśmiało zapytał stary Czo.

Dziewczyna wruszyła ramionami.

— Nie wiem. Może to szkarlatyna, może zapalenie płuc, może — zamyśliła się i powiedziała tak, jak na wsi kobiety określają wszystkie nieznanne choroby — może zła gorączka. Ja byłam na chirurgii. Nie znam chorób.

Stary Czo podniósł się z klęczek. Przypomniało mu się przewrócone wiadro. Warto byłoby przynieść świeżej wody ze studni. Ruszył ku drzwiom.

— Nie idź — surowo powiedziała siostra Kim.
— Poczekamy, aż przyjdzie lekarz.

— Ale ja tylko po wodę — usprawiedliwił się stary Czo.

— Nie idź — powtórzyła dziewczyna. — Nie wiem, jaka to choroba. Przez ciebie mogą zachorować inni.

Stary Czo posłusznie wrócił do chłopca. Malec znów otworzył oczy. Kiedy stary przytknął mu do ust kubek z wodą, zaczął łapczywie pić. Rozejrzał się nieco przytomniej. Pielęgniarka zauważyła to i podeszła bliżej.

— Co ciebie boli, chłopcze?

Man Pok nie odpowiedział. Nieufnie przyglądał się dziewczynie. Oczyma poszukał starego Czo.

— Tu — ręką dotknął piersi — tu boli — powiedział zwracając się do starego. — I nogi drżą, dziadku. A dlaczego?

— Jesteś chory, wnuczku. Jutro będziesz zdrow — mamrotał stary.

— A dlaczego jestem chory? Mama wczoraj była chora. A gdzie mama? Gdzie?

Stary Czo błagalnie spojrzał na pielęgniarkę.

— Mama śpi — cicho odparła dziewczyna. — Nie trzeba jej budzić,

— A mama wczoraj była chora — powtórzył chłopiec. — Dziadku, a ty nie byłeś chory?

— Nie — pośpiesznie odrzekł stary Czo. — Czy chcesz coś zjeść? Przyniosłem — teraz sobie przypomniał o gościńcu — świeże placuszki.

W pośpiechu zaczął odwijać ręcznik przytroczony do pasa. Ale chłopiec znów wpadł w omdlenie. Bredził, rzucał się podrygując nogami.

— Ślimaki... ślimaki — powtarzał.

Po pewnym, czasie wrócił do przytomności. Teraz mówił już do rzeczy i prosił starego o ślimaki.

— Takie smaczne, takie soczyste — uśmiechał się przymilnie. — Daj, dziadku, daj.

— Jakie ślimaki? — zdziwił się stary. — Nie mam żadnych ślimaków. Jak pojedę na wybrzeże, to ci przywiozę ostrygi. Albo kupię w Singuri u rybaków małże.

Chłopiec skrzywił się.

— Mama przyniosła ślimaki. Smaczne ślimaki.

— Skąd przyniosła, kiedy? — dopytywał się zdumiony stary Czo.

Z przerywanego nawrotami bólu i omdleń opowiadania chłopca dowiedział się, że O Nion poszła wczoraj rano do lasu po chrust. Na zboczu wzgórza znalazła niewielki pleciony koszyk ze ślimakami. Prawdopodobnie ktoś upuścił go w drodze. O Nion zapytała kilku ludzi we wsi, czy nikt nie zgubił koszyka ze ślimakami, a gdy usłyszała, że nikt ostatnio nie kupował takich smakołyków, uszczęśliwiona przyniosła swój skarb do domu. Chciała pocześć z uczcią na starego Czo, ale potem postanowiła zostawić jego porcję, a sama z chłopcem zjadła ślimaki na obiad. Wieczorem matka poczu-

ła mdłości, bolał ją brzuch. Potem Man Pok też zaczął wymiotować. To było wszystko, co wiedział i pamiętał.

Kiedy stary Czo chciał poszukać reszty ślimaków i dać je chłopcu, sprzeciwiła się pielęgniarka Kim. Kto wie, może są stare i zepsute — oświadczyła. — Może właśnie one zaszkodziły chłopcu i matce. Lepiej poczekać na doktora. Stary Czo usłuchał. Był teraz spokojniejszy. Jeżeli choroba chłopca pochodzi od zatrucia ślimakami, to nie ma się czego obawiać. Od tego nikt jeszcze nie umarł. Tylko dlaczego O Nion leży wciąż nieruchoma, dlaczego jest taka sina.

W dole rozległ się warkot samochodu. Stary Czo westchnął z ulgą. To na pewno lekarz.

2

Fukuda przyjechał do wsi Somion późno w nocy. Przy wejściu do wioski zatrzymał go patrol samoobrony i przepuścił dopiero po dokładnym sprawdzeniu dokumentów, choć oczekujący pracownik stacji sanitarno-epidemiologicznej zapewniał, że Fukuda jest właśnie tym, kogo spodziewano się z Phenianu.

W drodze do ziemianki starego Czo pracownik stacji, młody lekarz Pak, pokrótce opowiedział Fukudzie o rezultatach wstępnego badania i podjętych krokach. Doktor Pak od razu po zbadaniu młodego Man Poka stwierdził objawy choroby nie znanej mu z dotychczasowej praktyki. Matka chłopca już nie żyła. Słowa starego Czo i pielęgniarki Kim o

ślimakach podsunęły mu myśl o zatruciu. Przebieg choroby wskazywał jednak raczej na inne źródła infekcji. Nie chcąc ryzykować doktor Pak zgodnie z dyrektywą zawiadomił centralną stację sanitarno-epidemiologiczną. Samochód sanitarny przyjechał przed paru godzinami i w tej chwili prowadzone są badania bakteriologiczne i chemiczne. Kierownik ekipy natychmiast po przybyciu zarządził kwarantannę. Wyznaczony oddział samoobrony działa sprawnie. Ziemiańska Czo podobnie jak najbliższe położone chaty i lepianki poddane zostały dokładnej dezynfekcji. Starego Czo i pielęgniarkę Kim umieszczono w tymczasowym izolatorze.

— Czy otrzymali zastrzyki? — przerwał Fukuda.

— Tak jest. Zgodnie z zarządzeniem kierownika ekipy sanitarnej wszyscy pozostali mieszkańcy rejonu podlegającego kwarantannie mają być szczepieni od rana. Jeden z członków ekipy pojechał już po zastrzyki.

— A co z chorym? Jakie objawy?

— Sami zobaczycie, towarzyszu. Biegunka i wymioty ustają. Może to nie takie groźne?

W ziemiance Czo świeciło kilka żarówek zasilanych prądem z przenośnego motoru ekipy sanitarnej. Dwaj pracownicy w maskach stali pochyleni nad mikroskopem. Obok wyprężonego na posłaniu chłopca siedział w kucki starszy mężczyzna w białym fartuchu i masce na twarzy. Na widok Fukudy wstał i skłonił się głęboko.

— Witam was, towarzyszu doktorze — powiedział po japońsku.

Fukuda ucieszył się. Znacznie łatwiej będzie się porozumieć i dowiedzieć o szczegóły, skoro lekarz zna japoński.

Założył maskę i podszedł do chorego. Chłopiec leżał cicho, bez ruchu. Fukuda ujął palcami przegub ręki małego. Nie wyczuł pulsu. Przyłożył słuchawkę do chudej, z ostro występującymi żebrami piersi. Serce biło ledwo dosłyszalnie. Wysuszone wargi wyraźnie zsiniały. Głęboko zapadnięte oczy — zamglone, jakby oślepe, nie reagowały na światło.

Fukuda spojrział na starszego lekarza. Tamten zrozumiał nieme pytanie.

— To już chyba agonia — powiedział cicho. — Próbowałem wzmocnić pracę serca, ale bezskutecznie.

— Czy są już wstępne wyniki badań mikroskopowych? — spytał Fukuda i od razu dodał: — Zresztą rozpoznanie jest zupełnie pewne.

— Tak — odrzekł Koreańczyk, jakby nie dosłyszał ostatniej uwagi. — Wstępne badania wydaliny chorego potwierdziły rozpoznanie.

Fukuda nie odpowiedział. Poczł się nagle słaby, bezsilny. Oto znów obok niego ginął człowiek. Dziecko. Tu już nie pomoże ani skalpel chirurga, ani zastrzyk, ani nic. Tu już rządzi śmierć. Chciał zerwać się, wybuchnąć, w krzyku zamknąć ból i rozpacz lekarza, który musi ustąpić przed śmiercią.

Przymknął na chwilę oczy. Skądś z daleka wyplynał ostry, wyraźnie zarysowany obraz. Sala szpitalna. Rząd łózek. Umierający ludzie. Nad jednym łóżkiem stoi on, doktor Fukuda, oficer armii jego cesarskiej mości. W małej ampulce mętny

płyn. W oczach chorego płonie niegasnąca nienawiść. Zastygnie w tym spojrzeniu na zawsze.

Patrząc na wychudłą, z minuty na minutę szarzejącą twarz chłopca, Fukuda chce krzyknąć. Chce zawołać, jak można najgłośniejszym głosem: Zbrodnia! zbrodnia! I od razu przychodzi-refleksja: a co ty zrobił, doktorze Fukuda, by zbrodni zapobiec? Co z tego, że zwalczałeś ją, że narażałeś nawet życie. Źle, za mało walczyłeś, skoro dokonała się zbrodnia, skoro ten mały chłopiec umiera na cholere...

Gorączkowo szukał w myślach jakiegoś środka, jakiegoś lekarstwa. Może... nie, przecież już za późno. Poczul czyjaś rękę na ramieniu. Koreański lekarz patrzył na niego oczami przesłoniętymi mgłą łez.

Fukuda ciężko podniósł się z kucek. Zagryzając wargi podszedł do stolika. Jeden z biało ubranych laborantów odsunął się. Fukuda spojrzął przez okular i od razu cofnął głowę. Zdaży zobaczyć. Zwrócił się do kierownika ekipy.

— Proszę od razu przystąpić do sekcji zwłok. Zabierzcie ze sobą na centralną stację organa wewnętrzne oraz treść grubego i cienkiego jelita do zbadania histologicznego i bakteriologicznego. Wodę peptonową macie?

— Tak jest.

— Natychmiast po sekcji zwłoki należy spalić.

Fukuda zacisnął zęby. Zwłoki, które każe spalić, były jeszcze wczoraj wesołym, żywym jak iskra dzieckiem. Gwałtowny spazm zdusił mu krtań. Zacisnął palce, aż poczuł piekący ból w dłoniach. Uspokoił się. -

— Zarządzenia w sprawie kwarantanny wydaliście, prawda?

Koreańczyk skinął potakująco głową.

— Zostawcie tylko obsługę do dezynfekcji i pracowników odpowiedzialnych za przebieg kwarentanny. Po sekcji nie macie tu już chyba nic do roboty. Grupa specjalna na pewno jest już w drodze.

— A jeśli chodzi o szczepienia?

— Bardzo słusznie postąpiliście. Przymusowe dla wszystkich. Żadnych wyjątków. Aha, tych dwoje, którzy przebywali w ziemiance, wspominał mi o nich towarzysz z Sunczonu. — Głową wskazał stojącego w drugim końcu ziemianki lekarza. — Więc tych dwoje trzeba szczególnie uważnie obserwować. Zaraz zresztą sam do nich pójde.

— Czy mogę pójść z wami, towarzyszu Fukuda? — spytał kierownik ekipy. — Przydam się wam jako tłumacz. Tutaj tymczasem przygotowują wszystko do sekcji.

— Dobrze. — Fukuda nawet ucieszył się, że nie pójdzie do izolatora sam. — A może i wy, kolego, pójdziecie z nami — zwrócił się do lekarza z Sunczonu.

Tamtę niepewnie przestąpił z nogi na nogę. „Boi się — pomyślał Fukuda — i nawet nie ma się czemu dziwić. Nigdy dotąd nie miał do czynienia z cholera. Sama nazwa choroby budzi lęk.“

Lekarz z Sunczonu wciąż jeszcze dreptał w miejscu. Gwałtownie zadrgały mięśnie twarzy. Widać było, że trudno mu się zdecydować. Strach, którego się wstydzi, jest silny.

— Dobrze — odchrząknął parokrotnie. — Chętnie... pójde.

Sanitariusz podał im środki dezynfekcyjne.

Plik telefonogramów leżał na stole nietknięty. Fukuda siedział w watowanej kurtce, tępo wpatrując się w żółty pęcherzyk żarówki zawieszanej nisko nad głową. Bolały go wszystkie mięśnie. Twarz osmagana mroźnym wiatrem paliła. Od sześciu dni tłukł się wzdłuż i wszerz kraju w rozdygotanym samochodzie. Zdjąć waciacz, zzuć buty, rozpiąć uwierający pas — nie, taki wysiłek przekraczał w tej chwili jego możliwości.

Słyszał, jak w przedsionku krząta się U Pu-kuej. Zaraz wejdzie niosąc kubek pachnącej, mocnej kawy. Może nawet przyniesie coś do zjedzenia. Śmieszny, wzruszający troskliwością U Pu-kuej. Dla niego najważniejsze jest teraz, by Fukuda zjadł, rozebrał się, przespał. Małe troski, nieistotne, jakoś koszmarnie niewspółmierne z myślami Fukudy. Kawa, jedzenie... Ilu ludziom w tej chwili nie potrzeba już niczego.

Sięgnął po leżący na samym wierzchu meldunek. Ujął papier dwoma palcami, ale nie zbliżył go do oczu. Znał jego treść. Nazwa wioski, data, godzina... rodzaj zrzutu, rodzina owadów, nazwa choroby. Suche, krótkie zdania i parę nazwisk. I to samo w każdym następnym meldunku.

Przez sześć dni Fukuda był świadkiem wielu śmierci.

W ciągu tych sześciu dni -nieraz pochylał się nad umierającymi w męce i bólu ludźmi. Nie pamiętał nawet rysów ich twarzy — przecież śmierć upodabnia do siebie ludzkie oblicza, zaciera między nimi różnice. Jakże podobny był zmarły na

dżumę stary kupiec w małym miasteczku do umierającej chłopki, tulącej do piersi wystygłe zwłoki wnuczka!

Zadrzał. Ciężkie myśli kłębiły się, przelewały jak fale wzburzonego oceanu, budząc niemal fizyczny ból. W gorączce rozjazdów i walki ze śmiercią nie było czasu na roztrząsanie zawitych problemów. Ale teraz — zanim wejdzie U Pu-kuej, zanim zaterkocze brzęczyk telefonu wzywającego gdzieś, gdzie znów wykryto ognisko ludzkiej męki, teraz, zanim ostudzą rozpaloną głowę suche zdania meldunków, cyfry statystyki i wyniki laboratoryjnych analiz — teraz można płakać bez łez, żalić się bez słów, boleć bez skargi.

Oto siedzi doktor Fukuda w ziemiance z dala od frontu. Nie słychać tu ani kanonady dział, ani świstu spadających bomb. Cisza i spokój. Ale w tej ciszy — doktor Fukuda słyszy wyraźnie — skrada się śmierć. Ma skurczoną twarz, głęboko zapadnięte oczy i suche, sine wargi chłopca z wioski niedaleko Sunczonu. A może to twarz tamtej nauczycielki z Teodonu. Nie... to wszystko nieprawda. Śmierć nie ma twarzy. I śmierć się nie skrada. Czyż ruch dostrzegalnych jedynie przez mikroskop pałeczek dżumy lub cholery można nazwać skradaniem się? To już raczej ledwie uchwytny szelst owadów wypełzających z otwartej bomby. Przewalają się przez siebie, przebierają odnóżami, ciągnąc napełnione bakteriami odwłoki. Albo ślimaki w słomianym koszyczku. Albo leniwe, zmęczone chorobą szczury pełzające przed na wpół zburzoną chatą...

I to kłamstwo. Śmierć ma twarz. Trzeba ją tylko umieć dostrzec. A Fukuda widział ją nieraz. Sy-

ta, wypielegnowaną, rumianą twarz pułkownika Crosby. Kto w jego oczach niebieskich i wesołych odczyta wyrok śmierci? Albo twarz o wąskich, zaciśniętych ustach, zza których błyskają mocne, wystające zęby. Ocieniona okularami w grubej, czarnej oprawie twarz Otomury. Tak wygląda śmierć!

Fukuda zaciska pięści i z całej siły opuszcza je na stos meldunków. Oto cel Otomury, Crosby'ego, dziesiątków i setek tych, którzy w tej chwili w Waszyngtonie i Tokio, w Camp Detrick i Seulu modlą się o śmierć na tej ziemi. Nie, nie tylko modlą się — oni ją sieją tak, jak chłop sieje ryż. Mało im śmierci od bomb i odłamków, od pocisków i kropel napalmu — chcą, by śmierć czyhała wszędzie — w źródlanej wodzie, nad którą schyla się strudzony wędrowiec, w ziarnku ryżu, który matka ugotuje dzieciom, w zabawce, którą podnosi z ziemi mała dziewczynka o błyszczących oczach. Oni chcą, by niosła ludziom tę śmierć mała muszka bzykająca nad uchem i rak pełzający na dnie stawu.

Zerwał się. Poczul, że nie ma czym oddychać, i gwałtownie szarpnął kołnierz watowanej kurtki. Metalowe guziki z brzękiem potoczyły się po stole. W gardle zabulgotał stłumiony krzyk. Zacisnął zęby, naprężył wszystkie mięśnie, by się opanować.

U Pu-kuej przyniósł kawę. Jedno spojrzenie na Fu-kudę ostrzegło ochotnika, że lepiej się nie odzywać. Wszedł bez słowa. Fukuda chwycił oburącz kubek i nie czując, że gorący płyn parzy lisia, łapczywie łykał. Odzyskiwał równowagę powoli, jak człowiek wracający do świadomości po długim omdleniu. Otarł dłonią spód kubka i postawił go na

stole. Sięgnął po meldunki i przerzucił je w pośpiechu.

Dwa wypadki dżumy, jeden cholery, trzy skupiska pcheł zarazonych dżumą znalezione z dala od osiedli, kilkanaście cylindrów z muchami, którym zaszczepiono paratyfus. W ciągu minionych sześciu dni widział te rzeczy. Czas najwyższy traktować je jako zjawisko stałe, które będzie się powtarzało do chwili, póki coś nie zmusi Amerykanów do zaniechania broni bakteriologicznej.

Wyciągnął z szuflady mapę i czerwonym tuszem zakreślił kółka tam, gdzie znaleziono rzuty lub wykryto wypadki zachorowań. Kółka rozmieszczone były chaotycznie, Fukuda nie mógł tego zrozumieć. „Czyżby Amerykanie rzucali bomby bakteriologiczne byle jak i byle gdzie? A może w tym chaosie jest jakaś utajona, im tylko znana prawidłowość. Trzeba się będzie w tej sprawie porozumieć z towarzyszami” — pomyślał i zdziwił się, że jest taki spokojny, rzeczowy, że potrafi tak trzeźwo rozważać sytuację.

Najtrudniejsze będą pierwsze dni — przypomniały mu się słowa ministra zdrowia Korei, wypowiedziane na ostatniej naradzie. Sprawdziły się. Pierwsze dni były najtrudniejsze. Cóż mówić o innych ludziach, skoro Fukuda, obeznany i obyty ze sprawami wojny bakteriologicznej, przeżył okres załamania. A przecież z punktu widzenia wojny pierwsze sześć dni nalotów bakteriologicznych nic nie zmieniły. Jedna bomba rozpryskowa zrzucona na wieś mogłaby wyrządzić większą szkodę. Służba przeciwepidemiczna działała bez zarzutu, samoobrona sanitarna wykrywała miejsca rzutów poważnie, zanim zarazone owady i gryzonie zdołały

się rozprzestrzenić. Ofiary niewątpliwie były — tego należało oczekiwać. Ale liczba ich jak dotąd pozostawała niewspółmierna z liczbą zrzutów. I skoro ofiar było niewiele, to w przyszłości — im lepsza będzie organizacja, im szybciej przeprowadzone zostaną masowe szczepienia ochronne — liczba zachorowań będzie jeszcze mniejsza.

Tak, z punktu widzenia wojny wszystko to wygląda na razie mniej groźnie, niż można się było spodziewać.

Ale czy tylko o ten punkt widzenia chodzi? Gdyby nie dyscyplina społeczeństwa, nie ofiarna praca ekip sanitarnych i cicha zawziętość ludzi — kto może przewidzieć, jakie byłyby rezultaty pierwszych nalotów bakteriologicznych?

Pamiętał rozmowy prowadzone z Otomurą dziesięć lat temu... Tamten kładł już wtedy wielki nacisk na psychologiczne znaczenie broni bakteriologicznej. „Ludzie boją się choroby bardziej niż pocisków— tłumaczył Otomura. — Jeden wypadek dżumy bardziej demoralizuje wieś niż dziesięć spalonych po bombardowaniu domów. Ludzie boją się wtedy jeść i pić, ze strachu przed chorobą boją się dotknąć kogokolwiek lub czegokolwiek.“

Otomura miał sporo racji. Fukuda pamięta przerażone spojrzenie starego chłopca ze wsi Somion zamkniętego w izolatorze. Stary nazywał się bodaj Czo. Kiedy usłyszał, że kobieta i chłopiec w jego ziemiance umarli na cholere, rzucił się na ziemię jak obłąkany. Potem zerwał się i z wykrzywioną przerażeniem twarzą zaczął się cofać aż pod ścianę. Nie chciał pozwolić, by mu zrobiono zastrzyk. Bał się. Strach to mocna broń. Ale nie wszystkich, można nią złamać. Tamta pielęgniarka

nie dała po sobie poznać, czy się boi. Znalazła nawet słowa, które jak mocny lek podziałały na starego. Zaraz... zaraz... O czym to ona mówiła... o nienawiści? Tak, że nienawiść to jad, który uodpornia nie tylko duszę, ale i organizm człowieka. „Jeśli będziesz nienawidził wroga każdą cząstką swego „ja“, jeśli będziesz nienawiść tę kierował przeciw niemu nieustannie, tak jak badacz kierujący swój wzrok i myśli ku gwiazdom, nie pokona cię wróg, nie zatruje choroba... “

Jakże bezradnie zabrzmiały w uszach Fukudy słowa dziewczyny. Przeciwstawiać nienawiść toksynom można tylko w bajkach. A w życiu? Czy wolno polegać

tylko na sprawnej organizacji społeczeństwa, czy wolno polegać na harcie ducha tam, gdzie szeleści kłębowisko zakażonych owadów? Czy wolno wysnuwać lekkomyślny wniosek „Amerykanom się nie udało“ — skoro trudno przewidzieć, ilu zrzutów dokonają dzisiejszej nocy, ile bomb pozostanie nie wykrytych, ilu ludzi znajdzie nazajutrz pchły w studniach i zdechłe szczury w spichrzu?

„Trzeba jakoś uporządkować, myśli “ — powiedział sobie w duchu Fukuda. Ale był zbyt podniecony, by opanować zamęt w głowie. Mimo wysiłku i starania nie potrafił skupić się na jednej sprawie. Jakże żałował, że nie ma teraz przy nim Fu Lina, przyjaciela, który umiał jednym słowem, czasem nawet jednym spojrzeniem przywrócić Fukudzie zachwianą równowagę. Albo Ta-nima — jej głos, jej ciepły uśmiech działały zawsze tak kojąco. Wyjął z portfela małe, amatorskie zdjęcie i czym prędzej schował je z powrotem. Poczul krople potu na czole. Ogarnęło go przerażenie. Może Ameryka-

nie zastosowali broń bakteriologiczną również na froncie. W gorączce tych sześciu dni zapomniał o to zapytać. Oślepiiony nagłym strachem, sięgnął po omacku po słuchawkę telefoniczną. W tej samej chwili usłyszał przyciszoną rozmowę w przedsionku. Skrzypnęły drzwi.

— Czy mogę wejść, towarzyszu doktorze?

Po głosie poznał kierownika laboratorium. Odłożył słuchawkę i gestem zaprosił tamtego bliżej do stołu. Kierownik laboratorium — człowiek niemłody, niski, o pomarszczonej twarzy usiadł na brzeżku stołka i położył na kolanach płócienną, zieloną teczkę. W milczeniu wyjął z niej kilka spiętych szpilkami arkusików papieru i podsunął je doktorowi. Fukuda, opanowując drżenie palców, odebrał papiery. Czytał wolno, choć z góry wiedział, jaka jest treść każdego zdania. Były to protokoły badań wypadku w Somion.

„Diagnoza patologoanatomiczna“, „Badanie mikroskopowej wyniki badań bakteriologicznych. Przeglądał je punkt po punkcie. Laboratorium przeprowadziło analizy nadzwyczaj skrupulatnie — rezultaty nie mogły podlegać najmniejszej wątpliwości.

Odłożył notatki i spojrzał wyczekująco na kierownika laboratorium. Tamten trzymał już w ręku nowe arkusiki papieru. I te wyniki badań — chodziło o zmarłych w Inczon i znalezione tam skupiska pcheł — były bezsporne. Analizy potwierdzały diagnozę lekarzy: cholera, dżuma...

Ręka trzymająca papiery opadła. Fukuda usłyszał skrzypienie taboretu. Widocznie kierownik laboratorium w pierwszej chwili przestraszył się o

nie go. Podniósł głowę. Zmarszczki na twarzy staro-
go lekarza drgnęły.

— Czy to być może, towarzyszu Fukuda?

— Co? rzucił ostro w odpowiedzi.

Kierownik laboratorium poruszył się nerwowo
na stołku i splatając palce, aż zachrząściło w sta-
wach, pochylił się ku Fukudzie.

— To — wysuniętym podbródkiem wskazał
biurko zavalono papierami. — To wszystko.

— Wątpicie w rezultaty własnej pracy? — gnie-
wnie zapytał Fukuda.

— Co wy... — Kierownik potrząsnął przeczą-
co głową. — Pytam dlatego, że znam rezultaty.
Sam kontrolowałem każdą analizę.

— Więc?

Kierownik laboratorium zagryzł wargi, jakby
zastanawiając się — mówić czy nie. Wreszcie wypa-
lił:

— Nie rozumiem. Nie rozumiem. Ukończyłem
dwa uniwersytety. Jeden w Tokio, drugi w Nowym
Jorku. Kilka lat pracowałem w instytucie medycy-
ny doświadczalnej fundacji Rockefellera. Nie ro-
zumiem. Znam ludzi, znam życie. Więc jakże?

Fukuda słuchał. Zrozumiał, że tamten musi
powiedzieć głośno o tym, co go gnębi. Poczul coś,
jakby satysfakcję — a więc nie tylko on przeżywa
załamanie. Tamten też. Nic to, że przeżycia kie-
rownika laboratorium są inne niż jego, dotyczą in-
nych spraw. To, z czym Fukuda oswoił się już
dawno, dla tamtego było odkryciem.

— Powiedzcie mi, towarzyszu Fukuda, czy to
możliwe? — ciągnął załamującym się głosem kie-
rownik. — Znam tamtych — powtórzył z naci-
skiem. — Przecież to są naukowcy, lekarze. Razem

z nimi ślęczałem nocami nad rzędami probówek, szukałem metod, jak zwalczać choroby... Towarzyszu Fukuda, czy to możliwe, żeby oni., tak strasznie... Przecież to zbrodnia.

Fukuda poczuł się nagle dziwnie spokojny. Cedząc słowa opowiadał kierownikowi laboratorium o trwających od lat amerykańskich przygotowaniach do wojny bakteriologicznej, o tym, co przeżył sam, co widział na własne oczy. W miarę jak padały słowa, twarz tamtego szarzała, kurczyła się, zmarszczki na czole i wokół oczu zagęszczały się, ramiona drgały coraz częściej. Potem zerwał się na równo nogi i przerywając Fukudzie zawołał:

— Ale gdzie kultura? Towarzyszu Fukuda, przecież to są cywilizowani ludzie... Naukowcy!

Fukuda pokiwał głową, jakby litując się nad naiwnością swego rozmówcy.

— Kultura kończy się tam, gdzie zaczyna się faszyzm — powiedział cicho.

Kierownik laboratorium oparł się o ścianę i w zamyśleniu powtórzył ostatnie słowa:

— ...Tam gdzie zaczyna się faszyzm. A myśmy myśleli — dodał z nie tajonym bólem w głosie — że faszyzm już się skończył, że to, co robili faszyci japońscy u nas i w Chinach, to, co robili hitlerowcy w Europie, było już szczytem zbrodni. Ale... — Podszedł do Fukudy tak blisko, że tamten poczuł na twarzy ciepło jego oddechu. — Powiedzcie mi, czy można, czy uda się zapobiec epidemiom?

„Doszliśmy do tego samego pytania — pomyślał Fukuda. — Ja o to pytam siebie od dawna. Od sześciu dni żyję tą jedną myślą. Cóż mam ci odpowiedzieć. Wiara nie jest pewnikiem, jest tylko wia-

ra. Czego chcesz ode mnie? Pocieszenia? Nadziei? Pewności? Trzeba ją znaleźć w sobie. To nie łatwo. Ja sam odnajduję ją i tracę kilka razy dziennie. Ja sam zazdroszczę ludziom tak mocnym i twardym, że nie przeraża ich najokrutniejszy nawet cios. Po co mnie pytasz, po co jątrzysz mój ból. Jakaś dziewczyna pocieszała kogoś, że nienawiść jest najlepszą antytoksyną, że miłość tego, o co się walczy, jest najpewniejszą bronią. Nie, to nie dziewczyna. Miłości uczyła mnie Tanima. Gdzie teraz jest? Co robi? To nieważne. Spełnia to, co jest jej obowiązkiem. I ja też. I ty musisz robić to samo. Jeśli my się załamiemy, co się stanie z człowiekiem, dla którego słowo dżuma oznacza tylko nieodwracalną śmicrć?”

Przestraszył się — a nuż tamten przyjmie jego milczenie za oznakę słabości, za brak wiary... Ale kierownik laboratorium patrzył mu prosto w oczy i czekał.

— To od nas zależy, towarzyszu, od nas. I jeszcze od tego, ile nienawiści i miłości wybuchnie w sercu każdego mieszkańca tego kraju. Rozumiecie mnie? Mocnych ludzi nie złamie nic, a ludzie w tym kraju są bardzo, bardzo mocni. Mocniejsi ode mnie i od was...

Ostry, jękliwy dzwonek przerwał Fukudzie. Sięgnął po słuchawkę. Chwilę słuchał w milczeniu, potem wziął ołówek i na odwrocie ostatniego meldunku zapisał parę hieroglifów,

— Od razu wyślijcie ekipę — powiedział wreszcie i odłożył słuchawkę.

Kierownik laboratorium odsunął się od stołu, rozłożył ręce, spojrział na poplamione odczynnika-

mi palce i poparzone dłonie i bez słowa wyszedł z pokoju.

4

Kiedy stary Czo wyszedł z izolatora, witała go cała wieś. Nie oczekiwał czegoś podobnego. W ciągu długich dni i nocy żył się ze swą samotnością, tak jak i z myślą, że każdej chwili może poczuć ból głowy, mdłości, dreszcze, znamionujące zbliżanie się śmierci. Strach żył w nim niedługo — tylko pierwsze dwa czy trzy dni. Potem oswoił się z codziennymi wizytami lekarza i w jakimś dziwnym otępieniu czekał na słowa, które mogły się stać nieodwracalnym wyrokiem. Śmierci pielęgniarki Kim domyślił się z milczenia lekarza, kiedy zapytał go o jej zdrowie. Gdy lekarz wyszedł, stary Czo zapłakał. Nie z żalu nad sobą, cóż, on stary, słaby, ledwie motykę trzyma w rękach. Ale ona — młoda dziewczyna, która niejednemu żołnierzowi uratowała życie, ona umarła, a on stary Czo, zeschnięty jak badył ryżowy zawieszony na ścianie, on żyje.

W dniu, w którym lekarz z rozpromienioną twarzą oświadczył mu, że będzie zdrow i wkrótce wyjdzie z izolatora, stary Czo znów płakał. Suchą, starczą dłonią ocierał krople łez i siąkał nosem. Gdyby go ktoś w tej chwili zobaczył, pomyślałby może, że stary Czo płacze z radości. I omyliłby się. Stary Czo oplakiwał raz jeszcze dziewczynę, która przez jeden dzień wspólnie spędzony w odciętej od zewnętrznego świata ziemiance, nazywała go ojcem i uczyła, jak trzeba żyć. Stary Czo też wie-

dział, jak trzeba żyć. Czyż to nie on, gdy przyszło wyzwolenie, pierwszy nawoływał do odebrania ziemi obszarnikom. Czyż to nie on wychował trzech synów, którzy poszli, by walczyć za ojczyznę. A jednak przestraszył się choroby. Pełzał po ziemi, skamlał, krzyczał — ze strachu. Czyż więc nie musi wstydzić się przed całą wsią? Powiedzą — stary Czo wysłał synów na front, choć tam śmierć jest częstym gościem, a sam przestraszył się jej, gdy zajrzała do wsi. A przecież nie bał się śmierci, gdy czyhała na niego w gradzie bomb, w płomieniach napalmu. Więc dlaczego przestraszył się śmierci owego wieczoru, gdy usłyszał wypowiedziane przez lekarza słowo „cholera“.

Dziewczyna, która umarła, mogłaby być jego córką. Kto wie, może po wojnie Bon Gi wziąłby ją za żonę. Wstyd było staremu Czo słuchać tego, co mówi młoda dziewczyna. To on ją powinien był pouczać, strofować i pocieszać. Powiadają, że mądrość przodków wstępuje w synów, nic w córki. A okazało się, że ta, która mogła być jego córką, przejęła mądrość przodków, a on — nie. Mówiła mu: „Musisz tak nienawidzić wrogów, by padli śmiertelnie rażeni twoją nienawiścią“. Wtedy dygotał ze strachu i nic jej nie odpowiedział, ale mógłby przecież odeprzeć jej zarzuty. Cóż to -- mało nienawidził wrogów? Prawda, od odejścia Bon Gi na front, od tamtej strasznej nocy, której zginęła żona i najmłodszy synek, załamał się. Wytrwale odpychana starość zwała się nań wielokroć cięższym brzemieniem. Złamany osobistym nieszczęściem, odsunął się od wsi, od ludzi, od życia. Przeżuwał swoją nienawiść, jak bezzębna starucha żuje ziarna ryżu. A trzeba było inaczej, inaczej. Wróca

synowie z frontu i zapytają — coś ty robił, ojcze, by nam pomóc? Co im odpowie? Płakałem i przeklinałem? A oni w tym czasie walczyli, narażali życie!

Wiele spraw przemyślał stary Czo czekając w izolatorze na śmierć. A gdy dowiedział się, że czeka go życie, przestraszył się Jeszcze bardziej. Ludzie pewnie będą się bali podać mu rękę, będą rzucać za nim kamieniami, jeśli zbliży się do ich chat. Kiedyś, gdy jeszcze był dzieckiem, słyszał o pewnym człowieku, który umarł z głodu, gdyż we wsi, kiedy wychodził ze swej chaty, rzucono weń kamieniami. Ludzie bali się go, nazywali „siewcą śmierci”, bo żona jego i dziecko umarły na dżumę. W steranej głowie starego Czo zasłyszana w dzieciństwie historia urosła do rozmiarów symbolu. Ostatnie dwie noce w izolatorze spędził bez snu — dręczyła go myśl, jak powitają go ludzie we wsi? I kiedy w dniu wyjścia z izolatora usłyszał warkot bębnow i jęklive zawodzenie piszczałek, skulił się w kącie ziemianki. Wydało mu się, że tak jak za dawnych lat czeka mnich, który będzie wyganiał demony i potem albo rzuci nań klątwę, albo pozwoli wrócić do wsi. Zapomniał, że we wsi nie ma już od wielu lat szamanów, a stare zabobony odeszły wraz z obszarniczym wyzyskiem.

Wyszedł z izolatora na zeszywniałych ze strachu nogach, z głową wtuloną w ramiona, z oczyma bezmyślnie wlepionymi w oślepiający błękit. Ogłuszył go huk bębnow i głośnie okrzyki. Rozejrzał się zdumiony, zobaczył uśmiechnięte twarze przyjaciół, zawzięcie klaskające dzieciaki. Ktoś potrząsał jego rękami, ktoś ogarniał go ramieniem... Potem usłyszał głos sekretarza partii — spokojny, ci-

chy, kojący. I nagle zrozumiał, jak głupie i próżne były strachy dręczące go przez tyle dni. Jak mógł zapomnieć, że Somion jego starości jest zupełnie inna od Somion z dzieciennych lat.

Nazajutrz zjawił się u sekretarza i twardym głosem zażądał pracy dla siebie. Domagał się, by włączono go do oddziału samoobrony. Na nic się zdało tłumaczenie sekretarza, że Czo jest stary, że dość ma już zasług wobec wsi, musi odpocząć. Najbardziej rozzłościło go, gdy sekretarz wspomniał o trzech synach na froncie. Stary Czo aż zatrząsł się z oburzenia. Właśnie dlatego, że synowie są na froncie, on musi im pomóc. Trzeba pilnować wsi przed nalotami, trzeba teraz pilnować każdego samolotu. Tak, tak, wszystkiego już dowiedział się stary Czo i właśnie dlatego przyszedł. A jeśli sekretarz nie załatwi tej sprawy, pójdzie do Sunczonu, zażąda wcielenia do armii. O tu — dłonią na płask klepał się po piersiach — tu siedzi w nim nienawiść, dusi go. Musi zapłacić Amerykanom. Wstydemu, że tyle czasu siedział sam w swojej ziemiance i nie pracował dla wsi.

Sekretarz uległ. Stary Czo został wcielony do oddziału samoobrony. Późno wieczorem obejmował posterunek obserwacyjny na wzgórzu Siedmiu Cedrów i aż do świtu nasłuchiwał warkotu samolotów. Te jednak omijały wieś i okolice pilnowane przez ludzi Somion.

Dopiero po dziesięciu, dniach usłyszał, że warkot samolotu zbliża się wyraźnie. Wyszedł spod drzewa, szukając w mrocznym niebie śladu nieprzyjaciela. Samolot krążył wysoko. Chwilami zdawało się staremu Czo, że motor warczy wprost nad jego głową. „Może będzie bombardowanie“ —

pomyślał, ale samolot nie wypuścił rakiet świetlnych, zwiastujących nalot. Krążył coraz niżej i niżej. Stary Czo usiłował określić miejsce, nad którym przelatywała maszyna. Chyba gdzieś nad potokiem Srebrnych Kamieni albo trochę bardziej w prawo.

Potem samolot wzbił się wyżej i odleciał. Stary Czo ledwie doczekał świtu i czym prędzej pobiegł do sekretarza. Obudził go i w paru słowach objaśnił, że jakiś samolot dość długo krążył w nocy nad wsią. Sekretarz wysłuchał go uważnie. On też słyszał warkot, ale później zasnął. Nim upłynęło pół godziny, oddział sanitarny i oddział samoobrony wyruszyły na poszukiwanie. Stary Czo szedł z oddziałem sanitarnym. Uważnie oglądał ziemię i drzewa. Trzeba się upewnić, czy „miguk kang do“ ¹⁵ nie zrzucił czego. Może znów jakieś koszyki ze ślimakami albo szczury. Podobno zrzucali już szczury. Stary Czo słyszał o tym od lekarza, który opowiadał, jak należy zwalczać broń bakteriologiczną.

Ostry gwizdek rozdarł ciszę poranka. Gwizdek oznacza alarm. Stary Czo co sił w nogach pośpieszył w stronę potoku Srebrnych Kamieni. W dali między drzewami zobaczył zbiegających się ludzi. Gdy doszedł na miejsce, zobaczył czarną plamę na polance. Zmrużył oczy. Plama wyglądała z daleka jak połyskująca w słońcu, błotnista kałuża o nieregularnych brzegach. Stary Czo chętnie podszedłby bliżej, ale zatrzymał go ostrzegawczy okrzyk jednego z członków oddziału sanitarnego.

— Co to jest? — stary Czo szturchnął łokciem sąsiada Coja. — Nic nie widzę.

— Lepiej, by nasze oczy tego nie widziały — westchnął Coj. — To pchły, a tam dalej, widzisz to

żelazo, to bomba. One pewnie z tej bomby wyla-
zły. *Miguk nom seki*¹⁶ zrzucili tę bombę z pchłami.

— To trzeba je zniszczyć! — zawołał stary
Czo i chciał rzucić się naprzód.

— Zaraz to zrobimy — powstrzymał starego
Coj. — Widzisz, już polewają benzyną.

— Ale oni polewają ziemię, nie pchły — zapro-
testował Czo.

— Nie wolno się zbliżać. Mogą wskoczyć na
ciebie i ugryźć. Kto wie, jaką chorobę mają w brzu-
chach.

— A dlaczego mały Piak i Kan Won Sil pode-
szły, blisko?

— Oni są specjalistami. O, widzisz, chwytają
pchły i wsadzają je do buteleczek. Potem zobaczą,
na co pchły są chore.

Dwaj mężczyźni w ochronnej odzieży schowali
buteleczki do kieszeni i zaczęli teraz łapać pasoży-
ty, które znalazły się na spodniach. Po paru chwi-
lach obaj odeszli i z dala od ludzi zaczęli dezynfe-
kować odzież. Tymczasem chłopci nanieśli gałęzi,
ułożyli je na miejscach polanych benzyną i podpa-
lili. Kałuża pcheł — jak ją w myślach nazwał stary
Czo — znalazła się w środku ognistego kręgu.

Dezynfekcja odzieży trwała dość długo. Ktoś
zażartował, że spirytus wypity podziałałby lepiej
na zdrowie niż użyty do wycierania twarzy, rąk i
odzieży. Ale nikt nie zareagował na ten żart. Wra-
cali do wsi w pochmurnym milczeniu. Stary Czo
szedł obok sekretarza. Tamten kroczył zamyślony.
W pewnej chwili podniósł głowę, zobaczył starego i
uśmiechnął się blade.

— Dziękuję ci, towarzyszu Czo. Dobrze spełni-
łeś swój obowiązek. Kto wie, ilu ludziom uratowa-

łeś życie. Nie wiadomo, czym zarżone byly te pchly.

Tego dnia siary Czo nie wrócił do ziemianki, w której ostatnio mieszkał. Podobnie jak siedmiu pozostałych uczestników wyprawy został izolowany na dziewięć dni. Ale tym razem nie czuł strachu.

5

W tych właśnie trudnych dniach dotarła do Fukudy spózniona tragiczna wiadomość o losie Tanimy. W natłoku zajęć, w wirze ciągłych rozjazdów, w gorączce pierwszych akcji zapobiegawczych myśli o Tanimie ustąpiły na daleki plan. Fukuda nie miał czasu nawet na sen, toteż w kieszeni żołnierskiej bluzy przesiąkał potem nie dokończony list do żony. Czasem siedząc w samochodzie, pędzącym na miejsce kolejnego zrzutu, Fukuda przypominał sobie o liście i przyrzekał w duchu, że w nocy urwie choć kwadrans, by dopisać parę słów, i każe U Pu-kuejowi natychmiast przekazać list na pocztę. Ale już po chwili zapominał o tym, pochłonięty myślami o rezultatach badań i wynikach akcji przeciwbakteriologicznej w terenie.

Dopiero po dwóch tygodniach — gdy we wszystkich prowincjach i okręgach stacje sanitarno-epidemiologiczne działały już zupełnie sprawnie i sytuacja została w zasadzie opanowana — Fukuda ograniczył swoje wyjazdy do minimum. Miał zresztą dość pracy i w centralnym laboratorium, i w Ministerstwie Zdrowia, gdzie pełnił funkcję doradcy. Ogromna machina, uruchomiona w tak krótkim czasie, funkcjonowała bez zarzutu. Obowiązująca w

całym kraju kwarantanna, masowe uświadamianie ludności, liczne ekipy deratyzacyjne — wszystko to zapobiegało szerzeniu się epidemii i skutki wojny bakteriologicznej zmniejszało do minimum. Zachorowania — rzecz jasna — zdarzały się wciąż jeszcze dość często. Nie miały one jednak charakteru masowego i Fukuda wyzbywał się po trochu swoich pierwotnych obaw.

Tego wieczoru usiadł wreszcie w swojej ziemiance i wyciągnął z kieszeni pognieciony list do Tanimy. Przeczytał go ze zdziwieniem. Słowa brzmiały śmiesznie, bezradnie, mówiły o sprawach nieistotnych. Cóż za znaczenie może mieć miłość dwojga ludzi, gdy dokoła szaleje pożar, a śmierć zbiera obfity plon... Zaczął pisać na nowo. *„Śmierć spadła na tę ziemię jak wszechniszcząca burza..”* Nie, tak nie można. Przecież Tanimie też nie jest łatwo. Więc po co dręczyć ją koszmarnymi widziadłami. Trzeba napisać inaczej, tak, by jego list, przyniósł jej ukojenie i uśmiech, nadzieję. Już lepiej zacząć tak, jak pisał w starym liście. *„Wśród burzy, która smaga moje serce i myśli — Twój obraz, Tanimo, jest promieniem słońca, blaskiem tęczy...”* W pośpiechu zapełniał papier rzędami hieroglifów. Słowa płynęły z serca, łatwo układały się w zdania. Nawet te, które mówiły nie o miłości, ale o bólu i rozterce, o rozpacz i śmierci.

Przerwał w pół słowa. Za drzwiami ktoś głośno mówił z U Pu-kuejem. Kto to może być? Czyżby jakaś pilna sprawa? Spojrzał przez ramię na drzwi. Uchyliły się skrzypiąc i do ziemianki wszedł jakiś nieznajomy ochotnik. Fukuda nie dając po sobie poznać, że dziwi go ta spóźniona wizyta, wstał.

Ochotnik zameldował się przepisowo. Nazwisko nic nie powiedziało Fukudzie. Jeszcze bardziej zdziwiło go, gdy przybyły oświadczył, że jest komisarzem batalionu. Dopiero gdy powiedział, że przyjechał z polecenia generała Fu Lina, Fukuda się ożywił.

— Siadajcie, towarzyszu, siadajcie — zaprosił serdecznie. — Pewnie jesteście zmęczeni i zziębnięci. Noc mroźna... U Pu-kuej! — zawołał w stronę drzwi. — Daj nam herbaty, przyjacielu. A może będzie coś zjedli, towarzyszu komisarzu? — zwrócił się znów do nieoczekiwanego gościa.

— Nie, dziękuję, towarzyszu doktorze. Nie jestem głodny.

Głos komisarza brzmiał niepewnie. Fukuda położył to na karb onieśmienia, Odsunął na bok papiery i zapytał gościa o zdrowie Fu Lina. Tamten wiercił się na stołku, miętosił w rękach dużą, futrzaną czapę, bąkał niewyraźnie odpowiedzi. Sprawiał wrażenie chłopca, któremu kazano zabawiać rozmową starszych obcych ludzi. Fukuda najchętniej zapytałby komisarza, w jakiej sprawie przyjechał. Zachowanie tamtego zaczęło go męczyć. Ale przyzwoitość nakazywała czekać cierpliwie, aż gość sam zacznie mówić.

Komisarz nie wziął podanej przez U Pu-kueja filiżanki. Począł, aż żołnierz wyjdzie, i przełknąwszy głośno ślinę wypalił:

— Towarzysz Fu Lin przysłał mnie do was w związku z... — zająknął się, urwał w pół słowa i opuścił głowę.

Fukuda poczuł, że serce zaczyna mu nagle bić wolniej. Ton gościa i zachowanie nie wróżyły nic dobrego. Coś musiało się stać, ale co? Czyżby atak bakteriologiczny na froncie? Nie, to szaleństwo!

Zresztą wtedy wezwano by go natychmiast. Więc może Fu Lin jest ranny, ciężko ranny...

— Czy generałowi coś się stało? — zapytał, uważnie wpatrując się w twarz gościa.

Komisarz jeszcze bardziej się zmieszał.

— Nie, generał jest zdrow i cały, ale...

Teraz *serce zaczęło znów bić* bardzo szybko — jak palce grajka wystukujące skoczny rytm na bębnie. Fukuda czuł to bicie nie tylko w piersi — dusiło w gardle, odbijało się pulsowaniem krwi za uszami. Przymrużył oczy i powiedział ostro, tak, żeby zmusić tamtego do mówienia.

Słucham was, towarzyszu komisarzu.

Gość zatrzepotał powiekami, wykonał rękami jakiś nieokreślony ruch. Czapka spadła na podłogę i potoczyła się pod stół.

— Wasza żona...

Głos komisarza brzmiał cicho, ale Fukudzie wydało się, że gość krzyknął. Przymknął oczy. I od razu je otworzył. Poczul, jak zamiera w nim wszystko. Serce przestało bić, całe ciało zdrętwiało, ręce opadły, w kark wbiły się tysiące drobnych igieł. Trzęsącymi się ustami powiedział:

— Słucham was, towarzyszu...

Chciał powiedzieć to ostro, ale słowa zabrzmiały błagalnie. Jak płacz.

— Wasza żona — powtórzył komisarz, nie patrząc na Fukudę — została prawdopodobnie wzięta do niewoli.

— Co?

Fukuda nie od razu zrozumiał, co mówi komisarz. Czekał na słowo „zabita” i nie usłyszał go. Dopiero po chwili uświadomił sobie, co powiedział komisarz. Tanima w niewoli... Nie, nie może być...

To przecież straszno, stokroć straszniejsze od śmierci. Śmierć kończy wszystko, a niewola...

Nie, nie wolno krzyczeć, nie wolno płakać. Trzeba ukryć swój strach i rozpacz. Trzeba stłumić okrutny ból, który przepala serce i myśli. Trzeba wciągnąć na twarz maskę kamiennego spokoju. Niech nikt nie wie, że w tej chwili doktor Fukuda płacze krwawymi łzami. Trzeba wziąć tę filizankę i wypić łyk herbaty. Ale ręka nie chce się podnieść. Ręka jest kawałkiem drewna. I cały Fukuda jest kawałkiem drewna, bezwolnym, rzuconym w wir rwącej rzeki.

Poszukał oczami spojrzenia komisarza, ale tamten nie patrzył na niego. Siedział z nisko opuszczoną głową i czekał. „Chce mi dać czas, abym się opanował” — pomyślał Fukuda z wdzięcznością. I zdziwił się, że myśli o sobie, o gościu, o rękach — tylko nie o tym, co jest najstraszniejsze...

— Słucham was, towarzyszu.

Tylko te słowa tłukły mu się po głowie. Innych nie umiał w sobie znaleźć. Ostrożnie zbliżył rękę do stołu i przesuając ją powoli, nakrył dłonią swój list. Ten list zostanie już na zawsze przy nim.

Komisarz nie podnosząc głowy zaczął opowiadać. Mówił rzeczowo, po wojskowemu, przedstawiając szczegóły drobiazgowo, jakby bał się opuścić najdrobniejszy fragment zdarzeń owej nocy:

Amerykanie podjęli nagły szturm w kilku punktach. Prawdopodobnie chodziło im nie tyle o zdobycie jakiegoś umocnienia, ile o wywołanie popłochu w szeregach obrońców. Jednym z celów ataku był wysunięty schron na wzgórzu 706. Aby zaskoczyć obrońców wzgórza, szturm nie był po-

przedzony przygotowaniem artyleryjskim. Spory oddział amerykański, korzystając z chmurnej, bezksiężycowej nocy, przedostał się nie zauważony na stok wzgórza. Schron, o który chodziło — tu komisarz nakreślił palcem jakiś szkic na kolanie — został otoczony i nieprzyjaciel otworzył ogień. Przez otwór strzelnicy wrzucono do środka kilka granatów, ogień broni maszynowej zamknął wyjście ze schronu. Kilkuosobowy? garnizon znalazł się w pułapce bez wyjścia. Pech chciał, że tego wieczoru załogę schronu na wzgórzu 703 odwiedziła kobieta — lekarz pułkowy. Komisarz nie wymienił nazwiska, ale po drgnieniu ramion Pukudy pojął, że doktor zrozumiał, o kim mowa. W schronie był także żołnierz koreański, który wspólnie z dwoma ochotnikami miał tej nocy przeprowadzić głębokie rozpoznanie. Gdy żołnierze kompanii broniącej wzgórza 706 rzucili się do przeciwnatarcia, Amerykanie wycofali się pośpiesznie. W zburzonym schronie znaleziono zwęglone zwłoki czterech spośród pięciu ochotników. Nie znaleziono jednego od lotnika, lekarza pułkowego i koreańskiego zwiadowcy. Nad ranem ochotnicy rzucili się do szturm, wyparli Amerykanów z zajmowanych dotąd pozycji na wzgórzu 571. Za nocny wypad Amerykanie zapłacili życiem przeszło pięćdziesięciu swoich żołnierzy. Poza tym wzięto kilkunastu żołnierzy do niewoli. Zeznali oni, że w ataku na schron udało im się schwytać troje ludzi do niewoli.

Komisarz zamilkł, jakby czekając na pytania Fukudy. Ale ten milczał. Siedział kiwając się na stołku i wciąż patrzył na rękę przykrywającą ostatni list do

Tanimy. Nie wszystko, o czym mówił komisarz, dotarło do jego świadomości. Usiłował sobie wyobrazić raną Tanimę wprowadzoną przez Amerykanów do niewoli. Bezskutecznie. Nie mógł zebrać myśli. Żeby ten komisarz już wyszedł. Chciał zostać sam. Zupełnie sam, żeby jakoś ogarnąć ogrom własnej rozpacz.

Gość jakby zrozumiał pragnienie Fukudy. Wstał i opierając rękę o ramię Fukudy, powiedział:

— Ja już idę, towarzyszu. Wracam na front dopiero jutro. Gdybyście mnie potrzebowali, wasz żołnierz znajdzie mnie. A tu — wyciągnął spod watomanej kurtki grubą paczkę papierów — tu są listy do was od żołnierzy naszego pułku.

Fukuda nie podniósł głowy. Usłyszał tylko, jak skrzypnęły drzwi. Wtedy obiema rękami chwycił się za głowę, ścisnął mocno skronie i jęknął. Trwało to мгновение oka. Potem zerwał się i nieprzytomnym wzrokiem potoczył po ziemi. Wydało mu się, że obudził się z koszmaru snu. A śniło mu się, że Tanimę zginęła... nie, nie... znalazła się w niewoli. To był przecież sen. Tylko sen. Nikogo nie ma w pokoju. A list jest. O, Lu, na stole. Właśnie list do niej. A to obok? Też. listy? A więc to nie zły sen. To straszna, nieludzka prawda. Tanimę, Tanimę! Kwiat herbacianej róży. Kwiat jego życia, jego szczęścia — w rękach oprawców. Rana? Może ciężko, może śmiertelnie? Machinalnie sięgnął po pierwszy z kilku pozostawionych przez komisarza listów. Chwilę patrzył bezmyślnie na rzędkę znaków. „Wasza żona to prawdziwa bohaterka, kochaliśmy ją i kochamy wszyscy. Jest dla nas wzorem komunistki, która spełnia obowiązek

nie zważając na niebezpieczeństwo. Pomścimy ją gromiąc wrogów..."

Kto to pisze i po co? Tak się pisze o umarłych. A Tanima przecież żyje! W niewoli, ale żyje. „Jest dla nas wzorem..."

Jest, a nie była! To znaczy, że żyje, choć śmierć jest lepsza od takiego życia. Piszą do niego. Piszą o niej. Kochali ją.

Gorączkowo przerzucał listy. Niektóre czytał po kilka razy. Nie czuł, jak przepływa czas, nie słyszał, jak za drzwiami chrząka czujny U Pu-kuej. Odnajdywał w słowach tych listów — prostych i serdecznych — jakąś siłę, która tłumila łzy i dusiła krzyk rozpacz. Parę z nich schował do kieszeni razem ze swoim nie wysłanym listem. Potem położył się na pryczy i zamknął oczy. Tamci pomszczą. Zabiją stu, dwustu nieprzyjacielskich żołnierzy. A on? Jak on pomści tragedię ukochanej? Jak zapła ci wrogom za jej ból? Zerwał się na równe nogi. Gwałtownie pchnął drzwi. U Pu-kuej siedział w kucki przed wygasłym piecykiem. Za otwartymi drzwiami przedsionka dzień skrzył się szronem osiadłym na gałęziach drzew. Dopiero teraz spojrzął na zegarek. Dochodziła ósma. Zobaczył krzątające się przy wejściu do laboratorium sylwetki znajomych lekarzy.

Ruszył ku nim wolnym, ociężałym krokiem.

ROZDZIAŁ II

1

Dżuma II

Czo Bon Gi pamiętał tylko fragmenty tamtej koszmarnej nocy. Wspomnienie schronu zamykał obraz kobiety z szeroko otwartymi w niemym krzyku ustami. Polom pamiętał strzały. Głuchy łoskot artyleryjskiej kanonady. Tępe uderzenia bułami. Znów pustka. I nagle pojawiał się gładko wygolony lisymilanowski o Cicer o długich, dziewczęco delikatnych dłoniach, w których jak gałąź wierzby kołysała się cienka, metalowa szpicruta. Dalej obrazy były już jaskrawsze, bardziej wypełnione szczegółami: wagon, w którym martwi staliściśnięci ramionami żyjących, wściekły krzyk eskortujących lisynmanowców w odpowiedzi na błagania o wodę, zaduch w głucho zamkniętej barce miotanej falami morza.

Nie został ranny tamtej nocy. Ogłuszył go tylko wybuch. Prawdopodobnie zemdłał i w tym stanie schwytali go nieprzyjaciele. Znacznie gorzej przedstawia się sprawa Hu Czun-tsy. Temu odłamki granatów pokaleczyły twarz i piersi. Czo Bon Gi jak mógł opiekował się ochotnikiem. Mimo że sam po kontuzji ledwie trzymał się na nogach, prowadził rannego, zmieniał mu prowizoryczne opatrunki z podartej w pasy koszuli. Po przybyciu do obozu chciał umieścić Hu Czun-tsy w szpitalu, ale ktoś poradził mu, by lepiej zabrał rannego ze sobą do baraku. Ze szpitala obozowego nie wracał prawie nikt.

Przez trzy pierwsze dni udawało mu się z pomocą towarzyszy niedoli ukrywać Hu Czun-tsy w baraku. Potem zaczęły się selekcje i Czo Bon Gi musiał raz po raz wyprowadzać towarzysza na apele. Na szczęście nie podzielono jeńców według narodowości i obaj zostali przeniesieni do 76 sektom.

Hu Czun-tsy cierpliwie znosił katusze, nie skarżył się i tylko krople potu nagle występujące na czole zdradzały jego cierpienie.

Barak, do którego ich wepchnięto, stał na samym skraju. Niski, brudny, sklecony ze słomy i gałęzi, byle jak oblepiony gliną, nie miał nawet całego dachu. Zresztą baraki przykryte dachami też nie dawały schronienia przed deszczem. W nocy ciasno stłoczeni ogrzewali się nawzajem odrobiną własnego ciepła. Waciaki zabrali im rzekomo do dezynfekcji i tyle je widzieli. Jedzenie — mętną polewkę z ośmiu po stęchłych rybach — dostawali w południe. Nie starczyło tej zupy dla wszystkich, a amerykański wartownik, widząc, jak część ludzi odchodzi od kotła z pustymi menażkami, śmiał się i wołał:

— Zdychajcie prędzej, wtedy starczy żarcia dla wszystkich!

Słowa Amerykanina przetłumaczył jeden z jeńców. W tłumie rozległ się szmer oburzenia. Od razu zjawilo się jeszcze kilku wartowników. Tego, który przetłumaczył, wyciągnięto z baraku i Amerykanin z naszywkami podoficera zastrzelił go w oczach wszystkich. Czo Bon Gi chciał się rzucić na Amerykanów z gołymi rękami, ale towarzysze przytrzymali go. Mieli już za sobą parę tygodni pobytu w niewoli i wiedzieli, że wystarczy jeden nieopatrzny ruch, by zaterkota! pistolet maszynowy.

Bo tygodniu zjawili się w sektorze lisynmanowcy i żołnierze Czang Kai-szeka, Jeńców wzywano na indywidualne rozmowy, z których nie wszyscy wracali, a ci, co wracali, mieli na twarzach i ciałach ślady licznych uderzeń. Hu Czun-tsy z takiej „rozmowy” nie wrócił. Czo Bon Gi przez dwa

dni szukał przyjaciela, wreszcie dowiedział się, że Hu nie wytrzymał badania i został odesłany do szpitala. Czo oddał swoje buty jednemu z lisynmanowskich żołnierzy, w zamian za co tamten obiecał zaprowadzić go do szpitala. Lisynmanowiec okazał się człowiekiem słownym, bo nazajutrz, po dokonanej transakcji, wieczorem zabrał ze sobą Czo Bon Gi.

Szpital mieścił się w takim samym baraku. Chorzy leżeli ściśnięci na gołych pryczach. Od zaduchu i smrodu zakręciło się Czo Bon Gi w głowie. Z trudem odnalazł przyjaciela. Hu Czun-tsy leżał pod ścianą z otworem nazywanym szumnie oknem. Było to miejsce uprzywilejowane i ochotnik otrzymał je dzięki staraniom sanitariuszki. Czo Bon Gi przykucnął obok Hu Czun-tsy, słuchał jego cichych słów. Najbardziej zdumiała go wiadomość, że sanitariuszką, która zadbała o Hu Czun-tsy, była kobieta-lekarz wzięła razem z nimi do niewoli.

— To Japonka — mruknął z nienawiścią. — Nie wierz jej. Oszuka ciebie i zabije.

Hu Czun-tsy spojrział na towarzysza zdziwiony.

— Cóż z tego, że Japonka? Przecież to ochotniczka. Nasza towarzyszka — zaprotestował.

Czo Bon Gi wzruszył pogardliwie ramionami.

— Mówię ci: nie wierz Japonce. To podły naród. Zabijają ludzi. Zapytaj któregokolwiek z nas, a opowie ci setki historii o okrucieństwie diabłów z Nippon.

Zobaczył, że Hu Czun-tsy gwałtownie się poruszył, nie chcąc więc denerwować przyjaciela postanowił zmienić temat, Po paru minutach lisynmanowiec wywołał Czo Bon Gi. Każdej chwili mogli przyjść Amerykanie, a wtedy dostałby za swoje.

Obiecał jednak, że jutro znów pomoże Czo przedostać się do szpitala.

Za czwartą czy piątą wizytą Czo Bon Gi zobaczył Tanimę. Wychudzona, z czołem owiniętym przybrudzonym bandażem, wydała mu się inna, niż zapamiętał ją z przelotnego spotkania w schronie. Było w niej coś bliskiego. Ale nie podał jej ręki. Nie odpowiedział nawet na powitanie. W milczeniu słuchał, jak szeptem rozmawia z Hu Czun-tsy. Nie rozumiał ani słowa, to nastrajało go do niej jeszcze bardziej wrogo. W myślach winił ją za swój los. Japończycy zawsze przynosili nieszczęście Korei. Uczepił się tej myśli i kiedy Tanima odeszła wezwana ostrym okrzykiem dyżurnego wartownika, powiedział o tym przyjacielowi.

Hu Czun-tsy spojrział nań z gniewem.

--- Ty nie jesteś komunista, Czo Bon Gi — oświadczył z trudem dobierając koreańskie słowa. — Ty jesteś ciemny chłop. To nie ona, to my jesteśmy winni, że Amerykanie podeszli nas znienacka. Nasz dowódca, towarzysz Juan Czun-lin uczył nas czujności, a myśmy sądzili, że w naszym skalnym schronie jest bezpiecznie i spokojnie. To nas zgnębiło. A ta towarzyszka, to wspaniałały człowiek.

Szeptem opowiedział Koreańczykowi to, co słyszał o Tanimie. Czo Bon Gi wysłuchał przyjaciela, ale przy następnym spotkaniu z lekarką odniósł się do niej tak samo — pogardliwie i z niechęcią. Dopiero gdy Tanima powiedziała, że za dwa, trzy dni Hu Czun-tsy będzie mógł wyjść ze szpitala, Czo ożywił się trochę i spojrział na nią przychylniej. Kiedy Tanima odeszła, Czo zapytał przyjaciela:

— A jak ona dostała się do szpitala?

— Przypadek. Tuż przed naszym przyjazdem do obozu umarła tu sanitariuszka. W sektorze nie było kobiet, więc wybór padł na nią. Tylko nie mów nikomu, że ona jest lekarzem. Od razu zabraliby ją do karceru. Tu nie wolno ludzi leczyć, a ona kradnie dla nas lekarstwa. Dziś też dwóch rannych wyszło już ze szpitala.

Wychodząc z baraku, Czo Bon Gi zerknął za przepierzenie. Zobaczył Tanimę przy stoliku zarzuconym zakrwawionymi bandażami. Z małej miseczki buchała para, a ręce Tanimy czerwone i spierzchnięte zaciekle tarły brudne zwoje gazy.

2

Myśl, która nie odstępowała Czo Bon Gi, od chwili gdy owej nocy ocknął się z omdlenia i poczuł na nogach i ramionach sznury, myśl, która nie dawała mu zasnąć w jenieckim baraku, miała na imię — *ucieczka*. Rosło w nim pragnienie ucieczki z każdym dniem spędzonym w obozie. Przebiegał między barakami, laził w pobliżu potrójnego pasa drutów kolczastych, siadał w kucki opodal bramy wejściowej godzinami obserwując zachowanie strażników. Kiedy jeden z lisynmanowców poklepał go po ramieniu i powiedział „Ty jesteś wariat” — Czo Bon Gi nawet się ucieszył. Opinia „pomyłonego” oznaczała — przynajmniej na razie — pewną ulgę w reżimie obozowym. Siadał Czo Bon Gi niedaleko wieży wartowniczej szczerzącej kły karabinów maszynowych i patrzył. Nikt go nie przepędzał. Wiadomo — „wariat”. A Czo Bon Gi wypatrywał, szukał słabych punktów w ochronie

obożu. Może zerwie się gdzieś gęsta siatka z drutu kolczastego, może w nocy zgasną reflektory, może...

Kombinacji i możliwości mogło być dziesiątki — na razie jednak nie było żadnej. Czo Bon Gi celowo nie mówił Hu Czun-tsy o swoich planach. Postanowił naradzić się z przyjacielem, kiedy tamten wyjdzie ze szpitala. A tymczasem Czo szukał współników. Wybór jego padł na dwóch żołnierzy. Co sprawiło, że na nich właśnie zwrócił uwagę — tego Czo sam nie wiedział. Może stało się tak dlatego, że tamci dwaj wciąż trzymali się razem, pomagali sobie nawzajem? Ale chyba nie — w obozie ludzie zbliżali się szybko, znacznie prędzej i łatwiej niż na wolności. Swoją swego węchem wyczuwa.

Któregoś wieczoru — działo się to pod koniec drugiego tygodnia pobytu w obozie — do baraku wpadło kilkunastu żołnierzy amerykańskich i tyluż lisynmanowców. Jeńców chwymano za nogi, wleczono po ziemi do drzwi, bito kolbami karabinów. Amerykanie strzelali do gwiazd zagląających przez dziurawy dach. Czo Bon Gi wlażł w ką. Udało mu się. Tego wieczoru z baraku uprowadzono połowę jeńców. Kilku z nich wróciło po dwóch dniach. Zmasakrowane twarze mówiły o przeżyciach minionych godzin. Na piersiach jeńców widniał świeży tatuaż. Czarne litery między krwawymi zgrubieniami po uderzeniach drucianą szpicrutą. Jednym z tych, co wrócili napiętnowani, był młodszy, z dwóch żołnierzy upatrzonych przez Czo na współników ucieczki. Drugi, którego nie zabrali lisynmanowcy, zajął się od razu kolegą, odrobiną wody z nie wyschłej kałuży obmył mu twarz, na-

karmił swoją porcją stęchłej kaszy wydanej na kolację.

W nocy Czo Bon Gi usłyszał szeptem prowadzoną rozmowę. W baraku po ostatnich selekcjach i pogromach zrobiło się luźniej. Ostrożnie, by nie zwrócić uwagi czającego się gdzieś za drzwiami szpicla, przeczołgał się tam, skąd dochodził szept. Nie zmylił go wyostrzony słuch zwiadowcy. Rozmawiali tamci dwaj. Gdy Czo bezszelestnie dopełził do nich i cichutkim chrząknięciem zwrócił na siebie uwagę, ten, którego ominęła krwawa rozprawa, chwycił go za gardło.

— Czego wieszysz? — wyszeptał.

Czo nie przestraszył się.

— Chcę z wami pogadać — odpowiedział odrywając palce tamtego od swojej szyi. — Wcale nie wieszę.

Rozmowa skończyła się dopiero nad ranem. Tamci dwaj też myśleli o ucieczce. Chodziło więc o ustalenie planu i rozpoczęcie przygotowań. A zawsze lepiej jest myśleć o czymś we trójkę niż w pojedynkę. Jedno drzewo to tylko jedno drzewo, ale kilka drzew, to już zarodek lasu.

W parę dni później do baraku wrócił Hu Czun-tsy. Poruszał się jeszcze z trudem, ale czuł się znacznie lepiej. Czo Bon Gi zapoznał go ze swymi nowymi przyjaciółmi i zawiadomił o zamiarze ucieczki. Chińczyk pokiwał w milczeniu głową i westchnął. Do rana nie powiedział ani słowa, choć Czo Bon Gi wciąż go nagabywał.

Dopiero następnej nocy, gdy wszyscy wokół usnęli, Hu Czun-tsy trącił Czo i szeptem opowiedział mu, że i Tanima szuka możliwości ucieczki. Gdy Czo zrozumiał, że przyjaciel mówi o japoń-

skiej lekarce, zatkał uszy. Nie chce nawet słyszeć jej imienia. Ta kobieta jest zwiastunem nieszczęść. Nie pomagały perswazje Hu Czun-tsy — Czo jak maniak powtarzał „nie i nie”. Wtedy Chińczyk oświadczył, że bez Tanimy nie ruszy w drogę. Tej nocy nie ustalili żadnego planu. A nazajutrz wypadki potoczyły się nowym torem.

Wkrótce po rannym apelu do Hu Czun-tsy podszedł jakiś jeńiec i odwołał go na stronę. Czo Bon Gi korciło, by pójść za przyjacielem, ale nie ośmielił się tego uczynić. Hu Czun-tsy wrócił po godzinie. Czo zrozumiał od razu, że coś musiało się stać. Twarz Hu zszarzała, a blizny po ranach nabrzmiały czerwienią. Chińczyk przykucnął obok Czo i obejrzawszy się dokoła powiedział cicho:

— W nocy Amerykanie zastrzyknęli siedmiu ludziom dżumę.

Ze zdenerwowania Ku mylił wyrazy chińskie i koreańskie i Czo nie rozumiał, o co chodzi. Z pomocą przyszedł przyjaciel tatuowanego, znający dobrze język chiński. Ale i teraz Czo nie mógł pojąć, co się stało. Dżuma to choroba — jak można zastrzyknąć chorobę?

— Zastryk — tłumaczył Hu Czun-tsy. — Wpuszcili im do krwi dżumę... Wypędzili jeńców z karnego baraku i zrobili tam jeszcze jeden szpital. Taki od dżumy. Położyli tam tych siedmiu zarażonych i kilkunastu rannych.

Dowiedział się o tym od Tanimy, którą w nocy przeniesiono do nowego „szpitala”. To właśnie ona przysłała po niego i powiedziała o wszystkim.

— Jeżeli tak dalej pójdzie — oświadczył Hu Czun-tsy — wymordują nas wszystkich. Kogo nie zastrzelą, tego zatrują chorobą. Trzeba coś zrobić.

Ale co? Czo Bon Gi gwałtownie chwycił ustami powietrze i wyrzucał z siebie wszystkie znane przekleństwa. Tatuowany żołnierz w milczeniu gryzł wargi. Jego przyjaciel odezwał się pierwszy:

— Trzeba uciekać. Lepiej niech nas zastrzela w drodze. Ja nie chcę choroby.

Hu Czun-tsy zaprzeczył ruchem głowy:

— A inni? My uciekniemy, ale inni.

— Trzeba zorganizować bunt — wybuchnął tatuowany.

— Głupi jesteś. — Żołnierz obruszył się na kolegę. — Co nam da bunt? Nowe ofiary. Słyszałeś, co było w sektorze 70. Tam też ludzie się zbuntowali. I co? Pięćdziesiąt trupów na miejscu. A ilu potem zamęczyli w karcerach i parnikach?

— Lepiej zginąć w walce — twardo odpowiedział tatuowany. — Lżej jest umierać idąc na spotkanie wroga, niż czekając, aż przyjdzie i zakłuje.

Rozmawiali po koreańsku, Hu Czun-tsy nie wiedząc, o czym mówią, czekał w milczeniu. Gdy mu przetłumaczono całą rozmowę, przychylił się do zdania tatuowanego. Może bunt jeńców nastraszy Amerykanów?... Przyjaciel tatuowanego po długich perswazjach zgodził się wziąć udział w przygotowaniach. Po godzinie w sektorze 76 jeńcy zaczęli się zbierać w gromadach. Straszna wiadomość obleciała wszystkie baraki. Paru szpiegów poleciało do dowództwa obozu, by uprzedzić, że jeńcy coś szykują. Gdy w kilkanaście minut potem na wieży strażniczej zawyła syrena alarmowa i na drodze za drutami kolczastymi zawarczały samochody pancerne, jeńcy stali stopieni w potężny, groźny tłum. Przez otwartą bramę wjechały dwie ciężarówki z żołnierzami amerykańskimi. Wysoki

oficer w białym kasku stanął na stopniu i coś krzyknął. Towarzyszający mu tłumacz powtórzył rozkaz po koreańsku i po chińsku.

— Rozejść się natychmiast! Oczyszczyć plac! Wszyscy do baraków! Za dwie minuty karabiny maszynowe otworzą ogień!

Tłum jeńców zafalował. Ale nikt się nie cofnął. W obozie zapanowała nagle cisza wypełniona jedynie pokasującym warkotem samochodów pancernych. Oficer ostentacyjnie spojrział na zegarek.

— Została jeszcze minuta! — krzyknął tłumacz.

Tłum jeńców drgnął. Zabrzmiał miody, drżący z podniecenia głos:

— Nie chcemy dżumy! Dosyć morderstw!

Setki ust powtórzyło okrzyk. Oficer schylił się ku tłumaczowi, potem pokiwał głową i coś mu powiedział.

— Pan kapitan każe się rozejść! — zawołał tłumacz. — Czerwoni was podburzyli. W obozie nie ma dżumy! Amerykańskie dowództwo dba o zdrowie jeńców. Wczoraj otworzono nowy szpital. Komuniści oszukują koreańskich żołnierzy.

Ostatnie słowa tłumacza zagłuszył pełen wściekłości i gniewu ryk jeńców. Krzyczeli wszyscy. Każdy co innego. Potem krzyk zaczął się ściszać i gdzieś ze środka gromady wypląnęła melodia pieśni. Ludzie jeden za drugim podejmowali ją, aż buchnęła jednolitym akordem. Tłum zafalował — przesunął się o krok... drugi... wreszcie trzeci w stronę ciężarówek. Oficer błyskawicznie skrył się w kabinie szofera i samochody powoli zaczęły się cofać. Jednocześnie zaterkotały karabiny maszynowe ustawione nad dachami szoferek. Parę postaci w tłumie jeńców osunęło się na ziemię. Pieśń urwa

ła się na chwilę. W nagłej ciszy znów zagdał krótką serią karabin maszynowy. Zachrzęściła boczna szyba w kabinie, rozbita rzuconym z tłumy kamieniem. I znów z setek piersi wyrwała się melodia pieśni — podobna do huku fal bijących w przybrzeżne skały. Karabinom maszynowym na ciężarówkach zawtórowało szczekanie kaemów z wież strażniczych. Potem załomotały wybuchy granatów. Nad ziemią rozwichrzyły się fontanny dymu — gęste, jak obłoki pełzające po niebie. Tłum jeńców zachybotał rozsypał się. Za białym całunom gazu ciemno sylwetki miotały się na wszystkie strony. Ostatni karabin maszynowy zachłysnął się jeszcze jedną — najkrótszą serią. Plac obozowy był pusty.

3

Tanima słyszała i pomruk melodii, i łoskot wystrzałów. Chciała wybiec z mrocznego, naprędce zamienionego na szpital baraku, ale wartownik ukryty w izolowanej przybudówce wymownym gestem wysunął lufę karabinu. Cofnęła się. Nie wiedziała, co zaszło w obozie, a równocześnie czuła, że dzieje się coś ważnego, coś, co wymaga i jej obecności. Ale była więźniem. Szczególnie boleśnie odczuła to w tej właśnie chwili. Od wczoraj, od chwili gdy w szpitalu obozowym zjawił się wysoki, rudowłosy Amerykanin, stała się więźniem podwójnie. Mało, że od życia odcięły ją kolczaste druty obozu jenieckiego — od wczoraj została odcięta od towarzyszy niewoli.

Podśluchiwała rozmowę prowadzoną przez rudego Amerykanina z lekarzem obozowym, odwiedza-

jącym szpital co *trzy* dni. Nie krępowala ich jej obecność. Nie wiedzieli przecież, że zna angielski.

Gdy zrozumiała cel wizyty rudego, zamarło w niej serce. Rudy kazał natychmiast zorganizować „szpital zakaźny”. Tak to określił. W pierwszej chwili zdziwiło to Tanimę. Przecież w sektorze 76 nie było zakaźnie chorych. Ale dalsze słowa rudego wyjaśniły, co rozumie przez określenie „szpital zakaźny”. Tego rodzaju „szpitale” znajdowały się we wszystkich obozach. Dokonywano w nich nieludzkich prób zaszczepiania ludziom dżumy. Rudy pracował w „centrum”, które jak mogła się domyślić z przebiegu rozmowy, mieściło się w jednym z sąsiednich sektorów.

Potem rudy zwrócił uwagę i na nią, Tanima musiała mocno zacisnąć zęby i pięści, by nie krzyknąć, nie dać po sobie poznać, że dotarł do niej sens obraźliwych uwag. Zachowując kamienną twarz stała w drzwiach „dyżurki”. Każde słowo rudego było policzkiem — tym boleśniejszym, że trzeba go było kwitować głupim uśmiechem dziewczyny, która nic a nic nie pojmuje.

W parę godzin później Tanimę wezwano do schludnego baraku zbudowanego dla strażników. Nie pozwolono jej zejść ze szmaty na progu. Tłumacz oświadczył, że zostaje przeniesiona do nowego szpitala, gdzie będzie posługaczką. Musi wykonywać wszystkie rozkazy, w przeciwnym wypadku zostanie wychłostana i skazana na trzy dni „parnika”. Była to jedna z najokrutniejszych tortur — niewielki karcer, w którym panowała temperatura powyżej sześćdziesięciu stopni. Co parę godzin w zalepionym gliną okienku ukazywał się gumowy wąż plujący wrzątkiem i parą.

Tej pierwszej nocy do nowego szpitala przyniesiono siedmiu rannych. Zjawili się dwaj amerykańscy lekarze. Tanima musiała asystować przy zastrzykach. Potem przyprowadzono jeszcze kilkunastu rannych i położono ich obok pierwszych siedmiu. Kilku nowym zastrzyknięto szczepionki przeciwdżumowe.

Nad ranem udało się Tanimie wyjść na chwilę przed barak. Korzystając z nieuwagi wartownika opowiedziała o wszystkim jednemu z kręcących się opodal jeńców i poprosiła, by odszukał Hu Czun-tsy i powtórzył mu jej słowa. Wiedziała, że ryzykuje. Jeśli jeniec okaże się szpiclem i powie komuś o tym, co od niej usłyszał — grozi jej śmierć. Zbyt wiele słyszała od Fukudy o sprawach broni bakteriologicznej, by nie zrozumieć w lot, co przedsięwzięli Amerykanie.

Gdy usłyszała krzyki, daleki śpiew i wystrzały, przyszło jej na myśl, że może to mieć związek z informacją przekazaną dla Hu Czun-tsy. Nie sądziła, by można było w obozie cokolwiek uczynić, a już tym bardziej zorganizować jakąś akcję w tak krótkim czasie. Pomyślała, że chyba odbywa się kolejna selekcja jeńców.

Wróciła do chorych. Zadowolona z nieobecności lekarzy, spróbowała wejść do ich dyżurki, ale na głucho zamknięte drzwi nie dały się otworzyć. Obeszła wszystkich siedmiu zarażonych. Jeden z nich bredził nieprzytomny. Dała mu odrobinę wody. Ranni, którym nie wstrzyknięto bakterii, leżeli cicho, nie rozumiejąc, co się stało, dlaczego przeniesiono właśnie ich z brudnego szpitala do tego baraku, w którym zamiast nagich prycz czekała na nich pościel. Jedno słowo Tanimy zburzyłoby ich

spokój i złudne poczucie pomyślnego zwrotu w ich losach. Tanima nie chciała im tego słowa powie-
dzieć. Postara się ukraść trochę szczepionek i w
odpowiedniej chwili, gdy będzie sama, zrobi ran-
nym zastrzyki. Nie pomyślała, że reakcja po szczep-
ieniu zdradzi ją przed lekarzami.

Przykucnęła w kącie na stercie ryżowej słomy. Oparła czoło o stulone pięści. Gdyby była sama — zapłakałaby. Nie, nie nad swoją niedolą, ale nad swą słabością. Cóż z tego, że jest lekarzem. Oto siedzi wśród chorych bezradna i bezsilna. Nie może podejść do żadnego z nich i powiedzieć: „Nie martw się, towarzyszu, moja w tym głowa, żebyś wyszedł stąd zdrów”. Może być tylko niemym świadkiem ich katuszy. Dziś w nocy zacznie się tu piekło. Ludzie skazani na śmierć będą się miotać w malignie, ciała ich przeniknie okrutny ból. Stokroć okrutniejszy niż ten, który wgryza się teraz w serce Tanimy. Potem przyjdzie śmierć. O, gdyby tu był Fukudu — jej jedyny, najsilniejszy na całym świecie, Takeo. On umie zwalczać te straszno choroby, umie — tylko on jeden — obracać wniwecz plany zbrodni. — On — na pewno, na pewno — znalazłby i tu wyjście z sytuacji, uratowałby niewinnych skazańców.

„Takeo, mój złoty Takeo, gdybyś mógł zjawić się tu choć na chwilę, przelać we mnie choć odrobinę swoich umiejętności i sił. Chcę poczuć na policzku twardą szorstkość twojej dłoni. Posłuchać, jak spokojnie bije twoje serce. Usłyszeć twój głos — cichy, łagodny jak szmer potoku biegnącego po zboczach Fudzi. Posłyszeć słowa, od których krew szybciej krąży w żyłach. Być z tobą, z tobą... przez chwilę.“

Ścisnęła pięściami skronie. Co za nieprzytomne myśli. Co za szaleństwo. Jakże może chcieć, by Takeo, jej Takeo, znalazł się tu, w tym strasznym obozie, w tym okropnym baraku, którego przestrzeń wypełnia śmierć. Nie, po stokroć nie. Ale czy go zobaczy, czy spojrzy choć raz jeszcze w jego oczy?

Co teraz Takeo może robić? Gdzie jest? Pewnie w tym swoim szpitalu kończy wieczorny obchód. Zatrzymuje się przy każdym łóżku. Stroskany ogląda tych, których stan jest ciężki, uśmiechem pociesza swoich pacjentów... Tu też są chorzy... Do nich nikt nie przyjdzie z uśmiechem i słowem nadziei na ustach. Do nich przyjdą bestie do ludzi podobne, by wzmocnić dawkę śmierci, by przyspieszyć śmierć.

Czy Takeo już wie, co się z nią stało? Może opłakuje jej śmierć, nie wiedząc, że życie — to, na które została skazana — jest tysiąckroć gorsze od śmierci. A może jeszcze mu nic nie powiedziano? Może denerwuje się brakiem listu od niej? Ile to już czasu minęło od ich spotkania w Phenianie? Przeszło miesiąc. Jak to długo. A zdawać by się mogło, że dopiero wczoraj... na wpół zburzona altanka i leniwy Tedongan daleko w dole toczący swe wody, i przytłumiony poszum miasta... Nie, wszystko to było dawno, bardzo dawno temu. W innym życiu, do którego nie ma powrotu...

Brutalne pchnięcie omal nie przewróciło Tanimy. Natychmiast wróciła jej świadomość czasu i otoczenia. Mocno przetarła pięściami oczy. Niech myśla, że się zdrzemnęła. Czerwono oczy można mieć z niewyspania. Posłusznie wstała nie podnosząc głowy. Widziała tylko nogi lekarza i biel

ochronnej odzieży. Bała się unieść twarz, by nic odczytał w jej oczach smutku i bólu. Ale lekarz pchnął ją raz jeszcze i rzucił jedno z obraźliwych określeń po angielsku. Pomyślała: „Gdyby znał chiński, powiedziała by jej to same wstrętne słowa i cieszyłby się, że pojmuje ich obraźliwą treść“.

Kazali jej napalić *w* piecu. Szybko przyniosła gałęzie i drwa przygotowane w kącie baraku. Rozpałała ogień powoli, nie chcąc uronić ani słowa rozmowy Amerykanów.

Starszy lekarz palił papierosa, młodszy siedział nad mikroskopem.

— I co? — powiedział młodszy odrywając się od okularu. — Zamknęli im pyski?

— Mhm. Dwudziestu siedmiu położyli trupem. Rannych *wywieziono* do specjalnego obozu.

— A co oni krzyczeli?

— Że protestują, że dżuma... No sam wiesz... Ciekawe, skąd się dowiedzieli. Żółte świny. Przez takie bydło muszę gnąć w tym śmierdzącym obozie. Niech to diabli.

— Myślałem już, że każą nam zwinąć manatki i zlikwidować ten interes — mruknął młodszy.

Tanima wciąż siedziała skulona przed piecem. Drżącymi rękami podrzucała do ognia drwa. A więc to me była selekcja. To był bunt jeńców. Dwudziestu siedmiu zabitych... Tyle ofiar. I wszystko na próżno. Nic nie powstrzyma zbrodniarzy. Ukradkiem zerknęła na obu lekarzy. Z jaką rozkoszą wbiłaby w ich żyły igłę, przez którą można wsąć śmierć.

— No, chodź. Obejrzymy naszych pacjentów — zaśmiał się starszy lekarz. — Powinien się już za-

cząć stan ostry. Zastrzyknąłem im przecież tę nową mieszankę. Na próbę.

Gdy przechodzili obok, Tanima wtuliła głowę w ramiona. Owładnął nią nagle strach. Przemożny, nieustępliwy, przygniótł ją jak lawina, wypełnił piersi dzikim trzepotaniem serca.

4

Nazajutrz po krwawo stłumionym buncie jeńców przeprowadzono nową selekcję. Wśród kilkudziesięciu jej ofiar znalazł się również przyjaciel tatuowanego. Hu

Czun-tsy i Czo Bon Gi i tym razem mieli szczęście. Po „obiedzie“ spotkali się z tatuowanym i znów zaczęli radzić nad planem ucieczki. Zgodzili się, że trzeba natychmiast coś przedsięwziąć. Każdy dzień zwłoki utrudniał realizację zamiaru. Gorzej, że wszystkie plany, po pobieżnej nawet analizie, okazywały się nierealne.

Czo Bon Gi twierdził, że najważniejsza sprawa to przedostać się za druty. Nikt z nich w to nie wątpił. Wprawdzie tatuowany obawiał się również dalszej drogi, ale tam jakoś się może poszczęści. Tylko jak się wyrwać z obozu?

Hu Czun-tsy słuchał raczej, niż mówił. Teraz zabrakło jeńca, który pełnił funkcję tłumacza, i Hu Czun-tsy z trudem łapał myśli towarzyszy. Wreszcie powoli dobierając i wymawiając wyrazy przedstawił swój plan.

W tak zwanej drugiej części obozu, gdzie znajdowały się mieszkania wartowników i zabudowania pomocnicze, stały również baraki przeznaczone dla

lisynmanowców i grupy wojskowych Czang Kajsze. W tamtych barakach odbywały się „rozmowy“ i „przesłuchania“, kończące się zabójstwem lub zmasakrowaniem jeńców. Hu Czun-tsy, opierając się na obserwacjach Czo, uważał, że przed wieczornym apelem można przeniknąć do drugiej części obozu. Lisynmanowcy używają niektórych jeńców do osobistych posług. Gdyby to się udało, zaczęją się i w nocy zlikwidują kilku lisynmanowców, których mundury pozwalały wychodzić z obozu przez całą dobę. Hu uważał, że plan jest w zasadzie realny. Główna trudność polega jednak nie tylko na tym, by zdobyć mundury i przebrać się, ale by dowiedzieć się hasła przy bramie obozu.

Czo Bon Gi tak się zapalił do projektu Hu, że żądał natychmiastowego przystąpienia do akcji. Już on, doświadczony zwiadowca, potrafi tak podejść lisynmanowców, że ani mrugną przenosząc się między duchy przodków. Hu Czun-tsy ostudził jednak jego zapał. Nie można nic przedsięwziąć tak pochopnie. Trzeba wyczekać parę dni, aż lisynmanowcy, przerażeni wczorajszym buntem, uspokoją się, staną się mniej czujni. Poza tym Hu stanowczo sprzeciwił się ucieczce bez Taninry. Nie pomogły protesty Czo Bon. Gi. Chińczyk był nieubłagany.

— Jeśli chcecie — oświadczył — możecie uciekać sami. Ja bez niej się nie ruszę.

Wiadomość o tym, że mają zabrać ze sobą kobietę, nie zachwyciła również tatuowanego. Nic stawał jednak sprzeciwu. Powiedział tylko, że zdobycie czterech mundurów nie jest zadaniem łatwym.

Rozeszli się, aby nie wzbudzać podejrzeń. Czo Bon Gi powłókł się w stronę „drugiej połowy“. Z

głupawym uśmiechem na twarzy przykucnął obok ścieżki, patykiem mącąc wodę w kałuży.

— Ty, głupi — usłyszał okrzyk. — Jeszcze tu jesteś?

Podskoczył i wyprężył się na baczność. Obok stał lisymanowiec, który ułatwiał mu widzenia, z Hu Czun-tsy.

— Jestem, panie naczelniku — służalczo odparł Czo krzyżując ręce na piersi i kłaniając się głęboko. — Niechaj zdrowie pana naczelnika będzie mocne i trwałe jak Diamentowe Góry, niechaj oczy pana naczelnika napełni po brzegi słońce...

Lisymanowiec słuchał zadowolony pozdrowień Czo. Wreszcie przerwał mu skinieniem ręki i z dobrotliwym uśmiechem powiedział:

— Głupi jesteś, a mądrze gadasz. Dostaniesz za to miseczkę kaszy. Chodź.

Czo potulnie ruszył za lisymanowcem. Nikt nie przypuściłby nawet, że głupawy jeniec uważnie obserwuje wszystko, co się wokoło dzieje. Spojrzeniem ogarniał wejścia do baraków i ich mieszkańców. Nie zapominał o kłanianiu się każdemu przechodzącemu lisymanowcowi.

Żołnierz zaprowadził go do drugiego baraku mieszkalnego. W izbie panował nieporządek. Pościel była rozrzucona, na matach stały nie zmyte naczynia. Czo, nie pytając o pozwolenie, z miejsca zabrał się do sprząwania. Lisymanowiec przyglądał się w milczeniu, jak Czo układa kołdry i poduszki, jak zbiera naczynia, zwija maty.

— Czy mogę je wytrzepać? — zapytał Czo, jakby zajmowanie się matami sprawiało mu największą przyjemność.

Lisynmanowiec chrząknął na znak zgody. Czo wybiegł na dwór i długo potrząsał matami. Kiedy wrócił, lisynmanowiec grzebał się w stercie brudnej bielizny zwalonej w kącie izby.

— Zaniesiesz to wszystko do piania — powiedział prostując się. — Wiesz, gdzie jest pralnia? Trzeci barak. Znajdziesz. Potem przyjdiesz tu i będziesz na mnie czekał. Tu w saganku jest trochę kaszy. Możesz ją zeżreć. No! — wrzasnął widząc, że Czo wciąż jeszcze stoi w miejscu — ruszaj się, bo ci łeb roztrzaskam!

Czo odniósł bieliznę do pralni. Gdy wrócił, zastał w izbie swojego protektora i jeszcze jednego lisynmanowca. Musiał rozpalić ogień w kanie, przynieść wodę. Lisynmanowcy jedli i pili kpiąc z niezaradności, z jaką obsługiwał im przy posiłku. Kazali mu wylać resztę zupy do naczynia z pomyjami.

-- Pewnie chciałbyś zeżreć — rechotał nieznanomy żołdak. — Nie, bratku, brzuch by ci napęczniał, zrobiłbyś się ociężały i nie chciał pracować. Nie!

Obaj wyszli na ganek, a jemu kazali sprzątać naczynia i przygotować posłanie do snu. Czo wyzyskał tę chwilę. Ścielać kołdry, ściągnął żołnierską bluzę rzuconą za kuferek i ukrył ją w spodniach.

Lisynmanowiec pożegnał go kopniakiem i kazał jutro rano zgłosić się do roboty. Czo z trudem ukrył zadowolenie. Parę takich dni ułatwi ucieczkę.

— Słucham pana naczelnika — schylił pokornie głowę. — A czy mnie pozwolą tu wejść?

— Powiesz, że pracujesz dla pana Lima. Rozumiesz, ty głupi?

— Powiem, że pracuję dla czcigodnego pana Lima — odparł Czo.

— No to idź precz, bo już patrzeć nie mogę na twoją głupią gębę. A pamiętaj, żebyś mi nie kradł. Twój poprzednik poszedł na szubienicę za to, że ukradł mi skarpetki. Chodź tu. Ukradłeś co? Eh! — machnął ręką. — Za głupi jesteś na to. Idź precz.

ROZDZIAŁ III

1

Melodia uciekała, Crosby przekręcił nieco gałkę regulującą barwę tonu. Daleko, przytłumiony trzaskami, zawodził kobiecy głos. Jeszcze jeden obrót gałką. Teraz lepiej. Słyszać coraz wyraźniej i muzykę, i śpiew. Nawet słowa można rozróżnić. Zanik trwał krótko i melodia wróciła, zanim śpiewaczka przeszła do refrenu. Crosby stał obok aparatu i przytupując nogą w takt powolnego foxa, nucił słowa:

Jestem diabłem, jestem diabłem, który burzy w sercu twoim krew...

Lubił tę piosenkę, choć na ogół wolał gorący rytm szybkich tańców. Pomyślał, że dawno, bardzo dawno już nie sunął po parkiecie, mocno trzymając w ramionach ładną kobietę. Zaśmiał się do własnych myśli i westchnął — ale bez żalu. Teraz nie czas na tańce ani na zabawy. Nawet radia rzadko słucha. Czasu, czasu nie starczy na wszystko. Ot, choćby teraz. Gdyby nie ta piosenka, nie wstałby od biurka, nie zwróciłby uwagi na to, co szemrze w

odbiorniku. Przecież często pracuje przy włączonym radiu.

Ciekawe, jak też wygląda ta śpiewaczka. Głos ma namiętny, dobywający się skądś z bardzo głęboka. Powinna być brunetką, o smagłej twarzy, wiotkich rękach nerwowo trzepoczących w takt melodii. Długa, czarna suknia ściśle opinająca smukłą sylwetkę, błysk białych zębów...

Jestem diabłem, jestem diabłem...

Przyszło mu nagle do głowy, że tak właśnie, tymi samymi słowami mógłby śpiewać o sobie. Niedawno jeden ze znajomych, dowódca pułku lotniczego, który postanowiono włączyć do akcji „suprop“, powiedział mu:

— Wszystko to diabelnie śmierdząca historia, a ty, Bob, mówisz o tym z taką satysfakcją, jakbyś był co najmniej pułkownikiem z piekła.

Małoduszny głupiec. Cóż on rozumie z tych doniosłych spraw dziejących się w obecnej wojnie. Niech gada, że Crosby jest diabłem. Kiedyś diabłami straszono ludzi, aby utrzymać ich w pokorze. Skoro nie stało tej pokory, skoro ludzie przestali wierzyć w piekło, trzeba znaleźć środek zastępczy. Jak to mówi Otomura? „Aby władać ludźmi, trzeba rządzić ich śmiercią.“ Mądre słowa. Ten skośnooki czart ma rację.

Crosby roześmiał się głośno. I Otomura jest diabłem. Wszyscy, którymi kieruje Crosby, mają w sobie coś z szatanów. Ale oni nie burzą kiwi, jak ta mała w radio, oni zatruwają krew. Rządzą śmiercią, dawkują ją według swojej woli. I nic nie pomoże gadanie jednego czy drugiego mięczaka, który boi

się lśniących bomb naładowanych bakteriami. On, Crosby, gardzi takimi. Ameryce potrzebni są ludzie mocni, ludzie o stalowych nerwach i kamiennych sercach. Trzeba wyzwolić żołnierzy spod władzy tego, co małodusznie nazywają sumieniem. Trzeba ich nauczyć zabijać wszystko i wszystkich w imię wielkości Ameryki.

Nie, nikt nie może mu zarzucić słabości. Nie wzruszy go błysk strachu w oczach doświadczonego lotnika, któremu wydają rozkaz — rzuć bombę bakteriologiczną. Przecież każda taka bomba przybliża, zwycięstwo. Czyje? Cóż z tego, że będzie to i jego osobiste zwycięstwo. „*My business is my fatherland*“¹⁷. Tak rozumuje każdy trzeźwy człowiek, a on, Crosby, jest na szczęście wolny od sentymentów. W ciągu ostatnich kilku miesięcy firma „*Crosby, Smuthers, Parker and Crosby*“ zapisała na konto swych zysków sumy sięgające dziesiątków milionów dolarów. Więc może w imię jakiegoś wymyślonego przez głupców humanitaryzmu winien zrzec się tych zysków? Może w imię tego humanitaryzmu Ameryka winna zrzec się wszystkich swoich zdobyczy? Głupcy! Całe szczęście, że historię tworzą nie oni, ale tacy ludzie jak Crosby.

Ostatnio tony melodii utonęły w grzmocie okłasków, krzyków, gwizdów. Zmarszczył się. O, to jest motłoch. Zachłystuje się wszystkim, co mu się umiejętnie podsunie. Kiedy słyszą piosenkę o „wuju atomie“, wyją z radości. Przyjdzie czas i na piosenki o „ciotce dżumie“. I też będą szaleli z uciechy. Już on się postara, żeby takie piosenki śpiewano we wszystkich „music - hallach“. Przecież skończy się wreszcie okres głuchej tajemni-

cy, a wtedy on, Crosby, stanie się bohaterem i ulubienicem Ameryki.

Wyłączył radio i wrócił do biurka. Siadając zawadził łokciem o stertę papierów. Sztywny, biały karton wysunął się ze stosu kopert i szyfrowanych meldunków. Zaproszenie do generała Douglasa. Wrzucił je do kosza. Nie pójdzie na żadne przyjęcie, zwłaszcza do tego nadętego fanfarona. Niech sobie zaprasza pastorów i z nimi prowadzi dysputy o tym, jak długo wędruje dusza do raju. Crosby nie wybiera się na razie w tę podróż, a jutro rano musi złożyć naczelnemu dowódcy raport o dotychczasowych rezultatach akcji „suprop“.

Otworzył blaszankę z piwem, nappełnił szeroki, porcelanowy kubek i opróżnił go jednym haustem. Potem odsapnął i starł z mapy kroplę piany. Pozostała mała, nieregularna, żółta plamka — niby góra wyrosła wśród błękitu mórz.

Na czym się zatrzymał? Aha! Radiogram od agenta GT-74. Gdzie to może być? No tak, Sinyj-dzu. Co komunikuje? W ciągu czternastu dni w zleconym rejonie wykryto siedem bomb. Zaraz, zaraz. Spojrzał na mapę. Tu miał oznaczone wszystkie rzuty. Siedem bomb. Zaklął z satysfakcją. Zrzucano dziesięć. Jedno z dwojga — albo pozostałych trzech komuniści nie znaleźli, albo agent jest głupi i niczego się o nich nie dowiedział. A może jedno i drugie. Przysunął bliżej radiogram nadany wczoraj w nocy. GT-74 informował również o liczbie zachorowań. Trzy wypadki dżumy, jeden — cholery i kilkunastu chorych na tyfus. Mało, mało! Crosby postukał pięścią w stół. Na dziesięć bomb dwudziestu chorych — toż to kpiny.

Dżuma II

Przerzucał teraz w pośpiechu radiogramy i na starannie porubrykowanym arkuszu notował dane cyfrowe. Meldunki nie były zbyt pocieszające. Zresztą było ich niewiele. Mniej, niż. Crosby oczekiwał.

Niewątpliwie mieli trudną robotę. Koreańscy wyłapywali szpiegów szybko i zręcznie, a przecież Crosby musi wszystkiego się dowiedzieć. Ważny jest każdy szczegół: i miejsce zrzutu, i czas, kiedy został wykryty, i liczba zachorowań. To już drugi dwutygodniowy raport, jaki Crosby szykuje dla naczelnego. I znów będzie wiele niezapełnionych rubryk. Dowódca schyli nad nimi głowę, zmarszczy nos i będzie mruczał:

— Żle, Crosby, źle. Rzucamy bomby na ślepo. Żle, Crosby, źle.

I co można mu na to odpowiedzieć? Że rezultaty są z pewnością niezmiernie poważne, że w Północnej Korei szerzą się z zastraszającą szybkością epidemie, że dżuma kosi ludzi. Mówić tak można, ale ani dowódca w to nie uwierzy, ani jemu od tego nie będzie lżej. Trzeba jednak będzie postawić stanowcze żądanie jak najszybszego przejścia do drugiej fazy „suprop”. Zrzutów należy dokonywać więcej i częściej. Miesiąc próbnych bombardowań — z tego sobie Crosby zdawał sprawę — nie przyniósł zbyt pomyślnych wyników. Nie mógł zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. Nie wątpił w skuteczność bomb bakteriologicznych. Każda z nich zawierała potężny koncentrat śmiertelnych mikrobów. W szczepienia ochronne, o których zawiadamiali agenci, nie bardzo wierzył. Skąd te dzikusy wezmą tyle surowicy, ile trzeba, by zaszczepić całą ludność. Zresztą szczepionki nie dają

pełnej gwarancji. A organizacja obrony przeciwepidemicznej? Śmieszne. Koreańczycy mają tak mało lekarzy specjalistów. Chińczycy — ci dysponują doświadczeniem jeszcze z czasów wojny z Japonią — ale to wszystko powinno się załamać wobec rozmachu akcji „suprop“. Trzeba ją stanowczo spotęgować. Przeciąć półwysep pasmem śmierci. Nie żałować bomb.

Uśmiechnął się. Bomb jest pod dostatkiem. Firma „Crosby, Smuthers, Parker and Crosby“ nie zawiedzie. A mizerne rezultaty dotychczasowych zrzutów nie świadczą wcale o niepowodzeniu. Agenci nie wszędzie mogą dotrzeć, nie wszystko wywęszyć. Stanowczo nie ma powodu, by wpadać w zły humor.

Włączył mikrofon i powiedział tonem żartobliwego wyrzutu:

— Mikey, zapomniałeś o mnie czy co. Już czas na podwieczorek, głodny jestem jak sto diabłów.

— Rozkaz, pułkowniku — usłyszał w odpowiedzi dziarski głos adiutanta. — Za chwilę przyniosę przekąskę.

W oczekiwaniu na adiutanta Crosby otworzył teczkę z meldunkami o lotach bakteriologicznych. Na razie było ich niewiele, dwa, trzy, czasem pięć na dobę. Zmarszczył czoło pod wpływem nagłego rozdrażnienia. Żeby już prędzej zrealizowano jego plan. Wtedy czarna teczka z napisem „Suprop — F“ byłaby codziennie wypchana szyfrówkami, a załączona mapa pokryłaby się gęsto kolorowymi krzyżykami. Zielone — cholera, żółte — dżuma, czerwone — tyfus. Jak dotąd, krzyżyki na mapie można było bez trudu policzyć.

Przeczytał szyfrówkę z K-8. Wczorajszej nocy dwa loty. Jeden samolot zrzucił cztery bomby z muchami zarażonymi tyfusem, drugi dwie — napelnione zadżumionymi pchłami. Sięgnął po czerwony ołówek. Dwa krzyżyki w okolicy Mensan, dwa w pobliżu Kanuon. Teraz kolej na żółte. Obie bomby spadły w pobliżu wioski Somion. Gdzie to może być? Sprawdził raz jeszcze w szyfrówce. Na wschód od Sunczonu. Język można połknąć, zanim się wydusi z gardła te dzikie nazwy...

Do gabinetu wszedł Miksey, a za nim żołnierz z tacą przykrytą białą jak śnieg serwetką. Crosby uniósł wzrok znad mapy i roztargnionym spojrzeniem przebiegł po uśmiechniętej twarzy adiutanta.

— Dobrze, dobrze, Mikry. Postawcie to tam — mruknął wskazując niski, prostokątny stolik pod ścianą i znów schylił się nad mapą.

O czym to myślał, zanim wszedł adiutant? Aha, o zrzutach dżumy. Zaraz, zaraz. Jak się to miasto nazywa? Sunczon. Gdzie już słyszał tę nazwę? Usiłował sobie przypomnieć i pocierał kciukiem czoło. No tak, jakże mógł zapomnieć. Właśnie Sunczon. To Dodge mówił mu o tej dziurze. Tamten teren podlega przecież siatce Mary.

Poczuł, jak mu serce zaczyna bić przyśpieszonym tętnem. Mary, Mary... Miesięczna rozłaka nie wyzwoliła go spod czaru tej dziewczyny. Wystarczy, by o niej wspomniał, a twarz zalewa mu gęsty rumieniec, ramiona opadają, dłonie drętwieją.

Ostrożnie, jak chłopiec, który boi się, że go ktoś przyłapie na gorącym uczynku, otworzył boczną szufladę. Na samym wierzchu leżało zdjęcie roześmianej Mary — wiosennej i pięknej. Ilekroć patrzył na tę fotografię, budził się w nim głuchy

zał — dlaczego? Dlaczego poszła tam, na tę przeklętą północ. Dlaczego ni© została z nim tu, obok...

Ileż chwil poświęcił jej w ciągu miesięcznej rozłąki. Czasami łapał się, że myśli o niej jak o kimś, kogo nigdy już nie zobaczy. Wtedy dzwonił do Dodge'a i udając, że nie dostrzega ironii w jego głosie, natarczywie domagał się dokładnych wiadomości o Mary. W zeszłym tygodniu słyszał jej głos, rozmawiał z nią. Naturalnie nie o tym, co czuje i przeżywa. Drżącym z podniecenia głosem wydawał jej dyspozycje, żądał wyczerpujących melodunków. Kto wie, czy poznała go, czy jeszcze pamięta. Przecież to zimna dziewczyna — zimna jak głaz.

A może to i lepiej się stało, że pojechała „tam“. Nie miał się po co ludzić. Nie czuła do niego nic, a on... za bardzo stracił dla niej głowę. Nawet teraz nie może opanować jakiegoś wewnętrznego dygotania... Zatrzasnął czym prędzej szufladę, zerwał się z fotela i przeszedł parę razy po pokoju. Nawet nie spojrzął na zastawiony stolik. Nie będzie teraz jadł. Niech Mikey zabierze to wszystko do diabła.

Jestem diabłem, jestem *diabłem*, który burzy w sercu twoim krew...

Przypomniała mu się ta piosenka nagle. Stał przy oknie, nucąc pod nosem zapamiętane słowa refrenu. W zapadającym mroku zobaczył sylwetkę żołnierza opierającego się o wiotki pień drzewa bambusowego. Jezdnią szedł zgięty wpół człowiek wlokąc na sznurze ciężki wóz załadowany jakimiś workami. Z tyłu wsparci rękami w poprzeczną deskę posuwali się dwaj pomocnicy. Crosby patrzył na nich z odrazą. Bydłeta. Oto funkcja właściwa dla

tych dzikusów — spełniać obowiązki koni i wołów. Batem, batem ich trzeba smagać, by spokornieli do końca, by nie myśleli o niczym prócz żarcia i snu.

A Mary? — ukuła go nagła refleksja. Przecież Mary jest jedną z nich. Przecież gdyby nie to, że ojciec Mary ma miliony w amerykańskich bankach, i ona wlokłaby się po ulicy jak tamta kobieta z dzieckiem przytroczonym na plecach. Nerwowo potarł dłonie. Może Dodge ma rację. Mary to taka sama dzikuska jak wszyscy w tym kraju, tyle że wytwornie ubrana i pokryta naskórkiem cywilizacji. Tylko naskórkiem. A podrapać mocniej — naskórek zlezie i okaże się pod nim zwykła brudna koreańska dziewczka.

Zapalił papierosa. Gdyby mógł wyrzucić ją z pamięci albo zmieszać z błotem tak, by wzbudzić w swym sercu nienawiść do niej. Teraz wydaje mu się, że jej nienawidzi, ale wystarczy zerknąć na fotografię, by serce znów zabiło żywiej i mocniej. Nie, Mary nie jest ani brudna, ani dzika. Jest po prostu inna niż on i jego znajomi. No... jest Koreanka.

Zniechęcony wrócił do biurka. Gwałtownie odepchnął stertę papierów. Usiadł wygodnie, przechylił głowę na oparcie fotela, nogi wyrzucił prosto przed siebie, aż z hukiem upadło krzesło. Nie będzie więcej myślał o Mary. Co za głupota. Dość już tych westchnień i udręczeń. Zabawił się z nią i dość. Nie ma, nie powinno być żadnej Mary — jest tylko Koreanka, która przybrała angielskie imię. I nawet już je straciła. Powinien pozostać tylko agent GMT-31.

Późnym wieczorem w gabinecie Crosby'ego za-
terkotał telefon. Dzwonił Dodge. Po krótkiej wy-

mianie grzecznościowych słówek Dodge zaprosił Crosby'ego do siebie.

— Oczekuję dziś kilku meldunków, Bob. Przyjdź zaraz, może być coś ciekawego.

Crosby nieraz już przesiadywał u Dodge'a podczas przyjmowania raportów od agentów wysłanych na północ. Nie zdziwiła go więc wcale ta propozycja, a że był trochę zmęczony i sprawozdanie dla naczelnego dowódcy w zasadzie już zakończył, obiecał, że zjawi się przed północą. Bez pośpiechu wypełnił ostatnie rubryki meldunków, poskładał mapy, uporządkował papiery w teczkach. Wszystko to schował w potężnych rozmiarów kasie pancernej. Zwolnił Mikeya i wsiadając do samochodu, kazał się odwieźć do biura Dodge'a.

Wydział specjalny „Suprop — S“ rozlokował się w sporym budynku na krańcach Tegu. Wysoki mur zakończony siatką z drutów kolczastych strzegł tajemnic domu przed spojrzeniem przypadkowego przechodnia. Wzdłuż muru przechadzali się zandarmi. Szum nadjeżdżającego samochodu zaalarmował wartowników. Gdy Crosby wysiadł, zmierzając do bramy ukrytej w murze, jeden z nich błysnął mu w oczy latarką. Crosby zaklął i pokazał przepustkę. Wartownik jeszcze raz zaświecił latarką i mruczając coś pod nosem, przepuścił spóźnionego gościa.

Dodge czekał na Crosby'ego w pokoju, który szumnie nazywał salonem. Siedział przy stole układając skomplikowanego pasjansa. Minę miał wyraźnie znudzoną.

— Nareszcie — przywitał Crosby'ego mocnym uściskiem dłoni. — Siedzę tu jak głupi i czekam.

Dżuma II

— Przecież nie na mnie. — Crosby wzruszył ramionami i przysunął sobie krzesło. — No jak? Wychodzi?

— Naturalnie — wyłożył trzy karty. — Dama do dwójki, szóstka do siódemki, a ten as przyda się na potem. W życiu, Bob, tak jak w kartach atuty przydają się pod koniec rozgrywki.

— O, widzę, żeś się stał filozofem. Nie bardzo ci z tym do twarzy.

— Mój drogi Bob. — Usta Dodge'a wykrzywił ironiczny grymas. — Zawdzięczam to tylko tobie.

— Mnie?

Dodge nie odpowiadając wstał, wydobyl z szafy butelkę whisky, syfon i dwie szklanki. Stawiając je, zgarnął ze stołu karty.

— Napijesz się?

— Chętnie.

Płyn zabulgotał, syfon strzyknął strugą wody. Brzęknęły szklanki. Dodge wypił szybko i jeszcze raz napełnił swoją szklankę. Crosby sączył napój powoli, w zamyśleniu. Dodge parsknął śmiechem.

— No, proszę. Nawet teraz. Siedzisz, żłopiesz whisky jak starsza dama i milczysz. I spróbuj człowieku nie stać się w twoim towarzystwie filozofem. Jakaś ty to powiedział — miłość czyni człowieka szlachetnym? Bzdura, Bob. Nic udawaj szlachetnego. Z miłością czy bez. Przecież my się znamy jak tresowane konie Barnuma. Robimy to, co trzeba robić.

Crosby wciąż milczał. Wiedział — jeśli odpowie, wywiąże się spór, a tego chciał uniknąć. Dodge lubi walić prosto do celu. Kijem, siekierą, belką. Aż

dziw bierze, w jaki sposób dostał się do takiej służby wymagającej maskowania się, dyplomacji.

Ale dziś wieczór Dodge też nie miał widać nastroju do kłótni. Zniechęcony machnął ręką i wypił whisky.

— Twoja ptaszyna będzie dziś na antenie — mruknął wpijając się spojrzeniem w twarz Crosby'ego.

Crosby drgnął. Usiłował za wszelką cenę opanować się, zachować zewnętrzny spokój, ale Dodge zauważył już zmianę w jego twarzy.

— Ho, ho, oszukałeś mnie. — Poklepał się z zadowoleniem po kolanach. — Krzyczałeś, że masz już dość tej małej, nazywałaś ją ścierką, żółtym smrodem...

— Dodge... — Crosby zerwał się i pochylił nad stołem zaciskając palce na ciemnym blacie.

Dodge założył nogę na nogę i kołysząc się wraz z krzesłem przechylnym do tyłu i zawieszonym na dwóch tylnych nóżkach, pogwizdywał.

— To nie moje słowa — odezwał się, gdy rumieniec gniewu na policzkach Crosby'ego zbladł. — Sam tak mówiłeś. Zresztą nie moja sprawa. Wierzę, że ci to przejdzie jak choroba. W tym przeklętym kraju lęgną się różne choroby. Kto wie, może ty jako ich dysponent przypadkowo zapadłeś na najmniej szkodliwą. Hm?

Milczenie trwało dłuższą chwilę. Wreszcie Dodge zdecydował się je przerwać. Innym niż dotychczas tonem zaczął:

— Złapaliśmy jednego żółtka. Przed paru dniami. Wpadł w oko jednemu z naszych sojuszników w Suwonie. Ktoś go poznał. Jakiś kapitan z tych żółtków, naszych naturalnie, chciał się wy-

różnić. Zamiast wyczekać, powąchać, wysledzić — raz, dwa i aresztował go. Dwa dni robili z niego sieczkę. Te dzikusy mają sposoby, a kapitanek sporo lat przesłużył u Japończyków. Ale tamtemu nie mogli dać rady. Odesłali go więc tutaj do centrali, a Joe, wiesz chyba który? — Dodge uśmiechnął się złośliwie. — Twój poprzednik od Mary, ten generał z gębą rzezimieszka. No, no, już nic więcej nie gadam — zachichotał Dodge widząc, że Crosby zagryza wargi. — Joe jest dobrym specjalistą. Żeby Syngman Ree miał takich więcej, łatwiej by tu było zaprowadzić porządek. Ale żółtki albo umieją kraść, albo łążą za dziwkami. Pozostali są przeciw nam...

— Miałeś opowiadać o jakimś złapanym szpiegu — przerwał mu *ostro* Crosby.

— Miałem — mruknął niezadowolony Dodge. — Na czym to ja skończyłem? Aha... Więc Joe wziął go osobiście w obroty. Przez *parę* dni kurowali go, żeby choć mógł gadać. Sam Joe go przesłuchiwał. Gość pary z ust nie puszcza. A wiesz przecież — u czerwonych, jak który milczy, to znaczy, że coś wie. Pościągali prowokatorów z Suwonu, może któryś pomoże wywęszyć. Znaleźli wreszcie mieszkanie tego draba, posłali szpiclów. Udało się schwytać jeszcze jednego. Też partyzant. Ale miał słabszy charakter. Jak mu zrobili łaźnię, zaczął świergotać. No i... — Dodge przerwał, napełnił szklankę nową porcją whisky i nie dolewając wody sodowej, opróżnił ją dwoma łykami.

Crosby poruszył się na krześle. Historia ujętego partyzanta zainteresowała go, a Dodge urwał w najbardziej frapującym momencie.

— Gadaj już dalej — syknął zniecierpliwiony.

Zanim jednak Dodge wrócił do opowiadania, otworzyły się drzwi i sierżant radiotelegrafista zameldował:

— Proszę do kabiny, pułkowniku! Złapaliśmy sygnały wywoławcze GT-19!

Dodge wstał i nie czekając na Crosby'ego ruszył za sierżantem. We trójkę weszli do pokoju na końcu korytarza, Siedzieli już tam dwaj koreańscy oficerowie ze słuchawkami na uszach. Sierżant podał słuchawki obu pułkownikom. Dodge siadając obok aparatu wyciągnął z kieszeni klucze szyfru. Jeden rozłożył przed sobą, drugi podsunął Crosby'emu.

Dłuższą chwilę w słuchawkach rozlegał się jedynie daleki szum przerywany trzaskami. Crosby przymknął oczy. Monotonny szum wlewał się w uszy senną melodią. Ziewnął. Właściwie cała ta historia jest nudna, słuchawki uwierają i może je śmiało zdjąć. I tak nie zrozumie ani słowa i będzie musiał czekać, aż Koreańczyk mu przetłumaczy. Co go tu sprowadziło? Mógł pojechać do klubu, do restauracji, do przyjaciół z brygady lotnictwa wspierającego, do kolegów w sztabie, do wesołych dziewcząt ze służby pomocniczej. Dlaczego więc przyjął zaproszenie Dodge'a i siedzi teraz w tym ciasnym, dusznym pokoju. Nikt nie wie lepiej od niego samego, po co tu przyjechał, czemu przyjeżdżał tu już parę razy, dlaczego nie zdejmuje przyciasnych słuchawek. Ciągnęła go tu nadzieja, że zaraz, może za sekundę, może za pół godziny usłyszy znajomy głos, poczuje gwałtowne bicie serca. Teraz też siedzi i czeka — a nuż odezwie się ona.

Dżuma II

W słuchawkach zacharczało, trzaskanie zabrzmiało głośniejsze, potem rozległ się przeciągły pisk — t-o narastający, to ścichający. Crosby zobaczył, jak pochylili się nad przełącznikami sierżant i obaj Koreańczycy. Pierwszych słów domyślił się. Daleki głos nawoływał, żądał potwierdzenia odbioru. Zapaliła się czerwona lampka. Jeden z Koreańczyków wołał coś do mikrofonu. Parę chwil przerwy i ochryply głos znów zadudnił w uszach. Crosby nie mógł nawet złapać dźwięków, tak szybko tamten mówił. Zniecierpliwiony ściągnął jeden nausznik i tracił kolanem Koreańczyka. Oficer nie odwracając się pokiwał potakująco głową i potrząsnął ręką jakby wstrzymując Crosby'ego przed mówieniem. Drugą ręką szybko stawiał dziwaczne znaczki na umocowanym do pulpitu papierze. Dopiero kiedy drugi Koreańczyk dał mu znak ledwie dostrzegalnym poruszeniem głowy, obejrzał się i raz po raz zerkając do notatek zaczął mówić po angielsku.

— Mówi GT-19. Rejon KMW. Trzy serie po dwa. Jedna — cztery. Zielone: pięć zapalek, trzy papierosy. Żółte: osiem zapalek, dwanaście papierosów.

Crosby nawet nie musiał zaglądać do klucza. Meldunek agenta GT-19 był suchy i rzeczowy. Sprawdził tylko, co oznacza rejon KMW. No tak, to wschodnie wybrzeże. GT-19 działa w okolicy Kanuon — Munczhon — Wonsan. Zawiadamia, że były cztery zrzuty. Trzy po dwie bomby i jeden — cztery bomby. Ciekawe, ilu bomb jeszcze nie wykryto? A z zachorowaniami nie jest wcale tak źle. Pięciu zmarłych i trzech chorych na cholera, ośmiu zmarłych i dwunastu chorych na dżumę. Rzecz nie do pogardzenia. A ilu jeszcze zachoruje?

Koreańczyk znów zaczął tłumaczyć meldunek. Crosby słuchał niezbyt uważnie. I tak otrzyma jutro rano stenogram. Postanowił od razu po powrocie do domu uzupełnić raport dla naczelnego dowódcy. Rejon KMW można będzie podać jako poważne ognisko epidemii. Zrzuty musiały się udać, może parę bomb spadło na brzeg rzeki albo wprost do wody. Źródło zatrucia bardzo istotne.

W słuchawkach znów jednostajny szum. Odbiór skończony. Poczul na sobie czyjeś spojrzenie. Podniósł uśmiechniętą twarz. Dodge mrugał porozumiewawczo.

— Dobre wyniki, co?

— Bardzo dobre — z zadowoleniem oświadczył Crosby.

— Poczekaj. Mamy umówione na dzisiejszą noc jeszcze trzy meldunki — przysunął się bliżej, pochylił i wprost do ucha Crosby'emu wyszeptał. — Radzę ci poczekać.

Tym razem Crosby nie dał po sobie poznać, jak podziały nań słowa Dodge'a. Pomogła mu w tym czerwona sygnalizacyjna lampka, zapalona przez sierżanta. Wskazówka dużego, elektrycznego zegara zatrzymała się na czwórce. Crosby poprawił słuchawki. Trzaski, huk, strzępy melodii i znów monotony szum. Plecy sierżanta zgięte łukiem nad deską rozdzielczą odbiornika.

Sygnal wywoławczy GMT-31 zabrzmiał w słuchawkach dopiero kwadrans po pierwszej. Kiedy Crosby zamiast oczekiwanego głosu Mary usłyszał głos mężczyzny — przed oczyma zaczęły mu latać czerwone platy. Jak to? Przecież GMT-31 to ona. Więc co? Nieszczęście? Schwymano ją? Kiedy? Nie zrozumiał, co mówi tłumacz. Oszołomiony, zdru-

zgotany, siedział bezmyślnie wpatrzony w plecy sierżanta. Nie ma Mary. To nie jej głos. Kto wie, może w tej właśnie chwili leży w zimnym lochu więziennym, a może prowadzą ją na badanie, będą bić, chłostać, kaleczyć jej piękne ciało. Choć nie, czerwoni nie biją, ale... Trzeba się opanować, trzeba dowiedzieć się szczegółów. Ogromnym wysiłkiem woli zmusił się do słuchania Koreańczyka.

— Proszę powtórzyć od początku — mruknął półgłosem.

W oczach Koreańczyka przemknął cień zdziwienia, ale trwało to ułamek sekundy i Crosby nawet tego nie zauważył.

— Nadaje GMT-31. Rejon NMS. Cztery serie...

Crosby z trudem powstrzymał się, by nie krzyknąć. Co go to obchodzi. Zrzuty, efekt... To nieważne w tej chwili. Nic nie jest ważne prócz tego, gdzie jest Mary, co się z nią stało? Zobaczył, że Dodge obserwuje go z ironicznym uśmiechem. Machinalnie zaczął notować. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że Koreańczyk już milczy. Bał się jednak podnieść twarz. Teraz tłumaczy drugi. Co, co?

I nagle ulga. A więc nic złego się nie stało. To nie Mary aresztowano. Czerwoni nakryli jedną komórkę i Mary pojechała poszukać nowych kontaktów. Crosby'emu wydało się, że Koreańczyk powtarzając słowa agenta uśmiecha się bezczelnie. Zaciśnął pięść i odchylił rękę, jakby zamierzał trzasnąć nią w grube, mięsiste wargi. Powstrzymał się w ostatniej chwili. Ale Koreańczyk mu siał wyczytać coś w jego twarzy, bo odsunął się z krzesłem i podniósł dłoń zasłaniając twarz. Crosby popatrzył

na niego pogardliwie — tchórz, szkoda na niego pięści. Niecierpliwie czekał zakończenia odbioru. Wyszedł za Dodgem nie podając Koreańczykom ręki. Pożegnał się tylko z sierżantem.

Dodge przechadzał się po pokoju nie kryjąc zdenerwowania. Crosby usiadł wygodnie i pocierał dłonią czerwone, odcisnięte nausznikiem ucho. W gruncie rzeczy cieszyła go irytacja Dodge'a. Zbyt często tamten miał okazję obserwować jego słabość — niech raz przynajmniej sytuacja będzie odwrotna.

— Czego latasz jak zaszczuty wilk? — mruknął z przekąsem.

Dodge zatrzymał się w pół kroku i rzucił Crosby'emu posępne spojrzenie.

— A ciebie to cieszy — warknął. — Ciebie obchodzi tylko ta dziwka. I te przeklęte bakterie. Urządziłeś się diabelnie wygodnie. Siedzisz za biurkiem i wydajesz komendy, a inni niech głowę łamią.

Crosby zapalił papierosa i z nie zmaconym spokojem obserwował, jak z kłębow dymu układają się dziwaczne wzory. Nie, teraz go żadne złośliwości Dodge'a nie dotkną.

A Dodge wciąż biegał po pokoju, potrząsając rękami i wyrzucając słowa z szybkością karabinu maszynowego.

— Znowu trzech ludzi straciliśmy. Znowu. Codziennie ze strachem siadam przy odbiorniku. Ilu się nie odezwie? Dziś to jeszcze pół biedy. Czerwoni nakryli siatkę miejscową. Ale zrozum, człowieku, zrozum. W ciągu miesiąca straciłem połowę wysłanych agentów. Jak tak dalej pójdzie, za miesiąc nic nie będziemy wiedzieli o tym, co się tam

dzieje. Leb mi pęka. Skąd mam wziąć ludzi? O zwykłego, śmierdzącego szpiega trudno, a co dopiero o agenta do specjalnej roboty.

— Może źle płacisz? — z udanym współczuciem wtrącił Crosby.

Dodge znów zaklął.

— Ja źle płacę? Potrójna stawka! Nawet dolary dostają. A tych miejscowych papierków całe worki. Bob, zrozum, nasze żółtki boją się, umierają ze strachu, kiedy im każą fruwać na północ. Gotowi są zadźgać własnych ojców, byle zwolnić ich od tej roboty. Takich jak ta mała mogę policzyć na palcach jednej ręki.

— Każdy by się bał.

Twarz Dodge'a pociemniała z gniewu.

— Każdy?... No tak, ty byś się bał. Schowałeś się za te swoje bomby i kpisz sobie ze wszystkiego. A jeśli jutro nie dostarczę ci meldunków, powiesz: „Dodge jest idiota, nie wykonuje rozkazów”. Tak? A może byś się sam zajął tą akcją?

Crosby postanowił udobruchać kolegę. Przeciągać struny nie wolno. Dodge jest mu tak samo potrzebny, jak on Dodge'owi.

— Nie wściekaj się, stary — powiedział po koleżeńsku i wstał. — Przecież wiem, że to nie twoja wina. Zawsze tam kogoś znajdziemy. Jak na razie jeszcze nigdzie szuj nie zabrakło.

Dodge zmęczony wybuchem przysiadł na skraju stołu. Drżącą ręką chwycił butelkę i napełnił szklanekę. Nie wypił jednak, tylko potrzymał chwilę, spoglądając pod światło na mieniący się żółtymi blaskami płyn. Crosby nalał porcję whisky dla siebie, dolał wody sodowej i uniósł szklanekę zapraszając Dodge'a do wypicia.

— Pij, stary. Dzisiejsze komunikaty są bardzo pomyślne.

Dodge przecząco pokiwał głową.

— Nie, Bob. Zawsze byłeś trochę ograniczony. Tak, tak — mruknął widząc pełen oburzenia ruch kolegi. — Nigdy nie umiałeś spojrzeć dalej niż szczupak goniący płotkę. Nigdy nie powierzyłbym ci pułku na froncie. Waliłbyś prosto przed siebie nie troszcząc się o flanki.

— Po co ta filozofia — ostro przerwał Crosby.
— Na razie — powiedział z naciskiem — nie ty mnie, ale ja tobie powierzam robotę.

— O właśnie, szef. Już chciałbyś mi zatkać pysk. Ale daj mi się wygadać. Usłyszałeś parę pomyslnych raportów i to ci wystarczy. Nie rozumiesz, że to są tylko fragmenty akcji „suprop”. Nie chcesz ogarnąć całości.

— Przestań mnie pouczać! — Crosby z trząskiem postawił szklanke na stole.

Zabręczało i płyn z sykiem rozlał się po ciemnej politurze. Dodge nie zwrócił na to uwagi.

— Nie skończyłem ci opowiadać historii tamtego agenta, prawda?

Crosby zadowolony ze zmiany lematu spojrział wyczekująco na kolegę.

— Właśnie — skinął głową. — Mówiłeś, że złapaliście nawet drugiego i ten sypnął...

— Nie tyle sypnął, bo żadnych nazwisk nie znał, ile powiedział, jakie zadanie otrzymał ton twardszy.

— No, jakie?

— Miał dowiedzieć się, czy z K-13 startują samoloty z bombami bakteriologicznymi.

— Co? — Crosby szarpnął się jak rażony prądem.

Co? Jak?

Krzyk jego przemienił się w nieartykułowany bełkot. Twarz poczerwieniała, żyły na czole napięły się jak postronki. Wymachiwał rękami nad głową, jakby chcąc sobie w ten sposób dopomóc w wyładowaniu wściekłości.

Wybuch przestraszył Dodge'a. Zeskoczył ze stołu i nerwowo zagryzając wargi czekał w milczeniu, aż Crosby się uspokoi. Ale ten szalał. Miotał się po pokoju, rycząc i przewracając krzesła, wyrzucał z siebie dziesiątki przekleństw. Wreszcie bez sił opadł na fotel. Parę chwil siedział bez ruchu, sapiąc, i uporczywie przyglądał się swoim dłoniom.

— Dodge — Crosby mówił szeptem, ale w cichych jak szelest liści słowach brzmiała nie ukrywana groźba. — Dodge — powtórzył chwytając tamtego za marynarkę.— Jeżeli tamci coś wywęszą, jeżeli choć jeden szczegół stanie się im znany przed czasem... — Głos Crosby'ego znów nabrzmiał krzykiem. — Jeżeli zdarzy się cokolwiek, co zawali nam robotę, to zetrę cię na miazgę. Rozumiesz? Rozgniotę cię jak wesz. Jak wesz...

— Przecież nic się jeszcze nie stało — próbował bronić się Dodge.

— Durniu! Ty — syknął z pogardą — dalekowzroczny durniu! Kazano ci pilnować interesu, to waruj jak pies. Pętają mu się pod nosem czerwoni, a on tu filozofią się zajmuje. Gdzie jest ten żółtek?

— Odesłałem go do Pusanu — odrzekł Dodge.

— A drugi gdzie?

— Też go wysłałem.

— Jutro pojedziesz do Pusanu, a za trzy dni masz mi złożyć dokładny meldunek. Rozumiesz? Pamiętaj, że na froncie potrzeba ludzi, Tylko że życie jest tam mniej przyjemne niż w Tegu czy nawet Seulu. Rozumiesz?

— Rozumiem, Bob, nie ma potrzeby mi grozić — Dodge mówił cicho i powoli, jakby ważąc każde słowo. — Wydałem już odpowiednie zarządzenie.

Crosby wstał, odtrącił przewrócone krzesło i sięgając po czapkę, już w drzwiach rzucił przez ramię:

— O wszystkim złożysz mi raport na piśmie. Pamiętaj, jutro rano przed odlotem. I nie oglądając się wyszedł z pokoju.

Nazajutrz Crosby obudził się późno, z bólem głowy. Nie pomogły ani proszki, ani prysznic. Ubrał się szybko, skrzyczał pokojówkę za to, że kawa zimna, i nie tknąwszy śniadania przeszedł do sąsiedniej willi, w której mieściło się biuro. Zanim Mikey zdążył otworzyć usta, zasypał go lawiną wyrzutów i upomnień. Dlaczego go nie obudził, dlaczego na biurku bałagan, dlaczego czarne teczki z tajnymi dokumentami leżą na stole, dlaczego?... Urwał nagle i trzasnąwszy drzwiami wszedł do swego gabinetu. Chwilę potem zjawił się Mikey z pocztą.

— Czy był Dodge? — warknął Crosby.

— Był, panie pułkowniku.

— No i co?

— Pułkownik Dodge bardzo się śpieszył i zostawił tylko tę kopertę. — Podał Crosby'emu zapieczętowany pakiet.

— Dobrze. — Crosby wziął pakiet i nie zwracając uwagi na pozostałe listy mruknął: — To wszystko.

Mikey niezdecydowany przestąpił z nogi na nogę, ale spojrzenie pułkownika powiedziało mu, że lepiej się ulotnić.

Crosby został sam. Zerwał pieczęć i rozłożył trzy kartki maszynopisu. Dodge przygotował wyczerpujące sprawozdanie zarówno o aresztowanych, okolicznościach ich ujęcia i ich zeznaniach, jak też o krokach podjętych w celu zabezpieczenia akcji „suprop“. Tę część raportu Crosby przeczytał bardzo uważnie.

Ze słów Dodge'a wynikało, że wydał już zarządzenia dotyczące pełnej mobilizacji całego aparatu wywiadowczego. Ochroną specjalną objęto wszystkie jednostki i lotniska, z których startowały samoloty z bombami bakteriologicznymi. Wydział Dodge'a szczególnie zajął się bazą K-8 i Tachikawą. Ani słowa nie było jednak o wytropieniu jakiegokolwiek siatki wywiadu czy kogokolwiek podejrzanego. Jedyne konkretne posunięcie aparatu Dodge'a polegało na wycofaniu z akcji „suprop“ dwóch lotników, którzy zaczęli o swoich lotach opowiadać kolegom. Obaj zostali odesłani do Tachikawy, gdzie o dalszym ich losie miał podjąć decyzję G-2.

Pozornie więc nic groźnego. A jednak niepokój nie opuszczał Crosby'ego. Wczorajszy wybuch wściekłości wywołany był prawdziwym strachem. Crosby zdawał sobie sprawę, że przedwczesne ujawnienie szczegółów, krzyk podniesiony przez Phenian i poparty dowodami zdobytymi tu, za linią frontu, może spowodować nie tylko ostateczne

złamanie jego osobistej kariery, lecz także krach całej akcji. Komuniści bombardowali pozycje na zapleczu rzadko, ale za to skutecznie. Silny nalot na jedną z baz „suprop“ mógłby zakończyć się tragicznie i wszystko skupi się wtedy na jego głowic.

Czyżby miała się powtórzyć przekłeta katastrofa tokijska? Czyżby znów jakiś śmiałek w rodzaju Fukudy ośmielił mu się wejść w paradę? Nie może do tego dopuścić. Dodge za bardzo się rozpanoszył. Trzeba go będzie wziąć w karby. Samodzielność — samodzielnością, ale za całość akcji odpowiada osobiście Crosby. Trzeba zażądać od naczelnego dowódcy uchylenia decyzji o wydzieleniu aparatu Dodge'a spod pełnej kontroli Cros-hy'ego. Stanowczo...

Teraz przypomniał sobie, że miał się zameldować dziś u naczelnego. Z przerażeniem spojrzął na zegarek. Minęła dziesiąta, a audiencja wyznaczona była na południe. Diabli wiedzą, czy zdąży na czas.

Gwałtownie nacisnął dzwonek. Mikey stanął w drzwiach niemal natychmiast.

— Prędej raporty! — ryknął Crosby. — Bałwanie, za dwie godziny, nie, za półtorej muszę być w Tokio!

Mikey przycisnął rozdygotane ręce do bioder.

— Kiedy audiencji nie będzie... Miałem to zameldować, ale pan pułkownik kazał mi iść...

— Jak to nie będzie? — Perspektywa uniknięcia lotu i nieprzyjemnej rozmowy podziałała kojąco na nerwy Crosby'go. — Skąd wiesz?

— Z rana odebrałem radiogram podpisany przez adiutanta naczelnego dowódcy. Generał wyjechał i przesunął termin posłuchania o cztery dni.

Zapisałem to już w kalendarzu — nieśmiało zakończył Mikey.

— Bałwanie. — Słowo to zabrzmiało teraz niemal pieszczotliwie. — Gdybym się spóźnił do generała, powiesiłbym cię za nogi.

Cztery dni... Crosby ucieszył się. To dość, by wyjaśnić bliżej historię Dodge'a. Przynajmniej zdobędzie trochę dokładnych informacji. Dobrze, że kazał Dodge'owi pojechać do Pusanu. Jeżeli starczy czasu, sam też tam pojedzie i osobiście przesłucha aresztowanych. Być może, alarm jest jednak fałszywy. Wprawdzie jak dotąd prasa w Północnej Korei nie pisze o nalotach bakteriologicznych więcej, niż mówią o nich oficjalne dokumenty, ale z pewnością w sztabie czerwonych starają się zdobyć szczegóły. Możliwe, że partyzanci otrzymali polecenie zbadania, skąd startują samoloty z bombami bakteriologicznymi. Ale to jeszcze wcale nie zapowiada klęski. A poza tym dlaczego Suwon? Przecież, w Suwonie nie ma bazy „suprop”. Dopiero w tej chwili myśl ta oślepiła Crosby'ego. Więc może cały alarm, jaki wszczął i ta awantura u Dodge'a były niepotrzebne. Tamci po prostu szukają po omacku, na ślepo. Nie mają żadnych śladów, w przeciwnym wypadku partyzanci szukaliby ośrodków „suprop” w innych punktach. Ale kto wie, czy właśnie w tej chwili nie wężą. I dobrze się stało, że wszczął alarm. Dodge rozrusza swoich ludzi, bezpieczeństwo będzie większe, możliwości przeniknięcia nieprzyjaciela do baz jeszcze bardziej się zmniejsza. Lepiej dmuchać na zimne, niż sparzyć się na gorącym, tak jak to się zdarzyło z ośrodkiem tokijskim.

Uspokoili go nieco te myśli i w lepszym nastroju zabrał się do pracy. Uzupełnił wykazy zrzutów, wpisując informacje przekazane w nocy przez agentów. Mimo to w wielu rubrykach pozostały znaki zapytania. Sieć agentów była stanowczo zbyt mała w stosunku do potrzeb. Rezultaty większości zrzutów pozostawały nieznane. Zapisał w notesie: „Przycisnąć Koreańczyków”. Po powrocie Dodge’a z Pusanu trzeba będzie wydusić od sojuszników przynajmniej ze dwudziestu czy trzydziestu ludzi, aby ich przerzucić na północ.

Rozmyślenia nad tą sprawą przerwało mu ponowne wejście adiutanta. Chodziło o wizytę grupy ekspertów w obozach jenieckich. Crosby zapowiedział przed paru dniami, że kiedy eksperci wybiorą się na Kožedo, pojedzie z nimi. Teraz właśnie Mikey otrzymał zawiadomienie, że nastąpi to dziś.

Crosby zdecydował się szybko. Chciał porozmawiać z Meisfeldem i Otomurą i nadarzała się po temu doskonała okazja. Poza tym z Kožedo wpadnie do Pusanu i zajmie się osobiście przesłuchaniem więźniów Dodge'a. W Tegu nie miał teraz nic pilnego do roboty. Kazał więc przygotować samolot i zawiadomić ekspertów, by poczekali na niego. Mikey pobiegł do telefonu. Crosby schował dokumenty do kasy pancernej. Po paru minutach adiutant zjawił się w gabinecie w płaszczu, niosąc neseser pułkownika.

— Zostaniesz, Mikey — oświadczył Crosby wyciągając z szafy swój płaszcz. — Pojadę sam. Odwiesz mnie tylko na lotnisko.

ROZDZIAŁ IV

1

Samolot płynie przez noc. Mały, zagubiony w czarnej otchłani, głucho warcząc wgryza się w nieprzeniknioną ciemność. Z pozoru przypomina ślepcę posuwającego się po omacku z rękami rozcapierzonymi niby ■drogowskazy. Ale to mylno wrażenie. Ukryte w głowie samolotu przyrządy widzą lepiej niż oczy sokola. Widzą, czują, dyktują trasę przelotu. Pilot im wierzy, ula bardziej niż sobie. Te przyrządy, nad którymi czuwa nie tylko on, ale i skupiony nawigator — nie zawiodą. Temu, kto je rozumie, kto zna ich tajemną mowę, powiedzą, gdzie i kiedy trzeba się wznieść lub zniżyć lot, skrócić w lewo lub w prawo.

Daleko pod samolotem jest ziemia. Mac Donald jej nie widzi. Nawet gdyby rozstały się gęste zwaly chmur, ziemia byłaby niewidoczna. Nie oświetli jej skąpe mruganie gwiazd. W nocy ujrzyć ją można czarną i straszną tylko w nagłym wybuchu ognia tryskającego z rozdartych trzewi tysiącem czerwonożółtych jezorów. A jednak Mac Donald zna już tę ziemię. Wie na przykład, że za parę chwil przeleca nad pasmem niewielkich gór, za którymi zaczyna się zachodnia nizina, że wszędzie tu są rozsiane miasta i miasteczka, których domy legły w gruzach pod bombami zrzuconymi jego ręką.

Ściskające uszy słuchawki hełmofonu, ciasno opinającego głowę, głośną warkot silnika. Piskliwie trajkocą sygnały Morsego, potrzaskują wyładowania atmosferyczne, z których raz po raz wypływają strzępy słów, zdań, rozkazów. Samolot drga miarowo — jakby kołysał do snu.

Mac Donald siedział w swoim fotelu niemal bez ruchu. Czuł się bezpieczny. Ale myślał o tych tam, w dole. Czy słyszą głuchy pomruk jego maszyny? Na pewno tak, choć to noc, czas snu i wypoczynku. Słyszą i z niepokojem, wpatrują się w ciemność. Usiłował wyobrazić sobie twarze niewidzialnych ludzi. Co czai się w ich oczach? Strach? Rozpacz? Nienawiść?

Samolot niedostrzegalnie pochłaniał przestrzeń. W słuchawkach zabrzmiały dobrze znane słowa nawigatora:

— Już niedaleko.

Mac Donald przygryzł wargi. Następowały minuty, które sprawiały mu zawsze niemal fizyczny ból. Nie przeszkadzało to jednak sprawnemu wykonywaniu manewrów.

Maszyna wciąż jeszcze leciała na wysokości trzech i pół tysiąca metrów. Teraz skręt w lewo i zniżyć lot. Trzy tysiące, dwa pięćset, dwa trzysta...

— Jesteśmy nad celem! — zabrzmiał ostry głos nawigatora.

Mac Donald rzucił samolot prostopadle w dół. W myślach liczył: dwa tysiące... tysiąc pięćset, tysiąc dwieście...

— Już!

Naciśnięcie białego guziczka... Samolot staje dęba i wzbija się między chmury. Nie widać nic. Ale Mac Donald dobrze wie — przed chwilą od skrzydeł maszyny oderwały się dwa cienie. Runęły w dół. W niewielkiej odległości od ziemi wytrysnęły z nich ogony spadochronów. Bomby potoczyły się po ziemi — bez wybuchu, bez fontanny piachu i ognia. Pękły. Z ich wnętrza wypełza teraz śmierć. Nie wiedział jaka: może oszołomione szczury, mo-

że żwawe pchły, może leniwe muchy. Ale wiedział, że to właśnie była śmierć. Zanim świt rozjaśni szary ołów chmur, zanim ludzie odnajdą czarne szczątki bomb — śmierć rozpełźnie się po okolicy, może będzie już krążyła we krwi.

Wzdrygnął się, jakby to jad sączył się w jego ciało, w jego tętnice. Nawigator głośno odetchnął. Mac Donaldowi wydało się, że w słuchawkach coś załkało. Potem usłyszał pośpieszne, nerwowo rzućcane zdania:

— No... debrze poszło... Trafiliśmy prosto w cel.

Mac Donald nie odezwał się słowem. Otepiałym wzrokiem patrzył na przyrządy pokładowe, czuł jakąś dziwną pustkę w piersi — tam gdzie jeszcze parę minut temu tępo i boleśnie tłukło się serce.

Po półtorej godzinie stał w gabinecie oficera operacyjnego i cichym, zmęczonym głosem składał meldunek:

— O drugiej osiem zrzuciłem dwie bomby bez zapalników na miejscowość Sariwon kwadrat 3A. Samolot wrócił do bazy w stanie nie naruszonym.

Powłócząc nogami poszedł do siebie. Spać.

2

Mac Donald w odróżnieniu od większości pilotów nie prowadził ewidencji lotów, wylatanych godzin, sukcesów bojowych. Gdyby go zapytano, ilu bombardowań dokonał w ciągu tych paru miesięcy — wzruszyłby niechętnie ramionami. Dużo tego było, kto by tam liczył. Co innego myśliwce. Tam przynajmniej wiadomo — zestrzelił tyle to maszyn

nieprzyjacielskich, uszkodził tyle. A on co? Miał może liczyć spalone wagony i ciężarówki, lepianki szumnie nazywane demami? Skoro nawigator Dewey chce, to niech sobie taką statystykę prowadzi, Mac Donaldowi na tym nie zależało.

Przedtem latał często. Ale od miesiąca liczba wylotów gwałtownie zmalała. Te właśnie z ostatniego miesiąca mógł każdej chwili wymienić. Pamiętał trudne nazwy miejscowości, na które zrzucał bomby. W myślach miał zapisaną nawet liczbę zrzuconych bomb. Wystarczyło przymknąć oczy, aby usłyszeć jakiś głęboki wewnętrzny głos; powtarzający natarczywie; Hojan — cztery bomby... Sunczon — cztery bomby... Tongczon — dwie bomby.

Uciekał przed! tym głosem. Usiłował zagłuszyć go w gwarze rozmów w kasynie oficerskim, zatopić w kieliszkach napełnionych przepalającą myśli wódką. Bezskutecznie. Głos wracał i uporczywie przypominał: Sariwon — dwie bomby... Jangdok — cztery bomby...

Próbował zaprzyjaźnić się z nowymi kolegami. Zerwał z Carterem. Gdy go dostrzegał z daleka, umykał w popłochu. Przez parę tygodni szalał w towarzystwie Murraya i jeszcze kilku lotników, których przydzielono do akcji „suprop”. Wyprawiali hałaśliwe orgie, urządzali pijackie naloty na przerażonych mieszkańców miasta. Porywali dziewczęta z nędzarskich domków. Dziczeli. Pewnej nocy jeden z nich nie wrócił z takiej wyprawy. Znalaziono go nazajutrz, zakłutego sztyletem, na polach między miastem a bazą. Żandarmeria zorganizowała akcję odwetową. Schwymano pięćdziesięciu Koreńczyków i powieszono ich w centrum miasta na nie używanych od dawna latarniach.

Dżuma II

W parę dni po tej historii, gdy siedzieli w klubie lotników, Mac Donald zerwał ze swoją kompanią. Zaczęło się od tego, że urżnięty Murray pijakimi Izami oplakiwał śmierć zabitego w tajemniczych okolicznościach kolegi. Kilku innych wtórowało mu skwapliwie. Z ust Murraya sypały się przekleństwa i groźby. W pewnej chwili wstał i głośno — nikogo prócz nich nie było w klubie — zawołał:

— Powiadam wam, tylko dżuma! Tylko dżuma może wytępić tych parszywych żółtków. Toast za dżumę, chłopcy. Za dżumę.

Słowa te otrzeźwiły Mac Donalda. Ostentacyjnie chwycił szklanke i wychlusnął jej zawartość na podłogę. Murray rzucił się ku niemu.

— Dlaczego? — zawył zachłystując się pijacką wściekłością. — Dlaczego z nami nie pijesz? Co? Może nie chcesz dżumy?

— Nie chcę — powiedział Mac Donald.

Murray bluznął przekleństwami.

— Słyszycie, ta wesz powiada, że nie chce. Nie chce, ale rzuca dżumę na żółte łby. Co? A może nie rzucasz? Może... — Murray napierał na Mac Donalda bryzgając mu w twarz kropelkami śliny. — Może ty te bomby wrzucasz do morza? Oszukujesz dowództwo! Oszukujesz Amerykę!

Mac Donald przestraszył się. Takie podejrzenie może zaszkodzić każdemu, może pozbawić go wolności, a nawet... życia. Zadygotał z przerażenia. Lepkie palce strachu ścisnęły go za gardło. Zduszonym, nie swoim głosem powiedział:

— Głupi jesteś, Murray, pijany... Ja... Czy można — zachichotał z udanym ożywieniem — pić zdrowie czegoś, co jest śmiercią?

Odpowiedział mu ryk śmiechu. Murray wytrzeszczył oczy, zakrztusił się i rzucając z rozmachem kieliszek o ścianę zatupał nogami.

— Brawo, Mac, brawo. Podobasz mi się. Daj pyska.

Przy akompaniamencie oklasków Mac Donald tłumiąc wstępną pocałował się z Murrayem.

Gdy nad ranem znalazł się w swoim pokoju, rzucił się w ubraniu na łóżko i wciskając twarz w poduszkę głucho jęczał.

— Tchórz, tchórz — powtarzał obelżywe słowa gryząc palce. — Kim ty jesteś — pytał siebie i odpowiadał: — Tchórzem. Podłym tchórzem. Murray ma rację.

„Jestem jak wesz, bezsilny, nędzny pasożyt. Nie potrafię bronić siebie nawet przed samym sobą. Nie umiem zdobyć się na żaden ludzki wybuch uczuć. Płaszczę się przed nim. Dlaczego? Ze strachu! Gotów byłem całować go po rękach, wślizgać się do butelki whisky, tańczyć i śpiewać na cześć dżumy. A gdybym rzucił mu w twarz to, co myślę o nim, o nich wszystkich, o sobie, o całej tej przeklętej brudnej historii... To co? Aresztowali by mnie? Zesłali gdzieś do głuchego zakątka? Może byłoby nawet lepiej. Czego mam bronić dla siebie? Życia, które co dzień przeklinam. Strachu przed sobą samym, wstępną, z jakim patrzę na swoje ręce... Po co ja to robię? W imię czego? Żołnierz musi zabijać... Ale czy dżuma jest bronią godną żołnierza? A może tu nie o dżumę chodzi, może słusznie mówił Carter, że ja tu jestem nie żołnierzem, ale czymś takim jak łamistrajk. Gangsterem użytym do mokrej roboty. A gangster walczy wszelką bronią. Więc dlaczego boli mnie, gdy zrzu-

cam bombę? Dlaczego wraz z nią spada spod skrzydeł samolotu jakiś kawałek mojego serca?”

Zerwał się z łóżka. Nie zdejmując koszuli wbiegł do łazienki i odkręcił kurek. Podstawił głowę. Kłujące strumienie zimnego prysznicy odświeżyły go nieco. Rozpryskując krople wody wrócił do pokoju. Własna twarz widziana w lustrze wydała mu się jakąś potworną, wykrzywioną maską. Gęsta ślina napłynęła mu do ust. W nagłym porywie wypłuł ją prosto w gładką tafłę zwierciadła — tam gdzie zobaczył własną podobiznę.

W południe wezwano go do Cooka. Wiedział po co. Po drodze powtarzał w myślach ostre, gorące słowa, które rzuci w twarz temu szpiclowi. Wszystko mu powie... Ale gdy przekroczył próg zacisznego gabinetu, gdy zamknęły się za nim obite wojłokiem i nylonową ceratą drzwi, gdy spojrzął w ironicznie uśmiechnięte oczy oficera wywiadu, poczuł, jak opuszcza go odwaga i śmiałość, a w głowie, jak w pustej beczce, tłucze się obłędny strach.

Cook nie wspomniał o incydencie podczas pijatyki. Suchym, nawykłym do wydawania rozkazów głosem zwymyślał Mac Donalda za to, że w ogóle mówiono o dżumie w klubie. Mac Donald wyczuł, że nie jest pierwszym, który dziś z ust Cooka słyszy słowa wyrzutu. Poczul odpływ strachu. Więc nic mu nie robią, nie skażą go na więzienie za buntownicze myśli. Psimi oczyma wpatrywał się w twarz Cooka i kiwał potakująco głową.

Tak, tak, Cook ma rację. To skandal, co zrobili — potwierdzał. — Nieostrożność, która stoi na pograniczu zdrady tajemnicy wojskowej. Gotów jest nawet ponieść odpowiedzialność za to, oświadczył rozumiejąc, że nic mu nie grozi.

Cook machnął zniecierpliwiony ręką. Tym razem puszcza tę historię płazem, ale ostrzega na przyszłość — jedno słowo i... — zaciśnięta pięść Cooka i świdrujące spojrzenie powiedziały, co ma oznaczać zawieszony w powietrzu „i“.

Mac Donald wstał, sądząc, że rozmowa skończona, ale Cook osadził go na miejscu energicznym skinieniem ręki. Chciałby jeszcze jedną sprawę wyjaśnić. Wyciągnął z biurka złęczone spinaczem papiery i przejrzał je. Chodzi mu o taką rzecz: czy piątego Mac Donald zrzucił bomby bakteriologiczne?

— Tak jest — szybko odpowiedział Mac Donald.

— Gdzie?

Mac Donald zastanawiając się przymrużył oczy i przygryzł dolną wargę. Piątego... Gdzie to było? Aha...

— Na Czorwon. Dwie bomby.

Cook zerknął nań spode łba i wrócił do papierów.

Mac Donaldowi wydało się, że ktoś chwyta go za kark. Krople potu wystąpiły mu na czoło. W uszach zabrzmiało dzwonięcie. Dlaczego Cook o to pyta? Czyżby wątpił w wykonanie rozkazu? Czyżby dotarła do niego wieść o zarzucie postawionym, po pijanemu przez: Murraya? Murray często pije z Cookiem. Może więc?... Z trudem opanował dreszcz przerażenia wprawiający w dygotanie nogi, ręce, nawet brodę. A więc tu czai się niebezpieczeństwo.

Cook zdawał się nie dostrzegać zdenerwowania lotnika. Odnotował coś na skrawku papieru, przerzucił jeszcze kilka arkusików i dopiero potem

spojrzał na Mac Donalda. Coś niby cień uśmiechu zaiskrzyło mu się w oczach. Przez twarz przemknął jakby grymas zadowolenia.

— A jedenastego? — zapytał krótko.

— Jedenastego... — Mac Donald zająknął się, splótł rozdygotane palce i ścisnął je mocno. — Jedenastego też... leciałem... Miałem wtedy... dwie, nie, nie — zaprzeczył gwałtownie — cztery bomby... Rzuciłem na Andżu.

— Na miasto?

— Nie, rozkaz miałem... nie na miasto. Cztery kilometry na wschód... Przy małej przeprawie.

Cook znów coś zanotował. Popatrzył na lotnika pogardliwie i wycedził:

— Czego się trzęsiesz jak galareta? Mac Donald, nie powinienesz tyle pić, skoro nie umiesz. Gębę masz taką, że rzygać się chce.

— To tylko czasem, mister Cook — jakoś żałośnie, błagalnie wykrzywiając usta zachichotał Mac Donald. — Za dużo dziś wypilem.

— No to musisz się przespać. W nocy chyba polecisz.

„Polecisz, polecisz” — zatrzepotało w głowie Mac Donalda, aż się zachłysnął radością. Polecą, a więc nie mają przeciw niemu żadnych zastrzeżeń, niepotrzebnie się bał. A jednak.

— Przepraszam, mister Cook — po raz drugi odezwał się nieprzepisowo, jakby miał przed sobą nie starszego oficera, ale bossa czy kierownika w fabryce. — A dlaczego pan pytał o te zrzuty. Czyżby — przełknął głośno ślinę — czyżby pan podejrzewał, że nie wykonuję rozkazów? Przecież obserwator i mechanik...

Cook wydał wargi i parsknął krótkim śmiechem.

— Mac Donald, nie bądź zarozumiały. Gdybym cię o coś podejrzewał, to — wyciągnął z kieszeni kraciatą chustę i zmiął ją, aż znikła w jego dłoni — zgniótłbym ciebie jak to — trzepnął mu chustkę przed nosem. Przenikliwie popatrzył Mac Donaldowi w oczy, aż tamten zaczął mrugać ze zdenerwowania. — Ja ciebie, Mac, widzę na wylot. Pamiętaj o tym. Wszystkich was widzę na wylot. Przysunął się bliżej, oparł brodę o pięść i mrugnął przyjaźnie na lotnika. — Myślę, że chcesz żyć ze mną w przyjaźni? — zapytał porozumiewawczo.

Gdzieś głęboko na dnie serca Mac Donalda zatliła się iskierka buntu i oburzenia. Zerwać się, wykrzyczeć z siebie wszystko! Ale strach nową falą zagasił ją, zanim zdążyła się rozgorzeć płomieniem.

— Naturalnie, *cap** — skwapliwie odparł z odzieniem poufałości w głosie.

Cook uśmiechnął się szeroko.

— To dobrze. Wiedziałem, że jesteś swój chłop, i modę na tobie polegać.

Wszedł zza biurka i usiadł na nim tak, że kolana znalazły się niemal na wysokości brody Mac Donalda. Ten. przypomniał sobie scenę z jakiegoś filmu, gdzie urzędnik policji w takiej samej pozycji badał zatrzymanego. Pamiętał nagle kopnięcie, wyrzut kolanem i zakrwawioną twarz badanego. Czyżby Cook po to tak usiadł? Chciał się odsunąć, ale zabrakło mu sił. Siedział jak przykuty widząc przed sobą tylko napinające nogawkę spodni ostro zarysowane kolano kapitana. Zduszonym głosem bąknął:

— Naturalnie.

— Więc słuchaj. Od jutra musisz mieć na oku Graya, Hunty i swojego mechanika Wilsona. Rozumiesz? Masz z nimi gadać o tym i owym. Czasem popsioczyć, ponarzekać i słuchać... Jasne? Słuchać, o czym gadają, o czym myślą. Czasem wyciągać na słówka. Zresztą sam rozumiesz...

Ogłuszony tym nowym, nieoczekiwanym poleceniem Mac Donald kiwał bezmyślnie głową. Nie rozróżniał już słów. Nie widział nic — kolano Cooka urosło nagle do rozmiarów ogromnej góry i zasłoniło całe pole widzenia. Mac Donald tykał ślinę — gorzką, zatrutą goryczą napływającą skądś z głębi, gdzie wciąż rozpalala się i gasła iskierka sprzeciwu. Ale nie ośmielił się ani słowem powstrzymać potoku wymowy Cooka. Potrząsał zmierzwioną czupryną. Włosy opadały mu na czoło pokryte gęstymi kroplami potu i zlepiały się w kosmyki. Nie miał siły, by je odgarnąć.

3

Skończyły się wesole hulanki. Mac Donald zaczął znów unikać ludzi. W każdym z nich widział wroga czyhającego na nieopatrny gest lub słowo. Rozumował słusznie — skoro kapitan Cook kazał *mu* śledzić trzech kolegów, to na pewno któryś z nich i na pewno kilku jeszcze, o których nic nie wiedział, sprawuje pieczę nad nim. Ukazała mu się nagle w całej okazałości misternie utkana siatka, w której wszyscy oni trzepocą się jak ryby, niezdolne pojąć, że znalazły się w sytuacji bez wyjścia.

Mac Donald zdawał sobie sprawę ze swego położenia. Ale czy to coś zmienia? Czy stał się dzięki temu silniejszy, zdolniejszy do jakichkolwiek śmielszych poczynań? Świadomość własnej bezsilności, przygniotła go. Żałował beztroskich dni sprzed rozmowy z Cookiem. Zawsze wyczuwał, że jakaś machina niedostrzegalnie dławi go, syci się jego strachem, ale teraz zrobiono z niego trybik tej maszyny. I strach wzrósł. Bał się wszczynać z kimkolwiek rozmowę, bał się porozumiewawczo uśmiechnąć nawet do swego nawigatora. Słuchając komunikatów radiowych usiłował zachować nieprzeniknioną maskę kamiennej obojętności. Wiedział, że wystarczy jedna uwaga rzucona na marginesie przeciągającej się wojny, by znaleźć się w gabinecie Cooka i wyjść stamtąd w najlepszym razie z ostrzegawczą adnotacją w ankiecie.

Zauważył zresztą, że od pewnego czasu nastrój przygnębienia przytłoczył życie całej załogi na bazie. Najpierw zamilkli i spochmurnieli ci, których wzywano do oficera operacyjnego po zadania specjalne. Potem mroczny nastrój ogarnął wszystkich. Nikt nie rozmawiał szczerze. Pijatyki w klubie kończyły się albo ponurą ciszą, albo awanturami. A Cook ilekroć wzywał go do siebie, z wściekłością wypytywał:

— Czego wy wszyscy chodzicie jak za własnym pogrzebem? Czemuście pyski pozamykali jak wieko trumny?

Mac Donald domyślał się źródeł tego nastroju. Ostatecznie trzeba być ślepym, by nie zauważyć, że wszyscy szpiegują wszystkich. Zapomniał, że jeszcze niedawno sam tego nie dostrzegał. Ludzie nie ufają nawet najbliższym. Nie komentowano

zniknięcia kilku lotników, rzekomo odesłanych do baz japońskich za defetyzm. Coś nie dopowiedzianego wisiało w powietrzu. To „coś” było groźne i nieuchwytnie.

Cartera spotkał w dwa tygodnie po wizycie u Cooka. Stało się to dosyć przypadkowo, bo Carter podobnie jak wielu lotników z pułków myśliwskich rzadko zaglądał do „klubu bombowców”. Stary przyjaciel powitał go wylewnie — jakby nigdy nie stanął między nimi mur tamtej rozmowy podczas pikniku. Potrząsał rękami Mac Donalda, klepał go po ramieniu, wykrzykiwał głośno manifestując swą radość. Okazało się, że przyszedł pogadać ze starym druhem. Ma właśnie godzinkę czasu, więc zajrzał do „bombowców”.

Mac Donald poszedł z nim na spacer, choć niewielką miał na to ochotę. Pomyślał: „A może Cartera przysłano, by wyciągnął ze mnie choć słówko?” Postanowił mieć się na baczności.

Carter zdawał się nie dostrzegać ponurego milczenia przyjaciela. Głośno śmiejąc się powtarzał zasłyszane plotki, obgadywał znajomych i nieznanomych, kłął trudy życia i jakieś tam sercowe niepowodzenia, za które winił nie swą nader mało pociągającą powierzchowność, lecz konieczność ciągłego latania.

— Tobie dobrze! — zawołał nagle i przystanął.

Znajdowali się na drodze wiodącej ku miękko rysującym się pagórkom, na których zaczynały się domki Kunsania. Było cicho. Pod nogami chlupało rozmiękle od ciągłych deszczów błocko. W dali samoloty rolowały na start..

— Tobie dobrze — powtórzył Carter. — Latasz jak król, dwa czy trzy razy tygodniowo i to tylko w nocy.

Mac Donald drgnął. „Co on chce przez to powiedzieć?“ Do czego Carter zmierza, czego szuka?

Zwariowałaś? — wykrztusił z nieszczerym uśmiechem.

Carter parsknął wesoło.

— Oj, Lion, barania głowo. Nic się nie zmieniłeś, słowo daję. A myślałem, że zmadrzejesz trochę na tym przeklętym lotnisku. I nic. Jak byłeś głupi, tak zostaniesz głupcem do końca, barania głowo.

Mac Donald gorączkowo szukał słów. Trzeba coś powiedzieć, trzeba jakoś zamknąć Carterowi tę jego wstrętą żabią gębę. Ale jak? A Carter niewzruszony milczeniem przyjaciela ciągnął:

— Myślisz, że jak stulisz twarz niby pączek róży, to już nic nie widać? Co? Ech, barania głowo, nie tacy my wszyscy głupi. Wiadomo. — W głosie jego zabrzmiała nuta pogardy. — Niektórych oszczędzają.

Głowa Mac Donalda zdawała się znikać między unoszącymi się coraz wyżej ramionami. Zatrzymał się w pół kroku, strzelając spode łba spojrzeniem na Cartera.

— Czego chcesz? — syknął. — Czego chcesz ode mnie?

Carter splunął i roztarł butem grudkę piachu. Nie patrzył na przyjaciela.

— Nic nie chcę, Lion. Szkoda mi ciebie. Zszedłeś na psy.

— Co? Czego szczekasz? Ropucho! — wybuchnął Mac Donald. — Czego drzesz swój żabi pysk? Czego mnie żalujesz? I to kto? Kto? Gang-

ster! Bandyta! Może ty jesteś lepszy, co? Czego pchasz ten przeklęty nochal w cudze sprawy.

Carter głośno wytarł palcami nos.

— Nie rycz, Lion. Teraz, barania głowo, takie czasy, takie czasy — powtórzył w zamyśleniu — że i gangster może pożałować i siebie, i innych. Myślę, że brudna robota też ma swoje, granice. Bomba bombie nierówna. — Milcz! — Wściekłość dusiła Mac Donalda, aż mu się w oczach ćmiło. Głos mu się zrywał, jakby chciał zakrzyczeć nie kolegę, ale swój własny, szarpiący serce ból. — Milcz! Każda bomba dobra! Z wachałeś się pewnie z tymi łajdakami „czerwonymi”. Nauczyli cię. Zapłacili...

Carter chwycił go za ramię. Bardzo mocno. Mac Donald nigdy nie wyobrażał sobie, że Ben jest aż tak silny. Omal się nie przewrócił. Ale Carter trzymał go za płaszcz i siłą obrócił twarzą ku sobie. Szamotanie trwało tylko chwilę.

— Myślałem, że jesteś jeszcze choć trochę podobny do człowieka — z naciskiem powiedział Carter. — Omyliłem się, co, Lion? Dżuma i ciebie zjadła...

Wściekłość Mac Donalda ustąpiła miejsca przerażeniu. Tego słowa bał się najbardziej. Po co, po co Ben o tym mówił? Teraz odbiera mu resztki spokoju, nawet te złudne, wypieszczone w samotności. Skoro wie Ben, wiedzą i inni. A Cook — zadygotał w nowym paroksyzmie przerażenia — Cook gotów jeszcze pomyśleć, że to on im powiedział. I zmiążdży go... Więc co tu począć, jak się wymotać z tej sieci?

Carter puścił jego płaszcz. Mac Donald instynktownie odskoczył, jakby obawiając się, że za chwilę spadnie nań cios. Ale nie. Carter wolnym

krokiem ruszył *w* drogę powrotną. Trzeba iść za nim — szybko zdecydował Mac Donald — nie wolno go zostawić teraz ani na chwilę. Zgarbiony poszedł za przyjacielem.

— Ben, Ben — wybełkotał błagalnie, choć sam nie wiedział, co chce powiedzieć.

Carter spojrzał na niego przez ramię.

— To już wszystko, Lion — powiedział zniechęconym, głuchym głosem. — Chciałem z tobą pogadać. Okazało się, że nie warto. Stary ze mnie gangster, masz

rację. Za późno na ludzkie odruchy. No, zegnaj, chłopie. Na mnie czas — strzelił palcem w szkiełko zegarka. — Zaraz lecę.

„Gra, gra — huczało w głowie Mac Donalda. — Oszukuje mnie, łże, podła ropucha. Zaraz poleci do G-2 i zacznie sypać. Muszo za nim iść.“

I włókł się za Carterem, choć tamten coraz przyśpieszał kroku. Wreszcie Mac Donald został sam. Rozejrzał się nieprzytomnie. Dostrzegł żelbetonowy gmach dowództwa bazy, ledwie jednym piętrem wychylony z ziemi. Coś pchnęło Mac Donalda ku drzwiom wejściowym. Jak oczadziały przemierzył korytarz i zatrzymał się przed drzwiami, na których błyszczał emaliowany numer „100“.

Zanim dotknął klamki, drzwi otworzyły się i wyszedł z nich tęgi, czerwonolicy sierżant. Obrzucił Mac Donalda niechętnym spojrzeniem, niedbale zasalutował i mruknął:

— Cooka nie ma, poruczniku Mac Donald — i kiwając współczująco głową poszedł ku wyjściu.

Mac Donald zgarbił się jeszcze bardziej i nagle szybkim truchtem pobiegł przed siebie. Omal nie

przewracając wartownika wypadł na dwór, połknął się i upadł. Usłyszał śmiech. Uniósł zbryzganą błotem twarz i zobaczył stojącego opodal Murraya. Porwał się na równe nogi i na oślep rzucił się do ucieczki. Zjadliwy śmiech Murraya dźwięczał mu w uszach, nawet gdy z łoskotem zatrzasnął za sobą drzwi swego pokoju.

4

— Szukałeś mnie, Mac? — głos Cooka brzmiał zachęcająco.

Mac Donald siedział z opuszczoną głową i nerwowo skubał daszek czapki. Przed chwilą wezwano go do Cooka. Idąc tu bał się nawet pomyśleć, czego Cook może od niego chcieć. Czyżby Carter coś komuś?... Usiadł bez słowa na krześle i milczał, póki Cook nie odezwał się pierwszy. Pyta — czy go szukał. Więc może jeszcze nic nie wie.

Myśli jak ptaki, przerażone nagłym porywem wiatru, tłukły się pod czaszką — niesforne i niespokojne. Przez tych parę godzin dzielących go od rozmowy z Carterem przeżył wiele. Strach i gniew zmagaly się w nim, szarpały, nie dawały chwili wytchnienia. Gardził sobą. Więc już do tego doszedł, że biegł do Cooka, by zdradzić przyjaciela. Łomotały mu w uszach słowa Cartera — „zszedłeś na psy“. O, Carter mało wiedział — to już nawet nie na psy, gorzej, niżej upadł — na samo dno życia. Ale dlaczego? Przecież zawsze uważał się za przyzwoitego człowieka. Był żołnierzem. Więc co? Strach? Zgnietli go, stłamsili tym strachem. Tylko jak odnaleźć w sobie ten

zryw odwagi na jedną, najkrótszą bodaj chwilę. Kim jesteś ty, Lionel Mac Donald, któryś dawniej marzył o cudownej kranie Szengri Lah? Morde rą, szpiclem własnych kolegów, nędznym tchórzem, donosicielem... Lecz samobiczowanie nie przynosiło ulgi, nie ukazywało wyjścia. Gdyby tak złapać Cartera, przycisnąć go do muru i kazać — powiedz, co myślisz o mnie, o sobie, o wszystkim... Ale kim jest Carter? Byłem gangsterem... Czy jemu można wierzyć? A może Ben ma rację — są chwile, kiedy nawet w gangsterze budzi się człowiek. Nawet w gangsterze! A przecież on nigdy nie był gangsterem. Więc dlaczego w nim się ten człowiek nie budzi, a jeśli nawet daje o sobie znać jakimś ludzkim uczuciem, to od razu wyrasta fala strachu i zalewa serce, i przytłacza każdą myśl?

Miotając się w swym ciasnym pokoju postanowił: wieczorem pójdzie do Cartera. Odnajdzie go, szczerze porozmawia, zagłuszy w sobie przekłętą strach.

To postanowienie przyniosło mu nieznaczną ulgę. Powie Carterowi wszystko — nawet to najstraszniejsze, że pobiegł do Cooka, aby go wydać, i tylko przypadek sprawił, że tak się nie stało. Niech mu Ben napluje w twarz, nawymyśla, zbije — to już nie będzie miało znaczenia. Byle tylko mu pomógł odnaleźć w sobie człowieka.

Wszystkie te myśli pierzchły, gdy otrzymał wezwanie do Cooka. Szedł do niego z głową pustą jak próżna butelka po whisky. Wolał nie zastanawiać się nad tym, po co i dlaczego kazano mu się stawić. Bo myśleć o tym, oznaczało myśleć także o własnej obronie, o oskarżeniu przyjaciela, zdra-

dzeniu go... A teraz Cook pyta, czego on, Mac Donald, chciał.

— Ja tak... po prostu — jąkał się — chciałem...

— No gadaj już, czegoś chciał! — warknął zniecierpliwiony przeciągającym się milczeniem kapitan.

— Chciałem...

„Co powiedzieć, co wymyślić? — rozpaczliwie szukał w pustej głowie Mac Donald. — Trzeba coś mu podsunąć, jak psu kość... Żeby nic podejrzewał...“

— Chciałem, *cap*, zwrócić uwagę na — „powiedzieć czy nie powiedzieć?“ — na gadatliwość Murraya — i wypalił i zląkł się swych słów, Ale teraz nie było już odwrotu. Trzeba dokończyć. — Już kilkakrotnie wszczynał rozmowy na temat naszych akcji specjalnych — wymamrotał niewyraźnie, nie podnosząc oczu, i zamilkł.

Chwilę trwało milczenie. Potem usłyszał głos Cooka.

— Hm, Murray, powiadasz... Dobrze. A jeszcze co?

— Więcej nic — bąknął Mac Donald.

Odważył się unieść głowę i zerknąć na twarz kapitana. Cook siedział zamyślony. „Powinien mi powiedzieć: — idź już“ — myślał Mac Donald, chciał nawet wstać, wyjść z tego gabinetu. Odetchnąć świeżym powietrzem. Kapitan widocznie zauważył gest lotnika.

Zmarszczył brwi, ale nie powiedział nic, tylko zaczął nakręcać zegarek. Mac Donald mimo woli zrobił to samo. Cóż to, już siódma? A z Carterem rozstali się w południe. Cook zabębnił palcami po stole.

— Znałeś Cartera? — zapytał nieoczekiwanie.

Mac Donald przymknął oczy. Przeniknął go jakiś głęboki wewnętrzny dreszcz. Zaczyna się. Carter sypnął. A jeśli nie Carter, to kto? Zaraz, zaraz, a dlaczego Cook pyta „znałeś”, nie „znasz”. Czyżby?... Napiął mięśnie twarzy, by opanować drzenie szczęki. Nie mówić nic. Nie zdradzić się. Niech lepiej mówi Cook.

— Tak — odparł najciszej, jak mógł, niemal szeptem.

— Przyjaźniliście się, co? — pytanie Cooka brzmiało natarczywie, żądało natychmiastowej odpowiedzi.

— Ech, nie. Trochę kolegowaliśmy... Ale dawno — w pośpiechu dorzucił Mac Donald.

— A ostatnio?

„Nie mogę, nie mogę powiedzieć — jęczał w duchu Mac Donald. — To pułapka. Wiem. Ale nie mogę. Gdybyś był w swoim gabinecie w południe, powiedziałbym ci wszystko. Gotów byłem wtedy popełnić każdą podłość. A teraz nie potrafię. Nie męcz mnie...”

— Pokłóciliśmy się już dawno... O dziewczynę...

— Ale widywaliście się, co?

— Raz albo dwa był u mnie. Parę minut. Nie chciałem z nim rozmawiać. Nie znośłem go. Podła ropucha! — gorączkowo wykrzykiwał Mac Donald, by zagłuszyć inne słowa, niby węże wypełzające skądś z zakamarków myśli — lepkie i zdradliwe, jak strach potęgujący się z każdą sekundą.

— A o czym gadaliście dzisiaj? Przyszedł do ciebie do klubu...

„Jeśli nie słowa, to twarz, krople potu na czo-
le, drżące? ręce mnie zdradzą — myślał Mac Do-
nald. — Trzeba ciągnąć tę historię z dziewczyną.
Może uwierzy.”

— Znów o to samo mu chodziło. O dziewczynę.
Odbiłem mu ją jeszcze w Stanach. Dopytywał
się, czy dostaje od niej listy. Chciał się z nią żenić
— plótno, co mu ślina na język przyniosła.

Cook zdawał się nie słuchać. Wstał, przeszedł
się po pokoju. „Teraz usiądzie na biurku, przede
mną — powiedział do siebie Mac Donald — kola-
nem na wprost twarzy. Będzie bił...” Ale kapitan
zatrzymał się przy szczelnie zasłoniętym oknie.

— Paskudna historia wybuchnął. — Nikt nic
nie wio. Ta bestia z nikim się nie przyjaźniła. Nic
nie rozumiem.

Mac Donald zebrał się na odwagę.

— Czy stało się coś, *cap?*

— Stało się? To ty nic nie wiesz? — zdziwił
się Cook. - Siedzisz w tym swoim pokoju jak bor-
suk w norze — dodał pogardliwie. — Carter nie
wrócił z akcji.

— Nie wrócił? Zestrzelony? — przed oczyma
Mac Donalda zatańczyły czerwone platy.

— Zestrzelony? — wybuchnął Cook. — Pew-
nie, że zestrzelony. Ale przez naszych. Ta Świnia
chciała zwiać. Rozumiesz? Był nalot na to, no —
nerwowo podrapał się w czoło — Kymczon czy jak
się ta zawszona miejscowość nazywa. Zaraz za li-
nią frontu. Samolot Cartera został uszkodzony.
Bardzo lekko zresztą. Dowódca skrzydła kazał mu
się wycofać z walki i wracać na najbliższą bazę, bo
łatwo mógłby dociągnąć. A la Świnia zamiast na
południe poleciała na północ. Chciał uciec, rozu

miesz? Ale nasi chłopcy nie lubią świń. Jeden poleciał za nim i paru seriami wypuścił mu bebechy.

Mac Donald siedział jak skamieniały. Huczały mu w główne tysiące młotów wybijając rytm: Carter zestrzelony, Carter zestrzelony.

— Diabli z nim — wściekał się Cook. — Rozpruli świnię i dobrze. Ale ja muszę wiedzieć, z kim był w znowie. Rozumiesz? Muszę. Wszyscy jesteście łajdakami i przeklętymi tchórzami.

Pieklął się, kłął, sypał pogróżkami i obelgami. A Mac Donald powtarzał tylko ledwie poruszając ustami: „Carter zestrzelony, Carter zestrzelony”.

— Ty, Mac. — Poczul na ramieniu ucisk ręki kapitana, w twarz uderzył mu przesycony zapachem tytoniu oddech. — Mów prawdę: gadał z tobą o ucieczce, namawiał? Gadaj! — ryknął i szarpnął nim, aż urwał się guzik naramiennika. — Zduszę cię jak pchłę, jeśli skłamiesz. Gadaj!

Mac Donald zdobył się na nadludzki wysiłek. Spojrzał Cookowi prosto w oczy i wyraźnie odparł:

— Mówiliśmy tylko o dziewczynie. To znaczy, on mówił, a ja nawet słuchać nie chciałem.

Cook odepchnął go i wrzasnął:

— Jeżeli łiesz, to ci serce wyrwę... o, tymi — podsunął mu pod nos palce wykrzywione niby szpony — o, tymi rękami. A teraz idź precz. I żebyś słowem nie pisnął o tej historii. Carter zestrzelony — tyle wiesz. I słuchaj, co gadają twoi kole-dzy. Murrayem się nie zajmuj. To nie twoja sprawa. A na innych żebyś miał oko. Bo jak nie, to z ciebie krwawa plama zostanie. Rozumiesz?

Mac Donald wracał do siebie wolnym krokiem. Co chwila przystawał. A więc Carter to miał na myśli. Pewnie przyszedł pożegnać się. Może chciał

go nawet namawiać do ucieczki. Chyba tak. Teraz inaczej rozumiał i słowa, i zachowanie utraconego przyjaciela. Nawet gangster odnajduje w sobie człowieczeństwo. Tak.

Zatrzymał się. Powietrze drgało od ryku motorów. Wysoko w górze krążyły już myśliwce. Migotały w mroku nieba gwiazdy światełek na skrzydłach. Z ziemi wzbijały się w ciemność ciężarne bombami super-fortece.

Mac Donald odprowadził je oczyma, póki czarne kadłuby nie rozplynęły się gdzieś nad głową, i nagle głośno zapytał:

— A ty, Lion, potrafisz odnaleźć w sobie coś, co można nazwać człowiekiem?

W trzy godziny później wezwano go do oficera operacyjnego.

ROZDZIAŁ V

1

Na lotnisku powitało Crosby'ego kilku wyższych wojskowych. Crosby znał tylko jednego z nich — kulawego majora pełniącego w dowództwie obozów jenieckich na Kożedo nieokreśloną bliżej funkcję „doradcy do spraw lecznictwa zamkniętego”. Takie właśnie stanowisko wymyślił dla swoich przedstawicieli sam Crosby.

Całą grupą udali się do położonej w oddali rezydencji szefa wszystkich obozów na wyspie. Okazało się, że eksperci jeszcze nie przyjechali i Crosby postanowił resztę wolnego czasu poświęcić na rozmowę z kulawym majorem. Poprosił o poro-

zumienie się z Pusanem i wyjaśnienie, kiedy należy oczekiwać gości, a sam zamknął się w pokoju z majorem. Spodobała mu się zwięzła i treściwa relacja „doradcy”. Major, choć o przyjeździe zwierzchnika dowiedział się niedawno, rzeczowo referował przebieg tak zwanej akcji pomocniczej. We wszystkich sektorach uruchomiono już specjalne szpitale. Pracami kieruje ośrodek centralny dostarczający coraz to nowych szczepionek. Zgodnie z poleceniem część chorych podlega intensywnemu leczeniu, część zaś pozostaje od chwili wstrzyknięcia choroby wyłącznie pod obserwacją. Wyniki są znakomite. Zwłaszcza odkąd otrzymali najnowszą mieszkankę kilku szczepów dżumy. Wśród nie leczonych śmiertelność osiąga przeciętnie dziewięćdziesiąt pięć i więcej procent. Wśród leczonych przekroczyła pięćdziesiąt procent. Takich rezultatów nie spodziewano się.

Crosby z zadowoleniem kiwał głową. Słowa majora umacniały w nim pewność, że zrzuceni za linią frontu agenci albo kłamią, albo pracują nieudolnie. Nie jest rzeczą możliwą, by po zrzucie następowały jedynie sporadyczne zachorowania. Chyba że lotnicy zrzucają bomby na ślepo.

— Czy robicie także eksperymenty? — zwrócił się do majora.

— Naturalnie — ożywił się zapytany. — Doktor Perkins, pan pułkownik go sobie może przypomina, pracował w Tokio z doktorem Otomurą, przeprowadził kilka bardzo ciekawych doświadczeń. Czy mam je zreferować, czy też pan pułkownik woli zapoznać się z nimi osobiście. To bardzo, bardzo interesujące...

Dżuma II

— Chętnie obejrzę i mam nadzieję — popatrzył na zegarek — nasi goście także. Niedługo już chyba przyjadą. Żałuję, że nie zatrzymałem się w Pusanie.

— Zaraz dowiem się, czy jest już odpowiedź z Pusanu.

Crosby'emu nie chciało się czekać w pustym pokoju. Wszedł przed dom. Rozejrzył się. Ta część wyspy, gdzie znajdowało się lotnisko i dowództwo obozów, przypominała rozległy park. Smukłe bambusy potrząsały kitami liści. Jak okiem sięgnąć — zielono, zielono. Odetchnął głęboko. Tu czuje się już ciepły powiew wiosny. Zerwał drobny listek wiecznie zielonej japońskiej kamelii. Z zazdrością pomyślał o kulawym majorze i całej tej bandzie obozowych nierobów. Wielka rzecz pilnować jeńców. Mogą do woli odpoczywać i nabijać sobie kiesy kradzionym groszem. A kamelie rozkwitną już niedługo purpurą kwiatów podobnych do rozkwitłych róż. Zdaje się, że Mary lubi kamelie. Mary — szepnął i odrzucił listek.

— Dzień dobry, pułkowniku — powiedział ktoś za plecami miękki, śpiewnym akcentem.

Obejrzał się. Uśmiechnięty, w szarym ubraniu wojskowego kroju stał Kanadzawa, kłaniając się głęboko i krzyżując na piersiach ręce. Tylko tego tu brakowało do kompanii — zzymnął się w duchu Crosby. — Stary żandarm. Tyle już miał przez niego przykrości. Ale nie dał po sobie poznać niechęci.

— Aaa, generał Kanadzawa, witam, witam! — zawołał z udaną wylewnością, ściskając suchą, szczupłą dłoń Japończyka. — Dawnośmy się nie widzieli, bardzo dawno.

Dżuma II

— Nie człowiek rządzi losem, lecz los człowiekiem, pułkowniku. Ale — teatralnym gestem Kanadzawa uniósł rękę do góry — dla nas los jest łaskawy — chwilę przeczekał, jakby chcąc podkreślić dwuznaczność swych słów — i pozwolił nam znów się spotkać. Cieszę się ogromnie.

— A cóż pan tu robi, generale? — sucho i jakby rozkazująco zapytał Crosby.

— Pracuję, pułkowniku. Jak zawsze pracuję dla dobra mej ojczyzny i przyjaciół. — Coś drapieżnego błysnęło w oczach Kanadzawy.

— Tu? — zdziwił się Crosby i wzruszył ramionami.

— Właśnie tu. — Kanadzawa znów skrzyżował ręce na piersi i nisko schylił głowę.

— Ale czym pan się tu może zajmować, generale? — Crosby był coraz bardziej zdziwiony.

— Jeńcy wojenni, pułkowniku, to ważny problem — westchnął Kanadzawa. — Nie, nie, wie pan o tym z pewnością więcej niż ja. Nasi amerykańscy przyjaciele przywiązują wielką wagę do sprawy jeńców. Trzeba im pomóc wyzwolić się spod terroru komunistów, by mogli wybrać wolność, którą my — chrząknął — to jest Narody Zjednoczone, chcą im wspaniałomyślnie ofiarować.

— A pan?

— Ja? Cóż, jestem skromnym starcem, który póki życia służy wielkim celom. Zwalczamy terror komunistyczny, uwalniamy jeńców od czerwonych agentów. To ciężka praca odnaleźć ich w takim tłumie.

„Stary pies — z odrazą pomyślał Crosby — znalazł sobie odpowiednie zajęcie. Robi to samo co i za dawnych czasów. Łapacz.“

— Czy pan pułkownik pozwoli mi towarzyszyć ekspertom z zagranicy podczas zwiedzania obozów? — uprzejmie zapytał Kanadzawa. — Słyszałem, że przyjedzie mój stary przyjaciel i wybawca, drogi pułkownik Crosby, i pomyślałem: na pewno mi nie odmówi.

Crosby zaśmiał się wesoło. A to przechera z tego Kanadzawy. Wszystko zawsze wywęszy, wszystkiego się dowie. I rób tu co z takim.

— Dobrze, generale — poklepał go po ramieniu. Niechęć prysła. — Pójdzie pan z nami. Ale — przyłożył palec do ust.

W oczach Kanadzawy błysnął jakiś ognik. Crosby'emu wydało się, że Japończyk jest zły. Obrażliwy naród. Nie pożałował jednak swego gestu, niech żandarm zna swoje miejsce.

Kuśtykając nadszedł major. Eksperci już przyjechali. Okazało się, że zamiast samolotem wybrali się statkiem. Chcieli obejrzeć piękno południowych brzegów Korei. Crosby ruszył za majorem. Kanadzawa szedł o krok z tyłu.

W rezydencji dowódcy obozów panował gwar. Kilku żołnierzy roznosiło na tacach szklaneczki otaczające wiankiem pękate butelki i syfony z wodą sodową. Crosby obszedł pięciu gości, podając każdemu rękę. Potem wziął z tacy szklaneczkę, nappełnił ją i podszedł do Meisfelda i Otomury. Za nim jak cień podążał Kanadzawa. Otomura przywitał się z generałem, jakby widzieli się pierwszy raz. „Umieją maskować swe uczucia — z zawiścią pomyślał Crosby. — Znają się przecież od lat, jeszcze z czasów Isii Siro.“ Przedstawił Japończyka Meisfeldowi. Niemiec usłyszawszy nazwisko generała rozpromienił się i ręce rozłożył niby skrzydła.

— **General Kanadzawa? Oh, Wunderbar! Gnadiger General, wunderbar!**¹⁸

Crosby popatrzył nań ze zdziwieniem. Czego ten znów się cieszy, jakby spotkał starego przyjaciela. Przecież nie mogli się znać. Zauważył, że i Kanadzawa jest zdziwiony, choć tego nie okazuje. Ale Meisfield nie kazał im długo czekać na wyjaśnienia.

— Mam dla pana pozdrowienia, Herr Kanadzawa — zaczął po angielsku i od razu przeszedł na niemiecki. — Mój syn wspomina pana zawsze. Prosił przekazać wyrazy szacunku, gdybym miał szczęście spotkać pana. — Poszperał w portfelu i podsunął Japończykowi pod nos fotografię. — Pamięta pan?

Twarz Kanadzawy rozplynęła się w uśmiechu.

— Pański syn? Jakże, pamiętam, pamiętam — odpowiedział po niemiecku i na znak radości przycisnął fotografię do serca. — Wspaniały młody człowiek. Doskonały oficer. Gościł w naszej ojczyźnie w pewnej misji. Dawno to było — dokończył z westchnieniem.

Crosby nie mogąc zrozumieć, o czym mówią, ujął Otomurę pod rękę.

— Winszuję panu, drogi doktorze. Rezultaty znakomite. Po wstrzyknięciu ostatniego pańskiego preparatu śmiertelność jest fantastyczna.

— Dziękuję, pułkowniku. — Otomura poprawił okulary na nosie. — A jak tam praktyczne wyniki? Na północy? — zapytał półgłosem.

Crosby skrzywił się.

— Na razie trudno ustalić. Dane są jedynie fragmentaryczne. Jak dotąd, nie jestem nimi zachwycony.

- Czy próbowaliście już metodę rozpylania?
- Jeden raz.
- A wyniki?

Crosby rozłożył ręce.

— Szkoda. — Otomura zamyślił się. Może przejdziemy na chwilę pod okno. Tu zbyt gwarно.

Crosby mruknął coś przepraszając Meisfelda i Kana-dzawe, ale ci tak byli zajęci sobą, że nie zwrócili na niego uwagi. Usiadł na krześle obok Otomury i zaczęli rozmawiać przyciszonym głosem.

2

Zwiedzanie szpitali specjalnych zaczęli od razu po obiedzie. Oprócz pięciu ekspertów, Crosby'ego i kulawego majora pojechał Kanadzawa i wezwany rudy lekarz nazwiskiem Perkins. Crosby wolał trzymać się na uboczu. Ostrożność nie zawadzi, ale wstyd mu było wykręcać się, pokazać, że się boi choroby, on, który chorobami rządził.

Gdy przechodzili przez obóz, zdumiało go, że nie widzi jeńców. Czyżby ich gdzieś wysłano? Chciał zapytać o to majora, ule tamtego zagarnęli już Meisfeld i Otomura. Na szczęście obok pułkownika szedł Kanadzawa.

— Dlaczego tu tak pusto?

Kanadzawa skrzywił usta w pogardliwym grymasie.

— Dowódca obozu kazał ich zamknąć w barakach.

— Co? Buntują się?

— Przecież nie wszyscy są chorzy — nie kryjąc ironii odparł Japończyk. — Zresztą chorzy też potrafią się buntować. A przy ekspertach strzelać... nieprzyjemnie.

W pierwszym szpitalu leżało trzydziestu sześciu chorych. Perkins i lekarz dyżurny obszernie tłumaczyli, co komu wstrzyknięto, jaki jest stan „pacjentów”. Ilu zmarło, ilu umrze w ciągu najbliższych kilku godzin. Crosby zatrzymał się opodal pryczy, na której leżał wychudzony, podobny do obciążonego skórą szkieletu człowiek. Ostro zarysowany, zadarty podbródek, pokryty skąpym zarostem, drgał. Chory miał oczy przymknięte. Szeroko otwartymi ustami chwycił powietrze.

Meisfeld pochylił się nad nim zacierając ręce.

— Agonia — powiedział głośno.

Crosby wzdrygnął się. Co innego trupy na froncie, a co innego w tym cuchnącym „szpitalu”. Pożałował nagle, że tu przyjechał. To nie jego robota. Niech się uczeni bawią trupami, do niego należą ważniejsze sprawy.

Perkins objaśniał coś Meisfeldowi używając niezrozumiałych, łacińskich nazw.

— Znakomicie, panowie — Meisfeld powiedział to niemal uroczyście. — Agonia po dwudziestu godzinach to rezultat fantastyczny.

— Doktorze Otomura, das *ist wunderbar!*

Crosby odsunął się dalej na środek baraku. Co za diabli — przeszło mu przez głowę. Tu w laboratoriach mamy znakomite rezultaty, a bombardowania dają znacznie gorsze wyniki. Otomura twierdzi, że wystarczy ugryzienie pchły. Więc jakże to może być? „Pcheł zrzuca się miliony. Założmy, że tylko dziesięć procent dostanie się do lu-

dzi. To także powinno dać tysiące trupów — a meldunki mówią, że są tylko pojedyncze zachorowania. Powiedzmy, że pomagają szczepienia.

Uodparniają, wzmacniają obronność organizmu. Ale przecież bomb spada na północy tyle, że w warunkach laboratoryjnych wystarczyłoby tego na uśmiercenie ogromnej liczby ludzi. Co za diabli?

Trzeba będzie jednak porozmawiać jeszcze z Meisfeldem. Gdzie może tkwić błąd w obliczeniach?" Postanowił, zgodnie z radą Otomury, rzucić do akcji „suprop” więcej samolotów rozpylających czyste kultury bakterii.

„Czego się tam grzebią przy tych zdechlakach? Obrzydzenie bierze. Mogliby prędzej skończyć oględziny. Trup to trup, a jak chcą dyskutować, to lepiej przecież iść do laboratorium, a nie tkwić w tym smrodliwym powietrzu, gdzie wirują miliony bakterii."

W drodze do następnego obozu zatrzymał przy sobie Meisfelda. W paru słowach wyjaśnił mu, o co chodzi. Meisfeld pokiwał głową.

— Wie pan, od pewnego czasu i ja się nad tym zastanawiam. Bomby bakteriologiczne to niewątpliwie groźna broń. Zwłaszcza tu, w dzikim kraju, gdzie ludzie stoją na najniższym szczeblu rozwoju. Dla nich pasożyty to nieodłączni towarzysze życia, tak jak dla nas na przykład radio czy telefon — zaśmiał się zadowolony z konceptu. — Dyskutowaliśmy z kolegą Otomurą nad niskim wskaźnikiem zachorowań po bombardowaniach. Osobiście nie wierzę, by ten prymitywny naród można było ująć w karby dyscypliny sanitarnej. Ale wie pan, z dzikusami różnie bywa — westchnął. — Czasem oka-

zuje się, że przyswajają sobie cechy ras wyższych. Warto będzie o tym pomyśleć, *Herr Oberst*, przepraszam... *dear colonel*. Uważam, że powinniście się nastawić głównie na bombardowanie zbiorników wodnych. Pchła może ugryźć — i nic, a wypita woda niewątpliwie powinna dać rezultat.

Crosby'emu przypomniał się jeden z najlepszych meldunków, jaki dotąd otrzymał. W jednej wiosce kilkunastu zmarłych. Agent podawał, że w studniach znaleziono zdechłe szczury i pchły. To by potwierdzało rozumowanie Meisfelda. Zresztą Otomura też już nieraz wspominał o konieczności zakazania wody pitnej.

Przeszli przez bramę obozu. Crosby niedbale zasalutował. Trzeba natychmiast po powrocie rozesać odpowiednie instrukcje. Dobrze jednak, że się wybrał do obozów. Osobista rozmowa z ekspertami to nie to co korespondencja. Pisziesz, potem czekasz na odpowiedź, znów pytasz... A tu raz, dwa i gotowe.

— Proszę za mną, panowie — soczysty bas Perkinsa brzmiał zachęcająco. — Pokażę panom interesujący eksperyment. Na sali ogólnej nie będziemy się zatrzymywali, przejdziemy prosto do separatki.

Meisfeld parsknął śmieszkiem, tak nienaturalnie zabrzmiało określenie „separatka” w zestawieniu z mrocznym zaduchem obozowego szpitala.

— Pomysł eksperymentu należy do kolegi Kinga — z ożywieniem ciągnął Perkins. — Niestety, jest teraz zajęty pacjentami w sektorze 76. Jeśli panowie będą sobie życzyli, to zajrzemy do niego później. Pomysł Kinga jest w zasadzie niezwykle prosty — wrócił do sprawy zasadniczej. — Uznał,

że lepsze wyniki można uzyskać prowadząc badania nie na zwierzętach doświadczalnych, lecz bezpośrednio na ludziach.

Otomura pokiwał aprobowująco głową. Perkins odpowiedział mu uśmiechem.

— Zgodziłem się — mówił dalej — na ten projekt. Uznaliśmy, że najlepiej będzie prowadzić doświadczenia tu, na miejscu. Nie ma ograniczenia w obiektach doświadczalnych.

Obejrzał się, czy wszyscy są już w ubraniach ochronnych, i pchnął drzwi do baraku. Meisfeld chciał się przy jednym z pacjentów zatrzymać, ale Crosby pociągnął go za sobą. Weszli do niewielkiej komórki oddzielonej od pozostałej części baraku solidnym przepierzeniem.

Pośrodku leżał nagi człowiek. Na jego ciele widoczne były drobne, czerwone cętki — ślady ukąszeń. Ręce i nogi miał przywiązane do stołu operacyjnego. Mocne sznury opasywały również jego brzuch i piersi. Dopiero po bliższym przyjrzeniu się Crosby zobaczył, że człowiek leży pod szklanym kloszem, od którego odchodzi kilka rurek. Przysunął się dotykając niemal nosem przezroczystej powierzchni. Zauważył drobniutki, skaczące, czarne punkciki. Przywiązany człowiek wzdrygał się chwilami. Po twarzy przelatywały mu nagłe skurcze. Wtedy unosił powieki i szklanymi źrenicami wpatrywał się przed siebie, przygryzał zębami wargi. Musiał to często robić, bo na wargach widoczne były świeżo, zakrzepłe kropelki krwi. Na widok obserwujących go ludzi przymknął oczy.

Otomura poprawił okulary. Błysnęły białe, mocne zęby.

— Jak długo leży? — odezwał się nie odrywając spojrzenia od człowieka pod kloszem.

— Dwanaście godzin — pośpieszył z odpowiedzią Perkins. — Panowie pozwolą, parę słów wyjaśnienia. Klosz jest hermetyczny, utrzymujemy w nim temperaturę nieco wyższą niż pokojową. Przez tę rurę dopływa świeże powietrze, aby pacjenta jak najdłużej utrzymać przy życiu. Pozostałe rurki pozwalają na dokonywanie zastrzyków i pobieranie krwi.

— A jak z karmieniem? — zapytał jeden z amerykańskich ekspertów.

Perkins wzruszył ramionami. Twarz mu sępniała.

— Tędy — pokazał wklęsnięcie w kloszu na wysokości twarzy pacjenta — możemy wprowadzić rurkę i podawać doustnie płynne pożywienie. Niestety to już trzeci pacjent i jak dotąd wszyscy zaciskali zęby uniemożliwiając karmienie. Wstrzykujemy im więc preparaty odżywcze nie zwiększające obronności ustroju.

Otomura zanotował coś w swoim bloczku.

— Czy zmienialiście już komplet pcheł — powiedział tonem egzaminującego profesora.

— Niestety, aparatura wsysająca źle działa, a ze względu na bezpieczeństwo...

Otomura fuknął jak rozgniewany kot:

— Więc czekacie, aż pacjent zdechnie? Tak? Przecież po to chyba robicie doświadczenie, by przekonać się o działaniu pcheł opitych krwią chorego w różnych stadiach choroby!

— A czy próbowaliście, jaka jest skuteczność ukąszeń takich pasożytów? — wtrącił Meisfeld.

— Owszem. — Perkins był trochę speszony gniewnymi słowami Otomury. — Specjalnie wybranych, absolutnie zdrowych jeńców po dokładnej dezynfekcji poddawaliśmy ukąszeniom kilku lub jednej pchły.

— I wyniki? — Meisfeld pochylił się, jakby chcąc odgadnąć odpowiedź.

— Doskonale. Wystarczyła jedna pchła, by poddany eksperymentowi zachorował na dżumę. Na dwanaście doświadczeń mieliśmy dziesięć przypadków śmiertelnych.

— Pozostała dwa?

— O tym będę mógł zakomunikować panom za parę godzin. Kryzys jeszcze trwa.

Crosby przysłuchiwał się tej rozmowie z najwyższym zainteresowaniem. Był dostatecznie już obeznany z bakteriologią, by wysnuć szybko nasuwające się wnioski. Być może kulturom bakterii otrzymanym z krwi świnek i myszy organizm ludzki może się oprzeć. To, co Perkins opowiada, oznacza, że warto spróbować zakażenia pcheł bezpośrednio na człowieku i od razu zrzucić je w bombie. Trzeba będzie zaraz uzgodnić tę sprawę z Otomurą.

— Pójdziemy chyba — odezwał się głośno. — Tu już nic ciekawego nie zobaczymy.

— Chciałbym obejrzeć analizy — odezwał się ekspert z Ameryki.

— Dobrze. — Crosby przyzwalająco skinął głową.

— A my pójdziemy do Kinga — tonem nie dopuszczającym sprzeciwu oświadczył Otomura.

Crosby westchnął. Jeszcze jeden szpital. Brr — wstrząsnął się z obrzydzeniem. Żrą człowieka pchły, a on ich nawet zabić nie może.

Wychodząc obejrzał się. Nagi człowiek pod kłosem leżał nadal bez ruchu. Tylko twarz wykrzywił mu jakiś grymas i grdyka drgała nerwowo pod napiętą skórą szyi.

3

Do sektora 76 przyjechali samochodami. I tu jak wszędzie było pusto. Tylko wartownicy przeżyli się na baczność pod ścianami baraków. Ledwie uszli kilkanaście kroków, rozległ się pomruk, jakby spora grupa zanuciła pieśń. Po chwili pomruk zamienił się w wyraźną melodię.

— A to co? — zdziwił się Crosby.

Kanadzawa łypnął okiem za siebie i odsłaniając w uśmiechu zęby, odpowiedział:

— Śpiewają. Weszło im, więc śpiewają.

Crosby zauważył, że pod ścianami jednego baraku zebrało się już kilku strażników. Któryś z nich łomotał kolbą karabinu w drzwi i ostrym, skrzekliwym głosem wołał:

— Milczeć, milczeć!

Towarzyszący gościom dowódca ochrony sektora, rosły drab w mundurze sierżanta i hełmie MP, popatrzył wyczekująco na Crosby'ego. Ten uśmiechnął się ironicznie i przytrzymał za ramię Kanadzawę.

— Rzeczywiście wesoło im. Dobrze się pan stara o swoich więźniów, generale. To pewnie niespodzianka dla nas...

Kanadzawa skłonił lekko głowę. Crosby zobaczył, jak mu drgnęły ramiona. Odpowiadając jednak, miał usta rozchylone w uśmiechu.

— Cieszę się, że pan zwrócił na to uwagę, drogi pułkowniku. Tym hojniej wynagrodzimy śpiewaków.

Pozostali albo nie zwrócili, albo udawali, że nie zwracają uwagi na ten incydent. Jedynie Meisfeld skrzywił się z niesmakiem i głośno powiedział do Crosby'ego:

— Uczyć się trzeba, pułkowniku, uczyć. W obozach niemieckich jeńcy śpiewali weselsze piosenki.

Crosby zachnął się urażony. Bezcelny Niemiec, będzie go tu uczył porządku. Nie zdążył jednak odpowiedzieć, bo wyręczył go Kanadzawa.

— Ludzie wschodu, szanowny profesorze, są powolniejsi od was, Europejczyków. Niedługo zacząną śpiewać weselej.

Crosby wyobraził sobie, co tu się będzie działo po ich odjeździe. Kanadzawa — choć nie daje tego po sobie poznać — jest wściekły. Ten drab z MP też tylko czeka na dogodny moment. Za parę dni w gazetach znów ukażą się wzmianki o zlikwidowanym buncie więźniów na Kožedo. Ale jego to nie obchodzi. On ma swój business.

W niewielkim baraku przeznaczonym na szpital zakaźny sektora 76 nastrój i atmosfera niczym się nie różniły od widzianych poprzednio. Prycze z miotającymi się w gorączce i prycze z ucichłymi w agonii. Otomura rozmawiający z lekarzem, Perkins z emfazą wygłaszający tyrady, Meisfeld schylony nad mikroskopem. Jakie to wszystko nudne, nie-

ciekawe. Crosby, niedbale zasłaniając dłonią usta — ziewnął.

Uwagę jego zwróciło skrzypnięcie drzwi prowadzących do dyżurki. Wszedł jeniec niosąc naręcze drzewa. Jeniec miał nisko opuszczoną głowę, jakby starał się nie patrzeć na nieoczekiwanych gości. Aby przepuścić go do pieca, Crosby musiał się odsunąć. Wtedy jeniec na chwilę uniósł twarz. Crosby zdziwił się. Przecież to, kobieta. Przyjrzał się natarczywie obdarłej postaci i nie krępując się zajrzał przechodzącej w twarz. „Musiała kiedyś być ładna — pomyślał. — Może nawet teraz jest ładna. Tylko że zmęczona i wygłodzona. Pewnie jakaś łączniczka czy sanitariuszka przypadkiem wzięta do niewoli, Gdyby ją tak wykapać, ładnie ubrać...”

Uśmiechnął się do własnych myśli. Rozejrzał się. Zdziwił go wyraz twarzy Kanadzawy. Japończyk nie spuszczał oczu ze schylonej przy piecu kobiety. Wargi rozchylił w jakimś drapieżnym, grymasie. „Ale go wzięło — zaśmiał się w duchu Crosby. — Gorący Japończyk. Stary, ale jary...”

Kanadzawa przestąpił z nogi na nogę. Kobieta, być może, poczuła jego spojrzenie, bo na krótką chwilę rzuciła okiem za siebie i znów wróciła do swojej roboty. Crosby dostrzegł, że Kanadzawa z największym trudem powstrzymał się, by nie rzucić się na nią. „Gotów jeszcze wywołać awanturę” — pomyślał z niesmakiem i aby przywołać Japończyka do porządku, pociągnął go za rękaw. Kanadzawa popatrzył na niego gniewnie i Crosby przeląkł się. W oczach starego żandarma płonął jakiś dziki, żółty blask. Pomyślał: „Tak samo łypie ślepiami puma chwilę przed skokiem na prze-

ciwnika". Ale Kanadzawa nie skoczył, tylko lekkim skinieniem głowy dał znak Crosby'emu, że chce wyjść z nim z dyżurki. Zdumiony pułkownik ruszył za nim przez ciemny korytarz oddzielający dyżurkę od części baraku, w której leżeli chorzy.

Ledwie wyszli na dwór, Kanadzawa chwycił Crosby'ego za ramię. Taki wybuch u Japończyka był czymś dziwnym i niepojętym.

— Co się stało, generale? — zapytał Crosby widząc, że tamtemu z podniecenia słowa nie mogą precyzyjnie przejść przez gardło.

— Czy pan wie, kto to jest? — przytłumionym, ochrypłym głosem wycharczał Kanadzawa.

— Kto? — Crosby'emu udzieliło się zdenenwowanie Japończyka. — Kto?

— Ta... ta dziewczka.

— Pierwszy raz ją widzę. Zna ją pan? Generale! Kto to?

— To, to ona... rozumie pan... raz mi się wymknęła, ale teraz — zazgrzytał zębami — teraz będę ją ciął na kawałki, będę się sycił zemstą do woli.

— Ale kim ona jest? Skąd ją pan zna?

— Ja? — Kanadzawa zachichotał. — Poznałem ją w tych samych okolicznościach co i pan, pułkowniku. To nasza wspólna przyjaciółka. Cha, cha, cha, przyjaciółka.

— Powinien pan napić się *wody*, mister Kanadzawa — sucho oświadczył prostując się Crosby. — Pierwszy raz widzę tę dziewczynę.

— Ale zna ją pan. — Kanadzawa nagle się uspokoił. — Niech pan postara się przypomnieć: Tokio...

Pułkownik Crosby szuka niebezpiecznego dra-
ba, który siara się wykraść Ameryce wielką tajem-
nicę... Tamten znika nagle... Nikt go nie może od-
naleźć... Potem równie nagle pojawia się, oszukuje
cały sztab amerykańskiego wywiadu...

— Dość! — okrzyk Crosby'ego zadźwięczał
ostro, nerwowo. — Dość! Kim jest ta dziewczyna,
no?!

Ręka Crosby'ego mocno ścisnęła łokieć Ka-
nadzawy. Twarz pułkownika poczerwieniała —
zdawało się, że krew tryśnie wszystkimi porami
skóry.

Kanadzawa uśmiechał się ironicznie, jakby za-
dowolony, że Amerykanin też nie zdołał zapanować
nad sobą.

— To ona — powiedział cedząc słowa. — To
ona przechowywała Fukudę. To ona uciekła z nim
z Japonii. została jego żoną...

— Ona?! — Crosby chwycił się za gardło, jak-
by mu zabrakło tchu. — Ona, tu? Skąd? W jaki
sposób. Kanadzawa !

— O tym dowiemy się za chwilę, pułkowniku.
Proszę poczekać tu. Musimy działać ostrożnie.

Kanadzawa przywołał jednego z wartowników i
coś mu powiedział półgłosem. Crosby nie słyszał
co. W głowie miał zamęt i chaos. Usiłował zebrać
rozpierzchłe myśli — ale bezskutecznie. Żona Fu-
kudy? W obozie? Tam gdzie prowadzi się doświad-
czenia? Czy to możliwe? Jak do tego doszło?
Przecież to straszne! Jeśli ona tu jest, to i on
gdzieś może być w pobliżu. Może czai się niedale-
ko. Może zakradł się do któregoś laboratorium i
znów posiadał tajemnicę Crosby'ego. Nie...
nie... Trzeba działać... Dodge mówił, że złapano lu-

dzi szukających baz „suprop“. To na pewno sprawka Fukudy. O tak. Ci czerwoni mogą zdobyć się na wszystko. Gotowi są wleźć nawet lwu w paszczę, aby osiągnąć swój cel. Trzeba działać... Ale co robić? Jak schwytać Fukudę, jak wydusić zeznania z tej kobiety? Na pewno jest równie twarda, przebiegła i odważna, jak jej przekłety mąż.

Nie zauważył nawet, jak dwaj wartownicy powlekli kobietę ku stojącym z dala barakom ochrony obozu. Ocknął się dopiero, gdy Kanadzawa trącił go mówiąc:

— Idziemy. Tu — głową wskazał barak szpitalny — wszystko załatwiłem. Przeprosiłem w pańskim imieniu ekspertów. Powiedziałem, że otrzymał pan pilne wezwanie. Zresztą zajęci są jakimś nowym eksperymentem Kinga. Chodźmy.

W ciemnej, pozbawionej okien budzie reflektor rzucał jaskrawy snop *światła*. *Obok niewielkiego stolika stała ławka*. Crosby usiadł obok Kanadzawy. Poza nimi nie było tu nikogo. Kanadzawa zawołał. Otworzyły się drzwi i wartownicy wprowadzili Tanimę. Kanadzawa spojrzał wyczekująco na pułkownika. W obecności wyższego oficera amerykańskiego nie miał prawa rozkazywać. Crosby zrozumiał.

— Precz!

Wartownicy pośpiesznie znikli. Crosby przymknął na chwilę oczy. „Spokój, tylko spokój“ — nakazywał sobie w myślach. Drżącą ręką chwycił się stołu i mocno zacisnął palce na chropawej powierzchni. Opanował wzburzenie i dopiero wtedy dał znak Kanadzawie, że można zaczynać.

Nikt nie poznałby teraz po starym żandarmie, że jeszcze przed kilku minutami dygotał z podnie-

cenia. Obojętna twarz, spokojny głos, ręka od niechcienia oparta o stół.

— Jak się nazywasz? — Pytanie padło po chińsku.

Milczenie.

— Jak się nazywasz? — To samo po koreańsku.

Znów cisza.

— Jak się nazywasz? (Tym razem po angielsku.)

Niema obojętność kobiety.

Kanadzawa uśmiechnął się i odwrócił twarzą do pułkownika.

— Albo niemowa, albo nie zna żadnego z tych języków — powiedział głośno. — Spróbuję po japońsku.

I do więźniarki:

— Jak się nazywasz?

Nic. Ani jeden muskuł nie drgnął na twarzy kobiety.

— Chora, pułkowniku, ciężko chora kobieta — w głosie Kanadzawy zabrzmiały nutki współczucia. — Zanik pamięci. Własnego nazwiska nie pamięta, żadnego języka nie rozumie. Cóż — westchnął. — Będziemy musieli jej pomóc. Chłopcy czekają za drzwiami... — Zamilkł i zwracając się do kobiety, ostro krzyknął po japońsku:

— Chcesz się z nimi spotkać, co? Mów, Tanima.

Kobieta drgnęła. Po twarzy jej przeleciał cień zdumienia. Skąd wiedzą, jak ma na imię? Nawet Hu Czun-tsy go nie znał... Chociaż... zaraz. Ten, co pyta, to Japończyk. Od razu lak pomyślała. Pewnie ktoś z tokijskiej policji, z wydziału antykomuni-

stycznego. Miała tam swoją kartotekę. Ale to nic. Nie będzie mówiła, ani słowa z niej nie wyduszą. Najważniejsze, to nie dać po sobie poznać, że się boi, że serce młotem wali w piersi ze strachu. I najlepiej nie słuchać, o co pytają, myśleć o czym innym. O czym? O Fukudzie. Oprzeć się o myśl o nim, jak o coś mocnego, niewzruszonego, co daje człowiekowi hart i siłę, i odwagę. Tak, będzie myślała o Takeo, tylko o nim.

Kto to powiedział „Fukuda“. Czyżby ona? Nie, to nie jej głos. Kto tu mógł wymienić jego nazwisko? Skąd je znają?

Uważnie spojrzała na przesłuchujących ją ludzi. Czy to któryś z nich? Pierwszy raz ich widzi. Więc może jej się tylko zdawało... Co mówi ten stary Japończyk?

Kanadzawa dostrzegł, że Tanima drgnęła, gdy wymienił jej imię. Zauważył też, jak szybko się opanowała. Twarda sztuka. Trudno z niej będzie wymusić zeznania, jeśli postanowiła milczeć. Kto jak kto, ale on dobrze zna „komunistycznych klientów“. Żadne groźby, żadne tortury ich nie łamią. Więc może uda się chytryścią, podstępem. Byle tylko nie poznała, że Crosby i on są zdenerwowani.

— Tak, drogi pułkowniku — zwrócił się do Crosby'ego. — Milczenie nas w błąd nie wprowadzi. Znamy dobrze tę panią — postanowił być jak najbardziej uprzejmy. — Znamy również jej męża. Przypomina pan sobie? Niejaki doktor Fukuda. — Głośno, podkreślając sylaby, powtórzył: — Takeo Fukuda. Wiemy nawet, że się bardzo, bardzo kochali — westchnął. — Taka miłość zdarza się dość rzadko. Możemy o niej tylko czytać w starych

księgach. Dlatego też nie rozumiem, jak Fukuda mógł narazić swoją kochaną małżonkę na niebezpieczeństwo. Jak się tu w obozie dla jeńców znalazła jego żona? Czy pan to pojmuje?

Crosby zrozumiał, na czym polega gra Kanadzawy. Ta przekłeta Japonka milczy jak głaz, a trzeba ją zmusić do gadania. Trzeba przełamać mur jej pozornej obojętności i spokoju. Trzeba ją wprowadzić z równowagi. Ale jak?

— Właściwie — wpadł od razu w ton Kanadzawy, jakby prowadzili przyjacielską pogawędkę — nie rozumiem, po cośmy tę panią poprosili tu. Mogliśmy z nią porozmawiać na podwórku. Przecież nie interesuje ona ani pana, ani mnie. — Ostentacyjnie spojrzął na zegarek. — Czas ucieka, a go zbyt wiele nie mam. Skończymy już chyba, co?

„Kłamiesz, kłamiesz” — krzyczało coś w Tanimie. Uważnie słuchała teraz każdego słowa. To wszystko jest podstępna gra. Chcą ją jakoś zaskoczyć, coś z niej wyciągnąć. Ale co? Dlaczego? Co ich obchodzi Fukuda? A może?...

— Słyszała pani? — Głos Kanadzawy brzmiał słodko, przyjaźnie. — Rozmowa będzie króciutka. Parę słów. Pułkownik Crosby...

Tanima nie słyszała już więcej nic. Wydało jej się, że leci w przepaść. Bezdenną, czarną przepaść. Żeby tylko nie upaść... Żeby tylko nie poznali po niej, jak okropnie wiruje wszystko przed oczyma. Pułkownik Crosby... pułkownik Crosby... Straszny, nieludzki człowiek... To on kazał wstrzykiwać ludziom dżumę, to on organizuje tę straszną zbrodnię, przeciw której walczył Fukuda. To on jest człowiekiem-dżumą, człowiekiem-bakterią.

Nie, nie! Milczeć... milczeć. Niech nie słyszą jej głosu. Nie powie nic. Ani o sobie, ani o Fukudzie... Crosby... Crosby... Trzeba zawiadomić Takeo, że ten zbrodniarz jest tu. Przekazać wiadomość o nim i o zbrodniach popełnionych w obozie. Tylko jak? Przez kogo? Takeo go zniszczy, zmiążdży. Wytrąci mu z rąk okrutną broń. Byle tylko dowiedział się o wszystkim. Więc to nie przypadek, że ją schwytali wartownicy i zawlekli do tej pustej szopy. Chcą z niej coś wyciągnąć. O Fuku-dzie, o jego pracy, gdzie jest? Może chcą go porwać, nasłać na niego morderców. Ale ona im nie powie. Nie, ani słowa!

Kto to tak krzyczy nad uchem? I dlaczego tak pieką policzki? I jeszcze... jeszcze... Trzeba zaciśnąć zęby i nie płakać, choć boli, bardzo boli. To jest dopiero początek. Będą bili jeszcze mocniej. I inaczej. O tym nie wolno myśleć. Coś ciepłego spływa po twarzy. To pewnie krew. „Celem zata-mowania krwi...” — wyłania się w myślach jakiś fragment wykładu, jaki prowadziła dla sanitariuszy kompanijnych. Kiedy to było? Dawno, bardzo dawno. Lepiej i o tym nie myśleć. Wspomnienia bołą bardziej niż razy i ten ogłuszający wrzask... Trzeba im spojrzeć w oczy, tym bakteriom... z nienawiścią i pogardą — postanawia i otwiera oczy.

Blisko, tuż przed sobą, zobaczyła wykrzywioną z wściekłości twarz Crosby’ego. Szeroko rozwarte usta i miotające błyskawice oczy. To on tak krzyczy:

— Mów, dziewczko, bo zabiję! Gdzie twój przeklęty Fukuda?! Co knuje?!

Tanima uśmiechnęła się nagle. Do własnej myśli: „Boją się, boją się mego Takeo. To dobrze. Takeo zwycięży”.

Potem, usłyszała okrzyk tego drugiego:

— Brać ją. Do łaźni!

Poczuła, jak czyjeś ręce chwytają ją za ramiona i za włosy. Chciała krzyknąć: to boli, ale zamiast tego z ust jej wyrwał się jęk. Cios pięścią w twarz pozbawił ją przytomności.

Wywleczono ją z pokoju. Crosby starł krew z ręki i rzucił poplamioną chustkę na podłogę. Zagryzł wargi.

— Daję panu dwa dni czasu, generale, na wyjaśnienie, w jaki sposób ta dziewczka znalazła się w obozie. Ona gadać nie będzie.

Kanadzawa skłonił głowę i obnażył zęby w uśmiechu. Już on postara się wydusić głos z tej dziewczyny. A jeśli się nie uda, to przynajmniej nasyci się zemstą. Zapłaci jej za siebie, za Crosby'ego, za wszystko.

ROZDZIAŁ VI

1

Dokumenty proszą.

Żołnierz niepotrzebnie powtarza od czasu do czasu te dwa słowa. Ludzie wiedzą, o co chodzi. Każdy podchodząc do opuszczonego szlabanu trzymał już w ręku przygotowany papierek. Żołnierz czyta uważnie, choć zna na pamięć wypisane w zaświadczeniu słowa. „*Zaświadczamy, że towarzysz taki a taki poddał się przymusowym szczepieniom ochronnym...*” Kto nie ma zaświadczenia, musi wracać. Takich jest niewielu i właściwie kontrola to czcza formalność.

Żołnierz przy szlabanie był zmęczony. Rana w nodze jeszcze dolegała, ale ludzi jest mało i każdy w miarę swoich sił powinien pełnić jakieś obowiązki. Żołnierz chciał wrócić ze szpitala na front, lekarz jednak zabronił i ledwie udało się uzyskać skierowanie do jednostek pełniących służbę na zapleczu. Dwadzieścia cztery godziny służby, choćby polegającej tylko na kontrolowaniu zaświadczeń o szczepieniach, może zmęczyć nawet zdrowego. Zwłaszcza w nocy, gdy nieprzerwanym potokiem płyną samochody.

— Dokumenty proszę...

Spojrzał przelotnie na kobietę podsuwającą mu pod nos zatłuszczony papierek. Twarz kobiety zryta cierpieniem. Zmarszczki, zaognione powieki, ślady brudu na policzkach. Spory toból kołyszący się na głowie w rytm kroków. Biała bluzka i połatana różnokolorowymi skrawkami materiału czarna spódnica, spod której wychylają się stopy obute w żalosne szczątki trzewików.

Żołnierz westchnął. Ile cierpień, bólu i nędzy widzi się stojąc przy szlabanie. Ta kobieta wędruje już pewnie od dawna. Znać na niej ślady długiej wędrówki. Rozpacz wycisnęła swe piętno na jej twarzy. A na pewno nie jest stara. Może straciła w tej okropnej wojnie dziecko, może rodziców. Idzie sama, a zaświadczenie wystawiono hen, na południe od Phenianu. Z jej wioski nie zostało chyba śladu.

— Dziękuję, siostró — mówi żołnierz zwracając zaświadczenie. — Siadaj, odpocznij. Dokąd zmierzasz?

Młody, silny i równocześnie dziwnie miękki, ciepły głos kobiety nie licuje z jej wyglądem.

— Daleko, do Sinyjdzu. Do krewnych...

Żołnierz znów westchnął. Biedna kobieta. Taka młoda, a tyle już przecierpiała. Idzie do Sinyjdzu. Pewnie myśli, że tam nie ma ruin ani cierpienia, bo to daleko od frontu. A kto wie, czy odnajdzie swoich krewnych. Żołnierz był w Sinyjdzu po wyjściu ze szpitala. Nie ma miasta — tylko morze zniszczeń. Ludzie żyją w ruinach i ziemiankach... Ale lepiej jej o tym nie mówić, nie trzeba człowieka pozbawiać nadziei, jeśli ją żywi...

— Poczekaj, siostró — mówi serdecznie. — Może nadjedzie jakiś samochód. Powiem im, to cię podwiozą.

Kobieta popatrzyła na żołnierza z wdzięcznością. W jej oczach — tak się przynajmniej wydało wartownikowi — zaszklily się łzy. Usiadła obok szlabanu na porośniętym zeschłą trawą kopczyku. Toból na jej głowie zakolysał się gwałtownie, ale przytrzymała go rękami, zdjęła i ostrożnie postawiła na ziemi.

Żołnierz chętnie by jej pomógł, ale podeszło dwóch starych chłopów i trzeba było nimi się zająć. Szybko sprawdził dokumenty i z niezadowoleniem pokiwał głową:

— Dlaczego nie zmieniliście ubrań, towarzysze? — powiedział surowo. — Słyszeliście chyba, że białe ubrania przyciągają oczy amerykańskich piratów.

Stary smutnie pokiwał głową i poskubał siwe włosy na brodzie.

— Tak, synu, słyszeliśmy. Ale takie ubrania nosili nasi ojcowie i ojcowie naszych ojców, i...

Żołnierz z rezygnacją machnął ręką i porozumiewawczo spojrzął na kolegę stojącego po prze-

ciwległej stronie szosy, jakby chciał powiedzieć: „tych starych już nikt nie przerobi”.

Chłopi przykucnęli w pobliżu. Przy szlabanie zawsze albo odpoczywano, albo czekano na jakiś przejeżdżający samochód.

Włokąc za sobą rozwichrzony ogon kurzu podjechał wózek. Ciągnął go tęgi chłop o czerwonej, spoconej z wysiłku twarzy. Pod rozpiętą koszulą widać było czerwone pręgi odcisnięte przez sznury łączące ramiona wózka. Na wózku leżały resztki ocalonego dobytku. Toból z odzieżą, parę glinianych garnków, koślawy piecyk żeliwny, wypchany worek. Z tyłu dyndało przywiązane wiadro, podzwaniając na wybojach.

Chłop podał zaświadczenie o szczepieniach i dowód dezynfekcji przewożonych przedmiotów.

— Sam jedziesz? — zdziwił się żołnierz. —
A...

Urwał w pół słowa i zadarł głowę do góry. To samo zrobił jego kolega. Starzy chłopci zerwali się na równe nogi. Człowiek z wózkiem wtulił głowę w ramiona i też popatrzył na niebo.

Z góry dolatywał głuchy pomruk pomieszany z poświstem. Wysoko w błękitie przesuwano się kilkadziesiąt czarnych punkcików. Kierowały swój lot na północny zachód.

Żołnierz zaklął głośno.

— *Keseki!*¹⁹ Znów lecą. To duże bombowce. Pewnie będą bombardowały przeprawę w Andżu. Całą noc bombardowali i w dzień nie dają spokoju. To one tak mruczą — zwrócił się do człowieka z wózkiem. — A ten poświst słyszysz? — to myśliwce odrzutowe. Ani się człowiek obejrzy i już ma je

nad głową. Ale to nic, nasze odrzutowce dają im szkołę, bo...

Nie dokończył. Świst wzmógł się nagle, przechodząc w posępne wycie.

— *Hangoon!* — zakrzyczał żołnierz. — Kryj się!

Człowiek z wózkiem szarpnął się w bok, zaplątał w sznurkach, upadł, ale od razu zerwał się, z dzikim okrzykiem wskoczył do rowu. Obaj starzy chłopcy rozbiegli się po polu. Tylko kobieta przycupnęła w miejscu.

Żołnierz leżąc w zagłębieniu obok szlabanu krzyknął:

— Kryj się! *Pihengi!*²⁰

Ale głos jego zagłuszyły strzały. Myśliwiec plując długą serią przeleciał nisko nad szosą. Znikł i nagle znów się pojawił. „Tak-tak-tak-tak~ta...” — gdakały działka szybkostrzelne, a pociski wbijając się w szosę wyrzucały w górę małe fontanny piachu. Jeden z chłopów krzyknął przeraźliwie, zamachał rękami i padł. Żołnierz zacisnął palce na pistolecie maszynowym i zazgrzytał zębami w bezsilnym gniewie. O, gdyby miał tu przynajmniej karabin maszynowy!...

Groźny cień znów przemknął nad szosą. Zakłaskała seria strzałów. Samotne drzewko obok szosy żałośnie zaskrzypiało, trzasnęło i upadło. Człowiek z wózkiem zapiszczał rozpaczliwie. „To tylko ze strachu — pomyślał żołnierz. — Tak nie krzyczy ani ranny, ani umierający.”

Samolot już nie wrócił. Widocznie należał do osłony bombowców i ostrzelał szosę tylko tak, dla rozgrzewki...

Żołnierz podniósł się z ziemi, otrzepał mundur i rozejrzał się. Biało ubrany chłop dźwigał swego towarzysza. Człowiek z wózkiem lekliwie spoglądał w jego stronę.

— Trzeba mu pomóc — powiedział i pobiegł truchcikiem na przelaj przez pole. Po chwili na skraju szosy położyli starego chłopca. Na białym jego ubraniu wystąpiły czerwone plamy. Żołnierz schylił się nad nim i przyłożył ucho do piersi, potem do ust i westchnął.

— Trzeba go pochować — powiedział łykając ślinę. Patrzył szklanym wzrokiem przed siebie. Przedwczoraj taki sam pirat zabił w jego oczach troje dzieci. Wzdrygnął się.

— To mój brat — drewnianym głosem powiedział drugi chłop. Zdjął koszulę i przykrył zabitemu twarz. — Niech poleży, ja wrócę do wsi i sprowadzę ludzi — wyjaśnił. — Pochowamy go w rodzinnym grobie.

Żołnierz popatrzył rozkazująco na człowieka z wózkiem. Ten zawołał od razu:

— Może ja ci go... zawiozę?!

— Nie, dziękuję ci, bracie. — Chłop pokiwał przecząco głową. — Nasza wieś blisko i ja zaraz wrócę.

Żołnierz poszukał oczami kobiety. Zapomniał o niej w ciągu tych kilku strasznych minut. Stała obok. Po jej zmęczonej twarzy spływały łzy. Chłop pobiegł. Żołnierz zbliżył się do kobiety.

— Nie płacz, sestro — powiedział cicho. — Tyle tu niedoli na naszej ziemi, że łez nie starczy. Nie płacz.

Podszedł do nich człowiek z wózkiem. Stał już teraz wprzęgnięty napinając piersią sznur.

— W którą stronę idziesz, towarzyszeko? —
zwrócił się do kobiety.

Spojrzała na niego przez łyżę.

— Tam — pokazała ręką.

— Więc połóż toból na mój wózek i pomóż mi,
popychaj go z tyłu.

Żołnierz pokiwał głową z aprobatą.

Kobieta dźwignęła swój ciężar i umieściła go
obok żelaznego piecyka. Mężczyzna szarpnął i koła
zaturkotały po szosie. Kobieta oparła się z tyłu rę-
kami i zgięta szła krok w krok za wózkiem.

Żołnierz krzyknął:

— Do widzenia, siostrzyczko!

Kobieta odwróciła głowę i pomachała mu ręką.

2

Człowiek zaprzężony do wózka i idąca za nim
kobieta nie odzywali się do siebie. Szosa prowadzi-
ła lekko pod górę, a wózek był dość ciężki. Dopiero
gdy skończyło się wzniesienie, za zakrętem, mę-
czyzna przystanął, otarł pot z twarzy i przykucnął.
Wyciągnął z kieszeni w spodniach papierosa i zapa-
lił. Kobieta stała opierając się biodrem o wysokie
koło.

Szosa była pusta. Tylko daleki turkot zwiasto-
wał, że skądś nadjeżdża ciężki wóz chłopski. Po
paru minutach ujrzeli zaprzęg ciągniony przez
smutnego, wyliniałego wołu. Drepcący obok zwie-
rzęcia staruszek pozdrowił ich nie zatrzymując się
i nie opodal skrzyknął w boczną, polną drogę.

— Musiałam na ciebie długo czekać.

Kobieta podeszła bliżej do mężczyzny i popatrzyła na niego z gniewem.

— Nie mogłem — człowiek z wózkiem wstał, i odrzucił papierosa. — Nie mogłem wcześniej...

— Musiałam na ciebie długo czekać — powtórzyła twardo kobieta. — Zrozumiałeś? Spóźniłeś się o trzy godziny.

— Wózek mi się zepsuł w drodze — jękając się tłumaczył mężczyzna. — No i ciężar. Przecież nie jestem wołem! — wybuchnął.

— Nie jesteś wołem — sucho powtórzyła jego słowa kobieta — ale masz słuchać rozkazów i wykonywać je dokładnie. Przez ciebie musiałam wypoczywać co kilkaset metrów. Wiesz, czym to grozi? Mogli się mną zainteresować.

— To nie moja wina. Wózek się zepsuł — z uporem mrucał mężczyzna.

— Dlaczego pobiegłeś do tamtego truposza? Co to ciebie obchodzi? Po co pchasz się żołnierzom w oczy?

Mężczyzna nie odpowiedział. Pogrzebał ręką za pazuchą i z triumfalną miną podał kobiecie płaskie zawiniątko.

— Dlatego — oświadczył z dumą.

Kobieta rozwinęła przybrudzoną chustę. W zawiniątku leżały dokumenty — dowód osobisty, legitymacja partyjna, zaświadczenie o wpłaceniu podatków. Obejrzała to wszystko uważnie i owinęła z powrotem chustką.

— Głupi jesteś. Po co to zrobiłeś? — powiedziała gniewnie. — Zobaczą, że nie ma dokumentów, zaczną szukać... Ty idioto!

Mężczyzna zatrząsł się z oburzenia.

— Słuchaj. — W głosie jego zabrzmiał ton pogroźki. — Nie jestem twoim sługą. Sam też mam głowę na karku. Za dużo sobie pozwalasz. Nie myśl, że jeśli jesteś naczelnikiem, to możesz...

— Milcz! — Kobieta zmarszczyła czoło. — Już drugi raz ośmielasz mi się grozić. Przypomnę ci to przy okazji. Teraz musisz się śpieszyć. W tobole jest radiostacja. Zainstalujesz ją w okolicy wzgórza 1016, tak jak ci mówiłam. Tych, którzy na ciebie czekają, spotkasz za przeprawą przez Tedongan. Jeśli usłyszysz, że ktoś zwraca się do ciebie słowami: „Towarzyszu, czy lewe koło twego wózka nie spadnie?“, masz zatrzymać się, postukać w koło najpierw ręką, potem nogą i powiedzieć: „O nie, sprawdzałem, trzyma się mocno“. Potem pójdziesz za tym człowiekiem. Zrozumiałeś?

— Tak! — warknął mężczyzna. — Wcale nie jestem głupi. Znam swoją robotę.

Kobieta uśmiechnęła się pogardliwie.

— W moim tobole znajdziesz pieniądze. Pamiętaj: za dwa dni o drugiej w nocy masz nadać pierwszy meldunek. Tekst *przywiezie* ci łącznik. Hasło to samo, co było w Sariwonie. A teraz mów, co widziałeś przez te cztery dni.

Mężczyzna odchrząknął, jakby przygotowując się do dłuższej mowy.

— *Gadaj* krótko — uprzedziła go kobieta. — Nie powinniśmy tu tkwić zbyt długo. Czekają nas szmat drogi.

Popatrzył na nią z niechęcią. Strzyknął śliną przez szparę między zębami.

— Krótko, to krótko! — warknął. — Ci lotnicy to *prawdziwe* niedźwiedzie. Rzucają bomby by-

le gdzie. Przedwczoraj szedłem przez góry. Pustka, ludzi nie widać, cisza. I nagle omal nie zemdlałem. Po ścieżce łażą chrząszcze. Myślę: Skąd o tej porze *chrząszcze*? I to żeby jeden, dwa. A tu cała masa. Brr... wstrętne. I tu mi do *głowy przyszło*: takie chrząszcze pokazywał nam ten krzykliwy Amerykanin Dodzy. Uciekłem. Zarazić się...

— Mów do rzeczy. — Kobieta tupnęła nogą wzbijając obłoczek pyłu.

— Mówię do rzeczy. Nie krzycz — odgryzł się mężczyzna. — Rzucają te bomby, żeby rzucić. Jaka korzyść z takiego bombardowania? Góry chcą pokryć chrząszczami czy co? — odchrząknął. — A to nie pierwszy raz. Dużo takich bomb zrzucili na marne. Ale zdarza się i dobry zrzut — zatarł ręce z ożywieniem. — Wczoraj przechodziłem przez wioskę. Płacz, lament. Myślałem, że to po bombardowaniu, a okazało się, że nie. Chorych dużo. Ze dwanaście chat oddzielili, warty postawili — kwarantanna. Dżuma, powiadają, we wsi. Wypuścić mnie nie chcieli. Ale ja mam taki paperek, że jestem z władz sanitarnych, to mnie jeszcze o radę pytali. Kazałem im nieczystości po chorych znosić do gnojówki przed komitetem wiejskim. — Zaniósł się gardłowym, skrzekliwym śmiechem. — Poradziłem im, co? Niech zdychają — warknął z wściekłością. — Niech zdychają. Tacy mi ziemię zabrali, ze wsi, rozumiesz — aż się porwał, taka go złość poniosła — ze wsi mnie wygnali. Nędzarze, śmierdziele, co tylko z mojej łaski mogli żyć. Niech zdychają.

— O tym już słyszałam — przerwała mu kobieta. — W jakiej to było wsi?

Wymienił nazwę i dalej żuł przekleństwa, zgrzytając zębami. Potem uspokoił się trochę i wymienił nazwy wiosek i miasteczek, przez które szedł. Podawał zasłyszane fakty: o zrzutach, zachorowaniach, podjętych przez miejscowe władze krokach. Kobieta słuchała go, mrużąc chwilami oczy i marszcząc czoło, jakby starała się zapamiętać wszystkie szczegóły.

— No, dobrze — oświadczyła wreszcie. — Krzykliwy Amerykanin będzie z ciebie zadowolony.

Mężczyzna skrzywił się, jakby dając do zrozumienia, że wcale mu nie zależy na pochwałach. Ale z oczu jego można było wyczytać, ile zadowolenia sprawiły mu te słowa.

Kobieta obejrzała się. Szosa wciąż pusta. O tej porze na głównych drogach ruchu prawie wcale nie było.

— Słuchaj — mimo woli zniżyła głos. — Dostaniesz nowe zadanie. Dodatkowe. Kiedy już urządzisz się na nowym stanowisku, pojedziesz do Andżu. Adres da ci człowiek, który będzie z tobą pracował przy radiostacji. Poda ci hasło. U tego w Andżu poprosisz o paczkę, którą zostawiła kobieta w zielonej bluzce. Zapamiętasz? — Mężczyzna skinął potakująco głową. — W paczce będą cztery rurki. Dwie z nich dasz „zezowatemu”, pamiętasz go?

— Aha — mruknął mężczyzna.

— Powiesz mu, że kazałam przedostać się do szpitala wojskowego i zrobić z rurkami tak, jak uczył krzykliwy Amerykanin. Pozostałe dwie rurki weźmiesz ze sobą i pojedziesz do Czondżu. Tam odszukasz szewca Riu. Jego ziemianka mieści się blisko ruin dawnego hotelu. Poznasz go po zajęczej wardze i drewnianym kijku zamiast nogi. Zapytasz,

czy może ci sprzedać sto kołków drewnianych. Jeśli ci odpowie: „Mogę drewniane, ale lepsze są gwoździe”, masz zawołać: „Dobrze, przysłała mnie babuleńka, co rok temu kupowała u was buty”. Reszty dowiesz się od niego.

Mężczyzna zaklął. Widać zadanie nie przypadło mu do gustu. Nie odważył się jednak zaprotestować. Mruczał tylko coś pod nosem, spoglądając spode łba na kobietę.

— Podaj mi tobolek — powiedziała.

Wyciągnął z wózka niewielki tłumoczek.

— Tu, jak kazałaś, jest odzież dla kobiet.

Kobieta położyła tobolek na głowie.

— Teraz jedź już. Spotkamy się za dwa tygodnie w Sunczonie. Tam gdzie teraz jest uliczne targowisko.

— Spotkamy się — warknął mężczyzna chwytając dyszel wózka. — Kto wie, czy się spotkamy. Tobie dobrze, zaszyjesz się w jakiejś norze i siedzisz cicho jak kret..., a ja... ja życie narażam. Mało naszych złapali?

— Nie kracz — przerwała mu ze złością. — Nie jęcz. Głupich łapia, a mądry się nie dają. Sam mówiłeś, że jesteś mądry... No idź już z własnej radiostacji, jak też z szyfru agenta zakonspirowanego od paru lat w aparacie państwowym w Phenianie. Ten agent niechętnie przyjmował komunikaty, twierdził, że ostatnio nie czuje się zbyt bezpieczny. Zagroziła mu zawiadomieniem Dodge’a — wtedy zmiękł.

Parę dni temu otrzymała rozkaz przeniesienia się w okolice Sunczonu. Odbiór był zły i nie bardzo zrozumiała, jakie są powody tego polecenia. Domyślała się, że prawdopodobnie Sunczon został

Dżuma II

wyznaczony przez Crosby'ego dla jakiejś specjalnej akcji, której rezultaty będą szczególnie interesowały Amerykanów. Swemu pomocnikowi wyznaczyła przez łącznika spotkanie na szosie, bojąc się zaś powierzyć mu radiostację, przeniosła ją w tłumoku na głowie. Przygotowała również — zgodnie z poleceniem Dodge'a — kilka akcji dywersyjnych, polegających na zatruciu zbiorników wodnych. Kazała człowiekowi z wózkiem i agentowi w Andżu wrzucić do nich zawartość rurek, które otrzymała przed wyruszeniem na północ. Teraz uwolniona od ciężaru śpieszyła do Sunczonu zastanawiając się, czy warto skorzystać z posiadanego adresu. W Phenianie poznała pewną kobietę i zaskarbiła sobie jej zaufanie. Tamta radziła jej ewakuować się do niedużej wioski Somion położonej o kilkanaście kilometrów od Sunczonu. Mary miała nawet list polecający do krewnego tamtej kobiety, chłopca Czo. Postanowiła tam się udać. Zawsze lepiej i bezpieczniej zatrzymać się na wsi niż w mieście. Może uda jej się zamieszkać u tego właśnie Czo, jako przyjaciółce jego krewnej, co powinno wzbudzić zaufanie miejscowych władz. A poza tym na wsi jest trochę ciszej — może obejdzie się bez bombardowań, bo bakterii się nie boi. Już ją szczepili tyle razy, że mogłaby jadać *kuk*²¹ z jednej miski z dżumą.

Tak, pojedzie do Somion. Wypocznie trochę nerwowo. Ciągłe jej się zdaje, że ją ktoś goni, tropi, śledzi. O, nawet teraz. Ten chłopiec maszerujący opodal skrajem szosy. Już od dłuższego czasu idzie za nią i oczu z niej nie spuszcza. Może ją poznał? Może w chwili kiedy kogoś spotkają, zacznie krzyczeć, że to córka fabrykanta i obszarnika, jak ów

żołnierz... Co też jej do głowy przyszło? Z tym żołnierzem to przypadek. Nikt w tych okolicach nie zna ani ojca, ani jej. Więc czemu ten chłopiec przygląda się tak natarczywie? Może to ktoś z pionierskiej grupy „tropicieli szpiegów“? Słyszała już o wypadkach, że mali dziesięcioletni i dwunastoletni malcy osaczali takich jak ona... Namacała ukryty w głębokiej fałdzie spódnicy pistolet.

Gdzieś z tyłu ostrzegawczo zatrąbił samochód. Instynktownie odskoczyła. Samochód wzbijając tumany kurzu przemknął obok niej. „Teraz — pomyślała — strzał utonie w hałasie motoru.” Ale zanim się zdecydowała, warkot maszyny ścichł, a chłopiec zeszedł na polną drogę. Na wszelki wypadek zaszyła się czym prędzej w krzaki. Kalecząc twarz i drąc *bluzkę* o gałęzie drzew wspięła się na pagórek. Po kwadransie odważyła się dopiero wyjrzeć zza krzewów. Chłopca nie było widać. Przebrała się w suknie starszej kobiety i ucharakteryzowała trochę twarz. Lepiej będzie zresztą, jeśli w tej postaci zjawi się w Somion, u tego chłopca. Litość też trzeba umieć wyzyskać.

4

Stary Czo zajął się „biedną kobietą” niezwykle serdecznie. Zaciskał gniewnie pięści, gdy opowiadała mu zmyślane historie o swej rzekomej niedoli. Pod wieczór nazwał ją już córką i z radością oświadczył sąsiadom, że zamiast *trzech synów*, walczących na froncie, duchy przodków zesłały mu nową córkę, która tak pięknie się nazywa — Sun Dia.

Mary nie szczędziła wysiłków, by zaskarbić sobie miłość i zaufanie starego. Jak dobra aktorka grała umiejętnie — płacz następował po narzekaniach, po gniewnych tyradach o zbrodniach amerykańskich. Stary Czo i zagląający do ziemianki sąsiedzi nie tylko słuchali. Mieli niemało do powiedzenia o swoich cierpieniach, o tragicznych skutkach nalotu, a już najwięcej o tej okropnej, o pomstę do nieba wołającej zbrodni.

— Jakiej? — Mary udała zdziwienie.

Wtedy opowiedzieli jej szczegóły nalotów bakteriologicznych. Mary nadstawiła ucha. Przydał się ten przyjazd do Somion. Kryjówka znakomita i informacje o interesujących ją sprawach tym bardziej szczegółowe — że szczerze. Starannie notowała w pamięci nieskładną opowieść Czo o ślimakach, o zrzutach pcheł, o synku wdowy Kan, który wracając ze szkoły znalazł na drodze wieczne pióro i zabrał je ze sobą, a w parę dni potem umarł na cholere.

— Pióro? — tym razem zdumienie Mary było szczerze. — Co ma wspólnego z cholera wieczne pióro znalezione na drodze?

Stary Czo dygotał z oburzenia. Żywo gestykulując tłumaczył jej. Amerykanie zrzucają różne drobne przedmioty, które jakoś — sam tego nie wie jak — zarażają różnymi chorobami. Te przekłete psy zrzucają także zabawki, bo dorosłemu można wytłumaczyć: — nie podnoś tego, co leży na drodze, ale kto powstrzyma dziecko przed schyleniem się po piękną zabawkę. Zwłaszcza że teraz dzieci zabawek mają tak mało. W sąsiedniej wiosce w zeszłym tygodniu dzieci znalazły sporo rozrzuconych zabawek. Pięcioro zapłaciło za to ży-

ciem. O, żadne przekleństwo nie wyrazi nienawiści i gniewu na bandytów!

Mary zaczęła płakać. Obojętność mogła wzbudzić podejrzenie. Tarła więc oczy, głośno łykała ślinę i zawodząc miotała obelgi na Amerykanów. A równocześnie myślała, że w najbliższym meldunku musi powiadomić Crosby'ego, że zrzuty zabawek są bardzo skuteczne.

Nazajutrz wstała o świcie i zanim stary Czo wrócił z nocnego dyżuru, posprzątała chatę. Stary Czo był zachwycony swoją nową „córka”. Zdrzemnął się parę godzin i z rana oświadczył, że pójdzie z Sun Dia do Sun-czonu. Trzeba w komitecie pomocy dla ewakuowanych dostać jakąś ciepłą odzież. Propozycja starego bardzo się Mary podobała. Zajrzy do Sunczonu, dowie się, jakie rezultaty przyniosły dotychczasowe zrzuty, poszuka — a nuż uda się znaleźć jakiegoś informatora. Jakoś tam umknie staremu pod pretekstem poszukiwania rodziny lub przyjaciół.

Wyprawa do Sunczonu nie doszła jednak do skutku, gdyż około dziewiętej członków samoobrony sanitarnej wezwano do pomocy przy likwidacji skutków zrzutu w pobliskiej wsi.

Stary Czo wpadł do ziemianki jak wichher, porwał ubranie ochronne i już chciał iść. Wtedy Mary poprosiła, by wziął ją ze sobą. Oświadczyła, że chce pomóc, i stary zgodził się na to z radością. Był dumny, że tak dzielna i dobra kobieta zamieszkała z nim pod jednym dachem.

Gdy przybyli na miejsce, dowiedzieli się, że tej nocy Amerykanie dokonali masowego nalotu bakteriologicznego. Chłopi, którzy w nocy pełnili dyżur, twierdzili, że samolotów było chyba pięć albo i

więcej. W okolicy wsi znaleziono kilkanaście pustych bomb. Zorganizowano prawdziwe polowanie na szczury. Złapano ich kilkaset. Jedne, ledwie żywe, nie zdołały oddalić się od miejsc zrzutów, inne, silniejsze, znalazły już schronienie w chatkach, spichrzach i oborach. Ludzi z Somion nie wpuszczono do wsi. Kazano im tylko czuwać, by nikt nie wyszedł poza strefę objętą kwarantanną, a także uważać na szczury. Mary też przydzielono niewielki odcinek do pilnowania. Czuła się trochę nieswojo. Pierwszy raz znalazła się tak blisko miejsca zrzutu — jeszcze nie zlikwidowanego. Skórę na plecach lechtał dreszczyk podniecenia i strachu. Wypatrywała zarośla. Trzeba uważać — szczur może pokazać się zniecierpliwiony, zaskoczyć, ugryźć. Słyszała, że szczury, zwłaszcza podniecone i wystraszone, rzucają się na ludzi. A tu wokoło taki harmider, taki wrzask we wsi i płacz, że nie tylko szczur, nawet człowiek się przestraszy.

Mary na chwilę zapomina o swej właściwej roli, o tym, co ją tu sprowadziło. Wydaje jej się, że jest prostą koreańską dziewczyną, której grozi niebezpieczeństwo. Gdzieś tu obok, może za tym krzakiem lub w tej kępie zarośli. Trzeba patrzeć uważnie, w porę dostrzec błysk ślepi i ostrych kłów. Jedno ukąszenie oznacza mękę choroby albo i śmierć. Co to jest to szare... tam?... Ostro pyszczek czy zeschnięty kłak mchu? A tam?... Mary drży. Oczy latają, zęby postukują rytmem przerażenia, w głowie jak rozwścieczony szczur miota się myśl: „Boję się, boję się śmierci, boję się, uciekać, uciekać“.

Dżuma II

Aaaaa!. Tam!... Tam!... Szczur... Patrzy na nią... Szczerzy zęby... Czai się. Zaraz skoczy. Ludzie! Ratunku!...

Wygiętymi w paroksyzmie strachu palcami chwyta się za twarz, by zdusić krzyk. Nie, nie! Nie wolno wzywać nikogo, nie będzie wołać o ratunek, nie wskaże nikomu, że tu leży zdechły szczur, z pyszczkiem rozwartym w przedśmiertnej konwulsji. Niech leży. Niech gnije przez nikogo nie zauważony, niech stanie się źródłem moru, który padnie na tę wieś i na całą okolicę.

Ostrożnie, długim kijem, który dano jej, by nim — jeśli zauważy zwierzątko — zatłukła je, zgarnia zeschnięte liście i przysypuje wystający pyszczek. Żeby nikt nie zobaczył. Niech zdychają! Niech się wiją w męce, aby ona, Mary, którą głupi, łatwowierny, stary Czo nazywa córką Sun Dia, mogła nasycić swe pragnienie zemsty. I stary Czo niech zdechnie. Śmiercią musi zapłacić za to, że posłał na front swoich trzech synów, że zagarnął ziemię od wieków należąca do jakiegoś czcigodnego rodu, że on i tacy jak on pozbawili ją radości życia i jeszcze ośmielają się wierzyć w zwycięstwo.

Strach w sercu Mary ustąpił miejsca nienawiści zalewającej serce burzliwą pianą. Oto po co tu przyjechała. Oto dlaczego naraża się każdej chwili na największe niebezpieczeństwo. Ten krzyk i płacz, przytłumiony odległością, dobiegający ze wsi, złowrogie przerażenie, z jakim ludzie spoglądają w niebo — oto nagroda za trudy i wyrzeczenia. Oto słodki smak zemsty. Przez tyle lat bała się tych ludzi — widziała w nich groźne demony — a teraz syci się ich przerażeniem, lękiem w ich oczach. Co ją obchodzą Crosby i Dodge. To tylko

narzędzia jej zemsty. Ten motłoch trzeba trzymać w posłuchu, a jeśli się zbuntuje — trzeba go zmieść z powierzchni ziemi. I ona chce to widzieć, chce być świadkiem klęski tych, którzy ośmielili się podnieść głowę od wieków wdeptaną w przydrożny kurz.

— Sun Dia! Chodźmy!

Kto to woła? I kogo? Aha, to o nią chodzi. Głupi, ciemny chłop Czo. Mówi z nią jak równy z równą. A powinien na klęczkach zbliżać się na zawołanie. Jakie to jednak wstrętne, że on i ona mówią tym samym językiem. Jakie to upokarzające! O ile szczęśliwszy jest żołnierz amerykański, że może splunąć z pogardą i odgrodzić się — nawet od niej — jednym słowem „żółtek”.

— Czy nie widziałaś szcurów, Sun Dia?

— Nie, ojcie Czo — odpowiedziała cicho.

Westchnął ciężko.

— To straszne, Sun Dia. — Głos starego Czo drżał, łamał się, nabrzmiewał łkaniem, — To straszne, co oni robią. Przyjechało dużo lekarzy, ale kto wie, we krwi ilu ludzi tej wioski jest już śmierć. To straszne. Powiedz... Czy Amerykanie też są ludźmi?... Jak można tak okrutnie mordować niewinnych? I za co?

Mary pochyliła głowę. Niech nie widzi jej twarzy ściągniętej grymasem triumfu, niech nie dojrzy w jej oczach blasku radości. Mógłby w nich jeszcze przeczytać i odpowiedź, i wyrok. Odpowiedź: za to, żeście się zbuntowali! I wyrok: śmierć!

ROZDZIAŁ VII

1

Pracowitość Czo Bon Gi została należycie oceniona przez lisynmanowców. Znajdowali dla niego zajęcia nawet nocą. Bez szemrania, szybko i dokładnie spełniał polecenia. Głupawy uśmiech nie znikał z jego twarzy. Był idealnym obiektem docinków, ponizających żartów. Pokornie znosił razy, wydawał się być zadowolony, gdy obsypywali go niewybrednymi wyzwiskami. Gorliwiej niż którykolwiek z usługujących lisynmanowcom jeńców potakiwał najdzikszym wybrykom. Jego twarz stała się maską — zwodniczą i nieprzeniknioną, za którą nikt nie odgadłby żywiołu uczuć targających sercem i myślami. Tylko Hu Czun-tsy i tatuowany widzieli, jak okrutną męką płaci Bon Gi za dni ponizenia.

Późną nocą wracał do baraku i zduszonym szeptem powtarzał przyjaciółom podsłuchane rozmowy. Dowiadywał się z nich o zamierzonych selekcjach, o losie porwanych towarzyszy, o zabójstwach i torturach. Jak chomik do swej nory znosił do baraku części umundurowania, które miały się stać legitymacją, otworzyć przed nimi bramy obozu.

Którejś nocy wróciwszy do baraku nie znalazł tatuowanego. Hu Czun-tsy wyjaśnił mu, że towarzysza wezwano na przesłuchanie, z którego nie wrócił. Dopiero nazajutrz udało się Bon Gi dowiedzieć, jaki los spotkał przyjaciela. Wszystkich napiętnowanych hańbiącym tatuażem wywieziono do innego obozu, skąd mieli zostać skierowani do specjalnych oddziałów karnych Li Syn Mana. Mieli

zasilić armię „krwawego starca”, udowodnić światu, że naród jest po jego stronie.

Lisynmanowiec opowiedział o tym Czo Bon Gi z zadowoleniem. Tego dnia otrzymał nagrodę pieniężną za wzorowe pełnienie obowiązków i był w wyśmienitym humorze.

— Wiesz, głupi, ciebie też wcielę do naszej armii — oświadczył z miną dobroczyńcy. — Spodobałeś mi się. Będiesz moim ordynansem.

Z trudem udało się Bon Gi ukryć wzburzenie. Lisynmanowiec gotów był groźbę spełnić od) razu. W nocy Czo Bon Gi gorąco namawiał Hu Czun-tsy do ucieczki. Ale Hu nie chciał się zgodzić. Od paru dni nie miał wiadomości o japońskiej lekarce, a bez niej uciekać nie chciał. Nie pomogły ani groźby, ani błagania Czo. Hu Czun-tsy jak papuga powtarzał swoje nie i nie. Jeśli Bon Gi chce, to proszę bardzo, może uciekać sam. On, Hu, jest człowiekiem, który umie spłacić dług wdzięczności, a lekarce zawdzięczał życie. Trzeba poczekać dzień, drugi, aż dowiedzą się, co się z nią stało. Wtedy zobaczą, A selekcje? Na wszelki wypadek, gdyby ich coś rozłączyło, podzielili przygotowane przez Czo Bon Gi mundury. Jeden komplet nocą zakopali za barakiem. Dla Tanimy.

Czo Bon Gi obawiał się nie tylko o swój los. Niepokoił go również stan zdrowia towarzysza. Hu Czun-tsy — choć z ust jego nie spłynęła żadna skarga, a twarz pocięta bliznami zachowywała wyraz niezmaconego spokoju — nikł w oczach. Ruszał się z trudem, kaszlał i spluwał gęstą, krwistą pianą. Z nie zaleczonych ran na piersi sączyła się ropa. Czo Bon Gi zdobył parę czystych bandaży, ale o lekarstwach nie było co nawet marzyć.

A terror w obozie wzrastał się z każdym dniem. Ze szpitala obozowego nie wracał nikt. Nocami w części obozu przeznaczonych dla warty i siepaczy odbywały się krwawe rozprawy. Czo Bon Gi usługując lisynmanowcom słyszał nieraz jęki i krzyki, widział trupy wynoszone poza teren obozu. Oburzała go pozorna rezygnacja z życia, o jaką pomawiał w myślach Hu Czun-tsy. „Uczepił się tej japońskiej lekarki jak pijawka skóry i czeka — myślał z niechęcią. — A tu każdy dzień jest drogi. Człowiek nie wie wieczorem, czy z rana będzie jeszcze żył. Złe duchy zeszły na nich tę Japonkę, gdyby nie ona — usiłował to w siebie wmówić — dawno już wyrwaliby się z obozu i kto wie, może przedzieraliby się w tej chwili przez góry w pobliżu frontu. Do swoich... do swoich!”

O losie Tanimy dowiedział się przypadkowo. Gotował wyszukaną potrawę dla „swojego” lisynmanowca, gdy przez niedbale przymknięte drzwi kuchni dotarły do niego strzępy rozmowy. Nadstawił ucha. Zapomniał o obowiązkach kucharza. To, co usłyszał, wstrząsnęło nim. A więc niepokój Hu Czun-tsy był uzasadniony. Japońska lekarka wpadła w szpony prześladowców. Wiązał historie zasłyszane od Hu Czun-tsy i urywki zdań lisynmanowców w jedną całość. Ktoś, kto znał Japonkę dawniej, zobaczył ją w obozie. Lisynmanowiec opowiadał o przebiegu badania smakując szczegóły. Zdawał się rozkoszować każdym uderzeniem bicia, każdym przytknięciem rozpalonego żelaza do sturutowanego ciała. Powiesili ją za ręce i nogi. Chłostali i polewali ukropem. Wbijali igły pod paznokcie. A ona milczała. Lisynmanowiec wspominał o tym z odcieniem podziwu w głosie. Milczała, gdy

łamali jej kości cał po calu, gdy obrzękłą, zmasakrowaną wrzucono do słonej wody.

Czo Bon Gi dygotał na całym ciele. Trudno było sobie wyobrazić, że można przejść przez takie tortury i wraz z bólem nie wykrzyczeć tego, o co pytają. Ile hartu, ile męstwa miała w sobie Japonka. Czy i on znalazłby w sobie tyle sił, gdyby zaszła potrzeba? — pytał w duchu. Jak powtórzyć tę straszną historię Hu Czun-tsy?

— Ty psie — usłyszał nad uchem wściekły ryk.
— Zasnąłeś! Ryż się spali!

A może tak zerwać się i pogrzebaczem... w ten zniechęcony pysk... Nie, nie wolno. Trzeba kornie opuścić głowę, w milczeniu przyjmować razy, żeby wyjść z tego piekła, przedrzeć się do swoich i zawołać: „Towarzysze, naprzód! Musimy zwyciężyć, musimy założyć kaganiec wściekłym bestiom, pławiącym się w krwi naszych braci i sióstr!”

Ilu Czun-tsy wysłuchał relacji Czo zachowując kamienny spokój. Tylko raz w gardle coś mu zabulgotało jak stłumiony krzyk. Potem opuścił głowę na piersi i długo siedział w milczeniu. Wreszcie odezwał się.

— Czy znasz hasło?

Czo Bon Gi nie od razu zrozumiał, o co przyjacielowi chodzi.

— Znam — odrzekł po paru minutach.

— Więc postaramy się wyjść dzisiejszej nocy.

Kiedy indziej Czo podskoczyłby z radości. A teraz siedział bez słowa, jakby nie pojmując, że zbliża się chwila tak wyczekiwana, tak wymarzona.

— Musimy wyjść — ciągnął szeptem Hu Czun-tsy. — Trzeba zanieść swoim wieści o tym, co tu się dzieje. Trzeba rozpałić w nich jeszcze silniejszy

plomień gniewu, by runęli na wroga jak tajfun pomsty — zaniósł się kaszlem. — Ona zginęła — podjął, gdy atak kaszlu ustąpił. — Za ciebie, towarzyszu- Czo. A tyś jej nie wierzył. Zginęła jak komunistka. A tyś nie wierzył komunistce. Zginęła za twoją wolność. A tyś co? Zważył w wolność?

— Nie, nie! — gorąco wyszeptał Czo. — Zrozum. Nie ufałem... Pamiętałem z dzieciństwa okrutne sceny...

Hu Czun-tsy zdawał się nie słyszeć jego słów.

— Musisz okupić swą winę, towarzyszu Czo. Wobec niej, wobec partii, której córką ona była. Musisz...

— Ale jak? Jak?

— Walką. Zaciętą walką. Musisz wrócić na front i gromić, gromić wroga nie tylko za twój dom spalony, za matkę i brata, za krew wsiąkającą w żyzne ryżowe pola, ale i za nią, za tę Japonkę.

— Wiem. Razem będziemy walczyć.

Czo w ciemności nie dostrzegł gorzkiego uśmiechu na ustach przyjaciela. Usłyszał tylko jego szept.

— Razem?... Może... No, trzeba się szykować do drogi.

Ubrali się pośpiesznie w lisynmanowskie mundury. Przez otwór w bocznej ścianie baraku wydostali się na zewnątrz i przycupnęli w cieniu. Świecące ramiona reflektorów ślizgały się nad obozem, wymacowały mrok, krzyżowały się i rozbiegały jak gończe psy wietrzące zwierzynę. Parę razy uderzyły w ścianę baraku. Na szczęście nieco wyżej — nad ziemią. Gdy reflektory uspokoiły się, zaczęły się czołgać w kierunku baraków dla lisynmanow-

ców. Przypadali do ziemi, gdy budziło się czujne oko reflektora i pełzli dalej, gdy gasło.

W lisynmanowskich barakach rozbrzmiewały śpiewy, wrzaski i głośnie, wesołe rozmowy. Jakieś drzwi trzasnęły. Parę postaci ukazało się na drodze i pośpieszyło w stronę bramy. Reflektor zatańczył nerwowo i uspokoił się. Uważnie patrzyli na tamtych... Krótka *rozmowa przy* bramie i barczysty wartownik otworzył furtkę. Czo Bon Gi poczuł, jak mu gwałtownie bije serce. Nie w piersiach, lecz w gardle.

Popatrzył na Hu. Ten skinął w milczeniu głową.

Ostrożnie wstali, wyłonili się z cienia i w pośpiechu ruszyli ku bramie.

— Mów coś — szepnął Hu Czun-tsy.

Czo Bon Gi obejrzał się ukradkiem. Nikt nie siedł za nimi. Głośno, śmiejąc się jakoś nienaturalnie, wyrzucał z siebie bezładne słowa. Snop światła uderzył ich w twarz. Oślepiiony, zawahał się przez chwilę, ale pchnięty przez Hu nie zwolnił kroku. Jeszcze kilkadziesiąt metrów i brama, a za nią... wolność.

Gardłowy okrzyk zatrzymał ich w miejscu. To wołał wartownik z wieży. Od słupa przy bramie oderwał się wysoki Amerykanin i głośno o coś zapytał. Hu Czun-tsy nie rozumiał słów, ale domyślał się, że trzeba podać hasło.

— Idziemy do miasta — powiedział po koreańsku. — Hasło „Seul“.

Wartownik podszedł bliżej nie opuszczając wylotu pistoletu maszynowego i zajrzał im w twarz. Czo wykrzywił usta w uśmiechu i wybełkotał coś, co miało oznaczać „jesteśmy swoi, przyjaciele”. Amerykanin splunął, wymruczał jakieś przekleń-

stwo, krzyknął na swego kolegę i podbródkiem wskazał furtkę.

Przeszli przez nią szybko. Może trochę za szybko. Nie oglądając się za siebie ruszyli naprzód szeroką drogą. Najchętniej rzuciliby się biegiem ku majaczącym nie opodal gąszczom leśnym. Ale to zdradziłoby ich od razu. Pokonując strach — mogli przecież lada chwila spotkać kogoś z obozowych siepaczy lub natknąć się na patrol — maszerowali szosą. Dopiero za zakrętem, osłonięci wzgórzem przed wartownikami, gwałtownie skręcili w bok i schyleni pobiegli ku wzgórzom rysującym się w oddali na wschodzie. Jedyłą ich myślą było teraz dotrzeć tam, ukryć się w zaroślach, zapaść między cieniste zbocze, gdzie nie wypatrzy ich oko wroga.

Przez cały czas nie odezwali się do siebie ani słowem.

Jeden pojmował w lot, o co chodzi drugiemu. Byli jakby dwojgiem ludzi kierowanych jedną, wspólną myślą. Nawet wówczas, gdy dopadli stoków wzgórz, gdy zaczęli się przedzierać przez gęste zagajniki — nie przerywali milczenia. Wspinali się na zbocza, zbiegali z nich i znów pieli się pod górę — instynktem raczej wiedzeni niż pewnością, że obrali odpowiedni kierunek. Potem wzgórze się skończyły. Przed nimi w dole rozpościerał się piaszczysty brzeg, a dalej, pomrukujące oddechem fal morze — ciemne i nieodgadnione, jak ich własna przyszłość.

Czo Bon Gi dał znak ręką. Uważnie rozejrzał się po okolicy. Wprawnym okiem zwiadowcy ogarniał widoczny w mroku krajobraz. Teraz trzeba zostawić Hu Czun-tsy. Najlepiej pod tą kępą drzew,

za skalnym nawisem. Kryjówka nienajgorsza, a on odnajdzie ją w ciemności bez trudu. Hu musi czekać, a Czo uda się na poszukiwania. Może jakaś łódź, może jakiś rybak. Tamte ciemne plamy przy brzegu to chyba chaty rybackie. Trzeba się do nich dostać. Byle ostrożnie. Na pewno gdzieś zaczął się posterunek nieprzyjacielski. Tylko gdzie? Może w jednej z chat, a może na zboczu tamtego pagórka?...

Jak jaszczurka pełził Czo Bon Gi w stronę rybackiej wioski. Ze zmęczenia i podniecenia ćmiło mu się w oczach. Oto sieci rybackie rozpięte na kołkach. Szorstka suchość włókien mówi, że dawno nie zanurzały się w wodzie. Rybacy pewnie nie mają łodzi. Zabrali je Amerykanie i lisymanowcy. A może? Może któryś ukrył swoje czołno przed szperającym spojrzeniem wroga. Trzeba spróbować.

Jakieś głosy. Przyciszona rozmowa. Czo Bon Gi przywarł do ziemi, stłumił oddech. To tu, niedaleko, w lewo. Jak głośno zgrzyta żwir pod ciężarem ciała. Ciszej, ciszej! Lepiej było czołgać się po szczytach pagórków. Trawa tłumiałaby szelest.

Wysłuchał się w szmer rozmowy. Teraz może nawet dostrzec sylwetki ludzi. Nic na nich nie błyszczą. Więc to nie żołnierze. Pewnie rybacy. Ale cóż tu mogą robić o tak późnej porze?

Przysunął się jeszcze o parę kroków. Tamci umilkli; Czyżby zdradził go trzask złamanej, suchej gałązki. Chyba nie. Szum morza głuszy tu wszelkie odgłosy. Widać już wyraźnie — trzech rybacy schyleni nad jakimś czarnym przedmiotem. A może to nie rybacy? Może lisymanowcy urządzili tu zasadzkę na uciekinierów. Jak to źle, że zapo-

niał zabrać ze sobą sztylet. W razie czego nie ma się czym bronić, nie ma czym zadać śmiertelnego ciosu wrogowi i sobie, by nie wzięli go żywcem. Ale trzeba się odważyć, trzeba spróbować. Je-śli dzisiejszej nocy nie wydostaną się z wyspy, jutro będzie już za późno. Z rana na apelu połapia się, że ich nie ma, i potężna armia tropicieli rzuci się na poszukiwanie zbiegów.

— *Tommu, ho tommu*...*

Szept Czo Bon Gi zabrzmiał ciszej niż podmuch wiatru, ale rybacy usłyszeli. Poznał to od razu. Jeden zerwał się, jakby chcąc rzucić się do ucieczki. Coś błysnęło w ciemności. „Nóż“ — pomyślał Czo.

Któryś z rybaków pochylił się w stronę kryjówki Czo.

— *Tommu, hah tommu.* Jesteś przyjacielem czy wrogiem? — szeptem powiedział Czo.

Parę chwil trwało milczenie. Upewniło ono Czo w przekonaniu, że tamci trzej to nie żołnierze. Potem usłyszał ciche pytanie rybaka:

— A ty kim jesteś?

— Stamtąd — Czo głową wskazał w kierunku obozów, jakby w mroku ktoś mógł dojrzeć ten ruch.

Ale rybacy zrozumieli, o co chodzi.

Towarzyszu, hej towarzyszu...

— Czego chcesz?

— Pomocy.

— Jesteśmy biedni rybacy, sami jej potrzebujemy.

„Nie wierzą mi — pomyślał Czo. — Sądzą, że jestem

szpiclem. Jak zdobyć ich zaufanie, jak udowodnić im, że naprawdę potrzeba nam pomocy."

— Wracaj swoją drogą, człowieku, nie znamy ciebie i nie widzimy — odezwał się starym głosem drugi rybak.

— Nie mogę wracać. Tam czeka mnie śmierć. Nie mogę wracać — gorączkowo szeptał Czo. — Nie chcę od was niczego, tylko pomóżcie nam przedostać się na ląd.

Znów milczenie. Ciężkie, beznadziejne milczenie.

— Nie mogę wracać, nie możemy wracać — błagalnie powtarza Czo Bon Gi.

Jeden z rybaków wstał. Zbliżył się do Czo. Pochylił się. W jego ręku błysnęło ostrze noża.

— Czego chcesz od nas? — zapytał chrapliwie.

I Czo zaczął mówić. Namiętnie, zapominając, że każdy głośniejszy dźwięk może dotrzeć do niepowołanych uszu, że czas ucieka, bezładnie mówił o sobie, o Hu, o japońskiej lekarce, o mękach obozowych, o ucieczce. Otwierał przed tymi ludźmi serce, obnażał swój ból. Czy go rozumieją?

— Jesteś sam?

Czo Bon Gi zamilkł. Dlaczego o to pytają. Może chcą dowiedzieć się i schwytać Hu Czun-tsy. A jeżeli postanowili pomóc? Ktoś mu kiedyś powiedział, bodaj że komisarz batalionu — trzeba wiedzieć, kiedy zaufać ludziom. Zaufał im, zawierzył im siebie. Czy może zrobić to samo w stosunku do Hu Czun-tsy?

— Mam towarzysza. Czeka na mnie na wzgórzu, między kępą drzew za skałą...

Rybak cofnął się. Nie pomogło wyteżenie słuchu. Naradzali się tak cicho. Potem zazgrzytał żwir. Znów cisza. „Któryś odszedł — pomyślał przerażony Czo. — Co zrobiłem? Zdradziłem towarzysza. Może rybak pobiegł po żołdaków?”

— Dlaczego nosisz mundur żołnierski i mówisz, że uciekłeś z obozu? — gniewnie zapytał rybak. — Jeńcy nie mają takich mundurów. Jesteś szpiclem i — błysnął nożem — spotka cię za to kara.

Czo przymknął oczy. Pomyślał: „To straszne, zabiją mnie jako szpicla. Zabiją mnie swoi ludzie, przyjaciele, myśląc, że ich oszukuję.” Opowiedział w paru słowach, dlaczego jest tak ubrany. Rybacy nie zareagowali na jego słowa. Czekali. Po paru minutach usłyszał znów chrzęst żwiru. Zobaczył dwa cienie. „Jeśli zechcą mnie związać, rozwalę pierwszemu łeb tym kamieniem” — postanowił ścisnąc palcami ostry odłamek granitu. I nagle usłyszał szept Hu Czun-tsy. Słowa koreańskie wymawiane śpiewnie, z chińska. Hu Czun-tsy odpowiadał na pytania rybaków.

Potem zaległa cisza.

— Chciałem ciebie zabić — zabrzmiał mu nad uchem głos pierwszego rybaka. — Myślałem, że jesteś szpiclem. Hen Sik — zwrócił się do kogoś — przynieś odzież.

Czo przestraszył się, że mu serce pęknie z radości.

— Odwieziemy was do brzegu. Wyszadzimy na mieliźnie między Czinhe i Masanem. Dalej musicie sobie sami radzić — mruknął rybak.

Czo poczuł ucisk czyjejś ręki na ramieniu. Oczy zasnuła mu gryząca mgła. Zagryzł wargi, by nie krzyknąć z radości.

2

Szli nocami. W dzień kryli się w górskich rozpadlinach i leśnych gąszczach, zapadali w dręczący koszmarnymi widziadłami półsen, zrywali się nagle, wystraszeni poszumem skrzydeł ptaka czy trzaskiem gałęzi poruszanych dłońmi wiatru. Z trudem zdobywali jedzenie. Suszoną rybą otrzymaną na pożegnanie od rybaków z *Kożedo żywili się przez trzy dni*. Bali się zagrzać wodę — dym mógł okazać się zdrajcą. Las o tej porze roku dawał tylko schronienie, żywicielem był złym. Po surowych, wyschłych korzonkach paliło pragnienie, ból przeszywał żołądek.

Nie mieli odwagi nawet w nocy zaglądać do wsi. Armia lisynmanowska obsadziła wszystkie wioski, tworząc w nich silne garnizony. Wiedzieli, że wszędzie w górach znajdują się partyzanci, ale nie szczęściło im się — nie spotkali ich dotąd.

Pewnego wieczoru natknęli się na grupę drwali. Właściwie nie oni, tylko drwale na nich. Byli bezbronni. Rybacki nóż, to wszystko, co mieli w razie potrzeby. Ale drwale popatrzyli na nich tylko i skryli się między drzewami. Opuszczając swą kryjówkę znaleźli na polance zawiniątko z czerstwymi placuszkami i garnczek z wystygłym ryżem. Przed wyruszeniem w dalszą drogę zjedli ryż. Placki wzięli ze sobą.

Nie głód jednak i wielokilometrowe marsze były dla nich największą udręką. Hu Czun-tsy — choć nie dawał tego po sobie poznać — tracił siły. Czo Bon Gi, który szedł na przedzie, słyszał chrapliwy oddech towarzysza. Ale gdy chciał się zatrzymać, gdy nalegał na wypoczynek — Hu Czun-tsy popychał go naprzód — szkoda czasu, każdy li przebytej drogi przybliżał ich do celu, każda chwila wypoczynku oddalała wysniony dzień.

W dzień, gdy zaszyci w gąszczu krzewów lub ukryci między skalnymi nawisami w milczeniu czekali na godzinę zmroku, Bon Gi z przerażeniem wpatrywał się w twarz przyjaciela. Co z nim zrobić, jak mu pomóc?

Widział, że Hu ciągnie już resztką sił, że lada dzień nogi odmówią mu posłuszeństwa. Co wtedy? Czy zdoła przebyć setki li niosąc przyjaciela, czy nie zawiodą go nadwerężone mięśnie? Przecież i *on* nad ranem padał bez sił.

Szli właściwie na oślep. Ani Czo, ani tym bardziej Chińczyk nie znali tych okolic. Nie mieli pojęcia, gdzie się znajdują, jak daleko już dotarli. Łańcuchy górskie urywały się, by po paru li znów wyrosnąć na horyzoncie. Czasem udawało im się w nocy dojrzeć na jakimś drogowskazie nazwę najbliższej wioski. Cóż, kiedy nie mówiła im nic ani nie pomagała w odnalezieniu najbliższej drogi. Kierowali się gwiazdami. Wiedzieli tylko tyle — że idą na północ.

Po dziesięciu dniach forsownego marszu spotkali w górach starca w samotnym szałasie. Od niego dopiero dowiedzieli się, że znajdują się w pobliżu granicy prowincji północnej Kionsiando i północnej Czhun-cziondo. Trzeba było jeszcze

przejsć drogę co najmniej równą tej, jaką mieli już za sobą.

Starzec nie pytał ich o nic. Zagotował wodę, przyrządził jakąś zupę z korzonkami, która wydała im się najwspanialszą potrawą, jaką kiedykolwiek jedli. Spoglądał na nich w milczeniu, od czasu do czasu wzdychając i mamrocząc jakieś słowa — może modlitwy — pod nosem. Najedli się do syta. Wtedy stary zbliżył się i dotknął ręką blizn na twarzy Hu Czun-tsy.

— Czy umiesz leczyć ojciec? — zapytał Czo Bon Gi.

Starzec wzruszył ramionami.

Nie, nie umiał leczyć, ale jeśli młodzi ludzie chcą, to może obejrzeć rany. Ma tu trochę ziół leczniczych, a nuż okażą się skuteczne. Hu Czun-tsy wzbraniał się, ale wreszcie uległ namowom Czo Bon Gi. Starzec tylko westchnął. Kiedy Hu zdrzemnął się, odwołał Bon Gi i powiedział.

— Twój przyjaciel nie może iść. Ciało jego przeżarła ropa. Płuca jego to krwawa miazga. Niech zostanie ze mną. Tu mu nic nie grozi.

— Czy *wiesz*, kim jesteśmy i skąd idziemy? — Czo przenikliwie popatrzył na właściciela szalasu.

— Nie wiem i nie pytam was o to — odrzekł cicho starzec. — Jeśli chcecie spotkać przyjaciół, musicie zboczyć bardziej na wschód, w stronę Jin-son.

Czo Bon Gi pokręcił przecząco głową.

— Nie możemy zboczyć na wschód. Musimy iść na północ. Czeka nas długa droga.

Starzec otulił się kożuchem.

— Człowiek nie wie nigdy, która droga jest dla niego drogą najbliższą.

— Ale my wiemy — odparł Czo.

W duszy postanowił już, że pójdą na północny wschód, nie chciał jednak zdradzić się przed starcem. Kto go wie — może to dobry człowiek, a może i nie.

O zmroku ruszyli znów przed siebie. Ale w połowie nocy Hu Czun-tsy upadł. Mimo nadludzkie wysiłki nie zdołał już wstać. Czo napoił go wodą ze źródła i usiadł obok przyjaciela. Hu sapał i kaszłał. Chciał coś powiedzieć, ale słowa rozplywały się w charkocie i rżeniu. Dopiero nad ranem ocknął się z drzemki i przytomniej spojrzął na Czo.

— Towarzyszu — wycharczał. — Idź, idź sam. Ja już... dalej nie mogę.

— Odpocznij, bracie Hu. — Czo starał się nadać swemu głosowi beztrioskie brzmienie. — Zmęczyłeś się. Odpoczniemy dzień i pójdziemy dalej.

Hu gwałtownie pokręcił głową.

— Ja nie... To już koniec... Nigdzie nie pójde... Słyszysz, Czo? Ale ty idź. Nie czekaj na moją śmierć. Idź... Szkoda czasu... Musisz dojść — rzeził wpijając palce w chłodną wilgoć ziemi. — Musisz...

— Pójdziemy razem, bracie Hu — Czo nie mógł opanować łkania. — Razem.

Hu przymknął oczy. Otworzył je po chwili i uśmiechnął się boleśnie. Zdawało się, że zapomniał, gdzie się znajduje. Spoglądał w górę — gdzie w prześwitach między kudłatymi głowami drzew lśniło różowo-błękitne niebo.

— Ciężko umierać z dala od ojczyzny — płatał wyrazy chińskie i koreańskie. — Bardzo ciężko... Źle umierać z dala od towarzyszy... Dobra

śmierć przychodzi w boju, w walce... A ja mało walczyłem... Wierzyłem, że dojdę... Nie udało się... Pójdiesz sam, bracie Czo... Ty dobijesz przystani...

Zachłysnął się kaszlem. Zaczął wykrzykiwać jakieś chińskie słowa. Potem zamilkł. Znów otworzył oczy.

— To ty, Czo? — zdziwił się. — Jesteś jeszcze? Czemu nie idziesz... Musisz się śpieszyć. Tam... czekają. Musisz zapłacić... Zapłacić... za dom... za ziemię... za krew... za nią... To była komunistka... wielki człowiek. Opowiesz o niej... Słyszysz? Opowiesz... Jej mąż jest też w Korei... Powiesz mu... Twoją żonę zabili. Zginęła jak bohaterka... I pomścisz... — Atak kaszlu, krwawa piana na ustach, w oczach bezbrzeżny ból. — Czo, słyszysz?... Nie trzeba się bać śmierci... jeśli się wie, za co... umiera...

Stęknął głucho, wyprężył się, parę razy chwycił ustami powietrze i opadł bez ruchu.

— Hu! Hu! Bracie Hu!

Cisza. Czo Bon Gi opuścił głowę. Potem wstał, objął stygnące zwłoki przyjaciela i dźwigając je zaczął wspinać się na skaliste zbocze góry. Nie czuł ciężaru, nie widział przed sobą nic prócz wysokich skał. U stóp jednej z nich położył ciało druha i zaczął przywalać je kamieniami. Kiedy kopiec urósł wysoko, naciął skórę na rękę. Krew trysnęła z rany. Umoczył w niej patyczek i dużymi literami wypisał na skale:

TU LEŻY HU CZUN-TSY CHIŃSKI BRAT.

ODDAŁ ŻYCIE ZA WOLNOŚĆ KOREI. WZNIEŚCIE MU POMNIK W SWYCH SERCACH

3

Ósmego dnia samotnej wędrówki zatrzymał ślaniającego się z wycieńczenia Czo nagły okrzyk:

— Stój!

Czo błyskawicznie odzyskał siły i panowanie nad sobą. W ręku jego błysnął nóż. Ale wygląd człowieka celującego doń z karabinu powiedział mu wszystko.

Partyzanci długo wypytywali Czo, kim jest, skąd i jak idzie, dokąd dąży. Być może zresztą, że to wcale nie trwało długo, tylko zmęczonemu zbiegowi tak się wydawało. Potem nakarmiono go i postawiono przy nim wartownika. Czo przespał niemal całą dobę, a gdy się zbudził, zaprowadzono go do dowódcy oddziału. Ten kazał mu szczegółowo opowiedzieć o *wszystkim* od początku. O niektóre szczegóły wypytywał po kilka razy. Czo musiał dokładnie objaśnić, w którym miejscu pochował ochotnika Hu, gdzie spotkał właściciela samotnego szałas. Gdy skończył, dowódca zażądał, aby Czo jeszcze raz opowiedział o losie jeńców w obozie, o szpitalu, o wstrzykiwaniu jeńcom chorób i męce japońskiej lekarki.

Zwołano wszystkich wolnych od służby partyzantów. Zasiedli wokół Czo i z pociemniałymi od gniewu twarzami słuchali straszliwej opowieści. Nad nimi niebo rozpięło gwiazdny dach, wesoło strzelały płomienie ogniska. Odblask ich mienił się *w oczach* słuchaczy migotliwymi iskierkami. Od ognia buchało ciepło, ale ludzie dygotali.

Dowódca wstał.

— Słyszeliście, towarzysze?

Odpowiedział mu głuchy, gniewny pomruk.

Dowódca uciszył zebranych skinieniem ręki.

— Jesteśmy mścicielami ludu, towarzysze! — zawołał. — Nie ma miary zbrodniom popełnianym przez najeźdźców, Nie cofają się przed żadną podłością. Chcą za wszelką cenę ujarzmić nasz naród. Nigdy im się to nie uda. Nasza armia — w głosie jej zabrzmiały uroczyste tony — nasza bohaterska armia zadaje wrogowi ciężkie ciosy. Musimy jej dopomóc w tym wielkim dziele lepiej, skuteczniej niż dotąd. Niechaj wróg drży przed mścicielami ludu. Niechaj nie zazna chwili spokoju. Niechaj ziemia nasza stanie się grobem najeźdźców i zdrajców.

Echo leśne poniosło przez góry donośny okrzyk „*Mansee!*“

Dowódca zbliżył się do Czo Bon Gi.

— Mówiłeś, towarzyszu, że jesteś ze wsi Somion, która leży blisko Sunczonu.

— Tak jest, towarzyszu dowódco.

— I masz brata imieniem Jon Am?

— Tak, towarzyszu dowódco — Bon Gi porwał się z miejsca i poszerzonymi ze zdumienia oczyma wpatrywał się w twarz pytającego.

— Towarzyszu Czo Jon Am — dowódca zwrócił się do partyzantów — wystąp!

Zahuczały oklaski. Przy ich wiórze dwaj bracia rzucili się sobie w ramiona. Partyzanci wiwatowali.

Jon Am i Bon Gi usiedli na wywróconym pniu drzewa. Mieli sobie tyle do powiedzenia, ale słowa uwięzły gdzieś w piersiach. Patrzyli na siebie i trzymali się mocno za ręce.

Dżuma II

— Co z ojcem, Bon Gi? Jak matka, co z małym Pha? Czy wiesz coś o nich? Bon Gi zwiesił głowę.

— Matka i Pha nie żyją. Zginęli tej nocy, kiedy poszedłem do armii.

— *Omoni... omoni...* — jęknął głucho partyzant i ukrył twarz w dłoniach.

Bon Gi niezgrabnie pogłaskał go po wstrząsanych łkaniem ramionach. Brat uspokajał się z wolna.

— Czy zostaniesz w naszym oddziale, Bon Gi? — zapytał wreszcie.

Bon Gi zaprzeczył skinieniem głowy. Nie, nie może tu zostać. Zaraz poprosi dowódcę o zezwolenie udania się w dalszą drogę. Nie wolno tracić czasu. Musi wrócić na północ, opowiedzieć towarzyszącom o tym, co przeżywają bracia na Kožedo. Musi wzbudzić w nich gniew tak potężny, by — pięknie to powiedział brat Hu — gniew niby tajfun obalił wroga. Jon Am może ma rację — w partyzanckim oddziale znalazłoby się dla niego dość roboty, i może racja, że dowódca przez radio szybciej przekaże wieści, niż Bon Gi dojdzie do linii frontu. Ale on nie może, nie może zatrzymać się tutaj. Przeszedł już setki li, pcha go na północ jakaś przemożna siła. Nie potrafi się jej oprzeć. A może, może Jon Am poszedłby z nim?

— Co, bracie?

— Nie!

Jon Am powiedział to stanowczo, twardo i głośno. Może nawet za głośno, jakby chciał zakrzyć rosnące w duszy pragnienie. On, z kolei, nie może odejść z oddziału. Ma tu swoją grupę operacyjną. Pokochał swoich chłopców, a i oni jego da-

rzą zaufaniem. Wykonali razem niejedno już zadanie. Gdyby starczyło czasu, opowiedziałby chętnie o niektórych akcjach. Wyszadzili już w powietrze sporo transportów nieprzyjaciela, zniszczyli немало sprzętu i żołnierzy wroga. Ale czasu na opowiadanie nie ma. Zaraz ruszają na nową akcję. Czeka ich długa i niebezpieczna droga. Muszą przejść daleko na południe, w góry Kionsan. Nieprzyjaciel rozgromił działające tam niewielkie oddziały partyzanckie. Trzeba je zebrać i scementować w silną jednostkę bojową. To zaszczytne zadanie otrzymał właśnie Czo Jon Am. Wyruszyliby w drogę już wczoraj, ale dowódca kazał mu czekać na niespodziankę... Tak, tak właśnie powiedział. Niespodzianką było spotkanie z Bon Gi.

Wyrósł przed nimi partyzant.

— Towarzyszu Czo Jon Am, już czas...

Bracia wstali i wolnym krokiem ruszyli ku obozowisku. Spotkał ich po drodze dowódca. Wcisnął się między nich i opasał rękami.

— Trudne, wojenne spotkanie — powiedział z westchnieniem. — Spotkaliście się na parę chwil dosłownie. I rozejdziecie się zaraz w różnych kierunkach. Jeden na północ, drugi na południe... Tak, tak, trudna wojna. I trudne drogi przez nią prowadzą. Często płaci się za nie życiem. A wszystkie one prowadzą w jednym kierunku. Co? W jednym — do wolności.

Po godzinie z ciężkim sercem usiadł Czo Bon Gi w ziemiance dowódcy. Myśl o bracie odnalezionym na chwilę, z którym musiał się rozstać, kto wie na jak długo, nie dawała mu spokoju. A trzeci syn starego Czo? — Któż odgadnie, gdzie jest teraz, czy żyje?

Dowódca pisał. Odblask migotliwego kaganka padał na jego twarz — wychudłą, zmęczoną, poprzecinaną bruzdami zmarszczek. Bon Gi obserwował w milczeniu grę cieni i blasków na tej twarzy. Ilu takich jak ten człowiek, schylony nad pniem zastępującym stół, czuwa teraz w górach i lasach Południowej Korei. I nikt z nich nie ulęknie się żadnych gróźb, żadnych ekspedycji, żadnych dżum.

— Proszę, towarzyszu Czo Bon Gi — dowódca podał mu parę arkusików cieniotkiej bibułki. — Tu jest meldunek. Przekażcie go dowództwu jednostki broniącej tego odcinka frontu, przez który się przedostaniecie. Gdyby — zmarszczył brwi i wpił się oczyma w twarz żołnierza — gdyby coś stało wam na przeszkodzie... pamiętajcie: meldunek musicie zniszczyć. Za wszelką cenę. Są tam informacje niesłychanie ważne dla naszego państwa. — Podeszedł do żołnierza i położył mu rękę na ramieniu. — Czeka was trudna droga, towarzyszu Czo. Ale dojdziecie. Co? Jestem tego pewien.

Rozłożył na pniu mapę i zaczął skrupulatnie, szczegółowo objaśniać Czo Bon Gi, którędy ma dojść do strefy ogniowej. Czo Bon Gi ledwie nie podskoczył z radości. Przecież to już nie będzie trudne. Cóż to za droga, skoro się ma adresy towarzyszy, zna na pamięć marszrutę? Dla niego, który przebył po omacku, na ślepo, prawie trzy tysiące li, to właściwie spacer. Za trzy, najdalej cztery dni będzie już tam, wśród swoich.

Dowódca uśmiechnął się pobłaźliwie.

— A tu nie jesteście wśród swoich?

Czo Bon Gi zmartwił się. Zrobiło mu się wstyd.

— Wszędzie, towarzyszu Czo, jesteście wśród swoich — surowo powiedział dowódca — wszędzie. Nawet tam na Kożedo mieliście tego dowody. Wszędzie, gdzie bije choć jedno koreańskie serce. Zapamiętajcie to na całe życie. I jeszcze jedno: wszędzie, gdzie żyją prości ludzie, wasi bracia i towarzysze — tacy jak wasz przyjaciel tłu i jak ta japońska lekarka. Świat przyjaciół, towarzyszu Czo Bon Gi, nie zamyka się w żadnych granicach.

ROZDZIAŁ VIII

1

Spotkanie Tanimy w jenieckim obozie wzbudziło w Crosby'm przerażenie. Milczenie Tanimy, niemożność uzyskania od niej jakichkolwiek informacji o Fukudzie strach ten pogłębiały i wyolbrzymiały. Przez dwa dni czekał na rezultaty przesłuchania, trzeciego usłyszał od Kanadzawy słowa, które zabrzmiały jak wyrok — badana umarła bez słowa, nawet bez słowa skargi.

Crosby nie spał wówczas całą noc. Jak zamknięty w klatce zwierz miotał się od ściany do ściany. Z każdą chwilą umacniał się w przeświadczeniu, że Japonka nie znalazła się przypadkowo w obozie. Na pewno wysłano ją tu z jakimś określonym zadaniem, którego nie chciała ujawnić, na pewno gdzieś niedaleko krąży Fukuda — tajemniczy i nieuchwytny. Może jest gdzieś bardzo blisko, zaczajony obserwuje poczynania Crosby'ego, by w najbardziej nieoczekiwanej chwili zadać mu drugocący cios. Więc jak temu zaradzić, jak schwytać

tęgo człowieka stojącego na drodze do potęgi, jak go uprzedzić i zmiażdżyć? Szukał odpowiedzi na to pytanie i nie mógł znaleźć. Przemyślał dziesiątki kombinacji i możliwości — i każdą odrzucał. Wymęczony wizjami własnej klęski, bezsennością, zdenerwowaniem uczeplił się wreszcie kurczowo twierdzenia Kanadzawy, że Fukuda nie może znajdować się w Południowej Korei.

Na wszelki wypadek jednak postawił na nogi cały aparat wywiadu. Bazy lotnicze włączone do akcji „suprop“ otoczono siecią ochrony. Dzień i noc jeździły po drogach motocykle, w niebie krążyły samoloty patrolujące, w miastach chwymano wszystkich podejrzanych.

Nie okazywał lęku, jaki go gnębił. Spokojnym głosem wydawał rozkazy, besztal najbliższych współpracowników. Tłumaczył im swe posunięcia:

— Jesteśmy w fazie decydującej. Jakakolwiek nieostrożność może w skutkach okazać się zgubna. Nie wolno nam dać czerwonym żadnego argumentu, żadnego faktu przemawiającego przeciwko nam. Dopóki opierają swe oskarżenia wyłącznie na znalezionych zrzutach, możemy oskarżać ich o kłamstwo, mistyfikację, szerzyć wersje o naturalnych epidemiach.

Wierzyli mu albo przynajmniej udawali, że wierzą. Nawet ci, którzy jak Dodge czy lepiej poinformowani pracownicy sztabu, zdziwieni byli nagłą przemianą Crosby'ego. O Tanimie wiedział tylko Kanadzawa, a ten parzył z ust nie puszczał. Cień Fukudy straszył więc tylko i wyłącznie pułkownika.

W kilka dni po spotkaniu z Tanimą otrzymał wezwanie do naczelnego dowódcy. O oznaczonej

godzinie stawił się w dowództwie, tu spotkała go jednak niespodzianka. Okazało się, że naczelny czekał na niego w swojej willi. Zdziwiło to Crosby'ego, gdyż takie przyjęcia nie leżały w zwyczaju generała.

W rozległym salonie siedział samotnie parę minut. Zastanawiał się, dlaczego generał wezwał go do mieszkania i od czego ma zacząć składanie raportu. Nad tą drugą sprawą nie musiał się długo głowić. Gdy po przywitaniu się z generałem wyciągnął z teczki plik papierów, tamten odsunął mel-dunki.

— Siadaj pan, Crosby — powiedział bardzo uprzejmie i zachęcająco. — A te papiery zostaw. Przejrzę je sam. Może papierosa?

Crosby zapalił. Zachowanie generała było coraz mniej zrozumiałe. Mogło równie dobrze oznaczać coś złego, jak i zwiastować coś dobrego.

— Wczoraj wróciłem z Waszyngtonu — podjął generał, gdy Crosby usadowił się w fotelu. — Piękna pogoda. Wiosna przyszła zgodnie z rozkładem jazdy w kar lendarzu. Ale przepowiadają, że w kwietniu będzie chłodno.

„Czego on chce — myśli Crosby'ego pracowały intensywnie. — Rozmówki o pogodzie, łaskawy uśmiezek... co to może znaczyć. Zawsze rąbie na odlew, od pierwszego słowa, a tu jakieś mizdrzenie się, żartobliwy ton.“

— Cieszę się, że miał pan, generale, udaną podróż — powiedział głośno. — Tu, na miejscu, człowiek nie spostrzega nawet zmian w porach roku.

— Bo nie jest pan w kwatermistrzostwie, drogi Crosby — zaśmiał się. — Tam te rzeczy czują

od razu. Zmiana umundurowania, ruch w interesie. — Generał urwał i rzucił szybkie, przenikliwe spojrzenie na pułkownika. — A u pana, Crosby, jak z tym ruchem? Wciąż sennie?

Pytanie zaskoczyło Crosby'ego. Zbyt nagły był przeskok myślowy dowódcy. Toteż nie od razu odpowiedział, a gdy otwierał już usta, generał mówił dalej:

— Sennie, Crosby, sennie. Ja to panu mówię. Raporty raportami, a fakty faktami. Mała efektywność broni bakteriologicznej nie ulega dla mnie wątpliwości. A przy tym szumu, wrzasku. — Skrzywił się i ze zniecierpliwieniem strzepnął palcem okruchy tytoniu ze stolika. — Stanowczo akcja „suprop“ nie zdała egzaminu.

Crosby przygryzł wargi. A więc o to chodziło temu staremu lisowi o *twarzy* zadowolonego z siebie chomika. "Teraz wszystkie gromy zaczną cisnąć na moją głowę — pomyślał. — Nie zrobiłeś, nie załatwiłeś, przesadziłeś. Mnie, znowu mnie wystrychną na dudka... "

— Ośmielę się zauważyć, generale, że taka ocena akcji jest moim zdaniem zbyt pesymistyczna — oświadczył z naciskiem. — Pojmuję zniecierpliwienie, ale sądzę, że jest ono nieuzasadnione. Chodzi o to, że niektórzy nasi politycy — podkreślił słowo politycy, jakby dając do zrozumienia, że nie podejrzewa o to wojskowych — związali niesłusznie z użyciem broni bakteriologicznej nadzieję na natychmiastowe zwycięstwo. Spowodowane to zostało, sądzę, niezrozumieniem istoty tej broni. Jej działanie, przypuszczali niektórzy politycy, będzie w skutkach niemal takie jak broni atomowej. Tymczasem...

Mówił równym głosem, jakby wygłaszał z dawna wyuczony na pamięć wykład. Ale równocześnie uważnie obserwował wyraz twarzy generała. Nie uszło jego uwagi baczne spojrzenie naczelnego i grymas ściągający usta w chwilach zainteresowania. Myślał: „Jeżeli słucha, to znaczy, że z akcją „suprop“ nie jest tak źle“. Kiedy skończył, generał pokiwał głową na znak aprobaty.

— Właśnie tak ująłem te sprawy w rozmowie z szefem połączonych sztabów. A on — uśmiechnął się — jest wojskowym, nie politykiem. Zgadza się z moją opinią o niedostatecznej skuteczności pańskiej broni, uważa jednak, że jeśli użycie jej potraktujemy jako eksperyment, to nawet takie rezultaty są zadowalające.

Wstał, przeszedł się po pokoju i zatrzymał się nad Crosby'm.

— Nie jestem ani optymistą, ani pesymistą, Crosby — powiedział innym, twardszym tonem. — Jestem naczelnym dowódcą armii, która musi. rozumie pan, musi zgnieść czerwonych. Nie obchodzi mnie żadna nota protestacyjna. Nad tym niech się głowią politycy. Jest mi najzupełniej obojętne, czy jakiś skryba we Francji lub Anglii napisze, że używamy czy też nie używamy broni bakteriologicznej. Kongres zatwierdził poważne sumy budżetowe na cele, w których zainteresowany jest pan, Crosby, i firma stojąca za pańskimi plecami, i — co najważniejsze — nasz rząd. Nie chodzi mi jednak o jakąś tam sumę pieniężną, zależy mi na efekcie, na skuteczności akcji „suprop“. W jednym z raportów tłumaczył pan małą efektywność zrzutów warunkami zimowymi. Idzie wiosna. Wiosną muchy nie zdychają od zimna. Więc jak będzie z efek-

tami teraz? Uskarża się pan na trudności z agentami. Cóż, nie będę miał pretensji, jeśli pan ograniczy swe meldunki. Dla mnie istotny będzie meldunek, który otrzymam z Phenianu — bezpośrednio: biała chorągiew albo czarna śmierć.

Zapalił papierosa, wydmuchnął strugę dymu i usiadł obok pułkownika.

— Cenię pańskie wysiłki, Crosby — oświadczył z uprzejmym uśmiechem. — Ale same wysiłki nie zapewnią nam zwycięstwa. Zrozumiał pan, o co mi chodzi?

— Tak jest, generale.

— W Waszyngtonie toczy się wielka batalia. Nazywam ją: atom kontra bakteria. Zwolennicy atomu na razie są słabsi, ale to tylko na razie. Jeśli pan, Crosby, nie udowodni w najbliższym czasie, że bakteria jest dla nas dobrym sojusznikiem to... będzie pan musiał wracać do Waszyngtonu.

Crosby'emu zaschło w gardle. Wydało mu się, że uchwycił jeden koniec nici, z której ktoś chciałby spleść sieć. Gra — zakulisowa, cicha, ale zażarta gra. Chcą z nim postąpić w myśl zasady: „Murzyn zrobił swoje“. Kogoś innego mają zamiar wpakować na szefa „suprop“. Zapiekleła go ta myśl i zdusiła głos w krtani. Odpowiedział krótko — tak jest — a potem... zobaczymy. Nie pozwoli się wystawić do wiatru. Jutro, nie, już dziś rzuci do akcji taką armię pcheł, że pokryje niby szarańcza ziemię na północ od 38 równoleżnika. Wyzyska wszystkie atuty.

Generał wstał.

— To wszystko, Crosby, co chciałem panu powiedzieć. A teraz proszę na górę. Małe przyjęcie

dla przyjaciół. — Spojrzał na zegarek. — Pewnie już się schodzą.

2

Następnego dnia do dowódców baz lotniczych nadszedł rozkaz: nadać akcji „suprop“ maksymalny rozmach. Baza K-6 w Phiontheku otrzymała polecenie natychmiastowego włączenia się do akcji. Z rana Crosby wyrysował na swojej mapie dziesiątki żółtych i czerwonych znaczków. W niektórych miejscach rozmieścił je bardzo gęsto. Z satysfakcją pomyślał, że dzięki otrzymanym od naczelnego dowódcy pełnomocnictwom, w niedalekiej przyszłości na mapie zabraknie miejsca. A to znaczy, że na ziemi srożyć się będzie śmierć zbliżająca jego zwycięstwo.

Przypomniała mu się nagle groźba jednej z komunistycznych gazet „zbrodniarze staną przed sądem”. Wzdrygnął się. Skąd? Któż ośmieli się sądzić Amerykę, gdy zwycięży? To ci, którzy grożą, staną przed sądem, naturalnie, jeśli uda im się przetrwać dżumę. A zresztą... On jest tylko wykonawcą. Generał powiedział o tym wyraźnie, grożąc mu usunięciem z zajmowanego stanowiska.

Rozmyślanie przerwało mu wejście Dodge'a. Szef wywiadu był wyraźnie podniecony i zadowolony.

— No, Bob, mam dla ciebie nowinę.

Crosby uniósł brwi na znak zdziwienia. Niech Dodge nie myśli, że tak łatwo obudzić w nim zainteresowanie.

— Mam... — Dodge przymrużył filuternie oko. — Mam... Fukudę.

Crosby wyprężył się w fotelu, jakby chciał podskoczyć. Twarz zalał mu ciemny, krwisty rumieniec. Przesunął językiem po wyschniętych nagle wargach.

— Ko...go?

— Fukudę — zaśmiał się Dodge. — To znaczy mam go nie tyle w sensie fizycznym, ile nareszcie wiem, gdzie się znajduje.

Crosby oddychał ciężko. Radość okazała się przedwczesna. Łajdak z tego Dodge'a. Specjalnie odegrał tę komedię, by wyprowadzić go z równowagi. Hamując wzburzenie powiedział cicho, jakby głuszając nabrzmiewającą wściekłość:

— Nie mam czasu na żarty. Gadaj, co wiesz.

Dodge spojrział na niego z udanym zdziwieniem.

— Nie żartuję. Specjalnie przyszedłem, by ciębie ucieszyć...

— Nie mam czasu na żarty, Dodge — powtórzył Crosby zachrypłym z gniewu szeptem. — Gadaj, o co chodzi, bo...

Dodge przysunął sobie krzesło i sięgnął ręką poprzez całą szerokość biurka po papierosa. Chwilę miał go w palcach.

— No... — Crosby oparł się dłońmi o biurko, jakby zamierzał wstać.

— Już mówię, Bob. Nie bądź taki nerwowy. — Dodge zaciągnął się, ale widząc nie wróżącą nic dobrego minę Crosby'ego oświadczył w pośpiechu: — Otrzymałem raport od jednego gościa z Phenianu. Pamiętasz, żądaliśmy listy osób zajmujących się zwalczaniem akcji „suprop“. Wykaz nadszedł

wprawdzie niepełny, ale jest w nim nazwisko, które ciebie interesuje.

— Taak.

— Jednym z kierowników tej akcji jest pełniący służbę w oddziałach ochotników chińskich docent Fu-kuda Takeo. Stale przebywa w centralnym laboratorium w Phenianie.

Crosby opuścił głowę. Niech lepiej Dodge nie widzi gry uczuć na jego twarzy. Kamień spadł mu z serca. Skoro Fukuda nie czyha gdzieś tu na południu, to już dobrze. Ale jest tam, w Phenianie, zwalcza to, co robi Crosby. I musi to odpokutować. Najwyższy czas zapłacić mu już za wszystko, z nawiązką. Żeby więcej nie włąził w paradę, żeby jego nazwisko nie straszło, żeby skończyły się kosztowne sny: Crosby biegnie, ucieka, maleńki i bezbronny, a tuż za nim ogromnymi susami sady olbrzym Fukuda... Tak, trzeba z nim skończyć.

— Kiedy masz łączność radiową z naszymi?
— cicho zapytał Crosby.

Dodge uśmiechnął się nieznacznie. Zaimponował mu pozorny spokój zwierzchnika, zazwyczaj głośno i bez skrępowania reagującego nawet na drobiazgi.

— Dziś w nocy z dwiema stacjami — odparł i od razu dodał: — Jeśli ich jeszcze nie nakryto. W ubiegłym tygodniu czerwoni złapali znów jedną stację. Wczoraj zrzuciliśmy parę nowych, ale diabli wiedzą, jak długo uda się je obsługiwać?

— A ten twój znajomy w Phenianie?

— Nie mogę kontaktować się z nim zbyt często. To poważna rybka, a nie jakaś ploteczka. Ale o co ci chodzi? — Popatrzył uważnie na Crosby'ego i pokiwał głową. — Aha... To nie będzie łatwe, Bob.

— Wiem, ale trzeba to zorganizować. Za wszelką cenę...

— Nie każdy potrafi taką robotę wykonać — powątpiewająco wtrącił Dodge.

— Więc zrób, jak chcesz. Wyślij specjalnych ludzi, zmobilizuj agentów, ale Fukuda... Ten człowiek musi zniknąć! To nie prośba, to rozkaz, Dodge.

— Spróbuję, jeśli się uda, przekazać sprawę Mary, Tylko ona potrafi zorganizować taką akcję. Ale... może za to zapłacić głową...

— Dobrze.

Crosby poczuł, że serce zabiło mu żywiej w piersi, ale stłumił ogarniające go wzburzenie. Mary... to już rzecz przebrzmiała. Drogi ich się rozeszły. Cóż wreszcie go może obchodzić jakaś Koreanka...

— Dobrze, Dodge. Niech będzie Mary. Byle szybko i ostatecznie.

Zamilkł na chwilę i przymknął oczy. Z daleka wypłynęła twarz dziewczyny. Jej obraz wirował chwilę pod powiekami. Zacisnął je mocniej — twarz znikła. Popatrzył na Dodge'a. „Przyjdzie i na ciebie kolej” — powiedział w duchu.

— Meldunki jakieś masz? — zapytał sucho.

— Mam.. — Dodge skinął głową. — Nawet pomysłów. Siedemnaście zachorowań w jednej wsi. Pełna kwarantanna. To już coś.

Crosby rozłożył mapę.

CZĘŚĆ TRZECIA

KŁĘSKA

1

Głównym zajęciem Fukudy były właściwie konferencje, narady i odprawy. Jego wysłużony „dżip“, na którym U Pu-kueji pieczołowicie i wciąż odnawiał biały rysunek amerykańskiej gwiazdy — niech wszyscy wiedzą, że zdobywczy — pochłaniał kilometry z żarłocznością liszki pożerającej młode liście. Bo Fukuda zamiast ściągać ludzi, wołał jeździć do nich. Uważał, że w ten sposób jak najmniej odrywa ich od pracy, a równocześnie sam zdobywa możliwość wejrzenia we wszystkie sprawy związane ze zwalczaniem broni bakteriologicznej. Trzeba było brać przecież pod uwagę i warunki terenowe, i atmosferyczne, i gęstość zaludnienia, i wyposażenie stacji sanitarnych. Nie wszystkie zaopatrzone już w dostateczną ilość sprzętu i leków. Do niektórych ośrodków trzeba było wysyłać transporty sanitarne jeden za drugim. Nie ustające bombardowania albo niszczyły samochody w drodze, albo obracały w ruinę ziemianki nowoorganizowanych stacji.

Każdy niemal wyjazd wzbogacał doświadczenie Fukudy, podsuwał nowe metody akcji profilaktycznej i obrony przeciwepidemicznej. Jeździł zresztą nie tylko Fukuda. W zapadłych wioskach, w zburzonych, dalekich miasteczkach można było spotkać wybitnych specjalistów wykładających młodym dziewczętom i starym chłopom zasady walki z epidemiami. Mimo braku lekarzy udało się zorganizować silną armię sanitarną, skutecznie

zwalczającą następstwa zrzutów bakteriologicznych. I choć liczba zrzutów mnożyła się, choć w coraz to nowych okolicach wykrywano odłamki bomb otoczone rojem zakażonych owadów, choć Amerykanom nie zbywało na pomysłowości w wynajdywaniu coraz to perfidniejszych rodzajów „broni” — w rodzaju liści czy piór rozsiewających bakterie — Fukuda mógł w raportach stwierdzić kategorycznie, że akcja przeciwbakteriologiczna zdała egzamin.

Powodzenie przypisywał zdumiewającej organizacji i dyscyplinie ludności. Prysły obawy pierwszego okresu, kiedy z przerażeniem myślał, jak tragiczne skutki może pociągnąć za sobą wojna bakteriologiczna w kraju tak zniszczonym, gdzie ludzie gnieźdzą się w ruinach i lepiankach, gdzie doskwiera głód i chłód, a tysiące tułaczy pozbawionych dachu nad głową przemierzają tragiczną ziemię wzdłuż i wszerz w poszukiwaniu jakiegokolwiek ukrycia. Ludzie przyzwyczaili się do kwarrantanny, zastosowali do ostrych przepisów. Nikt nie starał się wykręcić od przymusowych szczepień, które zrazu, zwłaszcza we wsiach, budziły strach i nieufność. Podziwiał chłopów — wymęczonych nocną pracą, ofiarnie i czujnie pełniących służbę wartowniczą, przeszukujących rozległe nieraz tereny po przelocie samolotów. Zdumiewał go minimalny procent zrzutów nie wykrytych przed rozprzestrzenieniem się owadów. Czuł wokół siebie ogromną siłę, która i jemu dodawała otuchy, siłę bijącą z narodu, któremu szedł z pomocą.

Daleki był od przeceniania sukcesów. Oburzał się, gdy w głosie tego czy innego kierownika stacji sanitarnej wyczuwał akcenty zbyt wielkiej pewno-

ści siebie. Wtedy replikował, wy olbrzymiając niebezpieczeństwo, przestrzegając przed perfidnością wroga, kreśląc koszmarnie obrazy epidemii. I postępował słusznie. W niektórych miejscowościach, gdzie po kilku w porę zlikwidowanych zrzutach, obrona przeciwepidemiczna zaczęła działać mniej skrupulatnie, zachorowało sporo ludzi. Po paru dniach okazało się, że Amerykanie zrzucili tam nie zauważone przez wartowników bomby.

Nie miał czasu dla siebie. Nie pomagały fochy U Pu-kueja, który groził swemu dowódcy chorobami, jeśli ten nie zacznie regularnie się odżywiać. Fukuda opędzał się przed tą troskliwością jak przed natrętnymi komarami. Jadał byle co i byle jak, sypiał byle gdzie. Przejawy troskliwości uważał za coś tak absurdalnego, że przestał na nie nawet reagować.

— Czy nie rozumiesz, że jest wojna, U Pu-kuej — tłumaczył nieustępliwemu ochotnikowi. — Nie o mnie trzeba myśleć, nie o jedzeniu.

— Żołnierze na froncie też jedzą, towarzyszu dowódco — uparcie powtarzał U Pu-kuej. — I to im wcale nie przeszkadza gromić wroga.

— Ależ zrozum, U Pu-kuej. Żołnierz na froncie widzi nieprzyjaciela, a ja nie wiem, kiedy i jakiego wroga przyjdzie mi zwalczać. Z ludźmi łatwiej walczyć niż z pchłami.

U Pu-kuej wzdychał i posłusznie szedł do „dżipa“ sprawdzić, czy kierowca nie zapomniał zmienić opony lub świecy w motorze. I tam dopiero dawał ujście swemu niezadowoleniu. A Fukuda w pośpiechu łykał wystygłe grudki ryżu i załatwiał nie cierpiące zwłoki sprawy, obmyślając taki plan

wyjazdu, który by mu pozwolił zajrzeć do kilku przynajmniej miejscowości.

Ale żył nie tylko myślami o wojnie bakteriologicznej. Chwilami — czasem w nocy, czasem w drodze — skądś z głębi serca wynurzał się ból. Wtedy opuszczał nisko głowę i gryzł zębami język, by nie krzyknąć. Gdzie ona jest? Co z nią? Łykał gorzką jak morską wodą ślinę i płakał w duchu. Przywoływał ją: „Tanima, gdzie jesteś, czy ciebie zobaczę?” Ostrożnie dotykał palcami schowanego w kieszeni portfela. Tam leżało zdjęcie. Bał się na nie spojrzeć, nawet kiedy był sam. Zresztą po co. Nie trzeba nawet zamykać powiek, by ujrzyć jej twarz. Piękną, rozpromienioną uśmiechem. Usta wilgotne, czerwone jak dojrzała wiśnia. Oczy jak oliwki. Tanima. Wszystko, wszystko w nim było przepelnione miłością do niej i rozpaczą nad okrutnym losem, który ją spotkał. Ukrywał swój ból nawet przed sobą, ale jakże mógł milczeć, gdy znajdował w gazetach słowa o straszliwych cierpieniach jeńców. A przecież ona była... nie mógł nawet bez lęku myśleć o tym... też jeńcem.

Od pewnego czasu zwrócił uwagę, że znajduje na stoliku w swej ziemiance tylko część gazet. U Pu-kuej odpowiadał na zapytania krótko:

— Nie przysłali.

Nie pojmował, jak to mogło się stać. Zawsze gazety przychodziły regularnie, a tu nagle... Przypadek wyjaśnił mu wszystko. Czekał na przyjęcie przez ministra, przeglądał gazety. W jednej z nich znalazł opowiadanie jeńca zbiegłego z obozu amerykańskiego na Kożedo. Przeczytał je parę razy, choć każde słowo zadawało nieludzki ból i straszliwe cierpienie. Potem rzucił okiem na datę.

Tej gazety nie znalazł przed tygodniem na swoim stole. Wracając zapytał U Pu-kueja, jak to się stało, że nie otrzymał swej gazety. Zobaczył, że twarz ochotnika zalewa rumieniec. Zrozumiał. Poczł, jak bliski mu jest ten chłopiec, który chciał oszczędzić cierpienia. Odwrócił się i oparł dłoń o kolano ochotnika. U Pu-kuej milczał.

„Oto przyjaciel — pomyślał Fukuda. — Cichy, milczący przyjaciel. Ale najlepszy, najserdeczniejszy przyjaciel nie potrafi zmniejszyć rozpacz. Z nikim nie można dzielić swego bólu. Trzeba go przeżyć samemu w sobie. Ale czy można przeżyć ból tak ogromny, jak ten, który wgryza się w serce i myśli jednym tylko słowem — Tanima?...“

Któregoś dnia U Pu-kuej zawiadomił go, że już drugi dzień czeka tu na niego jakiś koreański żołnierz. Fukuda dopiero wrócił z Wonsanu, gdzie Amerykanie od paru dni zrzucali bomby bakteriologiczne w dużej ilości, i śpieszył na zwołaną przez ministra odprawę. Czasu miał niewiele, ale skoro człowiek czeka, trzeba go przyjąć. Żołnierz wszedł i wprost od drzwi rzucił się ku Fu-kudzie.

— Dzięki wam, towarzyszu, dzięki! — wołał ze łzami w oczach. — Uratowaliście mi rodzinę. Gdyby nie wy, nie miałbym dziś ani żony, ani swoich dzieci. Dzięki wam, towarzyszu.

Wzruszony Fukuda nie wiedział, co ze sobą począć. Żołnierz — jak się okazało — otrzymał kilkudniowy urlop, dowiedział się, że Fukuda osobiście interesował się losem jego rodziny, gdy w Paksanie miały miejsce zrzuty, i przyszedł podziękować. U Pu-kuej stał w drzwiach zadowolony i uśmiechnięty. Dumny był ze swego dowódcy.

Fukudzie z trudem udało się wreszcie odprawić żołnierza, który wdzięczność swą wyrażał nie kończącym się potokiem słów. Kiedy siedli do samochodu, U Pu-kuej trącił doktora i cicho zapytał:

— Skąd ten żołnierz, towarzyszu dowódco?

Fukuda zastanowił się chwilę. Żołnierz mówił tak dużo i szybko, że nie wszystko zrozumiał. O jakim to mieście mówił? Aha.

— Z Paksanu — odpowiedział ochotnikowi.

U Pu-kuej pokiwał głową i ściągnął brwi na znak, że się nad czymś zastanawia.

— Paksan... Paksan — mruknął. — A kiedy myśmy tam byli?

Fukuda wzruszył ramionami. Czy to można spałiętać? I czego U Pu-kuej chce? Może chciałby się tam wybrać i odwiedzić rodzinę żołnierza? A U Pu-kuej wciąż mrucał:

— Paksan... hm... Paksan.

Fukuda mimo woli też zaczął zastanawiać się nad tą nazwą. Rzeczywiście, kiedy był w tym mieście? Pamiętał dość dokładnie wszystkie ośrodki, które wizytował albo do których przyjeżdżał w razie potrzeby. Ale Paksan? Tę nazwę chyba zna tylko ze słyszenia. Nie kojarzy mu się jakoś z żadnym zdarzeniem, żadną twarzą ludzką. Ale czy warto myśleć o takich głupstwach. Pewnie mu się pomyliło. Żołnierz mógł pochodzić z Paksanu, a rodzina może mieszkała teraz gdzie indziej. Trzeba lepiej zastanowić się nad sprawozdaniem z podróży. Po paru chwilach zapomniał już o żołnierzu. Tylko U Pu-kuej mrucał coś pod nosem.

Mary dumna była ze swej kryjówki. U starego Czo czuła się bezpiecznie jak w biurze Crosby'ego. Polubili ją mieszkańcy Somion za uśmiech, którym obdarzała ich szczerze, i za ciekawe historie opowiadane w chwilach wolnych od pracy. Zasmakowała nawet w podwójnym życiu, jakie wiodła. Zaufanie ludzi umiała wykorzystać. Dzielili się z nią chętnie zasłyszanyymi nowinami. Z oburzeniem opowiadali jej o tych czy innych zbrodniach piratów, a widząc w jej oczach łzy pocieszali :

— Nie płacz, Sun Dla, będzie dobrze, zwyciężymy.

Mary chwyciła tego, kto był najbliżej, za rękę i ściskając ją mocno powtarzała:

— *Zwyciężymy, zwyciężymy...*

A kiedy zostawała sama, śmiała się w duchu nad naiwnością głupich chłopów, którzy użalali się nad jej niedolą, nazywając ją „biedną kobietą”. Dla większej popularności opowiedziała jakąś historię o zamordowanej rodzinie, o mężu na froncie, od którego nie miała wieści. Wkupiła się w serce starego Czo i jego sąsiadów.

Czasami udawała się na całodzienną albo dwudniową wyprawę — jak objaśniała — w poszukiwaniu rodziny. Było to w dniach umówionych spotkań z człowiekiem, z którym pchała wózek. Spotykali się w Sun-czonie.

Widok tego miasta napawał ją lękiem. Było coś strasznego w tym krajobrazie ruin zmieniających kształtowanie po każdym nalocie amerykańskim. Trudno było zorientować się w tej gmatwaninie ceglanych kopców i osieroconych kominów sterczących wśród gruzów.

Człowieka z wózkiem umawiała w ruchliwym punkcie, gdzie krzyżowała się szosa z główną niegdyś ulicą miasta. Kręcili się tam przekupnie — przeważnie małe dziewczynki, dźwigające na plecach młodsze dzieci, piskliwymi głosikami zachęcały przechodniów do nabycia zapalek lub papierosów. Mary zatrzymywała się opodal i uważnie obserwowała ruch uliczny. Obawiała się „wsypy”. Człowiek z wózkiem mógł zdradzić — trzeba zachować ostrożność. Dopiero gdy upewniała się, że przekupnie są ci sami, co za ostatnią bytnością, że nie widać w pobliżu ani milicjantów, ani ludzi, których cywilne ubranie nie zacierają pięt na wojskowej służbie, zaczynała powolną wędrówkę wśród przekupniów. Zatrzymywała się przy jakiejś starszce warzącej w kociołku zupę, oglądała na straganie ręczniki, jakby po nie właśnie *tu* przyszła. Wreszcie podchodziła do człowieka, który proponował jej kupno waciaka lub butów czy jeszcze czego *innego*. Po długich targach, w których nie brakło nigdy doradców, udawała się ze sprzedawcą na ubocze, by dokończyć transakcji. W ciągu tych kilku minut wysłuchiwała raportu i przekazywała dalsze rozkazy. „Sprzedawca” powtarzał jej słowa radiowego szyfru, a ona wyjaśniała mu, co ma robić, jakie zadania wykonać, co nadać w najbliższym meldunku.

Za trzecim spotkaniem człowiek z wózkiem przekazał jej rozkaz Dodge’a w sprawie Fukudy. Wprawdzie nie znał szyfru, ale wyraz twarzy kobiety powiedział mu, że polecenie od „krzykliwego” jest niełatwe. Nic zresztą nie było łatwe w tym kraju. Człowiek z wózkiem nie powtarzał Mary wszystkiego o swych niepowodzeniach. Potrzebo-

wał pieniędzy. Gdyby powiedział jej, że planowane akcje dywersyjne nie udały się, że trzeciego z ich siatki aresztowano już dawno, a on sam siedzi z radiotelegrafistą zaszyty w górach i nie wysuwa nosa prócz dni spotkań — ho, ho, miałby się z pyszna. Wołał więc opowiadać o wyimaginowanych sukcesach, o zmontowaniu nowej siatki wywiadu, na której utrzymanie dostawał od razu pieniądze. Gdyby kobieta kazała, by ją skontaktował z kimś z takiej nie istniejącej siatki, zaprowadziłby ją tam... skąd nic ma powrotu.

Mimo wszystko obawiał się jednak tej — jak ją nazywał — „czarownicy”. Toteż gdy w paru słowach powiedziała mu, że „krzykliwy” zlecił poważną i dobrze płatną robotę, nie mającą zbyt wiele wspólnego z bakteriami, postanowił wykonać zadanie. Zabić człowieka nie jest wcale tak trudno. Nikt lepiej od niego nie rzuca nożem, a i strzelać w razie potrzeby potrafi nienajgorzej.

— Możesz się nie obawiać — oświadczył pompatycznie. — Zrobię tak, jak kazał „krzykliwy”. Szykuj pieniądze. Kłopot będzie tylko ze znalezieniem tego gościa. Ale skoro mówisz, że jest w Phenianie, to mi wystarczy. Opowiedz mi tylko, co on robi i gdzie pracuje.

Mary wiedziała niewiele więcej od niego. Rozkaz Crosby'ego i Dodge'a zredagowany był lakonicznie. Skąd Mary może wiedzieć, czym Fukuda zajmuje się w tym laboratorium. Jest doktorem, a co jeszcze?

— Musisz się sam dowiedzieć, jak go zainteresować swoją osobą i zdobyć zaufanie — oświadczyła sucho. — Pięćset dolarów to ogromny pie-

niądź. „Krzykliwy” obiecał, że po tej robocie będziesz mógł wrócić na południe do domu.

Mężczyzna zatarł ręce.

— Będzie zrobione. Dla mnie to — prychnął pogardliwie — głupstwo. Samolotów nie lubię, a z tym gościem dam sobie radę.

Musieli się śpieszyć. Zbyt długa rozmowa prowadzona przyciszonymi głosami mogła wzbudzić podejrzenie.

— Pamiętaj o meldunku radiowym — Mary powiedziała to wyliczając mężczyźnie pieniądze za kupione buty. — Razem było siedemnaście zrzutów.

— A chorych? Ilu mam powiedzieć, że zachorowało. Oni tego żądają. My wiemy o pięćdziesięciu, a ty?

— Oho, dużo — z zadowoleniem szepnęła Mary. Ona nie mogła zaimponować taką cyfrą. W jej okolicach wszystkie zrzuty wykryto dość szybko. — U mnie pięciu — westchnęła. — Zresztą to nieważne — dodała pośpiesznie. — Teraz pamiętaj o swoim nowym zadaniu. Zostaw meldunek i zacznij polowanie na tego Fukudę. Spotkamy się za dwa tygodnie. No — teraz znów mówiła głośno i krzykliwie — pamiętaj, jeśli te buty będą złe, przyjdę tu i napluję ci w oczy.

W drodze powrotnej do Sornion wyrzuciła buty. We wsi mogliby się zdziwić: skąd biedna uciekierka ma pieniądze na kupno obuwia. A buty przydałyby się. Nogi bołą w tych twardych trepach, które ma na nogach. Pomyślała o pięknych pantofelkach stojących bezużytecznie w Tegu, w Tokio... Żal jej się zrobiło spokojnego życia pod opieką Crosby’ego. Z niechęcią spojrzała na swoje dłonie.

Brudne, spuchnięte, pokryte odciskami, niczym nie przypominały wypieszczonych paluszków dawnej Mary. A ten strój? Zaśmiała się głośno. Gdyby ją tak teraz zobaczył Crosby, czy rzuciłby się płackiem do jej stóp i żarliwie szeptał o miłości? Nie, za nic nie wróci do Crosby'ego. Zostanie tu. Będzie karzącą ręką bóstw. Poczekaj dwa tygodnie, a gdy człowiek z wózkiem da znać, że rozkaz Dodge'a jest już wykonany, weźmie się energicznie do roboty. Z tych bomb Crosby'ego pożytek niewielki. Lepiej by już rzucali więcej napalmowych albo jakąś atomową, jak wtedy na Hiroszimę. Bo inaczej — długo przyjdzie czekać na dzień triumfu, w którym stary Czo będzie czołgał się u jej stóp i błagał o łaskę. Nie otrzyma jej, dla nikogo w tym kraju nie będzie łaski. Tylko krew może okupić winę tych, co podnieśli rękę przeciw swym władcom.

Wzbijając obłok kurzu przejechał ciężarowy samochód. Zmierzchało. Usłyszała wesóły okrzyk. Ocknęła się z zamyślenia. Teraz drugi samochód. Chłopcy w żołnierskich mundurach wymachiwali ku niej rękami. Podniosła i ona dłoń. Zwinięta w pięść.

3

Po konferencji u ministra Fukuda zamiast wrócić do siebie, pojechał w odwiedziny do znajomego lekarza. Kolega chorował od paru dni i Fukuda postanowił go odwiedzić. Przyjacielska pogawędka była mu potrzebna, by odpędzić ciężkie myśli. Ostatnie doniesienia, przekazane przez partyzantów z Południowej Korei i powtórzone dziś na

konferencji, przyniosły wiadomości o eksperymentach bakteriologicznych dokonywanych przez Amerykanów w obozach jenieckich. Szczęściem powiedziano o tym tuż przed końcem obrad. Fukuda, od chwili gdy to usłyszał, nie mógł już myśleć o niczym, Nękały go wizje szpitala jednostki 731, gdzie zdrowym ludziom wstrzykiwano śmiertelną chorobę, leczono i znów wstrzykiwano. Zabijano nie raz, ale wiele razy. Choć bronił się, wciąż wyrastała mu przed oczyma postać Tanimy, jej twarz skażona piętnem cierpienia i strzykawka z mętną cieczą wsączaną powoli w krew. Nie potrafił myśleć o setkach innych skazanych na cierpienia. Tylko ona, tylko jej los przesłaniał mu wszystko. Ludził się — a może jej to nie spotka, może nie poddadzą jej nieludzkim próbom, może uchroni ją to, że jest lekarzem. Ale trzeźwy głos rozsądku uparcie powtarzał — tym bardziej, tym bardziej grozi jej straszna śmierć.

Ledwie doczekał końca obrad i nie widząc nikogo, nie słysząc, co do niego mówią, wyszedł na dwór. Noc była pogodna. Daleko huczały motory samochodów. Ślizgały się po ukrytym w ciemnościach krajobrazie ślepie reflektorów. Gdzieś klasnął wystrzał. Jakiś głos przeciągły ostrzegł: „*Hango-o-o-on!*“ Fukudzie wydało się, że z tej naglej ciszy, którą przecież tak dobrze znał, powiało nań grozą. W tej chwili właśnie poczuł, jak bardzo narażony jest na niebezpieczeństwo, jak śmiesznie słabe jest jego życie. Przygarbił plecy. Wewnętrzny głos powiedział mu: „Wstyd, boisz się, wstyd“. A potem drugi głos zapytał: „A ona? Tam... sama... Może śmierć jest już w niej“.

— Nie, nie! — krzyknął.

Własny głos go otrzeźwił. „Oszaleję — pomyślał. — Nie wytrzymam już dłużej. Chcę wiedzieć, chcę mieć pewność..

I wtedy przyszedł mu na myśl ów chory kolega. „Pojadę do niego, porozmawiam z nim“. Nie chciał, bał się wrócić do swojej ziemi, do spraw, które każdym szczegółem przypominają o Tanimie.

U Pu-kuej usłyszawszy, że Fukuda chce się wybrać w odwiedzin do przyjaciela, nie zaczął swoim zwyczajem gderać. Chrzął nawet zadowolony, jakby rozumiał, dlaczego doktor nie wraca do siebie. Poczekał, aż Fukuda usadowi się obok szofera, i z rozpędu wskoczył na tylne siedzenie.

Fukuda nastawił twarz pod porywiste uderzenia wiatru. Chłodziły nie tylko rozpalone czoło i policzki, lecz także gorączkowe, bezładne myśli.

— Towarzyszu dowódco. — Poczul oddech U Pu-kueja na odsłoniętym karku. — Wyście nie byli w Pak-sanie. Na pewno.

— Co? — Fukuda nie zrozumiał, o co chodzi ochotnikowi. — W jakim Paksanie?

— No tam, gdzie ten żołnierz mówił. W Pak-sanie...

„Czego on chce — jęknął w duchu Fukuda. — O jaki

Paksan mu chodzi? O jakiego żołnierza? Nie wiem, nie wiem, gdzie byłem. Wiem, gdzie chciałbym w tej chwili być, z kim, przy kim...“

Ale U Pu-kuej nie dawał spokoju.

— Pytałem Czanga — mrucał Fukudzie wprost do ucha. — Powiada, że nie byliście w Pak-sanie. A czy żołnierz na pewno wspominał to miasto? I dlaczego tak dużo gadał? Człowiek wzruszony nie mówi tak dużo...

— U Pu-kuej. — Głos Fukudy brzmiał błagalnie. — Daj mi spokój. Nie chcę teraz myśleć o tym żołnierzu.

— Rozkaz, towarzyszu dowódco. To ja będę myślał.

Kiedy samochód zatrzymał się między pagórkami ruin w miejscu wskazanym przez Fukudę, U Pu-kuej zapytał:

— Towarzyszu dowódco, długo tu będziecie?

Fukuda nie zwrócił uwagi na niestosowność pytania.

— Godzinę, półtorej — odrzekł machinalnie.

— Czy możemy z Czangiem pojechać do miasta?

— Jedź — zgodził się Fukuda, trochę zdziwiony prośbą ochotnika. Pierwszy raz U Pu-kuej zostawiał go gdzieś samego.

Nie oglądając się wszedł do ziemianki. Chorego ucieszyła nieoczekiwana wizyta. Czas upływał na rozmowie o książkach i muzyce, której przyjaciel Fukudy był wielkim znawcą. Opowiadał o swoich podróżach, o Ameryce, w której studiował, o Chinach, gdzie walczył w oddziałach nowej 4 armii. Fukuda zwolna dawał się wciągnąć w wir wspomnień. Ani się spostrzegł, że upłynęły już dwie godziny. Pożegnał serdecznie chorego. Wychodząc z ziemianki natknął się na U Pu-kueja.

— Wracamy do domu — powiedział wzdychając na myśl o samotności, w jakiej znajdzie się za kilkanaście minut.

U Pu-kuej strzelił obcasami.

— Rozkaz, towarzyszu dowódco! — I ciszej, już niesłużbowo, dodał: — A w Paksanie nie byliśmy. I ten żołnierz też nie.

Fukuda zachnął się. Chciał nawet zwymyślać ochotnika za uporczywe wracanie do sprawy nieważnej i nieistotnej. Cóż to ma za znaczenie? Być może, przesłyszał się, może żołnierz powiedział, że jest z Wonsanu czy z Andżu. „Jeśli U jeszcze raz wspomni o tej historii — pomyślał ze złością — zrobię mu awanturę.”

4

Do awantury jednak nie doszło. Przez parę następnych dni U Pu-kuej nie wspomniał żołnierza z Paksanu, a Fukuda o tej sprawie zapomniał. Zbyt wiele było pracy. Lada dzień miała przybyć międzynarodowa komisja prawników w celu zbadania na miejscu faktów prowadzenia wojny bakteriologicznej przez najeźdźców. Trzeba było przygotować materiał, opracować marszrutę dla gości. Fukuda porządkował raporty i statystyki, które zaniedbał w natłoku zajęć.

Od tej pracy oderwało go nieoczekiwane zaproszenie do znajomego nadpułkownika Koreańskiej Armii Ludowej, który kierował akcją zwalczania agentów lisynmanowskich. Fukuda próbował wykręcić się od tej wizyty, przełożyć ją na późniejszy termin, ale nadpułkownik był nieubłagany — prosił przyjechać natychmiast. Odkładając słuchawkę telefoniczną Fukuda pomyślał, że chodzi chyba o zapewnienie bezpieczeństwa gościom zagranicznymi. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że nie wie, dokąd ma jechać. Już chciał podnieść słuchawkę i prosić o połączenie ze sztabem, gdy wszedł U Pu-

kuej i zameldował o przyjeździe koreańskiego oficera, który czeka w samochodzie.

W ziemiance nadpułkownika zastał Fukuda dwóch wyższych oficerów koreańskich i jednego dowódcę ze sztabu ochotników chińskich.

— Witam was, towarzyszu Fukuda. — Nadpułkownik oburącz potrząsał jego dłonią. — Cieszę się, że widzę was w zdrowiu. Poznajcie się z towarzyszami i siadajcie.

Nazwiska obecnych były Fukudzie nie znane. Przywitał się z nimi i usiadł na kanie. Nadpułkownik postawił przed nim porcelanowy kubek i napełnił go wrzątkiem. Suche listki zielonej herbaty zawirowały na powierzchni, napęczniały i zaczęły zwolna opadać na dno. Fukuda przykrył kubek pokrywką i objął go zziębniętymi palcami. Porcelana nagrzewała się dość szybko i uczucie przyjemnego ciepła ogarnęło Fukudę. Nieobo-wiązująca rozmowa o pogodzie, zdrowiu, pracy trwała niedługo. Nadpułkownik nie brał w niej udziału. Przeglądał jakieś notatki. Wreszcie podniósł głowę, uśmiechnął się i zwrócił do Fukudy:

— Powinniście błogosławić ochotnika U, towarzyszu.

Głos jego brzmiał uroczyście. Fukuda uniósł lekko brwi. Trudno mu było opanować zdziwienie.

— Ochotnik U to dzielny i mądry żołnierz — ciągnął nadpułkownik.

„Nie wezwał mnie chyba po to, bym wysłuchiwał pochwał na cześć U Pu-kueja — z rozdrażnieniem pomyślał Fukuda. — Nie mam na to czasu..

— Uratował wam życie.

Słowa nadpułkownika wprawiły Fukudę w nieopisane zdumienie. Zastanowił się nad zdarzenia-

mi ostatnich dni. Pewnie że każdy składał się z pasma niebezpieczeństw. Nieraz podczas ostrego bombardowania szosy U Pu-kuej nakrywał go własnym ciałem osłaniając przed odłamkami. Ale chyba nie to ma na myśli nadpułkownik.

— Nie rozumiem, towarzyszu nadpułkowniku — powiedział cicho Fukuda. — U Pu-kuej to dzielny i oddany chłopiec. Znam jego ofiarność i troskliwość — uśmiechnął się — czasem nawet przesadną, męczącą, ale... nie potrafię jakoś skojarzyć waszych słów z ostatnimi wydarzeniami.

— Wy, naukowcy — zaśmiał się dobrodusznie nadpułkownik — umiecie kojarzyć fakty i przypuszczenia, których związku nie widzi nikt z nas. Ale i my, żołnierze, potrafimy łączyć pewne sprawy w całość... No, nie będę wystawiał na próbę waszej ciekawości. U Pu-kuej uratował wam życie przed czterema dniami. Cóż wy na to?

— Przed czterema dniami? — Fukuda rozłożył ręce. — Nie przypominam sobie... Nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo.

— Groziło, towarzyszu Fukuda, i nawet bardzo poważne. Szczęście, że U Pu-kuej, choć nie jest naukowcem, lubi przemyśleć wszystko, co widzi i słyszy. Tak jak przystało *żołnierzowi*. *Czy przypominacie sobie, kto was odwiedził przed czterema dniami?*

Fukuda gorączkowo szukał w pamięci. Cztery dni temu odbyła się konferencja u ministra. Potem był u chorego kolegi. A przedtem? Siedział w laboratorium i przyjmował jak zwykle swoich współpracowników.

Dżuma II

— Nie pamiętam — westchnął. — Spędziłem ten dzień u siebie i przychodzili do mnie ci sami ludzie co zawsze.

— A niezwykle gość? — Głos nadpułkownika brzmiał natarczywie. — Dziękował wam za...

— Ach tak! — Fukuda z rozmachem pacnął się dłonią w czoło. — Teraz pamiętam... Żołnierz. Dziękował za uratowanie rodziny. Zaraz, zaraz. — Ściągnął brwi. — U Pu-kuej zanudzał mnie przez cały dzień tą historią...

— I słusznie robił — przerwał mu nadpułkownik. — Całe szczęście, że zwrócił na niego uwagę i w porę nas zawiadomił. Człowieka tego szukaliśmy już od pewnego czasu. To szpieg, dywersant.

— Co? — Fukuda aż usta otworzył ze zdumienia.

Nadpułkownik pokiwał głową.

— Opowiem wam dokładnie — powiedział. — Ten szpieg otrzymał rozkaz — zabić was. Przebrał się w mundur żołnierza i przez dwa dni — byliście wtedy w Wonsanie — krążył wokół centralnego laboratorium zbierając urywkowe, zasłyszane przypadkiem informacje o waszej pracy. Przyszedł do waszej ziemianki nie z zamiarem popełnienia zbrodni na miejscu. Nie znał was, ale chciał się wam przyjrzeć, zapamiętać waszą twarz, sylwetkę. Podziękowanie za rzekome uratowanie rodziny było pretekstem. Usłyszał, że jedziecie na jakąś konferencję. Zaczaił się w pobliżu i czekał na wasz powrót. U Pu-kuej, który był świadkiem waszej rozmowy, zwrócił uwagę na pewien szczegół...

— Paksan! — mimo woli wykrzyknął Fukuda.

— Tak, właśnie Paksan — potwierdził nadpułkownik. — Zresztą to tylko umocniło jego podejrzenia. Cała rozmowa nie budziła w nim zaufania. Podczas gdy wy byliście na konferencji, zawiadomił o swych podejrzeniach towarzysza Cziena. — Skinął głową w stronę milczącego Chińczyka. — Towarzysz Czien porozumiał się z nami i roztoczyliśmy obserwację nad terenem laboratorium. Dzięki U Pu-kuejowi rozpoznaliśmy rzekomego żołnierza.

— I co? Co dalej? — Fukuda nie mógł opanować podniecenia.

Nadpułkownik łyknął raz i drugi z kubka, jakby umyślnie przeciągając chwilę napięcia.

— Dalej? Ptaszek jest już w klatce. Amerykanie zrzucili go na nasze terytorium dość dawno. Zadaniem jego było przekazywać drogą radiową informacje o skutkach bombardowań bakteriologicznych i organizowanie akcji dywersyjnych. Znaleźliśmy przy nim to. — Położył przed Fukudą dwie metalowe ampułki. — Poprosimy was o zbadanie zawartości.

— Więc schwytaście już wszystkich?

Nadpułkownik zamyślił się i odpowiedział dopiero po chwili milczenia.

— Nie. Zlikwidowaliśmy stację nadawczą i ujęliśmy dwóch jego pomocników. Szukamy tylko jego zwierzchnika. Powiada, że to kobieta. Na razie szukamy i prędzej czy później złapiemy. Złapiemy — powtórzył twardo. — Na pewno złapiemy.

— Ale dlaczego chciał mnie zabić? — Fukuda nie spostrzegł się nawet, że głośno wypowiada trapiącą go myśl.

— Taki rozkaz otrzymał. Zeznaje, że owa kobieta kazała mu to zrobić. Podczas spotkania powtórzył jej treść szyfrowanego radiogramu, a ona wydała rozkaz. Z szyfrówki zrozumiał tylko dwa wyrazy Phenian i Fukuda. Szyfr był skomplikowany.

— Powiedzcie mi, towarzyszu Fukuda — odezwał się siedzący obok nadpułkownika oficer — czy jest ktoś, komu szczególnie zależy na pozbyciu się was? Pomijam zrozumiałą nienawiść Amerykanów do was jako do człowieka paralizującego ich zbrodnicze posunięcia. Ale czy mogą być jakieś inne uboczne motywy? Aresztowany twierdzi, że na kursie szpiegowskim nie było mowy o aktach terroru. To był pierwszy tego rodzaju rozkaz.

Fukuda pokiwał przecząco głową. Uboczne motywy? Cóż tu mogą być za uboczne motywy? Wystarczy ten jeden, o którym wspomniał oficer.

— Czy znacie nazwisko Dodge? — zapytał nadpułkownik.

— Pierwszy raz słyszę.

— A Crosby?

Fukuda drgnął. O tak, to nazwisko zna. Nie zapomni go nigdy. Crosby. Więc to on maczał w tej historii palce. Więc to on wydał ów rozkaz? Głupiec! Cóż za głupiec! Czy sądził, że jeśli nie stanie Fukudy, to skutki zbrodni, którą kieruje, będą bardziej efektywne? Śmieszny głupiec. Przecież to nie Fukuda sprawia, że wojna bakteriologiczna nie przynosi Amerykanom oczekiwanych rezultatów. To naród, naród zwycięża zbrodnię.

— Znam Crosby'ego. To Amerykanin stojący na czele akcji bakteriologicznej — powiedział cedząc słowa.

Obecni pokiwali głowami. Nadpułkownik wstał.

— Nie będziemy was dłużej zatrzymywać, towarzyszu Fukuda. Wasz czas jest bezcenny. Opowiedzieliśmy wam to wszystko, aby wzmóc waszą czujność. Wróg jest perfidny, nie cofa się przed niczym. Musicie uważać na siebie. Zresztą U Pu-kuej to dobry opiekun. Prawda?

Przy samochodzie czekał U Pu-kuej. Fukuda podszedł do niego i nagle ogarnął go ramieniem i mocno ucałował w policzek.

— Co wy, towarzyszu dowódco — wybąkał zmieszany ochotnik.

Fukuda ucałował go jeszcze raz i pomyślał: „Widzisz, mister Crosby, tego właśnie nie wzięłeś w rachubę. Ludzi. Stawiasz na dżumę, a zapominasz o ludziach”.

Kierowca nacisnął klakson, włączył bieg i maszyna podskakując na wybojach pomknęła ku rysującym się w oddali ruinom Phenianu.

ROZDZIAŁ II

1

Czo Bon Gi ostrożnie wysunął głowę zza skalnego występu. Góry i skały następowały nań czarnymi masywami. Wschodzące słońce pogłębiło granatowe kotliny cieni, rdzawym blaskiem wyolbrzymiało poszarpane szczyty. Porywisty wiatr smagał policzki, wciskał się pod ubranie, przebiegając po ciele zimnym dreszczem. W żłobach blask zapalał miliardy iskier na poszarzałych, śnieżnych

lawinach. Skalne uskoki i nawisy zagradzały drogę, czyniąc ją nieprzebytą.

Wypatrywał uważnie — szczegół po szczególe, starając się zapamiętać rysunek górskich grzbietów. Między tamtymi skałami, tuż pod zawieszonym, zdawałoby się, w powietrzu, granitowym odłamkiem, jest próg, po którym trzeba przejść. Trzeba się będzie przylepić do skały, przesuwając centymetr za centymetrem, bo pod nogami bezdenna przepaść szczyry najeżoną granitowymi zębiskami paszcze. Jeden nieopatrzny ruch, jeden zbyt gwałtowny krok — i człowiek runie w rozpadlinę. Gdy słońce przetoczy się za połyskującą teraz krawędź grzbietu — ruszy w drogę. Niewiele już mu pozostało do przebycia — ostatni, ale za to najtrudniejszy etap, na którym przeciwnikiem jest nie tylko wróg, ale i dzika, wysokogórska przyroda.

Po górach przetoczył się daleki odgłos grzmotu. Powtórzyło go stokrotne echo. Potem drugi, trzeci. Czo Bon Gi uśmiechnął się na powitanie groźnej symfonii. To grały działa. *Przypominały, jak blisko jest kres dalekiej wędrówki.* Zdawały się wzywać, a echo powtarzało ich wołanie: „Czo Bon Gi-i-i... Chodź!“ Chciał odkrzyknąć w odpowiedzi, ale powstrzymał się. Za tamtym szczytem przypominającym trójgłowego smoka przebiegała ścieżka, gdzieś niedaleko znajdowała się strażnica nieprzyjacielska. Trzeba uważać.

Jeszcze raz ogarnął spojrzeniem rozjaśniony już krajobraz i ukrył się w rozpadlinie. Można się przespać, wypocząć przed trudną wyprawą, ale czy to człowiek potrafi spać, jeśli czuje już niemal zapach rodzinnego gniazda? Nie uśnie, nawet się nie

zdrzemnie, choć przejścia minionej nocy czuje dobrze w nogach i kościach.

Przewodnik odprowadził go do tej rozpadliny. Milczący, pochmurny, zręcznie przeskakiwał ze skały na skałę, jakby instynktem znajdował najdogodniejsze przejścia. Z rzadka tylko oglądał się na Bon Gi i widząc, że ten pozostaje w tyle, zwalniał kroku. Chwilami Bon Gi tracił go z oczu, by odnaleźć gdzieś między szarymi, w blasku księżyca skąpanymi skałami.

Teraz mocniej niż kiedykolwiek odczuwał swe osamotnienie. Od dnia, w którym opuścił partyzancki biwak, ani chwili nie był sam. Partyzanci przekazywali go sobie z rąk do rąk. Aż wczorajszej nocy znalazł się w pasterskim szałasie swego ostatniego przewodnika. I choć góral był milczkiem, choć głos jego słyszał tylko dwukrotnie — przy powitaniu i na pożegnanie, cieszyło go, że czuje przynajmniej obecność towarzysza.

Żegnając go, przewodnik krótko objaśnił mu, jak ma dalej iść. Skalnym progiem, aż na kopulasty szczyt, stamtąd do połowy żlebu i znów wspiąć się na wierzchołek, z którego zobaczy zarys Kari-bonu. Musi wówczas kierować się ku temu szczytowi. W tym miejscu linia frontu przebiega wąskim pasemkiem i najłatwiej jest ją przeciąć. Dokładna, odręcznie narysowana mapa miała dopomóc Czo Bon Gi w przeprawie przez ten najtrudniejszy odcinek drogi.

Przesunął się bliżej do wysokiej szpary w rozpadlinie i przyjrzał się mapie. Gruba kreska oznaczała trasę, którą powinien iść. Czy nie zmyli kierunku, czy nie wpadnie na jakiś posterunek nieprzyjacielski, wreszcie, czy uda się prześliznąć

niepostrzeżenie przez linię frontu? Lepiej o tym nie myśleć. Musi przejść, musi dotrzeć do swoich. Dotknął ukrytego na piersiach zawiniątka z mel-dunkiem dowódcy partyzantów. Musi to przeka-zać swoim, opowiedzieć o zbrodniach amerykań-skich bandytów, powtórzyć mężowi japońskiej le-karki słowa brata Hu i chwycić za broń, by zapłacić najeźdźcom za krzywdy swej ziemi. To nic, że zgi-nął kartonik, na którym notował każdego zabitego wroga. Zacznie rachunek od nowa i nowy kartonik zapełni jeszcze szybciej. Zaswędziły go dłonie z tę-sknoty za chłodnym metalem pistoletu maszyno-wego.

Po południu wyruszył w drogę. Tak jak mu ra-dził góral, postanowił za dnia przedostać się na kopulasty szczyt. Wylazł z rozpadliny i przytulony do zbocza zaczął wspinać się ku progowi. Pierwszy odcinek przebył szybko. Lęk wezbrał w nim dopie-ro, gdy dotarł do progu. Nie miał wprawy we wspi-naczkę i długo nie mógł się odważyć, by postawić nogę na wąskim balkoniku. Starał się nie patrzeć w dół. Ostrzegał go przed tym przewodnik. Wymacy-wał oczyma chropawą ścianę, by znaleźć w niej uchwyt: dla palców. Czuł, że obdarte ze skóry dło-nie krwawia, ale nie zwracał na to uwagi. Teraz trzeba znów oderwać nogę od wątlej podpory i przesunąć ją o kilkadziesiąt centymetrów dalej — próg urywał się w tym miejscu. „A jeżeli się pośli-znę? — pomyślał i od razu sam sobie odpowiedział. — Nie, nie pośliznę się, muszę przejść.”

Zejście zlebem i droga na następny szczyt wy-dała mu się już dziecinną zabawą. Zanim zapadła noc, dotarł na wierzchołek, z którego zobaczył kontury Kari-bonu. Górował nad wszystkimi szczy-

tami, ale nie jego groźny, wyolbrzymiany mrokiem zarys wzmógł bicie serca Czo Bon Gi. Karibon był przecież po tamtej stronie. U jego stóp i na jego zboczu przytuliły się wioski, których niedługo on, Czo Bon Gi, znów będzie bronił. Gdyby miał skrzydła, tak jak orły, które gnieździły się tu, zanim wypłoszył je huragan wojny — zerwałby się do lotu i za parę minut znalazł się wśród swoich. Ale nie ma skrzydeł i musi teraz ostrożnie schodzić w dół.

Huk kanonady rozbrzmiewał tak głośno, że Czo Bon Gi poczuł bolesne dzwonienie w uszach. Usiłował odgadnąć, z której strony bije artyleria. Echo myliło. Najprawdopodobniej strzelają działa na zachodzie. Tam gdzie masyw górski rozpada się na setki stromych wzgórz. „Naprzód, Czo!” — wydał sobie głośno rozkaz i ruszył przed siebie. Parę razy upadł, boleśnie potłukł kolano i zdarł skórę z policzka ocierając się o chropawą powierzchnię granitu. W dali na ciemnej kopule nieba zawisła rakietka. Instynktownie rzucił się na ziemię, przywarł do skały. Po chwili uzmysłowił sobie, że przecież nie jego wypatrują, i korzystając z jasności, biegiem ruszył w dół. Zatrzymał się, gdy rakietka zgasła. Paręset metrów pod nim, spomiędzy skał wyprysnęły robaczki pocisków smugowych i barwnymi wstęgami pociągnęły na północ. Chwilę potem zagrały karabiny maszynowe. Ucieszył się. Podczas boju łatwiej będzie przemknąć się przez linię ognia.

Musiał teraz iść ostrożnie, choć odblask wybuchów raz po raz oświetlał mu drogę. Każdym nerwem, wyczulonym w służbie zwiadowczej, odczuwał bezpośrednią bliskość nieprzyjacielskich schronów. Spojrzał na niebo. Położenie gwiazd mówiło, że niedługo nastąpi brzask. Czołgając się

posuwał się uparcie naprzód. Odgłos strzałów nieoczekiwanie ucichł.

W nagłej ciszy usłyszał głośną rozmowę. Przytulił się do ziemi. Bał się ruszyć z miejsca, wydawało mu się, że zdradzi go głośno bijące serce. Przypomniała mu się nagle ostatnia wyprawa zwiadowcza. Wtedy tak samo słyszał nienawistne rozmowy wroga. Chętnie zatopiłby w ich sercach góralski nóż, ofiarowany mu na pożegnanie przez przewodnika. Ale nie wolno. Musi cicho i bezszelstnie jak jaszczurka przemknąć się obok nich, by dotrzeć do swoich.

Rozmawiający nieprzyjaciele nie ruszyli się z miejsca. „Nie mogę dłużej czekać — pomyślał. — Gdy nastąpi świt, nie zdołam się ukryć.” Poczłogał się parę kroków dalej. Zaszleściło rozdarte o ostry kamień ubranie. Przywarł do skały, bojąc się oddychać. Nie usłyszeli. Znów ruszył naprzód. Wiedział tylko jedno, że musi się śpieszyć. Każda chwila na linii nieprzyjacielskich pozycji potęgowała niebezpieczeństwo. Więc czołgał się uparcie, aż poczuł pod sobą nie kamienie, lecz wilgotny, przytulny materac mchu.

Nie mógł opanować drżenia. Znajdował się już w kotlinie, o krok od własnych pozycji. Chciał się zerwać i rzucić przed siebie, biegiem, na oślep, krzycząc z radości. Ale głos rozsądku powstrzymał niewczesny wybuch. Mogli go dostrzec Amerykanie i otworzyć ogień, mogli ostrzelać i swoi widząc nadbiegającego od nieprzyjacielskich schronów człowieka. Więc dalej pełzając posuwał się ku łagodnie wznoszącemu się zbocz. Zaczepił butem o wystający korzeń. Trzasnęła nadłamana gałązka.

Jeszcze jeden krok i nagły, cichy, ale groźny okrzyk:

— Stój!

I tuż nad uchem zagwizdała seria automatu. Odpowiedziały jej strzały z amerykańskich rowów strzeleckich. Czo Bon Gi krzyknął:

— *Jobosejo, tommu!* To ja, swój!

I w tej samej chwili poczuł, jak przygniata go do ziemi jakiś ciężar, a nad uchem rozległ się triumfujący szept:

— Mam cię, łajdaku.

Chciał coś odpowiedzieć, ale silna ręka uwięziła nie wypowiedziane słowa na ustach. Nie bronił się. Pozwolił się związać i odprowadzić na punkt dowodzenia. Kiedy go prowadzono, płakał ze szczęścia.

2

W nienajlepszym humorze szła Mary na umówione spotkanie do Sunczonu. Zdobyte w ciągu tych czternastu dni informacje równały się niemal zeru, nie przedstawiały żadnej wartości. Kilkanaście dokonanych w tym czasie zrzutów w jej rejonie natychmiast zlikwidowała samoobrona i służba sanitarna. Nikt nie zachorował. Nie potwierdziły się również wiadomości przekazane jej przez agenta podczas ostatniego spotkania o nowych ogniskach epidemii. Zastanawiała się poważnie, czy nie zawiadomić Crosby'ego, że mimo rosnącego natężenia bombardowań bakteriologicznych rezultaty są coraz bardziej nikłe. Postanowiła, zdając sobie sprawę z poważnego ryzyka, udać się do kryjów-

ki radiotelegrafisty i bez jego pośrednictwa skontaktować się z Dodgem. Może będzie dobry odbiór i uda się nie tylko nadać meldunek, ale i porozmawiać. Ta decyzja wydała jej się najlepsza i szybciej, zapominając, że udaje starszą, znękaną wojną uciekinierkę, ruszyła przed siebie.

Całe szczęście, że miała przy sobie zaświadczenie komitetu wiejskiego stwierdzające, że jest członkiem samoobrony sanitarnej. Kontrola przy szlabanie, tuż przed Sunczonem, była wyjątkowo surowa. Wiele osób zawrócono, nie wpuszczając do miasta. Mary pokazując zaświadczenie przekonała wartownika, że została wezwana na jakieś szkolenie. Argument okazał się ważki i wpuszczono ją do miasta. Z bijącym sercem szła znajomymi ulicami ruin. Tak ścisła kontrola dowodziła, że w mieście coś się stało. Postanowiła dowiedzieć się szcze gółów, zanim spotka się ze swoim agentem.

Samotna staruszka, sprzedająca ryżowe placki, ucieszyła się na widok klientki. Drżącym głosem zachwalała swoje wyroby, ich znakomity smak i niezwykle niską cenę. — Jest już stara — tłumaczyła — mieszka tu w pobliżu i trudno jej dowiec się do śródmieścia, gdzie ruch jest większy i sprzedających dużo. Przesiaduje tu i czeka na kupujących jak na zbawienie. — Mary przykucnęła obok staruchy, wzięła placek, choć wcale jej nie smakował, pochwaliła zdolności kulinarne *halmoni*²². Ujęta taką uprzejmością staruszka zaproponowała, że przyniesie wrzątek. Placek z gorącą wodą smakuje lepiej, a za wodę nie żąda ani *wona*²³. Mary zgodziła się i na to. Gadatliwa kobiecina może się przydać, trzeba ją tylko pociągnąć za język.

Dżuma II

Staruszka wróciła po chwili niosąc oburącz spory kubek buchający parą. Mary dziękowała wylewnie, nie skapiąc słów zachwytu dla dobroci i serdeczności „babci”.

— Nie puszczają dziś ludzi do Sunczonu — powiedziała żując placek. — I mnie nie chcieli puścić, ale ja tu na kursy. Wezwano mnie...

— A tak, tak — staruszka widać chętniej mówiła sa-

ma, niż słuchała. — Nie puszczają. I to wszystko przez tych przeklętych piratów. Bomby rzucają. Straszne bomby. Ja tam ich nie widziałam, ale ludzie mówią, że straszne. Zwierzęta w tych bombach zamknęli i nie zwyczajne, a takie, co to jak ukąszą człowieka, to od razu koniec. Choroby jakieś mają w ślinie czy w zębach. Ugryzą i śmierć. Ludzie nazywają to „czarną chorobą”. Kiedyś za okupacji japońskiej w mojej wsi była czarna choroba. Ale ja wtedy byłam młodsza i uciekłam. Straszna choroba, straszna choroba — wzdychała.

— A dużo tych bomb zrzucili? Dziś w nocy?
— Mary wtrąciła pytania nie patrząc na staruszkę.

— Ja tam nie wiem, nie widziałam, nie liczyłam. Stara jestem, trudno mi chodzić. Ale słyszałam — dodała podnosząc wykrzywiony palec — słyszałam. Mówią ludzie, że dużo. Może dwadzieścia, może i więcej takich bomb. Czy ja wiem? Nie liczyłam. Straszne, powiadają, szczury w nich zamknięte. — Podkurczyła bardziej nogi i ogarnęła je szczelniej spódnicą, jakby osłaniając się przed szczurami. — Jad w tych szczurach, czarna choroba. Kogo ugryzą, ten umiera. Wiesz — chwyciła Mary za rękę. — Jak wczoraj o tym usłyszałam, całą noc błagałam duchy opiekuńcze o zmiłowanie. I

truciznę dostałam w komitecie. Ziemiankę mam małą, syn odchodząc na front zbudował. Całą podłogę trucizną posypałam i przed ziemianką, i naokoło. Mówią, jak szczur powącha tę truciznę, zdechnie. Wtedy trzeba go benzyną oblać i spalić. Co robią, przekłęci, szczury w bombach rzucają. Mało to nieszczęść bez szczurów. — Zatoczyła ręką łuk nad głową. — Miasto całe zburzyli, ani jednego domu nie zostawili, ludzi zginęło tyle, że policzyć nieposób, a teraz jeszcze szczury. — Wzdrygnęła się i lekliwie rozejrzała się wokół siebie.

Mary mimo woli poszła za jej przykładem. Lęk staruszki zaczął się i jej udzielać. Z trudem przeknęła rosnący w ustach kęs placka.

— Chyba już te szczury wyłapali — powiedziała z nutą nadziei w głosie i nagle umilkła.

Dopiero po wypowiedzeniu tych słów zdała sobie sprawę z ich absurdalności. Ona, której zależy, by śmierć legła się w tym kraju, pragnie wyłapania śmiertelnych szczurów, zamiast cieszyć się przerażeniem tej staruchy, strachem przytłaczającym całe miasto. A więc wciąż jeszcze żyje w niej lęk i daje o sobie znać, i burzy radość dokonującej się zemsty. Jakie to dziwne. Chciała się uśmiechnąć, ale usta ułożyły się w gorzki grymas.

Starucha poklepała ją po kolanie?.

— Mówią, że szczury wyłapali, nie bój się, córko.

— Wyłapali — powtórzyła cicho. — Ale mogły się ukryć w norach. Pełno tu ruin. I kto wie, czy Amerykanie zrzucili tu tylko szczury.

— Właśnie, właśnie — ożywiła się znów staruszka. — Słyszałam, że jeszcze jakieś gady były w tych bombach. Pchły i jakieś muchy, i...

— A dużo ludzi zachorowało?

Mary znów była sobą. Zimną, wyrachowaną wysłan-niczką śmierci.

— Oj, dużo — staruszka westchnęła i pomarszczoną dłonią potarła oczy. — Oj, dużo. Do tej dzielnicy, na którą rzucili bomby, wcale ludzi nie wpuszczają. Lekarzy tam przyjechało... — Zapłakała. Pochylone ramiona zadrgały w takt bezgłośnego łkania. — Przekłęci. Co robią! Powiedz, córko, co robią? Tyle już lat na świecie żyję, a takich okrutników nie widziałam. Japończyk i ten nie był taki straszny jak Amerykanin. Wszystkich chcą zabić! I za co? Za co? Cośmy im złego zrobili?

Mary rzuciła na staruszkę szybkie, pełne nienawiści spojrzenie.

„Za co, pytasz, nędzarko? — odpowiedziała jej w myślach. — Za co? Za bunt, za to, żeście się sprzeciwili odwiecznym porządkom, za to, że zabrałaś mi mój dom...”

Przestraszyła się, że z podniecenia może jeszcze jakieś słowo nieopatrzone rzucić, więc wstała, wyciągnęła zza bluzki parę banknotów i nie licząc podsunęła je staruszce.

— Czas na mnie, żegnaj.

Staruszka przytrzymała ją za spódnice.

— Poczekaj, córko, dałaś mi za dużo pieniędzy. — Zwróciła jej cały zwitek zatrzymując tylko jeden banknot. — I nie lękaj się. Mój syn pisał mi, że zwyciężymy. A to mądry chłopiec. Zawsze, sprawdza się to, co mówi...

Mary mruknęła coś i nie oglądając się, poszła w stronę śródmieścia. Zatrzymała się na jednej z bocznych ulic. Trzeba odsapnąć i uspokoić wzburzone nerwy. Poprawiła białą chustkę zawiązaną

nad czołem, obciągnęła bluzkę. Oparła nogę o grudę gliny, aby mocniej zasznurować bucik. Usłyszała odgłos kroków. Zerknęła przez ramię. Minał ją jakiś mężczyzna. Po chwili drugi. Zdażyła zobaczyć tylko jego plecy. Ale i to wystarczyło. Szedł jak zawsze z węzełkiem zawieszonym na długim kijku. W pierwszej chwili chciała go zawołać. Ugryzła się w język. Cóż za głupota. Całe szczęście, że nie wydała z siebie dźwięku. Co by pomyślał ten młody człowiek idący za nim. Skąd wieśniaczka może znać handlarza starzyzną...

Wyprostowała się i spojrzała za oddalającym się agentem. Coś w jego ruchach uderzyło ją, zmusiło do zastanowienia — jakaś nienaturalna sztywność. A może to tylko mylne wrażenie? Szedł właściwie normalnie, może trochę mniej zgarbiony niż zazwyczaj. Więc skąd ten niepokój i nagły chłód w piersi?

„Głupstwa — powiedziała w duchu. — Nerwy zaczynają się rozluźniać. Trzeba je wziąć w karby, opanować się.”

Niepokój jednak wzrastał i kierował myśli ku coraz to innym szczegółom. Kim byli ci dwaj — jeden szedł przed nim, drugi za nim. I ten drugi trzymał prawą rękę w kieszeni... Dlaczego agent szedł tą boczną uliczką, a nie jak zawsze główną?... I w dodatku z południa, a nie ze wschodu. Czyżby musiał nadłożyć drogi z powodu kontroli dokumentów? Miał ich zawsze kilka — na wszelki wypadek.

Im dłużej o tym myślała, tym więcej się niepokoiła. I nagle przeszła ją myśl — ostra, cierpka, przyprawiająca o zawrót głowy. Musiała się oprzeć plecami o występ zburzonego budynku, by nie

upaść. Rozbieganymi oczyma rozejrzała się po uliczce. Nie, to tylko przywidzenia. Nikt jej nie śledzi, nikogo podejrzanego nie widać. Więc dlaczego tamta myśl nie ustępuje, dlaczego zmusza wciąż do kojarzenia niepozornych szczegółów, ostrzega, wstrzymuje przed dalszą drogą?

Zagryzła wargi. Czyżby znów klęska? Znów wsypa? Ten, co siedł za „człowiekiem z wózkiem”, trzymał rękę w kieszeni. Dlaczego? Po co? Na lewej ręce miał rękawiczkę, więc to nie z zimna. A „człowiek z wózkiem” kroczył jakoś sztywno, jakby czuł za plecami niebezpieczeństwo, jakby bał się choć o centymetr zboczyć z wy-tkniętej drogi.

Zbyt dokładnie interesowała się szpiegostwem, by przeoczyć, a tym bardziej lekceważyć nawet drobiazgi. Jest ich nader wiele i wszystkie prowadzą do jednego tylko wniosku: „człowiek z wózkiem” wpadł i w śledztwie zeznał wszystko. Podał nawet termin spotkania z nią i siedł teraz, by wskazać ją tym dwóm. A może jest ich więcej? Na pewno więcej. Może nawet ta kobieta, z węzełkiem na głowie, śpieszy do śródmieścia, by ją schwytać.

Nie, to nie może być. Wszystkie te szaleńcze myśli są płodem zdenerwowania i wyczerpania. „Człowiek z wózkiem“ czeka już na nią, trzeba do niego iść. Zrobiła dwa kroki i poczuła, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Jeśli „człowiek z wózkiem“ wpadł, to została sama, odcięta od przyjaciół. Cóż z tego, że na wolności, skoro — uświadomiła to sobie z całą wyrazistością — każdy, komu wyjawiałyby swoje myśli, cele i zadanie, skoczyłby jej do gardła. Otacza ją bezkresne morze nienawiści, w którym jak samotne rafy sterczą ludzie tacy jak ona.

Więc — uciekać? A jeśli wszystko to jest przywidzenie, to wtedy co? Musi się przekonać. Musi znaleźć jakieś ukrycie, z którego będzie mogła obserwować agenta pozostając dla niego niewidzialną. Wszyscy mogą się poddać, wszyscy, ale nie ona. Nigdy. Tamci służyli za pieniądze — ona nie. Jej nienawiść jest tak silna, że pomoże pójść na spotkanie niebezpieczeństwa.

Tak, pójdzie. Tamta ścieżka wydeptana przez gruzy prowadzi również do centrum. Ukryje się gdzieś za węglem, w ruinach, i będzie obserwować.

Potykaçąc się szła wąską dróżką. Wsłuchiwała się w coraz wyraźniejsze i głośniejsze okrzyki przekupniów. Chciała skrócić w lewo, ku wypalonym domom, których ślepe oczodoły wychodziły na główną ulicę, ale zauważyła, że ktoś tam już stoi. Poczula krople zimnego potu występujące na czole. Z tyłu zbliżały się głośno rozmawiające kobiety. Udając, że poprawia pończochy, poczekała, aż się z nią zrównały, i poszła obok nich. Pozdrowiły ją uśmiechem. Z trudem zdobyła się na odpowiedź.

— Nie wiem, czy dostanę dziś ryż — powiedziała do najmłodszej.

Tamta westchnęła:

— A ja chciałam kupić kalosze.

Mary wcisnęła się między nią a jej sąsiadkę.

— Piękną masz bluzkę — rzekła dotykając ostrożnie różowego jedwabiu. Druga kobieta błysnęła zębami w uśmiechu.

— Teraz takiego materiału nie można dostać. Wojna — dodała ze smutkiem.

Mary błogosławiła nieoczekiwane towarzystwo. Dawało jej ono jakieś nieokreślone poczucie bez-

pieczeństwa. Weszła razem z kobietami w tłum sprzedawców i kupujących. Głowę miała opuszczoną, ale spod ściągniętych brwi uważnie obserwowała twarze.

— Tam są kalosze! — zawołała młoda dziewczyna.

Mary na sekundę uniosła głowę i spojrzała we wskazanym kierunku. Kilku handlarzy starzyzną siedziało w kucki. Obok nich stał... „człowiek z wózkiem“. Nie patrzył w jej stronę. Czym prędzej ukryła się za plecami towarzyszek. W odległości paru kroków od agenta złożywszy usta do gwizdania, dreptał młody człowiek, którego dostrzegła w bocznej uliczce. Teraz nie miała już żadnych wątpliwości.

Młoda dziewczyna pociągnęła ją za rękaw.

— Chodź, tam są kalosze, pomożesz nam wybrać, potem poszukamy ryżu dla ciebie.

Potrząsnęła przecząco głową.

— Nnie — wydusiła z siebie z trudem. — Muszę jeszcze zajrzeć do jednej znajomej, tam — wyciągnęła rękę w przeciwnym kierunku. — Obiecałam, że po nią wstąpię.

— Szkoda — uśmiechnęła się dziewczyna. — Żegnaj!

Mary nie oglądając się przepchnęła się przez grono rozgadanych kobiet i jak mogła najspokojniej, poszła z powrotem. W miarę jak oddalała się od śródmieścia, przyśpieszała kroku. Drząc, na całym ciele, zatrzymała się przy szlabanie.

— Dokąd idziecie, towarzyszeko?

— Do domu, byłam tu na wykładzie — podsunęła swoje zaświadczenie wraz ze świadectwem o szczepieniach.

Żołnierz zwrócił jej dokumenty.

— **Musicie wrócić po pieczętkę — oświadczył sucho i sięgnął po papiery następnego przechodnia.**

Cała armia mrówek przebiegła po plecach Mary. Gorączkowo szukała słów, jakimi dałoby się przebłagać wartownika, wykręcić, wydostać z pułapki. I równocześnie bała się, że natarczywość może wzbudzić w żołnierzu jakieś podejrzenie. Więc co robić? Wracać do miasta — nikt jej nie postawi pieczętki, a może jeszcze natknąć się na „człowieka z wózkiem” i jego eskortę. Czekać tu przy szlabanie — też niebezpiecznie. Nie wiedząc, co ze sobą począć, ruszyła z powrotem i przykucnęła opodal wśród ruin. Pomyślała, że może udałoby się zdobyć pieczętkę w stacji sanitarnej. Powie, że przysłano ją z Somion w jakiejś sprawie. Ale tam zażądają skierowania, zacznie się tłumaczyć i — znów okazja do podejrzeń. Spróbować za pieniądze? Śmieszne, tu nie Południe, gdzie każdą sprawę można załatwić tym sposobem.

Postanowiła przeczekać w ukryciu do zmroku. Może wtedy uda się przemknąć niepostrzeżenie obok posterunku. Skuliła się w swojej norze nasłuchując dźwięków dolatujących od szosy i miasta. Zahuczał stłumiony klakson samochodowy. Może ta właśnie maszyna wiezie z powrotem „człowieka z wózkiem”. Poczula nagły przypływ zadowolenia i dumy. Nie schwytali jej. Oszukała wszystkich — i tego, co pozornie beztrosko pogwizdywał, i tego, co trzymał rękę w kieszeni, i tego, co się czał w ruinach, i pewnie jeszcze kilku ukrytych wśród tłumu, baczenie wypatrujących tajemniczej kobiety. Czego jak czego, ale sprytu jej nie brak. Do-

brze zrobiła, że nie podała agentowi swego adresu. Ten pies na pewno by i to wydał. Glista nie człowiek. Wyśpiewał wszystko, co wiedział. Szczęście, że wiedział niewiele. Siatka przecież od dawna była fikcją.

A stacja nadawcza? Drań, łajdak, psi syn — zacisnęła pięści i z pasją mruzczała szeptem wyzwiska. Na pewno wydał i stację. A może go tam schwytano? Może czerwonym udało się zapelengować nadajnik?... Nie, chyba to nie w tych okolicznościach. „Człowiek z wózkiem“ miał tego samego wieczoru udać się do Phenianu, szukać — jak to on się nazywa... aha... Fukudy. Śmieszne nazwisko. Pewnie Japończyk. Szyfr mówił: lekarz. Na pewno jakiś komunista. „Człowiek z wózkiem“ miał go zlikwidować. Może schwytano go podczas zamachu, a może już po wykonaniu rozkazu? Trzeba to będzie sprawdzić. Nie, ona się nie podda, nie zrezygnuje z walki. Wróci do Somion, przeczecka parę tygodni u starego Czo i pójdzie do Phenianu. Odnajdzie Fukudę, jeśli agent nie wykonał rozkazu, i sama go zabije. Skoro Crosby tego żądał, to na pewno nie chodzi o jakiś drobiazg. Potem postara się znaleźć pomocników. A jeśli jej się to nie uda, będzie działała sama. Palcami wymacała ukryte pod spódnicą metalowe ampułki. Dziesięć sztuk to wystarczy, by wielu czerwonych pozbawić życia. Jak leśna pantera zaczął się w gąszczu życia znie nawidzonych ludzi. Będzie napadała znienacka, będzie karzącą ręką bogów. Co jej tam Crosby i Dodge? Jest dla nich pionkiem, oni nawet nie wiedzą, nie przeczuwają jej siły, jej odwagi, ognia, który trawi nienawiścią jej serce. Gardzi Amerykanami, obejdzie się bez nich. Oni myślą, że każdego

Koreańczyka można kupić i sprzedać za parę dolarów. Głupcy. Jej nie kupili. Ona sama tu przyszła, sama wybrała sobie los. Nędzny Crosby był tylko narzędziem w jej rękach. I jego bomby to też narzędzia jej zemsty.

Trawiona gorączkowymi myślami przeleżała w ruinach do wieczora. Gdy zapadł zmrok i na szosie zapaliły się dziesiątki samochodowych reflektorów, wyszła z ukrycia. Wykorzystując chwilowy alarm lotniczy i ciemność przebiegła przez pole opodal szlabanu. Potykając się w ciemnościach ruszyła skrajem szosy — przez noc — ku Somion.

3

Dowódca batalionu po krótkiej rozmowie z Czo Bon Gi kazał odstawić go do sztabu dywizji. Ku radości Bon Gi okazało się, że dywizja broniąca wysokogórskiego odcinka frontu jest jego dywizją macierzystą. W sztabie poznano go od razu. Mimo wyjaśnienia eskortujący go żołnierz nie pozwolił nikomu się zbliżyć, póki nie oddał doprowadzonego „jeńca” w ręce zastępcy szefa sztabu. Ten długo poklepywał Bon Gi po ramionach, zadawał chaotyczne pytania świadczące, że orientował się w kolejach losu żołnierza.

Czo Bon Gi wzruszony był powitaniem, ale uderzyło go, że zaufano mu tak od razu. Słyszał kiedyś na wykładzie o czujności, o pewnym żołnierzu, który w niewoli, ze strachu przed torturami, zgodził się na współpracę z najeźdźcą i wrócił przez linię frontu jako zdrajca i szpieg.

„Powinni mnie wypytywać tak jak w partyzanckim oddziale” — pomyślał z niezadowoleniem i nawet chciał się o to upomnieć, ale w tej samej chwili usłyszał basowy głos dowódcy dywizji:

— No, jesteś nareszcie, Czo Bon Gi...

Zerwał się i zapominając, że ma na sobie zniszczoną odzież rybaka zasalutował meldując pełnym głosem:

— Towarzyszu generale, zwiadowca Czo Bon Gi po powrocie z niewoli melduje się na rozkaz!

Generał chwycił go za rękę, potem zagarnął ramionami i przyciskając do obwieszonych orderami piersi, mrucał:

— Namartwiliśmy się tu o ciebie. Hm, hm. A od trzech dni spokoju nie mieliśmy. Hm, hm. I wciąż czekaliśmy.

— Od trzech dni? — zdziwił się Czo.

— No tak. — Dowódca dywizji usiadł i wskazał żołnierzowi miejsce obok siebie. — Dostaliśmy szyfrowany radiogram od towarzyszy partyzantów. Hm, hm. A teraz opowiadaj. Zaraz przyjdą tu ze sztabu chińskich ochotników. Czekają na wieści o jeńcach.

Czo Bon Gi zwiesił głowę. Cóż mógł powiedzieć? Wrócił sam. W obozie zginęła japońska lekarka, daleko stąd w górach spoczął na zawsze brat Hu. Cóż może opowiedzieć? Że byli bohaterami, że do ostatniego tchnienia nie złamali żołnierskiej przysięgi, że byli piękni, wielcy, szlachetni? Jakimi słowami opowie o żywych towarzyszach?

Dowódca dywizji podsunął mu kubek herbaty i menażkę z kaszą.

— Zjedz, Czo Bon Gi, odsapnij.

Mimo iż był głodny, nie tknął jedzenia. Radość powrotu przyćmiło wspomnienie o Hu i o tej kobiecie, której nie ufał, a ona okazała się bohaterką. Zginęła za jego dom, za jego ziemię ojczystą.

Oddał dowódcy dywizji meldunek partyzantów. Późnym wieczorem przyszli Chińczycy. Opowiedział wszystko jak najdokładniej. Kiedy doszedł do historii śmierci Hu Czun-tsy, obaj Chińczycy w milczeniu wstali i uścisnęli mu rękę. Potem jakiś nieznajomy major wypytywał go o wszystkie zasłyszane szczegóły doświadczeń bakteriologicznych. Wiedział tyle, ile powtórzył mu brat Hu, ale major nie narzekał na skąpe informacje i skrzętnie notował każde słowo.

Dwa dni potem Czo Bon Gi, w nowym mundurze z orderem „Walki o wolność i niepodległość” na piersiach, wyskoczył z ciężarowego samochodu tam, gdzie zaczynała się droga do Somion. W przeluconym przez jego ramię plecaku niósł podarki dla ojca i znajomych. Gdy stanął na wzniesieniu górującym nad Somion, poszukał oczyma sylwetki rodzinnej chaty. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że dom jego został zburzony owej nocy, gdy odszedł do wojska.

Przed zburzoną chatą, obok której wznosił się kopulasty dach ziemianki, zobaczył starego Kima.

— Witajcie!

Stary przymrużył oczy, popatrzył na żołnierza i odparł krótko:

— Witaj!

„Nie poznał mnie“ — zaśmiał się w duchu Bon Gi.

— Czy nie wiecie, dziadku, gdzie tu mieszka stary Czo.

— Stary Czo? — Kim przyjrzał się uważniej pytającemu. — O tam, za tym kominem, trzecia ziemianka.

Serce Bon Gi ścisnęło się z żalu. Biedny ojciec na starość w ziemiance musi mieszkać, w wilgoci, ciemności...

— Dziękuję, dziadku.

— A ty czego chcesz od starego Czo. Nie ma go teraz w domu — gderał Kim. — Ktoś ty? — Wstał, przysunął się bliżej do żołnierza i nagle twarz rozplynęła mu się w uśmiechu.

— Toż to Bon Gi, mały Bon Gi! — wołał klepiąc się rękami po udach. — Nie poznałem ciebie. Urosłeś w tym wojsku. Tylko na twarzy jesteś mizerny. Oj, mizerny — westchnął. — Ciężko wam na froncie...

Przygadując odprowadził żołnierza do ziemianki ojca. Pchnął drzwi sklecone z na wpół spalonych desek. Czo Bon Gi zobaczył kobietę zajęętą sprzątaniami. Schylił głowę i przestąpił przez próg. Kobieta obejrzała się, krzyknęła i skoczyła w najciemniejszy kąt.

— Nie lękaj się, Sun Dia! — zawołał stary Kim. — To Bon Gi, syn starego Czo. A to Sun Dia, ewakuowana kobieta z przyfrontowego pasa — zwrócił się do żołnierza. — Zapomniałem ci o niej opowiedzieć.

Bon Gi wyciągnął rękę.

— Witajcie, siostro!

Mary ostrożnie się zbliżyła. Na twarzy jej malowało się wzburzenie. Piersi ściśnięte płaskim stanikiem gwałtownie falowały. Oczy — nienaturalnie poszerzone — błyszczały.

„Czego ona się boi? — zdziwił się Bon Gi i sam sobie odpowiedział. — Ludzie tyle już przeżyli, że nie panują nad sobą. Biedaczka. Twarz ma ładną, a oczy jakieś dziwne. Wyziera z nich coś — niby strach, niby nienawiść.”

— Witajcie... bracie. — Głos Mary brzmiał głucho.

Powitanie z ojcem wypadło inaczej. Stary Czo wszedł do ziemianki, zdjął buty i dopiero gdy wstąpił na matę, zobaczył, że ktoś tu jeszcze jest. Bon Gi specjalnie usiadł tak, by ojciec nie od razu go zobaczył i poznał.

Stary Czo chrząknął. Gdy gospodarz wchodzi do domu, gość winien wstać. A ten siedzi jakby nigdy nic. Sapiąc z niezadowolenia przybliżył się, przechylił głowę i w tej pozycji zastygł. Parę razy poruszył bezgłośnie wargami. Bon Gi zerwał się i chwycił ojca w ramiona. Stary zamrugał powiekami. Potem ostrożnie uniósł rękę, palcem dotknął najpierw czoła, potem policzków i ust syna.

— Bon Gi... synku... Bon Gi...

Po chwili opanował wzruszenie, odsunął syna na długość wyciągniętej ręki, przyjrzał mu się, jakby nie mogąc uwierzyć w prawdziwość spotkania. Bon Gi spoglądał przez mgielkę łez. Stary jeszcze raz wysunął palec. Delikatnie, jakby obawiając się zmacić połysk, dotknął emalii orderu.

— Synku mój... Bon Gi.

Wieczorem w ziemiance starego Czo huczało jak w ulu. Bon Gi musiał opowiadać o sobie wszystko. Raz po raz przerywano mu gniewnymi okrzykami. Opowieść o zbrodniach burzyła umysły chłopów, kazała zaciskać pięści. Obserwował twarze i oczy, w których migwały błyskawice gniewu.

Pomyślał: „Gdyby im teraz dać rozkaz, z gołymi rękami rzuciliby się na okopy wroga“.

Stary Czo siedział cicho. Nie wypuszczał z ręki dłoni syna. W momentach największego napięcia ścisnął ją mocno i wtedy Bon Gi czuł, jak ojciec drży.

Mary postawiła na niziutkim stolyczku wszystko, co było w spizarni, i zajęła miejsce pod ścianą. Woliała pozostać w cieniu — zbyt wielkie wzburzenie wywołały w niej słowa żołnierza. Myślała o tym, że gdyby nie okrzyk starego Kima, Bon Gi byłby teraz trupem. Kiedy ujrzała go w drzwiach ziemianki, była pewna, że to po nią przyszli — chciała się bronić. Może lepiej było go zabić i zginąć potem samej, niż słuchać tych opowieści, z których tylko jedno docierało do niej i przepalało serce i mózg — przeciwnik jest silny, bardzo silny. Oto ten głupi chłop przedarł się przez cały niemal półwysep i wszędzie spotykał przyjaciół, wszędzie miał na kim się oprzeć i zwrócić o pomoc. A ona? Została sama, zdana tylko na własne siły i spryt. Co z tego, że Amerykanie są okrutni, że zabijają tyle ludzi, skoro nie mogą zabić tego, co najważniejsze, jakiejś niezrozumiałej siły tkwiącej i w tych ciemnych chłopach z Somion, i w rybakach z Kożedo, i w partyzantach Tebeksanu. Więc może lepiej uciec stąd, spróbować przedostać się przez linię frontu, rzucić to wszystko. I co wtedy? Pójść na utrzymanie do Crosby'ego? Czekać, aż Amerykanie zwyciężą i rzucają jej potem jakiś ochłap? Nie! Nie! Zostanie tu, tak jak postanowiła. Leśna pante-ra ma ostre kły...

Bon Gi poszukał oczyma kobiety przygarniętej przez ojca. Spodobała mu się jej twarz o dziwnie

zaciętym wyrazie, jej mocno zaciśnięte usta i oczy — płonące i niespokojne.

Kiedy goście odeszli i stary Czo mimo namowy towarzyszy zaczął szykować się na dyżur, Bon Gi wyszedł razem z nim. Postanowił odprowadzić ojca do skraju wsi, gdzie dawniej młodzież schodziła się na tańce, a teraz zbierali się członkowie samoobrony. W pewnej chwili przypomniał sobie kobietę, którą ojciec nazywał córką.

— Ładna jest ta twoja przybrana córka — powiedział w zamyśleniu. — Gdyby nie wojna, byłaby wciąż jeszcze młoda i piękna.

Stary Czo zatrzymał się, gwałtownie pociągnął syna za rękę i przybliżył twarz do jego twarzy:

— Bon Gi — głos jego zabrzmiał surowo i władczo. — Żebyś mi się nie ośmielił... To nieszczęśliwa kobieta, która straciła dom... Jej mąż walczy na froncie, jest twoim towarzyszem... Żebyś mi się nie ośmielił.

— Coś ty, ojcze, wcale o tym nie myślałem — zaśmiał się Bon Gi. — Powiedziałem to bez żadnej ukrytej myśli.

Stary Czo opuścił głowę.

— Pamiętaj, co ci powiedziałem... Młody jesteś, krew gorąca... pali. Ale to żona twojego towarzysza.

— Wiem, ojcze — z powagą odrzekł Bon Gi i objąwszy ojca ramieniem pociągnął go dalej.

„Ładna jest“ — pomyślał i ze smutkiem westchnął.

ROZDZIAŁ III

Warkot wspinających się pod górę samochodów zaalarmował całą wieś. Dzieciaki pobiegły na spotkanie, dorośli wyszli przed ziemianki i nieliczne ocalałe chaty. Prócz sanitarek żadne samochody od dawna nie zajeżdżały do Somion, a tu dzieciaki krzyczały, że maszyn jedzie „ogromnie dużo”. Nikt nie umiał wytłumaczyć, po co i dlaczego właśnie do Somion. Od paru tygodni nie było tu przecież żadnego zrzutu ani nawet „normalnego” bombardowania.

Z „dżipów” wysiedli ludzie, których wygląd nie wzbudził zachwyty. Jakies dziecko z przerażeniem przytuliło się do kolan matki i płaczliwie krzychało:

— *Miguk nom, miguk nom!*²⁴

Chłopi spode łba przyglądali się niespodziewanym gościom. Czego tu chcieli? Czego im trzeba? Bon Gi zobaczył, jak posepnieje twarz ojca, jak gniewny grymas ściąga usta wdowy Coj. Zrobiło mu się nagle przykro. Goście, skoro tu przyjechali, z pewnością nie byli wrogami. Odczytają nastroje chłopów z ich min.

Prawda — w Somion nigdy przed wojną nie widziano „białych ludzi”. Zetknięto się z nimi dopiero podczas krótkotrwałej okupacji amerykańskiej i w pojęciu każdego biały człowiek był zły, rzucał bomby, zabijał dzieci. O tym właśnie myśleli mieszkańcy Somion. Ale goście mogą się obrazić, nie są przecież odpowiedzialni za zbrodnie popełnione przez tych, co hańbią godność człowieka.

Gdyby każdego z tych ponuro spoglądających chłopów zapytać, czy wszyscy Amerykanie są tacy sami — odpowiedzieliby: „Nie, są tam i dobrzy ludzie”. Ale co innego rozumować, a co innego znaleźć się twarzą w twarz z nieznanymi, obcymi, których kolor skóry budzi nieufność, a czasem i coś więcej.

Pięciu mężczyzn i dwie kobiety w onieśmieniu stało przy samochodach. Obok nich zgromadziło się kilkunastu Koreańczyków i kilku ochotników chińskich. Wysoki oficer wysunął się naprzód i głośno zawołał:

— Towarzysze! Przyjechali do was przyjaciele z dalekich krajów. Chcą przekonać się na miejscu o zbrodniach popełnianych przez amerykańskich najeźdźców na naszej ziemi. Opowiedzą o tym całemu światu.

Przez tłum chłopów przetoczył się pomruk. Paru przysunęło się bliżej. Na twarzach kilku zajaśniały nieśmiałe uśmiechy.

Oficer odwrócił się do przybyłych i powiedział coś w niezrozumiałym języku. Czo Bon Gi tracił ojca. Najwyższy czas powitać gości.

Stary Czo zacisnął usta i przecząco pokręcił głową. Z tłumy chłopów wyszedł stary Kim, pochylił głowę i cicho, ale wyraźnie powiedział:

— Witajcie, przyjaciele! Nie wiedzieliśmy, że przyjeździecie, i dlatego nie wyszliśmy wam na spotkanie, jak nakazuje obyczaj gościnności.

Jeden z gości wysoki, o pociągłej twarzy i wydatnym nosie, na którym połyskiwała złocona oprawa okularów, ujął oburącz wyciągniętą dłoń starego Kima. Tęga, postawna kobieta chwyciła w objęcia wdowę Coj.

Kilku chłopów zaklaskało i nagle wszyscy zaczęli naraz krzyczeć i wiwatować. Jakby pękła tama i serdeczność poląła się szerokim strumieniem.

Przybiegł przewodniczący komitetu wiejskiego chcąc wygłosić spóźnioną mowę powitalną, ale widząc, że gospodarze zagarnęli już przybyłych i prowadzili ku centrum wsi, poleciał z powrotem, by wydać jakieś zarządzenia niezbędne dla przyjęcia gości. Zatrzymał go oficer-tłumacz. W jednym z samochodów przywieziono produkty, z których należało przygotować dla gości obiad. Starzy chłopci zaszemrali oburzeni. Biedni są, ale jakoś się wszyscy złożą i ugoszczą przyjaciół. Po długich namowach zgodzili się wykorzystać wszystko prócz ryżu i mięsa. Większy kłopot sprawił natomiast wybór pomieszczenia, gdzie miał się odbyć wspólny obiad. Po naradzie zdecydowano, że goście zjedzą w ocalałej chacie Hena, gdzie mogło się pomieścić większe grono osób.

Goście, aby nie tracić czasu, postanowili od razu zacząć rozmowy z mieszkańcami. W starej szopie zgromadziła się cała wieś. Wszyscy chcieli posłuchać, o co będą pytali ludzie, o których wiadano już, że przysłani zostali przez Międzynarodowe Zrzeszenie Prawników-Demokratów. Wprawdzie większość mieszkańców Somion nigdy o takim zrzeszeniu nie słyszała, ale cel przyjazdu delegacji był już teraz dla wszystkich zrozumiały.

Czo Bon Gi przykucnął w głębi szopy obok jednego z towarzyszących delegacji, tuż przy nim zajęli miejsce ojciec i Mary. Goście usiedli na prowizorycznie sporządzonych ławkach. Pierwsze pytanie zadał wysoki w okularach. Dotyczyło liczby i terminów zrzutów. Odpowiedziało mu kilkanaście

głosów z sali i tłumacz rozłożył bezradnie ręce. Kiedy zebrani umilkli, poprosił, by odpowiadano po kolei. Pytań będzie dużo i każdy będzie mógł zabrać głos.

Bon Gi pochylił się do ucha swego sąsiada:

— Tłumacz przedstawił tylko Europejczyków — powiedział szeptem — a tam przy stole siedzą jeszcze inni ludzie. Kto to?

— Zaraz wam powiem, poczekajcie...

Po pytaniach wysokiego — Bon Gi nie zapamiętał jego nazwiska, a tylko to, że kraj, z którego przyjechał, nazywa się Austria — tęga kobieta — nazywała się tak, że i wymówić niesposób, a przybyła z Polski — poprosiła, aby ktoś z obecnych opowiedział o historii ze ślimakami. Oczy wszystkich zwróciły się na starego Czo.

— Mów, ojcze — szepnął Bon Gi.

Stary Czo zmarszczył brwi i opuścił nisko głowę. Nie chciał mówić, ale ktoś krzyknął:

— Niech opowie stary Czo! On wie najlepiej! Sam omal nie zachorował!

Teraz już nie było wyjścia. Stary Czo powoli wstał, obciągnął bluzę, zapiał guzik wyświechtanej kurtki i zacinając się zaczął opowiadać.

Bon Gi dostrzegł, że obie kobiety z delegacji nieznacznie ocierają oczy. Obejrzał się na Mary. Siedziała pochmurna, spod ściągniętych brwi błyskały przesłonięte powiekami oczy. W kąciku mocno zaciśniętych ust zastygł ni to zgryźliwy uśmieszek, ni to bolesny grymas.

„Dlaczego jest taka zła?“ — pomyślał po raz nie wiadomo który Bon Gi.

Trzeci dzień spędzał już w domu, a przez cały czas nie widział na jej twarzy uśmiechu, tylko ten

niezrozumiały grymas. Prawie nie odzywała się przez cały ten czas, a Bon Gi tak bardzo chciał porozmawiać z nią, pocieszyć.

— Widzisz — sąsiad pociągnął go za rękaw — ten, co siedzi obok Austriaka, to wielki specjalista. Japończyk. Przyjechał już dawno z ochotnikami chińskimi. Nazywa się Fukuda.

— Jak? — Bon Gi niemal krzyknął, aż wszyscy syknęli z oburzeniem.

— Ciszej... — szepnął sąsiad. — Fukuda...

Bon Gi nie słyszał już słów ojca. Patrzył prosto w spokojną, skupioną twarz Fukudy i powtarzał w myślach: „To mąż tej japońskiej lekarki... mąż japońskiej lekarki... Fukuda... Fukuda...”

Więc tak wygląda człowiek, któremu przyniósł z Ko-zedo okrutną wieść. I jak ją powtórzyć? Kiedy? Nad ranem musi się stawić w Phenianie. Fukuda zaś na pewno pojedzie z delegacją jeszcze dalej, do innych wsi i miasteczek. Nie spotka go jutro, a potem znowu front i nie będzie czasu na poszukiwania, na rozmowy... Trzeba więc będzie porozumieć się z nim dziś, w Somion, wykorzystać jakąś chwilę.

A może lepiej nie mówić nic. Przecież trudno przewidzieć, jak człowiek zareaguje na wieść o śmierci najbliższej osoby.

Nie wiedząc, co począć, obejrzał się bezradnie. Zdziwił go wyraz twarzy Mary. Osłupiałym wzrokiem spoglądała przed siebie. Oddychała ciężko, chwytając powietrze szeroko rozwartymi ustami.

— Go ci jest, Sun Dia? — szepnął przestraszony.

Popatrzyła na niego nieprzytomnie. Właśnie
Czo

skończył mówić i w szopie zapanował gwar. Członkowie delegacji o coś pytali starego.

Bon Gi położył rękę na ramieniu kobiety.

— Co z tobą, Sun Dia? Może jesteś chora?

Gwałtownym ruchem strąciła jego dłoń. Sma-gnęła go spojrzeniem, w twarzy jej było coś takie-go, co kazało Bon Gi cofnąć się czym prędzej. „To wariatka — pomyślał z przerażeniem. — Gotowa jeszcze mnie ugryźć albo wydrapać paznokciami oczy. Trzeba by było zawieźć ją do lekarza, to chyba uraz po przeżyciach wojennych...”

Nie dokończył myśli. Zobaczył, że Fukuda wstaje, i usłyszał jego słowa. Zapomniał o wszystkim. Postanowił, że zaraz poprosi o głos i opowie delegatom o zbrodniach popełnianych na jeńcach. A potem... kiedy skończy się zebranie i ludzie się-ąda do obiadu, powtórzy Fukudzie słowa, które tak trudno będzie z siebie wydusić.

A Mary? W żaden sposób nie mogła się uspokoić. To, co powiedział sąsiad Bon Gi, wprawiło ją najpierw w zdumienie, potem w przerażenie. Więc to jest Fukuda, człowiek, którego Crosby kazał zabić. Gdyby wyciągnęła ukryty w fałdach spódnicy rewolwer, wystarczyłby jeden ledwie uchwytny ruch palca. A przecież żywiła nadzieję, że tamten łajdak — „człowiek z wózkiem” — wykonał przynajmniej ten rozkaz. Nie można teraz strzelać do Fukudy. Trzeba go będzie tropić. Nie słyszała, co do niej mówił Bon Gi. Jak zahypnotyzowana wpatrywała się w oczy człowieka, którego w myślach nazywała „skazańcem”. Dopiero po dłuższej chwili zdała sobie sprawę, że nie panuje nad swoją twarzą. Czy Bon Gi zauważył, co się z nią dzieje? Chyba nie. Słucha tak uważnie. Trzeba się do niego

uśmiechnąć, udać, że jest oszołomiona tym, co słyszała.

Ale Czo Bon Gi nie zwracał już na nią uwagi. Myślał o tym, co ma powiedzieć za chwilę zagranicznym delegatom i nieco później... Fukudzie.

2

— Słucham was, towarzyszu.

Fukuda zatrzymał się pod ścianą obórki w zagrodzie Hena. Był zdziwiony. Czego chce od niego ten młody żołnierz? Dlaczego jest taki podniecony i zdenerwowany? Bardzo przekonywająco przemawiał do delegatów. Wzbudził ich podziw — toż to prawdziwy bohater. Ale dlaczego tak tajemniczo wywołał Fukudę, dlaczego szczęka teraz zębami i wciąż ociera pot z czoła, choć wieje zimny wiatr?

— Nazywam się Czo Bon Gi — wykrztusił żołnierz. — Byłem na Kozedo... — Muszę wam... coś... wyjawić. — Bon Gi przymknął oczy, aby nie widzieć twarzy Fukudy, ale znów zgubił wątek.

Fukuda uważnie spojrział na żołnierza. I nagle jak błyskawica oślepiła go myśl: „Kozedo... niewola... chce coś powiedzieć”. Poczuł, że sztywnieją mu z zimna palce, a w gardle dusi ślina — stwardniała jak grudka wyschniętej gliny. Oparł się o ścianę obórki, bojąc się, że jeszcze chwila, a upadnie. Przed oczami wirowały mu barwne wstęgi, błyskały czerwone lampiony, w uszach zabrzmiał perlisty, dziewczęcy śmiech.

— Słucham was... towarzyszu...

Bon Gi otworzył oczy. Zobaczył zmartwiałe spojrzenie lekarza i zrozumiał, że tamten już wie, o co chodzi, że się domyśla. To mu dodało odwagi.

— Wzięto mnie do niewoli z pewną kobietą... lekarką... Brat Hu mówił, że to Japonka, że to... wasza... żona.

— Ta-k... słucham was, towarzyszu — mechanicznie powtórzył: Fukuda.

— Była z nami w obozie. Zabrali ją do pracy w szpitalu. Potem przyjechali jacyś Amerykanie i wzięto ją...

Bon Gi mówił jak automat. Suche zdania padały ciężko jak pnie zwalone toporem drwała. A przecież chciał powiedzieć to wszystko inaczej, cieplej... powtórzyć słowa Hu Czun-tsy o zwycięskiej śmierci, o bohaterstwie.

— Dziękuję wam, towarzyszu. — Fukuda jakoś niezgrabnie uściśnął mu rękę i sztywny, wyprostowany wyszedł z podwórza.

Bon Gi przestraszył się. Dokąd on idzie? Chciał pobiec za nim, ale czyjaś silna dłoń chwyciła go za pas.

Obejrzał się. Za nim stał ochotnik o skażonej wyrazem cierpienia twarzy.

— Ty mówiłeś o żonie? Tak?

Bon Gi pokiwał głową.

— Idź. — Ochotnik pchnął go ku chacie Hena, skąd dolatywał gwar głośnej rozmowy. — On sam...

Na progu chaty Bon Gi zobaczył Mary. „Jaka ona ma złą, zaciętą twarz “ — powiedział sobie w duchu i chciał ją wyminąć.

— Poczekaj — oparła dłoń o jego pierś. — Gdzie byłeś? Ojciec cię szuka. Niedługo masz już wyruszyć do Phenianu.

— Tak — odparł krótko.

Nie chciał z nią mówić. Przed oczyma miał jeszcze wciąż kamienną, szarą jak pył przydrożny twarz Fukudy.

— O czym mówiłeś z tym... Fukudą.

Wzruszył ramionami. Nie może przecież opowiadać o cudzym nieszczęściu. To nie jego sprawa. I co to ją obchodzi?

— Puść, pójdę do ojca—mruknął odsuwając jej rękę.

Uśmiechnęła się kącikami ust. Żałośnie, błagalnie. Jakby skarżąc się na swój los — tułaczkę, samotność, cierpki smak przeżyć, które tylko ona zna. Zabolał go ten jej uśmiech. Zadziwił. Było w tym coś, co budziło litość. A przecież jakże niedawno widział tę twarz zupełnie inną. Zeszpeconą grymasem zapiekłej nienawiści, innej jakby niż ta, co przepalała jego serce. A może mu się to tylko zdawało? Trzeba jej okazać więcej serca. Niedługo odejdzie, nie wiadomo, czy ją kiedykolwiek zobaczy, to nieszczęśliwa kobieta, żona nieznanego towarzysza z frontu...

Opuszczone ramiona kobiety drgały wstrząsane niemym łkaniem. Co ma jej powiedzieć? Czy wolno powtarzać o cudzej niedoli?

— Nie martw się, Sun Dia — powiedział to niemal pieszczotliwie jak wyznanie. — Nieszczęście jest na wojnie bratem człowieka. Złym bratem. Trzeba je umieć okiełznać, zdusić... Tak jak on. — Głową skinął ku bramie, za którą znikł Fukuda. —

Zobaczysz, jaki piękny będzie dzień zwycięstwa. Bolesny i piękny.

Kobieta milczała. Chciał jej zajrzeć w oczy, ale rozwichrzone włosy opadły na twarz i przesłoniły je gęstą firanką. Cofnął rękę wyciągniętą, by dotknąć jej włosów, i zamiast wejść do chaty Hena, szybkim krokiem poszedł przez podwórze. Zobaczył przytuloną do drzewa sylwetkę ochotnika i dalej, obok drogi, na kamieniu zgarbioną postać Fukudy. Zatrzymał się przed nim.

— Towarzyszu Fukuda...

Tamten drgnął, uniósł głowę.

— Towarzyszu Fukuda... Ona... Ona była bohaterką... Zginęła jak wielki i silny człowiek. Jak komunista. Nie powiedziałem wam wszystkiego. Wiem. To boli, a trzeba wiedzieć, prawda? Trzeba...
— Bon Gi urwał w pół słowa.

Fukuda zagryzł wargi i skinał głową.

— Torturowano ją... Wiem o tym. Torturowano straszliwie, chcąc zmusić do zeznań. Milczała. Nie słyszeli od niej ani słowa... nawet skargi. Mieliśmy razem uciekać. — Zdusił spazm chwytający za gardło. — Spóźniliśmy się o parę dni... tylko parę dni... Gdyby...

Fukuda pogłaskał go po rękę.

— Rozumiem, towarzyszu Czo i... dziękuję wam...

Wstał, odwrócił się. Rękawem otarł twarz.

— Dziękuję... Już późno — mruknął nieoczekiwanie. — Trzeba jechać... Muszę już iść... Dziękuję...

Zgarbiony, powłócząc nogami, zawrócił ku chatce Hena. Bon Gi trwał jak przykuty do miejsca. Czy dobrze zrobił? Czy powinien był tak powie-

dzieć? Widział, jak zbliżając się do bramy Fukuda prostował ramiona. Przychodziło mu to z trudnością, ale gdy zniknął za glinianym murem, Bon Gi zrozumiał, że nikt w chacie nie domyśli się, ile ten człowiek przeżył w ciągu paru krótkich minut, ile bólu kryje jego serce i myśl.

„Kolej na mnie — pomyślał Bon Gi. — Ja też muszę iść. Jutro wieczorem będę już na linii. Będę wsłuchiwał się w groźną ciszę frontu i czekał huraganu ognia. Jutro wieczorem odbiorę swój automat. Chłodny, ślizgający się w dłoni, niezawodny automat, który rozgrzewa się w walce jak serce i strzela tak, jakby był gniewem człowieka, piorunem myśli, błyskawicą duszy.“

Skręcił w lewo. Zanim ojciec wróci, zdąży przygotować swój plecak do drogi. Chciał znaleźć jakiś pretekst, by nie wracać do chaty Hena i nie widzieć spokojnej na pozór twarzy Fukudy. Świadomość męki tego człowieka była dlań nie do zniesienia.

Przed ziemianką zatrzymał się. Ogarnął spojrzeniem krajobraz rodzinnej wsi. Malownicze pagórki pokrywała już zieleń młodej trawy. Połyskiwały w słońcu wodne tafle ryżowych pól. Wiatr szeleścił gałązkami krzewów, na których pęczniały stulone jeszcze, brunatne pąki. Na przeciwległym pagórku w cedrowym zagajniku dostrzegł zapatrzonego w niebo człowieka. A więc ta przedwiosenna cisza jest złudna, równie złudna jak na froncie. Lada chwila z rozświetlonego błękitu mogą się wynurzyć stalowe sępy. Wtedy z cedrowego zagajnika popłynie dźwięczny jęk szyny, przypominając ludziom to, o czym nigdy — nawet we śnie — nie mogą zapomnieć: Wo-ojna! Dżu-uma!

Bon Gi wydało się, że ktoś go woła. Jakby głos braci w niewoli. „Idę!” — zawołał i z ulgą pomyślał, że już jutro wieczorem zajmie swoje miejsce w schronie na pierwszej linii.

Noc. Górski las śpiewa posępną pieśń. Tyśiącpalce krzaki chwytają za nogi śmiałka, który odważy się wstąpić tu o tej porze dziwów, tajemniczych szelestów. Ale Mary nie boi się lasu. Noc i wysokie drzewa to jej sojusznicy. Tu o tej ponurej godzinie czuje się bezpiecznie i pewnie. Daleko za nią zostały ziemianki So-mion. Przez las i góry idzie na wschód. Po co? Nie wie sama. Chce tylko odejść od tych miejsc, gdzie już ją znają, gdzie każdy przechodzień budzi w niej lęk — a nuż podejście i powie: „Ty nie jesteś Sun Dia, jesteś GMT-31, pomagasz Amerykanom siać dżumę na naszej ziemi”.

Nie pójdzie do Phenianu. Co ją obchodzi Fukuda. Jeśli Crosby chce się go pozbyć, niech tu przyjedzie sam i wyciągnie swój rewolwer. To nie jej sprawa. I nie będzie szukała dróg wiodących na południe. Pójdzie na wschód. Tam u stóp Puczerenganu są wsie, które jej odebrano. Jej własność. Tam zanieśie swą zemstę. Wywiad, robota dla Crosby’ego, liczenie bomb i zadzumionych — wszystko to była pomyłka, nieporozumienie. Błąkała się na manowcach w poszukiwaniu własnego celu. A cel był prosty i jasny. Nie ona Crosby’emu, ale Crosby jej musi służyć.

Upłynie trochę czasu. Milczący radionadajnik pozostanie niemy. I wykreślą GMT-31 z listy ludzi żyjących. Crosby może nawet westchnie, kochał ją przecież, a przynajmniej mówił, że kocha. Zasmuci się, że to nie jego palce, ale robaki błędzą po jej

piersiach... I niech wzdycha. Co to ją wzrusza? Ona będzie żyła. W ciemnym lesie wśród skał zaczai się jak pantera i będzie się mścić, mścić, pić krew znienawidzonych niewolników, póki... Nie, lepiej o tym nie myśleć. Nie pozwoli się schwytać. Potrafi umrzeć tak, jak w legendach umierają bohaterowie. Znajdzie w sobie dość sił, by ostatnią kulą w pistolecie przerwać swoje życie.

Trudno jest walczyć w osamotnieniu. Nikt nie poda jej wody, gdy będzie spragniona, nikt nie podsunie jej miseczki ryżu, gdy targnie nią bolesny skurcz głodu. A może?... Może uda się spotkać kogoś, kto pójdzie razem z nią. Przez las i noc, przez krew i śmierć.

Gdzieś w głębi lasu zahukał puszczyk. Wzdrygnęła się i otuliła szczelniej zrudziałym płaszczem, który jej przyniósł z Sunczonu stary Czo. Nie trzeba o tym myśleć. Trzeba pokonać zmęczenie i senność. Ale nogi bolą. Musi trochę odpocząć. Usiadła, głowę oparła o chropawy pień. Przymknęła oczy. W uszach zabrzmiała jej muzyka. Skoczne tony jazzu. Gdyby teraz była na południu, tańczyłaby pewno z Crosby'm lub z jakimś innym Amerykaninem, który cichym szeptem obiecywałby jej najwspanialsze cuda. Crosby też obiecywał. I tamten młody, przystojny chłopiec, który ją zaprowadził do klubu, gdzie usłyszała „precz!”

Kim jest? Co ją czeka? Otworzyła szeroko oczy — zapatrzyła się w ciemność. Kim jest? Tamci nią gardzą, mówią „żółta”, ci tutaj nienawidzą, to znaczy — nienawidziliby, gdyby wiedzieli, skąd i po co przybyła. Więc któż jej pozostał? Joe — płaszczący się przed amerykańskim sierżantem? Ojciec — psimi oczyma spoglądający na pogardliwie krzy-

wiących usta bankierów zza oceanu? Cała ta zgraja lokajska, która nie znajdując siły w sobie, szuka jej u obcych i za ochłapy sprzedaje wszystko? Czy tam jej miejsce? Wśród nich? Uciekła stamtąd, sądząc, że tu odnajdzie siebie. Ale czy znalazła? Czy nie myli się, nie przecenia swoich sił? Liczby są bezlitosne. Ona jest jedna, a tych tu — tysiące. A liczby pomnożone przez ludzkie serca... Czym jest jej nienawiść wobec gniewu tych ciemnych chłopów? Słyszała ich rozmowy, widziała ich oczy, poznała ich myśli. Na nic się nie zda samooszukiwanie. Można udawać przed! kimś, ale ze sobą trzeba być szczerą. Marzenie o zemście to mrzonki. Zanim zaczną działać, schwytają ją. Więc po co to wszystko, ta mordęga i ten strach wędrujący za plecami. Może lepiej wracać? Wrócić do starego Czo. Przeczekać.

Zerwała się... Gdzieś w pobliżu zaszemrał szept przyciszonej rozmowy. Co to jest? Przytuliła się do drzewa, jakby chcąc wrosnąć w czarny pień, zespolić się z nim, by nie wykryło jej natrętne spojrzenie niewidocznych prześladowców. Co to jest? Czyżby?... Słyszała, że w głębi gór, pod kopułami ze skał i lasów, dudnią maszyny podziemnych fabryk. Ale tu nic nie słychać, ziemia nie drga, wstrząsana dalekim warkotem. A szept zbliża się i wraz z nim...

Wymacała palcami chłodny kształt rewolweru. Wyszarpnęła go z fałdów spódnicy. Krzyknęła. Trzasnęły łamane butami gałęzie. Poczowała zimny dotyk lufy na skroni. Potem coś ją oślepiło, po lesie przetoczył się grzmot...

Dwaj mężczyźni schylili się nad krzakami. W ostrym blasku latarni zobaczyli zgruchotaną wy-

strzałem twarz, czarne włosy zlepione krwią, wykrzywione w ostatnim okrzyku usta...

— Samobójstwo? — odezwał się ten, co miał latarkę.

Drugi powoli pokiwał głową, jakby nasłuchując. W lesie panowała cisza.

— Zaraz przybiegną nasi, wyjdź im na spotkanie, sprowadź komisarza — powiedział i przycisnął karabin do biodra. — Ja tu postoję na warcie...
Dziwna historia.

ROZDZIAŁ IV

1

Zostaw to! — porucznik Dewey przytrzymał kę Mac Donalda i odstawił szklaneczkę. — To czwarta porcja.

— A ciebie co to obchodzi? — warknął Mac nald. — Nie pchaj nosa, śmierdziuchu, bo ci...

— Czego się rzucasz, Mac? — Dewey parsknął śmiechem. — Zalałeś się czy co?

— Stul pysk! — Mac Donald był wściekły i wcale tego nie ukrywał. — Zabieraj mi się sprzed oczu.

Dewey wzruszył ramionami. Dziwny człowiek z te Mac Donalda. Mruk, ponurak i do tego jeszcze wari Czasem byle co wyprowadza go z równowagi i wtedy tupie nogami, zgrzyta zębami, oczy nabiegają mu krwią... Wariat. Dewey mówił już o tym dowód eskadry. Ostatecznie jako obserwator nie chce skrę karku z niepoczytalnym pilotem. Niech go zbadają lekarze.

Ale dowódca eskadry tylko machnął ręką. W powietrzu zachowuje się spokojnie — to wystarczy. Mac Donald jest dobrym lotnikiem. Nikt tu nie jest całkiem normalny, a jeszcze z załogi „suprop“?...

Więc Dewey postanowił przynajmniej pilnować Mac Donalda przed lotami. Niech się nie zalewa. Straci jeszcze panowanie nad maszyną i wtedy... grób, ciemna ogiła. A dziś właśnie mieli lecieć. Przed zmierzchem. Za godzinę odprawa u operacyjnego. Właściwie to Deney wolałby, żeby Mac Donald schlał się do nieprzytomności, przynajmniej nie poleciliby, ale pilot umiał nad sobą panować i w ostatniej chwili okazywał się dolny do prowadzenia maszyny.

Mac Donald uspokoił się równie szybko, jak wybuchnął. Zrobiło mu się głupio. Nie miał przecież żalu do Deweya. Przyzwyczał się nawet do niego. Ale opiekuńczej troskliwości nie mógł znieść. I poza tym mulili na kimś wylądować swoją wściekłość. Musiał. Niech Dewey sam siebie wini za to, że się nawinął pod rękę. On, Mac Donald, nie ponosi za to żadnej odpowiedzialności.

W klubie zajętych było tylko kilka stolików. W głębi, przy *pianinie*, siedział jakiś podoficer i od dłuższego czasu brzdąkał tę samą melodię. Otaczało go paru kolegów, z których jeden wybijał pięściami takt na krześle. To też denerwowało, ale nie mógł przecież przeszkadzać chłopcom w zabawie. Klub jest dla wszystkich, a pianino służy do grania. Zresztą ani pianino, ani Dewey nic mu nie zawinili. Cierń tkwił znacznie głębiej.

Wiadomość o śmierci Cartera wstrząsnęła Mac Donaldem bardziej niż jakiegokolwiek wydarzenie w całym jego życiu. Wówczas słuchając kapitana Co-

oka zrozumiał, że Carter był właściwie jedynym człowiekiem, którego lubił. Może często nie zdawał sobie z tego sprawy, wiele w Carterze było przecież denerwującego — i powiedzonka, i sposób bycia, i wygląd. A jednak lubił go. Ostatnio widywali się bardzo rzadko. Nieufność Wyrosła między nimi wysokim murem, przez który trudno zajrzeć w duszę człowieka. Dopiero śmierć Cartera uświadomiła mu z całą wyrazistością, czym był dla niego ten człowiek. I śmierć Cartera kazała mu znów przemyśleć siebie samego, swoje życie, swoje czyny.

Znalazł się w zaczarowanym kręgu myśli, z którego nie umiał znaleźć wyjścia. Co ma począć? Latać dalej, zrzucać bomby wypełnione pchłami — nie chciał. Więc rzucić swój ból, swoją rozpacz. Albo tak jak Carter — spróbować umknąć na północ.

I jedno, i drugie było nierealne. Nawet w chwilach największego podniecenia, gdy zdawało mu się, że zdolny jest zdobyć się na każdy krok — strach paraliżował wolę, plątał myśli, skuwał nogi, przyprawiał o mdłości. Stanać przed Cookiem, Murrayem czy kimkolwiek? Zamknęliby mu usta, zanim zdąży powiedzieć więcej niż dziesięć słów. Zastrzeliliby go jak psa. Wyobraził sobie mysią twarz Cooka, pogardliwe spojrzenie i ten jeden krótki, tak dobrze znany z setek filmów ruch ręki — do biodra i błysk wystrzału.

W takim razie uciec na północ... Jak? Wylądować gdzieś na lotnisku czerwonych i podnieść ręce do góry? Ależ oni nie na ręce będą patrzyli, tylko na podwieszane u skrzydeł i ukryte w kadłubie bomby. I co wtedy? Co im powie? Nie zrzuciłem. Któż mu uwierzy? Zaczną go badać, wezmą w krzyżowy ogień pytań i wygada wszystko. Ile to już

razy latał? Dziesięć... piętnaście... dwadzieścia... Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Raz czy sto — powiedzą — jesteś zbrodniarzem. I zdawało mu się, że już czuje na szyi zaciskającą się pętlę stryczka.

Oficer operacyjny przed każdym wylotem ostrzegał: „Pamiętajcie, w razie awarii zmykać i lądować po naszej stronie. Broń was Bóg przed odaniem się w ręce czerwonych. Za udział w akcji „suprop“ biorą ludzi na tortury i wieszają...”

Gdyby żył Carter, poszedłby do niego, zdobył na tę jedyną w życiu chwilę szczerości i zapytał: „Ben, co robić?” Ale Cartera nie ma i nie ma do kogo podejść, zagadnąć. Nie usłyszy słów, na które czekał. Chociaż nie, na pewno są i tacy. Jeśli w gangsterze Benie obudził się człowiek, to z pewnością nawet tu, na bazie, są tacy, którym świadomość popełnianych zbrodni nie daje chwili spokoju. Są silniejsi, odważniejsi od niego. Tylko jak ich odnaleźć, jak wyczuć prawdziwy rytm serca opancerzonego skorupą lęku i zakłamania.

Najprościej — wykręcać się od zadań. Dwukrotnie mu się to udało. Symulował chorobę tak zręcznie, że lekarz zabronił mu startować. Ale Co-ok patrzył nań potem podejrzliwie i nawet powiedział z przekąsem:

— Ty, Mac, coś ci to powietrze nie służy. Ledwie dostajesz rozkaz, już łapią cię kurcze. Co?

To była groźba. Uchwycił jej sens i zląkł się. Trzeci raz nie próbował już żadnych sztuczek, bez sprzeciwu wlaź do kabiny. Ale teraz nie puszczano go na samotne loty. Nie tylko dlatego, że akcja „suprop“ nabrała rozmachu i na zadanie wylatywali nieraz w trzy albo i pięć maszyn. Nie ufano mu,

tak samo zresztą jak i innym. Przecież nie na żarty powiedział Cook w poufnej rozmowie:

— Pamiętaj, gdybyś widział, że któryś chce prysnąć, rąb do niego, żeby śladu nie zostało po maszynie.

To właśnie spotkałoby go, gdyby spróbował prysnąć. Taki los stał się udziałem Cartera, choć tam sprawa była wątpliwa — bądź co bądź awaria.

Pewnej nocy, gdy wraz z Murrayem i Grayem lecieli na akcję, zaskoczył ich nagły ogień artylerii przeciwlotniczej. W owej chwili zapragnął, by jakiś pocisk ugodził w silnik albo jeszcze lepiej — prosto w serce. Wtedy miałby spokój. Na zawsze.

A teraz ten przekłety Dewey nie daje mu nawet wypić głupiej szklanki ginu. I jakiś bałwan bębni do znudzenia tę samą melodię, wali wciąż w te same klawisze. Tak jak myśli trzepocące w głowie.

— No, czego chcesz?! — warknął.

Dewey podsunął mu papierosa.

— Lecimy.

— Kiedy? — Mac Donaldowi zrobiło się nagle zimno.

— Przed wieczorem, przed zmrokiem. Za godzinę odprawa u operacyjnego. — Dewey rozgadał się na dobre. — Dziś ma służbę Milligan. Lecimy we trójkę, my, Murray i jeszcze jeden, nie słyszałem kto. Pytałem Milligana, a ten na mnie z pyśkiem, tak jak ty.

Mac Donald nie słuchał paplaniny Deweya. Jakie może mieć znaczenie — kto leci i kto jest operacyjnym. Ważne jest, po co się leci, z czym, dla czego. Ważne jest nie to, co się mówi, ale to, co się myśli.

— ... I przyjechali jeszcze jacyś — usłyszał znów słowa Deweya. — Nasz stary lata po całej bazie jak pomyłony i wrzeszczy. Pewnie jakaś kontrola. Przybiegłem do ciebie, bo jakby zobaczył, że żłopiesz wódę przed lotem to... ho, ho.

— Kto przyjechał?

Mac Donaldowi z trudem udało się wykrztusić to pytanie.

— Czy ja wiem. Nie przedstawili mi się — ciągnął Dewey. — Ale ważni. Chyba ze sztabu. Pojechali teraz tam. — Głową pokazał okno.

Pilot zrozumiał bez słów. „Tam“, to znaczy do strefy „suprop“, gdzie stoją ich samoloty i głęboko pod ziemią ukryte są magazyny „czarcich bomb“, jak je określił Dewey.

Wbrew oczekiwaniu, „członków komisji“ nie było podczas odprawy Milligana. Ale obecność ich na bazie wyczuło się i z zachowania, i ze słów oficera operacyjnego.

Nie ograniczył się tylko do lakonicznego wyjaśnienia zadania. Szczegółowo określał obiekty, na które należało zrzucić ładunek. Przypomniał instrukcje o zachowaniu się w razie ataku czerwonych, ognia artylerii przeciwlotniczej, awarii. Szczegóły, o których operacyjny od dawna już nie przypominał, wiedząc, że każdy z obecnych zna je na pamięć. Mac Donald na to wszystko nie zwracał uwagi. Przyglądał się swoim rękoma. Niedługo oprzeje o sterownicę, a potem... Wysunął wskazujący palec... Potem tym właśnie palcem poruszy przycisk bojowy i bomba oderwie się od skrzydła. Jedna i równocześnie z nią druga. A ziemia nie tryśnie w górę fontanną wybuchu, nie drgnie nawet, gdy popelzną po niej zatrute owady...

— Mac Donald!

Automatycznie zerwał się i prężąc na baczność zawołał z pośpiechem:

— Zadanie otrzymałem i zrozumiałem!

Wychodząc z gabinetu zatrzymał się przy mapie.

Czarna kropka to Czanion, cel dzisiejszego nalotu. A czerwona, w dwóch miejscach załamująca się kreska — to trasa, którą miał lecieć. Popatrzył uważnie. Nie mógł przecież przyznać się Milliganowi, że nie słuchał nawet treści zadania. I Dewey też nie powinien o tym wiedzieć — gotów go jeszcze oskarżyć... Więc jak prowadzi trasa? Aha... Prosto na północ do Kanchoa, potem o 90 stopni na zachód nad zatoką Kanchoaman, prawie do 124 stopnia szerokości i stąd już kierunek NEE prosto na Czanion. Niebezpieczny będzie tylko przelet nad linią brzegową. Czerwoni mają tam bardzo dużo artylerii. Ale wysokość wyznaczono znośną i nie ma się co bać. A może? Może lepiej byłoby już raz poczuć, jak raniony celnym pociskiem samolot spada. To trwa parę chwil. Tylko parę chwil.

2

Błękit nieba zaczyna gęstnieć. Kontury ziemi zacierają się, rozplywają i wszystko w dole zdaje się być bezbrzeżną, szaroburą płaszczyzną. Ale Mac Donald wyteża wzrok, stara się jak najdokładniej odtworzyć wszystkie wypukłości i wybrzuszenia — jak ślepiec, który palcami błądzi po nieznanym twarzą, by odgadnąć jej rysy. Cały jest pochłonięty tą czynnością i tylko z rzadka rzuca

szybkie spojrzenie w prawo. Tam płyną dwa pozostałe samoloty. Blżej jest Murray — prowadzący, a za nim — tego już się Mac Donald tylko domyśla — maszyna tego wysokiego... Palmwodd, Black-wood czy jak go tam zwa. Wysokościomierz wskazuje sześć tysięcy stóp; szybkościomierz trzysta kilometrów. Z lewej strony w dole połyskuje zwierciadło morza przetykane pstrokacizną przybrzeżnych wysepek.

Ziemia jest szara. Ale Mac Donald wie, że to tylko złudzenie. Naprawdę to ziemia jest żółta — od przybrzeżnego piachu, i rdzawa tam, gdzie pokrywa ją skorupa gliny. A jeszcze jest zielona od pęczniejącej wiosennymi sokami trawy. I wcale nie płaska. Gdyby wylecieli o godzinę wcześniej, zobaczyłby łagodne fałdy wydm i spiętrzenia maleńkich pagórków — rzadkie, bo okolica jest równinna, ale przytulne jak rafy koralowe w akwarium, które kiedyś w dzieciństwie stało na oknie.

Dawno nie widział już tej ziemi z lotu ptaka. Latał niemal wyłącznie w nocy. A teraz trwa jeszcze ta szarawa jasność zmierzchu. Niepokojąca i tajemnicza. „Oto jest twoja kraina snów Szengri Lah — mówi w myśli Mac Donald i sam się z tego śmieje. — Wystarczy jeden ruch ręki i można tu wylądować. A wtedy kraina z baśni okaże się odrażającym, pokrytym strupami ruin i bliznami rowów skrawkiem niziny, po której stąpają strudzeni chłopci, dźwigając na długich tykach wiaderka z wodą lub kosze z cuchnącym nawozem. I gdzież tu miejsce na Szengri Lah, na marzenia, na wizję, wypieszczoną od lat?“

A może nie tu trzeba było szukać krainy z baśni.

Dżuma II

Albo raczej nie tak. Nie z samolotu pluącego śmiercią, nie z kabiny, w której każdy gest przybliża minutę zbrodni. Za późno na żale. Nic nie odmieni losu, nie powstrzyma biegu maszyny. Tak już zostanie. Za dwa miesiące otrzyma urlop. Pojedzie do domu... Śmieszne, nie ma nawet domu. Co jest jego domem? Peoria — z której uciekł przed nędzą, Chicago — w którym szukał dla siebie miejsca pod niebem, Frisco — gdzie znalazł to miejsce w szeregu czarnych punktów płynących przez błękit? Ale tak to się nazywa: „Pojedzie do domu”.

Przez kilkanaście dni nie będzie czekał z biciem serca, że zachrypi nad uchem megafon: „Porucznik Mac Donald do operacyjnego”. Zapomni o tym, co było. Będzie wałęsał się ulicami miast, gdzie po wieczornym niebie błędzą nie macki reflektorów, lecz wesołe napisy, gdzie dziewczęta chichocą beztrudnie, a barman nalewający whisky nie pyta podejrzliwie: „A nie leci pan dzisiaj?” Będzie paradował w nowym mundurze, po-brzękiwał... Nie, nie... Mundur zrzuci. U Woolwortha kupi sobie elegancki, ciemny garnitur, żeby nic nie przypominało mu tego, co robi na wojnie. A jeśli go zapytają — odpowie krótko, że jest pilotem, i kropka, reszta to tajemnica wojskowa. „Pilot to dobra służba” — wzdychają dziewczęta. A on im na to: „Jeszcze jaka”. Bzdura... Wcale tak nie powie. Postara się ukryć przed wszystkimi, woli już być piechurem, byle nikt nie spojrzał na niego z przestachem i nie zapytał: „A jak z tą dżumą?”

— Uwaga, Kanchoa! — Głos Deweya wibruje w słuchawkach.

Patrzy na maszynę Murraya. Jego samolot przechyła się dwukrotnie na lewe skrzydło. W słuchawkach trzaski i przytłumione nawoływanie:

— Mac, kierunek zachód, kierunek zachód!

— Zrozumiałem, kierunek zachód — powtarza w zamyśleniu.

Niebo jest już sine, tylko daleko, na wprost, wytryskują jeszcze zza horyzontu nikłe rdzawo-czerwone blaski. Jak gasnąca łuna pożaru. „Ile to już pożarów trawiło tę ziemię — myśli Mac Donald. — Takiej statystyki nie prowadzą chyba w żadnym sztabie. Do podliczenia trzeba by było pewnie zaangażować profesorów matematyki. Domy spłonęły, wsie, całe miasta, a ludzie trwają. Twardy naród.“ Carter kiedyś powiedział „mądry”. To nieprawda, gdyby byli mądrzy, poddaliby się i mieliby spokój. Tak jak on — Lionel Mac Donald, poddał się rozkazom zwierzchników, słucha ich i nikt go nie skubie, nie tarnosi, nie wali na odlew pięścią w pysk. I ma spokój. Spokój? Więc dlaczego dręczą go myśli ponure jak żarty, grabarza i serce bije jakos nierówno, i ręce oparte o dźwignię steru leciutko drżą? Dlaczego nie może tak jak Murray wsiadać i wysiadać z samolotu z bezmyślnym uśmiechem zadowolenia na twarzy? Dlaczego?...

Tyle jest tych „dlaczego”, że niesposób nawet siebie okłamać wyimaginowanym spokojem, którego nie ma i być nie może.

Czego się ten Dewey krząta. Zapalił już niebieskie półkule świateł pokładowych i wierci się nad swoją mapą, kreśli, mierzy. No tak. Niedługo zabrzmie w słuchawkach natrętny głos: „Uwaga... cel...“ Potem trzeba nacisnąć przycisk bojowy, poderwać samolot do góry. A ładunek dżumy poleci

na ziemię i rozsypie się po niej rojem — tym razem czego? — pcheł, much, komarów, szczurów? Śmierć można rozsiewać wielu sposobami. Murray twierdził, że bardzo mu się podoba rozrzucanie drobnych przedmiotów — piór, liści, papierosów, zabawek. Taka lalka spada na ziemię znacznie dłużej niż bomba nawet naładowana tylko pchłami.

Lalka... Potem znajduje ją dziecko, przygląda się z zachwytem barwnej sukieneczce, nastroszonym, nicianym włoskom i chwyta zabawkę, tuli w drobnych ramionkach, śmieje się perliście, całuje tę swoją gałgankową córeczkę. I nie wie, że biorąc tę piękną lalkę w ręce, oddało się w szpony śmierci. Nie wie, co je czeka. Ale on wie! On, Lionel Mac Donald, wie! I co? Nic? Milczy?

Coś zaczyna w nim krzyczeć. A może to nie krzyk, tylko płacz? Za dwa miesiące pojedzie do domu... Na ulicach barwny tłum i małe dziewczynki z lalkami w rączkach... Lalki, lalki... Wyrzucicie lalki... To śmierć! — krzyczy im Lionel Mac Donald, porucznik lotnictwa z bazy K-8 w Korei. — Ale one nie słyszą, ich twarzyczki bledną, martwieją, z ust toczy się piana, skulonymi w męce ciałkami wstrząsają wymioty, konwulsyjnie drgają rozrzucone bezsilnie nóżki.

— Dżuma! Dżuma! — krzyczy Mac Donald.

Co to? Kto go woła, kto zabrania mu ostrzec dzieci?

— Mac! Wysokość! Oszalałeś?

Ach to głos Deweya. Czego on chce? Wysokość? Jedno spojrzenie na wysokościomierz wystarczy. A w słuchawkach już rozlegają się soczyste przekleństwa Murraya.

— Ty idioto, jak prowadzisz samolot?!

Co mu ma odpowiedzieć? Że po głowie chodzą straszne myśli, a przed oczyma wirują niesamowite obrazy. Murray tego nie zrozumie ani Dewey, ani nikt... Ale Carter to rozumiał. Jak to Carter powiedział — są chwile, kiedy nawet gangster...

Teraz samolot osiągnął już właściwą wysokość. Za oszklonymi ścianami kabiny nieprzenikniony mrok. Od niebieskiego blasku świateł pokładowych ręce przybierają jakiś niesamowity kształt. A palec jest trupiosiny Już niedługo ten palec dotknie białego guzika...

I nagle... Mac Donald odzyskuje spokój. Na twarzy jego ukazuje się cień uśmiechu. Ogląda się i widzi zgięte nad mapą plecy nawigatora, zarys jego twarzy zaostrej niebieską poświatą.

Spokojnym, władczym tonem — on, pilot, jest tu przecież gospodarzem — rzuca krótko:

— Współrzędne!

Chwilę czeka i już słyszy ochrypły głos Deweya. Tak. Za siedem minut skręca na północny wschód ku wybrzeżu. Szkoda, że nie potrafi znaleźć w sobie tyle odwagi, ile Carter. Ale ludzki odruch — na to się zdobędzie. Nie polecą na północ. Ten palec nie dotknie już nigdy przycisku wywołującego śmierć. Szkoda, że nikomu o tym nie będzie mógł powiedzieć. Nikt się o tym nie dowie, że chciał protestować przeciw zbrodni i nie umiał, że zmógł go strach, z którego uwolnił się na krótko. Na tę jedną chwilę — potrzebną do podjęcia ostatecznej decyzji. Cook znajdzie sposób, by zakłamać i tę historię — w gruncie rzeczy taką prostą i zrozumiałą. No i niech tam. Przez tyle lat brnął przez życie z nieodłącznym i jedynym towarzyszem — któremu na imię strach. Teraz zostały już tylko li-

Dżuma II

czne sekundy i osamotnienie. Dewey i Wilson nie liczą się — nie rozumieją go. Może zrozumieliby ci, na których ziemię miał dziś zrzucić bomby z dżumą. I może lepiej byłoby polecieć do nich, stanąć twarzą w twarz i powiedzieć: „Sądźcie mnie, jestem zbrodniarzem”. Ale nie, może mu zabraknąć sił, strach czai się za plecami i czyha tylko na chwilę, by znów go dopaść i zawiadnąć jego sercem.

Wciąża głęboki łyk powietrza i zaciska usta. W rozszerzonej klatce piersiowej serce łomocze gwałtownie, jakby chciało wyskoczyć.

— Żegnaj, Dewey — mruczy pod nosem.

— Mówiłeś coś, Mac? — brzęczy w słuchawkach.

Ręce trzymają mocno sterownicę.

— Mówię, że nie chcę więcej rzucać bomb. Nie chcę i nie będę — wygniata słowa i gwałtownie wyrzuca samolot dziobem w dół, prostopadle.

W słuchawkach krzyk. Jakiś ciężar spada mu na barki. To Dewey upadł — myśli i odlicza sekundy. Siedem... osiem... dziewięć. Kto go szarpie? Dewey? Głupiec. Tej maszyny nic już nie zatrzyma. Piętnaście... szesnaście... Zaraz wchłonie ich morze i wieczny spokój.

— Mac... idiota... coś ty?!

To ryczy Murray...

Dwadzieścia osiem., dwadzieścia dziewięć...

— Morderco! — krzyczy. Mac Donald. — Morder...

Targa nim straszny wstrząs. Spienione morze rozpryskuje się z hukiem. I po chwili znów fale podejmują swój odwieczny śpiew.

ROZDZIAŁ V

1

Crosby nerwowo postukiwał pięścią w kolano. W słupie słonecznych promieni, przebijających się przez nieszczelnie zasłonięte portiery, wirowały drobiny pyłu. Sine smugi dymu zwijały się w fantastyczne wzory. Za każdym dmuchnięciem skłębiały się, szarzały i znów rozsnuwały pajęczyną zakrętasów i spiral.

— Więc?

Crosby wypuścił kłęb dymu i gwałtownym szarpnięciem tułowia przesunął fotel w lewo. Drobiniki kurzu przyśpieszyły swój taniec.

— Więc? — powtórzył głośniejszym głosem i wyczekująco spojrzął na Dodge'a.

Ten haczykiem palca podrapał się po podbródku.

— Nic nie poradzę — westchnął. — Znowu wsypa. Od pięciu dni milczy GT-7, jeszcze dłużej nie daje znaku życia GT-19. Czerwoni wyłapują ich jak ślepe szczenięta. Raz — i do worka, raz — i do worka.

— I nie masz żadnego meldunku? — przeciągle, z poświstem powiedział Crosby. — Znowu żadnego?

— Coś niecoś mam — pośpieszył z odpowiedzią Dodge. — Ale niewiele.

Crosby zdusił niedopałek o szklaną tafłę na biurku.

— Wijesz się jak jaszczurka! — ryknął z wściekłością. — Jesteś do niczego. Głupiego Wy-

wiadu nie potrafisz zorganizować. Nie pojmuję, jak się dostałeś do G-2. Diabli nadali...

— Nie wściekaj się, Bob. Wiesz przecież, że to diabelnie trudna sprawa.

— I co z tego? — rzucił się Crosby. — Co z tego, że wiem! Przez ciebie, przez twoje niedołęstwo muszę działać na ślepo. Przecież nie żądam już ścisłych sprawozdań, niech będą fragmentaryczne, ale żebym choć cokolwiek wiedział.

Chwilę oddychał ciężko i mruzczał pod nosem przekleństwa. Nic go nie obchodzi — trudno czy nie trudno. Cóż to za historia: czerwoni są wszechwiedzący czy jak? Wywiad można zorganizować wszędzie, nawet u nich, tylko trzeba się do tego dobrze zabrać. Gdyby to się działo w innym kraju, kazałby jeszcze dziś Dodge'owi przedostać się za linię frontu. Niechby potańczył.

— Co z Fukudą? — przypomniał nieoczekiwanie.

Dodge niespokojnie poruszył się na krześle. Crosby zaklął, zgrzytnął zębami.

— No, gadaj, co z Fukudą? Dałem rozkaz?

— GMT-31 nie odpowiada na wezwanie. W ubiegły czwartek nie dali o sobie znać. Wywoływaliśmy ich z dziesięć razy. Bezskutecznie.

— To znaczy?

Crosby oparł się o kolana, pochylił w przód, brodę wysunął i zawisł spojrzeniem na ustach Dodge'a.

— To znaczy, że nic nie wiem! — wybuchnął Dodge. — Nic, rozumiesz? Nic! Tobie ten przekłety Fukudą nie daje żyć. A ja? A mnie? GMT-31 to był mój najsilniejszy atut. Czy ty to pojmujesz? Ideo-

wy agent, to gratka, jaka się zdarza raz na tysiąc. Nie ze strachu, nie dla pieniędzy... dla i-de-i.

„GMT-31... GMT-31 — Crosby poszukał w pamięci — Prawda, to przecież ona, Mary. Więc i ją schwytali?”

— Diabli wiedzą, czy nie przez ciebie wpadła. — Dodge miotał się po pokoju. — Siedziała w górach, nadawała meldunki i wszystko było dobrze. A ty nie. Tego cholernego Fukudę mu daj. Łeb mu ukreć. Szkoda, że się zgodziłem na tę robotę. Chcesz się go pozbyć, nadaj depeszę, wezwij go tu i koniec. Albo sam się do niego wybierz w gościnę. Moi ludzie to nie twój prywatny „gang“.

„Mary — tłukło się w głowie Crosby'emu. — Mary. Piękna dziewczyna. Wspomnienie jeszcze boli... I ją wzięli... — Coś w nim zakipiało. — Nie mogła wpaść po zlikwidowaniu Fukudy, po nadaniu meldunku... A może? Drapieżna jak kot. Takiej tylko kazać: zabijaj. Może pochwycili ją po wykonaniu rozkazu?”

— W ogóle mam już tego potąd. — Dodge przesunął palcem po czole. — Znudziła mi się cała ta pchła wojna. Pięciu centów bym za nią nie dal.

— Milcz! — warknął Crosby.

— Przestań się rzucać, Bob. Ja się ciebie nie boję. Ty mnie trzymasz, ale i ja ciebie mam tu. — Potrząsnął dłonią zaciśniętą w pięść. — Pięciu centów nie warta ta cała historia, a kosztuje miliony. Kto wie, może nawet miliardy. A rezultaty? — Zachichotał złośliwie. — Pięciu zdechłaków. To wszystko. Nie wierzę, nie wierzę w te twoje cuda, w magię Otomury i uczony bełkot Meisfelda. To dobre w jenieckich obozach, w szpitalach, ale na wojnie... Pięciu centów nie daję. Nawet za tę waszą

Dżuma II

operację MAV i wszystkie inne kombinacje. Pchły wojny nie wygają.

Crosby uśmiechnął się ironicznie. Głupiec. Nic nie rozumie. Pchły? A kto mówił, że pchły. Dżuma ma wygrać wojnę, Crosby, Ameryka. Czy to żołnierze wygrywają wojnę? Wojnę wygrywa dowództwo, rząd, państwo. A żołnierze to tylko pionki rozstawione na szachownicy frontu. I pchły tak samo.

— Bzdury gadasz, Dodge — parsknął pogardliwie. — Drobne niepowodzenia przesłaniają ci ogromną perspektywę...

— Drobne niepowodzenia? — Dodge wybuchnął śmiechem. — I mnie to mówisz? Drobne? Klapa! Globalna klapa, drogi Bob. Starego możesz bujać, głupcom z Kongresu możecie podsuwać przyręte, nie mnie. Drobne niepowodzenia. Śmiechu warte, co? Ileś to już bomb rzucił? Pięćset, tysiąc? A ilu zdechło? Też tysiąc? Jedna bomba, jeden trup. Oto nowoczesna broń. Szlagier! Przewrót w strategii. A w Hiroszynie? Jedna bomba i dwieście tysięcy trupów.

Crosby z trudem powstrzymał się, żeby nie dopaść tamtego i nie wyrznąć go pięścią w otwarte usta.

— Głupi jesteś. Przekonasz się jeszcze. Czerwoni mają dobrą obronę, ale ją rozwalimy i wtedy dżuma popelźnie — rozcapierzył palce i wolno przesuwając nimi po stole — po całym kraju. Po atomie zostają ruiny, a tu wszystko będzie nie-
tknięte. Zrozum, głupcze. To pierwsza próba na wielką skalę. Opracowujemy dalsze plany. Korea to dopiero początek. Musimy tę broń doprowadzić do perfekcji, wypróbować jak najdokładniej, żeby

nie zawiodła wtedy, kiedy wojna rozпали się na całego...

Błysnęło czerwone światło nad głośnikiem. Raz, drugi, trzeci. Pilna sprawa. Nacisnął guzik. Usłyszał głos Mikeya.

— Pilny radiogram dla pułkownika Dodge'a.

— Przynieś.

Mikey wszedł, zasalutował i podał Dodge'owi zalakowaną kopertę. Crosby skinieniem głowy wskazał drzwi. Mikey znikł. Dodge rozerwał kopertę. Przebiegł oczami jedną linijkę tekstu i podsunął radiogram Crosby'emu.

„Prawnicy komuniści przyjechali”.

To wszystko. Crosby zagryzł wargi. Już od paru dni czekał na tę wiadomość. A jednak zaskoczyła go. Sądził, że tamci dłużej posiedzą w Chinach, może nie odważą się nawet przyjechać tu, gdzie życie nie jest słodkie ani bezpieczne.

— Co ty na to? — zapytał Dodge'a.

Tamten wzruszył ramionami.,

— Nic. Przecież czekaliśmy na nich. Teraz dopiero

będzie wrzask na świecie. Zakotłuje się wokół pchlego interesu — gwizdnął — zakotłuje... Stary pewnie zwoła konferencję prasową i będzie się oburzał. I tak nam nie uwierzą. Można było wypierać się miesiąc, dwa... Ale teraz? Ja bym powiedział: „Tak, rzucamy bomby

bakteriologiczne. Na czerwoną zarazę odpowiadamy czarną zarazą”.

— Czekaj. — Crosby powstrzymał go gestem ręki. — Mam plan. Trzeba przywitać tę międzynarodową komisję. I to z szykiem, z fanfarami. Żeby portki mieli pełne ze strachu.

Podniósł słuchawkę. Dodge na znak zdziwienia uniósł brwi.

— Halo, halo! Daj no, chłopcze, K-13... Tak... Natychmiast... W zamkniętym obwodzie.

Rzucił słuchawkę i z triumfującą miną spojrzał na Dodge'a.

— Ja im urządę przyjęcie... Ja im urządę przyjęcie — sapał.

Zabrzączał ostry sygnał bezpośredniego telefonu linii wysokiej częstotliwości.

— Halo! — Crosby chwycił słuchawkę. — Halo!... K-13? Halo! Tak tak. *How are you colonel!*²⁵ To ja, Crosby. Tak... Za godzinę będę u was. Przygotujcie się do wielkiej operacji... Nie, nie „suprop“. Zwyczajna... Tak... Tak... Masowy i ciężki. Żeby ziemia zadygotała... Osobiście wezmę udział... Tak, tak... Za godzinę.

Rzucił słuchawkę, włączył mikrofon.

— Mikey, samolot. Lecimy. Za godzinę chcę być w Suwon.

W pośpiechu zamykał szuflady na klucz. Dodge przyglądał mu się ze zdziwieniem. Zdumiał go ten nagły, gwałtowny wybuch energii.

— Zostań tu, Dodge — powiedział Crosby. — Połącz się z K-14. Powiesz, że z mojego rozkazu. Niech będą przygotowani do wysłania silnej grupy bombowców. Jeśli nie mają dostatecznej liczby, niech skomunikują się z lotniskowcami w zachodniej zatoce. Dokładny rozkaz otrzymają za godzinę.

— A ty?

— Ja? — zaśmiał się. — Słyszałeś przecież. Lecę. Chcę zobaczyć, jak wygląda Phenian z góry, z samolotu, zanim obejrzę go wjeżdżając do miasta

w samochodzie — zaśmiał się wesoło. — Aha, daj no mi ten plan Phenianu, gdzie masz zaznaczone to ich centralne laboratorium, Trzeba z nim raz na zawsze skończyć. Za dużo smrodu stamtąd idzie. I przy okazji może stukniemy tego Fukudę i panów komunistów z tej komisji. Już ja im pokażę. — Splunął i schował plan do kieszeni.

— Ale dowództwo lotnictwa... Bez ich zgody.

— Głupiś! — Zatrzymał się przed drzwiami. — Na dziś zorganizowałem masowy nalot dla zniszczenia centralnego laboratorium. Termin pozostawiono do mojej dyspozycji. Akcja „suprop“ czy jak ty ją nazywasz, „pchła wojna“ trwa i zobaczymy, co zrobią czerwoni, jak im wybebeszemy to laboratorium. Pozdychają. Wtedy będziesz kpił sobie z dżumy.

Dodge wzruszył ramionami. Popatrzył na zamykające się drzwi.

— Bałwan! — syknął. — Pięciu centów nie daje. Bałwan! I sięgnął po słuchawkę.

Nadzieje Czo Bon Gi nie spełniły się. W Phenianie, dokąd odwiózł go Fukuda, rozstając się na jeden dzień z członkami komisji, powiedziano mu:

— Na front pojedziecie, towarzyszu, za dwa, trzy dni. Mamy tu dla was ważną robotę. Trzeba porozmawiać z żołnierzami artylerii przeciwlotniczej. Niech i oni usłyszą od świadka prawdę o zbrodniach najeźdźców i bohaterstwie naszych partyzantów.

Czo Bon Gi próbował protestować, tłumaczył, że i tak już za długo próżnuje. Bezskutecznie. Bezlitosny oficer w wydziale politycznym z uśmiechem potakiwał głową, a gdy Bon Gi sądził, że za chwilę otrzyma potrzebne dokumenty, wezwał ja-

kiegoś porucznika i prosił o zaprowadzenie , drogiego gościa“ do dowództwa gwardyjskiego pułku broniącego nieba nad Phe-nianem. Już drugi dzień trwała ta wędrówka z jednego dywizjonu do drugiego.

Teraz Bon Gi siedział na skraju obszernego, kwadratowego rowu, w którego centrum stało szybkostrzelne działo przeciwlotnicze, a w niszach osłonięte grubą warstwą ziemi i darniny skrzynki z pociskami. Kilkanaście metrów dalej rów był mniejszy i wychylała się z niego lufa ciężkiego karabinu maszynowego, który przemyślni żołnierze przystosowali do strzelania w górę. Takie „przeciwlotnicze kaemy“ Bon Gi nie tylko widział, ale nawet kilkakrotnie sam obsługiwał, toteż podziwiał raczej prawdziwe działa przeciwlotnicze. Nawet nie przypuszczał, że tyle ich jest.

„Rośniemy w siłę — myślał z zadowoleniem. — Coraz więcej broni, coraz lepsza. Wróg nie da rady nas złamać. Rok temu ile w całym Phenianie było takich dział? Na palcach można policzyć. A teraz... Ho, ho... I nie tylko w Phenianie. W drodze na Sunczon w zagajnikach, na stokach pagórków też widziałem ich sporo. A kiedy odchodziłem na front, nie było ani jednego...”

Myśl o drodze z Somion do Phenianu przypomniła mu Fukudę. Ile hartu w tym człowieku. Nikt nie domyślał się, jaki okrutny ból rozdzierał mu serce. W samochodzie cały czas milczał. Tylko raz odezwał się do Bon Gi.

— Widzieliście ją przed śmiercią?

Bon Gi skinął potakująco głową.

— Opiekowała się jeńcami — zaczął, ale Fukuda mu przerwał.

— Nie trzeba... Ja wiem...

I aż do przyjazdu na miejsce nie odezwał się słowem. Siedział zgarbiony obok kierowcy i Bon Gi widział, jak chwilami drgają mu ramiona.

Ze wzgórza, na którym mieściły się stanowiska ogniowe baterii obrony przeciwlotniczej, widać było rozrzucone wśród ruin ziemianki. Na murach suszyła się bielizna. Turkotały na wybojach wozy, warczały samochody, śpieszyli we wszystkich kierunkach przechodnie. Jakaś kobieta z ogromnym tobołem na głowie szła zboczem wzgórza ku kilku ledwie wystającym z ziemi lepiankom. Spostrzegła siedzącego żołnierza i pomachała mu ręką. Odpowiedział jej głośnym okrzykiem.

Z rowu łączącego wychyliła się jakaś głowa.

— Chodź tu, towarzyszu. Czego tam siedzisz samotnie?

Bon Gi zeskoczył i zapominając, że tu nie front, schylił głowę i pobiegł ku wołającemu. Żołnierze powitali go śmiechem.

— Od razu widać, że jesteś z pierwszej linii, bracie — powiedział wesoło jeden z nich. — My tu chodzimy o tak — wyprostował się i wypiął pierś. — A tyś się przyzwyczaił do bzykania pocisków nad głową.

Bon Gi ściągnął brwi. Czyżby się nabijali?

— Wy tu możecie łązić nawet na szczudłach — wycedził ironicznie. — Na takich nie polują. U nas na froncie...

— Patrzcie go — odezwał się inny żołnierz. — Jaki ważny, nosa zadziera... U nas na froncie... — przedrzeźniał. — Myślisz, że u nas to takie wojskowe sanatorium. Słonko grzeje, spać można, nieprzyjaciel daleko. Ty, bohaterze, za łeb go

trzymasz, a my sobie wypoczywamy. Co? U nas, bracie, tak gorąco bywa, że niejeden frontowy bywalec głowę pod ramię chowa albo i głębiej...

Artylerzyści wy buchnęli śmiechem. Zapowiedało się na dłuższą dyskusję. Nieoczekiwanie zjawił się dowódca.

— Znów się klóćcie — powiedział po powitaniu. — Każdy rodzaj broni jest ważny. Wiecie o tym dobrze, a zawsze się przekomarzacie. Znam ja was — ostrzegawczo pokiwał palcem. — No. — Spojrzał na zegarek. — Obiad zjedzony?

— Tak jest!

— To możecie zaczynać. Towarzyszu Kim, zawołaj wolnych od służby żołnierzy. To stanowisko chyba najlepsze. Towarzysz Czo usiądzie tu. — pokazał nasyp — a my posłuchamy.

Bon Gi mówił płynnie. Pomagał mu wyraz twarzy artylerzystów, ich zainteresowanie, błyski w oczach i twardo zaciśnięte wargi. Zapomniał już o przelotnym sporze. Odżywały w nim wspomnienia.

I nagle... Urwał w pół słowa. Głośno, natarczywie brzęczał dzwonek. Artylerzyści porwali się z miejsc. Widział sylwetki biegnące ku rozrzuconym na zboczu stanowiskom. „Co się stało?” — pomyślał. Ktoś potracił go i warknął.

— Nie przeszkadzaj. Wał do ziemianki.

— Co się stało? — zapytał zdumiony.

— Alarm...

Bon Gi zeskoczył z nasypu. Alarm? To znaczy — może być nalot... Zobaczył, jak wychyla się z rowu smukła szyja działa i obracając się powoli, wymacuje puste niebo. Obok jakiś głos wykrzykiwał:

— Tak jest, kwadrat siedem, południe!

Dżuma II

I już rozkaz powtórzony został na stanowisku. Lufa przewędrowała jeszcze parę metrów błękitu i zastygła.

Wyjrzał z rowu. Wzgórze najeżyło się lufami dział. Dowódcy głośno powtarzali otrzymane telefonicznie rozkazy. Postanowił, że nie pójdzie do ziemianki. Cóż to on cywil czy co, żeby się chować podczas nalotu? Ruszył ku stanowisku najbliższego działu, ale kazano mu wrócić. Zły powlókł się na stanowisko karabinu maszynowego.

Ryk syren rozdarł powietrze. Ponury, przeciągły, narastał z każdą sekundą. Wyły syreny zburzonych fabryk, piskliwie wtórował im gwizdek milicjanta z ulicy i natarczywe brzęczenie telefonów.

Po chwili usłyszał pomruk. Zadarł głowę. Dzieśiątki czarnych punkcików zbliżały się z południa. Samoloty leciały wysoko. Gdzieś buchnął wystrzał. W niebie pękł biały obłoczek dymu. Huk silników rozbrzmiewał tuż nad głową. Czarne punkty przemieniły się w ptaki o szeroko rozpostartych, zniechęconych skrzydłach. Przesuwały się po niebie zwartą ławą.

„Ile ich jest?“ — pomyślał Bon Gi i chłód na chwilę zmroził mu serce. Ale trwało to ledwie mgnienie oka, tak jak na froncie, gdy po dłuższym okresie ciszy wróg zerwie się nagle do szturm. Głośno wyjąc zakrzyły odrzutowe myśliwce. Białe pasma ich śladów zostawały wysoko, skłębiły się... „Pewnie nasi nadlatują“ — ucieszył się Bon Gi i w tej samej chwili zobaczył, jak z szyku bombowców wyskakują dwie trójki, zniżają gwałtownie lot. Z ich podbrzuszy wypadają czarne, drobne punkciki, rosna, rosna.

Dżuma II

Buch!... Buch!... Ziemia drży wstrząsana wybuchami. Tam niedaleko strzeliła w górę czarna fontanna ziemi. Powietrze bije w uszy falami huków. Lufy dział tryskają płomieniami. W błękitnie nieba mnożą się białe obłoczki.

Czo Bon Gi krzyczy:

— Bij! Strzelaj!

Jakie to męczące stać z zaciśniętymi mocno pięściami i patrzeć, jak towarzysze strzelają. Ten niski z rozwianą czupryną zda się przyrósł do karabinu maszynowego, który zachłystuje się pośpiesznym gdakaniem.

— Jest, jest! — krzyczy Bon Gi widząc, jak jeden z bombowców rwie się w górę, wlokąc ogon dymu.

— Celownik...

W tym piekielnym hałasie nie słyhać nawet słów celowniczego przy dziale. Ale artylerzyści odgadują je z ruchu warg, a może nawet nie patrzą na tego wysokiego chłopca...

Ziemia dygoce pod nogami. Wybuchy są coraz częstsze. Jakaś potężna siła rzuca Bon Gi na ziemię. Zrywa się ogłuszony i znów pada. Widzi złowróźbnego ptaka rzygającego bombami.

„To na nas“ — myśli i słyszy gwizd odłamków nad głową.

Co to? Dlaczego przy kaemie jest już tylko dwóch żołnierzy? Przed sekundą było ich trzech. Ten grubasek, który klócił się z nim, leży. Ranny?

Bon Gi skoczył. Już jest przy kaemie. Tu nie trzeba słów. Trzeba pomagać. Dlaczego karabin maszynowy milczy? Dlaczego? Zaciał się?

Znów wybuch... I głucha cisza... To kontuzja. Ale strzelać można dalej, towarzysze. Widzicie, sę

znów rzuca się na nas. Bon Gi odsuwa rannego żołnierza i czuje, jak dygoce kaem.

— Taśmy, taśmy! — wola i własny głos wydaje mu się jakiś obcy, stłumiony.

Trzeba spokojnie, trzeba spokojnie. Tak jak go uczyli w pułku... Dobry żołnierz potrafi zastąpić towarzysza na każdym stanowisku... Nadlatują... Nurkują... Ten najbliższy trzeba dopuścić jak najbliżej. Wyczekać... wyczekać... Teraz!

Tym razem Bon Gi słyszy już terkot kaemu. I widzi, jak samolot niezdarnie podskakuje, raz drugi i spada. Kamieniem...

— Trafiony! Trafiony!

Ale jeszcze nie czas na radość. Co z tego, że jeden trafiony, skoro już zbliża się drugi... Padają pociski dział pokładowych. Pęka ziemia darta bombami.

— Towarzysze, strzelać, strzelać!

„Tak-tak-tak-tak-tak...” — groźnie wtóruje karabin maszynowy.

A Bon Gi bije krótkimi seriami i szepce spierzchniętymi wargami:

— Za Somion... za matkę... za małego Pha... za japońską lekarkę... za brata Hu... za Koreę...

3

— Tam Phenian.

Dowódca zgrupowania wyciągnął długą szyję, jakby Crosby sam nie wiedział, że to właśnie cel nalotu.

W słuchawkach warkot i szum. Dziesiątki głosów, rozkazów, okrzyków. Pułkownik Crosby nad-

śłuchuje i czuje gwałtowny przyływ zadowolenia. Zaraz zacznie się zabawa. Niebo czernieje od samolotów. Dziewięćdziesiąt bombowców pierwszego rzutu, dziewięćdziesiąt drugiego...

Właściwie źle zrobił, że poleciał z pierwszym. Trzeba było uprzeć się i zająć miejsce w samolocie dowódcy drugiego albo i trzeciego rzutu. Ale z tymi lotnikami nie łatwo dać sobie radę. Komendant bazy zażądał stanowczo — tylko z pierwszym rzutem. I tak będzie gorąco.

Bezczelność! Jeszcze zażądał, by Crosby zostawił w jego kasie pancерnej wszystkie tajne dokumenty. Jakby przypuszczał, że Crosby zostanie zestrzelony. Chociaż... taki ma rozkaz. O to nie należy mieć do niego żalu.

Crosby spojrział w dół. A więc tak wygląda Phenian. Śmieszne. Prawdziwe kretowisko. Wcale niepodobne do miasta. Zajrzał przez ramię nawigatora. Ten czerwony kwadrat na mapie, to właśnie cel nalotu. Centralne laboratorium. Jeśli dwieście siedemdziesiąt samolotów zrzuci swój ładunek bomb na ten kwadracik, to co zostanie z tej ziemi? Chyba głęboka przepaść. A na jej dnie szczątki Fukudy. I jeśli Bóg da, to jeszcze tych czerwonych adwokatów. Odechce im się raz na zawsze pchać nos w nie swoje sprawy.

— No co, mister Fukuda? — szepce Crosby. — Nadeszła godzina porachunku. Oszukałeś mnie raz, chciałeś wystrychnąć na dudka ponownie. A ja ci łeb uknęczę, durniu, żonie twojej umiliłem ostatnie chwile życia. Teraz na ciebie kolej. Zapomniałeś, z kim masz do czynienia. Z pułkownikiem Crosby ośmieliłeś się walczyć, z Ameryką. Drogo cię to będzie kosztowało. Zapłacisz za to swoim parszy-

wym życiem. Szkoda tylko, że nie zobaczę, jak się wijesz w przedśmiertnych mękach. Wolałbym ujrzeć ciebie pod takim szklanym kloszem.. Jak pchły cię gryzą i dżuma wsącza się w twoją krew.

Co to? Już na miejscu... Crosby popatrzył uważnie. Trzy samoloty wyrrywają się z szyku. Pędzą w dół, zataczają kręgi. Zaczyna się. Teraz następna trójka. Nie, to dziewiątka... Dobrze. Tak, falami. Zarzucić to podle miasto bombami, wbić pod ziemię, by kamień na kamieniu nie pozostał.

Ochryple brzmi w słuchawkach głos dowódcy. Crosby nie zna się na tych lotniczych rozkazach. Ale pojmuje ich treść i sens.

— *Go down, go down...*

Seriami, chłopcy, seriami. Dokumentnie czyścić tę ziemię. Kamień na kamieniu... Szkoda, że samolot dowódcy nie wiezie bomb. Chętnie popatrzyliby, jak spadają w dół... A potem wytrysk ziemi i następna, następna...

„Białe obłoczki — myśli — to wybuchające pociski artylerii przeciwlotniczej. Nie przypuszczałem, że te żółte małpy mają tego tak dużo. Niebo jest całe usiane tymi obłoczkami. A dlaczego ten samolot obok spada w dół i ciągnie za sobą wachlarz czarnego dymu? Czyżby zestrzelony ?“

Crosby sapie ze złości i czuje, że serce zaczyna mu bić trochę nierówno. Mocniej opiera ręce o oparcie siedzenia. Przychodzi mu nagle na myśl to, czego wcale nie brał pod uwagę — mogą go zestrzelić. Głupstwa. Nawigator jest taki spokojny, tylko znaczki stawia na tej swojej mapie. On, Crosby, też ma mapę i też pokrywa ją krzyżykami i kółkami. Im więcej znaczków na mapie nawigatora, tym

prędej mapę dżumy można będzie powiesić jako historyczną pamiątkę.

Ciekawe, czy ter Fukuda już zdechł, czy jeszcze przeznaczona mu bomba nie spadła. A co jeśli go nie ma w Phenianie?

Dlaczego ten samolot podskakuje? Staje dęba? Co się stało? Dlaczego nawigatorowi wypadł ołówek z ręki?

— Skacz! Skacz:

Kto to krzyczy? Dowódca? Do kogo?

W słuchawkach taki szum. Crosby otwiera szeroko oczy i z przerażeniem widzi, jak zbielała twarz nawigatora. To on tak krzyczy. Prędeej, prędeej. Gdzie jest ta przeklęta dźwignia?

Crosby drży. Trzeba skakać. Nigdy jeszcze tego nie robił. Jedną ręką musi trzymać uchwyt wyzwalający spadochron. Policzyć... Do ilu trzeba policzyć, do ilu? Psiakrew. Zapomniał.

Szarpie dźwignię. Coś go rzuca w dół. Przed oczyma ciemno. Spada. Teraz, teraz — myśli płaczą się, ale palce instynktownie pociągają za metalowy pierścień. Już spada wolniej. Widzi, jak rozpościera się nad nim ogromny, biały parasol. To nie parasol: to spadochron. Jak bołą ramiona po tym gwałtownym szarpnięciu.

Przeszywa go myśl: „Żeby tylko pocisk nie przedziurawił spadochronu”. Rycząc, kamieniem spada obok strącony samolot. „Chyba nie będą mnie torturować — mówi do siebie. — To przecież ludzie. Dwa tysiące lat historii. Nie zabiją mnie. Żeby tylko pocisk nie przedziurawił spadochronu... Nie mogą mnie zabić... Tylko milczeć. O dżumie ani słowa.”

Jak to dobrze, że zostawił dokumenty. Od razu wiedzieliby, kim jest. Niech już nie strzelają. Niech przestaną strzelać.

„Więc to jest Phenian. Same ruiny. Szkielety domów. Strasznie to wygląda z bliska. Będą się za to mścić. Zabijają... Jeśli schwytają mnie żołnierze, to... Ludzie są okrutni... Żeby tylko ten spadochron odczepić od razu, nie dać się wlec po ziemi. I krzyczeć, z miejsca krzyczeć: „Poddaję się, poddaję. Nic nie robiłem złego...”

Nie jestem lotnikiem...” Milczeć o dżumie... Nikt się nie dowie... Psiakrew! Trzeba było zniszczyć legitymację. Zmyślić nazwisko... Chociaż... Crosbych jest dużo. Nazwisko im nic nie powie,.. Kto to stoi z wycelowanym w niego karabinem?...”

— Nie strzelaj! — krzyczy błagalnie Crosby. — Poddaję się! — I czuje silne uderzenie w bok.

Gorączkowo chwyta palcami napięte linki spadochronu. Ściąga je gwałtownie, turlając się po drodze.

Już. Szarpanie się skończyło. Jaki straszny huk. To bomby. Niech już przestaną bombardować. Przecież ja tu jestem. Dość bombardowania! Dość!

Podnosi głowę. Jakie straszne są twarze tych żołnierzy.

— Nie zabijajcie mnie! — bełkocze przerażony. — Jestem jeńcem. Konwencja genewska... Jeńców nie wolno...

Dlaczego ten żołnierz patrzy tak ponuro i kieruje na niego lufę karabinu... Zabijają, zabijają...

— Jestem jeńcem! — krzyczy. — Jeńcem... Nie wolno... To zbrodnia!

4

Akcja ratunkowa skończona. Fukuda otarł pokaleczonymi rękami pot z czoła. U Pu-kuej podsunął mu ręcznik.

— Musicie odpocząć, towarzyszu dowódco...

Popatrzył z wyrzutem na U Pu-kueja. Skąd mu to przyszło do głowy? Dobry chłopak. Czy można odpoczywać, kiedy tyle ludzi cierpi? Ile domów zburzyli dziś piraci. Nie domów — tylko lepianek. Ile ludzi pozbawili życia, okaleczyli... Podobno jedna bomba trafiła wprost w schron szkoły. Straszne...

A laboratorium? Całe szczęście, że główne oddziały ukryte są w głębi twardej skały. Ale kilkunastu ludzi zginęło... Trzeba to będzie odbudować. Może lepiej przenieść dalej za miasto. Na tę dzielnicę spadło najwięcej bomb. To z pewnością nie był przypadek. Amerykanom chodziło o zniszczenie laboratorium. Wiedzą przecież o jego istnieniu i wiedzą, jak poważną rolę spełnia w zwalczaniu wojny bakteriologicznej.

Zacisnął zęby. Ile ofiar pochłania ta straszna wojna. I ile jeszcze pochłonie, zanim nastanie dzień zwycięstwa. Bomby, napalm, dżuma — ogromny jest arsenał zbrodni. Ale jeszcze większa jest siła tych, co się jej przeciwstawiają.

— Chodźmy, U Pu-kuej — powiedział do ochotnika. — Trzeba zająć się przeniesieniem ocalałych sprzętów do schronów. W nocy będą gotowe wyniki analiz...

— Towarzyszu dowódco, towarzyszu dowódco!

Zobaczył biegnącego na spotkanie łącznika.

— Towarzyszu dowódco, telefonowano od nadpułkownika Coja. Prosi, żebyście natychmiast przyjechali. — Ochotnik głośno odetchnął. — Powiedział, żeby od razu was odszukać i powtórzyć. Obleciałem całe...

„Nadpułkownik Coj — zdziwił się Fukuda. — Czego on tam znowu chce. Chyba nie chce mi opowiedzieć o jakimś nowym zamachu... Teraz nie czas na to.“

Po upływie pół godziny wszedł do ziemianki nadpułkownika.

— Witam — ucieszył się Koreańczyk. — Szczęśliwy jeśli m, że nic wam się nie stało. Uff — odsapnął. — Ciężki był nalot. Ale i Amerykanie długo go nie zapomną. Szesnaście bombowców i jedenaście myśliwców stracili nasi dzielni artylerzyści. A lotnicy też na pewno solidnie wymłócili piratów. Tylko — przez twarz przeleciał mu cień — ludzi zginęło sporo.

Fukuda w milczeniu schylił głowę. Poczul piekący ból w oczach. I nagle zdziwił się — a ja żyje. Mnie nic się nie stało. Tyle ludzi ginie, a ja żyję. Tanima — ścisnął kciukami czoło — Tanima zginęła, płatek róży, jutrzienka... a ja żyję.

Opanował się i spojrzał na nadpułkownika. Ten też siedział ze zwieszoną głową, nerwowo przebieirając palcami po kolanie.

— Mój syn zginął na froncie — powiedział cichej. — Wczoraj otrzymałem list... Chłopiec miał takie wesołe, figlarne spojrzenie. Uczył się grać na pianinie... Gdyby nie wojna, zostałby muzykiem — ciągnął szeptem, jakby mówił do siebie.

„Jesteśmy braćmi w nieszczęściu — przemknęło przez myśl Fukudzie. — Jemu syna, mnie żonę... Jak długo jeszcze będą się znęcać ci przekleci...”

— Śmierć jest siostrą wojny — odezwał się.

— Tak. — Głos nadpułkownika brzmiał głucho. — Śmierć jest siostrą wojny. Trzeba zabić jedną i drugą. O to walczymy — urwał, chwilę milczał i wreszcie powiedział już innym tonem: — Tak, dobrze... Poprosiłem was, nie po to, aby się żalić, towarzyszu Fu-kuda. Zaraz zobaczycie...

Nacisnął guzik. W drzwiach ziemianki ukazał się podoficer. Nadpułkownik skinął głową. Fukuda chciał zapytać, o co chodzi, ale gospodarz dał mu ręką znak nakazujący milczenie.

Drzwi skrzypnęły, Fukuda spojrzał w tym kierunku i skamieniał.

Na progu stał pułkownik Crosby. Crosby we własnej osobie. Od razu poznał tę twarz i rozróżniłą w barkach postać. Mundur Amerykanina był brudny i podarty — nie od razu udało mu się ściągnąć spadochron.

Crosby przymrużył oczy, rozejrzał się po ziemiance. Świadomość, że nic mu nie grozi, że nie będą go bili, lecz tylko przesłuchiwali, pomogła mu odzyskać równowagę, zachwianą w chwili gdy wyskoczył z samolotu. Ten koreański nadpułkownik przesłuchiwał go przed godziną. Czego chce teraz?

Zauważył, że nadpułkownik nie jest sam. Prócz tłumacza siedzi na ławce jakiś chiński ochotnik. Nie wiadomo kto — Chińczycy nie noszą dystynkcji. Przyjrzał się twarzy ochotnika. Coś w jej rysach uderzyło go. Czyżby widział kiedyś tego człowieka. Czyżby?...

Fukuda wstał. Nie mógł opanować wewnętrznego głosu, który kazał mu podejść bliżej do Crosby'ego i zajrzeć mu w oczy. Ale głos miał spokojny, twardy.

— Znów spotykamy się, pułkowniku Crosby.

Zauważył w oczach tamtego strach. Trwało to sekundę. Amerykanin wyprostował się, twarz mu stężała. Przychwycił zębami dolną wargę.

— Tak, mister Fukuda, spotykamy się... — urwał i spojrział z nie ukrywaną nienawiścią na przeciwnika.

W myślach zastanawiał się. Co teraz będzie? Przyznać się do wszystkiego czy milczeć? Ciekawe, co Fukuda wie o jego ostatniej pracy. Zacisnął palie. Ach gdyby tak wpić się nimi w gardło tego przekłętego Japończyka. Rzucić go na kolana, trzasnąć pięścią w tę zamkniętą, martwą jak kamień twarz.

Fukuda spoglądał na Amerykanina niby to obojętnie. Ale w sercu czuł wzbierający gniew. Nie wolno tego po sobie okazać. Crosby to twarda sztuka. Nie będzie się płaszczyl. Zatnie się. Trzeba go przyprzeć do muru dowodami. Nadpułkownik niechybnie ma ich sporo w zanadrzu.

Cofnął się i usiadł na ławce. Obejrzał się na koreańskiego oficera. Tamten notował coś na skrawku papieru.

— Co pan ma do powiedzenia, pułkowniku Crosby? — rzucił władczy, ostrym fonem.

— Nic! — Crosby założył ręce za plecy.

— Spodziewał się pan innego rozwiązania, Crosby? wtrącił Koreańczyk po angielsku.

Crosby nie odpowiedział.

Dżuma II

Fukuda zapalił papierosa. Wydmuchując dym powiedział :

— Pan przegrał, Crosby. Na całej linii. I pańska dżuma przegrała. Może mi pan wierzyć. My ludzie wschodu nie rzucamy słów na wiatr.

Crosby zacisnął zęby.

— Ja... — wysyczał — ja być może przegrałem. Ale dżuma... — zaśmiał się chrapliwie — pan się myli, doktorze Fukuda. Pan — usiłował swemu głosowi nadać beztroskie brzmienie — pan wygrywa tylko drobne potyczki.

Fukuda pokiwał przecząco głową.

— To nieprawda. Pan sam w to nie wierzy, Crosby. Zwycięstwo należy do nas. Do nas! Zwycięstwo należy do tych, którzy walczą o życie. Nawet jeśli trzeba je okupić największą ofiarą.

Przycisnął rękę do piersi. Serce biło mocno. Jak dzwon.

Phenian 1952

Warszawa marzec 1953 – czerwiec 1954

SPIS RZECZY

Część pierwsza – Przygotowanie.

Część druga -- Atak.

Część trzecia - Klęska.

1

Panie... ja... głodny.

2

Hangon — alarm!

3

Mu — miara powierzchni — 1/16 hektara.

4

Bajga, suri — gatunki ryżowej wódki.

5

Umo — niania.

6

Big storey — wielki sklep.

7

Jestem... nad... siedem... cztery... kropka...
dwa... jeden... sześć... jestem nad...

8

Go down — w dół (tu rozkaz: bombardować).

9

Idź precz, ty małpo.

10

Idź precz, żółta małpo!

11

Phion — najmniejsza jednostka miary powierzchni.

12

Tongmu — towarzysz.

13

Pektusan — najwyższy szczyt w Północnej Korei.

14

Jobosejo — posłuchaj.

15

Miguk kangdo — amerykański zbrodniarz.

16

Miguk nom seki — amerykańscy łajdacy.

17

Mój interes jest moją ojczyzną.

18

Cudownie! Szanowny generale, cudownie!

19

Keseki! — sukisyny!

20

Pihengi! — samoloty!

21

Kuk — zupa.

22

Halmoni — babcia.

23

Won — pieniądz koreański.

24

Miguk nom — Amerykanin.

25

Jak się pan ma, pułkowniku!